PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO" *Ps. 143.*

ROK L. Tom 199.

LIPIEC — SIERPIEŃ — WRZESIEŃ

1933

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Cykl dramatyczny J. Galsworthy'ego.

Brane osobno, jako odrębne ogniwa, dramatyczne utwory Galsworthy'ego mają, każdy z nich, swoją własną tezę, będącą czyto szukaniem rozwiązania jakiegoś problemu społecznego, czyto protestem przeciwko moralnym konwencjom czy też pozytywnym wysiłkiem w kierunku osiągnięcia nowej moralności. Wzięte jednak pod rozważanie jako całość, wszystkie te dwadzieścia dramatów, tragedyj i półtragedyj, zebranych w zbiorowem wydaniu z r. 1929, tworzą łańcuch, związany mocno i precyzyjnie; stanowią zamknięty cykl dramatyczny, którego treścią jest rozwój duszy poety. W cyklu epickim Forsyte'ów, stanowiącym zasadniczą i prawdopodobnie jedyną podstawę Galsworthy'ego do pozostania na stałe w literaturze angielskiej, nie było miejsca na wypowiedzenie się autora od siebie. Rama eposu była za wielka na autoportret artysty, boć mierzona była na zasięg angielskiego narodowego temperamentu; przytem Galsworthy pracował nad Sagą w dwuch dłuższych okresach, oddzielonych od siebie sporą ilością lat. Natomiast krótkie sztuki dramatyczne, które mogły być napisane każda w ciągu pół roku — i tak mniej więcej były pisane — są doskonałą formą dla wypowiedzenia się autora, o ile należy on do typu twórców, którzy tylko i jedynie w uzewnętrznieniu się pisarskiem znajdują sposobność do samokontroli. Wymagają one bowiem wysokiego stopnia koncentracji, zmuszając do wyeliminowania wszystkich niepotrzebnych szczegółów, a równocześnie pozwalają wobec krótkości czasu, potrzebnego na ich napisanie, na pełne wypowiedzenie nastroju danej chwili i stanowiąc w ten sposób kolejne stadja wyzwalania się od na-

rzucających się zagadnień i wątpliwości tworzą, szczebel po szczeblu, drabinę doprowadzającą do wyżyny samowypowiedzenia się autora. Stąd na utwory dramatyczne Galsworthy'ego można patrzeć z dwóch punktów widzenia. Każdy z nich da się zanalizować z punktu widzenia objektywnego, jako sztuka z tezą, jako szczegół angielskiego życia społecznego w pierwszej ćwierci XX wieku; każdy z nich równocześnie, oglądany z punktu widzenia subjektywnego, odsłania nam szczegół z rozwoju duszy poety.

Śmierć Galsworthy'ego odebrała jego sztukom wszelki interes społeczny. W niepisanym kodeksie socjologji literatury istnieje prawo, że dzieła, które zajmują się problemami społecznemi swoich dni, nie przeżywają autora. Być może działa tutaj świadomość ze strony czytelnika czy widza, że nie można już więcej prowadzić z autorem dysputy, próbować doprowadzić go do zmiany poglądów, lub dać się przekonać jego dalszemi argumentami. Dopóki autor żył, interesowały nas te dzieła z tezą, bo wciąż czekaliśmy, czy prorocze rzuty oka w przyszłość spełnią się czy nie — a sami często należeliśmy do jego przeciwników. Ale teraz oto on już nie walczy. Śmierć wyciska odrazu na sztukach „społecznych" piętno przestarzałości. Ale w tym samym stosunku, w jakim takie dzieła tracą swój interes społeczny, w tym samym zyskuje na wartości ich pierwiastek subjektywny. Śmierć bowiem doprowadza rozwój duszy autora do ostatniej fazy, często tylko pozornie ostatniej fazy, jeżeli brać pod uwagę niewyzyskane, a zapowiadane możliwości. Niemniej jednak mając przed sobą tę ostatnią i ostateczną w stosunku do nas fazę rozwoju autora, możemy podjąć się zadania, stanowiącego jeden z najciekawszych problemów w zakresie krytyki, możemy podjąć się rekonstrukcji procesu rozwojowego duszy poety, nie obawiając się niespodzianek i zawodu.

W wypadku Galsworthy'ego mamy do czynienia z cyklem istotnie pełnym. *Dach* (1929) jest naprawdę ostatnim szczegółem rozwoju poety, kamieniem, wiążącym łuki struktury, wznoszonej przez niego — jako kaplica samowypowiedzenia się. Przestrzeń, którą Galsworthy przebył od *Srebrnej papierośnicy* (1906) do *Dachu*, można łatwo zobaczyć w perspektywicznym skrócie, biorąc pod uwagę zmianę w stosunku

uczuciowym autora do Soamesa Forsyte'a. Niesympatyczny, niesmaczny, ironicznie traktowany „posiadacz" z martwego okresu konwencjonalnego wiktorjanizmu, staje się w *Śpiewie łabędzim* pięknym okazem dobrej starej angielskiej rasy, człowiekiem, którego osobiste moralne zalety odbijają zwycięsko od słabostek i zamętu w głowach młodego pokolenia. Wszak to on zamyka Sagę jako typowy przedstawiciel zdrowego angielskiego plemienia, czerstwy starzec, pełen siły życiowej, prawdziwy potomek tych angielskich kmieci, do których w odwiedziny on właśnie, Soames, a nikt inny z rodziny został przez autora posłany. „Młody" Jolyon, który — zdaje się — stanowił dla Galsworthy'ego idealny typ Anglika w okresie pracy nad *Posiadaczem* (1905) znika z kart powieści, jako słaby stary człowiek, pozbawiony siły życiowej, jako nic nie znacząca postać, nawet już nudna poniekąd. Nie do niego należy przyszłość, nie do niego, ale do Soamesa, jego antagonisty.

Rehabilitacja Soamesa stanowi ostatnią fazę rozwoju autora, którym jest moment atawistycznego „powrotu do typu" *(the reversion to type)*. Dramatyczny cykl pokazuje nam wszystkie pośrednie stadja, prowadzące do tego momentu. Zanim przejdę do omówienia poszczególnych sztuk, że tak się wyrażę, w panoramicznym układzie, chcę w krótkich słowach scharakteryzować jego technikę dramatopisarską.

Spis tragedyj Galsworthy'ego w zbiorowym tomie z r. 1929 orjentuje nas odrazu co do typu jego twórczości. Tytuły, jak: *Strife, Justice, The Eldest Son, The Mob, The Foundations, The Family Man, Loyalties, Old English, The Show*, zdradzają od pierwszego rzutu oka tajemnicę, że mamy do czynienia ze sztukami z tezą. Stwierdza to zapoznanie się z treścią tych sztuk, a i inne dramaty, których tytuły nie mówią wprost o tezie, jak *The Silver Box, The Forest* i t. d. okazują się również przynależnemi do tego samego gatunku, który może najlepiej oznaczyć, jako „epikę dramatyczną". Niewiele jest tu wyjątków, może jeden jedyny: *Joy*. Ten typ kompozycyjny ma naturalnie swą odrębną zewnętrzną formę, specyficzny układ osób i scen. Akcja musi być bogata, bo ma przedstawić cały proces

działania jakiegoś społeczno-moralnego kompleksu, stanowiącego podłoże zagadnienia, wywołującego krytyczne zapytania ze strony autora. Naogół sztuki Galsworthy'ego są pisane według schematu Ibsena, który polega na alegoryzacji zasadniczego motywu; tak np. „okna", które wciąż trzeba obmywać, mówią o konieczności odświeżania własnej filozofji życiowej, choć zarazem mówią też o niemożliwości wyjścia w świat leżący poza domowemi, wrodzonemi tradycjami i przesądami; sztuka o „fundamentach" narodu, o klasie robotniczej, zaczyna się w p i w n i c a c h lordowskiego pałacu. U Ibsena motywy te dochodzą do granicy mistycznej, pozaracjonalnej, jak np. biały koń w *Rosmerholmie*; w sztukach Galsworthy'ego niema nigdzie nastroju mistycyzmu, tajemniczości, w „symbolach" mamy do czynienia jedynie z alegoryzującą ilustracyjną winietą. Jest to przedewszystkiem robota intelektualna, wszystko jest obliczone na doprowadzenie 'logiczne do scen, w których występuje główna teza. Jest to mimo wszystko robota epicka. Wobec traktowania problemów społecznych w ich chwilowej współczesnej formie Galsworthy musi zawsze oznaczyć dokładnie moment społeczny, co wymaga sporej ilości powiedzeń (kwestyj aktorskich) i scen. Barrie daje nam głąb duszy ludzkiej, którą z chwilą dzisiejszą łączy tylko to, że jest właśnie d u s z ą ludzką i że przeżywa wspólnie wielkie doświadczenie jak np. wojna lub teorja podświadomości; Galsworthy, opierając się na momencie zewnętrznego układu stosunków musi nam pokazać przyczyny, które doprowadziły do pewnego konfliktu, co wymaga dużego nakładu scen, stanowiących fundament konfliktu, opowiadających *Vorgeschichte*, to, co się przed rozpoczęciem sztuki działo. Stąd różnica ekonomji osób u obu pisarza. Tak np. w najważniejszej sztuce Barriego *Mary Rose* występuje ośm osób: pp. Morlandowie, ich córka Mary Rose, jej mąż Szymon, jej syn Harry i troje postronnych osób: Mr. Cameron, Mr. Amy i pani Ottery. Z tych pięć pierwszych osób jest bezpośrednio zaangażowanych w konflikt wewnętrzny, i stanowi razem wyraz moralnego ujęcia psychoanalizy przez Barriego; duchowny Cameron o lekkim zakroju humorystycznym służy z jednej strony jako znakomity relief dla pogłębienia tragicznego nastroju

aktu II-ego, z drugiej jako konieczne mocne ogniwo „rzeczywistości" łączącej akt II z III-im; pani Ottery, dozorczyni domu, gdzie straszy duch Mary Rose, jest konieczna do wywołania takiego nastroju lęku, że całą akcję sztuki, oglądaną przez nas jako sen na jawie Harry'ego, i ostatnią scenę jego spotkania z duchem, przeżywamy jako rzeczywistość, bo w nastroju lęku wszystko może się stać rzeczywistością. Jedynie zatem Mr. Amy, przyjaciel p. Morlanda, służy jako figura do wywoływania pewnych odpowiedzi i postępowania pani Morland, i jest osobą, o której zapominamy, o której przyszłość i losy nie dbamy. A zatem na ośm osób jedna tylko osoba bez treści duchowej i nastrojowej. W innych sztukach Barriego bywa ich czasem więcej, ale naogół spotykamy tam tylko taką jedną postać lub wcale. U Galsworthy'ego przeciwnie — tu zawsze jest mnóstwo osób; ich rozmowy objaśniają nam różne zdarzenia, sprowadzają na scenę te różne zdarzenia, odkrycia, ucieczki, bunty, ale te wszystkie zdarzenie nie wypływają z treści tych dialogów, bo one nie mówią o duszy postaci; są te dialogi interesujące tylko jako śledztwo, widz przysłuchuje się im, jako fragmentom rozprawy sądowej o rzeczy, która już się dokonała i tylko czeka na rozstrzygnięcie. Ci świadkowie przemijają, uchodzą nam z pamięci, pozostawiając tylko wspomnienie zamieszania. W stosunku do figur scenicznych Shawa, liczniejszych niż u Barriego, jest także różnica. U Shawa treść sztuki polega na dialektyce do tego stopnia, że żadna z osób nie jest zbyteczna, bo każda z nich reprezentuje pewien sposób patrzenia na życie. Nie wszystkie są wciągane w konflikt akcji, ale też nie jest to potrzebne, gdyż nie o akcję chodzi Shawowi, ale o możliwie obszerną skalę oświetleń, a zatem ktoś, kto ma oświetlać problem, musi jako źródło światła, być figurą żywą, a nie manekinem, wskazującym kierunek akcji; postacie Shawa pamięta się dobrze. Stąd i różnica w powiedzeniach. Barriego można często cytować, bo w dialogach, toczących się pozornie tylko dla osób scenicznych, są stwierdzenia, odnoszące się symbolicznie do wszystkich widzów — ale cytuje się go zawsze w związku z postacią, w której usta włożył te słowa, wspomina się: tak powiedział Szymon czy Mary Rose, Crichton (ze *Wspaniałego*

Crichtona) czy Margaret z *Dear Brutus* i t. d. Shaw daje aforyzmy, które odrazu odrywają się od osoby mówiącej i jakkolwiek są dostrojone do charakteru tej osoby, jednak idą w świat tylko z ojcowstwem Shawa na obliczu; dialektyk odnosi zwycięstwo nawet nad swojemi własnemi osobami. Z Galsworthy'ego prawie że niema co cytować, czasem tylko z wielkiej głównej sceny lub z pointy końcowej. Całość bowiem sztuki dąży do tego by być cytatą, maksymą, a nawet jak wspomniałem, usiłuje zamknąć się w skrócie alegoryzującym tytułu.

To poruszanie tematów społecznych prowadzi Galsworthy'ego nieuniknienie do scen zbiorowych. Skoro pozwala sobie na posuwanie po powierzchni swej sceny osób, że tak powiem, czysto zewnętrznych, może pozwolić sobie także na urządzanie scen zbiorowych, gdzie jeszcze bardziej zatraca się indywidualna charakterystyka aktorów, — scen zbiorowych mających jednak przedstawiać symbolicznie całość społeczeństwa, stwierdzać, że poruszane sprawy mają ważkość dla każdego z nas. Kompozycyjnie są te sceny także konieczne, jako robiące „ruch" w okresach, kiedy główna akcja spoczywa — wobec objętości wypadków akcji owe pośredniczące okresy muszą — dla całości nastroju sztuki — posiadać znamiona „ruchu", choć jest on tylko pozorny. Stąd w każdej sztuce jest taka scena, zaczerpnięta czyto z instytucji, dbającej o sprawiedliwość, do której odwołujemy się po rozwiązaniu konfliktów, t. j. z sali sądowej (jak w *The Silver Box, Justice, A Family Man, The Show*), czy z zebrań akcjonarjuszów jak w *Strife, Old English* lub z życia ulicy, jak w *The Mob, The Foundations*; jest też wielka scena licytacji w *The Skin Game* i zbiorowe sceny w karczmach wiejskich w *A Bit o' Love* i *Exiled*; ostatnia scena ostatniej sztuki *The Roof* zbiera pełną, znaczną liczbę aktorów sztuki na płaskim dachu hoteliku w Paryżu. Barrie nie uznaje scen zbiorowych, Shaw używa ich miernie, stwarzając jednak jedną z najznakomitszych takich scen w sądzie nad św. Joanną; zresztą w scenach zbiorowych występują u Shawa osoby, działające i w innych miejscach sztuki, są to zebrania naszych dobrych znajomych, np. scena końcowa *The Heartbreak Hause*. U Galsworthy'ego tylko ostatnia scena

Dachu ma charakter podobny do scen zbiorowych Shawa; natomiast w innych takich scenach występują ludzie przygodni, sędziowie, detektywi, adwokaci, akcjonarjusze, sprowadzeni tak, jak tacy ludzie w życiu, na ten jeden dzień w życie drugich; są to osoby bez indywidualnego wyrazu, noszą na sobie duchowy uniform instytucji, której są przedstawicielami. Wreszcie jeszcze jedna różnica, która już i w tytułach oddziela Galsworthy'ego od Barriego. Sztuki tego ostatniego noszą w dużym procencie imiona kobiet w swoich tytułach lub mówią o kobiecie, jak *What Every Woman Knows, The Old Lady Shows Her Medals* i t. d. U Galsworthy'ego jednej tylko sztuce kobieta daje tytuł, sztuce *Joy*, która zresztą właśnie nie należy do cyklu dramatycznego. I tak też ograniczone jest jej stanowisko w dramatycznej twórczości Galsworthy'ego: nie ona jest centralnym punktem sztuki, ale mężczyzna, wobec którego kobieta zajmuje stanowisko podrzędne — dośrodkowe stanowisko przeszkody, zachęty, stanowisko motywu działania lub potrzeby ochrony. Najlepsze jednak lub prawie najlepsze sztuki, jak *Strife, Escape, The Roof*, obywają się nawet i bez tego momentu — koncentrują się jedynie około charakteru mężczyzny. Kobieta jest zawsze tylko biernym elementem, który dostaje się w zaczarowany krąg działalności bohatera bez możności wpływu na zmianę kierunku akcji. Matka — rzecz charakterystyczna — ukazuje się prawie stale jako siła ujemna w stosunku do syna; żona nie rozumie nigdy męża. Niema w kobiecie Galsworthy'ego tego pierwiastka wychowawczego, który w ujęciu Barriego i zgodnie z rzeczywistością psychiczną, stanowi istotę kobiecej duszy.

Galsworthy chce sam, bez niczyjego pośrednictwa, wychowywać społeczeństwo. Sztuki jego mają być przykładami na pewne maksymy życiowe i posiadać przez to wychowawczą energję wewnętrzną. I tutaj powracamy od autora-reżysera do autora-człowieka. To, co oglądamy w sztukach Galsworthy'ego, jest jego tragedją, bo każdy rozwój ma w sobie pierwiastek tragizmu. Ale że Galsworthy jest anglikiem i gentlemanem, tragedja jego musi być angielską i gentlemańską, to jest musi mieć „szczęśliwy koniec". Gentlemaństwo jest zawsze pełne spokojnego splendoru — nawet je-

żeli przynosi bohaterowi klęskę, to klęska ta jest chwalebna ze względu na swoje źródło. Jest coś z Richardsonowskiej tradycji w tym epiku bogatej warstwy mieszczańskiej w Anglji. Imię głównego Forsyte'a przypomina mi zawsze niefortunnego, gruboskórnego bogacza Mr. Solmesa, którego konkury są pośrednią przyczyną pięknej, zdolnej, samodzielnej, trochę dumnej Klaryssy Harlowe i pierwotny szkic Soamesa ma pewne związki z tym XVIII-wiecznym typem nuworisza. A w samym Galsworthy'm jest pewien rys Grandisonowski, spokój, *respectability* (na to niema odpowiednika w żadnym europejskim języku) i filantropijna dobra wola. Tragedją zaś Galsworthy'ego była konieczność buntu przeciw tradycji. I znowu jest to typowa tragedja anglika — czyż nie tak samo działo się z najdzielniejszymi pisarzami XIX w., Tomaszem Carlylem i Robertem Browningiem? Ale angielska rewolucja wygląda trochę inaczej niż kontynentalna. Jest to właściwie tylko zejście z wygodnego bitego traktu uświęconych (i dodajmy odrazu bardzo zdrowych) konwenansów, potem wdrapanie się na jakąś nieznaczną wyniosłość celem uzyskania szerokiego widnokręgu i wreszcie powrót na bity trakt z pełnem przekonaniem, że jest to najlepsza z dróg świata. Jedynym skutkiem tej wyprawy jest zrozumienie, że trzeba dokonać pewnych naprawek w gościńcu — każda ludzka instytucja musi od czasu do czasu ulec rewizji i reformie. Zasadniczy jednak kierunek pozostaje ten sam, nie ulegają też zmianie główne zakręty drogi.

Galsworthy usiłował nie uznawać fundamentalnej zasady narodowej angielskiej moralności społecznej. Pojęcie gentlemana wydawało mu się zbyt wąskie, zakładał przeciwko niemu protest i szukał jakiejś ogólno-ludzkiej etyki, pozbawionej zacieśniającego elementu narodowego kompleksu. Niełatwo przyszło mu, z jego wrodzoną tradycyjnością, zdobyć się na ten stanowczy krok, na to zejście z gościńca utartych konwenansów. Świadczy o tem pewna niezgrabność pierwszych jego sztuk. Soames Forsyte z *The Man of Property* miał być odstraszającym przykładem stosowania przepisów moralnego kodeksu bogatej warstwy średniej — taki sam przykład pokazuje nam autor *Srebrnej Papierośnicy (The Silver Box),* niewiele młodszej od pierwszej

części Sagi, w postaci Jacka Barthwicka. Niezręczność autora widać wyraźnie w użyciu melodramatycznych motywów, jak płacz dzieci Jonesów, którzy zostali zaaresztowani wskutek interwencji pp. Barthwicków, pod oknami tych ostatnich, lub dwukrotne powtórzenie opinji o „ciężarze dla społeczeństwa", które niema żadnego znaczenia wobec Jonesa a tylko wobec Jacka, i w ten sposób brzmi bardzo nieszczerze w ustach sędziego. Najsilniej występuje ta niezręczność jednak w tem, że akcja sztuki nie ma nic wspólnego z moralnością Jacka, a konflikt (z punktu widzenia sceny) obejmuje właściwie tylko rodzinę Jonesów. Techniczny udział Jacka w akcji ogranicza się jedynie do tego, iż wprowadza po pijanemu Jonesa do domu swego ojca i daje mu w ten sposób fizyczną sposobność i moralne niejako prawo do wzięcia srebrnej papierośnicy. Jones nie zostaje ukarany za tę kradzież (ponieważ Barthwickowie — przedewszystkiem w obawie skandalu — wycofują oskarżenie), ale za opór władzy. Jego zrozpaczone twierdzenie, że „kto ma pieniądze, może uciec przed sprawiedliwością", nie wiąże się nic a nic z przewinieniami Jacka, które zostały uregulowane, zanim sprawiedliwość potrzebowała wkroczyć — i w ten sposób niema żadnego podobieństwa między przestępstwem prawnem Jonesa i Jacka.

Niemniej jednak Jack jest główną osobą w sztuce, a wszystkie inne służą tylko dla wydobycia cech jego charakteru. Mimo to, Jack nie posiada trzech wymiarów, nie posiada pełni plastyki. Jest on tylko materjałem doświadczalnym niejako; jego zachowanie się ma być ostrzegawczym sygnałem co do wartości kierunku wychowawczego. Jest on wychowankiem Oksfordu — jakgdyby według intencji autora — t y p o w y m wychowankiem tej starożytnej szkoły dobrych obyczajów, zbudowanych na narodowym moralnym ideale gentlemana. Ale to wychowanie zawodzi. Jack pije, prowadzi rozpustne życie, zaczyna nawet oszukiwać, wystawia czeki bez pokrycia. Oksford zatem nie wychował go wcale, albo też jeżeli go zamierzał wychować, to widać, sama podstawa wychowania jest fałszywa. Ale i rodzice Jacka są winni. Oboje nakłaniają go do kłamstwa przed sądem, ojciec, poseł do parlamentu, z obawy przed

skandalem i utratą możliwości karjery, matka z powodu egoistycznej miłości do syna, nieuznającej niczego poza nim. I znowu, jeżeli Barthwick, ojciec, uważa się za gentlemana, to albo myli się, albo ta podstawa moralna jest fałszywa. Nie wymienione jest coprawda to słowo, ale skoro pp. Barthwickowie liczą wśród swoich bliskich znajomych rodziny z arystokracji, pierwiastek getlemaństwa zawarty jest *implicite* w ich obyczajowości. Krzyk Galsworthy'ego o pomoc, jakim jest ta sztuka, nie jest bez odcienia nadziei. Jack zdaje sobie sprawę ze swoich moralnych braków i zdradza możliwości poprawy. Ale czyż jest ktoś, ktoby mógł nim odpowiednio pokierować, czy jest ideał, któryby mógł stanowić trwały fundament moralności społecznej?

Wrażenie niedostatecznego angielskiego moralnego wychowania pogłębia się przy czytaniu następnej sztuki *Joy* (1907), chociaż to wrażenie pochodzi tutaj tylko od osoby bocznej. Maurycy Lever, członek wysokiej arystokracji jest towarzyszem p. Gwyn, żyjącej w separacji. Ale towarzystwo angielskie udaje, że nie zna ich prawdziwego stosunku i Lever jest traktowany tylko jako jej finansowy doradca. Główny problem sztuki nie dotyka bezpośrednio jego osoby — tym problemem bowiem jest walka między matką a córką o serce matki. Joy, córka p. Gwyn, właśnie wchodzi w świat jako dorosła panienka i p. Gwyn usiłuje wymknąć się konieczności dokonania wyboru między kochankiem a córką. Ale wybór jest nieunikniony. Ponieważ p. Gwyn nie może zdecydować się, aby opuścić Maurycego, Joy opuszcza matkę i znajdzie — prawdopodobnie — szczęście w napół-wyznanej miłości do młodego Dicka. Sama jednak akcja, sam konflikt (znowu z reżyserskiego punktu widzenia) obraca się dokoła postaci Levera. Jest on właścicielem udziałów w jakiejś kopalni w kolonjach, która stoi u progu bankructwa i dla uratowania siebie i p. Gwyn od finansowej ruiny chce te akcje podsunąć pułkownikowi Hope, krewnemu p. Gwyn, życzliwemu jej bardzo, opiekunowi Joy. Ale zamiar jego zostaje unicestwiony przez Joy, która podsłuchała rozmowę i zmusza matkę do cofnięcia tej rzekomo świetnej finansowej propozycji wobec wuja. Jest to właściwie jedyna rzecz, która się na scenie dzieje. W świetle jej Lever wygląda bar-

dzo nędznie — jego gentlemaństwo jest jeszcze gorsze niż u Jacka Barthwicka, skoro usiłuje oszukać dobrodzieja swej przyjaciółki i to na sumy o wiele większe, niż opiewał fałszywy czek Jacka. Niechęć Galsworthy'ego do marnej moralnie arystokracji zaślepia go do tego stopnia, że nie spostrzega, iż postępowanie Levera rzuca przykry blask także na p. Gwyn, a przecież intencją autora było, zdaje się, przedstawić ją jako godną szczęścia, pochodzącego z jej własnego wyboru. Jeżeli takiego wyboru dokonała, to czyż może budzić w nas sympatję? Ale w owym okresie Galsworthy, zdaje się, sądził, że kobieta ma zawsze rację, jeżeli chodzi o wybór w miłości.

Niezręczności nie pozbył się Galsworthy i w następnej sztuce. Nie zajmuje się ona kwestją gentlemaństwa, nie to zatem jest przyczyną nieporozumienia w budowie, ale brak mocnego ujęcia materjału akcji świadczy o tem, że moralna postawa autora jeszcze nie jest w pełni umocniona.

Sztukę tę *Strife* (*Walka* — 1909) opatrzył autor definjującym podtytułem: *A Drama*. Miał tu może na myśli, że sztuka zawiera istotny konflikt dramatyczny, a to: obie strony w sporze mają rację. W budowie są rzekomo dwie płaszczyzny, problem społeczny i konflikt osobisty. Ten pierwszy jest jednak pozorny, jest tylko tłem, choć, niestety w rozwiązaniu sztuki bierze udział, jako samoistny czynnik. Rzeczywistą zaś treścią jest starcie dwóch ludzi, którzy obaj ponoszą klęskę, i wobec tego przestają symbolizować siły społeczne; klęska bowiem dwóch sprzecznych sił społecznych jest wyrazem katastrofy społeczeństwa, wyrazem jego upadku, śmierci. A to nie jest wcale rezultatem moralnym sztuki. W Trenartha Tin Plate Works wybuchł strajk. Chodzi o podwyżkę płacy za godziny nadliczbowe w soboty i za pracę nocną. Akcjonarjuszów t. j. kapitał prowadzi stary dyrektor, John Anthony, który nie chce się zgodzić na żadne ustępstwo; robotników t. j. pracę prowadzi Dawid Roberts, wykwalifikowany majster, który nawet dokonał ważnego wynalazku w zakresie swej pracy, zakupionego zresztą tanio przez zarząd fabryki. I on jest podobnie uparty, jak dyrektor Anthony i on wierzy bezwzględnie w swoje ujęcie sprawy. Obaj doznają zawodu, opuszczają ich wszyscy, tak

Robertsa jego towarzysze pracy, znękani głodem, jak Anthony'ego jego towarzysze w zarządzie, zniechęceni jego uporem starca, jak sądzą. Zawód przemienia się w klęskę. Żona Robertsa, chora na serce, umiera z przemęczenia i troski po kilkutygodniowym strajku; Anthony rezygnuje z posady, którą zajmował niemal całe życie. Poza ich plecami dochodzi do zgody, do układu kompromisowego na warunkach, które zaraz na początku strajku ułożyli między sobą sekretarz przedsiębiorstwa, Tench, i sekretarz związku zawodowego, Harness. Ale obaj główni bohaterowie uchylają przed sobą czoła. Czy oni rzeczywiście zwyciężyli? pytamy siebie i autora. Galsworthy chce podkreślić w nich siłę woli nie ustępującą przed żadną konsekwencją zajętego stanowiska, nieulegającą żadnej pokusie. Jeżeli jednak nie ich stanowisko zostanie uznane przez ogół, ale stanowisko kompromisowe, zajęte przez ludzi mniejszych, ale lepszych polityków, to czyż tacy ludzie jak Anthony i Roberts są istotnie potrzebni? Jeżeli ponoszą klęskę obaj, to znaczy, że obaj zajmowali stanowisko fałszywe. Galsworthy'emu szło naturalnie o zaznaczenie, że wartość moralna posiada tylko wierność dla idei, przyjętej za swoją. Błąd jednak polega na tem, że za temat walki obrał dramaturg sprawę pieniężną, w której niema innego rozwiązania, jak kompromis. Oto tutaj tło weszło do akcji. W ten sposób Anthony i Roberts są raczej uparci niż wielcy. Ale dodajmy, z punktu widzenia uwielbienia siły woli, do jakiego prowadził ateistyczny wiek XIX, sztuka Galsworthy'ego ma swoją rację bytu — choć dla nas tylko jako przesunięty na krawędź absurdu przykład teorji siły woli. Zamiast dramatu mamy, mimowolną zresztą, bardzo subtelną karykaturę zapadłego w przeszłość okresu.

Podobnie niezamierzoną karykaturą problemu jest następna sztuka *The Eldest Son* z tegoż samego roku (1909), dalsze studjum o małej wartości młodzieży ze sfer posiadających. „Najstarszy syn" baroneta Sir Williama Cheshire'a ma — naturalnie — mnóstwo długów i naturalnie musi się bogato ożenić. Uwiódł wychowanicę swej matki, córkę starego leśnego, Fredę Studdenham — chciałoby się i tu dodać „naturalnie", tak częsty w literaturze angielskiej jest ten motyw stosunku syna właściciela do wychowanicy. Freda

oczekuje przyjścia dziecka. Bill nie cofa się przed konsekwencjami, oświadcza, że zaręcza się z Fredą. W rodzinie Cheshire'ów wywołuje to przerażenie. Matka, słaba matka tak jak w *The Silver Box,* stara się odmówić Fredę od przyjęcia ręki jej syna; ojciec zrozpaczony, że najstarszy syn, który musi dziedziczyć tytuł, choć niekoniecznie majątek, żeni się tak nisko, grozi mu wydziedziczeniem. Rozwiązanie przychodzi niespodziewanie. Freda spostrzega, że Bill jej nie kocha, i że tylko w imię honoru chce naprawić wyrządzoną jej krzywdę. W jej imieniu zatem zrzeka się Studdenham ręki „najstarszego syna" domu. „Jeżeli ten młody gentleman znudził się nią w trzy miesiące, jak to nawet ślepy może poznać po jego minie, to ona nie jest dla niego". I znowu mamy coś pośredniego między prawdziwem rozstrzygnięciem kwestji a wymknięciem się autora z sytuacji dramatycznej, zbudowanej na podłożu konwencji towarzyskiej. Stanowisko Studdenhama jest naturalnie satyrą na rodzinny punkt widzenia Cheshire'ów, ale satyrę tę osłabia autor w sposób dwojaki. Raz są to słowa Studdenhama: „Well! nie jej pierwszej się to zdarzyło, odkąd świat istnieje, ani też jej ostatniej", przez co mimo pozoru zdrowej filozofji życiowej Studdenhama sprawa honoru Fredy zostaje zbagatelizowana; drugi raz jest to stawianie zbyt wysokich żądań od gentlemana. Pewno, że Bill źle postąpił, ale chciał błąd naprawić; że przestał kochać, to nie jego wina; wszak tyle razy Galsworthy sam stwierdza, że miłość nie odrazu przychodzi w prawdziwej swej postaci. Przez takie postawienie kwestji sztuka traci swoją społeczną wartość, i staje się sprawą czysto osobistą, na co znowu ma zamało wewnętrznej dynamiki charakterów, aby stać się czemś więcej, niż plotką towarzyską. Liczni — podobnie jak w *Joy* członkowie rodziny Cheshire'ów są zupełnie bezbarwni i tylko służą jako symbol masy poruszanej opinją, a to jak wspomniałem, jest niepotrzebne wobec przesunięcia interesów ze sprawy społecznej na prywatną.

Niezręczność dramaturga, która miała swoje źródło w niezupełnie wyjaśnionej jego moralnej postawie, nie była niebezpieczną, dopóki obracał się on w obrębie jednej klasy społecznej. Zaczęła jednak grozić niebezpieczeństwem roz-

kładu, kiedy autor, opuściwszy wąski zakres satyry klasowej, usiłował stanąć twarzą w twarz wobec centralnego problemu życia społecznego, pojęcia sprawiedliwości. Tragedja pod takim właśnie tytułem (z r. 1910), uznawana przez wielu za jego najlepszą sztukę sceniczną, jest szkolnym przykładem na twierdzenie, że aby napisać tragedję, trzeba osiągnąć moralne wyżyny pełnego objektywizmu po długiej walce z samym sobą i w samym sobie; autor musi dojść do pewnej zgody ze swoją moralną naturą. Aby napisać tragedję, prawdziwą tragedję, trzeba najpierw napisać swojego *Hamleta*. Do pewnego stopnia *Justice* wypełnia to miejsce sztuki „przełomowej" w dramatycznej karjerze Galsworthy'ego.

W odróżnieniu od *Walki* — „dramatu" nazwał on tę rzecz tragedją. Czy może miał na myśli, że istotą tragizmu jest zniszczenie dokonane przez siłę działającą ślepo przed siebie, w niezmiennym kierunku, działającą bez ustania, bez wahań, bez możności nawet litości? Takby wynikało z losów bohatera sztuki, Faldera, bohatera-ofiary. Człowiek o wielkiej wrażliwości nerwowej poznaje prześladowaną przez męża Ruth Honeywill; postanawia z nią uciec, składa pieniądze, zanim jednak zdążył zebrać potrzebną kwotę, mąż Ruth staje się tak brutalny, że ucieczki odkładać nie można. Falder, przerażony, fałszuje czek firmy, u której pracuje z 9 na 90 funtów. Fałszerstwo wykrywa się odrazu. Falder, 23-letni człowiek, zostaje skazany na trzy lata więzienia. Za obciążającą okoliczność sędzia uznaje to, że miał żyć w niedozwolonym stosunku z Ruth i dla niej popełnił to przestępstwo. Akt III kończy się sławną niemą sceną, w której Falder, zamknięty w samotnej celi zaczyna bić w drzwi na odgłos takich samych uderzeń w drzwi innych cel więziennych. Ten niemy protest miał się przyczynić do rewizji systemu celkowego. W akcie czwartym Falder już jest po odbyciu kary. Nie może znaleźć miejsca; wreszcie przyjmuje go dawna firma, ale pod warunkiem, że zerwie z Ruth. Bo według pana How, zresztą bardzo poczciwego człowieka, Ruth nie jest godną dla niego towarzyszką. Pozbawiona pomocy Faldera, zmuszona do zarobku za każdą cenę, stała się dla utrzymania swych dzieci płatną kochanką. Ruth dla dobra Faldera przyrzeka p. How, że go opuści, ale ofiara

jej jest i tak bezskuteczna. Falder, rozdrażniony jej oświadczeniem, że go porzuca, i równoczesnem zjawieniem się policjanta, który ma zaprowadzić go do urzędu celem stwierdzenia, czy nie sfałszował sobie świadectwa, rzuca się ze schodów i ginie. Oto sprawiedliwość! — za drobny błąd, popełniony dla ratowania kobiety, zniszczyła ona egzystencję mężczyzny, a kobietę doprowadziła do upadku, z którego ją właśnie chciał ratować. Galsworthy w przemowie adwokata Frome'a w scenie sądowej zaznacza, że wymiar sprawiedliwości nie jest oderwanym faktem w życiu ludziem, że jest jednem z ogniw łańcucha, z jakich się splata życie, że ma takie same konsekwencje, jak i czyn własnowolny. Uznawszy tragedję Faldera i Ruth jako jednostek, musimy jednak zapytać siebie, czy problem został rozwiązany? czy istotnie to jest prawda sprawiedliwości; owo miażdżenie jednostek? Czy może samemu autorowi nie przyszły później takie wątpliwości do głowy, (kiedy w *A Modern Comedy* opisywał oszukańczą aferę na wielką skalę z akcjami niemieckiemi), że może jednak potrzebna jest surowość prawa w tych stosunkach? że z takich małych błędów niekaranych urastają potem wielkie przewinienia, przynoszące katastrofę szerokim warstwom, bo społeczeństwo łatwo przyzwyczaja się do bezkarności, łatwo zatraca różnicę między małem oszustwem a wielkiem. Tragizm sztuki leży niejako poza nią — jest to tragizm samego autora, który protestuje przeciw wymiarowi prawa, z natury rzeczy ślepemu, czyniąc to z całą świadomością, że protest jest nietylko bezsilny, ale i bezcelowy, bo prawo istnieć musi. W tym blasku tragizmu autora zdają się osiągać wyżynę tragizmu także losy centralnej pary sztuki i zapominamy, że właściwym sprawcą tragedji jest p. How, który nie uwzględnił położenia Faldera i wywołał proces, a potem pośrednio i śmierć swego urzędnika. Galsworthy jakby umyślnie przesłaniał ten fakt, czyniąc p. How wyraźnie poczciwym i zdejmując niejako z niego odpowiedzialność wobec działania prawa. Zapomniał, a może nie chciał pamiętać dla wydobycia efektu, że regulatorem sprawiedliwości w życiu jest miłosierdzie. Wobec tego braku problem jest tylko rzucony, nie rozwiązany.

The Fugitive (1911) jest poniekąd dalszym ciągiem *Justice.* Galswórthy przenosi niejako historję Ruth ze stosunków klas ubogich na stosunki warstwy posiadającej; z tragedji ogólnej, do której dla objektywności stanowiska użył postaci z warstw z nim samym niezwiązanych, przechodzi do sztuki „społecznej", atakując przepisy rozwodowe, które mają znaczenie tylko dla ludzi bogatszych, z naturalnym w tych warukach momentem działania opinji towarzyskiej. Clare Dedmond, córka ubogiego pastora, piękna i kochająca piękno, opuszcza filistra-męża; prześladowana przez niego, udaję się pod opiekę Kennetha Malise, literata. Gdy proces rozwodowy ma doprowadzić do nałożenia kary na Kennetha, gdy przytem odwracają się od niego pisma, w których pracuje i grozi mu nędza, Clare opuszcza ukochanego, który już przestał ją kochać, zmęczony niepowodzeniem; próbuje zostać kochanką, ale przed pierwszą próbą zadaje sobie śmierć, zażywając truciznę. I znowu niema rozwiązania, znowu rzucono wyzwanie kodeksowi społeczeństwa, który tu działa tak samo, jak owa sprawiedliwość kodeksu karnego. Znowu oskarżenie, bez możności dania obrony samemu społeczeństwu. Znowu tragedja jednostki. — Czyja wina? czy może nie leży część jej w samej-że Clare? Pamiętając, jak się rozwinął rysunek Soamesa Forsyte'a, ciemiężyciela Ireny, w postać o wiele od Ireny sympatyczniejszą, musimy uznać, że postawienie sprawy, zawarta w *The Fugitive,* nie ma mocy przekonywującej.

Na tej sztuce kończy się poniekąd negatywna działalność Galsworthy'ego. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że pewne poczucie wstydu za wypuszczenie w świat wcale mocnych (zwłaszcza w *Justice*) protestów o nieprzemyślanych dostatecznie społecznych konsekwencjach, owe poczucie wstydu za wprowadzanie w błąd, charakteryzujące gentlemana łącznie z innemi zasadniczemi cechami jak lojalność i brak jakiegokolwiek odcienia nieuczciwości w sporze czy w grze, stało się przyczyną dwóch sztuk następnych. Nie są one jeszcze stwierdzeniami pozytywnemi. Nikt nie spieszy się z zupełnem wycofaniem się ze stanowiska; honor polega podobno na ustępowaniu krok za krokiem. (A może w zakresie umysłowym działa raczej obawa przed śmiesznością

tkwiącą dla nas w szybkim odwrocie.) Tak też i Galsworthy pomija tezy postawione w *Justice* i *The Fugitive*, ale im nie zaprzecza; podejmuje natomiast problemy, które w związku z owemi tezami musiały się nasunąć uczciwemu myślicielowi. Tematem sławnego *Gołębia* (*The Pigeon* — 1912) jest litość, z której przemilczenia w *Justice* zdawał sobie wyraźnie sprawę. *A Bit o'Love* (1915, a więc już z okresu wojny) stara się ustalić objektywnie podstawę stosunku opinji publicznej do zagadnienia nierozerwalności małżeństwa, choć i tu równolegle snuje się temat miłości — miłosierdzia.

„Gołębiem" jest Krzysztof Wellwyn, malarz znany i dobrze zarabiający, który jednak zawsze jest bez grosza wskutek swej miękkości serca. Co ma przy sobie, to rozdaje, a gdy mu zabraknie pieniędzy, rozdaje swoje bilety wizytowe spotkanym biednym, którzy naogół korzystają z adresu. (Doskonały ten pomysł reżyserski umożliwia sprowadzenie żebraków do mieszkania Wellwyna i skoncentrowania w tem jednem miejscu całej akcji). Galsworthy ułatwił sobie problem, redukując rodzinę Wellwyna do jednej córki, która rozumnie troszczy się o ojca i mimo pozorów przeciwnych pomaga mu w tej miłosiernej pracy, choć trudno nazwać to naprawdę pracą, tak niewiele jest w niej elementu pozytywnego; a trudniej jeszcze byłoby działalność Wellwyna uznać za dodatnią, gdyby miał większe obowiązki rodzinne. Bo działalność ta, w umyślnie ekonomicznem ustawieniu ograniczająca się do trzech postaci, rozciąga się na osoby, które są nędzarzami z własnej woli. Przytem ani Mrs. Megan, młodziutka żona wydrwigrosza i oszusta, również młodego jeszcze, pełna temperamentu i lekkomyślności, ani stary dorożkarz, pijak Timson, ani włóczęga — inteligent Ferrand, nie posiadają żadnej wartości społecznej. Być może o to i chodziło autorowi, o wskazanie, że nie treść czynu, ale intencja, nie rezultat, ale miłość sama, odczucie nędzy drugiego bez wkraczania w przyczyny tej nędzy, mają zasadniczą wartość w życiu jednostki, a tem samem i w uregulowaniu spraw ogólnych. Wellwyn ze swoją bezwynikową dobrocią stoi wyżej niż oficjalni przedstawiciele opieki nad biednymi: pastor Bertley, który chce tych nędzarzy przekonać o potrzebie usunięcia zła z nich samych,

teoretycy opieki nad biednymi: profesor Calway, domagający się pomocy państwowej dla bezroboczych i sędzia sir Tomasz Hoxton, domagający się zbiorowej akcji charytatywnej. Galsworthy potępia poniekąd wszelką oficjalną zorganizowaną akcję, zaznaczając konieczność dobrej, bezpośrednio z serca płynącej intencji. A jednak problem sam zostaje zamazany, staje się tłem jedynie dla postaci Wellwyna. Dzieje się to przez określenie ze strony rozsądnej Anny owych wymienionych sześciu postaci, jako *the six rotters* — sześciu nicponów niejako. Zatem i ich nie można brać poważnie jako symboli problemu i stanowisko Wellwyna staje się tylko sprawą indywidualności temperamentu. Toteż miłe wrażenie, jakie zostawia ta sztuka, ogranicza się tylko do uczucia wielkiej sympatji dla malarza. A jest to znamienny moment w cyklu rozwojowym Galsworthy'ego. Charakterystycznie bowiem pojawia się słowo „gentleman", jakiem z uznaniem darzy Wellwyna stary Timson. Pojawia się ono po raz pierwszy u dramaturga Galsworthy'ego i jest związane z postacią, budzącą naszą sympatję. W związku z tem nastawieniem bliżej ku narodowemu ideałowi stoi może ciekawy fakt, że żadne z trojga włóczęgów nie jest anglikiem. Ferrand jest Francuzem, Timson Irlandczykiem, a młoda mężatka Walijką. Co spowodowało taki wybór autora? Czy jest to świadome usymbolizowanie, że miłosierdzie nie liczy się w żadnej mierze z granicami uczucia narodowego czy też może napół świadoma niechęć do obrażania uczucia narodowego przez wystawianie nędzy własnego narodu na scenie? W każdym razie ten wybór osłabia jeszcze więcej wartość społecznego problemu w sztuce.

A Bit o'Love jest wyższy od *Gołębia* z punktu widzenia etyki. Tutaj bowiem ofiara młodego pastora, Michała Strangwaya, przynosi konkretne, stałe dodatnie wyniki, przynosi — mamy wszelkie prawo to przypuszczać — pełne szczęście dwojgu ludziom. Beatrice Strangway opuściła swego męża; spostrzegła, że jej uczucie wydawało się tylko miłością, w rzeczywistości było tylko *a bit o'love* — pozorem miłości. Po roku przychodzi go prosić, aby nie żądał rozwodu z nią, choć ona żyje z innym. Ten ukochany jej jest lekarzem; skandal rozwodowy pozbawiłby go praktyki, przy-

niósłby obojgu ruinę szczęścia. Beatrice nie zdaje sobie sprawy, jak jest okrutna — pewno i Galsworthy w swojem ówczesnem zapamiętaniu co do powszechnej wolności, dochodzącem u niego prawie do anarchizmu, nie zdawał sobie z tego sprawy — i uważał Beatrice za uprawnioną do tego kroku wobec panujących w owym okresie obyczajów w sprawie rozwodu, upokarzających kobietę, gdyż odbierający żonę musiał mężowi dawać za nią pieniężne odszkodowanie. Michał po walce wewnętrznej zgadza się na prośbę żony i płaci za to poświęcenie stratą swojego miejsca w kościele anglikańskim. Rozmowę ich podsłuchała dziewczyna wiejska, która rozżalona na młodego pastora, że wypuścił na wolność schwytanego przez nią ptaka roznosi wieść o niej po wsi. Parafjanie są oburzeni na pastora, który pozwolił na cudzołóstwo swej żony. Wygwizdany przez nich Michał odchodzi ze wsi, coprawda z żalem parafjan, którzy po pierwszej fazie oburzenia, poznali się na jego ofierze. Prawdopodobnie znajdzie on spokój i radość w pracy nad drugimi poza obrębem kościoła. Całe postawienie sprawy jest jednak takie, że wszyscy mają rację i nikt jej równocześnie nie ma. Pomimo położenia najsilniejszego nacisku ze strony autora na poświęcenie Michała nie możemy nie zauważyć, że Galsworthy przyznaje pewną rację parafjanom Strangwaya, którzy muszą się zadziwić i poruszyć uczuciowo wobec zupełnie nowego, niezwykłego faktu, jakim jest rozstrzygnięcie Michała. Bądź co bądź i Michał i Beatrice oboje pragną zachować nowy układ stosunków w tajemnicy. A zatem instynktowo, podświadomie pracuje tu przekonanie o — powiedzmy wyraźnie — metafizycznej wartości związku małżeńskiego, o jego świętości. A poczucie świętości czegoś jest jedynym z zasadniczych, najmocniejszych instynktów, któremi wstrząsać nie wolno pod grozą zniszczenia całego gmachu kultury duchowej.

The Mob, grany na pół roku przed wybuchem wojny jest — mimo, iż jako sztuka nie przedstawia większych wartości, — ważnym momentem w twórczości Galsworthy'ego. Autor zawarł tu siebie w postaci Stefana More'a który protestuje przeciwko jakiejś kolonjalnej wojnie z napół dzikim ludem, protestuje do ostatka, narażając sie na utratę wyso-

kiego stanowiska politycznego, na odsunięcie się przyjaciół, odejście żony, niebezpieczeństwo napadu tłumu na jego dom, protestuje aż do chwili skonu, poniesionego z ręki dziewczyny, której narzeczony zginął na polu walki właśnie. Dziewczyna chce go ukarać w ten sposób za defetyzm, nieistniejące jeszcze wtedy słowo; według niej More był moralną przyczyną śmierci narzeczonego. More sprzeciwia się wojnie i jako ogólnej formie załatwiania zatargów politycznych i jako poszczególnemu wypadkowi, w tym razie: niszczeniu ludu pół-dzikiego przez przemożną cywilizację. Walka Stefana More'a jest walką samego poety ze swojem społeczeństwem. Galsworthy wie, że jego wysiłki mogą być tak bezowocne, jak usiłowania More'a, ale ogłasza w tej sztuce powód i konieczność tych wystąpień. Oto mówi przez usta swego bohatera: „Historja nie będzie mogła powiedzieć: I zrobili to bez ani jednego protestu ze strony swych poważnych mężów stanu". Oto jest wartość każdego protestu — odebranie potomności prawa stwierdzenia, że jeżeli działy się rzeczy złe w danym okresie, to społeczeństwo w danej chwili na nie zasługiwało, bo nie znalazł się nikt, ktoby przeciw nim zaprotestował. To też w przeciwieństwie do sztuk poprzednich sztuka kończy się zwycięstwem bohatera. Po ostatniej scenie, w której More ginie, jest jeszcze jedna odsłona — scena niema. Widnieje w niej tylko pomnik Stefana More'a, wystawiony na jednym z londyńskich skwerów — znak to, że społeczeństwo zrozumiało i oceniło jego wartość. „Wystawiony — głosi na nim napis — dla uczczenia pamięci Stefana More'a, „wiernego swemu ideałowi".

Sztuka ta stanowi pewnego rodzaju katharsis dla Galsworthy'ego. Poeta przekonywa samego siebie, umacnia się w przeświadczeniu, że jego krytyka społeczna ma bezwzględną wartość, że ideał musi się przeciwstawić motłochowi. Ale potrzeba takiego stwierdzania świadczy, że w autorze budziły się skrupuły co do wartości negatywnych stwierdzeń. Praca nad *Gołębiem,* przemyśliwanie *A Bit o'Love* wprowadzały go w świat miłości, nie patrzącej na przyczyny nieszczęścia, ale działającej tylko dla usuwania bólu ze świata. Autor musiał się zastanawiać nad tem, czy ma prawo potępiać jedną stronę w konfliktach, czy też obrońcy uznanego

porządku nie cierpią przypadkiem tak samo, jak ci, co dążą do zmian. A może w tym starym porządku są rzeczy, które trzeba zachować, może to rzucone słowo: g e n t l e m a n, zaczęło budzić echa, wskazując, że są gdzieś niewzruszone ściany, które stanowią zrąb narodowego charakteru. A przytem tuż zaraz przyszła wojna. Jest rzeczą zrozumiałą, że po *Motłochu* jakiekolwiek zajęcie się wojną było dla Galsworthy'ego niemożliwością. Toteż wojny nie dotyka on wcale ani jako doświadczenia ani jako momentu politycznego. Jedyna rzecz w tym zakresie to dialog między oficerem angielskim na urlopie a dziewczyną uliczną, Niemką, w Londynie, która mimo głodu i nadziei spędzenia lepiej kilku dni przy oficerze porzuca go na wiadomość o klęsce niemieckiej. Galsworthy nie wyzwolił się z więzów niedowierzania wobec warstw rządzących swego narodu; jakkolwiek nie szedł tak daleko w propagandzie pacyfistycznej, jak np. Wells, milczał w kwestji wojny, którą potępiał, jak to widać z kilku liryków. Jednak w tem milczeniu brała udział i przemiana, której ślady są widoczne w *The Mob*. Galsworthy musiał uznać dodatnie wartości, jakie przejawiły się w tej „niezmienionej" jeszcze formie angielskiego układu społecznego w czasie wojny. Stąd pierwsza sztuka „wojenna" *The Foundations* (1917) jest nastawiona optymistycznie w stosunku do społeczeństwa, a nawet ma zawierać pewien element humoru, rzecz w dramatach Galsworthy'ego, rzadką. Humor niebardzo się udał; oto np. bomba rzekoma, zostawiona przez montera w podziemiach pałacu lorda Dromondy, okazuje się wyranżerowanem naczyniem blaszanem dla pewnego użytku, w którem Lemmy, ów monter, przechowywał cynę do lutowania. Sztuka jest w zasadzie dysputą między lordem Williamem Dromondy a właśnie między owym Lemmym. Lord, człowiek młody, uwielbiany przez podwładnych, pełen dobrej woli społecznej, pracuje gorliwie w parlamencie, ale jego praca wisi w powietrzu, bo nie rozumie „fundamentów" społecznych, wprawdzie zżył się blisko z żołnierzami, ale to było w warunkach nienormalnych; teraz po wojnie jego towarzysze broni, zawsze dobrze traktowani, są jednak tylko jego lokajami — oto jedyna pomoc, jakiej może im udzielić. Lemmy, blacharz - monter, podejrzany

o rzekomy zamach, zna natomiast prawdziwe *foundations* — zna je od strony codziennej; nie był wprawdzie na wojnie, ale zna życie powszedniej nędzy. On to ratuje pałac lorda przed atakiem tłumu wzburzonego niedostatkiem i bezrobociem; w nim zatem leży siła potrzebna do utrzymania porządku społecznego. Lord Dromondy prawdopodobnie zrozumie po rozmowach z nim, jakie zmiany muszą zajść w układzie społecznym — muszą się zmienić i formy i treść, kto wie może raczej formy, jak treść. Bo oto rysunek obu przeciwników jest dodatni i autor każe nam się spodziewać, że i lord William ze swoją dobrą wolą i lud angielski ze swoim humorem mogą dojść do kompromisu. Ale sceny poza rozmowami dwóch protagonistów (a tych scen jest wiele) są słabe. Galsworthy nie zna dobrze warstw niższych i choć płaci tutaj za scenę napaści w *Motłochu* pewnem uznaniem dla tłumu, widać, że czuje się w tej sferze nieswojo.

Zato o wiele lepiej, zupełnie pewnie czuje się na innej płaszczyźnie, na płaszczyźnie warstwy właścicieli ziemskich. Przywiązanie do niej występuje teraz właśnie z całą siłą. Do niej to zwraca się Galsworthy szukając owej areny, na której może dojść do kompromisu nowej i starej epoki, a rezultatem tego kompromisu będzie zagwarantowanie uczciwej określonej drogi moralnego rozwoju społeczeństwa angielskiego. Narazie otrzymujemy pierwsze stadjum, wstępne, stadjum konfliktu, który musi doprowadzić do układu. Treścią następnej zkolei sztuki *The Skin Game* jest starcie między ubożejącą warstwą średnich właścicieli ziemskich i wdzierającą się z większym niż w innych okresach naciskiem warstwą wzbogaconych wojennych przemysłowców. Tytuł oznacza dawną, dość brutalną zabawę wydzierania sobie kawałka skóry przy pomocy zębów. Tym kawałkiem jest tutaj posiadłość leżąca w sąsiedztwie majątku Hillchristów, którą chce kupić przemocą Hornblower, fabrykant osiadły świeżo na wsi — zamierza on wystawić tam swoje zakłady pracy, uniemożliwi w ten sposób spokojne życie Hillchristom. Hornblower używa podstępu przy licytacji i wydziera z rąk sąsiada posiadłość, ale spotyka go odwet: żona Hillchrista przy pomocy swego adwokata dowiaduje się, że synowa Hornblowera służyła kilkakrotnie jako towa-

rzyszka hotelowa przy stwarzaniu podstaw do rozwodu; zakochawszy się potem w Karolu Hornblowerze, nie miała odwagi zdradzić swej tajemnicy. Wygrzebawszy ten bolesny sekret, pani Hillchrist zmusza Hornblowera do wycofania się z transakcji, a nawet do odprzedania zpowrotem folwarku, kupionego uprzednio u jej męża. Mimo, że obie strony są winne, mimo że raczej ze strony Hillchristów — wina jest większa, autor zdaje się obdarzać sympatją raczej ich niż nuworiszów. Jest bowiem pewna wartość w tych ludziach, tylko jakgdyby nierozwinięta. Hillchrist nie wie sam nic o działaniu żony, a po zakończeniu całej sprawy czuje wyraźny niesmak. Sztukę kończą jego słowa: „Kiedyśmy zaczęli tę walkę, mieliśmy ręce czyste, a teraz czy są czyste? Cóż warte jest gentlemaństwo, jeżeli nie może wytrzymać próby ognia?" Otóż to gentlemaństwo istnieje w duszy Hillchrista, ale jest bardzo słabe — to on powinien był być panem domu, prowadzącym sprawy honorowo; nie powinien był dopuścić do niegodnego postępowania żony. Charakterystycznem zjawiskiem dla zmiany stanowiska Galsworthy'ego jest oskarżenie nie prawa, ale p r a w n i k a o stwarzanie zła społecznego. Nie instytucja, jak w *Justice*, ale interpretator tej instytucji, sprowadzający świadków przestępstw nieszczęsnej Chloe jest powodem katastrofy młodych Hornblowerów. Może Galsworthy'ego pouczył skutek owej wcześniejszej sztuki, która wywołała zniesienie więzienia celkowego, że nie sama istota prawa, nie istota kary jest rzeczą złą, ale ich stosowanie przez ludzi. Uboczny tylko szczegół sztuki, dotyczący stosowania prawa, a nie samej jego treści, wywarł pewien skutek życiowy. Sama zaś sprawiedliwość pozostała nienaruszona. Jednak trzeba dodać, że typ niegodnego prawnika już został naszkicowany w pierwszej sztuce dramaturga, w *The Silver Box*.

A Family Man (1921) jest dalszym krokiem autora w kierunku sympatji dla dawnego typu obyczajowego. John Builder trzymał w rygorze swoją rodzinę, żonę i dwie córki. Przychodzi chwila, w której córki się buntują (ten bunt zresztą jest krótkotrwały). Treścią buntu ma być wyzwolenie się z konwencyj społecznych, zwłaszcza w kwestji małżeństwa; w rzeczywistości jednak przeraża je uległy stosunek matki wzglę-

dem ich ojca. Buntuje się też na bardzo krótką chwilę i żona Buildera; kiedy Builder chce ją zmusić do powrotu z mieszkania córki, Ateny, dochodzi do awantury, której ojciec uderza córkę laską i podbija oko sprowadzonemu policjantowi. Naturalnie, sceny tej nie daje nam Galsworthy wprost, ale poprzez komiczny ekran sceny sądu policyjnego, gdzie zasiadają jego towarzysze z rady gminnej. Builder traci wobec skandalu swoją pozycję w radzie miejskiej, traci w ten sposób szansę obioru na mera, cel ambicji jego życia. Do opuszczonego męża wraca jednak żona. Cała ta historja jest tylko jakby wyładowaniem nerwów, niespokojnych wskutek podmuchów nowych prądów moralnych, temu niepokojowi ulega na chwilę i sam Builder, czyniąc pierwszy krok w kierunku romansu z panną służącą swej żony, Francuską. Ale Galsworthy staje tu wyraźnie po stronie starego obyczaju, zarzuca wprawdzie staremu typowi Anglika gwałtowność, ale ma dla niego sympatję i jego stanowisko ostatecznie uznaje. W stosunku do *Getting Married* Shawa, gdzie tak samo rozważany jest problem umowy małżeńskiej, sztuki wcześniejszej zresztą o lat kilkanaście, rzecz Galsworthy'ego jest uczciwsza; znowu nie w samej instytucji małżeństwa, ale w jej zastosowaniu przez Buildera, leży przyczyna niechęci Ateny do zawarcia wiążącego na zawsze ślubu. Zresztą pani Builder przebacza mężowi i długie lata koniecznego posłuchu i małą próbę niewierności i wraca do niego. A zatem i to „builderowskie" ujęcie małżeństwa nie jest groźne — a Atena wychodzi zamąż. Zdaje mi się, że Galsworthy słusznie ujmuje rozluźnienie obyczajowe tylko jako wybuch zmęczonych wojną nerwów.

Co było w tym typie dawnym, że ku niemu zwraca się Galsworthy, jakby szukając wzoru dla nowego pokolenia? Odpowiedź znajdziemy później, narazie zaś otrzymujemy przygotowawcze studjum, najbardziej znaną obok wczesnych utworów sztukę *Loyalties* (1922). Ścierają się tu dwie lojalności, a właściwie jedna i ta sama w różnych odmianach. Jest to lojalność względem swego podłoża, z którego się wyrosło, czy niem będzie rasa czy warstwa. Kapitan Ronald Dancy okradł Ferdynanda de Levis, bogatego żyda, wprowadzonego do towarzystwa angielskiego. Podejrzenie,

rzucone na niego, jest dla szeregu jego najbliższych towarzyszów pewnością, a jednak dla honoru swej warstwy i rasy nie chcą o tem nic wiedzieć — litują się także nad Dancym, dobrym żołnierzem z czasów W. Wojny. De Levis nie umie się nagiąć do tego „niepisanego kodeksu", który w tym wypadku jest fałszywą lojalnością; niemniej jednak nie umie się zachować, jak gentleman, razi swych gospodarzy i znajomych brakiem taktu i wreszcie wprowadzając niezręcznie osobę żony kapitana w kontrowersję co do szczegółów przy ewentualnej kradzieży, doprowadza kapitana Dancy do wybuchu: *you damned Jew*. To rozstrzyga o dalszem postępowaniu de Levisa. On jest lojalny wobec swej r a s y, nie chce się bić z kapitanem, który musi mu wytoczyć proces. W czasie procesu wychodzą najaw szczegóły, stanowczo obwiniające kapitana, i Dancy odbiera sobie życie. Treść tej sztuki bogatej w interesujące zawikłania i momenty tragicznego napięcia, jest zresztą rzeczą obojętną; na pierwsze miejsce wybija się moment l o j a l n o ś c i, tego podstawowego szczegółu pojęcia „gentlemana". Widać, jak Galsworthy zdąża do niego, jako do ostoi moralności społecznej, ale narazie ujmuje go od strony ujemnej, od strony fałszywego wykładu. Jeszcze czuć pewne niedowierzanie w stosunku do gentlemaństwa. Tak pojęta lojalność ze strony przyjaciół Dancy'ego, wszystkich przecież „gentlemanów", jest przeszkodą raczej niż pomocą w życiu moralnem. Ale dodajmy, że ten sam brak walorów wykazuje lojalność de Levisa, która nie zna uczucia litości.

Zamknięcie o b u s t r o n n ą klęską konfliktu dwóch ras, walczących na gruncie swoich podstawowych pojęć moralnych, jak z jednej strony powtarza zjawisko niewyklarowanych pojęć autora z okresu *Strife,* tak z drugiej świadczy o cofaniu się Galsworthy'ego z pola czystego humanitaryzmu. Nieodzownem niemal następstwem tego faktu, jest następna sztuka *Windows* (1922), „pożegnanie" z dotychczasowem stanowiskiem w zakresie pojęć humanitarno-społecznych. Galsworthy wyraźnie widzi, że było w nich wiele fałszu i przesady. Nie treść sztuki, ale typy interesują tutaj czytelnika. Domorosły filozof, p. Bly, zawodowy czyściciel okien jest subtelną karykaturą teorji, która przemienia się tak łatwo

w skostniały kształt doktryny, usiłuje rozwijać się na glebie zupełnie bezpłodnej. Córka p. Bly'a służy jako dowód, że jednak obowiązują pewne granice wolności w postępowaniu, zakreślone słusznie przez społeczeństwo w postaci moralnych konwencyj. Granice są zawsze konwencją, ale niemniej istnieją, i ruch w ich obrębie musi się z niemi liczyć, jeżeli wszystko niema popaść w chaos. Jest] dalej uboczny moment, ale ważny w stosunku Galsworthy'ego do wojny. Autor wskazuje na zniszczenie nerwowe, jakie było jej skutkiem, na osłabienie woli, a zatem i etyki, u młodzieży. Sztuka kończy się słowami głównej postaci, owego nieliczącego się dotychczas z wymaganiami konwencji moralnych „humanitarysty", niezawodnie lekkiej autokarykatury: „To nie jest milenium. Zadużo jest jeszcze ludzkiej natury. Musimy patrzeć rzeczom w oczy. Tak — ani w górę, ani w dół — ale prosto w oczy". Ale te słowa nie brzmią wcale jak rezygnacja, przeciwnie czuje się w nich, że autor uzyskał jakiś mocniejszy grunt etyczny pod nogami.

The Forest (1924) jest poniekąd uzupełnieniem *The Mob* z przed lat dziesięciu. Tutaj nie o istotę protestu chodzi, nie o ogólnoludzki problem stosunku rasy wyższej do rasy niższej, ale o szacunek dla a n g i e l s k i e j narodowej energji. Galsworthy ceni dzielność eksploatorską angielską, hart i tężyznę całej grupy młodych ludzi, którzy pracują, ponoszą trudy i wreszcie giną dla idei, ale giną oszukani. „Bór" jest również protestem, ale protestem nie przeciw opinji publicznej, nie przeciw publicznej psychozie, lecz przeciw ukrytej finansjerze, która pod pozorem szlachetnych celów uprawia najgorsze rabusiostwo. Wyprawa w głąb Wschodniego Kongo ma za zadanie zwalczyć niewolnictwo, rzekomo stosowane tam przez Belgów, w rzeczywistości chodzi o wydarcie im z rąk pól diamentowych i wprowadzenie tam naprawdę niewolnictwa w postaci pracy kulisów. Scenom walki z „borem", z puszczą pełną niebezpieczeństw ze strony ludzi, żywiołów i chorób, są przeciwstawione sceny z zacisznych gabinetów banków londyńskich i towarzystw rzekomo filantropijnych, gdzie frymarczy się ową dzielnością i energją narodową. Rzecz dzieje się w 1898 — jest to — przetransponowany na nieistniejący w historji angielskiej kolonizacyjnej epizod —

wypad dra Jamiesona, który sprowadził w rezultacie wojnę boerską. Dystans między „Motłochem" a „Borem", przebyty w kierunku zbliżenia do narodowej psyche jest bardzo wyraźny.

Nie znaczy to, żeby Galsworthy stawał bez zastrzeżeń po stronie anglika z krwi i kości. Jeszcze nie wszystko mu się w nim podoba, ale podoba mu się w nim raczej więcej niż mniej. Zastanawia go ta sympatja i stara się ją zobjektywizować wobec samego siebie. Pisze zatem sztukę *Old English*. Sylvanus Heythorp, był przez długie życia doskonałym, dzielnym, mocnym dyrektorem przedsiębiorstwa okrętowego. Ale oto popełnia z całą świadomością pewną nielojalność wobec swoich mocodawców, aby dzieciom swego nielegalnego syna zapewnić niewielkie zresztą środki finansowe. Zrobiwszy to, umiera samobójczo, w stylu „staro-angielskiego" humoru, upija się szampanem, co — wie o tem dobrze — musi przy jego stanie zdrowia sprowadzić śmiertelny atak serca. Galsworthy wcale nie chce tłumaczyć i usprawiedliwiać Heythorpa; przeciwnie zamiarem jego jest pokazać, że mimo swoich upadków, a raczej upadku, ten pełen temperamentu, krwi, humoru, energji, sprytu starzec jest bardzo sympatyczny. Wyposaża go też w typowe — jak sądzi Galsworthy — dla anglika uczucie ludzkości, poczucie konieczności opieki nad słabszymi. Wnukowie Heythorpa, wychowani przez matkę Irlandkę, literatkę, nie rozumiejącą wcale realnych wartości, są zupełnie nieprzygotowani do życia i Galsworthy uważa niemal za rzecz słuszną, iż Heythorp bierze sobie samowolnie niejako premję za swoją pracę dla dobra towarzystwa, skoro ta premja, należycie zabezpieczona, ma służyć na wychowanie ukochanych przez niego wnuków. W każdym razie darzy go wielką sympatją i podnosi go do pewnej wysokości moralnej, malując jako szubrawca jego antagonistę, adwokata Ventnora, który występując rzekomo w interesie towarzystwa, chce jedynie załatwić korzystny dla siebie szantaż. Znowu prawnik jest przedstawicielem zła, znowu podobnie jak *The Skin Game*, nosi on cechy inicjatora zła społecznego, jak członek klasy „złych" doradców.

Obok tej klasy, dawno już zasiedziałej w Anglji i działającej rozsadzająco na moralność publiczną, tworzy się w Anglji nowa siła społeczna, rywalka niejako tej poprzedniej, rywalka w szukaniu wpływów i korzyści materjalnych. Jest nią prasa. Już w *The Foundations* zaczepił ją Galsworthy, ale wobec pogodnego nastroju sztuki tylko odcień humoru pada na reportera z nieodłącznym aparatem fotograficznym. Przelotnie dotyka natręctwa prasy w „Lojalnościach", ale teraz występuje z silnem potępieniem działalności prasy brukowej, z ostrzeżeniem przed jej niszczącem działaniem prywatnego spokoju i szczęścia dla celów własnego materjalnego zysku. Przewód sądowy po samobójstwie dzielnego lotnika Colina Morecombe'a byłby skończył się prędko bez przyniesienia bólu żonie, która go nie kochała, i matce, której miłość do syna była istotą jej życia, gdyby nie wmieszała się prasa, szukająca sensacji pod pozorem surowej dbałości o moralność. Morecombe odebrał sobie życie, gdyż wskutek wstrząsu doznanego na wojnie tracił przytomność i obawiał się, że sporadyczne ataki mogą przejść w stan chroniczny; nie mówił żonie ani matce o swej chorobie, zawiadomił jedynie przyjaciela. Prasa jednak dopatruje się innych przyczyn, czyto w złem pożyciu z żoną czyto w historji z poznaną niedługo przed śmiercią przez samobójcę dziewczyną; wciąga je przez to do badania policyjnego, do procesu. Spóźniony list owego przyjaciela, oficera marynarki, rozwiązuje sprawę, ale „przedstawienie" (*The Show* — jak brzmi tytuł sztuki) już się odbyło — aktorami byli tu ludzie żywi, cierpiący naprawdę, niepotrzebnie. Prasa, wkraczająca w p r y w a t n e życie ludzi, jako nauka braku gentlemańskiego, jako przykład braku lojalności, podkopuje zupełnie moralność p u b l i c z n ą.

Po tych wszystkich poszukiwaniach Galsworthy znajduje wreszcie swoją drogę, a raczej drogę dla swego społeczeństwa. W wymienionych sztukach powojennych uderza unikanie krytyki w stosunku do młodzieży angielskiej. Wobec spełnienia przez nią obowiązku narodowego w czasie wojny Galsworthy nie ma jej nic do zarzucenia; zdaje sobie jednak sprawę, że młode pokolenie, w niezmienionych warunkach powojennych potrzebuje koniecznie ostoi moralnej. Tę pod-

stawę, na której mógłby się oprzeć byt moralny Anglji, ważniejszy niż jej byt materjalny, znajduje właśnie w zasadniczej angielskiej postawie gentlemana, która — mimo pewnych załamań okazała się pełną zdrowej żywotności, jak świadczy Sheriffa *Kres wędrówki* (postać nauczyciela).

Escape (1926) zahacza wprawdzie w prologu o moment protestu, oburza się na postępowanie policji; autor potępia jej nadużycia (to cała i słuszna kampanja obecnie w Anglji, chwilowo odnosząca zwycięstwo nad tą nową siłą w „demokratycznych" państwach), ale nadużycie to jest tylko motorem, który puszcza w ruch akcję. Treść natomiast zdąża do rozwiązania ideowego pozytywnego. Matt Denant, kapitan z Wielkiej Wojny, został niesłusznie skazany za przypadkowe zabójstwo tajnego ajenta policyjnego *(the plain cloth man)* na 5 lat. Ucieka po niejakim czasie z więzienia z Dartmor (okolice bliskie stałemu miejscu zamieszkania Galsworthy'ego) i oto w szeregu scen o fakturze kinematograficznej przedstawia nam Galsworthy stosunek różnych typów ludzkich do sprawy, którą trudno określić, czy jest to sprawa miłosierdzia czy poczucia braterstwa. Wszystko, co należy do warstwy inteligencji, pomaga Denantowi w ucieczce; wszystko, co jest poniżej pojęcia gentlemana, czyha na niego, jako na wroga porządku, układanego przez państwo. Takie postawienie kwestji ma za cel wydobyć tę prawdę, że układ sił moralnych w społeczeństwie można regulować jedynie nakazami kultury wewnętrznej. I takie też przychodzi rozwiązanie. Matt Denant uratował się, ukrył się z wiedzą pastora w zakrystji, ale kiedy wieśniacy, szukający go, żądają od duchownego, aby „na swój honor jako chrześcijanin-gentleman" zaręczył, że niema u niego zbiega, Denant wychodzi z ukrycia, aby nie pozwolić, by ktoś za niego dopuścił się kłamstwa lub cierpiał konflikt między obowiązkiem państwowym a obowiązkiem kultury, aby nie pozwolić, by zaszargane zostało kłamstwem, choćby szlachetnem, pojęcie gentlemana, w które wierzą wieśniacy, jako w bezwzględne kryterjum moralne. „Chrześcijanin" — rzadkie to słowo u Galsworthy'ego, ale pojawia się narówni postawione z idealną podstawą narodowego charakteru. „Nie można uciec przed swoją własną uczciwością" kończy sztukę gen-

tleman Denant, a chrześcijanin - ksiądz odpowiada mu: „Ach to właśnie. Niech cię Bóg ma w swej opiece".

Po dłuższej przerwie, bo dopiero w 1929 r. pojawiają się *Exiled*. To już pełna wychowawcza teza. „Wygnańcem" jest zarówno inwalida bezroboczy, tramp, którego nagły wybuch nienawiści do sędziego pokoju, nowego magnata przemysłowego, sprowadza splątanie akcji, jak i wyrzucony ze swego majątku, typ dawnego arystokraty, baronet Sir Charles Denbury, który zmuszony jest porzucić Anglję i wyemigrować do Afryki, skoro ostatnia szansa życiowa, świetna klacz wyścigowa, została okaleczona przez trampa przez omyłkę. O baroneta pyta reporter w gospodzie w dawnym jego majątku, kto to jest; a barman odpowiada: „Gentleman". I jakkolwiek inny z rozmówców, komiwojażer, mówi: „To słowo wyszło z obiegu. Proszę go określić inaczej", to jednak cała sztuka przedstawia *ad oculos* postępowanie gentlemana, czyto w stosunku do górników, którzy stawiali na jego konia, czy w stosunku do trampa, czy w stosunku do panny Joan, proponującej mu małżeństwo. Sir Charles nie przyjmuje jej ręki; nie w małżeństwie starszej warstwy z nową widzi Galsworthy rozwiązanie sprawy spadku obywatelskich obowiązków. Małżeństwo jest i dla Galsworthy'ego i dla gentlemana Denbury'ego rzeczą zanadto osobistą, aby wciągać je w sprawy społeczne. Spadek po nim zostanie przekazany inaczej, nie przez kobietę, ale wprost od mężczyzny do mężczyzny. Panna Joan jest córką owego nowego magnata, wzbogaconego przemysłowca, Sir Johna Mazera, obecnie właściciela majątku Sir Charlesa. I widzimy — i to jest wielkim efektem sztuki — jak pod wpływem Sir Charlesa ten człowiek przechodzi granicę wychowawczą, wchodzi w zasięg gentlemaństwa. A jednym z zasadniczych rysów gentlemaństwa jest niezrzucanie obowiązku dbania o bliźnich na jakieś instytucje bezosobowe, na państwo w tym wypadku, jak to robił dotychczas Sir John Mazer, ale stawanie do tej pracy osobiście, bezpośrednio, w imię solidarności ogólno-ludziej. Już nietylko „gołąb" Wellwyn, humanitarysta bez poczucia rzeczywistości, jest gentlemanem, do którego trochę podobny jest Sir Charles, jest nim także, to jest będzie nim po okresie, który

widzimy w sztuce, energiczny, trzeźwy dorobkiewicz, kto wie, może nawet dodatniejsza od tamtych siła społeczna. Przy zakończeniu sztuki jesteśmy pewni, że tradycja dobrego obyczaju społecznego pozostanie w Anglji utrzymana, że następca Sir Charlesa, następca niejako nieunikniony wskutek kryzysu finansowego, przyjmie dawniejsze obowiązki gentlemana, bo jest z natury swojej zdolny do zajęcia tego stanowiska. Sztuka przepojona jest miłością ojczyzny, jest jakby radosna, że autor doszedł do zrozumienia wartości długo przez siebie krytykowanej Anglji. Oto końcowy dialog między gośćmi w tejże samej gospodzie, gdzie padło określenie Sir Charlesa jako gentlemana. Komiwojażer mówi do właściciela: „Jerzy, i ty stracisz wkrótce zajęcie. Straszna jest ta tutejsza trzeźwość. Szczęściem, że my Anglicy, odziedziczyliśmy kulę ziemską, bo tutaj nic nam nie zostało; te podatki za alkohol — co, panie Haddon" — Właściciel: Jest jeszcze krew angielska i kości. Gdyby stary kraj chciał je razem zebrać do kupy, cały kłopot rozwiałby się jak te mgły nad ziemią. To moje zdanie. — Komiwojażer: Czemuż ci politycy nie mogą porzucić swych partyj i razem się głowić? Potrzeba nam polityki narodowej jak za czasów wojny. (Słychać wycie psa). Nie lubię wycia psa — nazywają to *banshee* w Irlandji. — Właściciel: Nie jesteśmy w Irlandji. Jesteśmy w Anglji i Bogu dzięki za to. — Komiwojażer: Ach, jesteśmy w Anglji, w dobrej starej Anglji — ale co, starzeje się? — Właściciel: Ona? ona ma dopiero dwa lata. — Komiwojażer: I my ją kochamy — I my ją kochamy. A Sir Charles, niewidziany przez tamtych w półmroku przedniej sceny, mówi: „To właśnie ta mała rzecz co boli", myśląc, że musi porzucić Anglję; ale zaraz dodaje z pełnią otuchy: „Ale duch jej idzie naprzód".

Ostatnia wreszcie sztuka w zbiorowem wydaniu, z końca roku 1929, nosi tytuł symboliczny: *The Roof*. Strukturę ma ona specyficzną. Składa się z szeregu scen w małym hotelu w Paryżu, zapełnionym przez Anglików. Wszystkie sceny zaczynają się o tej samej porze o godzinie 11-tej wieczorem i trwają dwadzieścia minut; naturalnie odgrywają się przed nami kolejno, ale łączą się przez to, że postaci z jednej sceny ukazują się w odpowiednim momencie opuszczenia

„scenicznego lokalu" w scenie innej. Ostatnia scena, która zaczyna się właśnie o godzinie 11-tej minut 20, skupia wszystkich aktorów na płaskim dachu, dokąd uciekają przed pożarem. Pożar wybuchł przez podpalenie. Zrobił to gorszy typ Anglika, niejaki Brice, kręcący się w kołach arystokracji „gentleman". Mocno pijany, obrażony łagodnemi uwagami ze strony kelnera Gustawa, Francuza, iż nie powinien rozpijać młodziutkiego swego znajomego z wysokiej angielskiej arystokracji, chce wywołać ciemność przez połączenie drutów elektrycznych, ale sprowadza krótkie spięcie; napół drewniany dom zostaje objęty przez pożar, który przedewszystkiem rzucił się na klatkę schodową. W scenach pierwszych daje nam Galsworthy różne typy ludzi: lekkomyślni są oni, sceptyczni, niezdecydowani, filistrzy — takie przeciętne, nudne życie. Ale w chwili niebezpieczeństwa wykazuje się prawda ich charakteru. Wszyscy umieją się opanować, ratują się wzajemnie; gentlemaństwo mężczyzn przejawia się w każdym szczególe i scena na dachu, mimo groźby ciągłej śmierci, wzbudza radosną egzaltację w widzu, przed którym unaocznia się ten wielki fakt, że pod spodem pozorów bezbarwnej i małoważnej przeciętności kryje się wielkość duszy ludzkiej. Mimowolny sprawca katastrofy, Brice, ginie uratowawszy kelnera Gustawa, który właśnie jego szukał po pokojach, aby spełnić swój obowiązek. Obowiązek, poczucie solidarności ludzkiej, odwaga, opieka nad słabymi, delikatność w traktowaniu uczuć drugich, zdolność przyznania się do winy i ekspiacja — oto składniki gentlemaństwa, tej podstawy moralnej wszelkiego życia społecznego. Galsworthy jeszcze raz stwierdza w swojej ewolucji od krytyki społecznej w *The Silver Box* i *Justice* do ideału, jaki przyświecał twórczości Scotta, Thackeraya, Dickensa, że istnieje bezwzględnie pewna więź moralna każdej narodowej kultury, że w Anglji tą więzią jest ideał gentlemana, nienaruszony mimo przemian zewnętrznych, że do tego ideału podciągają się wszystkie przypuszczone do pełnego życia obywatelskiego klasy. Jest ten ideał jak biegun magnetyczny, ku któremu przemocą skierowuje się wskazówka w kompasie moralnej natury Anglika — według tej wskazówki ocenia on swoje położenie i układa swoje postępowanie.

W ten sposób kończy się cykl dramatyczny J. Galsworthy'ego. *Dach* jest, jak wspomniałem, ostatniem ogniwem, świadomie jako koniec syntetyczny cyklu stworzonem. *It's one's decent self one can't escape* — nie można uciec przed swojem własnem przyzwoitem ja — mówi Matt Denant w *Escape.* Przed swojem własnem uczciwem angielskiem poczuciem gentlemaństwa Galsworthy nie mógł uciec. Ale naprawdę to on nigdy nie uciekał. Przeciwnie, w swoim cyklu dramatycznym pokazywał nam właśnie kształtowanie się gentlemana, bo krytyka i protest są konieczne dla zrozumienia błędów, aby potem mogły przyjść pozytywne ideały. Powieści Galsworthy'ego poza „Forsyte'ami" niedługo pójdą w zapomnienie, z dramatów utrzyma się kilka tylko przez dłuższy czas, może taka *The Skin Game, Exiled, Escape.* Ale całość tego dramatycznego cyklu — przedstawiona przeze mnie tutaj w rodzaju panoramy, formy właściwej Galsworthy'emu i niemal mimowoli przeze mnie tu zastosowanej — całość tego cyklu pozostanie w historji angielskiej literatury traktowany, jako typowy obraz procesu, zachodzącego w duszy każdego uczciwego Anglika, procesu kształtowanie się gentlemana, stanowiącego jeden ze szczytów kultury chrześcijańskiej.

Andrzej Tretiak.

Kolektywizacja rolnictwa włościańskiego w Rosji Sowieckiej.

Nadzieje, żywione przez szersze koła w Rosji Sowieckiej i zagranicą, iż po ogłoszeniu przed 12 laty Nowej Gospodarczej Polityki przez Lenina kraj po tylu strasznych wstrząśnieniach wstąpi w okres spokojnego postępowego rozwoju, okazały się mylnemi. Próba urzeczywistnienia planu pięcioletniego doprowadziła kraj zimą 1929/30 roku do drugiej agrarnej rewolucji, która zachwiała wszystkiemi podstawami życia narodowego o wiele głębiej, aniżeli agrarna rewolucja roku 1917/18-go. W rezultacie eksperymentu socjalnego jedynego dotychczas w takim zakresie, obraz rosyjskiego rolnictwa w ciągu paru lat gruntownie się zmienił. Do r. 1932 zdołano połączyć w kolektywne gospodarstwa przeszło $^3/_5$ (61,5%) całego włościaństwa rosyjskiego, przyczem na kolektywy przypada więcej, jak $^3/_4$ całej powierzchni zasiewu chłopskich gospodarstw. Wszystkie południowe okręgi zbożowe, wszystkie okręgi roślin technicznych, jak to lnu, bawełny, buraków cukrowych, były już wiosną 1932 roku zupełnie prawie skolektywizowane. Chociaż na wiosnę 1933 r. pozostało poza obrębem kolektywów jeszcze koło 40% wszystkich gospodarstw chłopskich, to znaczenie ich w rolnictwie rosyjskiem jest bardzo nikłe, ponieważ są położone na dalekich północnych kresach i mają charakter gospodarki naturalnej.

Zrozumieć łatwo, iż uwaga świata skupia się na tem jedynem w historji świata zjawisku. Od wyników tego niebywałego eksperymentu zależy niewątpliwie cała przyszłość gospodarki sowieckiej.

Stosunek chłopstwa rosyjkiego do wspólnej gospodarki.

Pierwsze pytanie, nasuwające się w tej kwestji, jest następujące: W jakiej mierze kolektywizacja chłopskich gospodarstw w Rosji jest zjawiskiem dokonanym pod przymusem ze strony państwa, i w jakim stopniu dobrowolne dążenia chłopów skłaniały ich do tego kroku? Oczywiście, zagadnienie przyszłości kolektywów jest ściśle związane z rozstrzygnięciem tej kwestji.

Istnieje dość rozpowszechniony zagranicą pogląd, iż chłopi rosyjscy mają pewne komunistyczne tendencje i że dlatego władza sowiecka przy kolektywizacji znalazła pewien oddźwięk w psychice chłopstwa rosyjskiego. Przypuszczają, iż stosunki w rosyjskiej wspólnocie gromadzkiej, gdzie panowała wspólność gruntów z ich perjodycznem dzieleniem, poniekąd przygotowały rosyjskiego chłopa do wspólnej pracy.

Znaczenie wpływu wspólnoty na ustrój duchowy rosyjskiego chłopa nie winno być lekceważonem. Aczkolwiek wspólnota rosyjska przed wojną rozpadała się w szybkiem tempie, tradycje jej jeszcze głęboko tkwiły w umyśle chłopa rosyjskiego. Gwałtowna rewolucja roku 1917 i 1918 w znacznej mierze była opartą na tych tradycjach. Lecz wspólnoty rosyjskiej nie można uważać za instytucję socjalistyczną lub komunistyczną. Masy rosyjskiego chłopstwa widziały w ustroju wspólnoty rękojmię posiadania ziemi dla siebie i swego potomstwa. Do wspólnego prowadzenia gospodarstwa rosyjski chłop odnosił się niemniej negatywnie, jak naprz. polski. Sposoby użytkowania ziemi we wspólnotach we wszystkich okręgach państwa rosyjskiego były bardzo szczegółowo opisywane w odnośnych sprawozdaniach ziemstw rosyjskich. I otóż na zasadzie tej literatury można stwierdzić z całkowitą pewnością, iż nigdzie i nigdy rosyjska gromada nie uprawiała swych gruntów wspólnie. Brak skłonności do wspólnej uprawy ziemi u rosyjskiego chłopa przejawiał się w tym samym stopniu, co i u zachodniego, także i w rozwoju rosyjskich spółdzielni rolniczych. Nader pomyślny rozwój ruchu spółdzielczego przed wojną nie spowodował wszakże zjednoczenia wytwórczości w dziedzinie rolnictwa, ani w dziedzinie hodowli bydła.

I w warunkach rosyjskich rozwój ruchu spółdzielczego wzmacniał gospodarkę rodzinną, zamiast powodować rozpłynięcie się jej we wspólnej gospodarce. I w Rosji nie sprawdziło się często wygłaszane zdanie, iż kolektywy stanowią wyższą formę zjednoczenia spółdzielczego.

Otóż należy zadać pytanie, skoro nie wspólnota gminna, to może nacisk rewolucyjny, który oczywiście nie mógł pozostać bez głębokiego wpływu na umysłowość mas ludowych, stworzył pewne sprzyjające warunki psychiczne dla wspólnej pracy w kolektywach?

Jednak i to przypuszczenie musimy odrzucić z całą stanowczością. Ostatecznym celem rosyjskiej agrarnej rewolucji był tak zwany „czarny podział" (*czornyj peredieł*) t. j. zupełnie równomierny podział gruntów pomiędzy indywidualne gospodarstwa włościańskie. To zadanie końcowe zrodziła wspólnota gruntowa, ale nie miało ono nic wspólnego z socjalizmem lub komunizmem. I ten fakt został potwierdzony przez dalszy rozwój wydarzeń. Rząd komunistyczny spróbował wykorzystać rewolucję agrarną, aby zgodnie z jej ideałami rozbudować kołhozy (kolektywne gospodarstwa). Ale szczegółowe badania wykazały, iż śród członków kolektywów wspólna gospodarka nie wzbudziła zainteresowania, korzystali oni tylko z szyldu kolektywu dla otrzymania kredytów i innych przywilejów celem rozbudowy gospodarstw indywidualnych. Prawda, w Sowieckiej Rosji istniało kilka dobrze zorganizowanych komun. Były one utworzone z dobranych członków, oddanych ideałom komunizmu, albo religijnie nastrojonych. Lecz tak rzadkie wyjątki stwierdzają tylko regułę, że spółdzielnie wytwórcze nie są stosownemi instytucjami gospodarczemi dla zwykłych śmiertelników.

Istota nowego eksperymentu kolektywizacji.

Nowe kolektywy są to gospodarcze instytucje, różniące się całkowicie od tych, które poprzednio były utworzone przez władzę sowiecką. W związku z tem drugą kolektywizację określa się jako „spłosznaja" t. j. powszechna kolektywizacja. Jest ona powszechna ze względów następujących: Przedtem kolektywy powstawały jako zrzeszenia dobrowolne

chłopów, którzy zazwyczaj tworzyli mniejszość wspólnoty gromadzkiej i wydzielali się z takowej. Teraz sprawa ma się inaczej. Ludność całych wsi, często kilku sąsiednich łączy się w kołchozy.

Czem są te nowe organizacje? Zwykle uznawane są za spółdzielnie. Lecz tym nowym organizacjom brak bardzo ważnych cech, charakteryzujących spółdzielnie.

Przedewszystkiem akcja kolektywizacji odbywa się obecnie nie z dobrej woli ludności, lecz na rozkaz rządu. Wystarczy zwrócić uwagę na fakty następujące: od 20 stycznia do 1 marca 1930 r., czyli w ciągu 40 dni, 10 miljonów chłopów przystąpiło do kolektywizacji. Lecz gdy w marcu Stalin cofnął przymus kolektywizacji, natychmiast 9 miljonów wystąpiło z kolektywów. Jesienią 1930 roku zaś partja zadecydowała ponownie skolektywizować 25% gospodarstw i znowuż do chwili zasiewu wiosennego 8 miljonów gospodarstw ponownie wstąpiło do kolektywów.

Byłoby błędem przypisywać znanemu wypowiedzeniu Stalina w jego artykule: „Zawrót głowy wskutek powodzeń", z dn. 2-go marca 1930 roku przeciwko przymusowej kolektywizacji — znaczenie, którego w ramach państwa komunistycznego ono nie miało i mieć nie mogło. Ten nakaz przymusu państwowego nie zlikwidował i powstałe instytucje nie zostały prawdziwemi spółdzielniami. Państwo komunistyczne nie chce nic wiedzieć o samodzielności w dziedzinie gospodarki, jak również i w innych ważnych dziedzinach życia. W obliczu pewnego niebezpieczeństwa zmniejszy ono swój nacisk, lecz wyrzec się całkowicie środków przymusowych zasadniczo nie może. Nie stało się to i po ogłoszeniu artykułu Stalina. O możliwości niezależnej decyzji ludności wiejskiej w tak doniosłej kwestji, jak kolektywizacja, nie mogło być mowy. Gdy Kalinin, *sui generis* prezydent Sowieckiej Unji, w lipcu 1930 roku na zebraniu w Woroneżu mówił o kolektywizacji w dalszym ciągu, zapytano go, czy on serjo wierzy w rozwój kolektywizacji przy pozostawieniu swobody i dobrowolnej decyzji. Z uśmiechem szyderczym odpowiedział, że może być oczywiście mowa tylko o „wolności bolszewickiej"[1]).

[1]) *Izwiestja* z dnia 23. VII. 1930 roku.

Na posiedzeniu sowietów w marcu 1931 r. przewodniczący rady komisarzy Mołotow wyjaśnił, iż zwalczanie kołchozów i stawianie oporu kolektywizacji jest uznane za popieranie „kułaków" przeciwko władzy sowieckiej. Nie można się wahać i neutralnym w tej kwestji pozostawać nie wolno. W tym roku kwestja stosunku do kołchozów jest wyraźnie postawioną przed każdym średniakiem i biednym chłopem. Wybór jest niezbędny [1]). Wiadomo zaś aż nadto dobrze co znaczy dla obywatela sowietów być uznanym za przeciwnika władzy. Kolektywizacja w zimie 1930/31 roku była przeprowadzoną środkami najokrutniejszego teroru; wreszcie opór włościaństwa podczas drugiej zimy został w pewnym stopniu złamany.

Batem, który zapędzał chłopów do kolektywów, był strach przed „odkułaczaniem". Los ów dzielą nietylko „kułacy", lecz i biedni chłopi, którzy ośmielą się stawiać opór kolektywizacji. A los ten jest okropny. W najlepszym razie „kułak" razem z rodziną, zaledwie w łachmany okryty, zostaje wyrzucony z ojczystej siedziby na ulicę i mróz i pozostawiony własnemu losowi. Przytem nikt nie ośmieli się rodziny takiej przytulić, lub dać jej zarobek. Większość zaś rodzin kułackich wywożono do lasów na przymusowe roboty w nieopalonych towarowych wagonach, czyli tak zwanym pociągiem śmierci, do bagnistych lasów północnej Rosji albo Syberji. Znaczna część tych pasażerów z musu ginęła, w szczególności marły dzieci podczas tej straszliwej drogi. Uważani zaś za szczególnie szkodliwych byli wtrącani do więzień, lub też bez żadnego sądu rozstrzeliwani.

Jednakże cały ten ruch powstał nie wyłącznie naskutek bezpośredniego nacisku. Kiełkował on bowiem jeszcze w r. 1929 przed rozpoczęciem systematycznego „odkułaczywania". Już wtedy zawisł nad chłopstwem uwarunkowany przymus kolektywizacji.

Rząd systematycznie i uporczywie dążył do tego, by utrudnić włościaństwu prowadzenie gospodarki indywidualnej, natomiast gospodarstwom wspólnym okazywano wszelkiego rodzaju przywileje. Przy nieograniczonej władzy rządu

---

[1]) *Izwiestja* z dnia 12. III. 1931.

sowieckiego nad ludnością ten nacisk nie mógł pozostać bez wpływów.

Ten system pośredniego przymusu jednakże różnie oddziaływał w zależności do stanu dobrobytu tej lub innej warstwy włościaństwa. Chłop, mający pewien inwentarz, będący w stanie do pewnego stopnia samodzielnie prowadzić swe gospodarstwo, walczył co sił starczyło o swą samodzielność. Lecz były po wsiach duże zastępy włościaństwa, dla którego wstąpienie do kolektywu wydawało się jako jedyny ratunek i po których władza nie mogła obawiać się oporu. Byli to chłopi nie posiadający inwentarza. A stanowili oni prawie $^1/_3$ część wszystkich gospodarstw. Do uprawy roli wynajmowali inwentarz bogatszych sąsiadów, lecz kiedy władza sowiecka poczęła prześladować zamożnych chłopów, to chłopom, nie mającym inwentarza, nie pozostawało nic innego jak iść do kolektywów, tembardziej, iż uwalniało ich to od nadmiernych podatków.

Tak wygląda dobrowolne wstępowanie chłopów do kolektywów. Nie lepiej przedstawia się ich swobodny udział w zarządzaniu niemi.

Utworzenie zarządu z potrzebnym autorytetem w spółdzielniach wytwórczych jest rzeczą nader trudną; często spółdzielnie się rozpadają właśnie z braku zarządu, mającego autorytet. Stworzenie samorządu w nowych kolektywach, do których zapędzano setki chłopów z rodzinami, było rzeczą wprost niemożliwą. Lecz o tem nikt też nie myśli. Kolektywy, jak wszystkie inne, tak zwane instytucje społeczne w Rosji sowieckiej, podlegają kontroli partji komunistycznej. Znaczna część z 25 000 miejskich komunistów, rozesłanych zawczasu dla urzeczywistnienia kolektywizacji po wsiach, chociaż większość z nich nie miała najmniejszego pojęcia o rolnictwie, stanęła na czele kołchozów. Naturalnie formalnie odbywały się wybory do zarządu kolektywów, lecz przeprowadzane były zwykłą metodą bolszewicką.

Według przepisów rządu, zadaniem prezesów winno być utworzenie „aktywu" z byłych parobków i biedoty. W tej mniejszości rząd ma nadzieję znaleźć oparcie dla swej akcji komunistycznej. Średniacy są uważani w kolektywach już jako członkowie drugiej kategorji i są przez mniejszość

steroryzowani. Nic dziwnego, iż masy chłopskie tę kolektywizację uważają za „nową" pańszczyznę.

Rzecz widoczna, iż takich instytucyj nie można uznać za prawdziwe spółdzielnie.

Celem ostatecznym komunistów jest stworzenie wielkich gospodarstw państwowych na chłopskich nadziałach i przeistoczenie chłopów w robotników rolnych. Jak ludność miejską całkowicie obrócono w proletarjat miejski, tak chcianoby stworzyć z ludności wiejskiej proletarjat rolny. Lecz władza dokładnie nie zdaje sobie sprawy, iż w najbliższej przyszłości nie byłoby w jej interesie stawianie członków kołchozów narówni z masą robotniczą w sowchozach (gospodarstwach państwowych). Znaczyłoby to wziąć na barki rządu odpowiedzialność za wyżywienie ogromnych mas chłopskich zapędzonych do kołchozów. Tego właśnie władza sowiecka wcale sobie nie życzy, lecz natomiast usiłuje wmówić w chłopów, iż muszą się sami wyżywić ze zbiorów w kolektywach i dlatego też nie mają prawa wymagać określonej zapłaty, gdyby zaś wskutek „razwiorstki" uczuwał się brak dochodów i chłopi cierpieli głód, to władzę sowiecką nie może to obchodzić.

W ten sposób chłopi wtrącani są do kolektywów niedobrowolnie, mają nader nikły wpływ na zarząd, lecz są odpowiedzialni za wyniki wytwórczości. W tem tkwi naturalnie przeciwieństwo wewnętrzne w życiu kolektywów, zagrażające ich przyszłości.

Organizacja pracy w kolektywach.

Oprócz wyżej wzmiankowanego braku autorytetu wybranego zarządu kolektywów brak chęci do pracy członków, którzy nie są w stanie utożsamić własny interes z interesm spółdzielni, to drugi czynnik psychologiczny, często powodujący rozpad spółdzielni produkcyjnych. Jest rzeczą niełatwą stworzyć w kolektywach dość pobudek dla gorliwej pracy. Władza sowiecka usiłuje wzbudzić zapał do pracy wśród członków kolektywów zapomocą odpowiedniego systemu podziału dochodów.

O ile chłopi są pozostawieni samym sobie, ujawniają się wśród nich tendencje do równomiernego podziału do-

chodów. Taki podział jest rzeczą nader prostą i odpowiada tradycjom dawnej wspólnoty gromadzkiej, wedle których przy podziale ziemi miano wzgląd na wielkość rodziny. Lecz ten sposób działa deprymująco na chęć do pracy członków kolektywu. W samej rzeczy poco się wysilać, skoro dochód indywidualny nie zależy od pracowitości osobistej?

Lecz przy rozstrzyganiu wszystkich kwestyj życia wewnętrznego kolektywów decydującym czynnikiem nie jest wola członków kolektywów, ani też zarządu, lecz nakazy rządu centralnego. Całem życiem kolektywu kieruje niezliczone mnóstwo zarządzeń z Moskwy, w które ujęte są najmniejsze szczegóły jak np. czyszczenie kopyt końskich. Rządząca partja po pierwszym październikowym przewrocie pewien czas hołdowała zasadzie komunistycznej: „Każdemu według jego potrzeb". Lecz wkrótce była zmuszoną odstąpić od tej zasady w upaństwowionym przemyśle wskutek złego jej wpływu na intensywność pracy. Obecnie usiłuje się różniczkować wynagrodzenie i wprowadza się płacę akordową, która właśnie na zachodzie przez socjalistów została zarzuconą. Zasada jednolitego wynagrodzenia popadła w Rosji sowieckiej w niełaskę i została napiętnowana, jako „małomieszczańska".

Władza sowiecka dąży do tego, aby w kolektywach członkowie byli wynagradzani w ten sposób, jak w przemyśle państwowym. Dochód winien być dzielony nie według potrzeb, ani nawet według godzin pracy, lecz właśnie według wydajności pracy. Rząd usiłuje przeprowadzić i w kolektywach metody pracy akordowej, wyznaczając dla każdej roboty specjalną kwalifikację i specjalne zadanie. Lecz jest to zadanie o wiele więcej skomplikowane, niż to się zdaje władzy sowieckiej. Już dla obliczania godzin pracy musi być prowadzona szczegółowa rachunkowość, lecz Rosja nie może na 200.000 tysięcy kołchozów mieć tylu wykwalifikowanych rachmistrzów. Obliczanie zaś wedle wydajności pracy jest jeszcze bardziej skomplikowane; akordowa płaca w rolnictwie przy rozproszeniu pracy rolnej na dużych przestrzeniach i przy różnorodności organicznych procesów źle się odbija na jakości i wynikach pracy. Wskutek tego w kapitali-

stycznem rolnictwie praca na akord jest rzadko stosowaną, chociaż przedsiębiorcy rolni są zainteresowani w wysokim stopniu w podniesieniu intensywności pracy swych robotników. Nawet w rosyjskich sowchozach (majątkach państwowych) płaca za ilość dni pracy jest dominującą zasadą, pomimo że zarządom nakazano wprowadzać płacę akordową.

W rzeczywistości wskutek braku uporządkowanej rachunkowości większość zarządów kolektywów nie może sobie dać rady nawet z kontrolą godzin pracy. Podział dochodów wywołuje wśród członków duże niesnaski, zwleka się też z nim i często jeszcze na wiosnę nie bywa ukończony. Silne niezadowolenie wywołuje też żądanie władzy, aby znaczna część zbiorów tworzyła niepodzielny fundusz kolektywów. Prócz tego z kołchozów pobiera się znaczne sumy na pokrycie pożyczek państwowych i na inne zupełnie niezrozumiałe dla włościan cele polityczne.

Drugim sposobem wzmożenia intensywności pracy członków jest podział ich na brygady. Każdej brygadzie oddaje się nadział ziemi, na którym ma wypełniać cały szereg robót. Wynagrodzenie brygady zależeć ma od urodzaju. Ten system nie może być jednakże przeprowadzony konsekwentnie, ponieważ doprowadziłby do rozpadu kołchozów. Przeprowadzony zaś niekonsekwentnie nie ma dużego znaczenia dla intensyfikacji pracy.

W rezultacie nie może być w kolektywach ani chęci do pracy, jak u samodzielnych włościan, ani też dyscypliny istniejącej w kapitalistycznych gospodarstwach. I otóż zagadnienie organizacji pracy pozostaje najtrudniejszym problemem dla kolektywów, który zagraża i nadal zagrażać będzie ich istnieniu.

Mechanizacja kolektywów.

Główne nadzieje na pomyślne wyniki w rolnictwie władza sowiecka pokładała na mechanizację. Pięcioletni plan miał kolektywizować włościan w miarę, jak kolektywy mogły być zaopatrzone w traktory i maszyny. Zgodnie z planem pięcioletnim należało ogółem skolektywizować tylko 13,6 % wszystkich gospodarstw wiejskich. Faktycznie władza so-

wiecka z kolektywizacji stworzyła socjalną rewolucję, rozwijającą się niezależnie od mechanizacji rolnictwa.

Prawda, rząd stara się później zaopatrzyć kolektywy w maszyny i traktory. Nie mogąc stale pozbywać się drogiej waluty na zakupno maszyn amerykańskich, władza sowiecka zorganizowała ich wyrób w kraju. Co do ilości wyrabianych traktorów, combine i innych skomplikowanych maszyn, sowiecka Rosja ustępuje teraz tylko Stanom Zjednoczonym. Co do jakości, naturalnie, maszyny rosyjskie są gorsze od amerykańskich, co utrudnia ich stosowanie.

Pomimo wszelkich starań władzy sowieckiej, by zaopatrzyć kolektywy w maszyny i zmechanizować pracę, cel ten został tylko częściowo urzeczywistniony. W 1932 roku urządzono 2245 maszyno-traktornych stacyj, w których było 80.000 traktorów. Te stacje centralizowały uprawę chłopskich pól. Uznając, że jest to doniosły rezultat, dodać należy, iż tylko 15 % skolektywizowanej przestrzeni mogło być uprawionej należycie traktorami w tym roku. Więc nie może być mowy o utożsamieniu kolektywizacji z mechanizacją chłopskiego rolnictwa. Rząd rozpoczął mechanizację rolnictwa w rejonie stepów, dającym jaknajlepsze widoki powodzenia i w okręgach uprawy roślin technicznych, np. buraków cukrowych, bawełny i in.

Przyznać należy, iż zapomocą traktorów udało się na południowym wschodzie zaorać znaczne obszary ziemi, które od czasu katastrofy głodowej leżały odłogiem. Lecz częściowa mechanizacja nie mogła dać pomyślnych wyników, chociażby z tej przyczyny, iż w związku z kolektywizacją w całym kraju szło straszne niszczenie żywego inwentarza. W roku 1930 w porównaniu z r. 1929 liczba koni roboczych zmniejszyła się z 25,2 milj. do 22,4 i liczba wołów o 1,3 milj., a ilość bydła roboczego kurczy się i nadal. W literaturze sowieckiej często jeden traktor uważa się równoznacznym sile 20-tu koni, co jest niewątpliwie przesadzonem, lecz i przy takiem obliczaniu siła pociągowa nietylko nie zwiększyła się przez kolektywizację, lecz uległa zniżce. A przy takich warunkach uprawa roli w swoim czasie — co przy kontynentalnym klimacie Rosji jest bardzo ważnem — staje się niemożliwą.

Prócz tego skomplikowana technika maszynowa napotyka na wielkie trudności wskutek niedojrzałości środowiska. Daje się odczuwać brak doświadczonych traktorzystów i mechaników, ponieważ przygotowanie młodych wieśniaków do tej roboty wcale nie jest tak łatwe. Trudno jest także zorganizować dostarczanie zapasowych części, bez których niemożliwe prawidłowe funkcjonowanie skomplikowanych maszyn. Maszyny nawet bardzo wysokiej marki w warunkach rosyjskich szybko się niszczą i mogą służyć przeciętnie nie dłużej, jak dwa lata. Zrozumiałe, iż w takich warunkach używanie maszyn nie opłaca się.

W jakim stopniu zawiodły nadzieje, iż mechanizacja rosyjskiego rolnictwa dokona w niem radykalnego przewrotu, można widzieć z przykładu t. zw. „ziarnosowchozów". Gdy w r. 1928 kwestja zbożowa ponownie się zaostrzyła, władza sowiecka zadecydowała utworzyć na wschodzie Rosji ogromne gospodarstwa dla produkcji zbożowej, które nazywały się ziarnosowchozy czyli fabryki zboża. Te gospodarstwa winny były produkować tylko zboże, przytem prawie wyłącznie pszenicę. Miano je zmechanizować w 100 %, to jest miano się obejść zupełnie bez żywego inwentarza. Gdyby mechanizacja mogła mieć decydujące znaczenie dla utworzenia racjonalnego gospodarstwa, to zdawałoby się, iż w „ziarnosowchozach" są jaknajdogodniejsze warunki ku temu. I rzeczywiście, dzięki mechanizacji, zdołano w ciągu trzech lat stworzyć nowe tereny zasiewne w 4,3 milj. hekt. Lecz jakościowo wyniki okazały się bardzo smutne. Urodzaj ziarna wynosił przeciętnie w r. 1929 5,5 podwójnych centnarów na ha, w r. 1930 6,6, a w 1931 3,3, t. j. był niższy niż u chłopów. Biorąc pod uwagę ogromne koszta amortyzacji budynków i maszyn, nie trudno się przekonać, iż fabryki zboża przyniosły wielkie straty. I faktycznie w r. 1932 wzrost obszarów zasiewów „ziarnosowchozów" był nieznaczny.

Mechanizacja sama przez się nie zapewnia powodzenia nawet w „ziarnosowchozach", które z tego punktu widzenia mają warunki jaknajdogodniejsze. Dodatnie znaczenie traktorów w kołchozach, gdzie warunki są jeszcze mniej sprzyjające, tembardziej maleje. Mechanizacja rolnictwa nie jest

tym czarodziejskim środkiem, który byłby w stanie zrekompensować wszystkie negatywne wyniki kolektywizacji.

Gospodarcze wyniki kolektywizacji.

Na XVI konferencji partji komunistycznej w czerwcu-lipcu 1930 r., po pierwszej przymusowej kolektywizacji, Stalin i komisarz narodowy rolnictwa Jakowlew oświadczyli, iż kolektywizacja jednym zamachem zdołała rozwiązać bardzo ostre poprzednio zagadnienie zbożowe. Wniosek ten opierali na danych statystycznych, podług których powierzchnia zasiewu zbóż jarych w r. 1930 zwiększyła się o 7 proc. Podług późniejszych obliczeń statystycznych zdania wodzów komunistycznych okazały się mylnemi. Całkowity obszar zasiewu zbóż jarych w r. 1930 nie wzrósł o 7 proc., lecz spadł o 2 proc. Zasiewy zbóż jarych na polach włościańskich (skolektywizowanych i nieskolektywizowanych) spadły nawet o 4 proc. Lecz te mylne dane wyświadczyły przysługę wodzom komunizmu, ułatwiając obronę kolektywizacji przed partją, wśród której powstały pewne wątpliwości w tej kwestji. Zauważyć należy, iż wiosna 1930 r. miała nader sprzyjające warunki meteorologiczne. W ten sposób po pierwszej przymusowej kolektywizacji, pomimo sprzyjających warunków pogody i zaopatrzenia rolnictwa w traktory, obszar zasiewów nietylko się nie powiększył, lecz znacznie obniżył.

Jednakże, jeśli mamy wierzyć danym statystyki sowieckiej, w drugim roku kolektywizacji, t. j. w r. 1931 obszar zasiewów się zwiększył. Gdy obszary pod urodzaj 1930 r. (na skolektywizowanych i nieskolektywizowanych polach) wynosiły 117,6 milj. hektarów, to zasiew pod urodzaj 1931 r. doszedł do 125,9 milj. hekt., t. j. podniósł się o 8,2 milj. hekt. Gdy nawet uznamy te dane za wiarogodne [1]), zwyżkę

[1]) Osiągnięcie dokładnych danych bieżącej statystyki zasiewów i urodzajów w mało kulturalnym kraju, znajdującym się do tego pod dyktaturą, jest rzeczą nader trudną. Wiarogodność sowieckich statystyk jeszcze więcej ucierpiała wskutek reformy, dokonanej z motywów politycznych z początkiem 1930 roku. Głównym statystykom Centralnego Zarządu Statystycznego (ZSU) zarzucano, iż stosują burżuazyjne metody

obszarów zasiewnych można będzie w znacznej części objaśnić wyjątkowo sprzyjającemi warunkami pogody i dobrym urodzajem 1930 r. Zwykle po tak dobrych urodzajach w Rosji obszar zasiewów się zwiększa.

Prócz tego znaczenie rozszerzenia obszarów siewnych w r. 1931 okazuje się bardzo problematycznem. Poczynając od tego roku odcinek socjalistyczny (sowchozy i kołchozy) odgrywał w rolnictwie dominujące znaczenie i obejmował $^2/_3$ obszarów siewnych. Rolnictwem jak i przemysłem kierują z Moskwy. Nadchodzi rozkaz z Moskwy, aby uprawić i zasiać tyle a tyle ha, władza miejscowa stara się wykonać ten plan za wszelką cenę, nie troszcząc się o to, co z tego wyniknie. Z powodu klimatu kontynentalnego zasiewy muszą odbywać się jak najszybciej, wiosną w ciągu 2—3 tygodni. Obecnie zaś zasiewy wloką się całemi miesiącami, bo chcą jak najdłużej korzystać z traktorów. Że opóźniony siew nie przyniesie dobrych plonów albo zupełnie zginie, o to nikt się nie troszczy. Podług danych oficjalnych obszar terenów, zasianych zbożem w r. 1930, wynosił 98,6 milj. ha, a w roku 1931 — 104,5 ha; po raz pierwszy przekroczył on liczby przedwojenne. Lecz skrupulatniejsze obrachowanie uwidocznia, iż w roku 1931 zasiano na czas nietylko nie więcej, lecz mniej niż w roku 1830. Więc doniesienia o zwyżce siewu zboża posiadają charakter czysto formalny.

Najważniejszem zagadnieniem rolnictwa w Rosji jest podniesienie nader niskich plonów. Rząd sowiecki pokłada duże nadzieje w tem, iż kolektywizacja rolnictwa, związana z mechanizacją, da zwyżkę urodzaju. W r. 1930 Rosja miała stosunkowo dobry urodzaj ziarna; wynosił on 8,48 podw. centn. w stosunku do 7,4 podw. centn. z hektara w roku poprzednim i władza chętnie przypisywała to powodzenie

---

pracy i nie dostosowali się do wymagań socjalizmu. Wśród statystyków ZSU była przeprowadzona gruntowna „czystka", podczas której zostali usunięci najcenniejsi pracownicy. ZSU, jako urząd niezależny, celowo przez Lenina jako taki do życia powołany, stracił niezależność i został podporządkowany „Gosplanowi" (Państwowej Komisji Planowej). Statystyka ma być wciągniętą w walkę komunizmu przeciwko kapitalizmowi. „Jej komunikaty są w pełnem znaczeniu tego słowa raportami z placu boju", zaznacza odnośny oficjalny okólnik.

kolektywizacji. Niesłusznie jednak, ponieważ wiosną roku 1930 było skolektywizowanych tylko 25 % wszystkich gospodarstw włościańskich, a jeszcze mniejszy wpływ mogła wywrzeć mechanizacja, ponieważ traktorami uprawiono wtedy tylko 8 % skolektywizowanych pól. Dobry urodzaj 1930 roku musimy więc uważać za czysty przypadek. Opady w tym roku na południu były bardzo obfite i to spowodowało dobry urodzaj. I w roku 1922 pomimo bardzo złej uprawy ziemi po klęsce głodowej Rosja miała tak obfity urodzaj, iż za jednym zamachem głód został pokonany.

O wiele charakterystyczniejszemi były wyniki 1931 r. W tym roku kolektywy objęły już 60 % wszystkich chłopskich gospodarstw i wiosną znaczna część obszarów była na południu zaorana traktorami. Meteorologiczne warunki wszakże złożyły się niepomyślnie i stepy zostały nawiedzone przez posuchę. Właśnie w takie lata odgrywa rolę dobra uprawa ziemi — pola źle uprawne nie dają żadnych plonów, dobrze zaś uprawione dają urodzaj dobry. Lecz wyniki 1931 r. okazały się nader smutne: rejony Średniej i Dolnej Wołgi, Baszkirja, Syberja Zachodnia, Kazakstan, gdzie większość gospodarstw chłopskich już została wciągniętą do kolektywów, zostały dotknięte przez nieurodzaj. Przytem oficjalnie musiano przyznać, iż mechanizacja rolnictwa nie zdołała zapobiec skutkom posuchy, i otóż ani mechanizacja, ani kolektywizacja nie wywarły żadnego pomyślnego wpływu na wzrost urodzaju.

O wiele gorzej rzecz się ma z uprawą roślin technicznych. W celach industrjalizacji władza sowiecka dąży do rozszerzenia terenu kultur technicznych, jak np. buraka cukrowego, bawełny, lnu, i t. p. W pewnych okręgach, kolektywizując przymusowo włościan, zmuszają ich rozszerzać obszar uprawy roślin technicznych zamiast zboża. W ten sposób obszar kultur technicznych zwiększył się z 9,6 milj. ha w r. 1930 do 14,1 milj. ha w r. 1931, t. j. na 4,5 milj. w ciągu jednego roku. Lecz zasiać niedbale kultury techniczne, to jeszcze niewiele. Urodzaj roślin technicznych po rewolucji stał na niższym poziomie, aniżeli przed rewolucją, po kolektywizacji zaś jeszcze bardziej się obniżył i nie przekracza obecnie zaledwie połowy przedwojennego. Więc

zwyżka terenów, wziętych pod uprawę roślin technicznych, nie dała pomyślnych wyników.

Lecz najwięcej od kolektywizacji ucierpiała hodowla bydła włościańskiego. Włościanie nie chcą oddawać swej trzody kolektywom i zarzynają bydło, nie zważając na najsurowsze zakazy. Wiosną 1930 r. sytuacja stała się tak groźną, iż Stalin zdecydował się na ustępstwa i w znanym swym artykule: „Zawrót głowy od powodzenia" wydał rozporządzenie przekreślające pomysł kolektywizacji całego bydła włościańskiego. Zdecydowano pozostawić chłopom po jednej krowie i drobny inwentarz. Lecz tymczasem z 1929 do 1930 roku ilość bydła zmalała strasznie, rogatego o 23%, owiec o 32% i nierogacizny o 42%. Późniejsze dane statystyczne nie były ogłoszone, lecz sądząc z ułamkowych cyfr następne lata w dalszym ciągu wykazują znaczny spadek w hodowli bydła. Warunki dla hodowli okazały się w kolektywach fatalnemi. Podczas gdy przed kolektywizacją ilość bydła rogatego wzrosła w porównaniu z czasami przedwojennemi, to teraz doznała znacznej zniżki w stosunku do ilości przed wojną, podczas gdy ludność wzrosła o 15%. Rzecz jasna, jaki to wywarło wpływ na aprowizację miast i na odżywianie się ludności.

Aczkolwiek negatywny wpływ kolektywizacji na wytwórczość nie mógł ujść uwagi komunistów, władza sowiecka w latach 1930—31 była zadowolona z wyników kolektywizacji. Opierając się na stojących na czele kolektywów komunistach władza sowiecka nader umocniła swe położenie na wsi i stała się nareszcie panem produkcji chłopów. Przymusowa rekwizycja produkcji chłopskiej po ustalonych cenach za pieniądze obezwartościowane przez inflację, której nie udawało się konsekwentnie przeprowadzić przed kolektywizacją, teraz została uskutecznioną w zupełności. I otóż za ostatnie lata były zebrane następujące ilości ziarna:

Z urodzaju r. 1928	108 podw. cent.	14,7 %	zbiorów
„ r. 1929	161 podw. cent.	22,5 %	„
„ r. 1930	221 podw. cent.	26,6 %	„
„ r. 1931	230 podw. cent.	32,8 %	„

Po pierwszej akcji przymusowej kolektywizacji zbiory za r. 1930 zostały powiększone o 37 %, co wynosiło już wię-

cej niż $^1/_4$ urodzaju. Najznakomitsze wyniki jednakże dał rok 1931, kiedy bardzo zły urodzaj nie obniżył ilości rekwirowanego u włościan zboża, zebrane zboże w tym roku wynosiło zaledwie $^1/_3$ część urodzaju.

Pomimo rekwizycji u chłopów ogromnej ilości ziarna rząd sowiecki nie zarzucił racjonowania chleba. Ludność miejska i nadal otrzymuje chleb w bardzo skromnych porcjach. Natomiast rząd wznowił eksport zboża dla pokrycia ogromnego przywozu maszyn, niezbędnych dla industrjalizacji. Po dwuletniej przerwie władza sowiecka wywiozła z urodzaju 1929 r. $2^1/_4$ milj. podw. centn., z urodzaju 1930 r. — 6,2 milj., co wynosiło 60 % przedwojennego wywozu, a z urodzaju 1931 r. — 4,5 milj. Tak dużego eksportu zboża, jaki dał rok 1930/31 i 1931/32, nie było po rewolucji.

Lecz rekwizycja u chłopów zbiorów za fikcyjne wynagrodzenie w postaci pieniądza, który stracił swą wartość, jest to droga, która doprowadziła już raz Rosję do strasznej katastrofy w roku 1921/22. I otóż są oznaki wskazujące, że gospodarstwo rolne i teraz rozwija się w tym niebezpiecznym kierunku. Jesienią 1931 roku był wydany cały szereg zarządzeń co do najbezwzględniejszego zbierania kontyngentu zbożowego. I dopiero 17 lutego 1932 roku, gdy „chlebozagotowki" były ukończone, zostało ogłoszone zarządzenie, z którego uwidoczniało się, iż we wschodnich okręgach niema ziarna dla zasiewu i dla aprowizacji. Miejscowym kołchozom, w których był tylko co zebrany kontyngent zbożowy, udzielono pożyczki w ilości 6 milj. pod. centnarów. Okazywania pomocy indywidualnym gospodarstwom rząd nie uważa za swój obowiązek. Nie przyszedł też rząd z pomocą i Ukrainie, gdzie zebrany był ogromny kontyngent i w rezultacie zimą 1932 roku położenie się tam zaostrzyło do prawdziwej klęski głodowej.

Lecz wyjątkowo groźną dla przyszłości rolnictwa jest apatja, w którą wpada skolektywizowane włościaństwo. Ludność nie uważa gospodarstw kołchozów za własne. Ludność nie troszczy się o zbiory i tak źle dogląda bydła, należącego do kołchozów, iż ono ginie, a siew często bywa tak opóźniony, iż staje się ryzykownym. Nigdy pola w Rosji nie były tak zanieczyszczone, jak obecnie. Najbardziej charakte-

rystycznym jest stosunek urodzaju do zbiorów. Już w 1930 roku prasa sowiecka zaznaczała dziwne zjawisko, iż 15 % zbiorów nie sprzątnięto z pola. Objaśniano sobie ten fakt tak obfitym urodzajem, że nie zdołano go na czas zebrać. Lecz przed kolektywizacją takiego zjawiska nigdy nie było, ludność zawsze miała dostatecznie siły roboczej, aby zebrać plony. Otóż w r. 1931 urodzaj był zły, można było się spodziewać, iż urodzaj tym razem będzie zebrany całkowicie. Lecz, jak widać z raportów Komisji Kontrolnej Partji, na polach zostało od 10 do 15 %, a czasem 40 %.[1]) Fakty te uwidoczniają rozpacz, jaka ogarnęła ludność.

Do wiosny 1932 roku stan stał się o tyle groźnym, iż wywołał nawet pewien kryzys w polityce sowieckiej. Chcąc zachęcić włościan do energiczniejszej pracy przy zasiewach, rząd obiecał zmniejszyć rekwizycje o 20 proc. do 18 milj. jak również zmniejszyć zbiórki wszelkich innych produktów rolnych. Prócz tego po wielu latach surowych prześladowań handlu wreszcie pozwolono włościanom po dokonanej akcji rekwizycyjnej sprzedawać swobodnie na targach pozostałe produkty. Lecz ten zwrot nie wywarł już wielkiego wrażenia na włościan. Mimo pomyślnych warunków meteorologicznych, obszar zasiewu 1932 roku był niższy, aniżeli w roku poprzednim i urodzaj był znowuż zły. Po zebraniu urodzaju 1932 r. głód nietylko nie osłabł, lecz przeciwnie zaostrzył się. Rekwirowanie zboża u włościan, chociaż w zmniejszonej ilości, napotkało na silny opór. Ma się wrażenie, iż chłop walczy o ostatni kęs chleba, który władza mu chce wydrzeć. Członkowie kołchozów poczęli kraść zboże z pola. Musiano wysłać na Kaukaz i Ukrainę ekspedycje karne dla rekwizycji zboża.

W mowach wygłoszonych 7 i 11 stycznia b. r. główny inicjator kolektywizacji przymusowej, Stalin, musiał wyznać, iż tymczasem „kołchozy i sowchozy nie rentują się". Jednakże to nie pobudza go wyrzec się swego ulubionego dzieła. Mowa Stalina dyszała gniewem i wzywała do rozprawy terorem. Niepowodzenia kolektywizacji winni są przedewszystkiem kułacy i inteligencja. Na rozkaz OGPU z dn. 11 marca

[1]) *Prawda* 11. II. 1932.

35 wybitniejszych agronomów rozstrzelano, a 40-u wrzucono do więzień. Czego im nie zarzucano! Posądzano ich o psucie maszyn, podpalanie maszyno-traktornych stacyj i nawet o umyślne zanieczyszczanie pól.

Na podstawie obwieszczenia z dn. 7 sierpnia 1932 roku wszelka kradzież mienia kolektywnego, a w szczególności zboża z pól, ma być karana śmiercią. We wszystkich maszyno-traktornych stacjach i sowchozach zorganizowano oddziały polityczne, które śledzą za wyborami należytego personelu do zarządów, za należytem wypełnianiem rozkazów rządowych i w szczególności za dokonywaniem zbiorów i mają prawo urządzać „czystkę" członków. Wszelka praca niedbała kołchozników winna być surowo karaną, nawet można ich rozstrzeliwać. Te wybryki bezgranicznego teroru to najlepszy dowód bankructwa kolektywizacji.

Wnioski.

Obecna polityka włościańska, jako zupełnie nie wiodąca do celu, winna być zlikwidowana i będzie zlikwidowana. Lecz całkowita likwidacja tego przedsięwzięcia władzy sowieckiej nie byłaby skuteczną, owszem wytworzyłaby trudności i nawet nie odpowiadałaby interesom włościan.

Zmniejszenie nacisku władzy doprowadziłoby prawdopodobnie do masowego rozpadu kolektywów, jak to już miało miejsce wiosną, 1930 roku. Lecz tutaj należy odróżnić dwa typy kolektywów: Większa część kolektywów (prawie $^3/_4$) nie została zmechanizowana. Posługują się one poprzednim swym inwentarzem włościańskim i gospodarka ich zasadniczo się nie zmieniła. Wskutek czego i ich rozpad na gospodarstwa indywidualne nie napotkałby na znaczniejsze trudności.

Inna jest sytuacja w znacznej części kołchozów w okręgach stepowych, gdzie już jest wprowadzona mechanizacja. Mechanizacja bezwątpienia wywołała doniosłe zmiany w dawnych sposobach gospodarki. Dawny żywy i martwy inwentarz okazał się w znacznej mierze zbędnym. Powrót do indywidualnej gospodarki dawnej formy jest w danym razie połączony z ogromnemi trudnościami. Pomijając wszystkie ujemne strony używania traktorów, dodatnie strony uprawy

ziemi traktorami w warunkach okręgów stepowych są tak widoczne, o ile prawidłowo rzecz jest postawioną, iż włościanom nie łatwo będzie tego się wyrzec. Zgadzają się też oni raczej na częściowe ograniczenie swej samodzielności, aby tylko móc korzystać z traktorów. Dlatego też staje się tutaj aktualne wynalezienie jakiegoś sposobu przekształcenia kolektywów.

Zadanie polega na tem, aby wspólne gospodarstwo ze wszystkiemi swemi niewygodami w dziedzinie rolnictwa ograniczyć do minimum, nie wyrzekając się przytem wspólnej uprawy ziemi traktorami. To zadanie staje się możliwem do wykonania na rosyjskim przez rewolucję wzburzonym gruncie. Pod tym względem już raz była dokonaną dodatnia próba.

Wielokrotne eksperymenty władzy, by stworzyć spółdzielnię produkcyjną, początkowo pozostawały bez skutku. Rząd w tej dziedzinie doznał porażki. Jeśli jednak rząd odważył się podjąć zimą 1929/30 roku ogólną kolektywizację miljonów rodzin włościańskich, to myśl ta nasunęła mu jedną pomyślną próbę wspólnej uprawy chłopskich nadziałów, która była przedsięwzięta nie w ramach spółdzielni produkcyjnych, lecz przez t. zw. stacje maszyn i traktorów agronoma Markiewicza.

Był to godny uwagi eksperyment. Markiewicz zarządzał majątkiem państwowym „Szewczenko" w okręgu Odessy. Skoncentrował on w tym majątku przeszło 100 traktorów i różne inne maszyny w ilości znacznie przekraczającej potrzeby tego gospodarstwa. I otóż Markiewicz zrobił sąsiednim wsiom następującą propozycję: stacja maszyn i traktorów podejmuje się uprawy ról i wszelkich robót, związanych z uprawą zbóż, aż do młocki włącznie. Gromady chłopskie obowiązują się dostarczyć niezbędnej siły roboczej. Za swoją pracę stacja pobiera 25 proc. zimowego i 30 proc. jarego zboża. Ponieważ stacja uprawia pola na czas i lepiej niż chłopi, to spodziewać się należy, iż osiągnie ona odpowiednie nadwyżki. Chłopi mogą trzymać mniej koni i w ten sposób zaoszczędzoną paszą mogą karmić trzodę. Zaoszczędzona praca rolna może się przydać w innych gałęziach rolnictwa lub znaleźć zastosowanie w przemyśle. Przy takiej

organizacji chłopi pozostają samodzielnymi rolnikami. Do ich dyspozycji pozostaje 70—75 proc. ilości zboża, cała słoma i plewy, część gruntów przeznaczają pod rośliny okopowe i pod ogrodowiznę i uprawiają samodzielnie, posiadają swoje bydło, swój ogród i budynki mieszkalne i gospodarcze. Najważniejsza rzecz, iż swobodnie rozporządzają swoją siłą roboczą poza pracą, związaną z działalnością stacji.

Propaganda Markiewicza spotkała się z powodzeniem śród chłopów. 26 wsi z 24.000 hekt. dobrowolnie zawarło kontrakt ze stacją maszyn i traktorów. Przykład Markiewicza wzbudził powszechną uwagę. W cieszącej się niezwykłem powodzeniem książce „Stacje maszyn i traktorów" autor jednakże uprzedza, że jest to rzecz nader skomplikowana, wymagająca nietylko wyborowego kompleksu maszyn, lecz i specjalnego przygotowania ludności.

Doświadczenia stacji traktorów Markiewicza wykazały, iż przy pewnych warunkach nie jest niemożliwem poruszyć włościaństwo, połączyć ich nadziały i zaprowadzić planową uprawę. Było to dla panującej partji wielce obiecującą wskazówką. Przymusowa kolektywizacja była spaczeniem idei Markiewicza. Podczas, gdy Markiewicz pozostawia samodzielność i samoodpowiedzialność chłopstwa, rząd właśnie chciał ją zniszczyć. Dobrowolna zgoda była zastąpiona przymusem. Kolektywizacja była zarządzona bez względu na mechanizację.

Obecnie byłby pożądany powrót do planów Markiewicza. Należałoby przekształcić maszyno-traktorskie stacje w spółdzielnie. Byłyby to wielkie maszynowe spółdzielnie, znacznie głębiej, niż zwykle takie spółdzielnie, przekształcające podstawową produkcję rolną.

Taki rozwój byłby zgodny z zasadniczym nastrojem rosyjskiego chłopstwa. Zbyt duże rozdrobnienie rosyjskiego rolnictwa było przed rewolucją jego główną wadą i po agrarnej rewolucji położenie pod tym względem się nie polepszyło, lecz raczej pogorszyło. Dwa razy dokonało się kapitalistyczne zróżniczkowanie wśród chłopskiej ludności; raz przed wojną pod wpływem prawodawstwa Stołypina, drugi raz w o wiele skromniejszym zakresie podczas polityki NEP'u. Dla gospodarstwa, jako całości, były to czynniki

dodatnie, lecz stały one w sprzeczności z duchem wspólnoty gromadzkiej rosyjskiego chłopstwa. W obydwu wypadkach przebieg tej akcji został przerwany. Przyznać należy, iż było to spowodowane częściowo zewnętrznemi czynnikami: po raz pierwszy wybuchem wojny, po raz drugi zwycięstwem w kraju komunizmu. Lecz nie będzie też nieprawdą, gdy dodamy, iż nastrój chłopstwa zaważył także w tym wypadku.

Obecnie włościaństwo rosyjskie stoi przed zadaniem oswojenia się z nową mechanizacją. Mogłoby to doprowadzić do silnego zróżniczkowania masy włościańskiej, które byłoby w sprzeczności z duchem wielkiej rewolucji agrarnej 1918 roku, którą za czysto chłopską uważać należy. Stacje maszyn i traktorów stwarzają sposób stosowania wyższej techniki, który jaknajlepiej uzgadnia się z dążeniami rosyjskiego chłopstwa do równości. I przytem to przekształcenie, przy którem samodzielność włościańska, aczkolwiek jest ograniczoną, zostaje wszakże zachowaną, jest pozbawione tych cech gospodarki kolektywnej, które są tak wstrętne dla chłopstwa i szkodliwe z punktu widzenia gospodarczego. Tego rodzaju rozwój nie powstrzyma stopniowego różniczkowania się włościaństwa, celowego z punktu widzenia gospodarstwa narodowego; lecz stanie się ono mniej bolesnem.

Idea kolektywizacji nie ma przyszłości ani w Rosji, ani gdzieindziej. Inaczej rzecz ma się ze stacjami maszyn i traktorów. Ich zasady zasługują na ogólną uwagę. W Niemczech już poczęto robić próby zastosowania tej idei do warunków wsi niemieckiej, aktualnem byłoby i w innych krajach rozpocząć to doświadczenie.

Lecz nie powinniśmy się łudzić. Polityczne warunki Rosji dotychczas nie stworzyły możliwości spokojnej ewolucji gospodarstwa narodowego. W polityce Sowietów kiełkują zarodki nowych wstrząsów, których rozmiarów i charakteru obecnie niepodobna jeszcze przewidzieć.

(Berlin) *Prof. Borys Bruckus.*

Klasyczny laur Norwida.

(Dokończenie).

IV.

Oba utwory pogańsko-chrześcijańskie, t. j. *Słodycz* i *Dwa męczeństwa,* powstały niejako na marginesie największego poematu antycznego Norwida p. t. *Quidam,* którego problem, jako aktualny, ujmuje pytanie amerykańskiego listu do M. Trembickiej (z maja 1854): „Co będzie z przyszłością chrześcijaństwa, któremu żywe dotąd pierwiastki izraelskie, greckie i rzymskie nie pozwalają „w świadomej siebie rzeczywistości triumfalnie rozbłysnąć?" — Najgłębszą treść tych trzech pierwiastków wydobył z przypowieści „bez intrygi i węzła dramatycznego", uczyniwszy jej „bohaterem" anonimowego Greka, syna Aleksandra z Epiru i barbarzynki iliryjskiej, który przybył do Adrjanowego Rzymu celem zdobycia prawdy. Szukał jej u filozofa greckiego, Arthemidora, poetki greckiej, Sofji, i maga żydowskiego, Jazona — i nigdzie nie znalazł. Dopiero na jego zwłokami wyciągnęły się błogosławione ręce chrześcijanina Gwidona.

W świetle argumentum wierszowanego (u Przesmyckiego w Przypisach do t. A. str. 1072) i komentarza listownego (w Przedmowie autora) problem Quidama i jego ucieleśnienie w żywych osobach są proste i jasne. Inaczej rzecz się przedstawia czytelnikowi, który niezawsze może uchwycić nić przewodnią rozmaitych dyskusyj, a więc i ich celowość w ramach jednolitego dzieła sztuki. Ramy te tworzy mimo programowej abnegacji (uprzedzającej teorję najnowszej powieści realistycznej, jako przedstawienia objektywnej rzeczywistości życia, komponowego samorzutnie, w sposób nie-

wymuszony i wiarygodny [1]) — pewna fabuła, stanowiąca o losach osób, a ta fabuła niemniej się rwie, jak wątek dyskusyj. Poeta, operujący w rekonstrukcji dawnych czasów wspomnieniami — ze źródeł, [2]) nie zdobył się na wystarczającą selekcję nagromadzonego materjału, a czego nie mógł umieścić w tekście, przytoczył w przypisach. A i tego było mu za mało, jak widać z przypisu o *fascinatio* (str. 672 Przesm.). Wymaga on tu od czytelnika, by „bliżej był obznajomiony z treścią żywota społeczeństw starożytnych, czego literalnie książek samych czytanie, bez czytania pomników sztuki niepisanej (t. j. architektury, rzeźby, malarstwa, przemysłu artystycznego) i żywotów współczesnych, o ile są tradycjonalnemi (t. j. o ile podają tradycję współczesną, bo chyba nie dawniejszą) nie nauczy". Taką znajomość antyku zamierzał poeta dać w przypisach, ale że „dopiski tak szerokie mogłyby być zanadto mnogie", zostawił je „uwadze i studjum czytelnika", chociaż niezupełnie, bo w samym tekście poematu jest dużo ustępów, zastępujących przypiski. Wyłuszczymy je w toku analizy.

Nie dając bohaterowi imienia, dał mu przecież poeta wyraźną fizjognomję: Po ojcu; Aleksandrze z Epiru, wziął profil „z greckich medali", po matce (Iliryjce, a więc barbarzynce) „skroń nabrzmiałą siłą — i włos mniej ciemny i usta z korali". Jeżeli Rzymianie jeszcze za cesarstwa jeździli na studja do Aten i Aleksandrji, to ten Grek udał się na studja do Rzymu Hadrjanowego. Po roku nauki u gramatyka rzymskiego, chyba nauczyciela języka i wymowy rzymskiej, wybrał się z nim do „świątnicy mądrości", Arthemidora z Koryntu (postać to fikcyjna zawdzięczająca swe imię, pisane niepotrzebnie przez th, przyjacielowi Plinjusza Mł. Epist. III 11, za którego ten, gdy Artemidor poszedł na wygnanie, płacił długi. Może i wspomnienie autora zachowanego Sennika, A. z Daldis z drugiej połowy II w. po Chr. wpłynęło na wybór imienia). Wydawał on właśnie

---

[1]) K. W. Zawodziński, *Marja Dąbrowska, Przegl. Współcz.* XII nr. 130 (luty 1933), str. 230 i n.

[2]) Zbadał je odnośnie do osób dr. W. Dobrowolski w rozprawce, cytowanej na początku tego studjum.

w iluminowanym ogrodzie biesiadę na cześć poetessy Zofji z Knidos (jedyną znaną grecką poetką, która w zachowanej odzie wielbi Rzym cesarski, Melinno, dziś odnosi się do I połowy w. II po Chr.; dawniej uważano ją za rówieśną Hadrjanowi), Greczynki, wychowanej w Rzymie. W innych czasach byłaby ona może, zdaniem przyjaciół, Sybillą, prorokinią; wtedy była tylko kobietą, „czasów własnością — natchnieniem smaków ich z bezświadomością" t. j. odzwierciedlała nieświadomie ducha i smak czasu. Przy wzmiance o końcu uczty poeta charakteryzuje bliżej Arthemidora, jako zaufanego doradcę Hadrjana, [1]) ale przytem człowieka wolnego „jak atomy". Najmniej znali go jego domownicy. A był to filozof „szkoły własnej", która „posady (t. j. podstawy, zasady) nie mając zbyt jasnej, — utrzymywała się w całości ścisłej — przez solidarnie ukrywaną próżnię". A więc cechą filozofji greckiej za Hadrjana miała być jej wewnętrzna pustka! Z listu Epiroty dowiadujemy się później, że Arthemidor był filozofem cynicznym [2]) (cynicy za cesarstwa tylko żebraczem życiem różnili się od stoików, których zasady etyczne podzielali). Zgadza się z tem zachowanie jego „ulicznych czcicieli", odmalowanych barwami — Lucjana. Sam mistrz nie nauczał jednak na ulicach; przeciwnie, był wykwintnym dworakiem. Wobec odmówienia mu jakiejkolwiek dogmatyki, jakże on może reprezentować pierwiastek grecki w kulturze rzymskiej za Hadrjana? Reprezentował go godnie (nieco wcześniej) stoicki cynik Muzonjusz, zresztą pochodzenia rzymskiego, a przedewszystkiem stoik Epiktet z Hierapolis, wypędzony z Rzymu w r. 89. Ale ich Norwid pominął. A że i poetka Zofja, nazwana

[1]) Spartianus, *Vita Hadr.* 16 pisze: in summa familiaritate Epictetum et *Heliodorum* philosophos... habuit... prae ceteris... eminente Favorino.

[2]) Tu należy przypomnieć, że Norwid w rozprawie p. t. „Milczenie" (*Czarne i białe kwiaty,* str. 214 Zrębowicz) podziwia (znane mu Diog. Laert.) powiedzenia cynika Diogenesa, jako jedyne z mądrości starożytnej, które wybrzmiewają nam do dziś jako utwory współczesne. Nazywa go „hamletem filozofji", mówi „o planetarnej wartości wielkiej Dyogenesowej gwiazdy", dotąd nieocenionej, i sądzi, że na nim zamyka się filozofja „heroiczna" (zaczynając się od — Ajschylosa). Arystotelesa już do niej nie zalicza. — W tem świetle nazwanie Artemidora — cynikiem nabiera pełnej treści.

w liście do Z. K. ruiną „całej jednej świątyni wiedzy", nie wyraża nic charakterystycznego dla poezji greckiej, przedstawienie pierwiastka greckiego redukuje się do wtrąconych w poemat uwag samego autora.

Po uczcie u Arthemidora Zofja, wróciwszy do domu odczytała „zwitki (t. j. *volumina*)..., które przez trafunek — pomieszał sługa z przenośnym ciężarem" (skrzynki z kości słoniowej). Był to pamiętnik Epiroty, zgubiony przez niego (zdaje się w pobliżu domu Arthemidora) i przypadkiem przyniesiony z rzeczami. Zaczynał się od apostrofy do mądrości, *sophia,* więc ostatecznie mogła się uważać za adresatkę i czuć uprawnioną do przeczytania.

Autor pamiętnika, przedstawiwszy, jak trudno zdobyć mądrość w Rzymie, wyrażał nadzieję, że jak w Atenach obok mądrości Solona zabłysła mądrość Scyty, Zamolksisa,[1]) tak w świetnym Rzymie może ostoi się i on, przeznaczony na obudziciela Epiru (jego Pigmaliona). Nadzieje jego przybierają charakter Irydionowy, skoro sięgają aż do oglądania — pożaru i upadku Rzymu. Taka w nim żarzy się chęć pomszczenia Grecji i Koryntu (ojczyzny Arthemidora), zburzonego niegdyś przez Memmiusa. Ale ten rys mścicielski, Irydionowy, znika w dalszym ciągu powieści, jakby był rudymentem innej koncepcji poematu. Sam piszący czuje, że go rymy (a więc pamiętnik pisał wierszem) poniosły za daleko i przypomina sobie ostrzeżenie starej żebraczki, Sybilli, by strzegł się „echa słów" (t. j. rymów, ale i rymopisek!) i nadmiernego picia wina. Wzmianką o wczorajszej wizycie u Cynika (Arthemidora), którego dotąd nie wyrozumiał (jak nie wie jeszcze, co to są Żydzi i Chrześcijanie) kończy się zwitek siódmy, odłożony przez Zofję na kiedyindziej. Narazie pragnie poznać nieznanego autora.

Trudno nazwać zręcznym literacko pomysł zaznajomienia Zofji z Epirotą zapomocą odczytania jego pamiętnika, który się przypadkiem dostał do jej ręki. Ale czyż w życiu niejedna dama nie interesuje się autorem czytanej właśnie

---

[1]) O nim w wierszu „Deotymie odpowiedź II" (Pisma Zebr. A. 448 n) opowiada jako o przyjacielu Solona to, co Diogenes Laertios (I 8, 4) podaje o Scycie — *Anacharsysie.*

książki? Tego rodzaju „życiowe" przypadkowości spotkamy i w dalszym toku. Niektóre, jak śmierć bohatera, będą programowe, ale inne trzeba położyć na karb braku ekonomji kompozycyjnej. Zauważyliśmy go już w *Tyrteju, Epimenidesie, Dwóch męczeństwach,* a jest on bardzo charakterystyczny dla całej twórczości Norwida. Pogoń za zbytnią subtelnością prowadzi go aż do prymitywności.

Przypadek styka Epirotę z ludźmi, dręczonymi przez władze rzymskie za uchylanie się od kultu cesarza, z chrześcijanami, o których nic dotąd nie wiedział. Szedł właśnie ulicą z gramatykiem (rzymskim), jakby z owej biesiady u Arthemidora, gdy mu pod Kapitolem zatamował przejście wojskowy poczet konny, konwojujący trzech więźniów. Wśród tłumu odzywały się domysły, że to żydzi czy chrześcijanie (Rzymianie za Tacyta i Swetonjusza uważali wyznawców Chrystusa za sektę żydowską), a jeden z nich, to jakiś apostoł, zwany Gwido (od włoskiego guida, przewodnika) lub *Quidam* (ktobądź, jak bohater znanego misterjum *Hekastus*, Jedermann).

Nim się czegoś więcej o nim dowiemy, prowadzi nas autor z Arthemidorem do domu Zofji, która pragnie z nim udać się do jakiegoś maga po lekarstwo na jej chorobę (nie wiemy jaką). Dopiero po odejściu tej greckiej pary, wracamy do więźniów, postawionych już przed sądem pretora, i słuchamy aktu oskarżenia o nieuczczenie święta cesarskiego, i zeznań świadka, na którego donosie oparto oskarżenie. Główny oskarżony, Gwido, przemawia śmiało: „Nikt z nas nie wierzy w bóstwo Cezarowe, — bo Cezar nie jest też od Apollina, — Jowisza, Bacha roślejszym o głowę, — a że ci byli ludźmi, nie nowina". — Tak ignorując różnicę między kultem cesarza a kultem bogów, powołuje się Gwido, za przykładem pierwszych apologetów chrześcijaństwa, na euhemeryzm, objaśniający powstanie religji — historycznie, jako czci oddawanej zmarłym dobroczyńcom ludzkości; ale przecież na podstawie euhemeryzmu cesarz, uznany za dobroczyńcę a nawet zbawcę *(Sofer)* ludzkości, miałby prawo do czci boskiej. Gwido, odmawiając czci boskiej — posągowi cesarza, nie chce go poniżać, ale właśnie daje wyraz, że ceni go bardziej niż ci, co uwielbiają jak Boga wszelkie

incognito. — Mowie Gwidona położyło kres wyczerpanie z głodu. Epirota kupił mu chleba. Wezwanie Gwidona, skierowane do pretora, by sobie wzięli jego posilone ciało i odesłali sprawę do sądów wyższych, kończy scenę sądową, której możnaby przypisywać jakieś znaczenie symboliczne (Grecja posiliła fizycznie chrześcijaństwo), gdyby Epirota mógł uchodzić za pełnego reprezentanta Grecji. Ale on jest tylko niedoszłym uczniem Greków.

Po skończeniu rozprawy Epirota przyłączył się do towarzysza Jazonowego, Barkhoba z Judei (wchodzimy w towarzystwo, znane Norwidowi z *Wojny żydowskiej* Flawjusza Józefa), by razem z nim pójść do mistrza. Po drodze spotkali służebną Zofji, starą Egipcjankę z koszem w ręku. Bogaci Rzymianie nie zwracali na nią uwagi „i ledwo dostrzegł jaki Grek, atoli Grek — gdy postradał Grecję, więc, co boli, — nie mając ziemi, zna, że gdy brak kraju, — ojczyzna dwakroć większa sięga raju". Współczucie kieruje wzrok Epiroty do — kosza Egipcjanki. Na dnie spostrzega — pisma własne, więc ów zgubiony pamiętnik, odczytany przez Zofję, a teraz odsyłany właścicielowi (widocznie adres był podany) z kwiatami.

Nim Epirota przybył z towarzyszem do domu Jazona, bawiła tam już z Arthemidorem Zofja jako pacjentka. Sugerowanie jej przez Maga, że już się czuje lepiej; wezwanie jej, by na nowiu doniosła o zupełnem wyzdrowieniu i prośba, skierowana do Arthemidora, by nie pozwalał chorej zadużo czytać i czuwał nad doborem autorów, stanowi treść tej sceny lekarskiej, mającej ilustrować leczenie nerwowo chorych zapomocą sugestji. Z Epirotą łączy ją Norwid w ten sposób, że każe Magowi opowiadać o wizycie jakiejś damy, za którą szedł lektor (Arthemidor), a dalej — autor, co Zofji wydało się wizją jej przybycia i drogi Epiroty.

Tego spotyka po swem wyjściu od lekarza. Epirota rozmawiał z towarzyszem o Gwidzie, że „poniósł głowę pod topór może", a te przypadkowe słowa, wzięte za jakąś wróżbę, wywołały zamieszanie w całem towarzystwie, jakgdyby w ówczesnym Rzymie panowało jakieś prześladowanie. — Tak scena w domu i przed domem Jazona nie wnosi w obraz Rzymu Hadrjanowego (ani w akcję) nic charakterystycznego.

Jakby w poczuciu tego autor umieszcza teraz ekskurs o Grekach w Rzymie:

> To już dwa wieki od Grecji pogrzebu,
> gdy biały duch jej podniósł się ku niebu —
> w szlaki dokonań, dzielone na stacje
> gwiazdami dziejów, między konstelacje:
> i stał tam z lirą w przestronnym lazurze...

Grecy znali przemiany w gwiazdy pewnych zmarłych osobistości, których dusze obierały tam siedzibę. Norwid posyła między konstelacje ducha Grecji i umieszcza go, jako ducha poezji, w Lirze. „Szlaki dokonań", po których ów duch wzniósł się do nieba, to droga czynów, historja, a „gwiazdy dziejów", dzielące tę drogę na stacje, to chyba wielkie osobistości historyczne, idące po śmierci (jak wykłada za Pozydonjuszem Cycero w *Somnium Scipionis*) na gwiazdy. Z tych siedzib wracały one po „wielkim roku" kosmicznym na ziemię, by w nowych ciałach prowadzić dalej swój naród w górę... Coś z tej myśli o palingenezie (tak ulubionej Słowackiemu i Wyspiańskiemu) pobrzmiewa w dalszych wierszach Norwida o owym duchu Grecji, który czeka, „aż Grek ostatni przymiotem lub winą — zginie i myśli same się rozwiną, — wpisując w tejże porządek litery, — ile są wieczne, Greków drugiej sfery, — zrodzonych może u krańców północy, — co, jak rodzeństwo, zbiegną ku pomocy". Przypisek o — Byronie, który „w kilkanaście wieków jedzie służyć sprawie greckiej" dowodzi, że poeta myślał o powstaniu nowogreckiem. Pomagali w niem — filhellenowie, wpisani „w tejże porządek litery", litery, zaczynającej imię Hellady... Ostatnie objaśnienie jest niepewne, ale też cały ten ekskurs o Grecji nie odznacza się jasnością.

Narazie, za Hadrjana „sto razy na dzień bok duchowi przeszył — greckiemu rzymski, w swe go strojąc ciało". Motyw ten znamy już z „Listu do Łubieńskiego" w związku z Cyceronem, przemawiającym po grecku. Tu on tem mniej jest na miejscu, że właśnie za Hadrjana filhellenizm święcił triumfy nawet w używaniu przez Rzymian greczyzny w literaturze, tak, że to raczej duch rzymski mógł się skarżyć na strój grecki. Grek (wywodzi poeta np. za Lucjanowem pismem *De mercede conductis*) bywał wtedy bibljotekarzem

szlachcica rzymskiego, czytywał mu Homera lub Arystofanesa (patrz *Słodycz*), wykonywał prace architektoniczne, stawiał łuki triumfalne, prawił młodzieży o Sokratesie, a wszystko to czynił z myślą o sławie mistrza, który „Tybru glinę — na posąg (Grecji) wziął, tak, że nie zaginie". Inni nie dbali o sławę Grecji i służyli pracodawcom — dla chleba, a gdy im było za ciężko, odbierali sobie po stoicku życie... Norwid myśli tu może o stoickiej nauce Epikteta, z której jednak Grecy mogli byli chyba więcej skorzystać niż to, że w razie przykrości można uciec przed życiem. A samobójstwa były charakterystyczne tylko dla politycznych oponentów rzymskich z pierwszych wieków cesarstwa. Wtedy to deklamatorzy greccy, tworzący tak zwaną drugą sofistykę, roznosili po imperium pustobrzmiące pochwały starej Grecji, a oklaskiwali ich — Rzymianie, wśród nich sam Hadrjan. A już najmniej o samobójstwie myśleli owi płatni sekretarze, lektorzy, filozofowie nadworni, którymi tylko konkurenci rzymscy pogardzali jako *Graeculi*. Odgrywali oni w Rzymie cesarskim podobną rolę, jak w Europie środkowej i wschodniej po rewolucji francuskiej rozmaici metrowie i labusie emigranccy: poza syty brzuch i pełną kieszeń nie wychodziły ich marzenia.

Po tym ekskursie greckim przybywamy z Barkhobą do Jazona, gdzie się toczy rozmowa o procesie Gwidona. Przyprowadzony przez Judejczyka Epirota oddaje mistrzowi pismo polecające od Arthemidora, ale prócz ogólników o zachowywaniu tradycyj narodowych przez różne ludy, podległe mądremu panowaniu cesarza, niczego więcej narazie się nie dowiaduje. Jazon bowiem spieszy się, by odwiedzić grecką poetessę (widocznie już zupełnie wyzdrowiała). Więcej niż ludzie mówią odprawionemu z niczem Epirocie — kamienie bruku, złożonego „z fragmentów różnych — jak smętarz". Ożyły bowiem i pytały:

> Skąd był? do czego złomkiem swym należał?
> I każdy z głazów tych, zdało się oku,
> że przypominał się znajdować w tłoku,
> wstrzymano, ale nie ówdzie, gdzie bieżał —
> Stąd niemy lament między temi bruki
> czułeś i różnych wytężeń splątanie...
> Szedł więc ostrożnie, jak wśród rzeczy żywych.

Jak żywego przeciwnika obrabia też ktoś pięściami i obelgami posąg Apollona na polance wśród drzew, a spłoszony przez nadchodzącego Epirotę (ten nie wiedział, czy ikonoklasta był żydem, chrześcijaninem czy warjatem?), uświadamia mu swym wybrykiem — przejściowość epoki, w której serce pragnie spocząć „na piersiach czyich lub progach kościoła jakiego".

Zdawałoby się, że taki spoczynek znajdzie u Zofji, u której go niespodziewanie spotykamy jako gościa, zaproszonego na biesiadę. Przybył przed innymi. Zofja uznała go za „bardzo przyjemnego biesiadnika" i z dwornym dwornie rozmawiała o sposobie przyjmowania gości. Ten temat zaprowadził ich do chrześcijan, „co popiołem — chleb posypując, zstępują aż na dno — całości człeka zbiorowego w czasie — i tam tykają prawd, tykając władną". Brzmi to jako uznanie dla chrześcijan, którzy zawładnęli jakąś prawdą współczesnej ludzkości. Pijąc zdrowie Zofji, przypuszcza gość, że podobny jak uczty los spotka mądrość: „czy ta się w oczach naszych nie pogrzebie — lub każdy mądrym będzie sam dla siebie?" Osobistą aluzję do zgubionego pamiętnika, który czytała była Zofja, zawiera przypomnienie elegji Propercjusza (III 23): *Ergo tam doctae nobis periere tabellae, — scripta quibus pariter toť pieriere bona.*

Dalszym wynurzeniom Epiroty staje na przeszkodzie przybycie nowych gości, eleganta rzymskiego Pomponjusza Pulchra (postać fikcyjna) i jego cienia, Florusa (nazwanego tak może przez pamięć o poecie, retorze i historyku współczesnym Hadrjanowi). I oni interesują się przyszłością sztuki przyjmowania gości, tembardziej, że Pulcher przybył właśnie zaprosić Zofję na biesiadę, by poruszoną kwestję rozstrzygnąć czynem. Doraźne „rozcinanie" trudności przywodzi na pamięć gordyjski węzeł Aleksandra W. i możliwości zastosowania tego wzoru do rozstrzygania trudności — filozoficznych. To „branie wzorów" z Aleksandra W. (niedarmo bohater *Quidama* jest Epirotą, więc poniekąd ziomkiem wielkiego Macedończyka) czyni przedmiotem zawiłego wykładu spóźniony gość, Arthemidor. Gdy skończył, Zofja poleciła służbie napełnić czary i przynieść lirę. Przy jej wtórze zaimprowizowała pieśń (trzy strofki czterowierszowe)

na temat pochodzenia czyjegoś stylu z Olimpu, „gdzie są obrysy światа" (t. j. idee platońskie). Dla wyrazistości dodaje, że przez styl rozumie, nie przyrząd do pisania na tabliczce, lecz głos mistrza „i co się zań przyjęło — w myśl i co krwią błysło na lica":

> Bo inna pojąć wzór, i całodźwięków tworu
> w poza — jawie słuchając, nad światy,
> samemu kwiatem wzróść, ku prawdzie pierwowzoru,
> a inna — wieniec wić — lub rwać kwiaty — —
> jak ja...

Według nauki Platona dusze w przedbycie żywiły się widokiem idej, (a więc syciły też słuch doskonałą muzyką (sfer), — uzupełnia Norwid), a spadłszy potem w ciała poetów, wznoszą się znów ku ideom na skrzydłach piękności. Zofja nie zalicza się do tych piewców idej; ona splata tylko wieńce z pięknych słów, powiedzielibyśmy jest liryczką — konwencjonalną.

Czy to poznanie czy jakieś inne wzruszenie sprowadziło bladość na jej twarz i drżenie do ciała, nie wiemy. Nie poznajemy też sądu Arthemidora o tej improwizacji, bo ledwie rozpoczęty dyskurs przerywa mu wysłaniec Maga z jakimś listem, a następnie goniec z listem od cesarza. Tajemnicą pozostaje też treść listów, bo chyba Jazon nie uwiadomił filozofa, że wysłał do Palestyny Barkhoba, a stamtąd przybył jego sobowtór, a cesarz nie doniósł mu, że kazał wykonać dwieście biustów Antinousa. A właśnie te dwie sprawy przedstawił poeta po opisie uczty u Zofji.

Słyszymy rozmowę rzeźbiarzy o owych biustach. Przechodzi ona w pochwałę Fidjasza, który „używał dłuta — tudzież marmuru, złota, kości, drewna", a „za cel nie brał swój — natury albo z drugiej ją połowy — zachodził, która że jest idealna, — więc nieskończona i niewyczerpalna, — i stąd mógł robić wieki, do dziś może". Do tej pracowni rzeźbiarskiej przybywa Pulcher z Florusem i aktorką Elektrą. W ich okrzykach: „Zeus! — Antinous! — Oto Zofji głowa! — pies Alcybiada! — Venus krótko-szatna!" (prócz tego ten i ów filozof i divus Imperator), możnaby widzieć repertuar rzeźby — realistycznej, gdyby wymieniony na początku Zeus nie wychodził poza niego. W każdym razie jak poezji Zofji,

tak i tej rzeźby z czasów Hadrjana nie można uważać za wyrazicielkę idej. Nie zapomniał też o malarstwie (niby pompejańskiem), opisując freski w gospodzie Epiroty.

Do tej gospody wnosi czyjś sługa („blady", t. j. wynędzniały) kosz kwiatów i zostawia go z jedynem słowem objaśnienia: *Quidam*, jakby to było jego (a pojawi się on jeszcze jako ogrodnik) podziękowanie za chleb. Ale prawdopodobnie są to te kwiaty, które stara Egipcjanka niosła z pamiętnikiem Epiroty od Zofji i oddała słudze gospodniemu. To pewna, że przy łożu Epiroty leżą teraz zwoje z dalszym ciągiem pamiętnika, streszczonego przez poetę: Epirota charakteryzuje w nich krótko obu mistrzów (Maga i Arthemidora), tudzież Pomponjusza i Zofję i uznaje konieczność cierpienia, „by nie zapomnieć, żeś żyw". Może to wspomnienie sceny sądowej i Gwidona. Cisza „nadobna" i spokój w mieszkaniu Epiroty dają poecie asumpt do podania także jego charakterystyki:

Nie chrześcijanin bowiem, nie poganin:
przez filozofji wpływ wątpiący może
o samej bajce olimpijskich tkanin,
tem mniej osoby wyznający boże.
W śmierć wierząc, jako w szczelnie zwarte wrota,
w miłości napój wiosenny i w wiedzę
matematyczną — i w dźwięk słowa: cnota,
blisko znaczący wyrazowi zdrowie
i wyrazowi siła.

Taka była wiara przeciętnego inteligenta z czasów cesarstwa, czy to był Grek czy Rzymianin. Norwid myśli o Rzymianinie, skoro cnotę *(virtus)* zestawia z siłami *(vires)* i zdrowiem jako rzymską *valetudo* od *validus* silny. Grecka *areté* inną miała parantelę. Ale i grecki wątek jest w charakterystyce bohatera: W przeczuciu „nieznanej doby" widywał on czasem „kraje wyobraźni, — gdzieś ponad groby i gdzieś poza groby — i czuł pogodę jakoby przyjaźni — w wiosennych wiatrach nieznanego kraju — i rytm, muzykę jakąś — obyczaju". Było to to samo (mówi poeta), czego potrzebę czuł Platon, spoglądając w niebo; co słyszał i pojąć zdołał, a „dać nie umiał, — wysłowić nieraz mniej, niż sam się zdumiał"... Tak zawile wyraził Norwid przeczucie nieśmiertelności duszy, wspominającej (według Platona) swą ojczyznę

w niebie. Wiara w wiedzę matematyczną, to także rys filozofji platońskiej, kultywowanej w owych czasach choćby przez Maksimosa z Tyru (Dissertationes), Albinosa (wstęp do filozofji Platona) i Apulejusza (o Platonie i jego dogmacie), by już pominąć Plutarcha. Niewiara w mity i ich bogów, to ogólna cecha inteligencji już znacznie wcześniejszej. W każdym razie *Credo* Epiroty nie jest bynajmniej charakterystyczne dla epoki Hadrjana, a jeśli je poeta przypisuje wpływowi filozofji, to nie Arthemidorowej, bo ten miał być Cynikiem, zresztą bez własnych zasad... Poco go zatem wprowadził jako mistrza filozofji, skoro się od niego Epirota niczego nie nauczył?

Po poezji, rzeźbie, malarstwie i filozofji ilustruje Norwid smak epoki w rozmowie cesarza z Arthemidorem (poto go więc wezwał cesarz listem, przyniesionym do domu Zofji podczas biesiady). Zamiłowanie Hadrjana w staroświeckiej literaturze, jego archaizm opisany jest w tekście i objaśniony w przypisku według biografji Spartjana (Hadrian, 16, 6). Z astrologicznemi zainteresowaniami cesarza (tamże, 16, 7) łączy się niby przypadkowe zapytanie o Maga. Nowy rys, filhellenizm cesarza (i epoki), wprowadza uwagą:

> Hellada! — wy ją znacie tak, z narowu,
> jam odgadł, ja ją podnoszę i leczę...

Bo Grecja, to nie kilka świątyń, nie sama poezja; to cała cywilizacja, której cesarz uczy ludy od Eufratu po Brytanję (a Hadrjan podróżował wciąż na Wschód, Zachód i Południe), pokazując im (czy w swoich mowach?) starą Helladę. Okrzyk Arthemidora: „przez nią jest światło", potwierdza cesarz, dodając, że niema go w Egipcie ani w Judei. W jej księgach czytał coś o ofiarowaniu Izaaka przez Abrahama (niejeden Grek czytał dla ciekawości Septuagintę). Ale „są, co byli dalej — w ofiarowaniu". Myśli przytem o ofierze Antinousa, co wynika z pytania: „azali Antinousa krwi nie poświęcono?"

Tej sprawie poświęca Norwid dłuższy przypisek, tłumacząc, że w rzeczywistości Adrjan w pojęciu ofiary Antinousa, najdroższej sobie istoty, nie porównywał się z Abrahamem, ale starał się ducha każdej prowincji (tu Judei) dociągnąć do siebie i sprostować. Immolacja Antinousa zaraz

po podróżach w Syrji i Palestynie miejsce miała. Stąd czuje się uprawnionym do hipotezy, że Adrjan „sprostował" ofiarę palestyńskę. Przyjmując ją, ignorował legendę, przekazaną przez znanego mu z lektury szkolnej Aureljusza Wiktora *(Caesares)*. Późny ten kompilator *(praef. urbi* w r. 389 po Chr.) donosi, że magowie obiecali Adrjanowi przedłużenie życia, o ile ktoś inny dobrowolnie śmierć za niego poniesie. Wszyscy zlękli się tego losu; tylko Antinous poświęcił swe życie za cesarza (rzucając się w nurty Nilu). — Gdy się zważy, że tacy poważni następcy Hadrjana, jak Antoninus Pius i Marek Aureli nie usunęli publicznego kultu Antinousa, coby byli zrobili, gdyby Bityńczyk był tylko — faworytem Hadrjana; i że ów kult utrzymał się aż do końca pogaństwa, musi się jego śmierć uważać za praktykowaną w Rzymie *satisfactio vicaria,* o której mówi tradycja Aureljusza Wiktora. Eros platoński unosił się nad tą parą przyjaciół. Nie można się więc zgodzić na takie objaśnienie Norwida, że „Adrjan nadużył zachwycenia zmysłowego dla osobistości Antinousa do tego aż kresu, który w licencji onej był już ostateczny; odwrócić więc mogło tak wysilone i przesilone uczucie — w ironję uczuć, w melancholję, a ta, jako religijny skrupuł, sama się w umyśle jego subtelnym upoetyzowała". To objaśnienie niemniej jest sztuczne, jak jego konkluzja: „Nieledwie zawsze adoracja dla człowieka przemienia się w przeciwne jej usposobienie; tak dalece nie względem człowieka uczucie to normalnem jest". W połączeniu z przypomnieniem ofiary Abrahama cały ten wywód zdąża do wykazania, że Adrjan adorował najpierw jak boga pięknego młodzieńca, a potem życzył mu — śmierci, a gdy ta (przypadkowo) nastąpiła, uważał ją za dobrowolną ofiarę, złożoną przez siebie. Ale nie ofiara, tylko ofiarnik zajął Norwida, który chwilowo zapomniał o zachowanych posągach Antinousa, niepokojących poetów typu — Wilde'a.

Od wzmianki o ofierze Antinousa wraca cesarz do Żydów i chrześcijan (ci, jak wspomniano, uchodzili wtedy za sektę żydowską) i zapowiada (zgodnie z historją), że dla zaprzeczenia ich naukom, bardzo mu niesympatycznym, wzniesie na miejscu świątyni jerozolimskiej przybytek Jowisza

Kapitolińskiego, a na miejscu „wykonania" Chrystusa świątynię Wenery. Do tych bóstw Żydzi i chrześcijanie powoli się przyzwyczają, gdy się uobyczają, przejmą kulturę grecką: „Cóż, czy nie kocham Hellady?", powtarza cesarz, podejmując wstępne zdanie rozmowy, a poeta, widząc w jego „doktrynerstwie" (objaśnionem przypiskiem) mimowolne świadectwo, oddane duchowi chrześcijaństwa, przechodzi do natchnionego porównania sztuki pogańskiej, czysto formalnej, z chrześcijańską, równie doskonałą a nawet doskonalszą w formie, a wyższą w duchu:

> Czekaj z Wenerą twoją w Betlejemie,
> aż wół i Łukarz i te Rafaele
> przyjdę — położyć się czołem na ziemię,
> wdzięki waszego zniósłszy ideału,
> nie ukazami, lecz twórczo, pomału
> tak, żeby Fidjas przed familją świętą
> Rafaelową stanął, a Jupiter
> świętego Pawła głowę baczył ściętą,
> spokojną...

Już ostatnie zestawienie jest dziwaczne. Cóż dopiero dalsze: Merkurego, jako boga słowa (Logios) z drukiem (żeby choć z Gutenbergiem), Neptuna z Kolumbem, Pallady z Joanną d'Arc, Herkulesa z wynalazcą pary (Wattem), Eskulapa z Mojżeszem przy wężu miedzianym... Zdaniem Norwida przy tych spotkaniach siły bóstw pogańskich doszłyby do mimowolnej spowiedzi (t. j. samopoznania) i zniknęły, zostawiając „rząd i pył nierządny". Dlaczego rząd?

Dopiero przez tę antytezę sztuki pogańskiej i chrześcijańskiej, a zarazem ich wartości kulturalnych, siły, działające w epoce Hadrjana, uległy zbilansowaniu. Ujemny wynik bilansu przenosi poeta na Epirotę, który, wracając w nocy do swej gospody, czuje „zwątpienia czczość" i własny ciężar. Gdy chłodna woń kwiatów (przysłanych przez Zofję) orzeźwiła mu twarz, „jakoby chustę, pot ocierającą, — rzucając" (niby chustę św. Weroniki), mimowoli wspomniał twarz cierpiącą Gwida, słabnącego „przed twardym sądem ludzi bez sumienia", ale to wspomnienie pierzchło przed ciekawością, od kogo kwiaty. Nie zaspakajając ciekawości, objaśnia poeta przyczyny „czczości" bohatera: Epirota szukał prawdy i mądrości, a jego pragnienie było silniejsze, niż

w dzisiejszych czasach, choć „sama radość prawdy Sokratowa" istnieje i dziś, tylko gdzieindziej. A położenie jego było tem trudniejsze, niż dzisiejszych poszukiwaczy prawdy, że nie znał jeszcze skarbów tradycji, dziś udzielanej od kołyski; tem łatwiejsze, że nie znał też „zbójców ducha", co „nieraz mędrca rękoma obiema rwali,... by wiedzy dostać bez własnego trudu". A więc ułatwienie w postępie widzi w tradycji rodzinnej, przekazującej dziecku obyczaje i wierzenia chrześcijańskie, utrudnienie w bezkrytycznem przejmowaniu przez dorosłych gotowych systemów. Czczość Epiroty (sądzi poeta) byłoby może odgadło (a raczej wypełniło) serce kobiece, ale kobieta była jeszcze niczem, czy jako żona — w wielożeństwie, czy jako luźna zalotnica... Odnowiwszy wspomnienie Zofji, Epirota wysypał z kosza kwiaty na łoże i zasnął.

Na drugi dzień spotykamy go przy łożu chorej Zofji. Prawi wobec śpiącej o mnożeniu cierpień przez nas samych i wychodzi, niezauważony przez śpiącą. Obudziła się, gdy ktoś za oknem zanucił kilka wierszy Iljady i wyraziła zadowolenie, że sobie poszedł, bo ona niezdrowa.

Niezdrowiem też usprawiedliwiał Pomponjusz obojętność wobec Elektry, zazdrosnej o Zofję. Rozmowę ich o Zofji przerwało przybycie Florusa z wieścią o wybuchu wojny żydowskiej. Pomponjusz tłumaczy niepokoje w Judei tem, że Żydzi nie czczą bogów, „uznanych prawem, — w sposób przyzwoity", ani nie znają filozofji, „służącej za ster i stylu — iglicę". Dyskurs polityczny przechodzi w „szczebiot" Elektry, dopominającej się, by ją Pomponjusz zabrał z sobą do Żyda-Maga.

„Humory" aktorki rozciąga poeta na całą epokę, w której, „kto słaby — chorzał, a kto nie był chory — cierpiał i zdały się rządzić humory". Niepokój społeczeństwa potęgowały wieści o wojnie żydowskiej, lekceważonej zresztą nawet przez cesarza. Niemniej przetrwała ona „dni i wieki". Zwykle taki skutek wywiera prawda, ale czasem czyni to i ironja w płaszczu prawdy. Mętny wywód o ironji (podobny jest i w *Tyrteju*) przechodzi w zdemaskowanie fałszywej siły jako fascynacji (wywodzonej dziwacznie od *fasces*, pęków kijów).

Epirota, wyszedłszy od śpiącej Zofji, czuje się z powodu jej obojętności, „jak drzewo z posady wyrwane, — gdy Akwilonem jest podejmowane — i idzie (drzewo!), wieniec otrząsając z głowy: — upadku miejsca błędną szuka nogą, — zniszczenie mając i celem i drogą". Wśród domysłów o przyczynach „wykorzenienia" wymienia poeta brak zrozumienia przez Zofję tego, co się Epirocie śniło, brak znajomości rzeczy, o których mniemał, że wiedzieć powinna. A sam młodzieniec rozważa, czy nie rozsądniej byłoby wziąć Zofji na stronę (dla uniknięcia świadków) i dowieść jej sylogistycznie, że uczucie dała za mamonę (czy Pomponjuszowi?) i wśród dobrobytu i przepychu głucha jest na „okolne bole" i śpiewa sobie słodkie pieśni... Gdyby tego była wysłuchała, mógłby jej dalej tłumaczyć sprawę serca, „przepoić się jej własnym jadem" (?) — przy zachowaniu własnego sumienia, dać jej przykład z siebie, potem — wypluć wyssany jad, „i że się ciężar przestało już nosić, — upaść mu jeszcze do nóg i przeprosić". Zdaje się, że ów jad, to przecież słodycz miłości, której młodzieniec chciał się pozbyć przez spełnienie. On za cel owej rozmowy „na stronie" uważa ukazanie jej wszystkiego „prócz ceny prawd" i doprowadzenie jej do tego, by „ceniła w nim wszystko — prócz jego krwi i jego ciała..." Możnaby przypuszczać, że Zofja przeczuła tę „piłę" żądnego prawdy młodzieńca i udała śpiącą; a choćby go była słuchała, to i tak nie byłaby wiedziała, o co mu idzie. Czy on sam wiedział?

Przechodząc przez „plac-przedajny" (t. j. targowy), wpadł Epirota w tłum, uciekający przed spłoszonym bykiem ofiarnym, a potrącony przez ofiarnika, obalił go i zelżył. Wzburzenie tłumu, interwencja policji. Epirota wzywa ofiarnika, by rzucił topór; ów rzuca, ale w niego. Ugodzony konając, wyrzekł: „Na targu konać, jak w ojczyźnie konać, wyśmiewa się z ciebie ironja". Obecny przy całej awanturze ogrodnik pobłogosławił głośno jego duszy, a tłumowi zapowiedział, że kiedyś zrozumie skonanie tego młodzieńca, który zamiast byka padł ofiarą szaleńców. Dalsze jego słowa o czytaniu pisma w powietrzu czerwieniejącego (czy to kometa?), i księgi żywotów i skonań, wywołały u Greków z tłumu uwagę, że to chyba półbóg, u Rzymian, że

półgłówek. Podsetnik wziął jego szept za przekleństwo, a jego za „chrześcijańskiego psa". Natychmiast kapłańskie sługi uwięziły Gwida (tu dopiero dowiadujemy się, kim był nieznany ogrodnik), tłum się rozszedł, a zachodzące słońce oświeciło leżącego na bruku trupa, okrytego kwiatami z wywróconych koszów. Przechodzące kobiety podniosły kilka róż, mało zbroczonych.

Z Jazonem i Arthemidorem załatwia się edykt, wypędzający z Rzymu Żydów, chrześcijan i filozofów. Mag padł trupem po otrzymaniu wezwania do wyjazdu. Arthemidor obrał za miejsce wygnania Galję i przyszedł pożegnać się z Zofją. Podczas ich rozmowy przyniesiono poetce kwiaty, list i lekarstwo od Pomponjusza. Lekarstwo (przysłane przez zazdrosną Elektrę) okazało się trucizną. Wypiwszy je, poetka majaczyła o Homerze i Hezjodzie w gajach elizejskich, o Sokratesie z motylem czy liściem na czole i skonała. Spalono ją na stosie. Na dogasający za miastem stos natknął się rano Pomponjusz, jadący na wyścigi do cyrku. Widział też w pobliżu pogrzeb Jazona.

Jakkolwiek unikanie intrygi i węzła dramatycznego było w tej przypowieści zamierzone, to ich surogat w formie wzajemnych, a dość arbitralnych wizyt osób fabuły jest przecież zbyt prymitywny, a mowy i rozmowy tych osób, mające charakteryzować epokę Hadrjana, o ile idzie o Greków, nie są charakterystyczne. Dopiero z autorskich ekskursów poznajemy dość dobrze Hadrjana i nastroje żydowskie, a i epizodyczne sceny z Gwidonem rzucają pewne światło na chrześcijan. Ale ani przedstawiciel filozofji greckiej, Arthemidor, ani poetka grecka, Zofja, ani bezimienny Epirota nie mówią nic takiego, coby uwydatniało rolę pierwiastka greckiego w Rzymie Hadrjanowym, a zwłaszcza w chrześcijaństwie (a przecież to uwydatnienie leżało w założeniu utworu). Tylko to co o Grekach opowiada sam poeta, należy do *praeparatio evangeliae,* ale te nieliczne motywy Fidjaszowskie i Platońskie nie wystarczają do uznania, że zamierzony i zapowiedziany program przedstawienia, jak pierwiastki greckie, rzymskie i żydowskie obciążyły na przyszłość chrześcijaństwo, został wykonany. Wobec tej tak ty-

powej [1]) dla Norwida „diametralności między założeniami a wynikami", wobec tego „zasadniczego rozdźwięku, urągającego starym kardynalnym czynnikom kompozycyjnym między pomysłem a wykonaniem", trudno uznać Quidam'a za „ogromną kulturalną syntezę", a tembardziej uznać go za arcydzieło.

Rozżalony przemilczeniem utworu przez współczesną krytykę, przeprowadził Norwid jego konfrontację z Ampère'ową *Rome sous Auguste* i zauważył, że on to (elementy cywilizacji rzymskiej za cesarstwa) „troszkę dawniej i głębiej określił". Ale w tytule artykułu francuskiego widnieje ograniczenie tematu do świadectw poetów Augustowskich *(d'après les poètes contemporains)*, a tem samem rezygnacja z obrazu całej cywilizacji rzymskiej za Augusta; Norwid miał ambitniejszy zamiar przedstawienia wieku Adrjana, który był zdaniem jego, renesansem wieku Augusta, i pomimo obfitszego repertuaru źródeł dał mniej w obrazie „kobiet, ludzi, towarzystwa, obyczaju"... A przecież, jak widać z sądu o artykule Ampère'a, z tego tła historyczno-obyczajowego był dumny. Nie włączył do niego „arków połamanych i rozrzuconych kolumn", jak Krasiński do swego *Irydiona* (1836), co podnosi w introdukcyjnym liście do Z. K. ale też włączyć nie mógł, skoro jego bohater nie doczekał się, jak tamten, upadku Rzymu. Pisząc więc o zignorowaniu ruin, miał raczej na myśli zignorowanie zewnętrznej dekoracji rzymskiej, tak dokładnie opisanej przez Krasińskiego, chociażby z powodu dramatycznej formy, wymagającej dekoracyj. Zamiast ruin miasta przedstawił ruiny ludzi. Z jakim skutkiem, widzieliśmy. To też w *Irydiona* postaciach możemy odnaleźć więcej tworzywa historycznego [2]) niż w sylwetach *Quidama*, a i obraz Rzymu Heliogabalowego z r. 222 jest tam pełniejszy [3]) niż obraz Rzymu Hadrjana ok. r. 152 (wzniesienie Aelia Capitolina na gruzach Jeruzalem, wojna żydowska).

W dwadzieścia trzy lata po pierwszem wydaniu *Quidam* (1863) ukazało się dzieło angielskie, które z rozmaitych

[1]) Uznaje to jego entuzjasta R. Zrębowicz w Posłowiu do *Czarnych i białych kwiatów*, skąd pochodzą cytaty w tem zdaniu.

[2]) Obacz mój Wstęp do *Irydiona* w Bilb. Narod. I nr. 42, str. XX-XLIV.

[3]) Ob. mój „Rzym pogański w Irydionie", Pam. Liter. XI 1912.

względów nadaje się do porównania z powieścią rzymską Norwida. Jest nią *Marius the Epicurean* Waltera Patera.[1]) I jego celem jest ukazanie w młodzieńczej świeżości chrystjanizmu, który stopił rozmaite elementy kultu pogańskiego w nowy, fascynujący kształt. I tu bierny bohater przybywa z prowincji jako wyznawca epikureizmu do Rzymu, by się kształcić u retorów, a objąwszy dworski urząd sekretarza przy cesarzu Marku Aurelim, ulega pod wpływem jego mów i lektury jego dziennika stoicyzmowi. Ale zachowanie się cesarza przy chorym dziecku pokazuje mu bezsilność stoicyzmu wobec ciosów życia. Teraz uświadamia sobie pustkę w swem życiu i wypełnia ją powoli w domu chrześcijanki Cecylji. Odtąd w duszy jego gości pogoda, choć przytoczone wyjątki z jego pamiętnika wykazują ślady dawnej melancholji. W chwili pogłębienia wyznaje, iż „jesteśmy zbudowani na to, by cierpieć". Jakoż ogarnięty pragnieniem poświęcenia, ułatwia ucieczkę pojmanemu przyjacielowi-chrześcijaninowi, a sam zajmuje jego miejsce w więzieniu. Nabawił się tu choroby, która go przyprawiła o śmierć. Umarł bez chrztu, jako *anima naturaliter christiana.*

Przytoczyliśmy kilka motywów utworu Patera, by zwrócić uwagę na liczne podobieństwa Marjusza z Quidamem. Główna różnica w przestawieniu obu bohaterów tkwi w tem, że Pater każe samemu młodzieńcowi „terminować" u przedstawicieli rozmaitych poglądów na świat u Apulejusza (jako autora Metamorfoz z baśnią o Erosie i Psyche), Heraklita, Arystyppa z Cyreny, Frontona, Marka Aurelego, Lucjana, i przytaczając ich poglądy, komentować je i krytykować, aż do zdobycia poczucia — pustki. Jest to więc typowy *Bildungsroman,* jakże bliski Wielandowego — *Agathona* (z roku 1765). Kto o tym wzorze pamięta nie odmówi Marjuszowi etykiety powieści dla braku intrygi powieściowej i schematyczności figur, ale musi przyznać, że to „poemat i notatnik zarazem, lub coś z poematu i coś z notatnika w jednej formie". Tem samem jest przypowieść Norwida. Jak Pater, tak i on od starożytności przechodzi do swych czasów i z ich stanowiska ocenia tamtą, przeprowadza porównania. Ale czy też jak tamten w doświadcze-

[1]) Zbigniew Grabowski, Walter Pater, 1929, r. IV.

niach Marjusza przedstawia własne? Pytanie to potwierdzili co do Patera angliści; poloniści nie dotarli jeszcze do subjektywizmu w *Quidamie*. Wiedzą tylko, że improwizacja Zofji zawiera pewne echa wieści o improwizacjach Deotymy. Ale czy w niedomówionym stosunku Epiroty do Zofji niema odblasku nieszczęśliwej miłości do Marji Kalergis? I czy nieproduktywna nauka Epiroty u filozofów greckich nie odpowiada doświadczeniu Norwida w zakresie filozofji, nietylko greckiej? — Kto wie czy nadmiar elementów osobistych nie przeszkodził Norwidowi w odtworzeniu Greka z epoki Hadrjana, którą uważał za tak podobną do współczesnej sobie.

A był przygotowany do rekonstrucji historycznej, a raczej wskrzeszenia przeszłości bezpośrednią znajomością źródeł i zabytków antyku. Rozczytywał się w historykach cesarstwa, jak Dio Cassius, Spartianus, kontynuując w ten sposób lekturę źródeł do Kleopatry, t. j. Swetonjusza, Plutarcha, i do Tyrteja i Epimenidesa, jak Justinus, a przedewszystkiem Diogenes Laertios, główny jego informator o filozofach starożytnych. Ustęp z najtrudniejszego historyka rzymskiego, Ammiana Marcelina, przytoczony w rozprawie „O sztuce" (*Czarne i białe kwiaty,* str. 151) dowodzi, że sięgał aż do zakamarków historjografji starożytnej. Tembardziej czytywał Tacyta i Cezara. Tylko o Senece panuje u niego głuche milczenie. Prócz tej lektury „źródłowej" posiadał dużą znajomość literatury pięknej, nabytą w szkole i przez całe życie wzbogacaną. Prócz Homera i Hezjoda znał z liryki greckiej przynajmniej fragmenty Tyrteusza i Safony, rozczytywał się przynajmniej w Eschylosie i Sofoklesie (o Eurypidesie nie wspomina), tudzież w Arystofanesie, studjował Platona, trochę Arystotelesa, więcej Ksenofonta, a przedewszystkiem Cycerona. Parafrasta Horacego, chwali też *(Bogowie i człowiek)* Wergilego:

> I od Wergiljusza kształtnych pień
> zalatują jeszcze ludzkie natchnienia...
> on dwadzieścia lat pracy dał za dzień,
> za jeden dzień stworzenia.

Doskonałość *Eneidy* objaśnia tem, „iż to wszystko pierw było w kronikarskich rapsodach", a „dlatego większość

Georgik jest tak niezrównanem arcydziełem, iż uprzedziły je niemało o rolnictwie zapiski i dzieła" O przemianach Owidjusza i jego wykładzie metempsychozy (Met. XV) wspomina w *Ruinach*, a w *Rzeczy o wolności słowa* tak mówi o wieku Augusta:

> Augusta wiek, tak zwany złotym, promienieje,
> wszelki pracownik słowa iści swe nadzieje.
> Jakkolwiek do dziś jeszcze nie znamy przyczyny,
> dla której Owid smętny nawiedził równiny
> bez zielonego lauru, lecz w burce tułackiej,
> ani gdzie zmarł ów pierwszy poeta sarmacki.

Nazywając Owidjusza „pierwszym poetą sarmackim", szedł Norwid za staropolską tradycją Piotra Widawskiego, który na podstawie Trist. V 12, 58 *(et didici Getice Sarmaticeque loqui)* pisał w. r. 1576:

> Owidyusz w ten nasz kraj kiedy był zajechał,
> polskiego się języka uczyć nie zaniechał...
> stał się z niego tu Polak, a choć umarł dawno,
> jakby się dziś narodził, o nim wszędy sławno.

Że Owidjusz zmarł w Tomi, to Norwid wiedział. Pytanie więc, gdzie zmarł, odnosi się do jego grobu, który także umieszczano w Polsce, na Podolu, ale ta tradycja[1]) jakoś nie doszła do autora *Rzeczy o wolności słowa.*

Owocem tak rozległej lektury klasycznej Norwida był nie „jakiś książkowy klasycyzm, o którym Grek Peryklejski ani Rzymianin za Cezara czasów bynajmniej nie wiedział" (*Czarne kwiaty*, str. 161 Zrębowicz), ale uznanie dla formalnej piękności i często (nie zawsze) ideowej treści literatury klasycznej, pojmowanej jako konieczna *praeparatio evangeliae.* Dając do druku przekład Horacjuszowskiej ody *ad Pompeium Grosphum* uzupełnił go *Post scriptum* (*Poezje wybr.* str. 294), w którem występuje „przeciwko nauce, katalogującej bezdusznie i nie czującej nieprzerwanego, żywego związku między epokami. W wierszu tym (poza wymienionemi na str. 175) mieści się zarazem określenie Norwida, twórcy do wzorów klasycznych: To, co przeszło, nie powróci już sobą. ale wróci ideą. Trzeba umieć ją tylko „odemknąć", a tego

[1]) Opracowana przez G. Przychockiego, *Grób Owidjusza w Polsce*; Warszawa, 1921.

nie umieją „dzisiaj klasyczni mistrzowie". Oni z tragedji klasycznej znają tylko „podziały" (np. na prolog, parodos, epejsodia, stasima, eksodos), z wymowy „style" (np. wzniosły, niski, średni), ale kto tak czysto formalistycznie traktuje literaturę klasyczną, postępuje, zdaniem Norwida, tak, jakby herboryzował, zbierał rośliny do zasuszenia na grobie brata lub przyczepiał kartki łacińskie do krzewów „rozpłakujących się nad ruinami":

Nie! — wolę smętne szumy białodrzewów
z bezimiennemi w gwarze ruinami
i wolę z bladym srebrnej łzy świecznikiem
w podziemia schodzić, niż z waszym słownikiem.

Głosi tu poeta wyższość osobistego wzruszenia wobec zabytków starożytnych nad znajomość klasycyzmu „tylko z książek", ironizowanego w prozaicznym przypisku przed *Post scriptum*. Z książek, jak z ruin musi wyjść do nas człowiek (Epimenid). A od człowieka starożytnego słyszał poeta *Wielkie słowa* (*Poezje wybr.* str. 198):

Czy zapytaliście, czemu Cycero,
Paweł lub Sokrat, tych słów rzekłszy parę,
żyją... do dzisiaj cię za piersi biorą,
a ty, choćbyś im nierad, dawasz wiarę?

I on dawał wiarę klasykom w tem, do czego sam doszedł „po samodzielnych bojach" (*Laur dojrzały*, *P. w.*, str. 278), a wśród obojętności współczesnych, apelował do „przyszłości, korektorki wiecznej" (List do W. Pomiana Z. str. 234 *Poezji wybr.*), ufając, że mu ona przyniesie „laur dojrzały".

Tadeusz Sinko.

Budowa materji.

(Dokończenie).

II. Świat elektronów.

Pojęcie pierwiastka chemicznego, jako ciała, które żadnemi znanemi sposobami nie da się na składniki rozłożyć, nie było znane ani w starożytności, ani w wiekach średnich i nowożytnych prawie do końca XVIII wieku. Przeciwnie, istniały teorje głoszące jedność materji i przez długi czas trudzono się niezmordowanie (alchemja w wiekach średnich) nad wynalezieniem „kamienia filozoficznego", owej tajemniczej substancji, której minimalna ilość zdolnaby była zamienić piasek w złoto, uzdrawiać chorych, złych ludzi przetwarzać na dobrych, głupców na mędrców i t. p.

Lecz wprowadzona w naukę (Dalton, początek XIX w.) teorja atomowa położyła kres spekulacjom i dała podwaliny chemji rzetelnej. Według niej materja wszelka nie jest nieograniczenie podzielna, lecz składa się z drobniutkich cząsteczek, atomów, które się dalej podzielić nie dadzą, które się nie stykają, między któremi są miejsca wolne. Atomy tego samego pierwiastka są równe między sobą co do wielkości i ciężaru, lecz atomy różnych pierwiastków są różne i co do wielkości i ciężaru. Najlżejszym jest atom wodoru, bo waży jedną biljonową biljonowej części grama, a jest on równocześnie nie najmniejszy. Weźmy dla przykładu mały naparstek wypełniony wodorem. Ilość bezwątpienia mała. Ile atomów się w nim znajduje? Gdyby wszyscy mieszkańcy Polski wybierali z naparstka każdy dla siebie po 100 atomów co sekundę, to musielibyśmy tę czynność dzień i noc uprawiać przez lat 300, aby naparstek z wodoru opróżnić. Atomy

innych pierwiastków są większe i cięższe. I tak np. atom tlenu jest $1^1/_2$ razy większy, a 16 razy cięższy, ostatni zaś atom uranu jest 238 razy cięższy od atomu wodoru.[1])

Stwierdzenie faktu, że od początku XIX wieku żaden pierwiastek nie dał się rozłożyć, że nowych pierwiastków w tym czasie przybyło kilkadziesiąt tak, że obecnie mamy ich 88, doprowadziło do wniosku, że istnieje 88 odrębnych „gatunków" materji, które się na siebie zamienić nie dadzą. Zasada niezmienności pierwiastków stała się podwaliną nowoczesnej chemji.

Sukces dla nauki był ogromny, ale jak każdy sukces tak i ten począł z biegiem czasu budzić powątpiewania. Dlaczego właśnie 88 odrębnych „gatunków" materji? Możnaby tu z równą słusznością zastosować znane słowa Alfonsa X króla Kastylji, który miał odpowiedzieć astronomom, którzy mu objaśniali nadzwyczaj zawiły układ wszechświata według Ptolomeusza: „Gdyby Bóg przy stwarzaniu świata mnie się poradził, poradziłbym Mu większą prostotę". Czy w istnieniu 88 odrębnych pierwiastków, okazujących tak charakterystyczne perjodyczne własności przy wzrastającym ciężarze atomowym nie mieści się jakaś ukryta tajemnica?

Zdawałoby się, że niepodobieństwem, a może zuchwałością jest podglądać Stwórcę w jego biblijnej pracy stwarzania, że o samych atomach, których wymiary leżą przecież o tyle poniżej granic spostrzegania choćby najlepszym mikroskopem, nic powiedzieć nie można. W rzeczywistości jednak fizyka dzisiejsza pokusiła się o zbadanie wnętrza atomu i to, co wydobyła stamtąd najaw, jest z dwu względów godne zastanowienia. Z jednej bowiem strony wiadomości te stanęły w rażącej sprzeczności z tem, czegoby należało się spodziewać i wielu wypadkach nie dają się pogodzić ze zdrowym poglądem na świat — z drugiej zaś strony niewtajemniczonemu wydaje się nieprawdopodobnem, aby tak małe wielkości nie tylko można poznać, ale nawet dokładnie wymierzyć. Zaiste żaden Sherlok Holmes nie był tak zręcznym w swoich poczynaniach, jak współcześni fizycy,

---

[1]) Liczba, która powiada, ile razy atom danego pierwiastka jest cięższy od atomu wodoru, zwie się jego ciężarem atomowym.

którzy z objawów i zjawisk, nad któremi zwykły śmiertelnik przechodzi do porządku dziennego, zdołali wysnuć szereg zadziwiających wniosków i w wielu wypadkach stwierdzić je doświadczeniem. I oto jak pierwotnie jednolita napozór materja rozpadła się na niezliczoną ilość drobnych, oddzielnych atomów, tak i teraz niepodzielny napozór atom rozpadł się na szereg części składowych, nieraz bardzo skomplikowanej budowy.

Jeżeli weźmiemy najlżejszy i najprostszy atom, atom wodoru, i wyobrazimy go sobie w postaci kuli, to masa jego, o której wyżej mówiliśmy, że jest ciężka, nie wypełnia bynajmniej całej objętości atomu, lecz jest skoncentrowana na znikomo małej przestrzeni w środku owej kuli, tworząc jądro atomu, t. zw. p r o t o n, którego mechaniczne własności, jak ciężar i bezwładność, ustępują na dalszy plan wobec nowej jego własności: jest on stale naelektryzowany d o d a t n i o i ta to własność natury elektrycznej jest teraz najważniejszym czynnikiem regulującym jego życie w minjaturowym jego świecie. Proton ma jednak swego towarzysza. Oto na orbicie owej pustej kuli atomowej znajduje się druga zasadnicza część składowa każdego atomu, t. zw. e l e k t r o n, nie mający masy w zwykłem tego słowa znaczeniu, subtelny pyłek elektryczności, posiadający natomiast stale nabój elektryczny u j e m n y. Ażeby uzmysłowić sobie stosunki wymiarowe panujące w obrębie atomu wodoru, wyobraźmy go sobie powiększony do rozmiaru kuli ziemskiej, wówczas ujemny elektron na powierzchni tej kuli miałby wielkość dużego gmachu (222 m średnicy), zaś właściwa masa atomu, dodatni proton miałby postać — balonika dziecięcego (12 cm), umieszczonego w środku tej kuli. Pozatem przeraźliwa pustka, jakiej nie spotykamy przy najlepszych pompach rozrzedzających, ani nawet w przestrzeniach międzyplanetarnych, pustka niewypełniona żadną w zwyczajnem tego słowa materją. Wiemy, że ciała przeciwnie naelektryzowane przyciągają się wzajemnie, proton więc i elektron przyciągają się z tej odległości siłą jak na nasze stosunki znikomą (ok. 8 miligramów), lecz jak na minjaturowy świat atomowy potworną, bo wystarczającą, by pod wpływem tego przyciągania jądro wodoru niemal w okamgnieniu (bo w jednej

biljonowej części sekundy) uzyskało zawrotną szybkość światła (300.000 km. na sek.) Jeżeli się tak nie dzieje, to dlatego, że podobnie jak ziemia obracając się naokoło słońca nie spada na nie, choć jest przez słońce przyciągana, elektron również znajduje się w nadzwyczajnie szybkim ruchu wirowym naokoło jądra i spaść nań nie może.

Budowa wewnętrzna atomów innych pierwiastków nie różni się zasadniczo od budowy atomu wodoru. Inne pierwiastki posiadają jądro złożone z kilku lub kilkuset protonów, około którego wiruje ta sama ilość elektronów w rozmaitych od jądra odległościach. I tak np. atom helu posiada w swem wnętrzu 4 protony dodatnie i 4 elektrony ujemne (stąd jest 4 razy cięższy od atomu wodoru), atom tlenu 16 protonów i 16 elektronów (stąd jego ciężar atomowy 16) i t. d. aż do najcięższego uranu, posiadającego 238 protonów i 238 elektronów w swem wnętrzu. A ponieważ w normalnym stanie ilość elektronów dorównuje ilości protonów, więc cały atom i całe ciało nie okazują nazewnątrz swych własności elektrycznych.

W niektórych jednak ciałach t. zw. dobrych przewodnikach (metalach), niektóre elektrony mogą swobodnie opuszczać zewnętrzne warstwy atomowe i tak np. każda elektrownia (lub ogniwo) jest pompą, tłoczącą wolne elektrony w przewody elektryczne, mówimy wówczas, że w przewodniku płynie prąd elektryczny, a gdy te elektrony dostaną się do żarówki, ściśnięte tam w cienkim druciku powodują jego żarzenie.

Z atomów innych ciał, t. zw. izolatorów, dadzą się również elektrony wytrącić, choć nierównie większym wysiłkiem. Wyładowania np. elektryczne w piorunach odbywają się w izolatorze, jakim jest w tym wypadku powietrze, ale też są wynikiem olbrzymich napięć elektrycznych między chmurą i ziemią, napięć zdolnych przerzucić pewną ilość elektronów przez warstwę powietrza kilkuset lub więcej metrów, toteż i z tego powodu zdolnych do daleko groźniejszych skutków, niż zwyczajny prąd elektryczny w dobrym przewodniku. Można sobie jednak tę rzecz ułatwić, jeżeli mamy do czynienia z powietrzem silnie rozrzedzonem. Zamknijmy w szklanej rurce pewną ilość powietrza, włączmy w nią dwie me-

talowe płytki elektryczne (elektrody) i połączmy je ze źródłem silnego napięcia elektrycznego, to znaczy naelektryzujmy jedną płytkę silnie dodatnio (anoda) a drugą silnie ujemnie (katoda) i wreszcie rozrzedźmy powietrze w rurce zapomocą silnej pompy. Staniemy wobec świetnego, grającego tysiącem barw zjawiska spokojnego przepływu elektronów wewnątrz rurki (promienie katodowe). Dla nas to świetna, niewinna igraszka, zamkniętym jednak w rurce atomom chodzi tu o życie. Bo oto swobodne elektrony, których zawsze pewna ilość — choć nieznaczna — znajduje się nawet w izolującem powietrzu, zaczną się poruszać pod wpływem przyciągania jednej i odpychania drugiej elektrody od katody ku anodzie, nabierając coraz to większego rozpędu i jeżeli tylko mają dostatecznie długą swobodną drogę (t. j. jeżeli rozrzedzenie powietrza jest dostateczne) mogą nabrać takiej energji ruchu, że rozbijają napotkany obojętny atom powietrza (tlenu czy azotu) nie na drzazgi wprawdzie, niemniej jednak zdolne one są mocą swego mechanicznego i elektrycznego uderzenia wytrącić z obojętnego atomu powietrza pewną ilość wolnych elektronów, które wyswobodziwszy się z wiążących je karbów, zaczynają w analogiczny sposób pracę rozrywania innych, jeszcze obojętnych atomów powietrza. I niejeden przygodny przechodzień, co nieraz znudzonem okiem ogląda świetlne reklamy niektórych wystaw sklepowych wielkiego miasta (t. zw. światło neonowe), nie zdaje sobie sprawy, że te szklane rurki, powyginane w kunsztowne litery reklamy, są areną żywiołowych katastrof w minjaturowym świecie atomów rozrzedzonego gazu neonu, straszliwej tragedji wytrącania przemocą elektronów z ich domowego ogniska-atomu.

Lecz nie zawsze atomy są tak uległe i cierpliwe. Bo można przypuścić, że w tych pierwiastkach, które posiadają dużo protonów i elektronów (a więc w atomach pierwiastków najcięższych) tak silne nagromadzenie przeciwnie naelektryzowanych nabojów we wnętrzu nie będzie bez wpływu na stan równowagi atomu. Że może przyjść moment, iż szalony ruch elektronów weźmie — może na chwilę — przewagę nad siłą skupiającą, że przyjdzie moment samorzutnego rozpadu atomu. I tak jest w istocie, a dowodem tego są

ciała t. zw. promieniotwórcze, wiekopomne odkrycie Marji Skłodowskiej-Curie, które wprowadziło w mikrokosmos atomów taką samą rewolucję naukową, jak ongiś odkrycie Kopernika w makrokosmos wszechświata.

Atom ciała promieniotwórczego nie posiada trwałej równowagi i w chwili, gdy z niewiadomych przyczyn przyjdzie nań moment krytyczny — rozpada się. I podobnie jak pękający pocisk armatni wyrzuca ze siebie ciężkie części rozszarpanego metalu, lekkie chmurki dymu, oraz gwałtowne wstrząśnienie otaczającego powietrza jako huk, tak też i rozpadający się atom promieniotwórczy wyrzucać będzie ciężkie protony rozszarpanego jądra (promienie alfa), lekkie, niematerjalne elektrony (promienie beta), wreszcie zaburzenia otaczającego ośrodka (eteru), spowodowane gwałtownem wstrząśnieniem pękającego atomu (promienie gamma).

Teorja rozpadu, t. zw. dezintegracji atomów ciał promieniotwórczych nie ulega już oddawna żadnej wątpliwości naukowej. Pociągnęła ona jednak w nieubłaganej konsekwencji daleko idące wnioski, będące jaskrawem zaprzeczeniem dotychczasowej nauki o „niepodzielności" atomów, oraz — jeszcze dalej idąc — o niemożliwości zamiany jednego pierwiastka na drugi.

Zbadano bowiem, że jeden atom odkrytego przez Skłodowską pierwiastka radu wyrzuca przy rozpadzie z pośród 226 protonów jądra tylko 4 na zewnątrz, a przecież te cztery protony, przybrawszy sobie skądkolwiek (chociażby z powietrza) cztery elektrony stanowią treść wnętrza innego pierwiastka — helu. Z drugiej zaś strony ten sam atom radu, pozbywszy się pewnej ilości elektronów i czterech protonów, posiada ich tylko 222, a więc — nie jest już atomem radu, lecz atomem nowego pierwiastka, lżejszego — t. zw. emanacji radowej. Innemi słowy atom radu rozpadając się daje życie dwom nowym pierwiastkom: helowi i emanacji.

A jeżeli okres rozpadu i życia u jednych ciał promieniotwórczych liczy się na sekundy, u drugich na miljardy lat, to czyż nie nasuwa się sama przez się myśl, że i inne nie-promieniotwórcze pierwiastki, a więc takie, jak ołów, cynk lub żelazo również w podobnej ewolucji się znajdują,

lecz jeszcze niesłychanie powolniejszej. Ażeby tak do siebie podobne, z tych samych protonów i elektronów zbudowane wszystkie pierwiastki, miały się zasadniczo od siebie różnić — wręcz przypuścić niepodobna. Przeciwnie — będziemy skłonni mniemać, że niema teoretycznie uzasadnionego przypuszczenia, aby jednego pierwiastka nie można zamienić na inny. Wystarczyłoby bowiem w tym wypadku zmniejszyć lub powiększyć w jakiś sposób ilość protonów i elektronów we wnętrzu atomu cynku, aby go zamienić na złoto... I że takie zamiany pierwiastków niepromieniotwórczych są możliwe, poucza o tem szereg doświadczeń celowego i planowego wdzierania się uczonych we wnętrze atomów w ostatnich latach, żeby tylko wspomnieć o nieulegającym żadnej wątpliwości fakcie zamiany azotu we wodór przez fizyka angielskiego Rutherforda.

Lecz pierwiastki promieniotwórcze pouczają nas, że przy takiej zamianie olbrzymiej ilości energji, o których my pojęcia nie mamy, są albo wyswobadzane, albo musiałyby być włożone, że owa pajęcza sieć krążących z olbrzymiemi szybkościami elektronów wytwarza naokoło jądra niematerjalną, lecz nadzwyczaj odporną osłonę elektryczną, opierającą się zewnętrznym działaniom i celowym zakusom człowieka tak, że człowiek — w większości wypadków — owej sieci elektronów — jak narazie — ani zniszczyć, ani jądra naruszyć nie jest w stanie. Odżywa więc dawne marzenie średniowiecznych alchemików o fabrykacji szlachetnych metali z nieszlachetnych, ale w zmienionej i naukowo uzasadnionej formie — i jeżeli kiedy ich sen się urzeczywistni i ołów da się zamienić na złoto, to jest pewne, że wartość otrzymanego stąd złota będzie znikoma w porównaniu z ilością zyskanej przy tem energji.

Zdaje się, że wkraczamy w dziedzinę bajek dla starszych dzieci... Czy to nie przesada, czy nie za wiele fantazji...? zapytałby ktoś. Na to trafnie odpowiada poeta gwiazd, znakomity astronom francuski Kamil Flammarion: „Nic nie jest tak trudnem do pojęcia, jak to czego nie wiemy, nic nie jest prostszem nad to, co wiemy. Któż się dziś dziwi, że telegraf elektryczny przenosi w okamgnieniu myśl ludzką

przez lądy i morza? Któż się dziwi, że przyciąganie księżyca podnosi wody oceanów i powoduje przypływy morskie, że światło przenosi się z szybkością 300.000 km/sek z gwiazdy na gwiazdę?" — że z tą samą szybkością promieniują fale radjowe z anteny stacji nadawczej lub że stalowy ptak przelatuje w kilkunastu godzinach nurty Atlantyku? „Co więcej: myśliciele tylko ocenićby mogli wielkość tych cudów, tłum nie dziwi się niczemu. Gdyby odkrycie nowe dozwoliło nam jutro przesyłać sygnały mieszkańcom Marsa i otrzymywać od nich odpowiedzi, trzy czwarte ludzkości nie dziwiłoby się temu pojutrze".

A więc nie dziwmy się i tu, że świat elektronów to nie świat bajki lub opowieści z tysiąca i jednej nocy, nie fantazja uczonego, że człowiek ośmielony pierwszym wyłomem nie spocznie, póki nie znajdzie sposobu całkowitego zawładnięcia minjaturowem jądrem atomu i — co nie ulega wątpliwości — wyzyskania jego niesamowitej energji ku swoim — dziś może jeszcze nieznanym — celom.

Feliks Rapf.

Ustrój korporacyjny w Polsce średniowiecznej.

Wśród publicystów, filozofów, myślicieli coraz częściej po wojnie odzywają się głosy o powrocie do średniowiecza. Filozof rosyjski Berdiajew, francuski pisarz Georges Maritain rozważają jego charakter. Właściwie trudno mówić o „powrocie do średniowiecza", bo do przeszłości się nie wraca, ani do jej form przebrzmiałych i prymitywnych. Raczej należy mówić o powrocie do zasad, które średniowieczem rządziły — zasad zarówno moralnych, jak religijnych i społecznych. Do takich właśnie zasad należy ustrój korporacyjny, znajdujący się dziś na ustach prawników, socjologów i ekonomistów. Średniowieczne życie opierało się właśnie na ustroju korporacyjnym, aczkolwiek miał on wtedy formy specjalne. Średniowiecze znało system stanowy i w jego obrębie rozwijały się korporacje. Stanami nazywano klasy lub raczej warstwy zamknięte, wyposażone w przywileje. Przechodzenie z jednego stanu do drugiego było możliwe, choć utrudnione. Korporacjami nazywano zrzeszenia produkcyjne, oświatowe i inne, wyposażone przez władze w monopol. Stanowe elementy ustroju średniowiecznego, bynajmniej, jak sądzę, istoty ustroju korporacyjnego nie zmieniały, ani przekształcały. Były one czemś wtórnem, nieistotnem, podobnie, jak wiele przepisów i form, z czasem i miejscem związanych. W szkicu niniejszym nie owe formy zmienne, ale podstawowe idee ustroju korporacyjnego pragniemy przedstawić.

Być może, iż wydadzą się one równie odległe, jak mało realne, wobec nowych problemów wieku XX. Ale zastano-

wić się warto, czy nie jesteśmy dziś w pośrodku powstawania korporacyjnej budowli, szczególniej u nas w Polsce. Izby handlowo-przemysłowe, rolnicze i rzemieślnicze, adwokackie i lekarskie są korporacjami; polityka państwowa, która organizuje kartele i ustanawia monopole gospodarcze, zmierza w prostej linji do budowy ustroju korporacyjnego. Interwencja państwa w życiu gospodarczem i jego dążenie, by stworzyć sprawiedliwy ustrój społeczny, jest powrotem do zasad korporacyjnych. Traktaty o mniejszościach dotyczą coprawda jednostek, ale w praktyce powstają związki mniejszości, które pragną być oficjalnemi ich reprezentacjami, podmiotami uprawnień, traktatami zapewnionych. Zmierzają one do przekształcenia się w korporacje. Nawet sam problemat organizacji siły zbrojnej: milicja czy armja zawodowa? — stawia nas nie w nowożytnej, ale w średniowiecznej płaszczyźnie pojęć. Myliłby się jednak, ktoby dopatrywał się w tylu zmiennych i sprzecznych prądach jasnej myśli i celowej działalności. Przechodzimy obecnie okres chaosu, z którego zwolna powstanie może ustrój korporacyjny — może zaś zatriumfują moce zniszczenia. Toteż przypomnienie rodzimych zasad ustroju korporacyjnego jest zadaniem tego szkicu.

Przemysł.

Szerszym kołom inteligencji polskiej mało są znane zasady ustroju korporacyjnego w Polsce średniowiecznej. Aż nazbyt często uważa się je za coś obcego, narzuconego, tak, jakgdyby tylko ustrój społeczny wsi był rodzimym, i to wyłącznie. Nie ulega jednak wątpliwości, że jeśli wzory ustroju miejskiego czerpaliśmy z Zachodu, to w Polsce ulegały one przekształceniu, i wiele pierwiastków rodzimych musiało do nich przenikać. Z drugiej strony ustrój rolny, również na obcych wzorach niejednokrotnie budowany, nie jest tak bardzo rodzimym, jakby się napozór zdawało. Dlatego też zarówno ustrój miejski, jak wiejski średniowiecza musi być uznany za dorobek przeszłości polskiej i jako taki traktowany.

Niewiele nam zostało z ekonomiki średniowiecznej, a w Polsce brak zupełnie — jak się zdaje — mistrzów ka-

nonistyki.[1]) Toteż więcej z praktycznych urządzeń, niż z teoretycznych rozważań znamy zasady ustroju cechowego, który był jedną z form ustroju korporacyjnego. Nazwy „cech" nie będziemy używali, zastępując ją przez termin „korporacja", a to z dwu względów: nazwa „cech" oznacza dziś zdegenerowaną, ograniczoną do niektórych funkcyj i niektórych zawodów korporację średniowieczną; stąd dla oznaczenia innego pojęcia trzeba użyć odmiennego terminu. Obok tego korporacje średniowieczne występują w formach, które nigdy jako cechy określane nie były. Stąd pojęcie korporacji jest szersze od pojęcia cechu. Zasady ustroju korporacyjnego warto zbadać i przedstawić, bo jeśli ustrój korporacyjny włoski jest dziś przedmiotem ożywionej dyskusji, a mimo szeregu zastrzeżeń nie został potępiony przez najwyższy autorytet moralny świata w encyklice *Quadragesimo Anno*, to poznanie zasad, rządzących średniowieczną Polską, może dostarczyć materjału do rozważań i wskazówek praktycznych.

Ustrój korporacyjny Włoch — historycznie rzecz biorąc — ma analogiczną strukturę do korporacyj antycznych. Ustrój korporacyjny, który istniał w okresie późnego cesarstwa rzymskiego, opierał się na wielkich związkach zawodowych, przez państwo uprawomocnionych i władzą obdarzonych. Przynależność do korporacji była zarówno przymusowa, jak dziedziczna, co było wyrazem troski państwa o równomierny rozwój wszystkich gałęzi produkcji. Włochy nie znają przymusowości ani dziedzicznej przynależności do korporacji, ale ma tu miejsce upaństwowienie korporacyj, jednolitych dla całego kraju. Ustrój średniowieczny opierał się na nieco innych zasadach.

Korporacje średniowieczne nie miały charakteru powszechnego, lecz tylko lokalny, a władzę swą czerpały przeważnie z uznania władz samorządowych, a tylko pośrednio państwowych. Miały one charakter wolny, to znaczy przynależność do nich nie była dziedziczna, można było korporację opuścić i przenieść się do innej w tem samem mieście, lub do takiej samej w innej miejscowości. Z drugiej strony

[1]) „Kanonistami" zwano średniowiecznych ekonomistów.

przyjęcie do korporacji uzależnione było od zgody jej członków, tak, iż o przymusowości tej instytucji mówić nie można.

Korporacje opierały swe istnienie nie na przymusie, lecz na monopolu produkcji, który im na obszarze danej osady lub okręgu przyznawała władza państwowa lub samorządowa. Poza korporacją nikt produkować nie mógł; najwyższa kara za łamanie jej przepisów — wykluczenie — równoznaczne było z zakazem produkcji w danej okolicy. Toteż średniowiecze nie znało wolnej konkurencji między jednostkami, lecz tylko konkurencję między lokalnemi korporacjami tej samej gałęzi produkcji.

Funkcje korporacji w stosunku do producentów dotyczyły: 1) kontroli jakości produkcji, 2) kontroli cen, 3) rozdziału kontyngentu, 4) warunków pracy, 5) dostaw surowca.

1) Kontrola jakości wyprodukowanego towaru prowadzona była stale przez specjalne komisje, z korporacji wyłaniane. Ustalały one jakość i gatunki wyprodukowanego towaru, również jak jednostki, w których był sprzedawany. W ten sposób nabywca miał zawsze artykuły wyprodukowane jednolicie i masowo. Dla unormowania tej produkcji masowej dla nieznanego nabywcy istniały szczegółowe przepisy dotyczące sposobów fabrykacji, a które uniemożliwiały w obrębie korporacji produkowanie artykułów o różnej wartości wewnętrznej a jednej cenie. Wchodziło tu w grę ograniczenie produkcji i rozdział jej równomierny między producentów. Oczywiście konkurencja między producentami przy masowej produkcji była wykluczona.

Natomiast przepisy te nie obowiązywały przy produkcji na specjalne zamówienie. Tu zarówno jakość, jak ilość wyprodukowanego towaru nie podlegały przepisom korporacji i wolność gospodarcza była uznana w pewnych granicach. Jedynie regulowała tu korporacja czas wykonania zamówień oraz ich kolejność. W ten sposób dla warsztatów lepiej produkujących otwarta była droga do rozwoju. Zachodziła jednak trudność zasadnicza pogodzenia owej wolności w dziedzinie zamówień specjalnych z zakazem konkurencji w obrębie korporacji, konkurencji, któraby doprowadziła do upadku słabszych przedsiębiorstw na rzecz silniejszych. Aby zapobiec temu, a z drugiej strony utrzymać wolność produkcji

w pewnym zakresie, wprowadzono z konieczności ograniczenie wielkości przedsiębiorstw, a to przez określenie maksymalnej ilości surowca, którą wolno było przerobić w danym okresie, albo, znacznie częściej, przez określenie maksymalnej ilości sił najemnych. Wobec ścisłego zakazu należenia do dwu korporacyj równocześnie, droga do wzbogacenia się zarówno dla jednostek, jak i dla korporacji całej leżała w podniesieniu jakości produkowanych wytworów. Niektóre korporacje lokalne były bogatsze i potężniejsze od innych dzięki produkowaniu wyższych i droższych gatunków towarów, przeznaczonych na sprzedaż w kraju lub poza jego granicami. W ten sposób uzgodniono, przez ograniczenia wzajemne, zarówno zasadę wolności produkcji, jak i jej organizacji. Natomiast konkurencję między korporacjami danego kraju lub różnych krajów normowały przepisy celne na granicach i wewnątrz kraju, jakoteż przepisy o składzie, które ustanawiało państwo.

2) Problemat słusznej ceny zajmował wiele miejsca w rozważaniach kanonistów. Składały się na nią wyłożone koszta oraz nadwyżka, idąca na utrzymanie producenta. Ten moment był zasadniczym: utrzymanie człowieka jest celem istnienia pracy, stąd też ono jest istotą wynagrodzenia za trud, nie zaś zysk. To też nie prawo popytu i podaży, ale koszta własne i koszta utrzymania rodziny producenta winny według św. Tomasza normować ceny. Jednostki mogły się tu mylić. Więc ceny produkowanych masowo towarów ustalały korporacje. Mogły również ingerować w wypadku nadmiernych cen na obstalunki. W ten sposób ograniczano wzajemną konkurencję w cechu i umożliwiano zatrudnienie wszystkich warsztatów. Przy tego rodzaju autonomji korporacyjnej prawo ustalania cen łatwo stać się mogło środkiem do nadmiernego ich podnoszenia. Korporacje z łatwością były w stanie wykorzystać swój monopol z krzywdą dla konsumenta.

Temu niebezpieczeństwu zaradzono przez wprowadzenie wolności handlowej dla członków korporacji w czasie jarmarków, czyli dorocznych wielkich targów, na które przybywali przeważnie nie konsumenci, ale kupcy, nabywający większe ilości towaru. Na jarmarku taryfy, przez kor-

poracje ustanowione, nie obowiązywały, ceny kształtowały się według prawa podaży i popytu. Toteż, jeśli w ciągu pewnego okresu ceny, ustanowione przez korporację, były zbyt wysokie, konsument mógł się wstrzymać do jarmarku, gdy obowiązywać przestawały. Ceny jarmarczne były wskazówką dla korporacji, która według nich mogła regulować swe ceny.

Jednak w pewnych wypadkach i ta zasada wolności handlu mogła nie być skuteczną. Wówczas w ręku władz samorządowych spoczywała moc rozwiązania całej korporacji, gdyby jej egoizm stale zmierzał do skrzywdzenia konsumenta. Władza ta była najskuteczniejszą bronią wobec nadmiernych żądań producenta.

3) Dbając o ceny odpowiednie, przeprowadzała korporacja rozdział kontyngentu między poszczególne warsztaty, dbając o podtrzymanie istnienia ich wszystkich. Średniowiecze nie zna zakazu otwierania nowych warsztatów, który ograniczał liczbę producentów w danej okolicy. Zna natomiast nakazy zmierzające do utrzymania wszystkich istniejących warsztatów, a przez to niedopuszczenie do bankructw i bezrobocia. Wobec istnienia monopolu produkcji dla korporacji i rozdziału kontyngentu, reklama, będąca bronią w walce o byt przy ustroju liberalnym, była zbyteczna. Jej działanie mogło służyć tylko do walki w obrębie korporacji, surowo zakazanej. To też reklama była ograniczoną do niewielkich, niezbędnych rozmiarów, przeważnie do środków optycznych, specjalne zaś werbowanie klijenteli było wzbronione. Rozbudzanie potrzeb lub tworzenie nowych dla powiększenia produkcji, co jest dziś na tak wielką skalę stosowane, nie było znanem w średniowieczu. Kościół zabraniał gry na żądzy użycia, która stanowi istotę nowoczesnej reklamy, rozbudzanie zaś potrzeb zrozumieć można tylko w razie podporządkowania całego życia ideałowi maksymalnej produkcji. Ideał ten w średniowieczu nie istniał, gdyż produkcja miała jedynie zapewnić utrzymanie producenta, nie była zaś celem w sobie. Uznanie jej za takowy podpadało pod pojęcie kultu mamony.

Troska o podtrzymanie wszystkich warsztatów w ruchu wywołała też nakazy wzajemnego odstępowania surowców wówczas, gdy ich brakło, jakoteż zakaz podkupowania

go przed innymi. Troska o rozwój całości, nie zaś o indywidualne bogacenie się, dyktowała te przepisy. Nie wolno też było odmawiać sobie robotnika, natomiast zakaz odstępowania sobie klijentów wypływał zarówno z zakazu konkurencji, jak i ze względu na konsumenta.

4) W stosunkach między pracodawcą a pracownikiem ustalała korporacja zasadę hierarchiczną: władzą w niej byli producenci, którzy osiągali swe stanowiska dzięki kwalifikacjom, stwierdzonym przez egzaminy na czeladnika i na mistrza. Obok więc zasady hierarchicznej jedną z istotnych podstaw organizacji korporacyjnej było umożliwienie każdemu dojścia do stanowiska samodzielnego producenta. Nie było przegród faktycznych ani prawnych, któreby uniemożliwiały pracowitemu robotnikowi osiągnięcie najwyższych funkcyj w produkcji. Przeciwnie, korporacja ułatwiała mu to, dając mu prawo do zarobkowania na własny rachunek i to przy pomocy narzędzi producenta. Było to prawo używania warsztatu cudzego określone, ograniczone do pewnego czasu; niemniej dawało ono możność pracy samodzielnej i gromadzenia tą drogą środków, niezbędnych do stworzenia własnego przedsiębiorstwa. Niewątpliwie, było to rzeczą nietrudną przy istnieniu warsztatów ręcznych, niemniej trzeba podkreślić owo prawo, niejednokrotnie statutowo zastrzeżone dla czeladników, zarobkowania przy pomocy narzędzi cudzych. Nowoczesnym postulatem, odpowiadającym mu, jest żądanie udziału w zyskach przedsiębiorstwa dla zatrudnionych w niem robotników.

Korporacje średniowieczne nie rozstrzygały konfliktów społecznych, które powstawały w ich łonie, i to jest najbardziej typową cechą, która je od dzisiejszych prób odróżnia. Korporacja średniowieczna była organizacją produkcji i dlatego jedynie niektóre zagadnienia społeczne sama rozwiązywała. Pierwszem z nich było dostarczenie pracy przez utrzymanie i popieranie istniejących warsztatów. Drugiem była opieka nad niekwalifikowanym i małoletnim robotnikiem — uczniem. Tu korporacja ustalała warunki, względnie przy zawieraniu umowy był obecnym jej przedstawiciel, jako opiekun z urzędu. Pozatem korporacja oznaczała czas pracy.

Natomiast sprawa płacy nie podlegała korporacji. Była ona przedmiotem indywidualnych umów w Polsce.

Jako organizacja produkcji korporacja obejmowała życie robotnika tylko o tyle, o ile był on producentem. Samopomoc obejmowała opiekę nad chorymi, nad ubogimi (czyli niezdolnymi do pracy lub jej pozbawionymi), wreszcie pośrednictwo pracy. Organizacje czeladnicze w średniowiecznej Polsce nie prowadzą walki o wysokość płac. Stosunki były tak zdrowe, że o sporach takich nie słychać. Jednak gdzieindziej, a w Polsce później, w XVI w., miały one miejsce. W tych walkach o wysokość płacy i czas pracy organizacje robotnicze występują samodzielnie, poza korporacjami, w skład których jako takie nie wchodziły. Organizacje te były uznawane przez władze samorządowe. Walki między producentami a pracownikami toczyły się przy pomocy strajków i bojkotów, a rolę arbitra odgrywały nie korporacje, które broniły interesów producenta, lecz władze, w danym wypadku samorządowe.

Razi tu napozór owa dwoistość organizacji średniowiecznej: obok związków producentów — korporacyj, do których wchodzi każdy robotnik jako producent, były inne organizacje, czysto robotnicze, które obok samopomocy miały czasem na celu obronę przeciw wyzyskowi. Ta sprzeczność rozwiązywała zagadnienie niezwykle trudne. W produkcji musi być zachowana hierarchja, karność jest tu podstawą powodzenia. Przy hierarchji nie może być mowy o równouprawnieniu robotnika i przedsiębiorcy, albo hierarchji niema. Natomiast bez równouprawnienia nie może być mowy o sprawiedliwej płacy. Stąd ustrój korporacyjny średniowiecza w dwu płaszczyznach rozwiązywał nasuwające się mu zadania: w płaszczyźnie korporacji rozstrzygano racjonalną organizację produkcji, w płaszczyźnie związków robotniczych sprawę wysokości płac, przyczem ingerowały tu władze, stojące ponad korporacjami i ponad związkami robotników.

Naogół system ten, bardzo elastyczny, zdał egzamin. Z wielką łatwością korporacje mogły się zamienić w egoistyczne związki pracodawców, zatracając swój ogólny charakter, a robotnik mógł je bez trudu opuścić, by stanąć je-

dynie w szeregach swych związków. Jednak walki, które częściej powtarzane mogłyby do tego rezultatu doprowadzić, były rzadkością, a przyczyną tego pomyślnego zjawiska była zarówno elastyczność systemu, jak głębokie podstawy religijne i zasady etyczne, na których był zbudowany. I ten to właśnie moment etyczny był spójnią całej średniowiecznej budowy społeczeństwa.

5) Wreszcie korporacje, których celem było zorganizowanie produkcji, zaradzać musiały potrzebie kosztownych urządzeń. Utrzymywanie wszystkich warsztatów przy życiu miało jako skutek bardzo powolne bogacenie się jednostek. Stąd brakło kapitałów na urządzenia droższe, które powolny zresztą postęp techniki narzucał. Potrzebom tym zaradzały korporacje przez zbiorową inicjatywę w formie zakładania kosztownych przedsiębiorstw, finansowanych przez korporacje, z których korzystali wszyscy ich członkowie. Tego rodzaju przedsiębiorstwa, których zarząd zależał od korporacji, dawały producentom możność konkurowania z innemi ośrodkami przemysłu. Pozatem korporacje w warunkach trudnych przejmowały na siebie jeszcze inną rolę — dostarczały surowców, rozdzielając je między poszczególnych swych członków. Jednak celem tych wszystkich przedsięwzięć nie był zysk, z owych warsztatów czy dostaw osiągany, ale jedynie podtrzymanie i rozwinięcie indywidualnych warsztatów. Nie była to więc produkcja, przez spółki zarobkowe prowadzona, ale samopomoc, na podtrzymanie i rozwinięcie produkcji obliczona. Była ona wyjątkiem, gdyż indywidualnie prowadzone przedsiębiorstwo było podstawową formą produkcji w średniowieczu. Spółka jawna jest rzadkością, a pozatem zwykle jest formą przejściową do indywidualnego przedsiębiorstwa. Spółka zaś anonimowa była nietylko w średniowieczu nieznaną, ale też poczęści sprzeczną z duchem jego, który wszędzie ustanawiał wyraźną odpowiedzialność moralną za czyny. Ograniczenie pełnej odpowiedzialności moralnej, stanowiące cechę wyróżniającą spółki anonimowej, z trudem dałoby się pogodzić z zasadniczym punktem wyjścia kanonistów — moralną odpowiedzialnością za działania. Zresztą zastępowano je, jak to widać, przez inicjatywę korporacji w razie kosztownych inwestycyj: tak np. gwarectwo

olkuskie miało charakter samopomocy drobnych przedsiębiorstw górniczych wobec niebezpieczeństw, przez przyrodę nagromadzonych w postaci wód, które kopalnie zalewały. Podobnie rzecz miała się i gdzieindziej.

Ustrój korporacyjny średniowiecznej Polski nie był prostym. Osiągał swój cel przez wiele skomplikowanych urządzeń, gdy liberalizm drogą prostych zasad mnoży bogactwa świata. Ale wśród usiłowań, by pogodzić wolność gospodarczą i organizację, inicjatywę jednostki i dobro wszystkich, prawa robotnika i hierarchję w produkcji, prawa konsumenta i słuszny zysk wytwórcy — osiągał cel wielki, wspaniały: *maximum* sprawiedliwości w ustroju społecznym. Trzy wieki trwał w rozkwicie na ziemiach polskich, trzy dalsze był podstawą całego życia, choć był podkopywany. A jeśli skromny może, to wszystkim jednak dawał dobrobyt. Był fundamentem potęgi królestwa i ostoją w nim porządku. Jeżeli zaś lepsze są środki proste, niż skomplikowane, to lepszą jest bardzo złożona, do sprawiedliwości wiodąca budowa, od organizacji prostej, lecz moralnie złej. Nazwać zaś trzeba liberalizm gospodarczy moralnie złym, gdyż sprowadza gwałtowne nienawiści klasowe i utrudnia niezmiernie stosowanie etyki w życiu codziennem.

Handel.

Na zasadach korporacyjnych zorganizowany był również handel. Nie każdy miał prawo nim się trudnić, a jedynie korporacje, doń uprawnione w danem mieście. Kupcy w wielkich miastach dzielili się na hurtowników, kramarzy i budników, czyli drobnych kupców spożywczych. Ponieważ kupcy obsadzali rady miejskie, w Polsce dość rzadko występują osobne korporacje kupieckie — zwykle interesów kupców broniły rady miejskie, identyfikując interesy miast i kupiectwa.

Monopol handlu w danej osadzie drogą nadania panującego dostawał się w ręce korporacyj kupieckich. One zaś ze swej strony przyjmowały nowych członków do swego grona. Korporacje te za pośrednictwem rad miejskich ustalały cenniki towarów, kontrolowały ich jakość oraz miary i wagi. Cenniki obowiązywały wszystkich: za jakość wyro-

bów przemysłu odpowiadały cechy, jedynie co do artykułów spożywczych wydawały opinję rady miejskie, podobnie jak co do miar i wag. Łatwo przez taki monopol mogły powstać nadużycia. Władze samorządowe — rady miejskie — były wobec nich bezsilne, bo reprezentowały korporacje kupieckie. Wobec tego w sprawach cenników interwenjowało państwo tam, gdzie były nadużycia. Pozatem na ustalanie poziomu cen wpływało częściowe dopuszczenie wolnego handlu na jarmarkach, gdzie cenniki nie obowiązywały.

Ceny artykułów spożywczych ustalała rada miejska. Środkiem ich regulacji były cotygodniowe targi, gdzie cenniki na artykuły żywności nie obowiązywały, a producent rolnik mógł się bezpośrednio zetknąć z konsumentem. W trosce o usunięcie wszelkiego pośrednictwa zakazywano handlu wszędzie poza targiem. W ten sposób pośrednik spekulant nie miał pola do interwencji. Zasada usunięcia pośrednictwa występowała również przy kilku artykułach, stanowiących surowce, niezbędne dla przemysłu, jak żelazo, sierść, które w niektórych miastach nabywać mogli tylko członkowie korporacyj przemysłowych, a to dla obniżenia kosztów produkcji. W pewnych wypadkach mogli oni nawet przymusowo po cenie kosztów zakupować u pośredników owe towary. Zakaz spekulacji opierał się na zasadzie wygłoszonej przez św. Tomasza, że kupiec otrzymuje w formie zysku zapłatę za pracę, gdyż naogół wówczas znano tylko w handlu dobra spożywcze. Była ona uprawnioną przy artykułach, zdaleka przywożonych, lub przechowywanych z trudem, była lichwą tam, gdzie przychodziła bez pracy. Zakaz pośrednictwa zmierzał do celu, który sobie stawiał ustrój korporacyjny średniowiecza — a mianowicie do zetknięcia bezpośredniego producenta i konsumenta. Rolnik kupował towary u rzemieślnika, ów zaopatrywał się w środki żywności u rolnika na targu. Uprawnionem zato było pośrednictwo w handlu artykułami, których producenci byli daleko. Takie ograniczenie pola działalności korporacyj kupieckich było wynagrodzone przez przywileje celne i prawo składu, zwolnienie od ceł wewnętrznych na pewnym obszarze, ułatwiały handel kupcom danego miasta. Same zaś cła wewnętrzne odgraniczały jakby rejony, w obrębie których rozwijała się

działalność poszczególnych korporacyj kupieckich. Równocześnie są to rejony poszczególnych ośrodków przemysłu. W ten sposób ograniczona była konkurencja wewnątrz państwa. Błędnem byłoby twierdzenie, iż dziś takich ograniczeń nie znamy: rolę ceł wewnętrznych spełniają, skuteczniej może, taryfy przewozowe. Podział krajów na szereg okręgów, oddzielonych od siebie celnemi granicami, ułatwiał utrzymanie i rozwój wielu drobnych miasteczek, które żyły ze swych targów. Wielkie miasta uzyskiwały monopole handlowe w formie prawa składu. Równało się ono nadaniu monopolu na handel z określonemi krajami lub na określonych szlakach handlowych, np. Lwów miał taki monopol na handel ze wschodem przez „kraj tatarski", natomiast mimo starań nie udało mu się zdobyć pełnego monopolu w wymianie z krajami nad morzem Czarnem. Ponieważ nie było można praktycznie przeprowadzić skutecznej przegrody dla kupców obcych w szeregu komór celnych na granicy, panujący ustalał jako przymusową jedną drogę, na końcu której leżało miasto, obdarzone prawem składu. Tam musiał kupiec wystawić swój towar na sprzedaż po cenie bieżącej. Przy składzie bezwzględnym nie wolno mu było wieźć towaru dalej, przy składzie względnym mógł go przewozić, o ile nikt go nie kupił. W praktyce obie formy miały znaczenie całkowitego zakazu handlu dla kupców obcych poza pewnym punktem drogi handlowej. Właściwie prawo składu tworzyło w środku lądu jakgdyby porto franco, emprjum wolne lub prawie wolne od ceł, poza którem rozciągał się obszar monopolu handlowego pewnej korporacji kupieckiej.

Zarówno prawo składu, jak i granice celne zmierzały do ochrony nietyle przemysłu krajowego, co kupiectwa. Cła ochronne dla przemysłu były nieznane. Być może wchodził tu w grę interes panującego, który w kupcach widział najbogatszy element miejski, powszechność jednak tego zjawiska pozwala też inaczej je wytłumaczyć. Przemysł posiadał znaczne przywileje w postaci monopolu produkcji; wprowadzenie ceł ochronnych miałoby na celu albo jeszcze większe jego uprzywilejowanie na niekorzyść konsumenta krajowego, albo podbój nowych rynków. Ta druga możliwość była wręcz przeciwną pojęciom kanonistów, którzy

konkurencję starali się wyeliminować, pozostawiając ją tylko jako przeciwwagę egoizmów producentów. Wobec tego cła ochronne i polityka protekcyjna obce były średniowieczu, podobnie jak idee podboju gospodarczego. Przemysłowi wystarczyć musiał monopol produkcji, handel otrzymywał specjalne przywileje, które tu wyszczególniono.

Organizacja handlu ma charakter wybitnie indywidualny, spółki są rzadkie i jedynie dorywcze, tam gdzie jest większe ryzyko. [1]) Kosztowniejsze urządzenia, jak hale targowe, brało na siebie miasto lub panujący. Transport był w ręku osobnych przedsiębiorców, furmanów, których na ten cel wynajmowano.

W korporacyjnej organizacji handlu widać pewne połączenie interesów stanowych i korporacyjnych przez oddanie w Polce reprezentacji kupiectwa w większości wypadków w ręce władz samorządowych. Jednak charakter monopolów ograniczających wolny handel jest przeważnie i wybitnie korporacyjny. Stan bowiem był grupą ludności, o specjalnych prawach i obowiązkach wobec państwa, grupą wyposażoną w swobody i przywileje. Korporacja natomiast była grupą producentów, wyposażoną w monopol, lub też związkiem o celach kulturalnych, wyposażonym w specjalne uprawnienia.

---

[1]) W przeciwieństwie do chrześcijan często zawierali spółki żydzi, ale formy ich oraz organizacja są nam nieznane. Sądząc z analogji innych krajów spółki chrześcijańskie, podobnie jak dzisiejsze spółki akcyjne, odróżniały majątek włożony do przedsiębiorstwa i majątek własny, odpowiedzialność była ograniczona do udziałów. Zysk wypłacano w zależności od włożonego kapitału. Natomiast różnice były następujące: a) osoby udziałowców były znane, b) nie istniała swoboda sprzedawania udziałów osobom trzecim, c) nie było akcji uprzywilejowanych, a każdy członek spółki miał niewątpliwie głos równy, niezależnie od sumy włożonej, d) udziałowcy mieli obowiązek pracować w przedsiębiorstwie, a pracownicy długoletni dostawali udziały. (Por. Schulte, A. *Die Grosse Ravensburger Handels Gesellschaft,* 1923). W ten sposób odpowiedzialność za działania były umiejscowione przez jawność i stałość udziałów, wyzysk i oszustwa były utrudnione. Z powodu tego, że pieniądz wówczas nie posiadał tej ekonomicznej siły wytwórczej, którą dzierży dzisiaj, nie było rentjerów, którzyby nie byli z przedsiębiorstwem związani. Równocześnie pozostawało ograniczenie ryzyka i łatwość gromadzenia większych kapitałów.

Rolnictwo.

Produkcja rolna była wyłącznie oddana włościanom. Toteż w obrębie stanu włościańskiego można odróżnić pewne cechy organizacyjne, które zbliżają poszczególne lokalne grupy rolników do korporacji, choć wszystkich cech korporacyj przemysłowych nie posiadają.

Przedewszystkiem w formie monopolu nadawano prawo produkcji rolnej pewnej ilości rolników i rzemieślników (młynarzy, szewców, rzeźników, kowali, karczmarzy). W praktyce tylko przepisy dotyczące ilości młynów i karczem miały pewne znaczenie, ograniczając konkurencję wewnątrz wsi. W rzeczywistości bowiem współzawodnictwo między różnemi wsiami uniemożliwiało pełne wykonanie programu, zawartego w dokumentach osadźczych. Podobnie nie wszystkie łany bywały osadzone przez rolników, a im więcej ziemi było obrobionej, tem wyższe czynsze pobierał pan wsi.

Natomiast w samej produkcji byli włościanie ograniczeni przez przepisy o podziale roli we wsi na trzy części, zgodnie z zasadami trójpolówki. Każdy gospodarz miał łan swój w trzech odcinkach, z których jeden był pod oziminą, drugi pod jarzyną, trzeci leżał ugorem. Wraz z innymi rolnikami, nie dowolnie, ale w myśl życzeń gromady, musiał on zmieniać kolejność uprawy. W ten sposób osiągano racjonalizację produkcji w ramach dość prymitywnej gospodarki.

Pozatem drogą zwyczajową ustalono pewne ciężary i zobowiązania wobec panów. Później regulować je zaczęła sama szlachta, z chwilą, gdy ze stanu rycerskiego przedzierzgać się zaczęła, u schyłku XV w., w korporację rolniczą i kapitalistyczną. Naogół tylko niektóre cechy ustroju korporacyjnego przeniknęły na wieś. Dotyczą one głównie produkcji. Sprzedaż artykułów żywnościowych i innych, przez rolników wyprodukowanych, nie była regulowana przez producentów. Sprzedaż była wolną, ceny ustalały miasta, a więc konsument. Być może, iż chodziło tu o obronę jego interesów. W razie, gdyby rolnik miał stać się przedmiotem wyzysku w mieście (ze strony przekupniów i pośredników), broniły go przepisy miejskie o placach targowych, miarach i wagach. Gdyby zaś konsumenci chcieli producentów rolnych pozbawić słusznego zysku przez ustanawianie cen zbyt

niskich, interwenjować mogła władza państwowa. Ona również chroniła włościan przed wyzyskiem, a szlachtę przed ruiną, wydając przepisy o opuszczaniu gruntów przez włościan oraz o ich powinnościach. Ceny w karczmach, gdzie się skupiał handel spożywczy wsi, ustalało państwo.

Trudno jest znaleźć przyczyny, dlaczego stan rolniczy tak słabo rozwinął u siebie organizację korporacyjną. Zdaje się, iż małe gospodarcze wpływy rolnictwa, które nie eksportowało swych płodów, spowodowało słaby rozwój zrzeszeń rolniczych. Interesów rolnika broniły przepisy targowe i cenniki w miastach, a jedynie produkcja była do pewnego stopnia unormowana. Owe braki wskazują jednak, iż ustrój korporacyjny może istnieć i rozwijać się, nie obejmując w całości wszystkich gałęzi produkcji, a jedynie niektóre, najbardziej podstawowe dla życia gospodarczego.

Korporacje wojskowe.

Napozór trudno oczekiwać organizacji korporacyjnej wśród szlachty, skoro wojna produkcją nie jest. Istotnie, szlachta występując jako całość, jako pospolite ruszenie, jest tylko uzbrojonym stanem wojowników. Ale i tu organizacja korporacyjna znalazła swoje echa, przedewszystkiem wśród wojsk zaciężnych. Pospolite ruszenie możnaby porównać do milicji. Nie wystarczała ona do obrony granic, więc wynajmowano na czas wojny oddziały żołnierzy zawodowych, przeważnie zresztą Polaków. Zaciężni ci organizowali się w rodzaj korporacyj zarobkowych, traktując wojnę jako przedsiębiorstwo (system ten przetrwał do XVIII w.). Zaciężni ustalali ceny, które zwyczajowo utrzymywały się na pewnym poziomie; służyli na zasadzie umowy najmu, która nie zobowiązywała ani do wierności, ani do posłuszeństwa w razie jej wygaśnięcia. Formy i nazwy były przejęte z organizacji cechowej. Była to jedyna forma korporacji, do której należeli rycerze w Polsce, jako do organizacji zarobkowej.

Zasady ustroju finansowego.

Zagadnienie kryzysu w dziedzinie finansowej, jaki się rozpoczął w r. 1931 przekracza niewątpliwie ramy zwykłego wstrząsu, których ustrój kapitalistyczny tak wiele widział.

Chwianie się zaufania, załamywanie najpotężniejszych instytucyj, jest wyrazem upadku tej myśli, która przewodziła całemu życiu gospodarczemu wieku XIX — optymizmu. Optymizm ten wyrastał z wiary w nieskończony i nieograniczony postęp ludzkości; to też każdy kryzys był tylko szczeblem do dalszego rozwoju, a każda inwestycja musiała przynieść zyski prędzej czy później, bo wszak ludzkość kroczyła ku bezkreśnej, bezmiernej materjalnej pomyślności. Załamanie tej wiary w obliczu katastrof powojennych podcięło podstawy zaufania, a zarazem nerw życiowy gospodarki kredytowej. Stąd, wobec wielkiego przewrotu, jaki następuje w pojęciach ludzi, trzeba tem mocniej przypomnieć zasady nauki katolickiej o finansach.

Sformułował je genjalny umysł Tomasza z Akwinu.[1]) Lecz nie sposób go zrozumieć bez tła współczesności, bez skutków, jakie wywarła jego nauka na całość życia gospodarczego średniowiecznej Europy. Dlatego też przedstawić tu trzeba pokrótce zasady ustroju finansowego Polski, tak

---

[1]) *Summa Theol.* II. 2. qu. 78 art. 2. (5) Zarzut brzmi jak następująco: Praeterea, magis a se pecuniam alienat, qui eam mutuando dominium transfert, quam qui eam mercatori vel artifici committit. Sed licet lucrum accipere de pecunia commissa mercatori vel artifici. Ergo licet etiam lucrum accipere de pecunia mutuata. Na to odpowiada Tomasz: Ad quintum dicendum, quod ille qui mutuat pecuniam, transfert dominium pecuniae in eum cui mutuat; unde ille cui pecunia mutuatur, sub suo periculo tenet eam, et tenetur eam restituere integre; unde non debet amplius exigere ille qui mutuavit. Sed ille qui committit pecuniam suam vel mercatori vel artifici per modum societatis cuiusdam, non transfert dominium pecuniae suae in illum sed remanet eius; ita, quod cum periculo ipsius mercator de ea negotiatur, vel artifex operatur; et ideo sic licite potest partem lucri inde provenientis expetere, tamquam de re sua. Wynika stąd wyraźnie, że pożyczka na cele produkcyjne jest dozwolona, również, jak i udział w zyskach (czyli procent od nich), jedynie forma bezwzględnego pobierania procentu jest potępiona. Tamże w art. I podnosi Tomasz konsumcyjny charakter lichwiarskich pożyczek. Nie podpadają pod to pojęcie produkcyjne spółki, jak podano wyżej. Istotą konsumcyjności pożyczki jest naruszanie przy lichwie substancji majątku. Stąd jasnym jest związek nauki o lichwie z nauką o własności, co się wyrażało też w nakazie zwrotu owoców lichwy. Też *Quaest. Disputatae, De malo*, quaest. XIII zwłaszcza art. 4. Dla jasnego rozróżnienia nazywamy procentem bezwzględnym lub bezwzględnie pobieranym odsetki według nieruchomej skali.

jak on się przedstawiał w okresie średniowiecznym, gdy był oparty na zasadach tomizmu.

Usiłowano niejednokrotnie „tłumaczyć" Tomasza z Akwinu i innych myślicieli zarówno średniowiecznych, jak i starożytnych (Arystoteles), którzy potępili pobieranie procentu. Rzekomo pisać mieli w okresie gospodarki naturalnej lub bardzo prymitywnej, gdy pieniędzy było mało, a każda pożyczka była konsumcyjną. Nie jest to ścisłe. Św. Tomasz żył w okresie rozkwitu handlu i gospodarki pieniężnej na brzegach morza Śródziemnego, znał życie nowych i bogatych targowisk Włoch i pisał nie dla ludzi, żyjących wśród gospodarki naturalnej, ale właśnie rozwiniętej gospodarki pieniężnej. I w tem tkwi właśnie całe jego znaczenie. Jeśli dziś zasady tomizmu nie są stosowane, to jeszcze mniej są rozumiane, i stąd lekceważenie, tak często przebijające w sądach o „nieekonomicznych" zasadach jego, które tamowały rozwój gospodarczy średniowiecza.

Średniowieczny ustrój finansowy opierał się na dwu kardynalnych zasadach, z których później konsekwencje inne wypływały. Były niemi: zachowanie własności w ręku tego, który ją prawnie posiadał, oraz utrzymanie prawa do słusznego udziału w zyskach. Obrona prawa własności, przeprowadzona konsekwentnie w całej nauce tomizmu i w całem życiu gospodarczem, właśnie w obronie przed lichwą i nieuczciwością znalazła najpełniejszy swój wyraz. Własność nabywa się przez przyrost naturalny, dziedziczenie, zawłaszczenie rzeczy niczyjej lub przez pracę. Wymiana oczywiście w grę nie wchodzi. Wszelkie inne sposoby nabywania są nieprawe.

Zasada własności stoi ponad zasadą produkcji; dlatego też, dla jej utrzymania, najdogodniejsza dla produkcji, choć nie jedyna, forma pożyczania pieniędzy konsumpcyjnych na procent została potępiona. Pożyczka, z której dłużnik czerpie zyski, jak pożyczka na cele przemysłowe i handlowe, winna przynosić korzyść także wierzycielowi. Byłoby z krzywdą jego odmówić mu tego prawa do słusznego zysku. To też moralnie wierzyciel ma wszelkie prawo do zwrotu większej sumy od sumy pożyczonej tam, gdzie dłużnik z pomocą jego pieniędzy osiągał zyski. Jest to zasada powszechnie

uznana i przez św. Tomasza uświęcona.[1]) Ale nie może się filozofja chrześcijańska zgodzić na żadne nadwyrężenie majątku, czyto dłużnika, czy też wierzyciela. Wszelkie takie nadwyrężenie majątku drogą lichwy lub nieuczciwości podkopuje samą istotę prawa własności i niszczy porządek społeczny, na niej zbudowany.

Temu postulatowi sprawiedliwości nie mógł zadość uczynić ustrój kredytowy, oparty na podstawie bezwzględnego pobierania procentu. Nie można określić przy umówionej stopie procentowej, czy w wyniku przeprowadzonych, na zysk obliczonych działań, dłużnik osiągnie korzyści, a nie straty. W pierwszym wypadku opłaci procent z dochodu, w drugim z majątku; poniesie wówczas na nim stratę, a procent stanie się lichwą. Zmiana warunków nawet nie w okresie kryzysów, może zmniejszyć rentowność przedsiębiorstwa tak, że procent z majątku musi być opłacony. Podobnie w wypadkach klęsk naturalnych procent od pożyczek, wcześniej zaciągniętych, staje się lichwą. Nie należy pomijać szeregu wypadków, w których chęć zysku prowadzi do zaciągania pożyczek na wygórowanych procentach, niosąc ruinę lekkomyślnym i nieostrożnym. To też w ustroju finansowym, opartym na systemie procentowym, niema miejsca na jasne rozróżnienie lichwy i sprawiedliwego udziału w zyskach. Niema kryterjów do oceny, skoro stan rzeczy zmienia się z dnia na dzień. Stąd krok tylko do stwierdzenia, że albo wszystko jest lichwą, albo nic nią nie jest, i że można o lichwie mówić tylko w bardzo szczególnych wypadkach wyzysku. Samo pojęcie lichwy staje się niezrozumiałem, a prawo własności jest podkopanem przez bezwzględne pobieranie procentu przy ogólnej niepewności warunków. Każda klęska elementarna, każda wojna prowadzi do wyzucia prawych posiadaczy przez tych, którzy im pieniądze pożyczyli i to tylko na podstawie niezapłacenia procentu. Stąd pieniądz, który sam przez się jest dobrem konsumcyjnem, bo w życiu gospodarczem nie jest celem w sobie, lecz jedynie środkiem wymiany, miernikiem wartości — staje się drogą lichwy źródłem innych pieniędzy.

---

[1]) Por. *Summ. Theol.* I. 2, quaest. 105 art. 2 i II, 2, quaest. 78 art. 1.

Dlatego też św. Tomasz, stojąc przy zasadzie poszanowania własności, musiał odrzucić bezwzględne pobieranie procentu. Jeśli nie można rozróżnić pobierania procentu uprawnionego od nieuprawnionego, natenczas trzeba więc wogóle zasadę bezwzględnego pobierania procentu od pożyczek odrzucić, uznać jako złą, a na to miejsce wprowadzić zasadę inną. Stąd płynie u św. Tomasza rozróżnienie dwu form pożyczania pieniędzy: lichwy i udziału w zyskach. Lichwa to każda pożyczka na bezwzględny procent, każda pożyczka, w której wierzyciel odbiera więcej niż dał, bez względu na konsumpcyjny charakter rzeczy wypożyczonej. Udział w zyskach obejmuje wszelkie dozwolone formy pobierania dochodu od pożyczonych pieniędzy. Dla jasnego rozróżnienia tych dwu form, pierwszej, moralnie złej, która prowadzi do nadwyrężenia majątku, i drugiej, moralnie dozwolonej, która pozwala dzielić się zyskami, wprowadza tomizm dwa terminy, dwa pojęcia, dwie formy prawne.[1]) A troskliwość jego w obronie prawa własności idzie tak daleko, że zezwala na wynagrodzenie strat, któreby przy pożyczce mogły dla wierzyciela wyniknąć. Chodzi tu nie o fikcyjne *dammum emergens* i *lucrum cessans* gdzieś w przyszłości, ale o stratę bieżącą, konkretną, np. pozbawienie się środków do życia przez oddanie kapitału, co musi — przez utrzymanie — wynagrodzić dłużnik, albo strata na wartości majątku, sprzedanego, by udzielić pożyczkę. Wszelkie oczywiście wynagradzanie rzekomo w przyszłości oczekiwanych zysków jest lichwą. Z drugiej strony pojęcie udziału w zyskach rozszerzone jest tak dalece, że nawet pożyczka na cele produkcyjne bez udziału osobistego w produkcji jest tu podciągnięta, oczywiście w tym wypadku, gdy jest obliczony dochód jako część zysku, nie zaś jako bezwzględnie stały procent.

Oto dwie zasady tomizmu, które wprowadzono w życie w ustroju średniowiecznym: obrona własności i słusznego zysku. Płynęły z nich dalsze konsekwencje, a więc ochrona

[1]) Halban L., *Lichwa w nauce i prawie kościelnem, do soboru wienneńskiego* (1311 r.) *Pam. Hist.* Pr. II, z 5, 1926. nie porusza zagadnień ze stanowiska filozofji, jednak przytoczone przezeń teksty potwierdzają ten punkt widzenia, szczególnie str. 10, 67, 92.

dłużnika i ochrona wierzyciela. Ochronę dłużnika przeprowadzał Kościół, uznając lichwę za grzech śmiertelny.[1]) Owoce lichwy — dobra za nie nabyte — podlegały zwrotowi. Obok tego Kościół zwalczał skutki lichwy, zakładając instytucje kredytowe, udzielające pożyczek bez procentu tym, którzy padali lub mogli paść ofiarą lichwiarzy bez własnej winy, a z drugiej strony zachęcał do charytatywnej pracy w tej dziedzinie. W ten sposób cały moralny autorytet Kościoła ważył na życiu średniowiecza, broniąc prawa własności.

Stawało też w obronie dłużnika państwo, zakazując chrześcijanom praktykowania lichwy. Dopuszczano jedynie udział w zyskach. Tylko Żydom pozwolono trudnić się lichwą, i tu jednak Kazimierz W. ograniczył maksymalny procent do 108 % rocznie, o ile pożyczka nie była zabezpieczona na nieruchomości. Państwo nie mogło zakazać Żydom pobierania lichwy, religja bowiem żydowska dopuszczała ją w stosunku do nie-żydów, zakazując jej między wyznawcami zakonu mojżeszowego. Dlatego też państwo, wychodząc z założeń religijnych przy zakazach lichwy, nie mogło nie uznać odmiennych założeń religijnych u Żydów. Byli oni jedynymi niemal bankierami średniowiecza. W wyniku bowiem działalności Kościoła i państwa, skierowanej przeciw lichwie, nie mogło powstać w średniowieczu bankierstwo. Kredyt był zdecentralizowany, pieniądze pożyczali ci, którzy je posiadali, a w szczególności kupcy i rzemieślnicy. Pożyczanie pieniędzy nie było dla nich głównym środkiem zarobkowania, jak u bankierów, ale tylko ubocznem zajęciem, jeśli się istotnie, wbrew zakazom, lichwą trudnili. Stąd zupełnie odmienna od dzisiejszej struktura gospodarcza średniowiecza, której kapitalizm był zgoła nieznany.

Obrona wierzyciela przed nieuczciwym dłużnikiem była w średniowieczu szeroko stosowana. Pożyczki, które wpisywano tylko do ksiąg sądowych, były rzadkością. Istotną formą zabezpieczenia pożyczki był zastaw, zarówno na nieruchomościach, jak i na ruchomych dobrach, przyczem w razie nieoddania długu na czas, przedmiot zastawu przypadał wierzycielowi. Zastaw objektów, nie przynoszących

[1]) *De malo,* qu. XIII, art. 4.

dochodu, nie nastręczał trudności, natomiast przy zastawie dóbr ziemskich z dochodami formą zgodną z zasadami nauki katolickiej był zastaw „do wytrzymania", polegający na tem, iż dług się umarzał automatycznie z dochodów z dóbr. Natomiast zastaw majątku z dochodami „do wykupienia", czyli do osobnej spłaty całej sumy pożyczonej, był już lichwą. Stosowany był masowo w XV wieku przez możnych, pożyczających królom pieniądze pod zastaw dóbr. Przeciw tego rodzaju rujnującym kraj praktykom szlachta często, choć bezskutecznie, występowała.

W miastach stosowano inną formę zastawu — „na wyderkaf". Była to właściwie sprzedaż z prawem wykupu za określoną sumę po pewnym czasie. Sądzę, że nie sprzeciwiała się ona zasadom kanonistyki, o ile suma kupna równą była sumie wykupna.

Wreszcie jeszcze jedną formą zabezpieczenia wierzyciela było kupno renty. Za określoną sumę nabywał wierzyciel prawo do renty, zwykle dożywotniej. W ten sposób zwrot długu odbywał się częściami. Zwykle tę formę zabezpieczenia kredytu stosowały władze miejskie przy zaciąganiu pożyczek. Instytucje duchowne często udzielały pożyczek, zabezpieczając je jako renty wieczyste. Umowa o rentę mogła być rozwiązana tylko na życzenie dłużnika, a sumy pożyczone trzeba było spłacić.[1])

Naogół powyższe sposoby dawały dość pewne zabezpieczenie wierzycielom, oddając w ich ręce majątek, na którym pożyczki były zagwarantowane. Hipotek wogóle średniowiecze nie znało, zabezpieczając sumy pożyczone nie na wartości sprzedażnej objektów, lecz na nich samych. Podobnie nie były znane weksle, a tylko zbliżoną do nich formą zaciągania pożyczek były zapisy pożyczek do ksiąg

---

[1]) Pazdro, *Lichwa w wiekach średnich* 498 i nast. (*Kw. Hist.* 1901) idąc za M. Neumannem (*Gesch. des Wuchers in Deutschland* 1865, str. 279 i nast.), uważa kupno renty za lichwę, mimo uznania przez Kościół tej formy transakcji. Błąd jego polega na traktowaniu jako lichwy wszelkiego zysku z pieniędzy. Teorja bezpłodności pieniądza jest dziś panującą, a mimo to procent jest uznawany. Tymczasem, jak podkreślał Kościół, kupno renty było udziałem w zyskach i substancji nie naruszało, cech więc istotnych lichwy tu nie było.

urzędowych, które gwarantowały zastaw w razie nieoddania w terminie pożyczonej sumy.

Ustrój finansów średniowiecznych przetrwał tak długo w swej nieskażonej postaci, jak długo moralny autorytet Kościoła był niezachwiany. Jednak lichwa była jednem z częstszych wykroczeń przeciw prawu własności, a w XIV w., gdy autorytet Kościoła zaczął podupadać, państwo poczęło tolerować lichwę, a w końcu wieku XV uznało ją legalnie. Powstało też bankierstwo, jako odrębne zajęcie, oparte jedynie o procenty, pobierane od pożyczek. Coraz częściej pod pokrywką pożyczek bezprocentowych, lecz zwrotnych w lepszej monecie, wyderkafów, zastawów do wykupienia, renty etc. występowała lichwa. Wobec trudności, z jakiemi musiał walczyć ogół katolików, dominikanie domagali się powrotu do zasad Św. Tomasza; franciszkanie jednak uważali, że należy dopuścić procent tam, gdzie nie jest on lichwą, a tę ostatnią zwalczać przez pożyczki bezprocentowe, zakładanie banków pobożnych, oraz *montes pietatis* czyli gór zbożności (lombardów, prowadzonych nie w celach zysku). Stolica Apostolska zajmowała stanowisko wyczekujące, oba bowiem poglądy z punktu widzenia etyki były dopuszczalne, a różniły się w metodach zwalczania lichwy. Wreszcie w początkach XVI wieku Kościół uznał stanowisko franciszkanów za uprawnione, a później za zasadę odróżnienia lichwy od uczciwego zysku przyjął przepisy prawa państwowego. Nie oznaczało to potępienia koncepcji dominikańskiej, a tylko uznanie dla metod franciszkańskich.[1]) To też do XVII w. w krajach katolickich za cnotliwego uchodził ten, który nie pożyczał na procent. Tymczasem rewolucja religijna XVI w. dokonała doniosłego przewrotu w dziedzinie pojęć moralnych. O ile Luter zwalczał lichwę w sposób dość zresztą niejasny i mglisty, to Kalwin uznał pobieranie bezwzględ-

[1]) O franciszkanach i dominikanach Pazdro, op. c. str. 470, uznanie dla koncepcji franciszkańskiej (Montes pietatis) i nic więcej zawiera bulla Leona X z r. 1515 *(Infer multiplices)* Por. Denzinger H., *Enchiridion symbolorum et definitionum,* Freiburg 1913, wyd. 12, str. 256; tamże inne orzeczenia w sprawie lichwy aż do XIX wieku włącznie, z których wynika, że Kościół zasadniczego stanowiska swego co do lichwy wcale nie zmienił.

nego procentu za całkowicie uprawnione. Być może, iż z tem wiąże się niezwykle szybki postęp kapitalizmu w krajach kalwińskich (Anglja, Holandja). Poglądy Kalwina zaczęły przenikać do krajów katolickich, prowadząc do zupełnego zatarcia pojęć o lichwie w życiu gospodarczem. Mimo wszelkich wysiłków, franciszkańska koncepcja walki z lichwą okazała się w rezultacie zawodna i można powiedzieć, że egzaminu życiowego nie zdała.

Ustrój średniowieczny upadł. Okazało się, że do jego funkcjonowania trzeba wysokiego, choć do osiągnięcia możliwego, poziomu moralnego. Wtedy tylko dwie kardynalne zasady, które godził — prawo własności i prawo słusznego zysku — wzajemnie się uzupełniały. System ten nie utrzymał się. Zwyciężyła bezwzględnie zasada zysku. Sądzę, że franciszkańska koncepcja walki z lichwą nie zdała egzaminu.

Dzisiejszy ustrój finansowy daleki jest nietylko od form średniowiecza, ale od kardynalnych zasad tomizmu. Ani prawo własności nie jest chronione, zarówno dla dłużnika, jak i dla wierzyciela, ani zasada słusznego zysku nie jest utrzymana. Podstawa naszego ustroju jest prosta, dogodna dla produkcji, ale dająca niezmierzone pole do nadużyć. To też coraz częściej odzywają się ze skrajnych obozów społecznych, nawet prawicowych (Hitler), głosy za zniesieniem banków prywatnych i upaństwowieniem kapitału. Niewątpliwie jest w tem reakcja przeciw brakowi sprawiedliwości w dzisiejszym ustroju finansów.

Korporacje oświatowe.

Dziedzina oświaty w średniowieczu podlegała Kościołowi; państwo interwenjowało rzadko. Brakło mu najsilniejszego bodźca do uzależniania od siebie zakładów naukowych — dążności do wychowania obywateli. Brak celów wychowawczych powodował brak chęci oddziaływania bezpośrednio na obywateli. To też w wypadkach, gdy państwo w trosce o rozwój oświaty zakładało instytucje naukowe, nadawało im formę korporacyj autonomicznych, zwierzchność nad niemi rozciągał Kościół. Taką korporacją była Wszechnica Jagiellońska. Państwo wyposażyło ją w uprawnienia sądowe, wyjmując jej członków z pod jurysdykcji miejskiej,

zapewniło jej wewnętrzny samorząd przez nadanie swobodnego wyboru władz. W skład korporacji wchodzili zarówno nauczający, jak uczniowie; dzielili się oni w obrębie wszechnicy na „nacje", które spełniały pewne funkcje administracyjne. Korporacji podlegały instytucje dobroczynne, jak bursy; mogła ona zakładać szkoły niższe, które jej podlegały. Zarząd funduszami do niej samej należał, a nawet jej zwierzchnik, biskup, był jej członkiem. Nazewnątrz, w sprawach ważnych występowała zwarcie jako całość.

Wewnątrz władza była obieralna. Sami studenci obierali rektora na wzór włoski (we Francji obierali go profesorowie). Jest to zrozumiałem na tle średniowiecznych pojęć o nauce. Ten, który wykładał na jednym wydziale, często kształcił się na innym. Nie było wyraźnego przedziału między profesorem a studentem. Zwolna, od sztuk wyzwolonych poprzez medycynę lub prawo dochodził uczony do filozofji — korony nauk, a potem do teologji. Tu był dopiero, po długich nieraz latach pracy, kres studjów, a wraz z nim najhojniej uposażone katedry.

Cała głębia kultury średniowiecza, kultury przedewszystkiem moralnej, wyraża się w tym postępie. Uniwersytet średniowieczny otwierał drogę do najwyższych dziedzin wiedzy, tak, jak cech otwierał drogę do doskonałej produkcji. Zarówno w jednej, jak i w drugiej dziedzinie praca otwierała nowe drogi i dopiero jako dojrzały mąż dochodził pracownik do zrywania jej owoców. Niewątpliwie tak długie i gruntowne studja dawały nauce średniowiecznej jej metafizyczną głębię, jak to zaznaczał Kazimierz Morawski.

Korporacje naukowe utrzymywały jednolitość myśli filozoficznej i jednolitość wykształcenia elity. Dały one niezwykłe rezultaty w dziedzinie postępu nauki. Każdy wiek bowiem ma swoje zainteresowania, i średniowiecze miało zamiłowanie do badań nad duszą ludzką. Wieki nowożytne zwróciły się do badań przyrody. Czy przez to są lepsze od poprzednich?

Korporacyjny ustrój nauki jest integralną częścią całej ówczesnej organizacji. Uniwersytety miały taki sam monopol nauczania, jak, korporacje gospodarcze — produkowania. Ale jest rzeczą ciekawą stwierdzić, że nigdy bodaj autorytet

nauki nie stał tak wysoko, jak w czasach Gersona czy Pawła Włodkowica, gdy nadzór nad uczelniami sprawował Kościół.

Korporacje narodowościowe.

Obok korporacyj produkcyjnych i naukowych istniały w Polsce średniowiecznej korporacje narodowe.

Zagadnienie narodowościowe w czasach nowożytnych rozwiązywano w dwojaki sposób. Państwo, mając przed sobą ludność niejednolitą pod względem języka, obyczajów, poczucia szczepowej przynależności, starało się ją zunifikować. Rozpoczęły się od XVIII w. w Europie liczne prześladowania, na które uciskani odpowiadali nienawiścią. W pewnym stopniu udało się, o kilka lub kilkanaście kilometrów, przesunąć tu i ówdzie granice narodowościowe lub zniszczyć drobne wysepki obce. Ale nienawiść mniejszości wyrosła do miary miłości ojczyzny i powstały prądy odśrodkowe, wobec których władza była bezsilną. Zaburzyły one świat, doprowadzając do niezliczonych walk i sporów. Wobec tego liberalizm ostatnich czasów wysunął hasło samookreślenia narodów; każdy lud na pewnem terytorjum miał otrzymać niepodległość lub przynajmniej autonomję. Nawet Żydzi uzyskali narodową siedzibę. Tam, gdzie mniejszości były rozproszone, zastosowano opiekę nad jednostkami (nie nad grupami odrębnej narodowości, jak to wyraźnie się zaznacza). System ten okazał się źródłem nowych zaburzeń i nowych niepokojów, wobec niemożności wytknięcia idealnych granic z jednej strony, a dążenia do niepodległości wszystkich, nawet najmniejszych i rozproszonych grup narodowościowych z drugiej strony.

Średniowiecze nie znało tak bardzo rozwiniętych nacjonalizmów, jak czasy dzisiejsze, ale też sprawy narodowościowe rozstrzygało nie w ramach terytorjalnej niepodległości, czy autonomji, ani też przez przymusową unifikację. Nie mogąc dać wszystkim niepodległości, nadawało państwo grupom cudzoziemców szeroki samorząd. Obejmował on prawo używania swego języka, religji, co więcej — własnego systemu prawnego w ramach samorządu lokalnego. Cudzoziemcy osiadali razem, we wsi lub mieście, gdzie zachowywali swój język, obyczaj, prawo tak długo, jak chcieli. W ten

sposób słuszne rewindykacje narodowe znajdowały swe zaspokojenie bez uszczerbku dla suwerenności państwa. Samorząd narodowy był kontrolowany przez władze. Z drugiej strony, jeśli mniejszości nie traktowano jako zbiór jednostek, a całość, grupę, to nie było korporacyj, obejmujących wszystkich przedstawicieli mniejszości w danym kraju: były tylko lokalne korporacje, dość silne, by obronić swe prawa, zbyt słabe, by szkodzić państwu. Tą więc drogą tworzenia gmin, wyposażonych w samorząd, a nawet autonomję narodową, państwo rozwiązywało kwestję mniejszości. Gminy te z całą słusznością nazwać można korporacjami, aczkolwiek nie produkcyjne, a kulturalne i wychowawcze cele miały na oku.

Państwo polskie jako język urzędowy zachowało w głąb wieków nowożytnych łacinę. Była ona powszechnie używana i w średniowieczu, w dokumentach i aktach sądowych, podczas gdy urzędowanie odbywało się po polsku. Na Rusi natomiast obok łaciny długo używano jako języka urzędowego — języka ruskiego. Podobnie w Prusach Królewskich obok łaciny językiem urzędowym od r. 1454 (poddanie się Prus) był niemiecki.

Wyjątkiem od owych bardzo liberalnych zasad były uprawnienia obcych kolonistów. Koloniści niemieccy na obszarze Polski rdzennej i Rusi mogli używać swego języka w aktach, w urzędowaniu, w życiu publicznem. Prawo swoje zachowywali w stosunkach między sobą. Przywileje te odnosiły się do określonych osad, gdzie powstawały w ten sposób korporacje mniejszościowe. Były niemi liczne miasta i wsie na obszarze Polski, gdzie osiedli Niemcy. Prawo używania języka mniejszości w aktach samorządu było przywilejem, który mógł panujący cofnąć. Tak Łokietek odebrał Krakowowi prawo używania języka niemieckiego w aktach i zastąpił go ogólno-państwową łaciną. Była to kara za zdradę i bunt wójta Albrechta. Pozatem ludność sama mogła się zrzec owego przywileju i wprowadzić łacinę: było to oznaką i dowodem polonizacji miasta, które traciło swój charakter korporacji narodowej, zachowując charakter korporacji handlowej i zgrupowania korporacyj przemysłowych.

Mieli swój samorząd w średniowieczu Żydzi, używając, jak się zdaje, żargonu w swych aktach i urzędowaniu. Znaj-

dował się on pod nadzorem państwa. W czasach nowożytnych Żydzi wykształcili organizację całego narodu, z sejmem własnym, równie bezładnym, jak polski. Korporacje narodowe żydowskie obejmowały zarówno ludność, jak pewne terytorja w miastach, specjalnie dla Żydów przeznaczone.

Przybyli na Ruś koloniści wołoscy rządzili się własnem prawem w obrębie swych wsi. Również osobną korporację na Rusi stanowili Ormianie, którzy rządzili się własnem prawem. Pierwotnie w użyciu był język ormiański, który w XVI w. ustąpił miejsca polskiemu.

Litwa była mniej tolerancyjną od Polski, jak tego dowodzą zatargi o język na Podlasiu w XVI w. Językiem urzędowym Litwy był ruski, obok niego łacina. (Język litewski na terenie W. Księstwa nigdy urzędowym nie był). Otóż szlachta polska, osiadła na Podlasiu, protestowała przeciw wysyłaniu pism ruskich, dla niej niezrozumiałych. Był to jednak wypadek odosobniony. Tatarzy na Litwie mieli zupełną autonomję w ramach korporacji, rządząc się prawem Koranu, aczkolwiek później języka ruskiego i polskiego używali.

W czasach nowożytnych Polska stosowała tę samą politykę: przebywający w jej granicach emigranci szkoccy tworzyli scentralizowaną korporację i jako całość byli do pewnych świadczeń pociągani.

W ten sposób każda narodowość rządziła się swojem prawem i rozwijała się swobodnie w obrębie państwa. Sprawa języka urzędowego nie wywoływała sporów: łacina była językiem martwym, a obok niej używano języka ruskiego i niemieckiego w wypadkach, gdy wydawano dokumenty dla mniejszości. Państwo nie stawiało sobie za cel wynarodowienia części poddanych, a jedynie zachowanie wszystkich przy ich prawach. Język w szkołach nie był przedmiotem walk: szkoły były prowadzone przez Kościół, który łagodził spory między narodowościami. Brak szkolnictwa państwowego był zapewne jedną z przyczyn słabego natężenia sporów narodowościowych w tych odległych czasach, gdy zasadę samookreślenia narodów pojmowano, nie jako prawo do terytorjum, ale do pielęgnowania w obrębie korporacji swego języka, obyczaju i odrębności. Te właśnie zasady

stworzyły Rzplitą wielką i sprawiedliwą, za wzór tolerancji innym ludom stawianą.

Kościół i państwo.

Kościół w organizacji korporacyjnej zajmował stanowisko doniosłe. Właściwie był on wzorem dla niejednego poglądu kanonistów, którzy ustrój korporacyjny realizowali. Cała organizacja Kościoła była korporacyjną: a więc poszczególne diecezje stanowiły korporacje rządzone przez biskupów i reprezentowane przez biskupów i kapituły, a obdarzone różnemi, większemi lub mniejszemi prawami. Obok tych korporacyj terytorjalnych były inne, zakony, stanowiące odrębne jednostki prawne i administracyjne. Niewiadomo w jakim stopniu Kościół przenosił na teren średniowiecza pojęcia i formy starożytne, zdaje się jednak być rzeczą pewną, że wiele pierwiastków ustroju swego ze starożytnych korporacyj zaczerpnął, odpowiednio je przekształcając. Stąd można ustrój korporacyjny średniowiecza poprzez Kościół ze starożytnością związać.

Państwo ściśle z Kościołem współdziałało w dziedzinie organizacji korporacyjnej. Jego rola gospodarcza była doniosłą, choć odmienną, niż dziś. Państwo średniowieczne dalekiem było od zasady nieinterwenjowania w życiu gospodarczem; przeciwnie, ta interwencja była jednem z głównych jego zadań.

Celem jego było przedewszystkiem stworzenie ustroju korporacyjnego. Powstał on bowiem jako dzieło państwa, czyto świadome, czyto ze względów materjalnych pożytków. Korporacje organizowały się w obrębie stanów, ale spory i tarcia między korporacjami rozstrzygało państwo, usuwając wszędzie wolną konkurencję, a raczej ograniczając znacznie jej działanie. To też dzięki działalności państwa, które nieustannie podtrzymywało ustrój korporacyjny i usuwało jego nadużycia, przetrwał on wiele prób i zapewnił średniowieczu pomyślność, a przedewszystkiem stałość stosunków gospodarczych, które tak bardzo dla dobrobytu są potrzebne. Państwo działało tu wszędzie w imię zasad moralnych. Nie interes materjalny, ale wzgląd na sprawiedliwość społeczną był główną sprężyną w działaniach panujących. Wyrobił

się ten szlachetny kierunek pod wpływem Kościoła, który za główne posłannictwo władcy podaje szerzenie sprawiedliwości, a w tem nastawieniu widać wpływ arcydoniosły filozofji tomistycznej, zwłaszcza jej etyki społecznej.

Państwo średniowiecza nie było pozbawione majątku, jak idealne państwo liberalne. Przeciwnie, dochody z majątku, były największą pozycją budżetu w czasach normalnych. Jednak państwo korporacyjne nie było etatystycznem, mimo, iż największe a jedyne w tym rodzaju przedsiębiorstwo kapitalistyczne w Polsce — żupy solne wielickie — należało do niego, a liczne włości czyniły z króla posiadacza największej w kraju fortuny. Państwo było największym kapitalistą. Jeśli jednak energicznie i czynnie interwenjowało ono w dziedzinie sprawiedliwości społecznej, to w życiu gospodarczem udziału nie brało. Mimo ogromnego majątku państwo producentem nie było, zostawiając tę funkcję osobom, które odeń majątek wydzierżawiły. Tak w dzierżawie były owe wielkie żupy wielickie, w dzierżawie większość dóbr, a państwo czerpało z nich dochody. Było to wynikiem poglądów, iż zadaniem władcy jest przestrzeganie sprawiedliwości społecznej i względnej, a nie bogacenie się. Jeśli państwo interwenjowało bezpośrednio w życiu gospodarczem jako największy kapitalista, to bardzo rzadko i to w okresie klęsk i kataklizmów: tak Kazimierz W. kazał w okresie głodu rozdawać zboże głodnym i wzamian za to ich pracą wznosił budowle.

Ciężary państwowe obywateli były niewielkie, gdyż lwią część wydatków pokrywały w czasach normalnych dochody z dóbr, resztę podatki i cła. Było to możliwem, gdyż dwie największe pozycje, które dziś obciążają skarby — wojsko i oświata — nie nakładały na kraj nadmiernych świadczeń. Wobec braku militaryzmu granic strzegły nieliczne załogi twierdz, a nagły napad nieprzyjaciela był niemożliwy, gdyż i on był nieuzbrojony. Dużą rolę odgrywały tu poglądy religijne: pokój w Civitas Dei był ogólnem pragnieniem całego chrześcijaństwa, wojnę traktowano jako osłabienie chrześcijan wobec grozy najazdu ich wrogów. Te poglądy załamały się w okresie reformacji.

W razie wojny nakładano podatki nadzwyczajne. Za-

gadnienie obrony granic rozwiązywano częściowo przez milicję szlachecką — pospolite ruszenie — częściowo przez wojska zawodowe, armje zaciężne.

Nie miało też państwo kłopotów z oświatą, która spoczywała na barkach Kościoła oraz specjalnych korporacyj. Podobnie opieka społeczna była w ręku Kościoła choć niejedną fundację socjalną państwo uposażyło.

Utrzymanie urzędników pokrywano z dochodów majątku, podobnie jak koszta reprezentacji, poselstw, wewnętrznego bezpieczeństwa. Dawało to oczywiście władzy niezależność, którejby daremnie szukać w ustroju skarbowym, opartym o podatki. Są to stosunki bardzo odległe od dzisiejszych. Ale zasady, na których się państwo średniowieczne opierało, warte są podkreślenia. Za główne zadanie stawiało ono sobie zapewnienie sprawiedliwości. Nie było ani szowinistycznem, ani militarystycznem. Funkcjami licznemi nie było obarczone, pozostawiając większość ich korporacjom, przez siebie stworzonym. I sądzę, że stąd płynęła stałość, która mimo zmian pozornych panowała w ustroju owych czasów, a w obrębie której rozwijać się mogło życie moralne, najwyższa chyba forma ludzkiej egzystencji. Tym postulatom moralnym, zgoła „nieekonomicznym", jak określają je niektórzy ekonomiści, podporządkowaną była działalność jednostek i społeczności, działalność, która mniej klęsk przez trzy wieki na ludzkość sprowadziła, niż jeden wiek działań, na innych zasadach opartych. Tkwi w tem, jak sądzę, prawda, nad którą warto się zastanawiać.

(Poznań) *Dr. Karol Górski.*

Wielcy chanowie a chrześcijaństwo.

Pięć wieków upływa od czasu, gdy naród mongolski po wielce ożywionej działalności zapadł w tak głęboki polityczny bezwład, iż imię jego prawie przestało być słyszane po świecie. W dobie obecnej, gdy, jak się zdaje, zbudzono go do życia, zaciekawi nas pewno pytanie, czy można coś lepszego rokować mu na przyszłość. I wynurzają się z zapomnienia dziś ustalone już przez historję fakty z okresu jego świetności. Z nich najwięcej nas tu obchodzi stosunek jego do chrześcijaństwa.

Na wspomnienie Mongołów w umyśle przeciętnego europejczyka powstaje obraz żądnej krwi hordy, niosącej rzeź, pożogę i ciężką niewolę. Ich „płeć śniada, wąsy zwisłe, a czarne jak kruki, ich nasępione rysy, przymrużone oczy, w których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy“ — oto ich powierzchowność. Jak dotkliwie dali się oni Europie we znaki, świadczy nadana im nazwa: „tatarzy“ — to znaczy lud pochodzący z Tartaru, czyli z piekła, lud barbarzyńców, okrutników.

Lecz Mongołowie mają inne jeszcze rysy, mało lub wcale ogółowi nieznane, które ich ukazują wcale nie w tak ciemnem świetle, owszem, nawet całkiem dodatnio. Na ulicach Charbina zwracają nieraz na siebie uwagę jednostki o typie wyraźnie azjatyckim, a jednak nie chińskim. Wzrostu zwykle okazałego, barczystej postawy prostej, o szlachetniejszym niż u Chińczyka wyrazie twarzy, nosie regularnym, z gęstym czarnym wąsem; taki osobnik odrazu wybija się z pośród chińskiego mrowia. Kto się zna na tem, odróżni go i po stroju. To zapewne jakiś książę mongolski, przybyły może z obozu Dzasaka pod miasteczkiem Syta, na za-

chód od Charbina, albo z obozu księcia Durbetu, albo z Bargi. Z twarzy jednak nie patrzy mu dziko, owszem, spokojniej i szczerzej, niż synom Państwa Środkowego. I w rzeczy samej, podróżnicy stwierdzają, że wśród Mongołów bezpieczniejszymi się czuli, niż wśród Chińczyków.

Powie kto, że widać w ciągu kilkowiekowej bezczynności złagodniał charakter Mongoła; lecz nie, bo od początku lud ten miał niejeden rys dobry, tylko że Europa nie znała go z tej strony, nie wiedząc, jakim był u siebie w domu.

Niema śladu, żeby kto w Europie znał północny wschód Azji do czasów Średniowiecza. Sądzono tylko, że w tych stronach leżą krainy biblijnych królów Goga i Magoga (z pror. Ezechjela). Uczą dziś w szkołach, że pierwszym z europejczyków, który dotarł do dalekiego Wschodu, był Marco Polo (1271—1293). Szczegółowsze dzieła wymieniają dwóch starszych Polów, ojca i stryja tamtego, którzy już w roku 1256 bawili na dworze Wielkiego Chana. Mało który jednak z historyków nadmienić raczy, że już na dziesięć lat przed nimi przyjechali do stolicy Mongolji wysłańcy papiescy. Zaraz mianowicie po zjeździe na I-szy sobór ljoński (1245) papież Inocenty IV wysłał do władcy Mongolji dwie misje. Jedną w połowie drogi odprawiono z niczem, druga dotarła na miejsce. Byli w niej dwaj Franciszkanie: Lorenzo z Portugalji i Jan Plano-Carpino, a po drodze, we Wrocławiu, przyłączył się do nich Benedykt z Polski. Przybyli oni najprzód do chana Batu w Kipczaku (Ruś i Syberja zachodnia), ten zaś wyprawił ich dalej do obozu samego Wielkiego Chana, podówczas Ogotaja. Dostawszy się tam cało, natrafili na chwilę, gdy po śmierci Ogotaja nowy chan, Kujuk, obejmował tron, w lipcu roku 1246. Okazało się, że i oni nie byli pierwszymi z Europy: na dworze chana zastali ruskich i węgierskich kapłanów oraz pewnego złotnika z Zachodu. W cztery miesiące później Wielki Chan odesłał ich z odpowiedzią, pełną zarozumiałości a bezpłodną.[1]) Przed papieżem stanęli w roku 1247.

[1]) Por. *Grandeur et suprématie de Péking,* P. A. Hubrecht C. M, Péking 1928. — Helmolts Weltgeschichte, Bd. I, Leipzig 1923. — *Textes historiques. Histoire politique de la Chine,* p. P. L. Wieger S. J. Impr. Hsien-hsien 1923.

Przy Marku Polo zostaje sława jeżeli nie pierwszego, to w każdym razie najbogatszego opisu krain Dalekiego Wschodu, który wzbudził głęboką sensację i zainteresowanie w Europie. I to jeszcze weneckiemu podróżnikowi przyznać należy, iż stał się zasłużonym poprzednikiem misjonarzy wschodnich.

Wiadomość o poselstwie Jana z Plano-Carpino, wcześniejszem od podróży Marka Polo, pomija również, w piśmiennictwem polskiem, Marceli Tarnowski, kreśląc przedmowę do polskiego przekładu (w skróceniu) dzieła Marka Polo, p. t. *Na dworze Wielkiego Chana.*[1]) Nieświadomość to czy świadoma taktyka? Pomijając wzmianki o licznych i owocnych późniejszych poselstwach papieskich — co uwzględnimy niżej — nie omieszkał jednak tłumacz wspomnieć, że bracia Polo, wracający do Mongolji w roku 1271, „zamiast spodziewanych stu mnichów otrzymali (od papieża) tylko dwóch, a i ci wkrótce po rozpoczęciu podróży utracili odwagę wobec groźnego niebezpieczeństwa i oddali swe listy uwierzytelniające braciom Polo, którzy już sami ruszyli dalej". Jakież stąd niekorzystne dla katolickiego duchowieństwa wnioski wysnuje sobie niekrytyczny czytelnik! A przecież kto zna stan rzeczy, ten rozumie, że na literalne spełnienie pragnień Wielkiego Chana nie można się było zdobyć. Nawet w wiek później, gdy Rzym raz po raz wyprawiał na Wschód coraz to liczniejsze gromadki zakonników, liczba ich nigdy nie doszła do setki. Nadto pytanie, czy przepuszczonoby wówczas tak liczną gromadę i czy dałoby się utrzymać ją przy życiu na pustynnych etapach. Za owych dwóch mnichów z roku 1271, Nicola z Vincenzy i Wilhelma z Tripoli, zbyt słabych, by przetrzymać podróż, inni sposobniejsi kiedyindziej hojnie wynagrodzili swą odwagą i poświęceniem.

Kto mieszkał i jak się rządził pierwotnie na ziemiach mongolskich — ogromnych obszarach stepowych, położonych na południe od jeziora Bajkału, to jedna z tych tajemnic, których wiele jeszcze kryje się w łonie dalekich krajów i odległych czasów. Jedynie historycy chińscy podają co do

[1]) Bibl. przygód i podróży, N 2, L. Fiszer, Łódź — Katowice.

tego jakieś do legend podobne opowiadania. Dopiero w wieku XIII lud ten dał się poznać światu, gdy na czele jego stanął wybitnie zdolny i przedsiębiorczy książę z plemienia Nirun, imieniem Tje-mu-dżyn — z chińska, Dżengis-Chan czyli Wielki Chan po mongolsku. Odtąd kraj po kraju poznawał się z Mongołami, i to w jak najdotkliwszy sposób, mając w nich krwawych, nieubłaganych pogromców. W roku 1209 podbił sobie Dżengis-Chan sąsiednich ujgurów (pra-turków), w 1220 chwarezmów nad Aralem, w 1223 połowców i słowian ruskich, zgnębił dynastję Kin (Dzin) w północnych Chinach, i byłby szedł dalej, gdyby śmierć, podczas wyprawy na tangutów (1227), nie położyła kresu jego rozmachowi. Tą samą drogą, przez podboje i sławę, kroczył cały szereg jego następców: syn Ogotaj rękami swych wodzów sięgnął najdalej na zachód — po Nowogród, Polskę i Węgry; wnuk Kujuk zawojował Koreę, Mangu zagarnął Tybet, Mezopotamję i Syrję, Kublaj przyłączył resztę Chin, aż po Tonkin i Syjam, wreszcie Timur zaokrąglił posiadłości na południo-zachodzie. Tak tedy Wielcy Chanowie panowali nad niezmiernemi obszarami Starego Lądu: od tundr syberyjskich do Indochin, od Korei do Węgier — jak żaden dotąd z monarchów.

Historja przyznaje dziś, że władcy mongolscy wcale nieźle rządzili swemi rozległemi posiadłościami. Ludom podbitym zostawiali wiele swobody, religji i zwyczajów nie prześladowali, usiłowali, ile można, umniejszyć ciężaru poddanym. W łonie rodziny panującej panował względny spokój i zgoda, waśni i walk wewnętrznych nie było, przynajmniej do roku 1328.

Postacie Dżengis-Chana, Kubilaja, mają pokrój wielkich władców światowych. Pierwszy z nich przedstawia się pod piórem Marka Polo poprostu sympatycznie. Był mężem — pisze Marco — wypróbowanej sprawiedliwości, wielkiej odwagi i dzielności. Panowanie swe rozpoczął tak sprawiedliwie i umiarkowanie, że czczony był i kochany omal jak bóg jaki. Sława jego zalet rozniosła się tak daleko, że wszyscy tatarzy, gdziekolwiek byli rozproszeni, skupili się pod jego berłem; dokądkolwiek ruszył, każdy lud gotów był poddać mu się, czując się szczęśliwym, iż znajdzie się pod jego opieką. Podbiwszy obce kraje, umieszczał tam na-

miestników, których rządy były tak wzorowe, że poddani nie cierpieli ani na swych osobach, ani na mieniu.

Ze szczególnem uznaniem kreśli Marko obraz władcy, którego zastał na tronie, chana Kubilaja, a historja dzisiejsza sądzi, że nie przesadził, albo przynajmniej niewiele. Słowo „chan" — pisze — znaczy: pan panów. Otóż Kubilajowi słusznie przynależy ta nazwa, ponieważ rozciągłością swych krajów, liczbą poddanych i ogromem dochodów przewyższa on wszystkich książąt, jacy kiedykolwiek istnieli na świecie. Jest piątym zkolei chanem, wstąpił na tron w roku 1256. Uzyskał władzę dzięki swej odwadze, dzielności i rozumowi, aczkolwiek brat jego i inni członkowie rodziny zaprzeczali mu prawa do panowania. Przed wstąpieniem na tron Kubilaj służył w wojsku dobrowolnie i starał się brać udział w każdej wyprawie wojennej. Uchodził za dzielnego i odważnego a zarazem za najzdolniejszego i najmądrzejszego z wodzów, którzy kiedykolwiek wiedli tatarów do boju.

Siedziba, urządzenie stolicy i kraju, instytucje i porządki widziane u Wielkiego Chana wzbudzają nieraz podziw w wenecjaninie. W „Ciandu", to jest Szan-tu, co znaczy Najwyższa Stolica, dziś Kai-ping-fu, na północo-wschód od Kalganu, na północ od Pekinu — kazał Kubilaj wystawić pałac z marmuru oraz innych cennych kamieni, który dzięki wspaniałemu planowi i kunsztownemu wykonaniu budzi powszechny podziw. Piękniejsze jeszcze rzeczy ogląda się w Kambaliku, późniejszym Pekinie, podówczas stolicy Kataju, to jest Chin północnych, który Kubilaj-Chan obrał sobie za stałą rezydencję. Są tam, pisze, złocone rzeźby na ścianach, ozdoby na dachach, wielkie marmurowe schody, w oknach szyby przeźroczyste jak kryształ, ogromne skarby w prętach złota i srebra, w kamieniach, perłach i złotych naczyniach. Nowa stolica ma pięć mil obwodu. W mieście cesarskiem stoją pełne ksiąg bibljoteki; kunsztownej roboty klepsydra wodna, ustawiona w masywnej wieży, dokładnie odmierza godziny, a dzwon wybija pory dnia i daje znak zmiany straży nocnych. Obrót towarami w Kambaliku przewyższa handel wszystkich innych miejscowości, co zaznacza się już na oko tem, że wozy i zwierzęta juczne po całych dniach wjeżdżają

do miasta; złotem dziane tkaniny i różnorakie materje jedwabne wyrabia się tu w ogromnych ilościach.

Mieszkańcy Kataju są niezmiernie układni i grzeczni we wzajemnych stosunkach. Są schludni: co najmniej trzy razy w tygodniu latem, a zimą codzień zwykli brać gorącą kąpiel. W całym kraju używany jest na opał czarny minerał, wydobywany w górach, gdzie są jego złoża, kamień ten pali się jak węgiel drzewny, lecz trzyma ciepło znacznie dłużej niż drzewo. (Snać Marco Polo nie spotykał się w Europie z węglem kamiennym, poznano go zresztą u nas dopiero w połowie XIII wieku). Kubilaj-Chan pierwszy puścił w obieg w swem państwie monetę papierową, zaprowadził regularną, rejestrowaną pocztę konną, zapasy ziarna kazał stale składać w spichrzach państwowych na wypadek nieurodzaju, zaprowadził wychowywanie dzieci opuszczonych.

Wielki kanał cesarski w północnych Chinach z rozkazu Wielkiego Chana został ukończony i zaopatrzony w szluzy, a boki jego wybrukowano kamieniem i obsadzono drzewami.

Wszystkie myśli Kubilaja-Chana, pisze Polo, są — można w to wierzyć — skierowane ku temu, żeby dopomóc ludowi, iżby żył ze swej pracy i powiększał jeszcze zarobek. Gdy jakaś szanowna rodzina popadnie w nędzę, każe jej wydawać tyle, ile jej potrzeba do życia. W latach głodu sprzedaje ludności po niższej cenie zboże ze składów państwowych, a dotkniętych klęskami zwalnia od podatków. Pomaga biednym i nikomu nie odmawia jadła i napoju. Codzień rozdziela przez zaufanych urzędników 20000 misek ryżu i jagły. Wskutek tego lud go czci jak bóstwo.

Gości z obcych krajów — misjonarzy, kupców, ambasadorów — przyjmowali Wielcy Chanowie z nadzwyczajną łaskawością, a niejednego nawet obdarzyli wysokim urzędem, jak się to stało właśnie z naszym Markiem: Kubilaj mianował go za młodu członkiem swej straży honorowej, a później powierzył mu urząd namiestnika miasta Jang-czu, w świeżo podbitem państwie chińskiej dynastji Sung. Artyści, pisarze i uczeni, ściągnięci wieściami o łaskawem przyjęciu u Wielkiego Chana, licznie gromadzili się na jego dworze. Dla porozumienia się z cudzoziemcami stali gotowi do usług tłumacze. Szła praca naukowa: prawa zbierano w kodeksy,

sporządzano pamiętniki historyczne; astronomowie w starannie urządzonych obserwatorjach badali zjawiska na niebie i ziemi.

To wszystko wraz z polityczną powagą Wielkich Chanów sprawiło, iż stolica dynastji mongolskiej stała się osią rządów świata.

Nie dziw, że gdy wróciwszy do ojczystej Italji, jął Marco Polo rozpowiadać o tem, co oglądał i co przeżył na owym bajecznym krańcu świata, rodacy uznali to za baśnie i żądali odwołania, tak nieprawdopodobnem, tak niezgodnem z wyrobionemi na Zachodzie pojęciami wydały się te opowieści.

Lecz co najbardziej zdumiewało Zachód, to fakt, że wśród ludności tych barbarzyńskich krajów znaleziono chrześcijan. Przybywszy do pierwszej stolicy Wielkich Chanów, do obozu Karakorum, położonego nad rzeką Orchonem, na południo-zachód od dzisiejszej Urgi, w Mongolji, Jan z Plano-Carpino doznał miłego zdziwienia, gdy naprzeciwko namiotu cesarskiego ujrzał wystawioną kaplicę, a w niej odprawiane chrzecijańskie nabożeństwo. Chrześcijanie owi okazali się nestorjańskimi heretykami.

O ile można wierzyć napisom na kamiennych stelach w Sin-gan-fu, początki chrześcijastwa w Chinach sięgają roku 635. W roku owym miał przybyć do Chin pierwszy misjonarz chrześcijański, nestorjanin, zwany na stelach „Olopen". Przyjęto go dobrze, przeszkód w pracy nie stawiano, owszem, cesarz pozwolił mu na przetłumaczenie Ewangelji i publiczne głoszenie słowa Bożego. Cesarz Taj-cung, z dynastji Tang, wydał nawet edykt (638 r.), uznający wolność nauczania wiary chrzecijańskiej, „jako wielce pożytecznej". Przychodziły potem wprawdzie okresy ograniczenia swobody, lecz te mijały i spokój wracał. Za cesarza Siang-cung'a (712—756) przyjechał do Chin nowy misjonarz, imieniem Kiho. W roku 781 wystawiono pamiątkowe stele z napisami, skąd pochodzą nasze wiadomości; opiewają one, pismem chińskiem a poczęści i syryjskiem, zwanem estrangelo, iż liczni kapłani nestorjańscy — 67 nazwisk — czynni byli podówczas na obszarze Chin; posiadali oni kilka stolic bisku-

pich i pierwszemu ze swych biskupów nadali pretensjonalny tytuł „papieża Cinstanu", to jest Chin.

W początkach nestorjanie brali się do pracy istotnie z gorliwością: cała armja tych nieustraszonych misjonarzy rózeszła się po Azji. Stawiali świątynie, otwierali szkoły, zakładali klasztory. Po jakimś jednak czasie stygnąć zaczęli: czynniki ludzkie przemagały. Oddalenie od macierzystego ośrodka, ciężkie warunki bytowania, pochłaniające zwykle dużo sił żywotnych, pobyt wśród ludów o niskiej kulturze, częste wstrząsy polityczne, przypuszczenie do apostołowania mało okrzesanych krajowców — wszystko to sprowadziło upadek pracy misyjnej w Azji. Doszło do tego, że biskupi ich, nieskorzy do wychylania się ze swych względnie wygodnych rezydencyj, zaczęli zaniedbywać odwiedzania parafij, a gdy się zjawiali, to jak kometa — pospiesznie udzielali święceń kapłańskich dzieciom, i odjeżdżali, nie troszcząc się o przygotowanie, choćby zgrubsza, tych przyszłych duszpasterzy.

Ciekawą a znamienną sylwetkę mnicha-misjonarza nestorjańskiego zostawił nam w swem „Sprawozdaniu z podróży" posłujący od króla Ludwika IX Świętego do chana, w r. 1253, franciszkanin Wilhelm Rubruquis. Spotkał tego mnicha w jego kaplicy, postawionej u wejścia do pałacu cesarskiego. Człowiek ten, o czarnej niemal skórze, bardzo chudy, odziany w sięgającą do kolan suknię kroju włosiennicy, w płaszczu na ramionach, opasany rzemieniem, nosił imię Sergjusz. Pochodzić miał z okolic Jerozolimy, gdzie jak opowiadał, objawił mu się Pan Bóg i kazał udać się do Wielkiego Chana, ażeby nakłonić go do przyjęcia chrztu. W samo święto Objawienia Pańskiego Sergjusz odwiedził ojca Rubruquis i szepnął mu na ucho, że właśnie w tym dniu cesarz będzie jego ręką ochrzczony. Nadzieja jego okazała się jednak płonną, podobnie jak dawne objawienia.

Pewnego dnia pokora tego apostoła wystawiona została na nielada próbę. Bez upoważnienia zgóry i bez zastanowienia wystąpił z obietnicą wobec dworu, że albo uleczy chorą cesarzową, albo da własną głowę. Wróciwszy do domu spostrzegł dopiero, że się niebezpiecznie zapędził; strach go ogarnął. Natychmiast poprosił do siebie O. Rub-

ruquis i przedstawił mu ze łzami, jak sam siebie okropnie uwikłał, wyznając przytem, że nie jest ani kapłanem, ani zakonnikiem, lecz prostym, niewykształconym tkaczem z Palestyny, i błagał o modlitwę, żeby go Bóg uratował. O. Rubruquis wypytał o szczegóły choroby cesarzowej, a uważając, że tu zachodzić może raczej jakieś opętanie, niż niemoc cielesna, zalecił Sergjuszowi uciec się do środków nadprzyrodzonych. Wtedy nestorjanin poprosił go o wodę święconą, wpuścił w nią mały krzyżyk srebrny, i całą noc spędził przy niej na gorącej modlitwie. Sądząc wszelako, że środki ludzkie nie przeszkodzą boskim, do wody święconej wsypał mocną dawkę sproszkowanego rabarbaru. Z tem zdrowem a świętem lekarstwem udał się do dostojnej chorej i dał jej go zażyć. Ku wielkiej jego radości cesarzowa uczuła ulgę, a po jakimś czasie wróciła do zdrowia. Rozeszła się tedy sława Sergjusza, jako nadwornego lekarza i uzdrowiciela, a on stosował nadal wodę święconą... z rabarbarem.

Dla poratowania podupadających misyj, ażeby sobie przysporzyć duchowieństwa, jeszcze na synodzie w roku 486 postanowili biskupi nestorjańscy zaprowadzić wśród swych kapłanów małżeństwo, ograniczając celibat do samych tylko mnichów. W ten sposób wyraźniej odgradzali się od potępiających małżeństwo manichejczyków, a jednocześnie zapobiegali zbyt częstym dotąd zgorszeniom, nadto „popularyzowali" kapłaństwo przez zbliżenie się do ludu, i ułatwiali wstęp do stanu duchownego dla dzieci ludów, które nie dojrzały do wysokiej idei celibatu. Tak mało okrzesane narody, jak Hunowie, Turcy, Mongołowie, patrzące na każdego człowieka piśmiennego, jak na czarnoksiężnika, nie widziały w tem umniejszenia powagi kapłańskiej, i nie odmawiały im szacunku, o ile jaka taka wiedza, jeżeli nie cnota, stawiała ich na wyższym w ich oczach poziomie. Toteż niektórzy z nestorjanów zajęli stanowisko w literaturze i służyli władcom tureckim i mongolskim za sekretarzy. Oni to zaprowadzili w Mongolji pismo, które się tam dotąd utrzymuje.

Szczególnie czynnym w krzewieniu chrześcijaństwa po zakątkach Azji był, według nestorjańskich kronik, patrjarcha Tymoteusz (777—820). Za jego sprawą wybrał się na Daleki Wschód pewien mnich ze słynnego klasztoru syryjskiego,

Beth Hobeh; jako wybitny misjonarz przebył on Tartarję i Chiny i zmarł wśród prac religijnego posługiwania. Za następców dał mu Tymoteusz znanych również Karadaga i Jab-Alahę z piętnastu innymi mnichami, przeznaczając ich do Indji i Chin. Siedmiu z nich zaopatrzył w sakrę biskupią. A na prośbę Jab-Alahy, żeby umożliwić konsekrowanie na biskupów doświadczonych miejscowych misjonarzy, zezwolił, gdyby zabrakło do tego obrzędu trzeciego konsekratora, żeby zamiast niego kłaść na tronie księgę Ewangelji, a to „przez słowo Pana Naszego, który wszystkiem kieruje i rządzi". Przy tak pomysłowem ułatwieniu hierarchja duchowna nestorjanów na dalekich misjach była, zdaje się, zapewniona.

Sobory nestorjańskie, dbałe o postęp swego kościoła w najdalszych zakątkach Azji, żeby nie odrywać metropolitów chińskich od ich gmin, zwolniły ich od stawania co lat cztery przed patrjarchą Seleucji. „Metropolici z bardzo odległych stron — głosi kanon soboru odbytego pod przewodnictwem patrjachy Teodozego — jak z Chin, Indji, Persji, Samarkandu, oddzieleni od nas wysokiemi górami, wystawieni w drodze na zbójeckie napady, na niebezpieczeństwa żeglugi po burzliwych morzach, gdzie łatwo o rozbicie, zostają, jak tego pragnęli, zwolnieni od przybywania do nas. Niech zato nie omieszkują nadsyłać nam co sześć lat listy łączności z Patrjarchą... Postarać się mają we wszystkich miastach, wielkich i małych, zebrać ofiary, zgodnie z przepisami kanonów, i przysłać je Patrjarsze na potrzeby domu jego".

Już to obowiązkowe zbieranie dziesięciny świadczy, że dalekie gminy nestorjańskie cieszyły się stanem kwitnącym.

Sensacyjna pogłoska obiegała Europę w początkach wieku XI: miał istnieć gdzieś daleko król, zwany Jan-Kapłan, potęgą i bogactwem przechodzący wszystkich panujących ziemi, a z władzą królewską łączący w swej osobie godność kapłańską. Gdzie było jego państwo, jakie jego pochodzenie, nikt powiedzieć nie umiał; rozległe tedy otwierało się pole do fantastycznych domysłów i korzystali z tego wszelkiego rodzaju bajarze. Podróżnicy tak sprzeczne przywozili o nim wieści, że niewiadomo było, czemu wierzyć. Na jedno tylko

zgadzali się wszyscy: że Jan-Kapłan nie jest chyba prawowiernym chrześcijaninem, lecz najprawdopodobniej skalany herezją nestorjańską.

Z biegiem lat zagadka została rozwiązana, i dziś historja jest w posiadaniu szczegółów, dotyczących chrztu tej ciekawej osobistości. Mianowicie, w roku Pańskim 1009 metropolita z Merwu, w Turkiestanie Zachodnim, imieniem Ebed-Jezus, doniósł swemu kościelnemu zwierzchnikowi, patrjarsze Seleucji, że „między Północą a Wschodem" panujący król Keraitów pragnie się nawrócić wraz ze swym dwustutysięcznym ludem. Powziął on to postanowienie w następujących okolicznościach. Pewnego razu na polowaniu w górach został zaskoczony śnieżycą i zgubił wszelki ślad drogi; wówczas to przyrzekł uroczyście, że przyjmie wiarę chrześcijańską, jeżeli Bóg zachowa go przy życiu. Żyw i zdrów wróciwszy do domu, wezwał do siebie bawiących tam kupców chrześcijan i jął ich rozpytywać o naukę i przykazania chrześcijańskie. Dowiedziawszy się, że przedewszystkiem powinien przyjąć chrzest, wyprawił poselstwo do biskupa w Merwie, prosząc go o przybycie, albo przynajmniej o przysłanie kapłana, ażeby ochrzcił jego i lud jego. Ciekaw też był wiedzieć, w jaki sposób poddani jego zachować mają wielki post, ponieważ całem ich pożywieniem jest mięso i mleko.

Prawdziwa to czy dla ozdoby faktu zmyślona okoliczność, dość że w początkach wieku jedenastego ochrzczony został zamieszkały w południowej Mongolji lud Keraitów. Wkrótce Keraici rozwinęli działalność zdobywczą: posiadłości ich zdwoiły się obszarem, zwycięskie ich zastępy sięgnęły do Kaszgaru, a wreszcie rozbiły swe namioty nad brzegami Tygru. Ostatni król Keraitów, Onkan, był już, jak powiadają, władcą ogromnego państwa, gdy los go zetknął z groźnym współzawodnikiem — z wodzem, którego sława wkrótce zaćmić miała wszystkich, z Dżengis-Chanem.

Od tych to Keraitów wiara chrześcijańska, z nestorjańskiem skażeniem, przedostała się do ich północnych sąsiadów, potężnych Merkitów, i do zachodnich Najmanów, a i Ujgurowie, z których pochodził sam Dżengis-Chan, dali się prędko pozyskać nowej nauce.

Właśnie u tych prostych i nieokrzesanych lecz gościnnych ludów znaleźli sobie pole do pracy nestorjańscy misjonarze, gdy w Chinach, w roku 845, wyszedł dekret cesarski, nakazujący mnichom buddyjskim, których było 260.000, jako też zakonnikom chrześcijańskim i mazdejskim, w liczbie 2000, opuścić klasztory i wrócić do życia świeckiego. Nestorjanów dekret ten nie dotknął zbyt ciężko, gdyż ich kapłani byli zarazem kupcami, bez wielkiego przeto żalu przenieśli się pocichu do krajów sąsiednich, gdzie żyły ludy koczownicze.

Postępy misyj nestorjańskich stały się głośnemi po świecie, a do wieści prawdziwych przyrastały bajeczne dodatki. Utrzymywano, że sam Dżengis-Chan jest już chrześcijaninem, że na chrzcie świętym otrzymał imię Dawid, że na swym sztandarze wystawił znak krzyża. W istocie jednak Wielki Chan został przy swych dawnych pojęciach, nie przy pogaństwie, lecz przy ogólnikowej naturalnej wierze w Najwyższą Istotę, połączonej z tolerancją dla wszelkich kultów, uważał je bowiem jedynie za różne formy jednej powszechnej religji. Zato syn jego, Dżagataj, przyjął, zdaje się, chrześcijaństwo i wiele się przyczynił do wystawienia wspaniałego kościoła pod wezwaniem świętego Jana Chrzciciela, gdzie później miał zajść głośny cud. Inny syn Dżengis-Chana, Ogotaj, zostawszy monarchą, wziął sobie za kanclerza pewnego chrześcijanina keraitę (Dżeng-kaj zwanego przez Chińczyków), co jest faktem niewątpliwym. Temuż kanclerzowi Chan Kujuk powierzył kierowanie sprawami państwa, a za osobistego nauczyciela wziął sobie również chrześcijanina keraitę, imieniem Kardaka. Głośny ze swego powstania książę Najan, stryj Kubilaja, przyjął chrzest i umieścił krzyż na swej chorągwi, a pośród swych żołnierzy liczył tysiące chrześcijan. Gdy rokosz Najana został stłumiony, a książę ukarany śmiercią, żydzi i mahometanie poczęli drwić z chrześcijan. Ci wnieśli skargę przed Wielkiego Chana, a on, wezwawszy winnych, ostro ich za to skarcił: „Jeśli krzyż Chrystusowy — rzekł — nie okazał się przychylnym dla sprawy Najana, miało to swoją sprawiedliwą podstawę — zdrajcy i buntownikowi krzyż nie może dać opieki. Dlatego niech nikt nie waży się drwić z Boga chrze-

ścijan, który jest doskonałą dobrocią i samą sprawiedliwością" (według Marka Polo).

Do najwyższego rozkwitu doszedł nestorjanizm w w. XIII: we wszystkich krajach Azji czuli się oni jak u siebie. Jeden z tych chrześcijan, imieniem Mar Sergis, z ramienia cesarza przez trzy lata rządził jako gubernator miastem Dżen-dzing, w prowincji Dziang-Su (Kiang-Su), i wystawił tam dwa kościoły. Po jednym z nich została pamiątkowa stela, ryta w roku 1281: napis na niej głosi, że istniało podówczas w cesarstwie dwanaście innych klasztorów pod wezwaniem Świętego Krzyża (Szy-dze-sy), z których siedem zbudował tenże pobożny a czynny Mar-Sergis.

Pekin (Kambalik) posiadał już dawno stolicę biskupią, a zasiadający na niej pasterz cieszył się znaczeniem i wpływem pośród dwudziestu siedmiu metropolitów i dwustu biskupów, podległych władzy patrjarchy z Seleucji.

Nestorjanizm stał się mostem, wiodącym do prawdziwego Kościoła. Wypadki same torowały drogę wysłańcom namiestnika Chrystusowego.

W roku 1281 król Persji, mongolski książę Argun, zamierzył utworzyć związek królów przeciwko groźnym dla całego świata muzułmanom. W tym celu zwrócił się do patrjarchy Seleucji, którym był wtedy Jab-Alaha III, z prośbą o wyszukanie z pośród podwładnego mu duchowieństwa kogoś zdolnego i energicznego, ktoby mógł podjąć misję dyplomatyczną do dworów europejskich. Patrjarsze wnet przyszedł na myśl dawny mistrz jego, Raban-Sauma, jego też przedstawił królowi, ten zaś powierzył mu list do francuskiego króla, Filipa Pięknego.

Dla tak wielkiej religijno-społecznej sprawy Raban-Sauma poświęcił umiłowaną samotność i ciszę, przyjął poselstwo i, zaopatrzony w listy polecające, puścił się w daleką i długą podróż. W wielkich miastach Europy przyjmowano go jak dostojnika i dyplomatę. Przybył też do Rzymu i znalazł życzliwą gościnę. Gdy jednak kardynałowie próbowali wciągnąć go w dyskusję na temat prawd wiary, ostrożny Raban uchylił się od rozpraw, odpowiadając sprytnie: „Przyjechałem z dalekich krajów nie poto, by dyskutować i roz-

trząsać rzeczy wiary. Pragnę otrzymać błogosławieństwo z rąk pana mojego, Papieża, relikwjami świętych, oraz przedstawić, co mówią król i Katolikos (patrjarcha). Jeśli rzecz godna jest uznania w oczach waszych, to zaniechajmy dysputy, natomiast użyczcie mi kogoś, ktoby mnie oprowadził po tutejszych kościołach i pokazał mi złożone w nich szczątki świętych. Wielką w ten sposób łaskę wyświadczycie słudze i uczniowi waszemu." Pobożnemu pragnieniu Rabana-Saumy stało się zadość: zwiedził on wszystkie bazyliki Rzymu, ucałował wszystkie relikwje Wiecznego Miasta, potem jeszcze w Genui uczcił szczątki świętego Jana Chrzciciela, a w Paryżu Koronę Cierniową. Wreszcie przepłynął La Manche i królowi Anglji wręczył list od Arguna z zaproszeniem do koalicji przeciw Islamowi.

Wielką radość i poważne nadzieje wzbudziła w Rzymie ta wizyta ujgurskiego biskupa. Przekonano się, że Persja, choć prawie całkiem nestorjańska, nie ma jednak odrazy do Kościoła, a przeto bez większego oporu zgodzi się na powrót do jedności kościelnej. Wnioskowano także, iż wielkim być musiał wpływ Jab-Alahy na chanów, skoro zdołał tak życzliwie usposobić króla perskiego i wzniecić w jego duszy pragnienie chrztu. Koalicja przeciw Islamowi przysłużyłaby się dziełu nawrócenia Wschodu. Dalekie kraje Azji ze swemi zasobami świeżych sił żywotnych otwierały podwoje Kościołowi.

Ówczesny papież, Mikołaj IV, czynił, co mógł, żeby utrwalić nawiązujące się zbliżenie. Przedewszystkiem wyprawił posłów do króla perskiego i do patrjarchy Seleucji, dołączając do listu dla tego ostatniego własną tiarę i pierścień w podarunku. Podarunki mówiły same za siebie, a list przyznawał mu władzę nad objętym przezeń Wschodem chrześcijańskim. Nic już teraz nie brakło, tylko trochę niezbędnego pokoju i wytrwania, a dzieło zjednoczenia zostałoby dokonane.

Właśnie w tym czasie opowiadania Marka Polo o nowym niejako świecie, przezeń odkrytym, rozbudziły w Europie zapał do poznania się ze Wschodem. Papież Mikołaj IV, znając już przychylność władców dla chrześcijaństwa, wyprawił do Wielkiego Chana nowe poselstwo, w roku 1288.

Wybór jego padł znowu na franciszkanów: Jan z Monte Corvino (pod Salerno), wyznaczony przez generała zakonu, puścił się w daleką drogę, zabierając ze sobą listy papieskie do królów indyjskich, władców nestorjańskich, do biskupa Taurydy, Dionizego, do mongolskiego księcia, który panował w Persji i do Wielkiego Chana. W roku 1293 Jan z Monte Corvino stanął u celu podróży, w Kambaliku. Jako legata papieskiego przyjęto go z należnemi honorami. Niestety jednak ten Wielki Chan Kubilaj, który tylokrotnie dopominał się o misjonarzy katolickich i już prawie oglądał ziszczenie swych pragnień, następnego roku umarł. Szczęściem wszyscy Wielcy Chanowie szli drogą tej samej polityki i te same mniej więcej mieli przekonania. Następca Kubilaja, wnuk jego, Timur, i syn tego, U-cung, sprzyjali misjonarzom katolickim. Nie przeszkadzało to temu ostatniemu jednocześnie wielce cenić Konfucjusza, czem sobie pozyskał uczonych chińskich, i łaskawością darzył lamów, co mu zjednało sympatje tybetańczyków. I w jego pojęciu były to różne formy jednej i tej samej religji, dostosowane do różnych okoliczności.

Kto jednak zajął nieprzychylne a nawet wrogie stanowisko wobec misjonarzy katolickich, to... chrześcijanie stolicy, nestorjanie. Mieli oni tam biskupa i kilka klasztorów, i względów swych u dworu nie chcieli dzielić z nikim. Najpierw z niechęcią, potem z zazdrością patrzyli na gorliwość nowych misjonarzy, a następnie postanowili się ich pozbyć, więc zaczęli dokuczać i przeszkadzać im w pracy, wreszcie oskarżyli O. Jana o szpiegostwo, a nawet o to, iż w podróży zamordował i ograbił cudzoziemskiego posła w Indjach. Pięć lat ciągnęły się te prześladowania; Jana niejednokrotnie pozywano przed sąd cesarski i grożono mu śmiercią, aż wkońcu zesłał Bóg człowieka, którego świadectwo położyło kres podejrzeniom; wtedy monarcha zwrócił się przeciw oskarżycielom i skazał ich wraz z rodzinami na wygnanie.

Wśród tylu udręczeń O. Jan zachował wielką cierpliwość i nie ustawał w pracy, z widocznem błogosławieństwem Bożem, gdyż, ku jego pociesze, w niedługim czasie nawrócił się nestorjański król Keraitów, Jerzy. Już od początku czuł

on życzliwość dla tego misjonarza, a wkrótce złożył wyznanie wiary katolickiej i nawet poprosił o święcenia mniejsze. Nie uląkł się i nie cofnął, gdy go nestorjanie okarżyli o odstępstwo, owszem, większość swych poddanych nakłonił do katolicyzmu, a sam, przyobleczony w uroczyste szaty królewskie, asystował misjonarzowi przy ołtarzu. Sumptem jego stanęła wkrótce świątynia katolicka pod wezwaniem Świętej Trójcy. Król Jerzy zmarł śmiercią prawdziwie chrześcijańską.

Cierpliwość i gorliwość Jana z Monte Corvino wydawały coraz obfitsze owoce. Ochrzczonych przez siebie w Kambaliku naliczył on około sześciu tysięcy, a poprzednio, w podróży, podczas trzynastomiesięcznego pobytu w Indjach ochrzcił około stu osób; liczba ta byłaby wzrosła do jakich trzydziestu tysięcy, mówił, gdyby nie potwarze. Przygarnął on do siebie stu pięćdziesięciu małych chłopców, nie znających żadnej religji, ochrzcił ich, nauczył czytać po łacinie i po grecku, przełożył dla nich psałterz, i odtąd jedenastu z nich stale śpiewało po zakonnemu w chórze godziny kanoniczne, a cesarz z okien pobliskiego pałacu rad im się przysłuchiwał. W krótkim czasie jedyny kościół, zbudowany przez Jana w stolicy, okazał się niedostatecznym dla wiernych i misjonarz zabrał się do budowy drugiego.

Po jedenastu latach pracy w pojedynkę doczekał się on wkońcu upragnionej pomocy: najpierw przybył brat Arnold z Kolonji, potem, w roku 1307, z woli papieża Klemensa V, siedmiu franciszkanów wyruszyło do stolicy Wielkich Chanów. Wyposażeni wszyscy w sakrę biskupią, mieli od papieża zlecenie, żeby konsekrować Jana Corvino na arcybiskupa Kambaliku i wręczyć mu paljusz. Do Wielkiego Chana wystosowany był list, dziękujący mu za opiekę nad katolikami i zachęcający do przyjęcia chrztu. Z nieopisaną radością uściskał Jan przybyłych, widząc w nich rękojmię, że dzieło misji nie zaginie, gdy go Bóg odwoła do siebie. Ponieważ z siedmiu wysłanych zakonników tylko trzech szczęśliwie dojechało w r. 1308 do Chin, w cztery lata później wyprawił papież trzech sufraganów dla nowego arcybiskupa, powołanych z tegoż zakonu. Teraz połączenie Zachodu ze Wschodem ustalone było na dobre. Kupcy dla zysku dążyli tam nietylko z Persji i Armenji, lecz także

z Italji i Francji; a coraz nowych pracowników ewangelicznych prowadziła żądza pozyskania dusz Chrystusowi Panu.

Najznakomitszym z katolickich apostołów Wschodu stał się, bezwątpienia, Odoryk Matthiucci, franciszkanin, pochodzący z Pordenone we Friulu. Energiczny i surowy dla siebie, Odoryk sam prosił o wysłanie na Wschód. Wyruszywszy w roku 1318, przebył Armenję, Persję, Indje, następnie zwrócił się ku północy i dotarł do Kambaliku. Widząc tam żniwo obfite, a mało robotników, po pięciu latach pobytu na Wschodzie wrócił do Europy po nowych misjonarzy, lecz nim ich uzyskał, powołał go Bóg do siebie (1333). On pierwszy z ludzi naszej rasy, wracając, przekroczył granicę Tybetu i dotarł do Lhassy.

W dwa lata później przeszedł do wieczności Jan z Monte Corvino, mając 83 lata, a wierni pekińscy opłakiwali go jak ojca i do grobu jego odprawiali pielgrzymki.

Ponieważ pierwszy biskup Kambaliku wprowadził do Kościoła, jak obliczają, trzydzieści tysięcy pogan, błogosławiony Odoryk — dwadzieścia, to dodając do tego owoc pracy innych misjonarzy, otrzymamy jakie sto tysięcy nawróconych do daty śmierci Jana de Monte Corvino.

Cesarzów mongolskich jednego po drugim zmiatała śmierć z tronu, stosunek wszakże dynastji do Kościoła nie ulegał pogorszeniu. Gdy na wiadomość o śmierci arcybiskupa Kambaliku papież Jan XXII wyprawił tam jako jego następcę Mikołaja z Botras, francuza, profesora teologji w Paryżu, dając mu za towarzyszów aż dwudziestu kapłanów zakonnych i sześciu braci, cesarz Szun-di ze swej strony wysłał w poselstwie do papieża brata Andrzeja, franciszkanina, z tak brzmiącym listem: „Posyłamy ambasadora Naszego, Andrzeja, francuza, wraz z piętnastu towarzyszami do Papieża, Pana Chrześcijan, we Francji (w Awinjonie), za siedm mórz, w stronę zachodnią... Prosimy, żeby nam przysłał błogosławieństwo, żeby pamiętał o nas w swych modlitwach, i żeby miał na sercu Alanów, chrześcijańskie swe dzieci i sługi. Prosimy go także o przysłanie nam koni oraz innych rzeczy, osobliwości z kraju, gdzie słońce zachodzi... Dano w Kambaliku, roku Szczura (1336), trzeciego dnia, szóstego

miesiąca (księżycowego)". Pozyskani dla wiary książęta alańscy, o których pisze cesarz, oraz chrześcijanie z Kambaliku dołączyli od siebie listy.

Benedykt XII odpisał cesarzowi i z odpowiedzią wysłał na Daleki Wschód czterech franciszkanów, tym razem już jako nuncjuszów apostolskich. Ci przybywszy na miejsce, stwierdzili, że warunki dla wiary były pomyślne: misje katolickie rozwijały się szybko, siedzib kościelnych przybyło, klasztor Monte Corvino, stojący w pobliżu pałacu, cieszył się nadal opieką cesarską, tak dalece, iż cesarz przypuszczał zakonników do swego stołu, wypłacał im pensję roczną, zwaną „alafa", i często zwracał się do nich o błogosławieństwo. Ażeby zadość uczynić pragnieniu papieża, ogłosił nawet edykt o wolności religji, co miało wielce doniosłe skutki, bo ilość nawróceń tak wzrosła, iż nuncjusz Jan z Florencji musiał udać się do Rzymu (1353), prosząc w imieniu Wielkiego Chana o liczniejszych pomocników do pracy.

Po roku 1370, w którym Urban V wyznaczył na arcybiskupstwo w Kambaliku drugiego profesora z Paryża, Wilhelma de Prato, wieści z Dalekiego Wschodu stają się coraz rzadsze, wreszcie całkiem ustają. Co się stało z delegatami Grzegorza XI, wysłanymi do Chin i Mongolji w r. 1371, i z dwudziestu sześciu zakonnikami, którzy w roku 1391 wyruszyli z Kambaliku do Rzymu, dotąd niewiadomo. W misji pekińskiej do dziś pozostały nazwiska jedenastu prałatów, którzy wyznaczeni byli dla Dalekiego Wschodu, lecz nigdy ich tam nie oglądano.

Nad dynastją mongolską zbierały się czarne chmury. Ludy podbite przez Wielkich Chanów, pomimo ich spokojnych i sprawiedliwych rządów, nie mogły jednak zapomnieć ani krwawych czynów mongolskich, ani swej dawnej wielowiekowej niepodległości; nie nauczyły się wcale kochać swych władców, i czekały sposobnej chwili, żeby zrzucić z siebie jarzmo i pomścić niewolę. Chwila nadeszła właśnie w drugiej połowie czternastego wieku (1368). Zniedołężniały, zdało się, naród chiński zerwał się jak burza i zmiótł najeźdźców tak doszczętnie, że z dynastji Juan (mongolskiej) ani śladu nie zostało. Wraz z nimi zniesiono i obce religje,

zbyt mocno związane z cudzoziemską dynastją. Kościoły, klasztory splądrowano, spalono, księgi i naczynia święte zniszczono i zrabowano, co ocalało, rozproszyło się jak liście pod gwałtownym podmuchem jesiennego wichru. Tu i owdzie trzymające się dotąd ryte w kamieniu krzyże i napisy świadczą, że niegdyś przedziwnie krzewiła się na tych ziemiach wiara Chrystusowa. Relikwij po pierwszych apostołach katolickich darmoby kto dziś w Chinach poszukiwał. Chrześcijanizm nestorjański także wygasł zupełnie. Kościół zaś katolicki rozpoczynać musiał swą pracę na nowo. Krzyż stanął w Chinach zpowrotem dopiero z wytknięciem przez Portugalczyków drogi morskiej na Wschód. Gdy O. Mateusz Ricci T. J. przybył do Pekinu w roku 1600, nie znalazł tam ani śladu, ani wspomnienia o chrześcijaństwie z epoki Juan'ów.

A jednak nie wszystko przepadło z tych za mongolskiej dynastji dokonanych wysiłków, zwłaszcza z ofiarnej pracy misjonarzy: Zachód i Wschód zbierały ich owoce. Busola, broń palna, stosunki handlowe, poznanie dalekich krańców Starego Lądu — to zysk dla Europy; organizacja zakonna, chóry klasztorne, celibat, rytuał, do dziś utrzymujące się w Mongolji, Tybecie, Chinach, to dorobek duchowy, wzięty z rąk katolickich misjonarzy. Dziś mamy pewność, że wiele dóbr w porządku duchowym zawdzięcza Daleki Wschód średniowiecznym głosicielom Dobrej Nowiny.

Minęło odtąd lat pięćset. Latem roku 1931, w wieku samochodów, samolotów i radja, mongolskie miasto Chajlar, położone przy kolei wschodnio-chińskiej, zawrzało dawno niewidywanem życiem. Ludność miejska czyniła gorączkowe przygotowania na przyjęcie gości z całego kraju. Miejscowe gorzelnie nie mogły nastarczyć swych wytworów; chińscy jubilerzy dniem i nocą pracowali nad sporządzeniem dostatecznego mnóstwa srebrnych drobiazgów, tak lubianych przez kobiety mongolskie; większe i mniejsze jadłodajnie pełne gości i co chwila wypuszczały mongołów ledwie przytomnych, gramolących się z wysiłkiem na konie, żeby w szalonym biegu po stepie wytrzeźwieć; domy gry znakomicie zarabiały na mongolskich nieupamiętanych graczach. W ten sposób Mon-

golja gotowała się do nadzwyczajnej, od niepamiętnych czasów nie oglądanej uroczystości: do Chajlaru przybywał głowa lamaizmu, mongolski Panczen-lama, koadjutor wielkiego Dalaj-lamy, duchowy wódz narodu. Około dwudziestu tysięcy wiernych lamaitów przybyło złożyć mu hołdy. Każdy mongoł przybywa z ofiarą: bogaty — z darem w srebrze, ubogi — z płatem żółtego jedwabiu, bez tego bowiem nie będzie dopuszczony przed oblicze duchownego dostojnika, a jemu bardzo chodzi o najwyższe błogosławieństwo. Pośrodku obszernego podwórza, zajmującego centrum wielkiego obozu za miastem, zasiada na wysłanym drogiemi haftami tronie dostojny Panczen-lama. Wierni wchodzą po jednemu i padają przed nim na twarz, on zaś dotyka ich końcem długiej laski, opatrzonej w tabliczkę z modlitwą. Odchodzą tyłem, nie śmiejąc odwrócić się od „Żywego Buddy". Szczęśliwi są, bo po to błogosławieństwo jechali setki mil może, i odtąd wyróżniać się będą zaszczytnym czerwonym znaczkiem na ubraniu. Całują na drodze ślady kół Panczen-lamy, płacą, by im pozwolono dotknąć jego... samochodu. Wcielenie bowiem Buddy, a raczej poprostu Bóstwa, przyjechał, jak przystoi na dzisiejsze czasy, samochodem, który wyróżnia się zdaleka żółto lakierowaną karoserją. Świta jego czy straż, złożona z 25 silnych młodych tybetańczyków, zbrojna jest... w ręczne karabiny maszynowe najnowszego systemu.[1])

Postęp zewnętrzny przeniknął w te zakątki, wewnętrznie jednak dusza mongoła została, jaką była. Lecz lud ten ocknął się ze swej długiej martwoty. Niejeden inny naród, jak prusowie, jadźwingi, zaginął z biegiem wieków, a naród mongolski żyje. Pewno Bóg chce, by się doczekał miłosiernych objęć Dobrego Pasterza.

---

[1]) Por. miesięcznik *Daleki Wschód*, Charbin 1. XI. 1932.

Ks. R. Wierzejski
Zgr. Marjanów

Jakub Deml.

I. Poeta i ludzie.

Chyba żadna literatura słowiańska, z wyjątkiem rosyjskiej, tak często i tak uporczywie nie powracała do zagadnień religijnych, jak literatura czeska. Przytem, być może, jej zainteresowanie się temi sprawami było nieraz bardziej powierzchowne, niż podobne zainteresowanie pisarzy polskich lub rosyjskich. Przytem, być może, odpowiedzi pisarzy czeskich na odwieczne zagadnienia prawdy religijnej i życia religijnego były bardzo mylne, zbyt racjonalistycznie uproszczone, więc i heretyckie: człowiek, tendencyjnie upraszczający pełnię harmonijną i niewyczerpalną wszechstronność Bóstwa, popełnia herezję. Czesi często popełniali herezje, często zapominali dla ziemi o niebie. Niejednokrotnie tworzyli Boga na swój obraz i podobieństwo. I wiele, wiele razy musieli pić z gorzkiego kielicha słusznej kary, słusznej dlatego, że tylko zadośćuczynienie może naprawić nasze błędy w dziedzinie pojęć religijnych.

Czesi często się mylili. Ich literatura jest pełna śladów takich błędów. Lecz również błądziłby ten, ktoby ją potępił za te grzechy mimowolne. Czesi szukali prawdy: jest to nie wina, tylko nieszczęście, gdy człowiek, szukający właściwej drogi, zbłądzi na mylną ścieżkę. Literatura czeska, być może, niezawsze znajdowała Boga, wszakże nigdy nie zapominała o Nim. Pisarze czescy, choć niezawsze wiedzieli prawdę o Bogu, to jednak czuli Jego obecność: to zaś ratuje i tłumaczy literaturę czeską.

Takimi „szukającymi i dotykającymi" byli Juljusz Zejer, Jan Nieruda i Otokar Brzezina. „Dotykającymi i znajdu-

jącymi" — Jarosław Durych i Jakub Deml. Ci dwaj już nie szukają prawdy. Mają ją w sobie immanentnie. Oni mogą poszukiwać coraz to nowych przejawów prawdy dla dodania w ten sposób jej blasku. Lecz dla siebie samych nie potrzebują potwierdzenia. Oni — *beati possidentes*. Wiedzą. Zwątpienie im obce. Niema różnicy między własnem ich „ja" a wiarą, tworzącemi jedność. Podobna jedność świadomości osobistej a zupełnej, gorącej, szczerej wiary charakteryzuje genjalnego Jacobone da Todi literatury czeskiej, Jakuba Demla.

Istotnie, Jakub Deml — to czeski Jacobone da Todi. Można go przyrównać także do rosyjskich „jurodiwych", którzy też układali pieśni i śpiewali je. Jakub Deml, „jurodiwi" rosyjscy i jurodiwy włoski Jacobone da Todi mają bardzo dużo rysów wspólnych. Narazie powiemy tylko o jednym: wszyscy oni nie bali się mocnem, ognistem słowem walczyć o prawdę, nie bali się oskarżać, walczyć, i pokonani znowu powstawali, by znów upominać i karcić złoczyńcę. Jurodiwy oskarżał cara Iwana Groźnego. Jacobone da Todi wyszydzał ostrą satyrą wpływowych i możnych. A Jakub Deml? Z kim on nie walczył i wobec kogo nie bronił prawdy lub tego, co szczerze uważał za prawdę! Jego życiorys powinien pisać historyk nie literacki, ale wojenny: walki, utarczki, mało zwycięstw a dużo klęsk. Lecz ani jednej ucieczki z pola bitwy. Żadnej kapitulacji. „Stara gwardja ginie, lecz się nie poddaje." A gwardja Boża? — ta oczywiście nie kapituluje.

Całą twórczość Jakuba Demla można sprowadzić do dwóch krótkich, wyraźnych formuł: Deml albo walczy o chwałę Bożą, lub Boga wielbi i chwali. Gdy zaś przypadkiem tego nie czyni, wzbiera w nim tęsknota dręcząca i rzewna. Przeto trzy stany: walka, uwielbienie i udręczenie ducha. Dwa pierwsze są stałe, trzeci — przejściowy. Te trzy stany wypełniają sobą gamę nastrojów twórczych Jakuba Demla.

Deml walczy... czy tu nie zachodzi całkiem mimowoli asocjacja z Don Kichotem, błędnym rycerzem, który również dużo walczył, jednak przeważnie z wiatrakami? Deml jest

podobny do Don Kichota. Walczy z wiatrakami nawet częściej, niż jego przodek kastylski. Lecz któż z nas może wiedzieć, gdzie jest wiatrak, a gdzie naprawdę zły rycerz lub gnuśny okrutnik, ukryty w złowrogim mroku odludnej i dzikiej jaskini? Kto ma słuszność — rycerz fantastyczny, czy jego roztropny sługa, pozytywista Sancho Panso?

Wszyscy „literaccy pozytywiści" w bezpośredniem lub pośredniem znaczeniu tego słowa oburzali się na Jakuba Demla, tego zwarjowanego Don Kichota, tego jurodiwego Jacobone da Todi, z powodu jego książki o zmarłym poecie Otokarze Brzezinie. Jak zaś nie mieli się oburzać? Wszak Deml w swoich wspomnieniach malował Brzezinę nie jako panteistycznego mistyka, oddalonego od zgiełku naszego grzesznego życia ziemskiego, lecz prawie jako praktykującego katolika, zainteresowanego życiem politycznem i kulturalnem Czechosłowacji i oświetlającego to życie z katolickiego punktu widzenia... Najlepszy czeski poeta i, o dziwo! katolik, choćby katolik tylko w życiu prywatnem! Nieuznany poeta czeski może być, oczywiście, katolikiem, ale uznany przez urzędową krytykę laureat, poeta, włączony do wszystkich podręczników? Poeta czeski, chcący pozyskać sobie uznanie, oczywiście nie musi koniecznie być „husytą". Do tego nikt go nie zmusza. Może być ateuszem, zwolennikiem odrodzenia starego pogaństwa, może mieć sympatje do prawosławia, być „mistykiem" w stylu antropozofów lub spirytystów, może nawet poniekąd interesować się katolicyzmem — powiedzmy pod względem estetycznym. Dla poety wszystkie drzwi są otwarte, z wyjątkiem tylko jednych — prawdziwego katolicyzmu. Wszystkie koła urzędowe tak bardzo ceniły i lubiły Brzezinę, że niktby nie śmiał go posądzać o jakiekolwiek sympatje aktywne do katolicyzmu. Deml zaś zdradził, że Brzezina był katolikiem! Nie dziw, że poczęto się oburzać.

Leży przede mną paczka wycinków z dzienników ówczesnych. W tych wycinkach nazwano Jakuba Demla kłamcą, warjatem, ambitnym, profanatorem grobów, rozpustnikiem, oszczercą, sprzedajnym, fałszerzem — czytelnik może tu dołączyć wszystkie znane mu wyzwiska, bo wszystkiemi obsy-

pywano Demla. Zdaje się, że nie zarzucano mu tylko podpalania i fałszowania pieniędzy. Krytyka miotała pioruny, grzmotów chętnie dostarczali mu pomniejsi dziennikarze. Wreszcie zaś — *finis coronat opus* — magistrat miasteczka Jaromerzyc, gdzie mieszkał Brzezina, zaprotestował przeciwko książce Jakuba Demla!

Cóż czynił Deml? Mieszkał w swym sielańskim Tasowie, zbierał wycinki gazeciarskie, karmił ptaki okruszynami i łowił ryby na wędkę. Cały ten hałas wydawał mu się komicznym i szczerze go bawił gniew krytyki. O synu duchowy Jacobone da Todi, który też lubił się napawać widokiem ogólnego podniecenia, wywołanego przez jego zuchwałe słowa, dowcipy i pieśni!

Tę całą historję opowiadam nie poto, by dowieść, że Deml miał słuszność w swojej charakterystyce Brzeziny. Raczej nie on miał słuszność, tylko jego przeciwnicy. Ten przykład jest znamienny dla oceny osoby Demla, dla oceny specyficznie czeskich warunków, w których wypadło mu żyć i tworzyć. Walka o jego książkę o Brzezinie nie mogła zbytnio zdziwić lub zaniepokoić Demla: on przez całe swe życie walczył, zawsze odbierał lub zadawał ciosy.

Profesor uniwersytetu w Bukareszcie, Dragomirescu, świeżo wydał książkę *Science de la litterature,* w której powstaje przeciwko historycznej metodzie studjowania literatury i dowodzi, że utwór należy badać niezależnie od osoby jego autora. Ten pogląd nie jest nowy, bowiem to samo dużo wcześniej twierdził uczony rosyjski Jewłachow. Lecz obaj ci nowatorzy estetycznej teorji krytyki literackiej bardzo się mylą: jest cały szereg genjalnych poetów, których utworów nie można oddzielić od osoby autora. Taki jest również Deml, to żywe zaprzeczenie teorji Dragomirescu. Nie można zrozumieć jego twórczości, nie znając jego życiorysu, który znowu można właściwie ocenić tylko wówczas, gdy pamiętamy o światopoglądzie Demla i o podstawowych czynnikach jego twórczości literackiej.

Osoba ludzka Jakuba Demla jest kluczem do zagadki jego twórczości. Przeto my również, chcąc go ocenić jako zjawisko literackie, winniśmy się zająć materjałem biograficznym. Ponadto należy pamiętać i o warunkach miejsco-

wych, okolicznościach i zwyczajach. W wielu wypadkach Deml wyprzedzał swe czasy; zrozumieć, o ile zdołał je wyprzedzić, możemy również tylko wtedy, gdy poznamy jego czasy. Inaczej dochodzimy do paradoksalnego, choć mimo to prawidłowego wniosku, obalającego tezę estetycznej teorji krytyki literackiej: poetę genjalnego dla wszystkich czasów i narodów można najlepiej ocenić tylko wówczas, gdy poznajemy go w ramach jego epoki i jego własnego narodu. Tą drogą spróbujmy również dojść do uchwycenia oblicza literackiego Jakuba Demla.

Jakub Deml urodził się 20 sierpnia 1878 r. w miasteczku morawskiem Tasowie. Jego przodkowie prawdopodobnie jeszcze za czasów Otokara II przybyli z Frankonji i zamieszkali nad morawsko-czeską granicą. W swej książce *Mohyla* Deml opowiada historję swego dziadka i ojca; dziadek pochodził z Opatowa w pobliżu czeskiej Trzebowy — tam jeszcze dotąd jest dużo krewnych, którzy jednak piszą swoje nazwisko nieco inaczej: Deymel, Dömel, Däumel, Demel. Jego ojciec, który również nazywał się Jakub, z zawodu był krawcem; pracował w Wiedniu, a potem zamieszkał w Tasowie, gdzie został subjektem spółdzielni, a zarazem pracował na roli. Stary Jakub Deml trzy razy się żenił i miał czternaścioro dzieci; poeta był synem z drugiego małżeństwa z Antoniną Bielochową, zmarłą w r. 1890.

Młodość Jakuba Demla niczem się nie różniła od młodości innych wiejskich dzieci jego wieku: dopomagał w gospodarstwie, czasem pasał bydło, a potem posłano go do Austrji, bym tam się nauczył mówić po niemiecku. W czasie jego odjazdu zmarła jego matka. Ojciec w tymże roku znowu się ożenił, lecz tym razem niepomyślnie. W domu zaczęto myśleć o kształceniu Jakuba na księdza. On się zgodził na to, więc wysłano go do gimnazjum w mieście Trzebicz.

Pierwszemi książkami, które Deml przeczytał uważnie, były *Robinson* i *Żywot św. Genowefy*. Potem z dużem zainteresowaniem czyta oryginalnego katolickiego pisarza Kosmáka i Trzebirskiego, potem przez trzy lata zaczytuje się Svatoplukiem Czechem. W szóstej klasie wraz z przyszłym pisarzem Franciszkiem Zawrzelem i przyszłym wodzem ko-

munistów B. Szmeralem, Deml wydaje na hektografie pismo *Sursum*. Z zamiłowaniem czyta wiersze Otokara Brzeziny i literackich czasopism paryskich, które skądś otrzymuje i przynosi do gimnazjum Szmeral. W siódmej klasie Deml całkowicie zostaje pod wpływem książki O. Brzeziny *Świt na Zachodzie*; podczas popisu wymowy wygłasza gorącą mowę o Brzezinie.

Poeta przypadkowo dowiedział się o tej lekcji swego wielbiciela-gimnazjasty i zaprosił go do siebie do miasteczka Nowa Rzysze, gdzie był profesorem. Deml ze swym kolegą prawie bez grosza udał się do uwielbianego pisarza. Zabawną swą podróż opisał w książce *Hlas mluví k Slowu* i w *Svedectví*. Potem, już na ukończeniu gimnazjum, Deml znowu odwiedził Brzezinę, który mu powiedział: „Gdybym mógł zacząć żyć ponownie, tobym chciał zostać tylko księdzem". Te słowa zadecydowały o dalszym losie Jakuba Demla; wszystkie jego wątpliwości znikły i zgodnie z wolą rodziców wstąpił do seminarjum w Bernie.

Jako alumn seminarjum, Deml nie zaniechał literatury, — mówiąc ściślej z czytającego staje się on pisarzem. Być może, że to było początkiem nieszczęścia jego dalszego życia, iż zbyt wcześnie zaczął pisać, kiedy należało pracować raczej nad wewnętrznem skupieniem i wyrobieniem charakteru. Uczy się teologji, jednak interesuje się bardziej poezją. Czyta żywoty świętych, co go jednak w nich więcej zaciekawia: świętość czy język i styl literacki? W tymże czasie w Nowym Iczynie wydawano pismo *Novy život* staraniem księży katolickich, którzy zachęcali swoich współbraci do zaznajamiania się z piśmiennictwem i sztuką współczesną. Deml zaznajamia się z wodzem „czeskiej moderny" Dostal-Lutinowym — trzeba zaznaczyć, że „moderna" czeska nieco się różniła od modernizmu europejskiego i utrzymała się przeważnie w granicach ruchu czysto literackiego; dla reform teologicznych jej zwolennicy nie mieli ani wiedzy naukowej, ani śmiałości. Deml szerzy w seminarjum *Novy život*, współpracuje w tem piśmie, również pisze do *Dwacaty viek* i do *Museum*.

W roku 1901 Deml zaznajamia się z utworami artysty rzeźbiarza Franciszka Bilka, potem poznaje go osobiście.

Bilek, o którym dalej powiem szczegółowiej, wywarł na Demla nadzwyczajne wrażenie: poeta pisze komentarz do jego rzeźb, mówi o nim, rozgłasza jego imię, słowem jest w zachwycie. O stopniu tego zachwytu można wnioskować choćby z upomnienia w liście, skierowanym do Demla przez jednego z jego kolegów-literatów, Józefa Florjana:

„Gdyby w twem sercu — pisał Florjan — sercu kapłana, tak głęboko utkwiło nie imię Bilka, lecz Imię Najświętsze, gdyby z twych ust podobnie często i z taką czcią wychodziło Imię Najświętsze, gdybyś karcił swoich znajomych podobnie surowo, gorliwie i konsekwentnie nie w imię Bilka, lecz w Imię Najświętsze, to czegóżby ci było potrzeba, żeby zostać świętym?"

Ta surowa charakterystyka nie była daleka od prawdy. Deml podobnie entuzjazmował się Bilkiem, jak przedtem Otokarem Brzeziną. Przeto dwa wpływy: mistyczna, ale niewyraźna w swej tendencji wyznaniowej poezja Brzeziny i mistyczna rzeźba Bilka. Twórczość Bilka była wówczas bardziej „katolicka", niźli poezje Brzeziny — jednak również wpływu Bilka chyba nie można nazwać zupełnie dodatnim: w jego rzeźbach było dużo motywów tęsknoty, smutku, oczekiwania, cierpienia, lecz mało radości i wesela. Możnaby powiedzieć: to nie twórczość spełnionej obietnicy, lecz twórczość oczekiwania spełnienia Zakonu. Tu brak radości i wdzięczności za Prawdę udzieloną, jest tylko tęsknota za Prawdą. Obie tendencje, oczywiście, są chrześcijańskie, lecz jedna z nich jest katolicka *par excellence,* druga zaś może mieścić treść niekatolicką. Bilek zaś hołdował właśnie tej drugiej tendencji.

Oba wpływy, Brzeziny i Bilka, mogłyby być bezwzględnie korzystne, gdyby proces duchowej krystalizacji Demla już był się zakończył. Lecz było inaczej. Widzimy więc, że Deml „ścigał swych bliźnich" nie w imię Chrystusa, lecz w imię Brzeziny i Bilka.

Mylnie byłoby sądzić, że student teologji Deml oddawał się wyłącznie sprawom literatury i że nie był religijny. Bynajmniej — u Brzeziny i Bilka szukał właśnie przeważnie motywów religijnych. Marzy nawet o życiu zakonnem: wraz ze swym kolegą Pollakiem chce wstąpić do ubogiego kla-

sztoru w Znarze. Jednak rodzice obu sprzeciwiają się ich zamiarom. Po upływie pół roku obaj seminarzyści znów tęsknią za klasztorem, tym razem zapoznają się bliżej z beurońskimi Benedyktynami, lecz znów na żądanie rodziców odstępują od swego planu. Wreszcie 27 lipca 1902 roku Jakub Deml otrzymał święcenia kapłańskie. Sympatyk Brzeziny i Bilka pierwszego sierpnia tegoż roku zostaje katechetą w małem zapadłem miasteczku Kuczerowie.

Estetą, literat, entuzjasta — w miasteczku, gdzie nikt literaturą nie interesuje się i nie chce się interesować! Ten konflikt marzenia z rzeczywistością mógł być dla Demla pożyteczny: gdyby patrzał na sprawy mniej tragicznie, toby być może się nauczył widzieć świat takim, jakim jest naprawdę. Codzień wraz ze swym ks. proboszczem chodzi do sąsiedniego miasteczka, gdzie przebywa w kasynie, gra w karty, czyta gazety, zbiera ofiary na szkoły czeskie. Deml tem się nie zadowala. Wciąż narzeka, przejmuje się, chce się wydostać z tego zwykłego, szarego życia. Jego niezadowolenie z warunków życiowych swoją drogą budzi odpowiednie niezadowolenie jego przełożonych i stąd powstają konflikty. Kurja biskupia w Brnie wyrabia przekonanie, że Deml to człowiek niepewny, nieposłuszny. Wielu proboszczów, u których Deml pracował, z pewnością nie byli miłymi zwierzchnikami, lecz i on chyba nie był idealnym podwładnym.

Mimo tych przeszkód zewnętrznych jednakże pobyt Demla w Kuczerowie pod względem literackim był dość owocny. Szczególnie ważny w jego życiu był rok 1903: wówczas po raz pierwszy odwiedził on Bilka w Chynowie i zapalił się do napisania książki o jego twórczości *(Slovo k Oceànàszi Fr. Bilka).* Drugi niemniej ważny wypadek tegoż roku — to jego znajomość z Józefem Florjanem, człowiekiem oryginalnym, który wywrze na Demla wpływ znaczny, choć nietrwały. Pierwotnie Deml całkowicie — myślą i stylem — uległ Florjanowi, lecz potem, gdy się zerwała ich przyjaźń, ślady jego wpływu znikły.

Burzliwe, niespokojne było życie Jakuba Demla, pełne walki, przykrości, pracy twórczej, zwycięstw, klęsk i błędów. Co skierowało go na tę drogę? Gdyby się zajmował tylko swym ulubionym Bilkiem i Brzeziną, to oczywiście, żyłby

spokojnie i miałby opinję cichego, kulturalnego zdolnego kapłana. Lecz Deml obrał inną drogę, drogę trudną, ciernistą, która nie doprowadziła go do spokoju, a może wogóle nie doprowadziła tam, gdzie Deml chciał się dostać. Zbliżenie z Florjanem było powodem dla Demla jego dalszych niepowodzeń. Trzeba uczynić tu pewną dygresję i naszkicować charakterystykę Józefa Florjana i otaczających go ludzi.

Józef Florjan był profesorem gimnazjum, lecz stosunkowo prędko porzucił szkołę i zrzekł się karjery nauczycielskiej. Jako głęboko wierzący katolik, doszedł on do wniosku, że szkoła współczesna prowadzi do „ogłupienia młodzieży" — Florjan wypowiedział swój pogląd wobec przełożonych i był zmuszony zrzec się stanowiska. Osiadł w Starej Rzyszy, gdzie począł wydawać zkolei pisma *Nova et vetera, Nejnousi revue, Studium, Archy.* Właściwie mówiąc, nie były to pisma w ścisłem znaczeniu tego słowa: poszczególne artykuły drukował na osobnych kartach z osobną numeracją. Ceny były różne — inne „dla przyjaciół", inne dla obcych. Florjan ogłosił, że jego wydawnictwo *Dobra Sprawa* wydają biedni i dla dobra biednych: czasem rozdawał książki za darmo, czasem od ludzi zamożnych starał się otrzymywać za nie jako pożyczki lub ofiary bardzo duże sumy. Szczególnie gorliwie propagował utwory Leona Bloy'a, którego sam przekładał na język czeski. Ideami Bloy'a Florjan przejął się zupełnie. Oczyścić współczesne społeczeństwo i doprowadzić je do Kościoła — oto cel, który sobie postawił. Z niecierpliwością naprawdę fantastyczną był gotów walczyć z każdym, kto, jego zdaniem, przeszkadzał w realizacji tego celu. Kto nie rozumiał i nie podzielał jego poglądów, był na nie obojętny lub prosto do nich niezbyt się zapalał, ten wydawał mu się wrogiem. Idee Leona Bloy'a były, oczywiście, bardzo dalekie od ówczesnej czeskiej i morawskiej rzeczywistości. Katolicy czescy organizowali się politycznie, starali się uniezależnić materjalnie przez zakładanie kas oszczędności i banków, lecz ich literatura była słaba i prowincjonalna, ich cała umysłowość była skierowana w stronę niemieckiej, w najlepszym razie słowiańskiej kultury. Jedynie

grupa modernistów żywiła sympatje do Zachodu, lecz i ona była daleka od światopoglądu L. Bloy'a. Florjan zaś uznał wszystkie współczesne mu sprawy — i politykę, i gospodarstwo, i działalność społeczną — za rzeczy zbyteczne i szkodliwe. Chciał, by wszyscy zostali świętymi, lub przynajmniej zaczęli poważnie starać się uświęcać. Powstał dziwny obraz: urzędowy katolicyzm czesko-morawski znalazł się w sytuacji jakiejś ziemskiej pospolitej Marty, Florjan zaś spełniał zadanie zapatrzonej wzwyż Marji. Faktycznie postawił się on w roli sędziego współczesnego mu społeczeństwa katolickiego. To zaś drażniło ludzi. Literacki arsenał Leona Bloy'a przeniósł on na grunt czeski, zapominając, że dużo francuskich wyrażeń ma nie tak bardzo obraźliwe znaczenie, jak w języku czeskim.

Florjan walczył o trzy punkty: objawienie się Matki Bożej w La Salette, dekret o codziennej komunji św., oraz powstawał przeciwko akcji politycznej księży. Kler ówczesny niezawsze podzielał te zapatrywania, a w oczach Florjana ktokolwiek nie chciał odrazu go zrozumieć, był heretykiem. W czasie, gdy duchowieństwo morawskie zdobywało duży wpływ na wsi i poczynało odgrywać rolę polityczną, — trudno było się spodziewać, by księża zapalali się do „proroctw La Salette", mówiących o karach względem niegodnych sług ołtarza. Duchowieństwo morawskie — oczywiście nie całe — wolało uważać, że to proroctwo ma charakter raczej lokalny i chętniej szerzyło cześć do N. M. P. w Lourdes. A dekret o codziennej komunji św.? Stosowano go w życiu, lecz może nie z takim zapałem, jak pragnął tego Florjan. Każda wieś ma ludzi złośliwych i plotkarzy. Jeśli ktoś począł przystępować codzień do komunji św., to wówczas sąsiedzi uważali to za chęć udawania świętego. Duchowieństwo było zajęte szkołą, kierownictwem miejscowych kół i stowarzyszeń. Cały układ życia nie był dostosowany do podobnych reform. Księża więc tłumaczyli ludziom pożyteczność częstej komunji św., nikogo jednak nie zmuszali do niej, czekając, aż wierni sami wyrażą pragnienie. Florjan zaś nie chciał liczyć się z okolicznościami i nie lubił zwłoki.

Papież Pius X ogłosił specjalne *Motu proprio* o pracy oświatowej i każde czasopismo, chcące uchodzić za kato-

lickie, winno było je wydrukować. Nie było prawie pisma katolickiego, któreby tego nie uczyniło, — do rąk Florjana dostał się nowy oręż.

Dokoła Florjana w Starej Rzyszy powstało coś w rodzaju klasztoru. Zamieszkali przy nim Jakub Deml, Antoni Ludwik Strziż, Otton Albert Tichy, L. Vrana. Dzieci Florjana nie uczęszczały do szkół, „by nie zgłupieć tam". Wszyscy żyli w niedostatku, głodzie i chłodzie. Pracowali we dnie i w nocy. Przekładali, pięknie wydawali książki, prowadzili polemikę z pismami codziennemi, swemi zarzutami ścigali duchowieństwo. Ten osobliwy klasztor wywierał niemały wpływ na historję czeskiej kultury książkowej: styl ich przekładów był naprawdę piękny, mieli dobry gust co do wyboru utworów drukowanych, jak i co do zewnętrznej szaty swoich wydawnictw. Wiele trudności musieli pokonywać, by wyszukać środki na swe wydawnictwa, robili długi, nie mając nadziei na rychłą pomoc. Lecz zawsze znajdowało się jakieś wyjście. Potrzeba nie paczyła charakteru Florjana, lecz trochę go psuła, nie poniżał się on nigdy dla pieniędzy, nie było można go kupić, jednak często zdobywał środki sposobem bardzo ryzykownym. Jeśli ktoś mu odmawiał pomocy, to mógł się spodziewać, że w następnym numerze *Studium* zostanie zwymyślany. Było to wydawnictwo biedaków, lecz biedaków niezwykle bezczelnych. Mimo wszystko wydawnictwo to spełniło dużą pracę kulturalną i miało charakter pewnego okna do katolickich krajów romańskich. Florjan, pomimo wszystkich swych braków, położył niewątpliwie pewne zasługi.

Z tym człowiekiem o silnej woli, oddanym katolicyzmowi i pełnym nieznanych idej, spotkał się Jakub Deml. I to spotkanie było dlań fatalne.

Nie omylimy się, gdy powiemy, że spotkanie się z Florjanem rozpaliło wyobraźnię Demla podobnie mocno, jak przedtem wiersze Brzeziny i rzeźba Bilka. Wpływ Florjana nie był na tyle silny, by mógł wywołać hołd dla niego, jak poprzednio dla Bilka, wszakże usposobienie umysłowe Demla zmieniło się znacznie. Florjan zwrócił jego uwagę na Leona Bloy'a i na bogactwo mistyki Ojców Kościoła. Deml stara

się poznać — co mówiąc nawiasowo mógł był poznać jeszcze w seminarjum — encykliki i piśmiennictwo kościelne. Imponuje mu teraz nietylko mglista mistyka poetów i pisarzy, ale prawdziwa mistyka świętych. Przekłada ich dzieła, skupia się wewnętrznie, zaniedbując twórczość własną. Jest to okres jego duchowego wzrostu i pogłębienia.

Lecz równolegle z procesem dodatnim postępuje proces ujemny. Deml jest wciągnięty we wszystkie walki, prowadzone przez Florjana. To zgubnie wpływa na jego talent. Polemizuje on z duchowieństwem, niepotrzebnie kłóci się z konsystorzem, pisze długie listy. Nieraz, a nawet często, broni rzeczywiście słuszności, lecz często wikła się w drobiazgowe i bezcelowe sprzeczki. Jako przykład może posłużyć jego cięty artykuł o ks. Janouszku, którego ktoś uderzył kamieniem. Ks. Janouszek naiwnie myślał, że to uczynił jakiś „anarchista" — oczywiście takie przypuszczenie było komiczne,: skądby się wziął anarchista na zapadłej wsi morawskiej? Lecz Deml z tego powodu napisał aż 22 stronnice na temat „Zostaną zabici, ale nie będą męczennikami". Wzorem Florjana Deml zaczyna walczyć, by „zniszczyć wszelki brud i wszystko podzielić na światło i mrok". To nieuznawanie półcieni, stopni przejściowych prowadzi do duchowego maksymalizmu, do okrucieństwa. Grzech trzeba nienawidzić, ale człowieka należy miłować, Florjan zaś i Deml w reformatorskim zapędzie często dopuszczali się grzechu nienawidzenia ludzi. W swych polemikach oczywiście mówili, że karcą nie osoby, lecz wady, czuć jednak było wielki brak miłości, zbyt mało współczucia. Ten rys Deml zachował i nadal w walkach politycznych. Ma on jednak i stronę dodatnią: Deml jest szczery i nie tyle napastuje swych przeciwników, ile skarży się na nich Bogu. „Widzisz, o Panie, jak oni się mylą!" U Demla rys ten świadczy o jego prawie dziecinnej naiwności. Florjan był inny...

Drugą stroną ujemną jego współżycia z Florjanem była konieczność dla Demla szukania środków na wydawnictwo *Studia*. Florjan zawierał ze swymi współpracownikami umowy: „Wy będziecie dawali pieniądze, a ja będę je brał". Ludzie, wierzący w słuszność poglądów Florjana, z tem się zgadzali.

Prawnicy nazywają taką umowę *societas leonina*. Florjan naogół miał dość oryginalne pojęcie prawa. Deml, zamiast oddawać się literaturze lub żywotom świętych Ojców Kościoła, poszukiwał pieniędzy i wysyłał dużo listów, w których prosił lub żądał. Kiedy w Kuczerovie nie mógł skupić się dlatego, że jego zwierzchnik zmuszał go do zbierania ofiar na szkoły czeskie, to również u Florjana nie było lepiej...

Kurja zabroniła Demlowi mieszkać u Florjana, potem zakazała mu pisać. Młody kapłan albo nie słuchał, albo ulegając protestował. Ostro i surowo ośmieszał tych, z którymi wypadło mu walczyć. Proboszcz wiejski zabronił Demlowi zachęcać pewną osobę do przyjmowania codzień komunji św. Deml zaprotestował, potem samowolnie opuścił parafję, wyjechał do Florjana i począł ciskać gromy w swych listach. Wszakże sielanka z Florjanem również nie mogła trwać długo. Spotkały się dwa charaktery, które trudno było uzgodnić. Florjan, człowiek samowładny, nieustępliwy i żądający dla siebie respektu, jakieś połączenie zabłąkanego w czasie Torkwemady i bohatera *Pamiętnika z ukrycia* Dostojewskiego, a raczej Szygalew katolickiego Zachodu, Szygalew, fanatyk z *Biesów*. Florjanowi można było tylko ulegać lub walczyć z nim, lecz kochać go było trudno. Było trudno mu zżyć się z Demlem, człowiekiem niezmiernie wrażliwym, łagodnym, nie lubiącym samotności, entuzjastą, pełnym różnych zainteresowań, więc — zdaniem Florjana — płytkim. Deml mógł czasowo słuchać, słuchać dla idei, z grzeczności. Lecz wcześniej czy później musiał się zbuntować. Florjan zaś czując, że bunt ten jest nieunikniony i że artysta Deml nigdy nie podda się całkowicie jego woli, przyśpieszył zerwanie. Zatarg długo dojrzewał, potem raptem doszedł do wybuchu. W r. 1915 w *Nova et vetera,* które zastąpiły *Studium,* Antoni Strziż umieścił inspirowany przez Florjana artykuł „Decenium P. Jakuba Demla" — w tej charakterystyce Deml otrzymał ciosów nie mniej, niż dotąd zadał innym. Więc „jaką miarą mierzysz, taką i tobie będzie odmierzone". Artykuł Strziża nie był słuszny, lecz i sam Deml również bardzo często nie miał słuszności.

Deml, pozbawiony prawa pełnienia obowiązków kapłań-

skich z wyjątkiem odprawiania mszy św., ubogi, ścigany, nieuznany przez urzędową krytykę, żyje samotnie. Ten okres trwa przypuszczalnie od r. 1912 do 1918 r. Lecz ten właśnie okres staje się bardzo płodnym dla jego twórczości. Napisał on w tym czasie przeszło 15 książek, przytem najbardziej współczesnych i poetyckich. W tymże czasie spadło nań dużo cierpień i dużo doświadczeń, które jednak wyszły mu na pożytek. Przestał być „księdzem-literatem", stając się prawdziwym poetą i prawdziwym kapłanem. Swoje kapłaństwo ceni głębiej i wyżej, niż talent pisarski. Deml pozyskał uznanie krytyki, zwłaszcza znanego czeskiego krytyka F. Szaldy. Pozostał także wierny Otokarowi Brzezinie i Fr. Bilkowi.

Z chwilą powstania niezależnej Czechosłowacji powstał chaos religijny. „Postępowa część społeczeństwa" przy milczącem poparciu rządu starała się osłabić katolicyzm, tworząc tak zwany „czeski kościół narodowy". Wielu przypuszczało, że Deml odpadnie pierwszy. Te wszakże rachuby na szczęście nie ziściły się. Deml bardzo się ucieszył z rewolucji i kilkakrotnie ostro wystąpił przeciwko duchowieństwu za sprzyjanie dynastji habsburskiej. Lecz na tem poprzestał. Przeżywał on z pewnością kryzys wewnętrzy, dużo z jego poprzednich przekonań doszło do stanu jakiegoś chaosu. Tak np. wpierw był gorącym obrońcą celibatu (patrz książkę *Do lepszych dob* str. 22) i powstawał przeciwko modernistom, walczącym o małżeństwa księży. Takie były jego poglądy w r. 1907. Jednak w r. 1919 (patrz *Ślépeje* VI str. 326—27) nazywa już przeciwników małżeństwa księży „niewolnikami poglądów orjentalnych, despotycznych i barbarzyńskich". Jednak ten chaos ideowy trwał niedługo. Jego wiara pokonała emocję. Kapłan odniósł zwycięstwo nad poetą. Pozostał wiernym Kościołowi. To zwycięstwo duchowe ma szczególną wagę dlatego, że hierarchja katolicka i katoliccy politycy niedowierzali Demlowi, uważali go prawie za heretyka, on zaś nie posiadał nic, prócz kilku koron małej pensyjki, był zasuspendowany. Gdyby był odstąpił i przystał do kościoła narodowego, mógłby był zrobić karjerę i odrazu wyniesionoby go do godności laureata, „męczennika narodowego" i t. d. Lecz Deml wytrwał —

uważam, że właśnie w tym okresie ustała jego chwiejność duchowa, jego zaś umysł skrystalizował się w te wyraźne formy, w których trwa obecnie.

Lecz jego walka z urzędową „polityką katolicką" miała inny wynik. Deml był samotny i dotkliwie odczuwał swoją samotność. Jego dusza tęskniła za miłością i braterstwem. Los skazał go na nową, już chyba ostatnią próbę. Zamiast prawdziwego braterstwa, natrafił na spaczony jego obraz: w r. 1923 wstąpił do „Sokoła".

Radość ze znalezienia „braterstwa" zaślepiła Demla. Nie widzi, że „Sokół" nie jest dla niego odpowiedni, że ta organizacja ma charakter wyraźnie antykatolicki. Deml w namiętnych artykułach dowodzi, że idea sokolska nie sprzeciwia się chrześcijaństwu, że oganizatorzy „Sokoła" Tyrsz i Fügner byli katolikami, że dobry sokół powinien lubieć Brzezinę i Bilka. Wydaje szereg książek *Sestrám, Czesno, Audiatur et altera pars.* Gdy jednak próbuje szerzyć wśród sokołów idee katolickie, natrafia na brak zrozumienia i opór. Nie zrozumiał, że organizacja „Sokoła" służy nie całemu narodowi, tylko jego kilku grupom politycznym. Ta organizacja bynajmniej nie pragnęła „dla siebie oczyszczenia", „powrotu do dawnych tradycyj" lub szerzenia jakichś wyższych ideałów chrześcijańskich. Istniała ona i pragnęła istnieć, powiększając swój majątek i wpływy. Chciała tym służyć, komu służyła — wszystko inne, piękne słowa, rzewna ideologja — było rzeczą uboczną, nieistotną, dekoracją, jak dekoracją były jaskrawe chustki sokolic i efektowne ubiory sokołów. Organizacja i poeta, pojęcia niewspółmierne. Deml i tu pozostał sam, myśląc jedynie, że znalazł nieistniejące braterstwo. Dla sokołów był on pożądany jedynie dlatego, że był księdzem, bo ilekroć mówiono, że „Sokół" nie jest katolicki, można była wskazać na Demla.

To omamienie sokolskie nie trwało długo. Deml się zniechęca, jak się zniechęcił do Florjana i częściowo zniechęcił się do Bilka — z miłości do tego ostatniego wyleczyła go potem twórczość artysty Feliksa Jeneweina. W r. 1928 „Sokół" wypowiedział się przeciwko obchodowi uroczystości św. Wacława, patrona Czech, czem wyraźnie dowiódł, że jego tendencje są antykatolickie. Jakub Deml wystąpił z „So-

koła", jego zaś byli „bracia" poczęli wściekle na niego napadać. Lecz Deml nie powrócił. Nie przystał także do urzędowego stronnictwa katolickiego, jednak zrozumiał, że w swojej z niem kłótni niezawsze miał słuszność. Deml znów osamotniał.

Umarł Brzezina. Deml wydał swoje wspomnienia o nim. Wspomnienia te jednak tworzyły inny obraz zmarłego poety, niż obraz powstały w pojęciu ogólnem. Deml dowodził, że Brzezina był wierzącym katolikiem, nie podzielał powszechnie przyjętych „prądów postępowych", surowo karcił mających władzę, był narodowcem, nie zaś socjalistą i niezbyt poważał uznane powagi literackie. Powstała wrzawa. Demlowi poczęto zarzucać rozmyślne paczenie rzeczywistości. To, oczywiście, nie było prawdą. Deml może nieraz się mylił, uważając wszystkie zdarzenia Brzeziny za objektywnie wartościowe — wszak poeta nie jest powagą pod każdym względem — lecz Deml nie przekręcał prawdy świadomie. Deml zniósł ogólne oburzenie i odpowiedział na wszystkie napaści dwiema zjadliwemi książkami.

W r. 1932 umarła jego przyjaciółka Paulina Kitlicowa. Deml wydaje książkę o jej śmierci, potem zaś książkę artykułów kontemplacyjnych *Sen katolicki*. Poeta żyje samotny, idzie swą drogą, czyniąc, co uważa za słuszne i należne.

Taka jest jego biografja, biografja dość burzliwa. Głównym, istotnym rysem jego było, że zawsze z kimś walczył i kogoś kochał. Często walczył z tymi, których przedtem kochał. Deml trzymał z Florjanem, potem go opuścił. Hołdował Bilkowi i przestał. Był sokołem i przestał nim być. Co to ma znaczyć? Jak mógł tak często zmieniać przedmioty swoich umiłowań?

Przedmioty umiłowań zmieniają się, lecz miłość zostaje. Deml kochał miłość. Jako ksiądz miłował Boga, szukał na ziemi Jego odbicia. Zdawało mu się, że znajdował ideał, ziemską projekcję Bóstwa, służył temu ideałowi. Lecz ideał nigdy nie wciela się w empirji w całej swej pełni — wciąż tylko częściowo i niedokładnie. Deml przekonywał się, że jego bożki stoją na glinianych nogach, uciekał więc od nich i szukał... bożków nowych.

Jego zawody, osobiście bardzo dotkliwe, nigdy nie były dla niego tragiczne. To nie świadczy o jego płytkości. On wciąż się zniechęcał do wcielenia ideału, do jego uosobienia, lecz nigdy się nie zawiódł na samym ideale — Bogu. Deml, jak rycerz krzyżowy: Ziemia Święta w rękach niewiernych, wojsko pobite, brak nadziei... Lecz Grób Pański jest wieczny — trzeba walczyć do końca, aż nastąpi bój ostateczny, walka ze śmiercią. Deml, to rycerz świętego Graala w literaturze czeskiej. Często się on mylił, często zbyt lekkomyślnie zadawał ciosy. Historja jego zapędów i polemik — to historja jego błędów. Lecz do Demla można zastosować jego własne słowa: „W naszych oczach jest on zgubiony, lecz może Bóg powiedzieć: Ktoś ty? On odpowie — Sosna! I wtedy Bóg rzecze: To czemuż te osły czyniły z ciebie jabłoń?"

(Dokończenie nastąpi.)

Dr. Walery Wiliński.

O zabytkach sgraffita w Polsce.

Nazwa „sgraffito" (graffito) oznacza technikę, służącą do zdobienia ścian zewnętrznych i wewnętrznych budynków. Polega ona w najprostszej swej formie na tem, że na ciemno barwioną zaprawę położoną na murze, kładzie się drugą niebarwioną, a przez żłobienie i drapanie tej ostatniej odpowiedniemi narzędziami, odsłania się ciemne tło warstwy spodniej i wydobywa w ten sposób rysunek zamierzonej kompozycji. Technika ta, dająca końcowy efekt podobny do rysunku, znalazła szczególne uznanie architektów renesansu, zdobiących z zamiłowaniem budynki dyskretnym dekorem, nie mącącym harmonji architektury. Z Włoch przeniknęła ona do Niemiec, Czech, Polski i innych krajów. [1])

Zabytki sgraffita pozostałe w Polsce, w przeciwstawieniu do zabytków malarstwa freskowego, mało stosunkowo dotąd wzbudzały zainteresowania. Najlepszym może tego wyrazem ich stan obecny. Najpiękniejsze w Polsce i jedne z najokazalszych w całym świecie sgraffita w Krasiczynie nie tak dawno uległy częściowemu zniszczeniu. Ulegnie mu również przykład tej techniki na wieży koło kościoła w Bieczu, o ile nie zostanie poddany szybkiej restauracji. Również sgraffita domu Hippolitów w Kra-

[1]) W Niemczech zabytków sgraffita dochowało się stosunkowo nie nie tak dużo. Jak bowiem spis podany przez Dr. Urbacha w jego cennem dziele *Geschichtliches und Technisches vom Sgraffitoputz*, Berlin 1928, wykazuje, przykłady techniki sgraffitowej w Niemczech pochodzą głównie z 19 i 20 w. Więcej zabytków sgr. znajduje się w Austrji. Dr. Urbach w cytowanym dziele uwzględnił również i sgraffita w Polsce, posługując się głównie wiadomościami udzielonemi mu przeze mnie; ograniczył się jednak tylko do zaznaczenia miejscowości i wieku tych zabytków.

kowie, zdjęte z powodu zniszczenia przed kilku laty z fasady, napróżno dotąd czekają rekonstrukcji. W podobnym stanie znajdują się i inne zabytki tej techniki w Polsce. Jedną z przyczyn niedocenienia ich było zdaje się mylne przeświadczenie, że znajdują się jeszcze w wielkiej liczbie. W rzeczywistości jest przeciwnie. Dr. Urbach doliczył się w Europie zaledwie 277 miejscowości, w których można je napotkać. We Włoszech, kraju techniki sgraffitowej zachowało się tylko około pięćdziesięciu przykładów.

W Polsce wreszcie, jak spis na końcu tej pracy wskazuje, wiadomo narazie o około 30-tu zabytkach sgraffita, których część doszła nas tylko jako szczątki. Z tem większem też uznaniem powitać należy odnowienie sgraffitów starosądeckich. [1])

Sgraffita na budynku klasztoru sióstr klarysek w Starym Sączu.

Furta klasztorna sióstr klarysek w Starym Sączu mieści się w osobnym budyneczku, przylegającym do presbiterjum kościoła. Ściana tego budynku podparta jest trzema arkadami, z których środkowa stanowi wejście. Ponad dachem pulpitowym rysuje się trójkątny szczyt budynku ozdobiony sgraffitami.

Sgraffita mieszczą się w pięciu płytkich wnękach, rozstawionych w ten sposób, że cztery biegną dołem równą linją, a piąte znajduje się w środku, w górze (porównaj planik str. 156).

We wnęce górnej widnieje postać Chrystusa. Postać Jego zwrócona jest nawprost widza. Prawa ręka Zbawiciela wznosi się do błogosławieństwa, lewa przytrzymuje wielkie jabłko z krzyżem. Dołem biegnie napis *Ego sum Lux* (porównaj rysunki).

Z czterech wnęk dolnych dwie środkowe zajmują sgraffita z przedstawieniem św. Franciszka i św. Klary założycieli franciszkanów i franciszkanek. Św. Franciszek zwrócony w lewo, roztwiera ku górze ręce, na które padają promienie z krzyża umieszczonego w rogu, znacząc na nich stygmaty. Święty ubrany jest

---

[1]) Przy opracowaniu tego zabytku doświadczyłem niejednokrotnie uprzejmości i pomocy ze strony ksieni klasztoru Zofji Hańskiej, księdza prof. Stanisława Kruczka i p. konserwatora inż. Bogdana Tretera, którym na tem miejscu bardzo dziękuję. Składam również serdeczne podziękowania p. Dr. Marji Gutkowskiej za łaskawe wykonanie rysunków sgraffitów.

w habit przepasany sznurem. Św. Klara, której postać stanowi odpowiednik do postaci św. Franciszka, trzyma w prawej ręce monstrancję, podtrzymując ją lewą ręką. Ubiór jej to klasztorny habit i welon.

W zewnętrznych pozostałych wnękach widnieją postacie bł. Salomei i bł. Kunegundy. Bł. Kinga prawą ręką opiera się na budynku, mającym przedstawiać klasztor starosądecki przez nią fundowany, w lewej trzyma lilję. Błogosławiona Salomea trzyma lilję i krzyż.

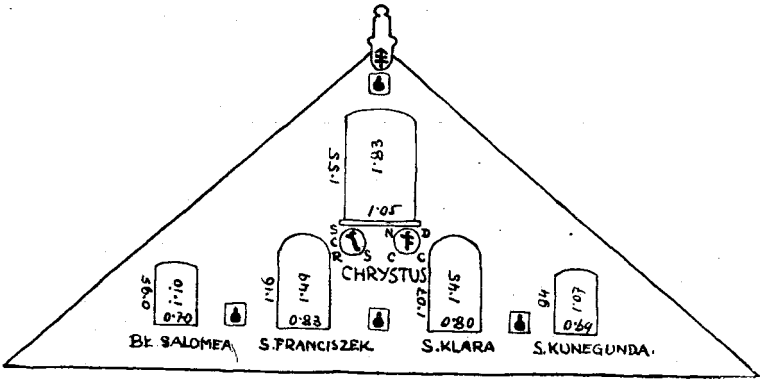

Planik rozłożenia sgraffitów.
Rys. Zb. Bocheński

Opisane sgraffita poddano we wrześniu i październiku 1932 r. staraniem urzędu konserwatorskiego w Krakowie i zarządu klasztoru starannej restauracji, wykonanej z pietyzmem i umiejętnością przez malarza p. Tadeusza Terleckiego-Prokopowicza z Krakowa. Stan zabytku przed odnowieniem był tak godny pożałowania, że W. Łuszczkiewicz oglądając sgraffita w r. 1888, uważał je za nieznaczące malowidła, poświęcając im jedno tylko zdanie: „Szczyt fasady klasztornej ma rząd poziomych framug z namalowanemi postaciami świętych. [1])

Dzięki dokładności w odnawianiu zabytku można było stwierdzić, [2]) jakim materjałem posługiwano się przy wykonaniu sgraffit starosądeckich. Zaprawa wapienna warstwy wierzchniej przy trzech

---

[1]) *Sprawozdania komisji do badania historji sztuki w Polsce,* IV. Kraków 1891. p. LXXXV.

[2]) Wiadomość tę, podobnie jak i wymiary sgraffitów zawdzięczam p. konserwatorowi inż. Bogdanowi Treterowi.

środkowych obrazach położona była b. cienko i składała się z wapna, mielonego piasku i przypuszczalnie z domieszki marmuru, nadającego zaprawie tej żółtawy odcień. Pył węglowy, jakim zabarwiono warstwę spodnią w tych trzech środkowych obrazach, był bardzo delikatny. Zupełnie odrębnego materjału użyto przy dwóch obrazach zewnętrznych. W warstwie wierzchniej (zresztą grubo położonej) nie było tu domieszki marmuru. W warstwie spodniej był użyty węgiel o grubszej strukturze. Dodać należy, że wszystkie pięć obrazów wykazywało przed restauracją ślady polichromji, którą usunięto przy restauracji w r. 1932, uważając za późniejszy dodatek. Zwrócenie uwagi przy odnowieniu sgraffit na wszystkie te szczegóły jest tem cenniejsze, że naogół o materjałach używanych przy zabytkowych sgraffitach mało wiemy, gdyż tylko w nielicznych wypadkach je badano.[1]) Ze sgraffitów na ziemi polskiej została zbadana bliżej technika sgraffita na budynku ratusza poznańskiego.[2])

Wartość artystyczna poszczególnych części sgraffitów starosądeckich jest niejednakową. Sgraffita środkowe przedstawiające Chrystusa, św. Klarę i św. Franciszka, przewyższają pod względem artystycznym obrazy boczne. Przy środkowych, zwraca uwagę dobre wkomponowanie postaci we wnęki i całkiem poprawny rysunek, widoczny zwłaszcza w skrócie ramion św. Franciszka. Posiadają też one rodzaj obramienia wykonanego sgraffitem. Staranność wykończenia sgraffitów środkowych uwypukla się tem bardziej, gdy uprzytomnimy sobie, że technika sgraffitowa zmuszała do pracy *a buen fresco,* na świeżo. Obrazy boczne, przedstawiające bł. Salomeę i bł. Kunegundę, nie posiadają tych zalet, co wskazywałoby, że wykonała je inna ręka.

Kiedy sgraffita starosądeckie powstały?

Styl trzech środkowych postaci (na podkreślenie zasługuje tu ruch postaci św. Franciszka), dalej kilka szczegółów, jak monstrancja i jabłko, pozwalają środkowe obrazy umieścić między w. 16 a połową w. 17. Charakter napisu *Ego Sum Lux* wskazywałby na wiek 17. Granicę można na podstawie stylu tych sgraffit wyznaczyć dlatego tylko tak szeroką, że — jak udowodnił

---

[1]) Urbach, *Geschichtliches und Technisches vom Sgraffitoputz,* Berlin 1928, p. 132.

[2]) W. Bettenstaedt, *Das Rathaus in Posen,* Posen 1913, p. 81—82.

Urbach — sgraffita b. często kopjowano z rycin, posługując się często, rzecz prosta, rycinami dawniejszemi. [1])

Dwie postacie boczne, bł. Kingi i bł. Salomei, nie wykazują wogóle żadnych charakterystycznych cech stylowych. Nie może dać tu żadnych objaśnień użycie nimbów (w porównaniu z datami procesów beatyfikacyjnych), gdyż silny kult nie biegł w tym wypadku równolegle z uznaniem przez władze kościelne. Tak np. w *Żywocie Św. Kunegundy* przez ks. Przecława Mojeckiego, wydanym w r. 1617, bł. Kinga nazywana jest ciągle świętą. Do bliższego jednak określenia wieku mogą tu pomóc inne szczegóły.

W szczycie budynku, na którym znajdują się sgraffita, widać wmurowane 3 kamienie z wyrytemi na nich herbami. [2]) Pomiędzy dwoma dolnemi mieścił się do nie tak dawna, nieistniejący już dzisiaj napis

K. P.
X. SS. i A. D. 1777.

Że odnosił się do Katarzyny Psurskiej Xieni Staro Sądeckiej i do roku restauracji sgraffit, tego dowodem wypis ze starej księgi znajdującej się w klasztorze a noszącej tytuł *Pamiętnik od r. 1761*[3]). Wspomnianem w nim jest, że ksieni Katarzyna Psurska w r. 1776 i 1777, „kamienicę naprzeciw furty wyrestaurować kazała i mur ciągnący się od tejże kamienicy do lokutorjum wytrynkować kazała... i obrazy nad lokutorjum na facjacie wytrynkować i wymalować kazała".

Wtedy to, jak widać z tej zapiski, sgraffita, nadniszczone widocznie pożarem zaszłym w r. 1764, zostały odrestaurowane i pomalowane, które to ostatnie uzupełnienia słusznie obecnie usunięto.

Bardziej ważną wiadomość możemy uzyskać przez rozpatrzenie wspomnianych kamieni z wyrytemi herbami. Jest ich trzy. Znajdujący

[1]) Urbach, op. cit. p. 48.

[2]) O ile sgraffita uszły prawie zupełnie uwagi Łuszczkiewicza, o tyle wspomina on (*Sprawozdania* i t. d. IV. Kraków 1891 p. LXXXV i p. 178) o dwóch kamieniach z herbami Śreniawą i Pilawą, odnosząc je do fundatorów z XVIII w. Napis notuje jako P. S. X. S. i die X. Augusti 16... Mylnemu odczytaniu herbów i napisu oraz pominięciu trzeciego herbu przez Łuszczkiewicza nie można się dziwić, gdyż bądź co bądź były to tylko szczegóły, do których większej on wagi nie przykładał.

[3]) Wypisy te, jak i następne z ksiąg klasztoru, zawdzięczam uprzejmości ksieni Zofji Hańskiej.

się u góry nosi na sobie herb Lis. Na jednym z dolnych wykuty jest herb Śreniawa, po którego obu stronach widoczne są litery w kolumnach po trzy. W jednej kolumnie są $\begin{matrix}S\\C\\R\end{matrix}$ w drugiej $\begin{matrix}X\\S\end{matrix}$ (litera u szczytu kolumny zatarta).

Ostatnim wreszcie herbem jest herb Prus 1-mo, w którego narożach zachowały się cztery litery $\begin{matrix}N&D.\\C&C\end{matrix}$.

Do kogo te trzy herby odnosić się mają?

Rozpatrując dzieje klasztoru starosądeckiego napotykamy pod koniec w. XVI na ważny moment.

Po przeprowadzonej w latach 1596—1599 reformie [1]) zaczyna się budowa klasztoru, za postanowieniem ks. Mikołaja Dobrocieskiego, kanonika krakowskiego, kanclerza ks. bisk. Radziwiłła. Do tego ostatniego niewątpliwie odnosi się herb Prus 1-mo, gdyż tego herbu Dobrocieski używał. [2]) Potwierdzają to litery N(icolaus) D(obrocieski) C(anonicus) C(racoviensis). Przeglądnięcie spisu ksieni [3]) wskazuje, że w wspomnianym tak ważnym dla klasztoru okresie urząd ksieni sprawowały od r. 1597-9 Rożnówna Zofja, a od r. 1599—1604 Zofja Wróblewska. Ponieważ Wróblewscy pieczętują się Lisem, [4]) do tej ostatniej należy odnieść herb u góry się znajdujący. Trzeci herb, Śreniawa, dotyczy najprawdopodobniej ksieni Zofji Rożnównej, jak wskazywałyby litery S(ophia i R(ożnówna), które dostrzegamy wśród liter otaczających Śreniawę.

Jeszcze bliższe wyjaśnienie przynosi nam intercyza budowy trzeciej części klasztoru z r. 1604, zachowana w aktach klasztoru. [5])

Stanęła wtedy ugoda między konwentem a między uczciwym Panem Janem di Simon, murarzem krakowskim, na budowę

---

[1]) Ks. Stanisław Załęski, *Św. Kinga i jej klasztor starosądecki* Lwów 1882, p. 82.

[2]) Mikołaj Gutterer Dobrocieski zmarł w r. 1608. Nagrobek jego z herbem Prus I Turzyna w katedrze krak. w kaplicy Szafrańców. K. Niesiecki, *Herburz Polski*, wyd. Bobrowicza IX, Lipsk 1842, p. 447 i M. i S. Cerchowie i F. Kopera, *Pomniki Krakowa*, I, Kraków — Warszawa, 1904, p. 235.

[3]) Ks. Załęski, op. cit. Spis na końcu książki.

[4]) I. K. Niesiecki, *Herbarz Polski*, IX, Lipsk 1842, p. 447.

[5]) Wiadomość, że taka intercyza istnieje podał ks. S. Załęski w cyt. książce *Św. Kinga i jej klasztor starosądecki*, cytując z niej jedno zdanie. Odpis intercyzy zawdzięczam ksieni Zofji Hańskiej.

trzeciej części klasztoru. „Postanowienie" na budowę wyszło od Ks. Mikołaja Dobrocieskiego, kanonika krakowskiego. Jan di Simon, który, jak z intercyzy tej widać, i poprzednio budowę klasztoru prowadził (mowa tu również o pierwszej intercyzie z nim spisanej), ma obowiązek obok innych prac, które ugoda szczegółowo wymienia, mur przed furtą zasklepić chędogo, a „także i przed furtą wymurować portik od rogu muru klasztoru począwszy asz (sic) do rogu kościelnego z arcadami". Wykończenie części poszczególnych klasztoru trwać musiało dłużej. Daty powstania korytarzy wypisane nad wejściem do nich wskazują lata 1606 i 1640. [1])

W chwili gdy wiemy już z jakiego okresu lat pochodzą kamienie z herbami, wiążące się kompozycyjnie ściśle ze sgraffitem i gdy dzięki intercyzie budowy można ustalić, że zarówno piękny portyk jak i ściana, na której sgraffita się znajdują (wnęki były jak stwierdzono założone odrazu przy budowie, a nie później wybijane) są dziełem Jana di Simona, datowanie sgraffit nie napotyka na trudności. Wydaje się słusznem umieścić je między r. 1604 (rozpoczęcie budowy trzeciej części klasztoru) a r. 1627 (data śmierci Simona) i przypisać je warsztatowi tegoż muratora krakowskiego. Podkreślić należy, że Giovanni di Simonis (lub di Simon) był mistrzem niepoślednim, skoro kilkakrotnie wybierano go do starszyzny cechowej, a w r. 1626 był nawet przewodniczącym całego cechu. Umarł on w r. 1627. [2])

Przy wykonaniu sgraffit starosądeckich posługiwano się przypuszczalnie rycinami lub obrazami. Zdaje się to potwierdzać podobieństwo zachodzące między przedstawieniem postaci św. Klary na sgrafficie i na rycinie karty tytułowej dzieła *Żywot św. Kunegundy* przez Ks. Mojeckiego. [3])

Poza opisanemi sgraffitami na budynku klasztornym, znajdują się ślady sgraffitów również na murze obronnym (niedaleko baszty), otaczającym klasztor. Z pod tynku przykrywającego je

---

[1]) W. Łuszczkiewicz, *Architektura najdawniejszych kościołów franciszkańskich w Polsce. Sprawozdania* i t. d. IV, Kraków, 1891, p. 178

[2]) *Sprawozdania* i t. d. IV, Kraków 1891, p. LXIII, komunikat W. Wdowiszewskiego i S. Łoza, *Słownik architektów i budowniczych Polaków*, Warszawa 1917, p. 202.

[3]) Ks. Przecław Mojecki, *Żywot S. Kunegundy Zakonu Świętej Klary Księżny Polskiej.* Kraków 1617.

przeglądają jakby zarysy kartusza herbowego, trzymanego przez lwy, w innem miejscu jeźdźca na koniu, a górą ślady fryzu o charakterze linearnem. Zamierzoną jest restauracja i tego zabytku.

Sgraffito w Krakowie na domu podmiejskim.

W Krakowie na Dębnikach (ul. Dworska 4) na południowej ścianie domu znajduje się szczątek sgraffita.[1]) Przedstawia ono[2]) kartusz niewielkich rozmiarów (szerokość 90 cm, wysokość 65 cm). Kartusz ten mieści w sobie u góry nazwisko, pod niem datę, a poniżej jeszcze ornament przedstawiający głowę wołu, od której rozchodzą się na dwie strony wstęgi. Z nazwiska zachowała się tylko część: Joannes B...ki, a z daty dwie końcowe cyfry 1 i 6. Podczas gdy datę możemy bez wahania ze względu na styl kartuszy odczytać jako 1616, to do odczytania nazwiska musimy się posłużyć tradycją domu. Według niej budynek był pierwotnie willą podmiejską kanoników katedralnych krakowskich. Wśród tych ostatnich znajduje się jeden, żyjący na przełomie w. XVI i XVII, którego nazwisko mogłoby być wziętem pod uwagę. Jest to Jan Barski, archidiakon krakowski. Wszedł on, jak podaje Łętowski,[3]) z pewną trudnością do kapituły krakowskiej, nie będąc szlachcicem (zgadzałoby się to z brakiem herbu na kartuszu). W którym roku Barski umarł, niewiadomo, tablica bowiem z jego nazwiskiem i datą 1601, znajdująca się w katedrze na Wawelu, została najprawdopodobniej, jak to z jej tekstu widać, położona jeszcze za życia Barskiego. Ostateczne rozstrzygnięcie, czy sgraffito rzeczywiście związane jest z archidiakonem Barskim, czy też mamy tu tylko do czynienia z dziwnym zbiegiem okoliczności, przynieść może zbadanie dziejów tego ciekawego domu.[4])

---

[1]) Wiadomości o tym zabytku zawdzięczam P. konserwatorowi Dr Olesiowi i Drowi T. Przypkowskiemu, wykonanie rysunku sgraffita uprzejmości P. Dr. Marji Gutkowskiej.

[2]) Czy sgraffito to, było częścią jakiejś większej kompozycji niepodobna stwierdzić, zwłaszcza że przy ostatniem otynkowaniu domu nie napotkano na żadne inne ślady.

[3]) Ks. L. Łętowski, *Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich* II. Kraków 1852, p. 11 alfabetycznego spisu.

[4]) Dom ten został uwzględnionym przy przeprowadzonej inwentaryzacji dawnego powiatu podgórskiego.

Sgraffita na Spiszu.

Obok dwóch ognisk sgraffita, Śląska i Czech, mogących oddziałać na rozwój tej techniki w Polsce, przyjąć należy również wpływ Spisza. [1])

W części węgierskiej Spisza nie brak pięknych zabytków sgraffita, pochodzących z XVI i XVII w. Jako jeden z przykładów posłużyć może sgraffito na dzwonnicy znajdującej się koło kościoła św. Krzyża w Keżmarku, w którem nie brak ornamentów roślinnych, napisów, herbów a nawet złoceń. Wykonawca tej dekoracji, powstałej około r. 1591, monogramista H. B., był przypuszczalnie twórcą sgraffita na wieży w Strażkach (Nagyör) niedaleko Keżmarku, znaczonego również monogramem H. B i datą 1629. Także zamek Horvathów w tychże Strażkach był poprzednio zdobiony tą techniką. Zaraz niedaleko, „o miedzę", w miejscowościach należących w XVI i XVII wieku do Polski, znajdują się sgraffita, podobne w charakterze do poprzednio wymienionych. I tak w Popradzie (jednem z 16 miast na Spiszu, znajdujących się pod polskiem władaniem), stoi obok kościoła czworoboczna dzwonnica, zbudowana w r. 1658, o architekturze uderzająco podobnej do architektury wieży w Keżmarku i Strażkach. Wieżę tę ozdabiały sgraffita (pozostały z nich tylko ślady) z przedstawieniem św. Ewangelistów, alegorjami i napisami. W Podolińcu, którego największy rozwój w w. XVII przypadł na czasy rządów polskich (przypominamy łączność w XIII w. Podolińca z ziemią sądecką), znajduje się koło kościoła farnego wieża podobna do poprzednich. Na niej również istniało sgraffito, dzisiaj już zniszczone. Niewielkie ślady sgraffitów znajdują się na dzwonnicy w Wierzbowie.

Powyższe przykłady są, wobec ciągłych stosunków kulturalnych Spisza węgierskiego i polskiego, niewątpliwym dowodem przenikania w tem miejscu techniki sgraffitowej. Czy to przenikanie ograniczało się tylko do pasa pogranicznego, czy było wzajemne, czy jednostronne, trudno narazie stwierdzić. Trudno jednak

---

[1]) Źródła do tego rozdziału *Szepesvármegye Müvészeti Emlékei* Dr. Vajdovszky János Divald Kornel. I, Budapest 1905, p. 79, 80, 81 i f. 78 (Keżmark) p. 81 i f. 83 (Strażki), p. 81, f. 84 (Podoliniec), oraz Dr. M. Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik po Spiszu, Orawie, Liptowie i Czadeckiem*, Warszawa 1921 p. 146 (Strażki) p. 153 (Keżmark) p. 159 (Wierzbów) p. 167 (Poprad).

nie zauważyć, że sposób umieszczenia sgraffita na wieży koło kościoła w Bieczu, żywo przypomina rozgałęziony na Spiszu zwyczaj zdobienia wież koło kościoła tą techniką.

Ogólne uwagi i spis sgraffitów.

Kiedy technika sgraffitowa była w Polsce najbardziej w użyciu? W której części najwięcej się rozwinęła? Kto sgraffita wykonywał?

Do odpowiedzi na powyższe pytania może dopomóc próba zestawienia tych zabytków sgraffita, jakie w Polsce się znajdują, lub o jakich mamy choćby tylko wiadomości. Uwzględnić tu również musimy tę część ziemi spiskiej, która w XVI i XVII wieku należała do Polski.

Wiek XV.

1) Radłów, sgrf. na kościele. Jedyny zabytek sgraffita w Polsce z XV. w. znajduje się na kościele w Radłowie. Obiega ono w formie fryzu cały kościół. Obok ornamentu z rozetek i lilij andegaweńskich, napotykamy tu na wyobrażenia fantastycznych lwów i koni. Zabytek radłowski, publikowany po raz pierwszy przez prof. T. Szydłowskiego [1]), jest jednym z najciekawszych zabytków sgraffita, nietylko w Polsce, ale i w całej Europie, jak o tem przekonuje rozpatrzenie się w przykładach tej techniki w dziele Urbacha *(op. cit.)*.

Wiek XVI.

2) Poznań — na ratuszu poznańskim sgrf. z r. około 1555. Ratusz poznański, przebudowany w połowie XVI w. przez Jana Baptystę Quadro z okolic Lugana (Joannes Baptista de Quadro et Lugano), otrzymał wtedy wspaniałą dekorację zewnętrzną, będącą, jak napis odkryty udowodnił, również dziełem wspomnianego mistrza.

Część dekoracji, której główne zarysy zatrzymano przy ostatniem odnowieniu ratusza, była wykonana techniką sgraffitową.[2]) W szczególności dotyczyło to fryzów, z meandrów i palmet złożonych, dalej wieńców dekoracyjnych i licznych napisów odnoszących się do miasta i królów polskich z rodziny Jagiellonów.

---

[1]) *Prace komisji historji sztuki* II, zesz. 2, Kraków 1922, p. XII, komunikat Dra T. Szydłowskiego.

[2]) Szczegóły dotyczące sgraf. ratusza poznańskiego, zaczerpnąłem z W. Bettenstaedta, *Das Rathaus in Posen*, Posen 1913, p. 26, 30 i 75—82.

W dekoracji zewnętrznej ratusza znalazła też zastosowanie technika pokrewna sgraffitowej i będąca w historycznym rozwoju tej ostatniej jej punktem wyjścia. Polegała na tem, że ryto rysunek na zaprawie (drugiej, spodniej warstwy tu nie było) i zapuszczano wgłębienia ciemną barwą. Przy użyciu tej techniki, będącej jakby uproszczonem sgraffitem, posłużył się Quadro zaprawą żółto zabarwioną. Zostały tym sposobem wykonane na ratuszu poznańskim obdasznice okien, niektóre napisy, a przedewszystkiem fugi, naśladujące ciosy kamienne na większych przestrzeniach ścian. Zaznaczyć jeszcze należy, że sgraffita użyto również i wewnątrz ratusza, w szczególności do dekoracji sali t. zw. wielkiej, do ozdobienia gurtów sufitu i kap.

Wyżej opisane użycie sgraffita na tak wielką skalę w okazałym budynku ratusza poznańskiego nie mogło nie wzbudzić zainteresowania i naśladownictwa. Wydaje się też ono być punktem wyjścia dalszego rozwoju tej techniki w Polsce.

3) Biecz — na wieży ratuszowej sgrf. z r. 1570. Wieża ratuszowa w Bieczu zdobiona była, zachowaną jeszcze w niewielu miejscach, dekoracją sgraffitową w kamienie i rauty.[1]) Tą techniką wykonano też tarczę zegarową i nieistniejące już dzisiaj napisy, z których jeden, położony w r. 1570, odnosił się do króla Zygmunta Augusta, inny do kasztelana Mikołaja Ligęzy.[2]) Rozpatrującemu opisany zabytek nasuwa się na myśl związek między nim a sgraffitem na budynku ratuszu w Poznaniu, (różnica w czasie powstania niewielka). Ten sam motyw naśladownictwa ciosów i użycie napisów, jako szczegółu dekoracyjnego. Tu i tam napisy odnoszące się do króla. Prawdopodobnie sgraffito na ratuszu bieckim jest również dziełem jakiegoś artysty włoskiego.

4) Biecz — na dzwonnicy przy farze. Sgrf. z drugiej połowy XVI w. Na dzwonnicy przy farze znajduje się sgraffito,[3]) przedstawiające N. P. Marję z Dzieciątkiem, koło której widać postacie dwóch aniołów grających, oraz św. Wacława (?) i św.

---

[1]) *Teka Grona konserwatorów Galicji Zachodniej.* I. Kraków 1900 p. 236 komunikat Dra Tomkowicza.

[2]) Kasztelan czechowski od 1563 (por. Niesiecki *Herbarz Polski.* VI. Lipsk 1842. p. 95). Tablica w Bieczu z napisem do Ligęzy odnoszącym się z datą r. 1570 (*Teka* i t. d. I. Kraków, 1900 p. 239).

[3]) *Sprawozdania* i t. d. IV, Kraków 1891 p. LXXXIX, komunikat Wł. Łuszkiewicza.

Barbarę. Pozatem znajduje się tu dekoracja o kształcie tarcz z literami B pod koroną (Biecz). O ile sposób zdobienia wieży sgraffitem przypomina zwyczaj praktykowany na Spiszu, o tyle poszukiwania za autorem mogą mieć punkt zaczepienia w nazwisku Włocha Piotra Roulta z Medjolanu, pracującego w r. 1560 około wykończenia fary bieckiej.[1])

5) Szymbark — na dworze, sgrf. z r. około 1590. Na attyce dworu w Szymbarku, datowanej przez Dra Komornickiego na około r. 1590, pozostały ślady sgraffita, z wyobrażeniem maskaronów na żagielkach attyki i festonów rozpiętych wzdłuż pilastrów.[2])

6) Dubno (na Wołyniu) na zamku sgrf. z w. XVI.

7) Korzkiew koło Krakowa — na dworze obronnym sgrf. z w. XVI. Do w. XVI zdaje się jeszcze należeć sgrf. zdobiące wieżyczki zamku w Dubnie na Wołyniu [3]) (dekor. spirali) i sgrf. w Korzkwi na dworze obronnym (obdasznice nad oknami).[4])

8) Szydłowiec — na ratuszu, sgrf. z przełomu w. XVI na w. XVII.

9) Dębno, pow. brzeski — na zamku, sgrf. z przełomu w. XVI na w. XVII.

10) Pińczów — na gmachu sądu sgrf. z przełomu w. XVI na w. XVII. Sgraffito w Dębnie,[5]) tworzące piękne obramienie okien zamku, dalej ozdobny fryz sgraffitowy na gmachu sądu w Pińczowie,[6]) z przedstawieniem ładnie skomponowanych kartuszy i aniołów, trzymających w rękach kwiaty oraz sgraffito na ratuszu w Szydłowcu [7]) powstały przypuszczalnie na przełomie w. XVI na XVII w.

Wiek XVII.

11) Stary Sącz — na budynku klasztoru Sióstr Klarysek sgrf. z lat 1604—1627, wykonane w czasie budowy prowadzone

---

[1]) *Sprawozdania* i t. d. V. Kraków, p. XL.

[2]) Dr. Stefan Komornicki, *Dwory murowane w Małopolsce z czasów Odrodzenia.* Kraków 1930 p. 26 i 29 oraz fig. 18.

[3]) Buczkowski, *Dom Hippolitów*, Rocz. krak. XXII. Kraków 1929, p. 101.

[4]) Dr. S. Tomkowicz, *Dwór obronny szlachecki z XVII w. w Korzkwi. Sprawozdania komisji do badania hist. sztuki w Polsce.* VIII. Kraków 1912, szp. CCLXXXIII.

[5]) Dr. Z. Bocheński, *Dwór obronny w Dębnie.* Kraków 1926. p. 49 fig. 44.

[6]) Buczkowski op. cit. p. 101 i fig. 7.

[7]) Wiadomości o niem podaje Urbach op. cit. p. 158.

przez Jana di Simonis muratora krakowskiego. Szczegółowy opis zabytku na początku tej pracy.

12) Krasiczyn — na ścianach zamku sgrf. z r. około 1614. Sgraffita krasiczyńskie [1]) nie miały wiele równych sobie w Europie pod względem wielkości, kompozycji, rozmaitości tematów i staranności wykonania. Część ich zniszczała głównie w okresie wojennym, część istniejąca domaga się odnowienia i opublikowania. Ze względu na to, że budowę zamku krasiczyńskiego prowadzili architekci włoscy (jednym z nich był Galeazzo Appiano), można przypuszczać, że i sgraffita wyszły z pod rąk włoskich artystów. Na końcowe lata budowy zamku, trwającej od 1598—1614 r. przypada zapewne ich wykonanie.

13) Kraków. Dębniki, Dworska 4, na domu Dra Dziewońskiego — sgrf. z r. 1616. Opis zabytku podaliśmy powyżej.

Kraków. Fryz na bębnie kopuły św. Piotra — sgr. z lat około 1619—1633. Wokoło bębna kopuły św. Piotra w Krakowie biegnie fryz sgraffitowy o dekorze spirali. Ponieważ zatknięcie krzyża na kopule św. Piotra zostało dokonanem w r. 1619, a zakończono roboty koło kościoła w r. 1633, [2]) wydaje się słusznem umieścić powstanie zabytku między temi latami. Z drugiej strony fakt kierownictwa budowy w tym czasie przez Trevana oraz prace w tym kościele warsztatu Giovanniego Falconiego, [3]) nasuwałyby przypuszczenie, że sgraffito to wykonali Włosi.

15) Warszawa, — na domu książąt Mazowieckich na Starem Mieście, sgrf. z r. około 1640. [4])

16) Częstochowa na probostwie kościoła św. Barbary, sgrf. z lat między 1642—1646. Przedstawia się ten zabytek, [5]) jako fryz biegnący na ścianie probostwa; kształtują go zawarte w trójkątach główki aniołków. Poza dekorem, przedstawiającym monogram Chrystusa, znajduje się tu jeszcze piękny ornament linearny.

---

[1]) Urbach op. cit. p. 158. Slavomir Odrzywolski, *Die Renaissance in Polen* (Krakau 1913); Łoziński, *Prawem i lewem* I. Lwów 1904 p. 112; Buczkowski op. cit. p. 103.

[2]) F. Klein, *Kościół św. Piotra i Pawła w Krakowie. Rocznik krak.* XII. Kraków 1910, p. 30—31.

[3]) A. Bochnak, *Giovanni Battista Falconi*, Kraków 1925, nakładem Muzeum Przemysłowego.

[4]) Urbach op. cit. p. 158 i Lauterbach, *Warschau, Berühmte Kunststätten*, Bd. 66, Leipzig 1918, p. 41.

[5]) Buczkowski *op. cit.*, p. 102.

Ten ostatni wykonany jest w dwóch kolorach czerwonym i zielonym. Restauracja zamierzona stwierdzi, czy mamy tu do czynienia z wyjątkowo u nas spotykanym barwnem sgrafittem, czy też z później barwionem. — Poza powyżej opisaną grupą zabytków z pierwszej połowy wieku XVII o bliżej określonym czasie powstania, znamy szereg innych przykładów z tego okresu, z których ściślejszego datowania należy narazie zrezygnować. Miejscowości, w których się one znajdowały lub znajdują, to:

17) Branice — na starym dworze, sgr. z pocz. XVII w. Na dworze (później lamusie) w Branicach znajdowały się zniszczone już dzisiaj prawie zupełnie sgraffita.[1]) Na ścianach wzór w rauty. Pod gzymsem ornament w kształcie plecionki. Na attyce przedstawione postacie, pod któremi widoczne były napisy: Rudolphus, Salvator, Mauritius. Ponieważ dwór branicki wykazuje ślady rąk artystów włoskich, (m. i. piękny komin z literami Jana Branickiego, przypisany jest szkole Gucciego), nasuwa się przypuszczenie, że i sgraffito wyszło z pod ręki Włochów.[2])

18) Szydłowiec — na zamku, sgrf. z pocz. XVII w.[3])

19) Międzyrzecz Ostrogski (Wołyń), — na klasztorze OO. Franciszkanów z pocz. XVII w. Sgraffita te podkreślają horyzontalny podział baszt (ornament w formie plecionki).[4])

20) Krupe, powiat krasnostawski, gm. Rudka, na ścianie pałacu — sgrf. z pierwszych dziesiątków XVII w. Należy to sgrf., przedstawiające fryz o ornamencie roślinnym, odnieść do pocz. XVII w. ze względu na datę (16(8) przebudowy pałacu.[5])
Druga połowa XVII. w.

21) Kraków na domu Hippolitów (Plac Marjacki 3), sgrf.

---

[1]) *Teka grona konserwatorów Galicji Zachodniej,* Kraków 1906, II p. 66 i fig. 49, komunikat Dra St. Tomkowicza.

[2]) Tamże p. 67.

[3]) Sgraffito to wymienia Dr. Urbach op. cit. 158. Ponieważ jednak ani Tomkowicz (*Sprawozdania* i t. d. VIII. Kraków 1912, p. 1924). w swym komunikacie o Szydłowcu, ani Kieszkowski w książce *Kanclerz Krzysztof Szydłowiecki* o nim nie wspominają, wiadomość tę podaję z zastrzeżeniem.

[4]) Buczkowski op. cit., p. 101. Niesłusznie tamże określiłem czas powstania tych sgraffitów na w. XVI,, gdyż fundował klasztor ks. Janusz Ostrogski w r. 1606.

[5]) Buczkowski op. cit., p. 100 i fig. 5, oraz Prace komisji hist. sztuki I. Kraków 1917, p. VIII.

z lat 1650—1680. Sgraffita te pokrywały całą fasadę domu Hippolitów a przedstawiały postacie ludzkie (głównie wyobrażające świętych) poprzedzielane płaszczyznami pokrytemi ornamentem. Zabytek ten, usunięty w r. 1927 czeka na rekonstrukcję.[1])

22) Poprad na Spiszu, na dzwonnicy kościelnej sgrf. z r. około 1658. Datę zbudowania dzwonnicy w r. 1658 można przyjąć przypuszczalnie za datę wykonania sgraffita.

Wiek XVIII.

23) Pieskowa Skała. Zamek. Na ścianach zamku od strony podwórza widać ornamenty zdradzające swym stylem że powstały w w. XVIII. Wykonane są przez rycie w zaprawie i zapuszczanie fug ciemną barwą. Technika ta stosowana jeszcze przez Quadrę w ratuszu poznańskim, jest pokrewną technice sgraffitowej i dlatego tego zabytku nie można tu pominąć.[2])

Pozatem znajduje się w Polsce szereg zabytków techniki sgraffitowej, których czasu powstania nie można narazie ustalić:

24) w Podolińcu na Spiszu na wieży kościoła farnego[3])

25) w Wierzbowie na Spiszu na dzwonnicy kościelnej[4])

26) w Krakowie na domu przy ul. Kanoniczej l. 14.[5])

27) w Krakowie na t. zw. prałatówce. Plac Marjacki 4.[6])

28) w Siewierzu na pałacu biskupim.[7])

29) w Tarnowie na ratuszu.[8])

30) w Pelplinie na katedrze.[9])

---

[1]) Buczkowski, op. cit. p. 105, gdzie również szereg reprodukcyj.

[2]) S. Tomkowicz Zamek w Pieskowej Skale. *Sprawozdanie Wydziału Tow. Opieki nad polsk. zabytkami,* Kraków 1904 p. 16.

[3]) Patrz wyżej o zabytkach sgraffita na Spiszu.

[4]) Tamże.

[5]) Buczkowski op. cit. p. 103.

[6]) W r. 1935 ukazały się na ścianie prałatówki od ul. Szpitalnej pod odbitym tynkiem ślady boniowania wykonane albo sgraffitem albo przez rycie i zapuszczanie. Bliższe szczegóły ujawnią prace przy nowem otynkowaniu.

[7]) Łączenie przez Łuszczkiewicza szczątków sgraffita na pałacu z biskupem Tomickim (zmarł 1535) wydaje się mało prawdopodobnem zwłaszcza, że Łuszczkiewicz tylko ogólnie o tym zabytku wspomina (W. Łuszczkiewicz, *Kościółek Księcia św. Jana w Siewierzu. Sprawozdania* i t. d. VI. Kraków 1900 p. 84).

[8]) Przy ostatniej restauracji ratusza miano według informacji p. T. Prokopowicza Terleckiego natrafić na ślady sgraffita.

[9]) Urbach op. cit. p. 143. Nic bliższego nie jest wiadomem o tym zabytku.

Powyższe zestawienie zabytków sgraffita pozwala na wysnucie następujących wniosków:

Technika sgraffita była uprawianą na obszarze Polski głównie od połowy w. XVI do końca w. XVII. Rozwijała się uderzająco bujnie na terenie Małopolski, zasilana tu prawdopodobnie przez ogniska techniki sgraffitowej, jakiemi były Czechy, Śląsk i Spisz. Charakterystycznem jest też, że mapka rozmieszczenia zabytków sgraffita w Polsce wykazuje jakby dwie gałęzie, jedną odchylającą się w stronę Spisza (Radłów, Tarnów, Dębno, Biecz, Szymbark, St. Sącz), drugą ku Śląsku (Korzkiew, Pieskowa Skała, Siewierz, Częstochowa).

Stosowano w Polsce technikę sgraffitową — jak to z wyżej podanych przykładów wynika — do ozdoby kościołów, klasztorów, plebanij, zamków, pałaców, dworów szlacheckich i domów mieszczańskich. Tematy używane tutaj są różne. Szczególnie często jednak występują tematy religijne.

Co się tyczy wreszcie wykonawców, to podkreślić należy, że w tych wypadkach, gdy udało się związać zabytek sgraffita z jakiemś nazwiskiem lub warsztatem, to zawsze było to nazwisko lub warsztat włoski (np. sgr. w Poznaniu na ratuszu, w Bieczu na dzwonnicy, w Krasiczynie, w Starym Sączu, w Branicach i w Krakowie na kopule św. Piotra).

Kazimierz Buczkowski.

Przegląd piśmiennictwa.

Nowa beletrystyka.

Juljusz Kaden-Bandrowski: Mateusz Bigda (Grunt. Masło, Spiżarnia) Wydawnictwo „Rój". — Ferdynand Goetel: Podróż do Indyj, Wyd. Gebethnera i Wolffa. — Izabella Lutosławska: Córka. Wyd. „Rój". — Helena Boguszewska: Ci ludzie. „Rój". — Anatol Stern: Namiętny pielgrzym. „Rój". — Artur Schroeder: W latarni. Gebethner i Wolff. — Jerzy Marlicz: Bractwo białego lamparta. Wyd. Księg. św. Wojciecha. — M. H. Szpyrkówna: Trzy przygody. Wydanie „Dziennika Poznańskiego".

Trudno niezmiernie pisać o nowej trylogji Juljusza Kaden-Bandrowskiego „Mateusz Bigda", gdyż Bandrowski jest niejako czołowym pisarzem t. zw. Sanacji, pisarzem o wyraźnem zabarwieniu politycznem, i wyrażanie opinji o jego dziele, jest zwykle identyfikowane z wyrażeniem politycznego *credo* krytyka. Krytykom orjentacji prorządowej powinien się K. Bandrowski z urzędu podobać, krytykom opozycyjnym nie. Aby uniknąć tego pomieszania opinji literackiej o książce z przekonaniami politycznemi, muszę jasno postawić kwestję: jestem osobiście przekonań politycznych jak najbardziej prorządowych (mówię w imieniu własnem, a nie pisma, w którem recenzję drukuję), a mimo to „Mateusz Bigda" bardzo mi się nie podoba. Nie podoba mi się, nie dlatego, że krytykuje pewne partje polityczne, bo i ja do tych partyj sympatji nie mam, ale dlatego, że czyni to w sposób nawet dla przeciwników politycznych krzywdzący, a przedewszystkiem dlatego, że nie widzę w jego książce tych walorów artystycznych, które książkę do rzędu dzieła sztuki podnoszą i niejedno każą jej wybaczyć.

Już raz pisząc o J. Kaden-Bandrowskim zaznaczałam, że krytykując jego dzieło, czyni się to zawsze na pewnym poziomie, t. j., że krytykuje się go niejako w klasie pierwszej, bo choć można, jak w tym wypadku, dzieł jego nie lubić, byłoby karygodnem uprzedzeniem zaprzeczać mu wielkiego, silnego talentu, dużego epicznego rozmachu, łatwości słowa i oryginalności. To też i „Mateusz Bigda" nosi na sobie te ślady „lwiego pazura",

zwłaszcza w poszczególnych scenach sejmowych, posiedzeń, konferencji partyjnych przywódców i t. d. Bo „Mateusz Bigda" ma przedstawiać fragment politycznego i parlamentarnego życia Polski z czasów t. zw. paktu lanckorońskiego, z czasów ustawy o reformie rolnej i dojścia do władzy Witosa. Trylogja ta jest dalszą częścią „Czarnych skrzydeł" i zdaje się, że te Czarne skrzydła, jeszcze nie skończone, mają dać obraz całej jak się to teraz mówi „polskiej rzeczywistości". Jeśli tak ma być, to tytuł dobrze jest dobrany do kolorów, któremi autor Polskę współczesną maluje, bo prawdziwie w trzech obszernych tomach „Mateusza Bigdy" niema jednej jaśniejszej plamy. Ta Polska Bigdy, Polska Bandrowskiego, jest poprostu ohydna. Wszystkie postacie, posłowie, leaderzy partyj chłopskich, socjalistycznych, narodowych — to idjoci, kanalje, degeneraci, złodzieje, karjerowicze, postacie wstrętne, karykaturalne, zajęte jedynie i wyłącznie sprawami osobistemi, gotowi każdej chwili poświęcić ideje i hasła, za które rzekomo walczą, najniższym interesom osobistym. Nawet Kościoła nie oszczędził Bandrowski w tem swojem odsądzaniu od czci i wiary wszystkich ludzi, żyjących przed przewrotem majowym. Prałaci, mający stać na straży politycznych interesów Kościoła, to też ludzie zainteresowani wyłącznie losem kościelnych majątków i za utrzymanie ich gotowi do wszelkich koncesyj ideowych, z zakresu nauki Kościoła. Jak oszczerczym jest taki obraz udawadniać nie potrzeba, jak również prawie zbyteczne podkreślać, jak mocno niesmaczne i rażące przez ironiczny i wykpiwający ton są wszystkie szczegóły dotyczące spraw religji i religijnych przekonań opisywanych postaci.

Ten cały ohydny obraz politycznego życia Polski kreślony jest z niesłychaną wprost nienawiścią, a ta nuta nienawiści jest tem przykrzejsza, że robi wrażenie raczej nienawiści osobistych jak ideowych. Powszechnem a przypuszczam i słusznem mniemaniem jest, że Mateusz Bigda to Witos. Bandrowski w wywiadzie drukowanym w *Tygodniku Ilustrowanym* zaprzecza temu, mówiąc, że Bigda to Bigda.

Mimo jednak tego oświadczenia nie możemy, czytając jego trylogję, oprzeć się zupełnie automatycznemu podsuwaniu nazwisk autentycznych, pod nazwiska powieściowe. Nie mamy wrażenia, co do żadnej postaci, aby była postacią czysto fikcyjną, czy postacią-symbolem, czy postacią wyznająca pewne ideje, czy polityczne kierunki; przeciwnie, gdy czytamy o Bigdzie, Deptule, Lachowskim, Mieniewskim, Stachowskim i t. d., nie możemy oprzeć się wrażeniu, że są to tylko pseudonimy i to jeszcze dziwnie przejrzyste, i dlatego to, co zapewne w zamierzeniu autora było krytyką i piętnowaniem pewnych metod politycznych, musi się wydać czytelnikowi osobistemi, w najwyższym stopniu obrażającemi napaściami. Może ktoś odpowiedzieć, że wolno autorowi być sędzią współczesności, że wolno mu piętnować ludz-

kie czyny i metody działania. Zapewne. Ale powieść, która nie jest publicystyką, ma swoje wymogi artystyczne, których bezkarnie łamać nie wolno. Jednym z tych wymogów jest pewne epiczne oddalenie autora od przedmiotu, a oddalenie to polega na tem, że autor swoje postacie, nawet na życiu wzorowane, w tyglu swej twórczości przetapia, że je na swoją, choćby najbardziej do realności życia upodobnioną, ale jednak swoją własną rzeczywistość transponuje. Gdy jednak autor opisuje fakty historyczne, współczesne, (w powieściach historycznych sam czas zazwyczaj to potrzebne oddalenie ułatwia), ludzi współczesnych, znanych każdemu z imienia i nazwiska, gdy o tych ludziach, przedstawionych w sposób nabardziej karykaturalny, podaje cały szereg szczegółów najintymniejszych, najbardziej trywjalnych, to taką metodę tworzenia trudno za twórczość artystyczną uznać — i mimo, że zamierzenie takie napewno w intencjach autora nie leżało — słowo paszkwil samo na usta się ciśnie.

I co jest dziwne, choć artystycznie zupełnie wytłumaczalne, to to, że te postacie „prawdziwe" w szczegółach i faktach, nie mają tej w dziele sztuki jedynie przekonywującej prawdy, prawdy artystycznej. Ludzie ci dla nas nie żyją. Zwłaszcza z psychologją postaci tytułowej, Mateusza Bigdy, zgodzić się trudno. Jego sylwetka zewnętrzna, długie buty, koszula zapięta na guzik, były nam dobrze znane i bez powieści Bandrowskiego, a jego sylwetka psychiczna nie wydaje się trafna. Chłop, chłop jak Bigda, chwytający w swe ręce władzę, jest (czy był) od książkowego Bigdy o wiele mądrzejszy, większe miał poczucie swej godności, jest napewno lepiej wychowany, i tak jak wszystkim rozumniejszym chłopom, nie imponuje mu napewno tak bardzo, jak to Bandrowski przedstawia, że w sejmie czy w Lachowie rozmawia z „panami" i „z hrabiami". Chłop tego rodzaju walory dużo prościej i rozumniej ocenia. Jest w tych chłopach Bandrowskiego, w ich wspomnieniach o otrzymywanych zamłodu batach od panów (!), w ich mętnej historjozofji, jakaś nuta przypominająca fałszywą chłopomanję Konopnickiej, jakiś podźwięk wiecowych przemówień, a połączenie tej oklepanej łzawej nuty ludowej, ze sposobem pisania, który chce być realistyczny, a jest poprostu sadzeniem się na ordynarność, daje jakiś dziwnie nieprzyjemny rozdźwięk. Mam wrażenie, że do uchwycenia prawdy chłopskiej duszy o wiele lepiej posłużyła Wyspiańskiemu jego poetyczna intuicja, niż Bandrowskiemu jego chciany realizm, co zresztą powtarzam, jest artystycznie jasne, bo w literaturze, jedyną prawdą jest prawda artystyczna, wielkość i sugestywność wewnętrznej wizji pisarza, a nie nagromadzenie autentycznych, choćby najautentyczniejszych faktów i szczegółów. I tu mam wrażenie, w braku tej sugestywnej realności artystycznej leży niedociągnięcie „Mateusza Bigdy". Wydaje się, jakby Bandrowski, zadufany w swym niewątpliwie dużym i mocnym talencie, książki swej tym razem artystycznie

nie pogłębił, i że tworzył ją raczej kategorjami myśli politycznej, niż artystycznej. Gdy się więc zważy, że ta powieść jest artystycznie tak mało sugestywna, że aż prawie nudna, że jest pisana stylem nużącym i wyszukanym, a przytem dziwnie brutalnym i ordynarnym, gdy się do tego doda, tak dziwnie brzmiące w ustach kulturalnego pisarza szczegóły, jak te sakie spluwaczki, rozstawione w eleganckich salonach hrabiego Lachowskiego — przyznać trzeba, że bilans jej artystyczny, mimo kapitalnych scen poszczególnych, musi wypaść ujemnie — i trudno rzeczywiście pojąć, dlaczego otoczyła ją atmosfera arcydzieła.

Ferdynand Goetel w swej książce „Podróż do Indyj", mówi, że został pisarzem, bo chciał nim zostać. To pozornie tak nieefektowne powiedzenie znakomicie charakteryzuje Goetla i rodzaj jego talentu. Bo Goetel nie ma w sobie nic z pisarza „z Bożej łaski", nie biją w niego wichry natchnień, nie wypełzają żadne nakazy, sny i imperatywy z jego podświadomości. Miałoby się ochotę powiedzieć, że Goetel podświadomości wogóle nie ma, tak bardzo wszystko jest u niego jasne, trzeźwe i siebie świadome, tak zawsze pisze co chce i jak chce. Muszę przyznać, że w dobie, gdy do znudzenia wszyscy, wszystko i w życiu i w literaturze zrzucają na podświadomość, gdy na odpowiedzialność podświadomości spycha się wszystkie zbrodnie przez ludzi popełniane i głupstwa, które wypisują, gdy pod zarzutem tępoty trzeba w każdym człowieku i w każdej książce doszukiwać się odruchów tej sławnej podświadomości i dla niej lekceważyć sądy najoczywistsze i znaczenie słów najprostszych — jasny rozumny i wielki w swej prostocie talent Goetla, jest prawdziwą rozkoszą i ostoją. Goetel niejako rehabilituje zdrowy rozsądek i jasność myśli, przywraca człowiekowi wiarę w jego świadomy rozum i udowadnia, że te wszystkie cechy łączą się znakomicie i z wysoką kulturą i z prawdziwą sztuką.

Najbardziej może frapującą cechą jego talentu jest wielka inteligencja. Ktoś powiedział, że inteligencja to „zmysł rzeczywistości", zdolność rozróżniania rzeczy ważnych od nieważnych, zjawisk istotnych od przygodnych. Ten właśnie świetny rodzaj inteligencji ma Goetel; nie weźmie on nigdy pozorów za fakty, nie da się uwieść frazesom i zakłamaniom. Przytem nie ma w nim cienia pozy, cienia literackiego snobizmu, niema szukania oryginalności, sadzenia się na głębokość. Z zupełną odwagą swych przekonań, bez myśli o tem, co powie galerja, mówi co widział i co myśli, opisuje ludzi i zjawiska, tłumaczy ich znaczenie. Toteż jego książka o Indjach jest chyba ostatniem słowem tego, co w tym rodzaju literatury zostało stworzone. Z pogodnym a sceptycznym uśmiechem rozwija w niej Goetel Indje z wiekowych opon baśni, zakłamań i frazesów; z pod pleśni stereotypowych o Indjach szablonów wydobywa Indje żywe i realne. Mówi nam

o Indjach wszystko: mówi o ich klimacie, pejzażu, sztuce, architekturze, historji, o polityce, stanie ekonomicznym, społecznej strukturze i cywilizacji. Zajmuje się tak ciekawą a skomplikowaną kwestją stosunku Anglików do Hindusów, stosunkiem człowieka białego do kolorowego, wschodu do zachodu. Kreśli obraz tych dwóch obok siebie płynących, a tak sobie obcych żyć Anglika i Hindusa. Rozważa narodowościowy ruch Indyj i pracę Gandhiego nie z punktu sentymentu czy legendy, ale z punktu ich realnej, życiowej wartości, życiowych i praktycznych możliwości. Nietylko wszystko widzi i spostrzega, ale także wszystko rozumie; rozumie nawet, że pewnych rzeczy nie rozumie. Ale jeżeli spojrzenie Goetla na świat jest trochę sceptyczne, to wobec prawdziwych piękności czy to przyrody, czy sztuki, wobec ludzkiej biedy, czy wzniosłości ludzkiego poświęcenia — uśmiech ten niknie. Patrząc w groźne pustynne przestrzenie Himalajów, słuchając krzyku jastrzębi pod kopułą Tadż-Mahalu — Goetel jest już tylko artystą, poddającym się bez reszty czarowi piękna. I niema też sceptycznego uśmiechu na jego ustach, gdy rozmawia z ks. Piaseckim i ks. Klimczykiem, polskimi misjonarzami w Indjach. Nie wstydzi się (Goetel nigdy nie wstydzi się być sobą) okazać serdeczne i pełne czci wzruszenie na widok heroicznego poświęcenia pracy i gorliwości tych kapłanów, wyniszczających swe zdrowia i życia w wilgotnych dżunglach południa, lub na skalistych wyżynach Assamu.

Te wszystkie cechy umysłowości Goetla nie byłyby z niego jeszcze zrobiły pisarza, gdyby oprócz nich nie miał i... talentu — gdyby nie miał tego daru oddawania i malowania słowem tego, co widzi, myśli i rozumie. Ale ponieważ Goetel dar ten posiada, więc książka jego o Indjach jest nietylko ciekawa i mądra, ale jest przedewszystkiem piękna. Jest w niej coś tak bezpośredniego i żywego, że czytając ją ma się wrażenie słuchania żywego bezpośredniego słowa, słowa kolejno to poważnego, to wesołego, to rozrzewnionego lub zachwyconego. Ma ona w sobie ten urok i czar, który ponad wszystkie zalety rozumowane, tak samo jak do ludzi, przykuwa nas i do książek. Urok ten pochodzi może stąd, że Goetel w swej pomnikowej książce o Indjach, w książce rzeczowej i objektywnej, dał nam i przekrój własnej umysłowości, że może mimowoli skreślił i swoją własną sylwetkę, sylwetkę, która lepiej niż argumentacje i wywody ukazuje nam, czem jest człowiek wychowany na dwudziestowiecznej chrześcijańskiej cywilizacji i kulturze zachodu. I upatrując w nim doskonałego przedstawiciela tej kultury, w całej jej harmonijnej pełni, myślimy z ulgą i radością, że kultura ta jest do dzisiaj nawskróś zdrowa i młoda, że wbrew krakaniom nie potrzebujemy jej odmładzać w brudnych wodach Gangesu, lub ponurych klasztorach Tybetu, bo póki ma w sobie głęboką twórczą myśl, możność trzeźwego na świat spojrzenia, zdolność tworzenia piękna w dziedzinie sztuki,

chrześcijańską mądrość serca i pogodny, wesoły, życie kochający uśmiech, ma w sobie tem samem i wszystkie życiotwórcze i życiodajne możliwości rozwoju i rozkwitu.

Izabella Lutosławska w swej pięknej i inteligentnej powieści „Córka", porusza często skomplikowany, a jak dotąd w literaturze stosunkowo mało wyeksploatowany moment, stosunku uczuciowego dzieci do rodziców. Stosunek ten, przez utarte szablony uznany za najprostszy w świecie, za pełen idyllicznego wdzięku i czułości, jest w gruncie rzeczy często tragiczny i trudny. Tragiczność jego polega na nierównomiernem napięciu uczuciowem, jakie zazwyczaj łączy rodziców i dzieci. Podczas, gdy najczęściej cała siła uczucia rodziców, a może bardziej jeszcze specjalnie matki, koncentruje się na dziecku, gdy jej pragnienia, cele i ambicje w dziecku się bez reszty zamykają — dziecko to, z konieczności, większą część swych uczuć, nadziei i dążeń kieruje ku ludziom i sprawom innym. Tak w porządku życia być musi: dziecko dla matki jest całą jej przyszłością, matka dla dziecka jest przeszłością. Gdy w tym stosunku uczuciowym, który jest, jak każdy stosunek uczuciowy, do pewnego stopnia walką dwóch egoizmów, bierze górę egoizm matki, stwarzają się typy i sytuacje takie, jak w Mauriacowskiej „Genitrix", gdy bierze górę egoizm dziecka, wytwarzają się położenia takie, jak właśnie w „Córce".

Pani Barska, opuszczona przez męża, całą swą miłość skoncentrowała na jedynej swej córce, Zazie. W Zazie widzi wszelkie doskonałości, wychowuje i kształci ją starannie, w bardzo ciężkich warunkach, jest jej opiekunką i najniższą służebnicą. Zaza miłość matki przyjmuje jako rzecz najprostszą w świecie i jej należną. Właściwie jej nie spostrzega, tak jak wogóle nie spostrzega matki; nie jest dla niej zła — pani Barskiej taka myśl nawet nigdy do głowy nie przyszła — ale nie liczy się z nią zupełnie. Zdanie matki, jej opinje, sądy, jej szczęście i uczucia dla Zazy nie istnieją; nie przyszło jej nigdy do głowy, żeby matka mogła istnieć inaczej, jak dla niej i przez nią, nie przyszło jej do głowy, aby za miłość matki, za jej poświęcenie trzeba jej odpłacić choć odrobiną serca i wdzięczności. I dopiero w chwili katastrofy życiowej, gdy opuszcza ją narzeczony, któremu w chwili szczerości, a raczej powodowana obawą, „żeby się skądinąd prawdy nie dowiedział" wyznaje, że była kochanką malarza Loca — w tej chwili załamania i zwątpienia zdaje się pierwszy raz matkę spostrzegać; wtedy po raz pierwszy czuje, że matki potrzebuje i na jej uczucie rodzajem uczucia odpowiada.

Ten to stosunek, stanowiący istotny, choć dyskretnie przeprowadzony wątek psychologiczny tej bogatej w motywy powieści, oddany jest z ogromną subtelnością i dużą życiową prawdą, a wzruszający interes tej książki polega na tem, że choć powieść

jest nawskróś współczesna, przedstawia jednak problemy i typy odwieczne i nieprzemijające, sięga w niezmieniające się wraz z modą i obyczajem pokłady dusz ludzkich, w ich egoizmy i poświęcenia, w odwieczny konflikt po sobie następujących pokoleń, z których młode wyrywa się zawsze w przyszłość, zrywając częstokroć brutalnie nici nawet uczuciowe, wiążące ich z przeszłością — a z których starsze ścigają tamte często w próżnię trafiającą miłością — i niepotrzebną, zbyteczną przestrogą. Bo i pani Barska ze swą anielską dobrocią, wypraną z wszelkiego egoizmu, z prostotą i bezwiednością swego poświęcenia, i Zaza, oschła, pewna siebie, wyrachowana, ambitna, to nie typy „dzisiejszej Warszawy" — to typy snujące się w zmienionych tylko formach poprzez wszystkie dzieje ludzkich słabości, walk i cierpień.

Obok tych dwóch doskonałych typów kreśli Lutosławska cały szereg dobrych sylwetek drugorzędnych i drugoplanowych epizodów. Powrót pana Barskiego do opuszczonej przed 20-tu laty żony, choć pozornie tak nieprawdopodobny, jest jednak głęboko prawdziwy psychologicznie: to powrót złamanego, opanowanego lękiem śmierci człowieka, do jedynych istot, które choć przez niego skrzywdzone, mogą teraz stanąć między nim a trwożącą samotnością śmierci. I jedynie epizod romansu Marynki, przyjaciółki Zazy, niepotrzebnie pod koniec książki wysuwa się z planu drugiego, na plan pierwszy, psując trochę konsekwentną i zwartą budowę opowiadania.

Wielkim urokiem tej ładnej książki są śliczne opisy wsi, wiejskich dworów i ogrodów, doskonałe wydobycie tego specyficznego nastroju życia wiejskiego, które jest niby takie same, a właściwie tak zasadniczo różne od życia w mieście. Drobne ale rażące skazy językowe psują ogólne dodatnie wrażenie całości; niewiadomo zresztą, czy pochodzą z przeoczeń autorki, czy z wyjątkowo niedbałej korekty.

Faktura pięknej książki Heleny Boguszewskiej „Ci ludzie" przypomina mocno fakturę „Domu nad łąkami" Nałkowskiej. To samo tu, co i tam, oddalenie od przedmiotu, to samo jakieś księżycowe, chłodne, a pełne drgającej serdeczności oświetlenie, to samo przesuwanie się przez ekran książki całego szeregu ludzi nie powiązanych ze sobą żadną powieściową fabułą, lecz jakby jedynie jakąś astralną, choć przekonywującą, wszechobecnością autorki, przemawiającej stale w pierwszej osobie. Nie jest to zresztą zarzut, tylko skonstatowanie faktu, określenie rodzaju. Jak zdarza się bowiem nieraz, że ludzie zupełnie sobie obcy są do siebie uderzająco podobni — tak samo zdarzyć się może, że dwóch autorów ma jakieś artystyczne pokrewieństwo, co zresztą żadnemu nie ubliża. Pióro ma w sobie jakąś niebezpieczną niedyskrecję, i jak nic może innego zdradza nieszczerość, pozę, a także i ewentualny brak oryginalności.

Książkę „naśladowaną" można poznać odrazu; ma w sobie jakiś fałszywy, zakurzony ton, nie bierze i nie przekonywuje. Ale książka H. Boguszewskiej nie ma w sobie żadnej z tych cech rzeczy z drugiej ręki; przeciwnie, bije z niej świeży, żywy strumień własnej twórczości, własnego na świat spojrzenia, a w stosunku do wspomnianej książki Nałkowskiej stanowi jakby jej drugi biegun, drugą stronę medalu. Podczas gdy tam autorka zatapia wzrok w życie wsi, w życie nad łąkami, tutaj Boguszewska wpatruje się w życie miejskie. Na peryferjach Warszawy powstaje t. zw. kolonja. Jest to półmiasto, półwieś. Tu i ówdzie stoją rozrzucone domy, nie nanizane jeszcze na żadne sznury ulic; wśród ogródków powstają jak grzyby po deszczu małe skromne domki i wille. Mieszkańcy tego nowo powstającego osiedla tworzą zwarte i z sobą zżyte społeczeństwo. Wszyscy się nawzajem znają, wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą, wszyscy wszystkiem się interesują. Całe to miasto-wieś przeżywa wspólnie a intensywnie radości i nadzieje rozkwitającej wiosny, smutki i przygnębienia błotnistych jesieni, srogości zimy. I wszystko byłoby cudownie i uroczo w tem skromnem życiu kolonji, gdyby nie bezrobocie. Bo na kolonji mieszkają przeważnie bezrobotni, właśnie „ci ludzie". Z wielką plastyką i prawdą, z przedziwną melancholją maluje autorka straszną nędzę bezrobotnych. Maluje ją w słowach prostych, dyskretnych, nie pozwalając sobie na żadne liryczne komentarze, ale te nagie fakty, te napewno autentyczne postacie i zdarzenia nie potrzebują komentarzy. Boguszewska schodzi na samo dno nędzy: jej bezrobotni to ludzie nietylko głodni i zmarznięci, to ludzie nieszczęśliwi, ludzie na świecie zbędni i bezużyteczni, ludzie, którzy popadli w najgorsze z osamotnień: w osamotnienie rzeczy niepotrzebnych, ludzie którzy wszędzie wadzą, wszędzie przeszkadzają, przez sam fakt że istnieją, którzy nużą i drażnią drugich, przez to, że wyciągają ręce po skarb największy, a przez niewytłumaczalną anomalję dzisiejszego życia tak szczupły, że obdzielić nim tylko wybranych można: po pracę. Książka Boguszewskiej nie wychodzi nigdzie z najdoskonalszego objektywizmu, nie poucza, nie moralizuje, ale przedstawiając kontrast sytego, wygodnego życia, które ociera się o tę otchłań nędzy, nie dostrzegając jej, które w swem zasklepieniu widzi w kwestji bezrobocia jedynie trwożącą groźbę dla swego dobrobytu — a nie rozpacz tych ludzi postawionych w sytuacji życiowej bez wyjścia — stawia nią groźne i sugestywne *memento* tym wszystkim, którzy nie są głodni, nie mieszkają w wodą ociekającej szopie, nie znają męczeńskiej wędrówki po komitetach, którzy czując, że mają prawo do życia, nie mają wielkiej chęci prawem tem się dzielić.

O „Namiętnym pielgrzymie" Anatola Sterna powinienby właściwie pisać recenzję filozof, a nie literat, jest to bowiem po-

wieść, w której autor starał się zakląć nie zewnętrzny kształt świata, nie fragment życia, nawet nie ludzką duszę z jej psychologicznemi komplikacjami, ale myśl zupełnie abstrakcyjną, filozoficzną, kwestję istoty zła i jego tajemniczych źródeł w ludzkiej duszy. Chcąc to uczynić w formie powieści, musiał się oczywiście posługiwać jej normalnym sztafażem: fabułą, opisem miejscowości, ludzi, ich walk i wątpliwości. Ale to wszystko jest tylko pretekstem, i dlatego nie razi nas założenie, rzeczywiście dość mało prawdopodobne: inżynier Andrzej Orda spacerując pewnego wieczoru nad Wisłą, spotyka swego znajomego Konrada Prysiuda, prokuratora, którego zresztą widział raz czy dwa w życiu. Między obu mężczyznami zawiązuje się rozmowa o stosunku, jaki winno zająć społeczeństwo do zbrodni, o systemie sądzenia i karania zbrodniarzy. Prokurator Prysiud tłumaczy, że sąd nie może wchodzić w rozpatrywanie psychologicznych komplikacyj człowieka, który zbrodnię popełnił, że musi go sądzić bezwzględnie i surowo, dbając tylko o zachowanie społecznego ładu i ogólnego bezpieczeństwa. Ordę takie stanowisko, poświęcające człowieka dla idei społecznego ładu i bezpieczeństwa, oburza. W pewnym momencie, bez bliżej określonych motywów, bez uświadomienia sobie przez Ordę jego postępku, wyciąga ten ostatni rewolwer, zabija Prysiuda, wrzuca go do Wisły i idzie spokojnie do domu. Dalsza akcja rozwija się dookoła przeżyć Ordy w związku z tem zabójstwem. Orda jest aresztowany, ale dla braku dowodów wypuszczony. Oczywiście myśl o popełnionej zbrodni wypełnia bez reszty jego wewnętrzne życie. Romans z popielato-włosą Anną jest jakby rodzajem narkotyku, którym chce się odurzyć. Bardzo zresztą słusznie zauważył w swej recenzji o tej książce doskonały krytyk Piwiński, że mniej nas interesuje romans Ordy z Anną, bo dopóki ten nie załatwił swego stosunku do popełnionej zbrodni, mniej nas obchodzą jego romantyczne przeżycia. Bylibyśmy stanowczo także woleli „Namiętnego pielgrzyma", bez tego, tak rozbudowanego romansu, zwłaszcza, że daje on pretekst do całego szeregu scen erotycznych o niezwykłej wprost brutalności.

Tego, co pospolicie nazywa się wyrzutami sumienia, nie odczuwa Orda prawie wcale. Myśl, że pozbawił człowieka życia, że unieszczęśliwił jego rodzinę, ściągnął podejrzenia na ludzi niewinnych, nie przychodzi mu prawie do głowy. Jego męczy pytanie, dlaczego czyn ten popełnił; jest on mu tak daleki, że czasami wątpi, czy wogóle go popełnił; dręczy go myśl czem jest wogóle zło, skąd się bierze, w jakiej mierze może i powinien człowiek za nie być odpowiedzialny. W tych swoich wewętrznych walkach, w swej namiętnej pielgrzymce styka się z ideologją komunistyczną upersonifikowaną w Jedliczu i z ideologją katolicką upersonifikowaną w doktorze Durocu. Poprzez obie te ideologje stara się dotrzeć do wytłumaczenia sobie nietylko stosunku ludzkich ugrupowań do zła i grzechu, ale do wyjaśnienia samej jego

istoty i swojego własnego do tego zła stosunku. Komunista Jedlicz tłumaczy mu, że gdy zabijał Prysiuda, działały w nim podświadome instynkty społeczne, że w surowym prokuratorze zabił symbol faszystowskiej ideologji, symbol kapitalizmu i wroga proletarjatu. Ideologja jednak, która uznaje zbrodnię za dozwolony system działania, która każe spokojnie poświęcać jednostki dla idei abstrakcyjnej „ogółu" — jest Ordzie wstrętna. Poprzez długie rozmowy z Durocem (Duroc o jego zbrodni nie wie) pragnie się Orda dowiedzieć, jakie stanowisko zajmuje katolicyzm wobec zła i jak się do zbrodniarza ustosunkowuje. Duroc, który jak prawie wszystkie personifikacje katolicyzmu u powieściopisarzy, nie docierających do dna katolickiej nauki i których o niej pojęcie zaczyna się i kończy na inkwizycji — jest ponurym i ciasnym fanatykiem. Duroc tłumaczy Ordzie (dość niezgodnie z nauką Kościoła), że ludzka jednostka jest niczem, i że katolicyzm chętnie ją dla idei(?) poświęca. Wykazywanie, że taka interpretacja nauki, dla której człowiek, jego dusza nieśmiertelna i jej zbawienie jest dobrem najwyższem — jest interpretacją błędną — byłoby zbyteczne. W żadnym więc z tych światopoglądów nie znajduje Orda wytłumaczenia istoty zła, z żadnego nie dowiaduje się, dlaczego zabił Prysiuda. Rozmyśla więc nad tem zagadnieniem samodzielnie. Zło chwilami wydaje mu się chorobą, czemś, co wykwita z duszy ludzkiej niespodziewanie, wytryskuje z głębin jej podświadomości. Na człowieku ciąży pewien fatalizm zła. Zastanawia się dlaczego on właśnie „musiał" zabić Prysiuda, i w ten sposób zniszczyć swoje życie. Ale to go nie zadowalnia. Rozumie, że za swoją podświadomość człowiek jest też do pewnego stopnia odpowiedzialny, że musi istnieć łącznik bliski i konieczny między człowiekiem a jego czynami, że „zmysł indywidualności, potrzeba odczuwania przez człowieka odrębności i ciągłości swych stanów psychologicznych, jest tem, co decyduje o świadomem istnieniu człowieka", że ta świadomość „jest trzonem świata, religji, filozofji". Poprzez więc wszystkie mroki i niepewności stara się nawiązać kontakt ze swoim czynem, wziąć za niego odpowiedzialność. Doszedłszy do tego punktu swych rozważań, Orda popełnia samobójstwo, aby sobie wymierzyć sprawiedliwość i zabija się, uprzytomniając sobie w ostatnim przedśmiertnym błysku, że zbrodnię dodał do zbrodni, niszcząc znowu jedno życie a życie ma wartość ogromną, niezastąpioną, każde życie jest rodzajem świętości.

To samobójstwo Ordy jest może jedynem ułatwieniem, na jakie pozwala sobie autor tej niezmiernie ciekawej powieści, ułatwieniem, które pozwala mu uchylić się od powiedzenia ostatniego słowa o problemach filozoficznych, które porusza. Jakkolwiek możnaby się ustosunkowywać krytycznie co do szeregu wypowiedzianych przez autora myśli i zapatrywań, jego wysiłek do zrekonstruowania jednolitości psychicznej człowieka, do przywró-

cenia mu pełnej odpowiedzialności za jego czyny, wysiłek tak przeciwny dzisiejszym atomizującym człowieka prądom literatury, jest wysiłkiem ciekawym i bardzo znamiennym a nawet możnaby powiedzieć, etycznym. Wobec ogromu i doniosłości poruszonych w tej książce problemów, na plan drugi zsuwa się otwarta też i z naciskiem podkreślana, zawiła i trudna kwestja stosunku społeczeństwa do zbrodniarza, kwestja kary prewencyjnej i poprawiającej. Wstrząsające grozą i ohydą sceny więzienne, piętnują obecny stan rzeczy. Ale na niewątpliwie istniejące pod tym względem jeszcze dzisiaj braki, nie daje również autor odpowiedzi pozytywnej.

Dość jest zabawne, że podczas, gdy zazdrość jest uczuciem, które stanowczo traci swe stanowisko w życiu, podczas gdy zaczyna być niemodna i przeżyta, coraz częściej występuje jako temat literackiej twórczości. Po „Zazdrości i Medycynie", gdzie była ona głównym motywem artystycznym, ukazuje się powieść Artura Schroedera „W Latarni", która jest znowu szerokiem i pogłębionem studjum psychologicznem o zazdrości. Warunki, w których żyje bohater tej powieści, Karol, sprzyjają znakomicie do rozwinięcia się w nim tej psychicznej choroby, do której był zresztą predysponowany i wskutek podejrzliwego usposobienia i wskutek choroby nerwowej, której nabawił się po zatruciu gazami. Karol dowiaduje się, że młoda jego żona Anna znała dawniej, w latach dziecinnych, jego towarzysza z frontu i najbliższego przyjaciela, Adama. Fakt, że nigdy mu o tej znajomości nie wspominała, budzi pierwsze jego podejrzenia. Mimo to, a właściwie wskutek tego, jakby na złość samemu sobie, z chęci wybadania prawdy o dawnym stosunku tych dwojga namawia Adama, żeby razem z nim objął posadę latarnika na odludnej wysepce. Na tej zagubionej w morskich falach skale osiada więc tych troje. Oczywiście życie w tych warunkach, we trójkę, na odludziu, w samotności i właściwie w bezczynności, działa na zazdrość Karola jak atmosfera cieplarni na młodą roślinkę. Pech chce, że do tej trójki już i tak w niebezpiecznej sytuacji uczuciowej żyjącej, przyplątuje się figura z pod ciemnej gwiazdy, t. zw. Marynarz Józef. Jest to postać tajemnicza i dziwaczna. Człowiek morza, zręczny, pomocny życiowo bezradnej trójce we wszystkiem, który zjawia się na wyspie co chwila, opowiada niestworzone historje, łże i dowcipkuje często zbyt widocznie w stylu Zagłoby. Przechodził on w swojem życiu jakieś tajemnicze przygody i dramaty, o których nic pewnego się nie dowiadujemy, ale z tych przeżyć pozostała mu nienawiść i cynizm względem kobiet. Sypie jak z rękawa najbardziej ordynarne i plugawe żarty. Autor powiada coprawda, że umie wyrażać się także po wersalsku, ale tu musimy wierzyć mu na słowo, podczas gdy cyniczny i plugawy sposób jego wyrażania się jest aż

nazbyt jasno w książce udokumentowany. Ten to wstrętny i mętny typ odgrywa na wyspie rolę złego ducha. W Karolu rozdmuchuje zazdrość, w Adamie i Annie jak dotąd nieuświadomione ich względem siebie uczucia. Zazdrość Karola, niepokój uczuciowy Anny i Adama rosną i wkońcu doprowadzają do nieuniknionej katastrofy: Karol i Adam podczas wynikłej między nimi bójki staczają się w morze i giną we wzburzonych jego falach.

Może być, że rozrost zazdrości Karola jest dobrze przedstawiony, że są takie jak on życiowo niedołężne, a psychicznie chore typy, ale trzeba przyznać, że nie mamy współczucia dla jego cierpień, że ten safanduła zatruwający najniepotrzebniej w świecie życie sobie, żonie i przyjacielowi, irytuje nas w najwyższym stopniu. Tyle jest na świecie zmartwień prawdziwych, tyle rzeczywiście tragicznych i beznadziejnych sytuacyj, że naprawdę ogarnia złość na widok, że ludzie naumyślnie wstawiają się w sytuacje bez wyjścia i że pogłębiają je złą wolą i niemożnością dogadania się. Bo nawet na tej skale można się było uczciwie rozmówić. Anna nie zdradza Karola, nie chce go zdradzać. Adam nie chce przyjaciela oszukiwać, nawet już teraz Anny właściwie nie kocha, widząc co się dzieje, chce wyjechać. Karol, opętany jakąś manją samoudręczenia, nie chce wyjaśnień słuchać, nie chce Adama puścić. Ta cała długa męka trojga ludzi wydaje nam się dziwnie niepotrzebna. Ma się na każdej stronie ochotę powiedzieć im: no, wytłumaczcie się raz, niech Adam jedzie i niech będzie spokój! Jakkolwiek jednak założenie tej powieści wydaje nam się przez brak swej konieczności irytujące, a Karol wydaje się być doświadczalnym królikiem, którego przemocą trzyma się w klatce i zastrzykuje preparaty zazdrości, aby ich skutek badać — to przyznać trzeba, że rozwój i przeprowadzenie psychiczne tej gwałtem zaszczepionej choroby jest logiczne i konsekwentne, a fakt, że przez 300 stron tych troje ludzi, którzy nie mają innych kłopotów, nie mogą się dogadać o rzeczy, o której bezustannie wkółko gadają, wydaje się szczytem sztuki dialektycznej.

Nastrój groźnej samotności tej skalnej pustyni, ponura groza szturmującego o podnóże latarni morza, pustka milczących skał, ich martwota, głusza i ogołocenie oddane są z dużą sugestywnością i z prawdziwą poezją, a fakt, że ludzie niepotrzebnie marnujący sobie życia tak bardzo nas drażnią, jest dowodem, że są ludźmi naprawdę żywymi i że powieść Schroedera jest mimo zarzutów, jakie jej uczynić można, pisana z prawdziwym talentem.

Przyznam się odrazu, że do powieści t. zw. egzotycznych i awanturniczych zabieram się zawsze z uprzedzeniem. Zawsze wydawało mi się nieprawdopodobnem, żeby bohater takiej powieści spotykał z reguły na swej drodze wszystkie krokodyle i szakale całego świata, żeby prześladował go specjalny pech

wszelkich możliwych chorób i niebezpieczeństw, i żeby dzięki swym osobistym walorom uchodził zawsze cało z płonących stepów, z rożna ludożerców i paszczy lwów. Wskutek nagromadzenia tylu okropności byłam zawsze skłonna myśleć, że krokodyli i pełnych zwierza dżungli niema wogóle i że to tylko takie opowiadania dla lubiących emocje dzieci. Ale gdy zaczęłam czytać „Bractwo białego lamparta", Jerzego Marlicza, uprzedzenia te gdzieś się rozwiały. Czytelnik jest porwany emocjonującą akcją i ani przez chwilę (jak to najczęściej bywa) o los bohatera spokojny nie jest. Jeśli takie opowiadania są głównie stosowne dla młodzieży, to w takim razie w starym czytelniku budzi się jakaś młodzieńcza dusza i choć jego wytresowany krytycyzm literacki powtarza, że książka Marlicza nie ma specjalnych walorów artystycznych, to jednak czyta ją z zainteresowaniem do samego końca.

Obok zgrabnie zbudowanej i konsekwentnie przeprowadzonej fabuły, drugą zaletą tej książki jest niezmiernie żywe i bardzo przekonywujące odmalowanie egzotycznego tła. Belgijskie, podzwrotnikowe Kongo, opisane jest w całem bogactwie swej fauny i flory, w całej grozie i zmienności swego klimatu. Zycie i obyczaje murzynów, ich stosunek do białych mają wszelkie cechy prawdy i są rzeczywiście ciekawe. I choć autor nagromadził w swej książce wszystkie cechy i oryginalności opisywanego przez siebie kraju, zrobił to tak zgrabnie i naturalnie, że wszystkie nieprawdopodobieństwa wydają się prawdopodobne. Ja przynajmniej uwierzyłam wkońcu, że pod zwrotnikami można być zjedzonym przez krokodyla, ugryzionym przez muchę Tse-tse, dostać śpiączki i spłonąć na stepie; uwierzyłam, że to nie są wymysły dla dzieci, ale realna, choć nam daleka prawda życia.

Ta druga zdaje się zkolei książka młodego autora wykazuje tak duży postęp w porównaniu z „Łowcami przygód", że jeżeli autor będzie się nadal w tym tempie wyrabiał, może naprawdę wyróżnić się chlubnie w swojej klasie, w klasie t. zw. po francusku „romans d'aventure". Powtarzam, że nie jest to napewne najwyższa klasa twórczości, ale ponieważ ma niezaprzeczalne walory pedagogiczne, dydaktyczne i rozrywkowe, pragnąć należy, żeby i ona stanęła na pewnym poziomie, i z uznaniem podkreślić należy, że Jerzy Marlicz przez miłą prostotę swego stylu, dużą żywość opowiadania, jak również przez pewną zdrową i żywą fantazję, może w tej gałęzi literatury zająć miejsce czołowe.

M. H. Szpyrkówna jest autorką dziwnie nieuchwytną i trudno krytykowi ustosunkować się do jej twórczości. Nigdy nie wie, biorąc jej tom do ręki, czy się bierze dzieło ciekawe, zapowiadające oryginalny talent, takie jak „Pierwiosnki" lub „Czy będziesz maleńka", czy też dzieło pełne inteligentnego dojrzałego talentu, głębokiego i rzewnego uczucia, takie jak „Cuda w Lour-

des", czy też, już nie dzieło, lecz książkę o pospolitym poziomie taniej, bezbarwnej produkcji literackiej. Niestety do tej właśnie kategorji należą ostatnio wydane nowele „Trzy przygody". Już sam wygląd zewnętrzny broszurki, licho i brzydko wydanej nie usposabia nas korzystnie do jej treści, a błaha jej zawartość wrażenia tego nie rozprasza. Te trzy nowele są nawet dość żywo i zajmująco pisane, ostatecznie Szpyrkówna pisać umie i popod pewien poziom nie zejdzie nigdy, ale człowiek czytając zapytuje się, poco wogóle je pisała? Nie można się bowiem w tych banalnych nowelach dopatrzeć żadnego artystycznego celu, żadnego ani artystycznego, ani ideowego założenia. Jest to typowa lektura dla zabicia czasu. Ale czyż nie szkoda, aby Szpyrkówna niewątpliwy swój talent w ten sposób — już chciałoby się powiedzieć — nie używała, ale marnowała? Ufajmy, że w rozwoju jej talentu jest to tylko przygodne *infermezzo*.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Berent Wacław: P i s m a. T. I. Fachowiec. W puszczy, t. II, III, Próchno, t. IV, V. Ozimina. t. VI, VII. Żywe kamienie. Warszawa. Gebethner i Wolff. s. a. (1933). str. 287, 1 nl., 203, 1 nl., 222, 1 nl., 198, 1 nl., 136, 1 nl., 251, 1 nl., 187, 1 nl.

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa przystąpiło do zbiorowego wydania pism jednego z najtęższych pisarzy polskich, tak świadomego swych środków artystycznych, jako mało który z twórców wogóle. Rzadko kiedy te środki artystyczne zawiodą u Berenta. Wydanie, będące prostym przedrukiem bez komentarzy objęło dotychczas powieści Berenta, drukowane osobno i mało znaną impresję p. t. „W puszczy". Następny zapowiedziany tom VIII ma zawierać opowieści biograficzne p. t. „Szabla i duch" i budzi żywsze zainteresowanie.

Na powieści wielkiego artysty patrzymy już dziś z historycznego punktu widzenia. Nie tracą one przez to swej wartości. Z kilku względów można czytać je i dziś z największem zadowoleniem. Są przedewszystkiem zwierciadłem epoki, odbijającem ją w sposób bezpośredni, z wielką precyzją. Zwierciadłem takiem jest przedewszystkiem „Fachowiec" — ostra i gorzka satyra na nadużycie, czy też niezrozumienie haseł pracy organicznej w okresie pozytywizmu warszawskiego, takiem jest — o wiele doskonalsze kompozycyjnie „Próchno" — mistrzowskie malowidło dusz dekadenckich, takiem — bardziej już lokalna „Ozimina". W głąb czasów sięgają „Żywe kamienie". Ale i to jest — jak zauważył słusznie Stefan Kołaczkowski — obraz średniowiecza, przełamany w pryzmacie dusz „Młodej Polski".

Silniej, niż odbicie prądów czasu przemawia jednak do nas dziś druga nieprzemijająca wartość dzieł Berenta: mistrzostwo kompozycyjno-formalne, niesłychane cyzelatorstwo, które nie zapomina ani o jednym szczególe, nie chybi ani jednego efektu,

Odnosi się to w pierwszym rzędzie do „Żywych kamieni". Nie jest do dzieło przeznaczone do szybkiej pobieżnej lektury. Dopiero powtórne powolne odczytanie pozwala rozsmakować się w pełni w tym dojrzałym, wonnym aromatem barw nasyconych owocu pracy intelektualnej, skojarzonej z prawdziwie malarską przestrzenną i kolorową wyobraźnią. Artyzm „przebiera nawet niekiedy miarę" w tej opowieści z życia średniowiecznego miasta. Są całe rozdziały, będące tylko opisem. Ale opisem, w którym nastrój kojarzy się mistrzowsko z pewną treścią.

Ciekawem jest śledzenie w wydaniu „Pism" rozwoju stałej techniki kompozycyjnej Berenta; każda jego „powieść", to szereg równoległych, na jednej płaszczyźnie stojących całostek treściowo i formalnie samodzielnych i skończonych. Uderza brak ruchu: akcja zastyga co chwila w doskonałą kompozycję malarską. Albo też toczy się, jak wyraził się sam autor, w międzyrozdziałach. Pozornie nic się nie dzieje; wiele natomiast myśli się i mówi. Najznaczniejszym okazem tej techniki, doprowadzonym jednak już do maniery, jest „Ozimina". Cała powieść rozgrywa się z zachowaniem jedności miejsca i czasu, w obrębie jednej nocy. Krzywdę jednak czyni Berentowi, kto odmawia jego powieściom fabuły i widzi w nich tylko piękne malowidło. Akcja, owszem, toczy się, ale toczy się przeważnie w duszach. Wszystko dzieje się od wewnątrz. Dramaty te bohaterów Berenta kończą się najczęściej tragicznym wydźwiękiem. Intelektualista, jakim jest Berent, celuje przedewszystkiem w analizie psychologicznej. Jego aforyzmy z tego zakresu noszą trwałą cechę prawdy spostrzegania.

Wartości ideowe dzieł Berenta są dziś raczej przebrzmiałe, gdyż w większej części były odpowiedzią na bieżące prądy duchowe czasu, w którym dzieła te powstawały. Niemniej powaga założeń budzi szacunek, a niejedno z haseł nie straciło wartości i dziś. Czy to będzie postulat realnego stosunku do życia i samego siebie, jak w „Fachowcu", czy przeciwstawienie się miazmatom rozkładu duchowego w „Próchnie" (przeciwstawienie się oparte zresztą na nijakim programie pozytywnym, bo wszak sam autor zaprzecza, jakoby propagował „nirwanę"). Najtęższe stosunkowo tony brzmią w „Oziminie"; wydobywa je kontrast tragicznego poranka po szarży kozackiej na ulicach Warszawy, przeciwstawiony dusznej nocy w burżuazyjnym, nawskroś zdeprawowanym salonie, w którym pod takt muzyki tanecznej, przesuwa się — podobnie jak w „Weselu", ale bez takiej mocy wizyjnej — korowód dialogów, obrazujących część społeczeństwa. Myśl patrjotyczna spłaca tu zwykły dług literatury polskiej wobec społeczeństwa. I tym twórcą, jak całą twórczością polską, kieruje myśl społeczna. Ponad tragedją ludzi triumfuje idea zdrowa i radosna. Trzeba jednak bystrzejszego wejrzenia, by dostrzec jej światło w mrokach, w których rozkłada się „próchno",

lub poprzez duszne opary bujności życia wagantów. Wątłość tej strony ideowej pochodzi — jak się zdaje — stąd, że myśl społeczna jest czemś raczej narzuconem z zewnątrz przez wymagania epoki i środowiska. Prawdziwie pasjonuje autora nadewszystko sztuka (nietylko ta młodopolska, przez wielkie „S"). O niej myśli najwięcej i najtrafniej. Toteż uwagi jego o sztuce, zwłaszcza te rozsiane w „Próchnie", są może najistotniejszą i najbardziej oryginalną wartością dzieł Berenta.

Z. Ciechanowska.

Wyspiański Stanisław: Dzieła. Pierwsze wydanie zbiorowe. Tomy VI-VIII w opracowaniu Leona Płoszewskiego. Tom VII. Rapsody — Parafrazy — Wiersze. Tom VIII. Pisma prozą. Warszawa s. a. (1932). 8°. str. LXXX. 427; str. LXXX, 540.

Z niezwykłą w naszych stosunkach punktualnością pojawiły się ostatnie dwa tomy wydania zbiorowego dzieł Wyspiańskiego na rocznicę, obchodzoną tak uroczyście w listopadzie ubiegłego roku. W ten sposób zakończone zostało dzieło, którem twórca „Bibljoteki Polskiej", uczcił pamięć wielkiego poety. Pietyzm, cechujący opracowanie szóstego tomu, nie opuścił p. Płoszewskiego i przy dwóch ostatnich. A miał on niewdzięczne i trudne zadanie zebrania i wydania rzeczy przeważnie drobniejszych rozmiarów i bardziej rozproszonych, pozostałych w formie bardziej fragmentarycznej, niż to, co zawarły tomy początkowe. Podjął nadto trud uzupełnienia również luk, zresztą nieznacznych, które pozostały w tych właśnie tomach początkowych. W przeciwieństwie do zbyt gwałtownych wystąpień niektórych krytyków, prof. Płoszewski dokonał tego zadania w sposób spokojny i dyskretny, kryjąc swój trud osobisty — podobnie jak i we wstępach — poza prostemi uwagami w tonie ściśle rzeczowym.

Sumienność wydawcy idzie daleko. Uwzględnia rękopisy i wydania dawniejsze w szczegółach, wynotowanych pracowicie w „Przypisach krytycznych", stara się ustalić tekst możliwie najwierniej, co nie należy do zadań łatwych wobec bardzo nieczytelnych rękopisów poety. Ostrożność swą posuwa Płoszewski tak daleko, że woli pozostawić wykropkowane miejsca, których nie zdołał odczytać, nawet tam, gdzie poprzedni wydawcy (zwłaszcza Dürr) nie wahali się wstawiać wyrazy, zdaniem Płoszewskiego, nie dość trafne. Wiadomo, jak trudna jest praca wydawnicza: ideał wierności niemal nie jest do osiągnięcia. Toteż i w wydanych ostatnio tomach można zauważyć, niestety, omyłki drukarskie, przeważnie w cyfrach, ale niekiedy i w samym tekscie (jak np. przestawienie wyrazów w t. VII, str. 346, wiersz 12). Zawinił tu niewątpliwie pośpiech, są to drobiazgi wobec ogromu włożonego trudu, ale i tych należało uniknąć w wydaniu krytycznem. Nie od wydawcy zależała sprawa interpunkcji. Moder-

nizację jej, a właściwie schematyzację, rozpoczęto już na początku wydawnictwa — czy słusznie, należałoby przedyskutować!

Materjał, który przynoszą oba tomy jest niewątpliwie bardzo ciekawy, chociaż *inedita*, zawarte w nich nie są liczne. Zbiera niewydaną w poprzednich tomach „resztę", w tem niejedno z rzeczy zapoznanych i zapomnianych, rozproszonych po wydawnictwach. Sam rodzaj jednak zawartości tych tomów, podobnie, jak i tomu szóstego, pozwala poznać poetę bardziej może zbliska, niż wielkie dzieła, oddawna powszechnie znane. Twórca rapsodów albowiem mniej jest znany niż autor dramatyczny. Poza „Kazimierzem Wielkim" mało kto czytał inne rapsody, wśród których kryją się przecież takie arcydzieła nastroju, jak np. „Henryk Pobożny". Wydawca w pięknym swym wstępie nie docenia może tej formy twórczości Wyspiańskiego, kładąc nacisk na jego kierunek dramatyczny. Słusznie jednak podnosi znaczenie rapsodów dla ideowego rozwoju poety i słusznie łączy je z twórczością plastyczną nietylko samego ich autora (witraże!), ale i jego otoczenia (wpływ obrazów Matejki na „Henryka Pobożnego"). Pod adresem wydawców wyrywa się tu życzenie zaopatrzenia przyszłych wydań tego tomu w odpowiednie ilustracje, których brak — w całym zresztą zbiorze — daje się dotkliwie odczuwać. Z rapsodami łączy wydawca w tomie VII parafrazę hymnu „Veni Creator", o której pisze we wstępie w sposób, wbrew swemu zwyczajowi, niemal entuzjastyczny, chcąc wprowadzić ją w społeczeństwo, jako hymn narodowy wskrzeszonej ojczyzny. W sposób może niezbyt organiczny znalazły się w tomie przekłady a właściwie parafrazy dwóch francuskich tragedyj „Cyda" Corneille'a i „Zairy" Woltera, scharakteryzowane przez wydawcę interesująco. Zakończenie tomu stanowi wreszcie zbiór wierszy lirycznych, podzielony na dwie grupy: wiersze mające wartość artystyczną i dodatek, zawierający *juvenilia* i urywki. Przynależność poszczególnych utworów do tej, czy owej grupy, wywołała zastrzeżenia recenzentów. Rzecz to jednak nieistotna. Zbiór cały, pełniejszy i ułożony bardziej konsekwentnie, niż w wydaniu Feldmana, zbliża nas do poety niezmiernie, gdyż jest to liryka najczystszej wody: najbardziej bezpośrednie wypowiedzenia się jego duszy, wiersze najbardziej okolicznościowe, w tem znaczeniu, w jakiem Goethe nazywał całą swą poezję — „okolicznościową". W nich widzimy jedyny może raz w zbiorze „Dzieł" — subtelny uśmiech ironji, o którym mówią nam biografowie poety. Z nich dowiadujemy się, jak naprawdę żywym i osobistym był dla poety świat metafizyczny, który przejmuje nas w jego dziełach, jak istotnie jego najbardziej osobiste życie sięgało „ponad grób". Nie znam w liryce świata utworów równie przejmujących i na takim poziomie, jak liryki Wyspiańskiego, mówiące o śmierci i życiu zagrobowem, jak zwłaszcza wiersz „Wesoły jestem, wesoły", pełen niezachwianego przekonania o nieśmiertelności.

Zawartość tomu ostatniego jest również dość niejednolita, związana kryterjum formalnem, jakiem jest forma prozaiczna. Centralną wartość stanowi w nim trudne rozmyślanie o „Hamlecie", skomentowane doskonale przez wydawcę. Dokoła tego dzieła są 1. artykuły, przeważnie na temat sztuki, ilustrowane (nareszcie wydawcy zdecydowali się odstąpić od zasady nieilustrowania tekstu!) zdjęciami polichromji Św. Krzyża i witrażów dominikańskich, 2. pisma drobne różnej treści z jednej strony, a 3. inscenizacje i 4. pisma w sprawie dzierżawy teatru krakowskiego z drugiej. Z inscenizacyj daje wydawca „Epilog uroczystego przedstawienia na cześć A. Mickiewicza przez L. Rydla i St. Wyspiańskiego", oddając w nim trafnie, co się należy jednemu i drugiemu twórcy, i charakterystyczne sceny inscenizacji „Dziadów". Powiązanie tych prac ze sposobem ujmowania Genjusza w „Wyzwoleniu" jest jednem z najbardziej doniosłych spostrzeżeń wydawcy. Drukowany w dodatku notatnik poety daje wiele do biografji lat młodych. O rozmachu wydawniczym p. Płoszewskiego świadczy wreszcie wzięcie pod uwagę działalności społecznej poety w Radzie miejskiej m. Krakowa, i włączenie do „Dzieł" jego przemówień i wniosków, wydobytych z archiwów miejskich i sprawozdań dziennikarskich. Zaokrągleniem różnostronnej działalności jest też przedruk projektu „Akropolis" polskiej na Wawelu, spisanego przez W. Ekielskiego, ale wyrosłego z ducha Wyspiańskiego. Jedno i drugie — to bardzo cenne przyczynki do całokształtu dzieła wielkiego twórcy, a zarazem najbardziej może oryginalna zasługa wydawcy.

Wobec tak szerokich ram „Dzieł" Wyspiańskiego tembardziej ogarnia żal, że wydanie zbiorowe nie obejmuje listów; wszak całe ich grupy, jak np. listy o katedrach francuskich — to prawdziwe arcydzieła. Pociesza do pewnego stopnia zapowiedź wydawnicza Koła Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego; wydaje ono zbiór niedrukowanych listów poety, zebranych i skomentowanych przez L. Płoszewskiego i z jego wstępem. Oby wydawnictwo (ograniczone do małego nakładu) znalazło dość prenumeratorów! Opracowanie naukowe nie budzi obaw. P. Płoszewski dowiódł swych kwalifikacyj w pełni.

Z. Ciechanowska.

Bertrand Russel: Wychowanie a ustrój społeczny. Tłum. Dr. Janina Hosiassonówna. — Warszawa „Rój" 1933, str. 288.

Znany filozof angielski, sympatyzujący z anarchizmem, międzynarodowością i sowietami, ale i z własnością prywatną, daje tu wyraz swoim indywidualnym przekonaniom a raczej spisuje swoje wrażenia i nastroje, często ze sobą sprzeczne. Daje pierwszeństwo wychowaniu wartościowych jednostek przed wychowaniem dobrych obywateli, ale tylko *sub specie aeternitatis*; w związku z potrzebami czasu, z obawy przed „chaosem i śmiercią cywili-

zacji" sądzi przeciwnie. Może przez zamiłowanie oryginalności wypowiada szereg mniej lub więcej trafnych spostrzeżeń, będących jednak zwykle ze sobą w sprzeczności, i wysnuwa z nich wnioski, dowodzące, że niezawsze rozróżnia należycie ważność problemów, odgrywających rolę w życiu społecznem.

Do trafnych uwag zaliczam powiedzenie: „wrogi stosunek wobec *status quo* płynąć może z dwóch źródeł: ze współczucia dla nieszczęśliwych i z nienawiści do szczęśliwych" i dalej: „ortodoksyjność radykałów nie jest lepsza od ortodoksyjności reakcjonistów" (str. 19/20), „istnienie pewnych różnic jest koniecznym warunkiem współpracy w jej najwyższych postaciach... gdyby w orkiestrze wszyscy chcieli grać na trąbie, muzyka orkiestralna byłaby niemożliwa. Współpraca społeczna wymaga tak samo różnic w zdolnościach i upodobaniach" (str. 77). „Błąd arystokracji polega nie na tem, że uznaje ona wyższość jednych ludzi nad innymi, lecz na tem, że uważa wyższość tę za dziedziczną" (str. 93). „Nie jest chyba obowiązkiem wypowiadanie (jakiejś opinji) w rozmowie prywatnej, gdy wywołać ona może tylko przykrość i rozgoryczenie" (str. 111). „Z propagandy patrjotycznej ciągną zyski nietylko właściciele fabryk amunicyjnych, ale i posiadacze inwestycyj w t. zw. krajach zacofanych" (ma na myśli angielskich właścicieli kopalń nafty w południowej Persji, w interesie których nastąpiło wkroczenie wojsk angielskich do Persji i wymuszenie prolongaty koncesji na korzystnych warunkach), (str. 162). Trafne są niektóre uwagi o przeładowaniu ucznia masą wiadomości w miejsce ich pogłębienia, umieszczone w rozdziale XII.

Ale te drobiazgi, które tylko gwoli sprawiedliwości rejestruję, giną w powodzi uwag, którym trudno przyznać uzasadnienie.

I tak twierdzenie, że wychowanie obywatelskie uchyla prawo samoistnego myślenia (str. 22), jest poprostu anarchistycznym wymysłem. Charakterystycznym dla sposobu argumentowania Russela jest przykład. Nie wolno było w Anglji pierwszej połowy XIX wieku mówić głośno o fakcie przesadnej otyłości księcia regenta (str. 24). Ale nie można przecie twierdzić 1) jakoby publiczne wypowiadanie tego nieprzyjemnego o księciu zdania miało coś wspólnego z wiedzą; 2) jakoby z tego, że ludzie o tem nie śmieli mówić, bo bali się procesu o obrazę, wynikało, że tego nie spostrzegali i żeby im to nie przychodziło na myśl.

Kościół rzymsko-katolicki jest zdaniem Russela (str. 78/9) wrogiem inteligencji, a na dowód przytacza on fakt cudownej przemiany hostji i wina na ciało i krew Pańską w czasie mszy świętej, fakt, którego argumentami racjonalistycznemi nikt wyjaśnić nie usiłował. Kościół zdaniem jego jest także wrogiem cnoty, ponieważ nie pozwala na sztuczne przerwanie ciąży, mimo że kobieta urodzić ma dziecko, dotknięte syfilisem. Czy z tego powodu kobieta lub lekarz mają zostać mordercami, jak tego żąda humanitarny i postępowy Bertrand Russel? Logika i ścisłe roz-

różnianie pojęć nie zdają się być najsilniejszą stroną tego filozofa.

Zdaniem autora „z obawy przed śmiercią głodową bardzo znacznego odsetka ludzkości musimy pogodzić się z całym złożonym systemem industrjalizacji współczesnego świata." Co ma śmierć głodowa do industrjalizacji? I czy sądzi autor, tak skądinąd postępowy, że w braku uprzemysłowienia ludzie umieraliby z głodu? Czy nie słyszał przypadkiem, że olbrzymią ilość bezrobotnych na kuli ziemskiej (około 25—30 miljonów ludzi, a więc z rodzinami około 100 miljonów umierających z głodu) przypisać należy właśnie przedewszystkiem industrjalizacji, a więc produkcji na zapas, przewyższającą znacznie potrzebę i możność nabywczą ogółu ludzkości?

Miłość ojczyzny u Hindusów tłumaczy błędnie wyłącznie nienawiścią do Anglików (str. 84). Obecnemu ustrojowi Japonji przepowiada upadek, przypuszcza bez najmniejszego uzasadnienia, że zluzują go rządy, wzorowane na sowieckiej Rosji (str. 84). Prawdziwa kultura polega zdaniem Russela na tem, że czyni człowieka obywatelem „całego wszechświata" (!) a nietylko jakiegoś przypadkowego fragmentu czasu i przestrzeni (str. 96/7). Podobne uwagi znajdujemy na str. 238. Pomijam fatalną szkodliwość takiego poglądu, jest on poza tem z gruntu fałszywy. Czyżby bowiem ludzie kulturalni a nawet przodujący w kulturze wszystkich czasów i wieków nie byli patrjotami? Czyż jedyna droga do względów dla całej ludzkości nie prowadzi przez naród? Tylko ludzie, chcący zwolnić się z niewygodnych dla własnego egoizmu obowiązków wobec ojczyzny, mogą akceptować opinję Russela.

Napoleon uczył się w młodości w arystokratycznej szkole w Brienne, gdzie ze strony kolegów, bogatych i arystokratów, był traktowany „z szyderstwem i pogardą" (str. 105). Wskutek tego „wezbrała w nim nienawiść i żądza zniszczenia, która wyrządziła niepowetowaną krzywdę światu". Wytłumaczenie wielkich czynów i charakteru Napoleona tylko jako następstwa przykrości, doznawanych zamłodu, nie odpowiada chyba rzeczywistości i podaje w wątpliwość wiadomości psychologiczne Russela.

Czyżby Russel, zalecający innym obywatelstwo „całego wszechświata" (może poprawniej: całej kuli ziemskiej), nie był w gruncie rzeczy fanatycznym nacjonalistą, odmawiającym Japończykom, Hindusom, Napoleonowi prawa do miłości ojczyzny oraz wielkich i szlachetnych pobudek, a rezerwującym to prawo wyłącznie dla dumnego Albionu? I może nawet sam nie zdaje sobie z tego sprawy, jak dalece jest zasklepionym w swych uprzedzeniach i przesądach Brytyjczykiem, np. gdy przeciwstawia wyższość Pitta starszego, „urodzonego arystokraty", Disraelemu, „schlebiającemu" jedynie temu obozowi. Czy zresztą słowa tegoż Disraelego: „Nadejdzie czas, gdy będziecie musieli mnie słuchać", które Russel nazywa kluczem do zrozumienia jego życia, są istotnie

„reakcją pochlebcy"? (str. 102/3). Jabym je raczej nazwał wyrazem poczucia wysokiej wartości własnej, wyrazem może zarozumiałości i przesadnej pewności siebie, ale nigdy schlebianiem.

Uwagi Russela o religji wogóle są na równie niskim poziomie. Jeśli twierdzi, że „rozrost cywilizacji szedł w parze ze zmiejszeniem się religijności" (str. 113), przypominają się słowa Goethego, wypowiedziane w *Wilhelm Meisters Wanderjahre*: „Wszystkie epoki, w których panuje wiara, są wspaniałe i krzepiące świat tak współczesny, jak i potomny. Wszystkie natomiast, w których niewiara w jakiejkolwiek formie marne uzyskuje zwycięstwo, choćby jaśniały pozornym blaskiem, gasną w oczach potomności." A do wyżyn cywilizacyjnych, na których stał Goethe, Russelowi jeszcze bardzo daleko. Nie można się więc dziwić, że Russel więcej wypowiada podobnych opinij, np. „wpływ nauki religji na moralność jest pod wielu względami ujemny" (str. 128); „większość ludzi o nieprzeciętnej inteligencji, to dzisiaj ludzie otwarcie lub skrycie niewierzący; nauczyciele więc, uczący w szkole religijnej, muszą rekrutować się z pośród głupców albo hipokrytów — chyba że... naskutek jakiegoś defektu psychicznego nie potrafią wydać o niczem własnego sądu, choć niepozbawieni są zdolności intelektualnych" (str. 122); „wszelka wiara, bez względu na jej treść, może być szkodliwa z wychowawczego punktu widzenia, jeśli nie ma podlegać krytyce naukowej tak samo, jak podlegają jej nasze bardziej naukowe przekonania." „Chrześcijaństwo jest zawadą dla postępu nauk" (str. 219).

Jeśli powyższe uwagi wystarczy zbyć wzruszeniem ramion, tak są niedorzeczne, i ubolewać nad nienawiścią i fanatyzmem, które je podyktowały, to twierdzenie, jakoby duchowieństwo „wynajdywało argumenty w obronie wyzysku kapitalistycznego" (str. 126) należy napiętnować jako pospolite oszczerstwo. Zgodnie z nauką Pana Jezusa, Apostołowie, Tertuljan, Grzegorz z Nazjanzu, św. Jan Chryzostom, Hermas, św. Bazyli Wielki, św. Hieronim, św. Ambroży, św. Augustyn, Klemens Aleksandryjski, papież Grzegorz I, Laktancjusz, św. Tomasz z Akwinu — zawsze najstanowczej zwalczali wyzysk bogatych, stając w obronie ubogich, aż po epokę współczesną, w której działali biskupi Doutreloux, Ketteler, kardynałowie Manning, Mermillod i Gibbons, w której ukazała się encyklika *Rerum novarum* Leona XIII, a w 40 lat później, 2 lata temu, encyklika *Quadragesimo anno* Piusa XI.

Russel naogół zwalcza wszelkie autorytety, ale jeśli idzie o ludzi religijnych, to ubolewa, że wychowanie religijne dodaje im śmiałości „do przeciwstawienia się autorytetowi ludzi wykształconych", przyczem bez ceremonji nazywa wierzących głupcami (str. 122). Pojęcia wykształcenia i głupoty są widocznie bardzo względne — co dla Russela jest głupstwem, nam wydaje się najwyższą mądrością, a przeczytanie fury książek, napisanych przez

fanatyków nienawiści, nie daje jeszcze naszem zdaniem prawa do miana człowieka wykształconego.

Pogląd Russela na patrjotyzm charakteryzują zdania następujące: „Jeżeli chcesz, aby człowiek popełnił jakąś straszliwą zbrodnię, przed którą normalnie cofnąłby się ze zgrozą, postaraj się wpoić mu najpierw poczucie lojalności w stosunku do jakiejś bandy hyperkryminalistów, a potem wykaż mu, że owo poczucie wymaga od niego dokonania zbrodni. Najdoskonalszy przykład tego rodzaju procesu myślowego obserwujemy w patrjotyźmie" (str. 156). Jeżeli wedle Russela należenie do organizacji faszystów angielskich „jest okropnością" (str. 152), to tolerancja dla cudzych przekonań, która winna być cechą filozofa, nie sięga u autora zbyt daleko.

Socjologiczne poglądy Russela są dosyć oryginalne. Bogactwo wedle niego pochodzić może tylko z trzech źródeł: z waleczności wobec wrogów i zdobycia na nich ziemi, z dziedziczenia i z pracy własnej. Źródło arystokratyczne własności, to posiadanie ziemi, źródło mieszczańskie „to prawo do wytworów własnej pracy". „Ostatecznie" dostrzega jeszcze proletarjuszy. Na str. 234 dostrzega już trzy główne źródła bogactwa: posiadanie ziemi i bogactw naturalnych, dziedziczenie oraz działalność handlową lub przemysłową. Ale o spekulacji jako źródle majątku widocznie Russel nie słyszał. Jest to typowe nastawienie liberalizmu gospodarczego, któremu hołduje ten ultra-postępowy wróg religji i fanatyk nauki. Prywatne władanie ziemią i dziedziczenie podlegają zdaniem R. znacznie bardziej krytyce z socjalistycznego punktu widzenia, „niż prowadzenie interesów".

O wychowaniu młodzieży w duchu komunistycznym mówi Russel z nadzwyczajnem uznaniem. „Komunizm wynalazł dyscyplinę moralną, którą młodzież dzisiejsza może uznać i sposób żvcia, który może ją uczynić szczęśliwą. Dla krajów kapitalistycznych jest to sprawa nie do rozwiązania, ponieważ ich instytucje nie mogą być utrzymane przy życiu bez pomocy fałszu" (str. 223). Z drugiej strony przyznaje, że „pokolenie nie wychodzące poza filozofję *Kapitału* Marxa... będzie intelektualnie płytkie i zaślepione" (str. 225). Jednak zastrzega się, że mówi to „z punktu widzenia filozofji". I tu następuje wyliczenie całego szeregu dodatnich stron komunizmu. Za nie uważa: rozwiązanie „trudnego zagadnienia rodziny i równouprawnienia płci", stanowiące możliwe „wyjście z trudności"; wychowanie bez współzawodnictwa; „ustrój ekonomiczny, który wydaje się jedyną praktyczną alternatywą naszego ustroju panów i niewolników". Kończy zaś ten rozdział zdaniem: „Z tych wszystkich względów, mimo zastrzeżeń, komunizm zasługuje na poparcie" (str. 226). Są oczywiście i napaści na Polskę, które tłumaczka podaje bez zastrzeżeń (str. 238).

Szerzenie poglądów religijnych czy patrjotycznych porównuje Russel wykwintnie z głoszeniem zapatrywania, jakoby szczęśliwymi

mogli być tylko ludzie, których imiona zaczynają się np. od Z (str. 252). Szerzenie natomiast przez niego poglądów antyreligijnych i komunistycznych usuwa się oczywiście z pod zarzutu dowolności i głupstwa, właśnie dlatego, że jest wolnomyślne i wyzute z autorytetów — prócz naturalnie terroru ateizmu i komunizmu. Wprawdzie autor jest na tyle łaskaw, że pozwala na dyskusję w radjo między ambasadorem sowieckim a Churchillem, między wicekrólem Indyj a Ghandim, tudzież między Stalinem a arcybiskupem Canterbury (str. 261), ale po czyjej stronie są jego istotne przekonania, to wynika z całej książki.

Tłumaczenie jest płynne, ale nieścisłe. Jeśli czytamy, że „czynności fizyczne są takie, do których trzeba używać rąk i nóg" (str. 176), to widocznem jest, że autor miał na myśli nie „czynności" wogóle, ale „pracę fizyczną". Trudno też przypuszczać, by autor mimo swego radykalizmu wyraził się tak trywialnie: „W szkole świnie stanowią naogół arystokrację" (sc. wśród uczniów) (str. 198).

W jakim celu i dla kogo wydał tę książkę „Rój"? I czy wydawcy czytali przedtem rękopis dzieła, nim je odesłali do drukarni? Na przyszłość byłoby to bardzo pożądane.

Leopold Caro.

Ks. Dr. Kazimierz Dworak: Zarys psychologji empirycznej. Podręcznik szkolny z 22 ilustracjami w tekscie. Kielce 1933. Nakładem autora. Drukarnia „Jedność" w Kielcach. Str. VIII+223.

Brakowało nam podręcznika psychologji doświadczalnej, stojącego na poziomie współczesnych badań psychologicznych, a wolnego od apriorycznych interpretacyj, nie godzących się ze zdrową filozofją. Dlatego nie bez zastrzeżeń można było dać do ręki uczniów wyższych klas gimnazjalnych czy seminarjów nauczycielskich podręczniki np. Titchenera albo Witwickiego. Podręcznik ks. prof. Dworaka opiera się na współczesnym stanie nauki psychologicznej i stosownie do planów M. W. R. i O. P. podaje uczniom pogląd na całość zjawisk psychicznych i zaznajamia ich z podstawowemi zagadnieniami psychologicznemi. Oświetla je historycznie, ale też podkreśla śmiało, że ich najgłębsze i najprawdziwsze wyjaśnienie znaleźć można jedynie w filozofji umiarkowanego spirytualizmu szkoły arystotelesowsko-tomistycznej. Jest to zaznaczane tylko mimochodem i pozostawione do dalszego rozważania psychologji rozumowej, ale już samo podkreślanie istotnej różnicy między zjawiskami życia zmysłowego i życia umysłowego naprowadza umysł ucznia na właściwą drogę. Autor zdawał sobie sprawę z tego, że ma pisać dla uczniów szkoły średniej jakby „elementarz wiedzy psychologicznej", starał się przeto o możliwie największą jasność, zrozumiałość i przystępność wykładu, co mu się zdaniem naszem znakomicie udało. Ożywiają wykład demonstrujące prawa psychologiczne przykłady

czerpane z codziennego życia szkolnego i nawiązujące do własnych doświadczeń ucznia. Na ich tle będzie mógł profesor porobić jeszcze bardziej odpowiadające swoim uczniom zastosowania.

Książka dzieli się na 10 rozdziałów; O zjawiskach psychicznych w ogólności, — O wrażeniach zmysłowych, — O spostrzeżeniach, — O wyobrażeniach, — O zjawiskach pamięci, — O zjawiskach myśli, — O zjawisku uwagi, — O zjawiskach uczuć, — O zjawiskach woli, — O temperamentach i typach psychicznych. Rozumie się, że materjał nie jest wyczerpany, atoli pamiętać trzeba, że to podręcznik kierujący się ponadto planami ministerjalnemi. Mimo to rolę „elementarza psychologicznego" spełnia znakomicie. Jest to bezwątpienia najlepszy polski podręcznik psychologiczny.

W takim skrócie niełatwo wyrazić wszystko z całkowitą ścisłością filozoficzną. Tak np. sprecyzowaćby trzeba określenie duszy (str. 3), wyrażenia o objektywności przestrzeni i czasu (str. 8, 10), podkreślić wyraźniej rolę mózgu przy myśleniu (str. 14 i 25), wyjaśnić lepiej wyrażenie: myśl to funkcja organizacyjna (str. 135) a: pojęcie — to rozumienie (str. 144). Będzie to już rzeczą wykładowcy, który, mając tak szczęśliwy podręcznik i odpowiednie własne przygotowanie, wtajemniczy uczniów dobrze w „początki" wiedzy psychologicznej. Słusznie zaznacza autor w Przedmowie, że podręcznik ten oddać może znaczne usługi również zakładom kształcenia nauczycieli, szkołom handlowym, instytutom teologicznym i tym słuchaczom szkół akademickich, którzy studjują psychologję, jako przedmiot poboczny.

Ks. Fr. Kwiatkowski.

Dr. Tihamér Tóth: Młodzieniec z charakterem. Z piątego węg. wydania przełożyła Hr. E. Esterházy. Wyd. Księży Jezuitów 1933. Str. 396.

Znany niegdyś kierownik stowaszyszeń młodzieży, dziś rektor centralnego seminarjum duchownego w Budapeszcie, Dr. T. Tóth, wydał już kilka tomików, które w formie „listów do młodych" omawiają różne strony moralnego i religijnego życia uczniów szkół średnich i wyższych. Do tej serji należy i niniejszy tomik, świeżo przyswojony polskiemu językowi przez Hr. Elżb. Esterházy. Rzecz ta jest nadzwyczaj cennym nabytkiem do naszej literatury młodzieńczej. Autor posiada w niepospolitym stopniu znajomość dusz i życia młodzieży, a ma zupełnie wyjątkowy talent pisania lekko, a praktycznie, sugestywnie i przekonywująco. Żadnego moralizowania, niewiele rozumowań, ale zato niezliczona ilość przykładów, barwnych opowiadań, doskonale dobranych a działających na całą psychikę chłopców, obrazków. Bez żadnego systematycznego rozkładu, znajdzie się w tej książeczce pod interesującemi, nieraz intrygującemi nagłówkami literalnie wszystko, co może dopomóc do wyrobienia w młodym chłopcu dzielnego, prawego charakteru.

Wszystkie wady tego wieku są łagodnie a trafnie wytknięte; wszystkie potrzebne cnoty wybornie zalecone: pracowitość, prawdomowność, porządek, posłuszeństwo, pobożność, czystość, odwaga przekonań i t. d. i t. d. Możnaby powiedzieć, że niczego tu nie brakuje, co może młodą duszę uszlachetnić, umocnić, uzacnić, pożyteczną uczynić. A wszystko tak podane, że niejako samo wchodzi do serca; niczem nie zraża a mimowoli przyciąga. Miałoby się ochotę dać tę książkę każdemu chłopcu między 13 a 16 rokiem życia, by w przełomowych latach była mu wiernym towarzyszem i przewodnikiem. Jeżeli jednak należy się wdzięczność autorowi, to duża jej część powinna skierować się i do tłumaczki. Zasłużyła się bowiem polskiej młodzieży nietylko przez myśl przyswojenia naszemu językowi tej wybornej pracy i przez zupełnie dobre wykonanie tego przedsięwzięcia, ale zwłaszcza przez to, że z ogromną umiejętnością zastąpiła prawie wszystkie węgierskie i niemieckie cytaty odpowiedniemi polskiemi i potrafiła nadać polski charakter ustępom, które miały zbyt obcy nastrój. Na wstępie też dodała kilka słów ciepłego wspomnienia o swym ojcu, niezapomnianym Hr. Stanisławie Tarnowskim.

Ks. J. Rostworowski T. J.

Hermann Muckermann: Vererbung und Auslese. Wyd. 16. Freiburg im Breisgau 1933, Herder. Str. XVI+300 (br. 4 M. opr. 5. 20.).

Książka powyższa stanowi pierwszy tom popularno-naukowej pracy p. t. *Kind und Volk*, zajmującej się kwestją ludnościową, a w szczególności sprawą eugeniki. Smutny posiew wojny światowej, która pozbawiła życia miljony najdzielniejszych ludzi, a pozostawiła słabszych i eugenicznie mniej wartościowych, budzi poważne obawy na przyszłość i każe szukać środków ratunku. Autor maluje jaskrawo ten stan rzeczy w Niemczech i pomiędzy środkami zaradczemi wskazuje na potrzebę zahamowania rozrodu dziedzicznie silnie obciążonych, a wzmożenia go u fizycznie i moralnie zdrowych.

Powyższy plan, będący streszczeniem nakazów eugeniki negatywnej i pozytywnej, uzasadnia autor naukowo. Po wcale dokładnem zilustrowaniu obecnego stanu ludnościowego w Niemczech, poświęca sporo miejsca zestawieniu wyników badań w zakresie dziedziczności, zwłaszcza ze stanowiska biologicznego i lekarskiego, poczem kończy wnioskami w kierunku akcji ochronnej i zapobiegawczej nad małżeństwem i rodziną. Uwagi jego posiadają tem większą wartość, że autor jest specjalistą w dziedzinie tego przedmiotu i kierownikiem oddziału eugenicznego w *Kaiser Wilhelm-Institut für Anthropologie, menschliche Erblehre und Eugenik* w Berlinie. W ciągu całej swej pracy stara się również wykazywać wszędzie zgodność między postulatami eugeniki a katolickiej moralności; jedynie w kwestji sterylizacji jest mu ta rzecz teoretycznie mniej jasną. W każdym razie książkę jego

można szczerze polecić, rzuca ona wiele światła na poruszone zagadnienia, wskazuje na związek, jaki zachodzi pomiędzy wymogami biologicznemi a moralnemi, w życiu jednostki, rodziny i społeczeństwa. *Ks. St. Podoleński.*

Marjan Manteuffel: Kapitalizm, socjalizm i katolicka doktryna społeczno-ekonomiczna na tle katastrofy świata. Warszawa, Hoesick, 1933, str. 164.

Niniejsze dziełko wypłynęło ze szlachetnego zamiaru zaradzenia w pewnej mierze tej wielkiej nieznajomości społeczno-ekonomicznych zasad katolickich, jaka panuje u nas, nawet w kołach ludzi, niedaleko stojących od Kościoła. Do tego celu zmierza autor nie przez ścisły wykład, ale raczej przez luźne rozważania, któremi stara się wielki problem oświetlić czyto w jego głębokich podstawach czy w treści i konsekwencjach zawartych w nim zagadnień. Rzuciwszy na wstępie, jakby tło całej pracy, obraz wojennej katastrofy i idącego za nią kryzysu, omawia M. Manteuffel najpierw dwa skrajne systemy kapitalizmu i socjalizmu, potem przechodzi do wyjaśnienia założeń katolickiej nauki społeczno-ekonomicznej. Wśród nich traktuje w osobnych rozdziałach najpierw podstawowy dogmat grzechu pierworodnego, potem potrzebę religijnego ujmowania zjawisk, nawet materjalnego życia, dalej ogólną kwestję własności, wzajemnego stosunku przyrody do pracy i kapitału, wreszcie szczegółowe zagadnienia sprawiedliwej płacy, konkurencji, interwencji państwa, strajku, bojkotu i zadań społecznych organizacyj zawodowych. Następuje streszczenie encykliki Leona XIII o chrześcijańskim ustroju państw, reasumpcja i wnioski, a wreszcie pobieżny rzut oka na główniejszych działaczy katolicko-społecznych.

Całość owiana jest bardzo szlachetnym duchem głębokiej wiary, przywiązania do Kościoła, szczerej miłości bliźniego. I pod tym względem może ta książka zrobić dużo dobrego. Jeżeli chodzi o myślową strukturę, pozostawia ona niestety bardzo wiele do życzenia. Autor niejedno czytał, nad wielu problemami, jakie porusza, widocznie się zastanawiał, ale nie przeszedł w tej mierze żadnej szkoły, stąd zbywa mu na koniecznej ścisłości i logicznem powiązaniu myśli. Ani kapitalizm, ani socjalizm, ani nauka katolicka nie są oświetlone należycie. Raz po raz zamazują się kontury definicyj i rozumowań; nie dość jasno rysuje się wątek myśli, nie widać koniecznego w tym przedmiocie rozróżnienia rzeczy pewnych od takich, które są dopiero w stadjum powolnej krystalizacji pojęć. Stąd nie mam wrażenia, żeby ktoś z tej książki mógł odnieść rzeczywisty myślowy pożytek. Liczne cytaty też nie wiele w tej mierze pomogą, bo są zupełnie ogólne, bez podania stron i rozdziałów, a czasem nawet wątpliwe. Niemile też uderza fatalna korekta. Praca formalnie roi się od błędów drukarskich. *Ks. Jan Rostworowski.*

Feliks Rapf: Park narodowy w Pieninach. Wyd. Polskiego T-wa Tatrzańskiego, oddziału „Beskid" w N. Sączu i Tarnowie, str. 125, cena zł. 2·20.

Książeczka ta, w kieszonkowym formacie, ładnie ozdobiona i opatrzona mapką Pienin, jest zarazem przewodnikiem turystycznym po najbardziej uroczym zakątku naszego kraju i pouczeniem o znaczeniu naukowem „parku narodowego", założonego w Pieninach. Zarówno turyści zwyczajni, jak młodzież, poświęcająca się badaniu przyrody, przyjmą z wdzięcznością to opracowanie, odznaczające się gruntownością i przejrzystością.

J. U.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem różnych.

Stephan Berghoff, Pfarrer: Ein Gang durch Evangelium. 50 nichtperikop. Sonntagspredigten über Christus. 2 Aufl. Freiburg im Breisgau 1933, Herder. St. VIII+270 (brosz. 2.80 M. kart. 3.40 M. opr. 4 M.

Rose Oldenbourg: „Ich" Ein Gottesbeweis. Den Un-glaubengenossen von einst gewidmet. Freiburg im Breisgau, Herder 1933. Str. 44. (Kart. 0.80 M.

Marjan Hełm-Pirgo: Grota Stradecka. Opowieść z 17 wieku. Warszawa 1933. Dom Książki Polskiej. Str. 63 z ilustr.

Ks. Pius Pawellek Z. O. M.: Cudowny Medalik. Studjum historyczne. Wyd. 2. Kraków 1932, Wyd. Ks. Misjonarzy. Str. 80 z ilustr.

Dr. H. Lubieniecki: Jak obsadzać profesorskie katedry w uniwersytetach? Kilka uwag. (Odbitka). Poznań 1933. str. 15.

Leon Kruczkowski: Kordjan i Cham. Powieść. Wyd. 2 Warszawa, Gebethner i Wolff. St. 327.

Ks. Dr. Władysław Kłapkowski: Działalność kościelna biskupa Wojciecha Jastrzębca. Warszawa 1932, Nakł. Polsk. Towarzystwa Teolog. („Warszawskie Studja Teolog." t. 5). Str. XIV+122.

Adama Mickiewicza dzieła wszystkie. T. V: Pisma prozaiczne polskie. Cz. I. Str. 472. T. XI: Przemówienia. Str. 544. T. XVI: Rozmowy. Str. 560. Warszawa 1933, nakł. Skarbu Rzpltej Polskiej. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego.

O. Dr. Kazimierz S. Rosenbaiger, Franciszkanin: Dzieje kościoła OO. Franciszkanów w Krakowie w wiekach średnich. Kraków 1933. „Bibljoteka Krakowska" nr. 79. Str. 207 z ilustr.

Dr. Henryk Dembiński: Autonomja celna w najnowszym rozwoju prawa narodów. Kraków 1933, nakł. autora. Str. 200.

Lisbeth Burger: Die Maiers. Familiensorgen und -Freuden. Regensburg. Friedr. Pustet. Str. 144.

Kłosy z Bożej roli. Krótkie żywoty ilustrowane. Wyd. perjod. in 16°, str. 32. rocznie 2·50 zł. Warszawa. wyd. Salezjańskie.

Stanisław Tworkowski; Podniebny lot. Życiorys i pamiętnik polskiego lotnika, Antoniego Scheur'a. Poznań 1933, Spółka Akc. „Ostoja". Str. VIII+171 z ilustr. (3·20 zł.).

Bolesław Roja: Legjoniści w Karpatach. Warszawa 1933, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy. Str. 447, liczne ilustracje i mapy.

Ks. Józef Smołka: Pedologja. Podręcznik dla wychowawców. Kolbuszowa 1933, str. 169.

Ks. Dr. Urban Atanazy Fic Z. K.: Syjon, miasto Dawidowe w świetle tekstów i wykopalisk. Lwów 1933, wydawnictwo OO. Dominikanów, str. XII+212, 75 rycin i 3 mapki.

Ks. Dr. Franciszek Śmidoda: Sprawy dziesięciu w trybunale koronnym w latach 1578—1589. Nakł. Polskiego Twa Teolog. Warszawa 1933, str. XVII+126.

Ks Biskup Michał Godlewski: Parę nieznanych stronic z życia Marcelego Gutkowskiego, biskupa podlaskiego. Odbitka z *Ateneum Kapłańskiego*, Włocławek 1933, str. 49.

Ks. Dr. Józef Zdanowski: Okazy cechowe Kieleckiego Muzeum diecezjalnego. Kielce 1932, str. 9 i 5 rycin.

Tomasz Piskorski: Komitet wychowania narodowego młodzieży polskiej z zagranicy Wyd. Rady Organizacyjnej Polaków z zagranicy. Warszawa 1933, str. 83.

Zygmunt Falkowski: Cyprjan Norwid. Portret ogólny. Słowo wstępne St. Pigonia. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1933, str. 252.

H. Daniel-Rops: Dusza w mroku. Powieść. Przekład J. Makarczyka. Wyd. Gebethnera i Wolffa, 1933, str. 432.

Edmund Szyszko: Ożywienie gospodarcze przez realizację waluty wewnętrznej w obrębie gmin miejskich. Warszawa 1933, str. 7.

Nikolaj Gumilev: Vybor z dila. (Sbornik Svetove poesié). Wyd. Czeska Akademie Ved a Uméni. Nakladatelstvi J. Otto. Sp. Praha 1933, str. 102.

Księga życzeń na zaręczyny, wesela, chrzciny, jubileusze etc. Zebrał i ułożył Eustachy Sławiński. Tczew-Pelplin, 1933, str. 159.

O. Dr. Wacław Sadok Maćkowiak: Die ethische Beurteilung der Notlüge. „Studia Gnesnensia" Gniezno 1933, str. VIII+168.

O. Halecki: La Pologne da 963 è 1914. Essai de synthèse historique. Paris, libr. Felix Alcan, 1933, str. XV+348.

Dr. Zygmunt Mysłakowski: Pedagogika, jej metody i miejsce w systemie nauk. Nakł. „Naszej Księgarni" Związku naucz. pol. Warszawa 1933, str. 23.

Dr. Samuel Stendig: Odrodzenie hebraizmu w fazie dzisiejszej. Kraków 1933, str. 23.

Niech żyje Chrystus Król. Rekolekcje radości. Wydawn. Dzieła Matki B. powołań. Wilno 1933, str. 63.

Ks. Mateusz Jeż: U stóp Najśw. Sakramentu. Iskierki eucharystyczne (wiersze). Kraków 1933, str. 117.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Hiszpański *Kulturkampf.* — Nowe prawo o kongregacjach. — Encyklika papieska i orędzie episkopatu. — Zapowiedzi katolickiej reakcji.

Przed paru miesiącami republikański rząd Azany przedłożył Kortezom projekt prawa, regulującego stosunek hiszpańskiej republiki do Kościoła. Po długich i namiętnych debatach projekt ten został przyjęty i uchwalony 18 maja, 278 głosami stronnictw rządowych, przy poparciu radykałów; przeciw projektowi głosowała solidarnie cała prawica oraz nieliczne grupki innych stronnictw opozycyjnych (łącznie głosów 50).

W kilka dni później na łamach madryckiego dziennika *El Debate*, pojawił się patetyczny list otwarty, skierowany przez sekretarjat hiszpańskich stowarzyszeń religijnych pod adresem prezydenta hiszpańskiej republiki, Zamory. „Na mocy prawa o kongregacjach religijnych — czytamy w tym liście, — mogą wyznawcy religji żydowskiej, mahometańskiej i buddyjskiej poświęcać się nauczaniu w szkole, wzbronione to jest tylko wyznawcom religji, ustanowionej przez Chrystusa Pana. Zezwala się marksistom i bezbożnikom budować szkoły, zakazanem jest to synom słynnych Hiszpanów: św. Dominika, św. Ignacego, św. Teresy, św. Józefa Kalasantego i tylu innych założycieli zakonów. Jeśli nowa tyranja, podobna do rzymskiej, zepchnie nas do katakumb i powiedzie na śmierć męczeńską, pójdziemy drogą, którą kroczyli pierwsi chrześcijanie i męczennicy. Przedtem jednak, jako obywatele sławnej Hiszpanji, chcemy skorzystać z prawa petycji, które nam przysługuje na mocy art. 35 konstytucji i zapytać p. Prezydenta, czy nie zechce skorzystać z przywileju, który mu daje art. 83, aby prawo o kongregacjach ponownie przedłożyć w Kortezach i umożliwić jego omówienie w obecności należnej ilości przedstawicieli narodu? Odwołu-

jemy się do sumienia Waszej Ekscelencji jako katolika, prawnika i naczelnika narodu, który w większości należy do wiary katolickiej. Milczenie Waszej Ekscelencji osądzi Bóg!"

Zkolei 25 maja hiszpański episkopat ogłosił zbiorowy list pasterski, w którym piętnuje z całą mocą i heroiczną odwagą bezbożne prawo uchwalone przez Kortezy. Pod datą 3 czerwca opublikowały dzienniki: *La Epoca, El Debate, Diario de Barcelona, El Mati* pełny tekst tego zbiorowego orędzia.

Wreszcie 4 czerwca zabrał głos Ojciec chrześcijaństwa Pius XI i w obszernej encyklice *Dilectissima nobis* dał wyraz uczuciom serdecznego bólu i zdecydowanego protestu, wobec tak jawnego gwałtu i bezbożnego zamachu na byt Kościoła w katolickiej Hiszpanji. Tekst łaciński tej encykliki ogłosił 4. VI *Osservatore Romano*, a słowa Papieża wywołały głośne echo w całym katolickim świecie.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż te kolejne protesty, rosnące w skali dramatycznego napięcia i siły, miały na celu nietylko napiętnowanie bezprzykładnego gwałtu, narzuconego katolickiej ludności przez drobną grupę dzierżących władzę fanatyków laicyzmu, ale obliczone one były nadto na wywarcie moralnego nacisku na prezydenta Zamorę, by odmówił podpisu na uchwalone przez Kortezy prawo.

Nadzieja okazała się płonną. Zamora, katolik, prawnik, naczelnik katolickiego narodu, nie poszedł za głosem katolickiej opinji. Zwlekał wprawdzie z podpisem kilkanaście dni, ulegał już, jak się zdawało, naciskowi katolickich sfer i namowom członków swej najbliższej rodziny, ostatecznie jednak uchwałę Kortezów podpisał dnia 2 czerwca, a projekt ustawy antykościelnej stał się obowiązującem prawem. Zamora nie uląkł się Bożego sądu, do którego apelował głos katolickiej opinji, — bardziej przeraził go nacisk masonów, którzy są panami sytuacji na iberyjskim półwyspie i solidarnie skrzyknęli się do zaciętej obrony prawa, którego są wyłącznymi autorami.

Już przed kilku laty, w czasie międzynarodowego zebrania masonerji w Paryżu, delegat hiszpański wieścił bliskie zwycięstwo rewolucji. Podczas majowego posiedzenia Kortezów masońska prasa głosiła hasło, iż „ustawa o kongregacjach jest jednem z najważniejszych dzieł republiki", iż „należy natychmiast zamknąć wszystkie kolegja zakonne". Tuż przed debatą parlamentarną nad wspomnianą ustawą okólnik masoński wezwał wszystkich członków lóż do solidarnego głosowania za projektem prawa. Wszak projekt ten był tylko urzeczywistnieniem programu, który przyjęto na generalnem zgromadzeniu wielkiej loży hiszpańskiej w dniach

23—25 maja 1931 r. Zgromadzenie uchwaliło wówczas zaprowadzić neutralną i obowiązkową szkołę jednolitą, podporządkować zgromadzenia religijne ustawie, dotyczącej zakonów, wreszcie sforsować całkowity rozdział Kościoła od państwa. Na zebraniu tejże loży w dniu 20 lutego 1932 r. postanowiono, iż „przełożeni lóż pouczą swoich braci, że powinni oddawać się działalności publicznej i że pod przysięgą obowiązani są normować swoje postępowanie w duchu wolnomularskim". Ten suwerenny nacisk lóż osiągnął pełne powodzenie, kiedy nawet radykali — skłóceni z socjalistami — wobec antykościelnej ustawy cofnęli swój sprzeciw i pozwolili na sforsowanie projektu masońskiego prawa.

Bez żadnej zatem przesady uchwalone prawo o kongregacjach można i trzeba nazwać dziełem hiszpańskiej masonerji, na której wzmożoną działalność odważnie zwracali uwagę od kilku lat Jezuici i dlatego też pierwsi padli ofiarą nienawiści wolnomularstwa.

Zresztą sama treść uchwalonego prawa usuwa wszelkie złudzenia co do jego tendencji. Z punktu bowiem widzenia prawnego uchwalone przez Kortezy prawo jest zsumowanym gwałtem przeciw prawu naturalnemu, Bożemu i kościelnemu, sprzeciwia się nadto wyraźnie duchowi hiszpańskiej konstytucji.

I tak zaprowadzony przez nową ustawę rozdział Kościoła od państwa jest brutalnem pogwałceniem elementarnych praw wolności i całkowicie wydaje Kościół na łup państwowych zachcianek. Wszak zaznaczono wyraźnie, iż tylko prawo państwowe ma regulować wszelkie zagadnienia kościelne (art. 1). Kościołowi wolno się rządzić swojemi prawami tylko o tyle, o ile prawa te są uznane przez przepisy państwowe (art. 8). Państwo zastrzega sobie prawo nieuznawania władz, zamianowanych przez Kościół (art. 7). Ograniczono wszelkie publiczne manifestacje religijnego kultu, domagając się specjalnego i każdorazowego zezwolenia władz cywilnych nietylko na urządzanie procesyj, ale nawet na odbycie kościelnego pogrzebu czy udzielenie ostatnich sakramentów dla umierających (art. 3) Poza tem prawo gwarantuje wolność sumienia i religijnego kultu wyłącznie w obrębie murów świątyni.

Zakony i zgromadzenia zakonne podlegają ingerencji oraz kontroli władz cywilnych w rzeczach tak istotnych jak reguły i cel zakonu, mianowanie przełożonych, posiadanie dóbr i t. d. (art. 26). Nad zgromadzeniami zakonnemi rozciąga państwo wprost tyrańską kontrolę; wystarczy podejrzenie o antypaństwową działalność, by zamknąć i zlikwidować domy zakonne; co więcej, Kortezom zastrzeżono władzę rozwiązywania całych zgromadzeń zakonnych

(art. 23). Czyż można się dziwić, iż przy takiem nastawieniu nie zapomniano o podcięciu materjalnego bytu zgromadzeń, iż dochody ograniczono do minimum, a wszelkie prawo posiadania poddano państwowej decyzji (art. 27). Nad przyznanemi zakonom resztkami legalnie nabytych czy otrzymanych dóbr, państwo rozciągnie drobiazgową kontrolę, a każdy dom zakonny jest zobowiązany do przedstawiania rok rocznie całej księgowości administracyjnym organom państwowym (art. 25).

Czemżeż tłumaczyć należy tę niesamowitą tyranję, która sabotuje bezwzględnie samo życie zakonne, a równocześnie stroi się w pozory religijnej tolerancji? Tylko zdecydowana nienawiść do Kościoła katolickiego, którego przednią straż stanowią właśnie zakony, może wyjaśnić zapędy tak fanatycznego sektaryzmu.

Zrywając z całą przeszłością historyczną katolickiego narodu, garść masonów wypowiada walkę Kościołowi, z którym najściślej związane są najpiękniejsze karty historji i dziejowego znaczenia Hiszpanji. Usiłuje się pozbawić Kościół nawet tych elementarnych przywilejów, z których korzysta każde prywatne stowarzyszenie. Likwidując całą przeszłość, państwo zagarnia bezprawnym aktem wszystkie dobra kościelne (art. 11); pozbawiając Kościół prawa wszelkiej własności, przyznaje mu tylko używanie tych dóbr dla celów religijnego kultu i to do chwili, w której państwo zdecyduje o przeznaczeniu tych dóbr, obracając je nawet na zupełnie inne cele i to bez jakiegokolwiek odszkodowania (art. 12). Trzeba przytem podkreślić z naciskiem, iż prawo to dotyczy wyłącznie Kościoła katolickiego, z pominięciem wszelkich innych wyznań. Niedość tego, posunięto się nawet do ograniczenia na przyszłość praw Kościoła, znowu tylko katolickiego, w nabywaniu dóbr ruchomych, jak naczyń i paramentów kościelnych, służących do religijnego kultu (art. 19). Odtąd będzie można prawnie zepchnąć kościoły katolickie na brzeg skrajnej nędzy i uniemożliwić wszelką działalność charytatywną. Rysuje się spontanicznie pytanie, czy przy tak daleko posuniętych ograniczeniach pozostaje jeszcze Kościołowi jakakolwiek osobowość prawna? Wszak nie wolno instytucjom kościelnym przyjmować żadnych ofiar ani legatów od wiernych, a równocześnie cofnięto wszelkie zapomogi i świadczenia rządowe i samorządowe (art. 10), nałożono nadto podatki za używanie gmachów, seminarjów i klasztorów, z których rząd pozwolił narazie korzystać Kościołowi czy zgromadzeniom zakonnym (art. 12). Cały więc byt materjalny wszelkich zakładów kościelnych i całego duchowieństwa jest zdany na łaskę lub niełaskę rządu; zagroziwszy materjalną nędzą... można tem śmielej dyktować warunki.

Z tych paru cytatów nowego prawa łatwo zrozumieć, jak głęboki musi nastąpić przewrót w losach Kościoła w Hiszpanji. Jest to doszczętne pogrzebanie konkordatu z r. 1851, w którym państwo przyznało „Kościołowi i zakonom pełną osobowość prawną i zobowiązało się do poszanowania całkowitej ich wolności w działaniu i posiadaniu. Po ogłoszeniu republiki, konkordat ten nie został oficjalnie zerwany. Prowizoryczny rząd republikański uznał go nawet pośrednio, ogłaszając w statucie prawnym, iż „uszanuje bezględnie wolność wyznań i religijnego kultu". 15 kwietnia r. 1931, a więc nazajutrz po ogłoszeniu republiki, czynniki rządowe za pośrednictwem nuncjusza zapewniły Stolicę Apost., iż uszanują osoby i rzeczy Kościoła; zasada ta miała się stać podstawą do dalszych wzajemnych rokowań. I oto nowe prawo staje się jaskrawem pogwałceniem wszelkich poprzednich zobowiązań i uroczystych przyrzeczeń.

Artykuł 7 nowej konstytucji hiszpańskiej gwarantuje, iż „państwo hiszpańskie przejmie powszechne zasady międzynarodowego prawa i wcieli je w swoje pozytywne ustawodawstwo". Tymczasem jedna z uchwał Międzynarodowej Akademji Dyplomatycznej głosi wyraźnie, iż „wszyscy mieszkańcy danego państwa mają prawo ze strony rządu do pełnej i całkowitej ochrony tak ich życia jak i wolności. Wszyscy obywatele są równi wobec prawa... bez względu na swoją rasę, język czy religję". Zresztą art. 27 hiszpańskiej konstytucji zapewnia i „wolność sumienia i prawo do wyznawania oraz swobodnego praktykowania jakiejkolwiek religji na hiszpańskiem terytorjum". Artykuły 33 i 39 głoszą, iż „każdy może swobodnie wybrać swe zajęcie (swój stan), iż Hiszpanie będą mogli swobodnie stowarzyszać się i tworzyć syndykaty, stosownie do celów życia ludzkiego".

Nowa zatem staje przed nami zagadka..., jak pogodzić uchwalone przez Kortezy prawo, nietylko z zasadami prawa międzynarodowego, ale i samej konstytucji hiszpańskiej?

Konstytuanta Kortezów nie troszczy się o te szczegóły, gdyż pod naciskiem masonerji dąży przedewszystkiem do wychowania nowych pokoleń w duchu wrogiego wszelkiej religijności marksizmu. W funkcji tej zasady, łatwo też zrozumieć, dlaczego nowe prawo zwróciło całe swe ostrze w kierunku usunięcia z pod wpływów Kościoła przedewszystkiem dobroczynności publicznej, oraz wychowania młodzieży.

Wiadomo, iż w Hiszpanji dobroczynność publiczna stanowiła prawie wyłącznie domenę Kościoła i inicjatywy prywatnej. Otóż nowe prawo (art. 21, § 4) zastrzega rządowi możność „przystosowania zakładów kościelnej dobroczynności do nowych potrzeb społecznych". Znaczy to w języku

potocznym, iż rząd może na miejsce zakonników i zakonnic wprowadzić personel świecki we wszystkich zakładach, pozostających dotychczas pod zarządem Kościoła. Świeccy ochroniarze i ochroniarki, higjeniści i higjenistki, personel świecki i płatny ma zastąpić tych, którzy z zamiłowania i z powołania poświęcili swe życie ideałom chrześcijańskiego miłosierdzia.

Laicyzować! — oto naczelne hasło, które jednak nie stwarza tem samem możliwości praktycznego rozwiązania. Niech przemówią cyfry. Jedno tylko zgromadzenie zakonne Sióstr Ubogich roztacza opiekę nad 14 tysiącami starców. Inne zgromadzenie Sióstr Szpitalnych pielęgnuje w swych zakładach 5000 obłąkanych. Według protestu, wniesionego przez związek katolickich lekarzy hiszpańskich przeciw nowemu prawu, a umotywowanego względami czysto humanitarnemi, zastosowanie nowego prawa pozbawi opieki 350 tysięcy chorych, 18 tysięcy obłąkanych, 15 tysięcy kalek — pensjonarjuszy zakładów i instytucyj zakonnych.

Zastępując pensją powołanie, a kursami ideał zakonnego poświęcenia, doprowadzi się bezwątpienia i w tych zakładach do dantejskich scen, które rozegrały się i rozgrywają w szpitalu dla trędowatych w Fontilles, gdzie po wypędzeniu Jezuitów życie nieszczęśliwych chorych stało się katorgą.

Jakąż zresztą korzyść odniesie państwo z tej zamiany? Wszak już zestawiono bilans kosztów, które spadną na rząd po wypędzeniu zakonnic. Każda z nich otrzymywała wynagrodzenie półtorej pesety za 16-sto godzinny dzień pracy. Personel świecki musi otrzymać conajmniej 8 pesetów za 8 godzin pracy. A gdzież strona moralna tego zagadnienia?

Jeszcze tragiczniej przedstawia się sytuacja w szkolnictwie. Nowe prawo (art. 30), wbrew zasadom konstytucji republikańskiej (art. 34), odbiera zgromadzeniom zakonnym prawo nauczania, gwałcąc tem samem wolność obywateli w wyborze wychowawców i nauczycieli swej dziatwy. Od 1 października b. r. wszyscy zakonnicy i zakonnice mają ustąpić ze szkolnictwa średniego, choćby posiadali wszelkie wymagane przez państwo kwalifikacje naukowe. Przynależność do zgromadzenia zakonnego jest zasadniczą przeszkodą. Ta sama reforma obejmie szkoły powszechne z dniem 31 grudnia.

I znowu warto przypomnieć ważniejsze cyfry. Uchwalone prawo szkolne dotknie następujące kategorje uczniów, uczęszczających do wyznaniowych szkół zakonnych. W szkołach powszechnych uczyło się 601.950 uczniów; w szkołach wieczorowych 24.041; w ochronkach 25.000; w domach poprawczych 4.943; w szkołach zawodowych 17.103; w szkol-

nictwie średniem 27.000; zatem w całości 699.837 uczniów i uczennic. Gdzież znajdą się obecnie szkoły, nauczyciele i nauczycielki dla tej armji katolickiej młodzieży? Być może, iż rząd łudzi się, że dotychczasowy personel zakonny poprowadzi dalej, do czasu, szkolną naukę, czekając spokojnie na kolejne redukowanie, w miarę napływu sił świeckich? A może postanowiono już zaimprowizować w najbliższych miesiącach setki i tysiące wolnomyślnych pedagogów, zdecydowanych na zrealizowanie planów wolnomyślnego wychowania? O tego rodzaju karjerowiczów ideowych nie będzie wprawdzie zbyt trudno, tylko, że chyba masońskie nastroje zastąpią potrzebne dyplomy i naukowe kwalifikacje. Jak z tego widać, przeprowadzenie reformy szkolnej, podyktowanej nowem prawem, zakrawa na komiczną groteskę, a jedno tylko jest pewne, mianowicie fanatyczny sektaryzm reformatorów, którym chodzi o jak najszybsze usunięcie młodzieży z pod wpływów Kościoła. Kwestja jest tylko, jak katoliccy rodzice zareagują na takie rozwiązanie zagadnienia.

Hiszpańska masonerja usiłuje zerwać z całą przeszłością narodowej tradycji. Tyranją prawną chce steroryzować olbrzymią katolicką większość. Nie wątpimy jednak, iż triumf ten nie potrwa długo.

Już kwietniowe wybory, przeprowadzone w 10 tysiącach hiszpańskich gmin, przejęły trwogą masońską oligarchję. Stronnictwa rządowe (socjaliści, radykalni socjaliści i aktywni republikanie) zdobyły zaledwie 5200 placówek, podczas gdy opozycja republikańska (radykali i konserwatyści) uzyskała 4200 placówek, zaś opozycja prawicowa zdobyła 5000 mandatów. W zarządach zatem gmin rząd znalazł się w groźnej mniejszości. Takie wyniki wyborów zawdzięczyć należy w znacznej mierze faktowi, iż po raz pierwszy wzięły w nich udział kobiety. Nie ulega również wątpliwości, że i wybory do Kortezów wypadłyby obecnie dla partji rządowej fatalnie.

W tej chwili wchodzi jeszcze w grę zdecydowane stanowisko hiszpańskiego episkopatu, poparte tak dobitnie ostatnią encykliką Papieża. Zarówno Papież jak i biskupi potępiają w słowach odważnych i mocnych ostatni wybryk prawodawczy, zwrócony przeciw Kościołowi; biskupi zapowiadają nawet bezwzględną walkę i grożą najwyższemi karami kościelnemi tym wszystkim, którzy odważyliby się wziąć udział w antykościelnej kampanji, zapoczątkowanej uchwaleniem nowego prawa o kongregacjach.

Onieśmielenie szerokich katolickich warstw, zaskoczonych z początku antykościelnym radykalizmem Azany i jego rządu, mija bezpowrotnie. Poczucie doznanej krzywdy, oraz zranionej w najświętszych uczuciach narodowej dumy ogarnia cały kraj; bo jeśli kto, to chyba katolicy przez wzgląd

na swą całkowitą lojalność wobec republikańskich rządów nie zasłużyli sobie na to, by ich potraktowano w ten sposób.

Wymownie podkreśla ten fakt papieska encyklika. Ojciec św. zastrzega się wyraźnie, iż nie chodzi mu bynajmniej o przeciwstawianie się politycznym reformom; Kościół bowiem zgadza się na wszelkie formy rządów i wszelką organizację świeckiej władzy, zastrzegając tylko, by „zachowano prawa należne Bogu i chrześcijańskiemu sumieniu". Że takiem jest stanowisko Kościoła, dowodzą liczne konkordaty, zawarte przez Stolicę św. z wieloma, powstałemi po wojnie republikami, które osiągnęły w ten sposób liczne i cenne dla siebie korzyści. Rząd hiszpański wie doskonale, iż Stolica św., episkopat, duchowieństwo świeckie i zakonne, oraz olbrzymie masy świeckich Hiszpanów — gotowi są wszyscy dopomóc do utrzymania ładu i spokoju społecznego. Fakty wykazały również, jak, pomimo prowokacyj ze strony przeciwników Kościoła i idących w ślad za niemi zamieszek rewolucyjnych, katolicy nie chwycili za broń i można było uniknąć większych niepokojów i wojny domowej tylko dzięki duchowi karności i pusłuszeństwa względem władz, płynącemu z nauki Kościoła. Walki zatem z Kościołem nie można żadną miarą tłumaczyć koniecznością ochrony republiki, lecz trzeba ją przypisać nie tyle niezrozumieniu wiary katolickiej i dobrodziejstw jej organizacji — ile raczej nienawiści, jaką żywią przeciw Chrystusowi tajne organizacje, pragnące wywrócić wszelki porządek religijny i społeczny, jak to ma miejsce w Meksyku i w Rosji. Przechodząc kolejno wszystkie ważniejsze punkty nowego prawa o kongregacjach, Papież piętnuje z mocą te wszystkie zasady, z których wypłynęły nowe antykościelne uchwały. Wreszcie, powołując się na obowiązek sumienia, prawo to uroczyście potępia i stwierdza, że nie ma ono żadnego znaczenia wobec nienaruszalnych praw katolickiego Kościoła. Wszystkich zaś katolików hiszpańskich wzywa Ojciec św., by zaniechawszy wszelkich tarć i osobistych aspiracyj, zjednoczyli się karnie dla obrony dobra wyższego, mianowicie ojczyzny i wiary, by dołożyli wszelkich starań, aby zażegnać niebezpieczeństwa grożące przyszłości narodu.

Wrażenie, jakie wywarła encyklika papieska oraz zbiorowe orędzie episkopatu, jest w Hiszpanji olbrzymie. 300.000 egz. encykliki rozchwytano w jednym dniu. Już teraz katolicy pod wodzą episkopatu domagają się bezwzględnie obalenia niesprawiedliwego prawa i przygotowują energicznie odpowiednie w tym kierunku kroki.

Trudno dziś jeszcze przewidzieć, jaki obrót weźmie akcja episkopatu i jak się do niej ustosunkuje ponownie

sformowany przez Azanę rząd. Jesteśmy jednak pewni, iż niedaleka przyszłość przyniesie pełne odrodzenie i tak konieczne zorganizowanie katolicyzmu w Hiszpanji. Choćby zresztą rząd nie zechciał cofnąć się z raz zajętych pozycyj, to w najlepszym razie antykościelne prawo, — uchwalone przez posłuszne masonerji Kortezy, a podpisane przez chwiejnego „katolika", prezydenta Zamorę, — czeka los, jakiego doczekała się antykościelna reforma Combes'a we Francji. Miała ona zniszczyć katolickie szkolnictwo, rozpędzić zakony, sparaliżować wpływy Kościoła. Dziś po trzydziestu prawie latach widzimy, iż nadzieje Combes'a i jego masońskich braci zawiodły na całej linji. Wprawdzie prawa bezbożnego i jaskrawo nietolerancyjnego dotychczas nie obalono, ale na ziemi francuskiej krzewi się mnóstwo klasztorów, szkoły wyznaniowe więcej nieraz mają uczniów niż zlaicyzowane, państwowe, a w stosunku dyplomacji francuskiej do Watykanu uderza coś więcej niż sztywna kurtuazja. Masoński rząd hiszpański sięgnął w nowej antykościelnej ustawie po stare francuskie wzory, rażące dziś sekciarskim anachronizmem i zdyskredytowane życiem. Choćby więc masońska inkwizycja nie dopuściła chwilowo w Hiszpanji do obalenia niesprawiedliwego prawa o kongregacjach, to wyrażamy niezłomne przekonanie, iż samo życie rozprawi się z niem zwycięsko. Pomimo tego prawa i przeciw niemu rozwinie się wzmocniony, bo prześladowaniem zahartowany, oraz pogłębiony, katolicyzm. W tej bolesnej dla katolików hiszpańskich chwili wieścimy niedaleki renesans katolickiego życia na iberyjskim półwyspie.

Wobec zaś historji zostanie nowy dokument, jaką to tolerancję religijną umie stosować w praktyce fanatyczny sektaryzm, gdy tylko, choćby na chwilę, sięgnie po najwyższą władzę. Wypadki hiszpańskie powinny skłonić wolnomyślicieli i wszelkich „obrońców praw człowieka" do głębokiej i lojalnej refleksji. Czas na zerwanie maski obłudy, którą się okrywa międzynarodowa masonerja. Trzeba sobie uświadomić fakt, iż nie dobro narodu, nie pomyślność państwa, jest główną sprężyną jej poczynań, ale nienawiść do katolickiego Kościoła. Wyświechtane frazesy o poszanowaniu religji i wolności sumienia, o pogłębianiu religijnego życia przy równoczesnej walce z klerem i katolickiemi organizacjami, o sprzeczności interesów państwa i Kościoła — są tylko międzynarodowym refrenem, wymyślonym przez międzynarodową masonerję. Hiszpański *Kulturkampf* daje tego nowy a wymowny dowód.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

Kronika gospodarcza.

Inflacja i dewaluacja ekonomistów. — Zjazd gospodarczy B. B. W. R. — Załamanie się kursu dolara. — Płatność długów politycznych S. Z. A. P. — Międzynarodowa konferencja monetarna i ekonomiczna w Londynie. — Niewypłacalność Niemiec. — Konferencja państw rolniczych.

Jest bardzo źle w życiu gospodarczem. Jest aż tak źle, iż występuje coraz to więcej ekonomistów, ukazują się coraz to nowe wydawnictwa, pojawiają się coraz to dziwniejsze projekty naprawy stosunków ekonomicznych i gospodarczego zbawienia świata. Ponoć ongiś za czasów Stańczyka najwięcej było w Polsce a zwłaszcza w Krakowie lekarzy. Wiadomem jest, że stan zdrowotny społeczeństw w ostatnich dziesięcioleciach uległ znacznej poprawie. Skutkiem tego liczba lekarzy jest znacznie mniejsza, natomiast w dziedzinie gospodarczej zauważamy zjawisko wręcz odwrotne.

Wszyscy a zwłaszcza najmniej powołani wygłaszają referaty ekonomiczne, zabierają częstokroć głos w długich wywodach dyskusyjnych, ogłaszają najrozmaitsze czasopisma i książki rzekomo ekonomiczne, w których dochodzą do epokowych odkryć i wynalazków, doszukują się niezwykłych praw gospodarczych, które z łatwością mogliby przeczytać w najelementarniejszym podręczniku ekonomji. Gdyby go tylko przedtem przeczytali.

Ten nawał ekonomistów i ich elukubracyj spowodował, iż prawdziwi ekonomiści nieśmiało milczą, a ogół odnosi się do ekonomji i jej przedstawicieli z niedowierzaniem a nawet co najmniej z dość silną ironją. Widzimy fakt, iż szanujący się ludzie boją się wygłaszać publiczny sąd o wydarzeniach gospodarczych, a zwłaszcza o możliwości ich rozwoju w przyszłości. Jest to stan niewątpliwie niepomyślny, nad którym w omawianiu wydarzeń gospodarczych nie można przejść do porządku dziennego.

W życiu gospodarczem Polski w ubiegłym kwartale najważniejszem wydarzeniem był Zjazd Działaczy gospodarczych i społecznych zwołany przez Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Obradował on w Warszawie w dniach 18, 19 i 20 maja 1933 r. Zaszczycił go swoją obecnością Pan Prezydent Rzeczypospolitej łącznie z członkami Rządu. Zjazd zagaił pułk. Walery Sławek, prezes B. B. W. R.

Głównym celem zjazdu było pobudzenie energji samego społeczeństwa, aby nie czekając ciągle i jedynie na pomoc rządu, samo przełamało przesilenie gospodarcze. Naczelną dewizą zjazdu było hasło dostosowania potrzeb ogółu do niskiej stopy życiowej, oraz danie możności każdemu człowiekowi zapracowania na chleb.

Zasadnicze referaty wygłosili: Wicemin. T. Lechnicki „Wytyczne prac gospodarczych Rządu", min. I. Matuszewski „Gospodarstwo polskie na tle sytuacji światowej", wicemin. wiceprezes

S. Starzyński „Zagadnienie finansowo-gospodarcze Polski". Prace zjazdu zamykały się w dwóch posiedzeniach plenarnych, pięciu komisjach (rolna, przemysłowo-handlowa, finansowa, samorządowa i pracy) oraz licznych sekcjach.

Zjazd uchwalił cały szereg tez. Nie tu miejsce na dosłowne przytaczanie ich. Dlatego podamy z nich tylko niektóre najistotniejsze wyimki. I tak sekcja finansowo-rolna poleciła „poinformowanie ogółu rolników o możliwościach oddłużenia, oraz przekonanie rolników o konieczności szybkiego ich wykorzystania. Szybkie przeprowadzenie oddłużenia rolnictwa stworzy silniejsze podstawy dla odrodzenia kredytu rolnego". Sekcja do spraw komasacji i parcelacji wzywała czynniki społeczno-gospodarcze, aby przyczyniały się do wzmożenia dążności do komasacji wśród włościan łącznie z uzupełnianiem karłowatych gospodarstw i z koniecznemi meljoracjami. Sekcja produkcji i zbytu opowiedziała się za przywróceniem gospodarstwom rolnym opłacalności jako głównym celem rolników, związków samorządowych i organizacyj gospodarczych. Równocześnie opowiedziano się przeciwko pełnej samowystarczalności gospodarczej jako niemożliwej dla Polski i mogącej pociągnąć za sobą katastrofalne skutki.

Sekcja przemysłowa opowiedziała się za wzmożeniem ruchu inwestycyjnego celem podniesienia obrotów i dochodu społecznego oraz zmniejszenia bezrobocia. Zarazem uchwalono konieczność równoczesnej rozbudowy zbytu wewnętrznego i eksportu. Przeciwstawiono się nadmiernej i zbyt powszechnej ochronie celnej, jako wywierającej zły wpływ na rozwój przemysłu surowcowego, jak i ze względu na ujemny wpływ wysokich cen surowców na przemysł przetwórczy. Niezależnie od nastawienia się „frontem do konsumenta krajowego" należy dążyć do rozszerzenia rodzaju eksportowanych towarów, przedewszystkiem zaś wyrobów gotowych.

Sekcja handlowa zaleciła działaczom społecznym uświadamianie społeczeństwa o znaczeniu eksportu. Opowiedziano się przeciwko nadmiernym ograniczeniom importu szczególnie surowców niezbędnych dla naszej produkcji. Odnośnie do handlu wewnętrznego postawiono postulat stworzenia z handlu samodzielnego czynnika gospodarczego obok przemysłu, rolnictwa i rzemiosła.

Sekcja rzemieślnicza uchwaliła potrzebę ścisłego ustalenia warunków wykonywania rzemiosła na podstawie dowodu uzdolnienia oraz uregulowanie konkurencji nielegalnych warsztatów.

Sekcja morska opowiedziała się za tworzeniem dalszych handlowych urządzeń w porcie w Gdyni i w mieście portowem oraz za rozwojem floty handlowej i za korzystaniem z usług polskich portów i polskich linij okrętowych.

Komisja finansowa nałożyła na działaczy społecznych obowiązek uświadamiania opinji publicznej o trwałości naszych sto-

sunków finansowych, zwalczania tezauryzacji i przeprowadzania planowej akcji informacyjnej o różnych formach kapitalizacji.

Komisja samorządowa w tezach swoich oświadczyła się za jaknajdalej idącemi oszczędnościami i za sharmonizowaniem prac samorządu terytorjalnego z pracami państwa i z rzeczywistemi warunkami gospodarczemi.

Komisja pracy domagała się opracowania programu gospodarczego uzasadnionych robót inwestycyjnych.

Najważniejszem wydarzeniem gospodarczem ubiegłego kwartału był spadek wartości dolara Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Tak więc spadła druga najpotężniejsza waluta świata. Stało się to prawie w rok po załamaniu się kursu funta szterlinga. Kiedy jednak Wielka Brytanja była zmuszona do tego kroku i gdy stanowi ona kraj dłużniczy, a więc poniekąd zainteresowany w dewaluacji swojej waluty, to Stany Zjednoczone ani nie były zmuszone do tego kroku, ani nie leżało to w ich interesie jako wierzyciela.

To też spadek dolara wywołał niezwykłe zdumienie w całym świecie. Na domiar tego wystąpił on w momencie najbardziej niespodziewanym. Na zaproszenie nowego prezydenta Stanów płynęli do Waszyngtonu przedstawiciele Wielkiej Brytanji i Francji, ażeby naradzić się przed międzynarodową konferencją ekonomiczną w Londynie. I wówczas właśnie nagle w drodze zaskakuje ich wieść o spadku dolara. Oczywiście z miejsca zmieniły się podstawy i przesłanki przedwstępnych rozmów.

Gdy Anglja odstępowała od parytetu, pociągnęła za sobą szereg państw, których waluty również się obniżyły. Powstał tą drogą t. zw. klub szterlingowy. Co dziwne, dolar tak potężny nie wywarł niemal żadnego wpływu na losy innych walut. W ślady jego poszedł jedynie dolar kanadyjski, zresztą i tak już poprzednio zachwiany.

W Polsce spadek dolara przyjęty został daleko spokojniej, aniżeli można było przypuszczać, niżli myślano jeszcze przed rokiem. Nie ulega wątpliwości, że zmniejszenie się wartości dolara naraziło gospodarstwo polskie na pewne straty. Niewątpliwie jednak straty te są mniejsze, niż się przypuszcza. Okazało się, że objekt efektywnych banknotów dolarowych w Polsce jest o wiele mniejszy, niźli szacowano go ze strony jużto rządu, jużto naszej instytucji emisyjnej. Problemem bardzo ważnym i trudnym, wciąż jeszcze wymagającym i oczekującym rozwiązania, jest kwestja umów dolarowych. W tej dziedzinie spadek wartości dolara wywołał echo daleko żywsze.

Nie można przeoczać dodatniej strony wpływu spadku dolara na stosunki wewnętrzne Polski. Mamy na myśli załamanie się psychiczne fanatyków dolara, wierzących jedynie w tą walutę i mimo 15 lat niepodległości wciąż jeszcze nie chcących uznawać

waluty polskiej, jako równo- i pełno-wartościowej. Część ciułaczy i tezauryzatorów dolara straciła. Drogo kosztowała ich lekcja zaufania do własnej waluty. Zrażeni do swego bożyszcza pieniężnego zwrócili się ku lokatom rzeczowym. Po spadku dalara objawiło się większe zainteresowanie obrotami parcel, ziemią, nieruchomościami i t. p., a nawet częściowo poszczególnemi towarami, zwłaszcza dobrami bardziej trwałemi i niezużywalnemi. Ruch ten nie przybrał jednak większych rozmiarów z powodu ogólnego zastoju gospodarczego, a także wielkiej anemji finansowo-pieniężnej Polski.

W stosunkach międzynarodowych zmniejszenie się wartości dolara było dalszym krokiem w ograniczeniach wolności obrotu towarami, kapitałami i osobami. Do różnych sposobów walk, stosowanych przez poszczególne państwa dla utrzymania czynnego bilansu handlowego i płatniczego, doszedł obecnie zwiększony dumping walutowy ze strony Stanów Z. A. P., a za nim jako obrona wzrost protekcjonizmu celnego, a w niektórych krajach także i ograniczeń dewizowych. Pociągnięcia Roosevelta były ciosem śmiertelnym dla idei międzynarodowego rozejmu celnego. A właśnie Stany Zjednoczone wystąpiły z żądaniem ogólnego rozejmu celnego. Oczywiście było to nie do przyjęcia dla krajów waluty złotej, gdyż rozejm taki możliwy jest tylko między państwami operującemi taką samą walutą opartą na złocie, a nie między krajami, z których jedne posiadają pieniądz papierowy, a drugie walutę złotą.

Spadek dolara spowodowany został niespodziewanym przywróceniem dnia 20 kwietnia br. zakazu wywozu złota. Bezpośrednio po ogłoszeniu tego zakazu dolar spadł o 10% poniżej parytetu. Spadek ten nie wywołał oczekiwanego ożywienia w wytwórczości Ameryki. Ażeby ożywienie to za wszelką cenę sprowadzić, rząd i parlament sami wywołali panikę walutową, chcąc zmusić swoich obywateli do skierowania się ku lokatom rzeczowym, t. j. zwiększyć zakupno towarów i walorów.

Panika wytworzona przez parlament polegała na uchwaleniu przez senat t. zw. billu Thomasa i Robinsona, który upoważniał prezydenta S. Z. A. P. do zmniejszenia ilości złota w jednostce monetarnej aż do 50%, do ustalenia nowego parytetu dolara w porozumieniu z rządami zagranicznemi, do przyjęcia za długi wojenne w br. srebra po cenie 1 uncja wartości 50 centów (lecz najwyżej 100 miljonów dolarów), do emitowania najwyżej trzech miljardów dolarów banknotów w drodze zakupu obligów państwowych.

Może najcharakterystyczniejsze jest postanowienie o spłacie długów politycznych srebrem. Z jednej strony miało to być niewątpliwie zachęceniem państw dłużniczych do uiszczenia się ze swoich zobowiązań tańszym sposobem, gdyż cena srebra wynosi prawie połowę tej wartości, jaką ustanowił bill Senatu. Równo-

cześnie chodziło o podniesienie wartości srebra, które jest wciąż jeszcze walutą krajów azjatyckich, a więc o zwiększenie siły nabywczej tych krajów oraz Meksyku, jako państwa o największej produkcji srebra. Przebieg wypadków okazał, że rachuby te nie ziściły się.

Ukorowaniem faktycznej obniżki dolara było przejęcie przez Izbę reprezentantów ustawy o oficjalnem porzuceniu standartu złota przez Stany Z. A. P., podpisanie tej ustawy przez prezydenta Roosevelta i wejście jej w życie... na tydzień przed rozpoczęciem międzynarodowej konferencji monetarnej w Londynie. O nastrojach i nastawieniu parlamentu amerykańskiego ku inflacji świadczy najlepiej fakt, iż za porzuceniem standartu padło głosów 283, a przeciw tylko 57.

Spadek dolara postępuje ciągle. Funt szterling został faktycznie ustabilizowany na poziomie o $^1/_3$ niższym i ulega stosunkowo rzadkim i nieznacznym wahaniom kursu. Obecnie więc najchwiejniejszą walutą świata jest pieniądz najbogatszego wierzyciela, pieniądz kraju ściągającego ku sobie olbrzymie zapasy złota dzięki daleko posuniętemu protekcjonizmowi celnemu połączonemu z czynnym bilansem płatniczym, w którym główną pozycję tworzą wierzytelności,

Oczywiście ustawa o porzuceniu standartu złota znosi klauzulę złotową we wszystkich zobowiązaniach płatniczych z państwami dłużniczemi.

Wahania dolara powodują szereg zaburzeń w życiu gospodarczem świata. Z tego względu okazało się rzeczą niezbędną dla uregulowania międzynarodowych stosunków wymiennych równoczesne ustabilizowanie trzech największych walut. Podobno układ taki zawarto w najściślejszej tejemnicy i tylko jako „gentleman agreement". Piszemy „podobno", gdyż kontrahenci sprostowali wiadomości o rozejmie walutowym jako... bezpodstawne. Widocznie przeto miał on miejsce.

Zawarli go przedstawiciele i kierownicy centralnych banków emisyjnych Anglji, Francji i Stanów Zjednoczonych A. P. Ze strony banku angielskiego występował gubernator Montagu Norman, bank francuski reprezentował Moret, a Federal Reserwe Bank gubernator Harrison. Rozejm polega na ograniczeniu gwałtownych wahań kursu funta, dolara i franka francuskiego. Jednak nie określono stałej wartości złota dla poszczególnych walut.

Tak więc Stany Zjednoczone A. P. nie chcą ustalić kursu dolara bez równoczesnej, a dogodnej dla nich, stabilizacji funta szterlinga. Anglja zaś nie godzi się na to przed rozwiązaniem sprawy długów politycznych. Tym sposobem obydwa te zagadnienia zazębiają się o siebie i nie mogą być jedno bez drugiego rozwiązane. Jako podstawowe, a więc ważniejsze, wysuwa się problem długów wojennych. Musi on wobec tego być wpierw

załatwiony, choć formalnie został świadomie usunięty z pod obrad międzynarodowej konferencji londyńskiej.

Co do zapłacenia względnie niezapłacenia przypadającej dnia 15 czerwca br. raty długów amerykańskich, toczyły się w zainteresowanych krajach długie narady. Najwięcej debatowano nad tem w Anglji. Banki angielskie wpływały na swój rząd, ażeby nie płacić wogóle raty 15 bm. Podobno nawet część dyrektorów banku angielskiego była tego zdania. Natomiast czynniki polityczne opowiedziały się za zapłatą, gdyż honor Wielkiej Brytanji wymaga wywiązania się z wziętych zobowiązań. Jedynie jako podkreślenie, iż Anglja nie uznaje obecnie obowiązującego układu za trwały, i że żąda jego zmiany, rząd brytyjski wpłacił nie pełną kwotę raty, lecz tylko zadatek w wysokości 2 mil. funtów. Pełna rata, jaką Anglja miała zapłacić Ameryce, wynosiła 79 mil. 950 tys. dolarów.

Rząd amerykański, licząc się z tem, że szereg państw nie wpłaci mu nawet części przypadającej raty, zawiadomił rządy angielski i francuski o zredukowaniu przypadającej raty oraz o możności uiszczenia jej w srebrze po ustalonym wyższym kursie (jak pisaliśmy powyżej), względnie w zdewaluowanej walucie dolarowej. Podobno ulgi te dla Francji zostały uzależnione od dodatkowego wpłacenia zaległej raty grudniowej. Pod tym warunkiem miały S. Z. A. P. zrzec się także zupełnie oprocentowania długów i przyznać częściowe moratorjum dla tychże. Jednak ustępstwa Stanów nie zdołały zachęcić krajów dłużniczych do zapłacenia.

Jak już wspomnieliśmy, Anglja demonstracyjnie uiściła tylko zadatek. Częściowo również wpłat dokonały Włochy, Czechosłowacja, Rumunja i Łotwa. Natomiast Francja, Polska, Belgja, Jugosławja, Węgry, Estonja i Litwa, wogóle odmówiły wszelkich wpłat.

Francja w nocie wręczonej w Waszyngtonie tłumaczyła się, iż miała nadzieję, że sprawa długów politycznych zostanie uregulowana przed dniem płatności raty, t. j. przed 15 czerwca br. Ponieważ to nie nastąpiło, rząd francuski nie uiszcza raty. Szanując jednak przyjęte na siebie zobowiązania oświadcza, iż Francja zawsze jest gotowa współpracować w rozwiązaniu tego zagadnienia. Ponieważ załatwienie kwestji długów politycznych leży w wybitnym interesie międzynarodowego położenia gospodarczego, przeto Francja ufa, że załatwienie to nastąpi rychło.

Jedynem państwem, które w całości dokonało spłaty była Finlandja. Jej rata wyniosła 148.592 dol.

Spadek dolara był wielką niespodzianką przed międzynarodową konferencją monetarną w Londynie. Zarazem przyspieszył on konieczność zwołania tej konferencji. Drugą „bombą" w przededniu nieomal konferencji londyńskiej było ogłoszenie moratorjum dla długów zagranicznych w Niemczech. Niemcy tuż przed

obradami niemal wszystkich państw zapowiedziały swoje bankructwo. (Równocześnie jednak ogłosiły olbrzymie wydatki na zbrojenie).

A mianowicie dyrektor banku Rzeszy przesłał rządowi niemieckiemu, iż począwszy od 1 lipca br. nie będzie udzielać żadnych dewiz na spłatę długów zagranicznych oraz na wywiązywanie się z tych zobowiązań, które zaciągnięto przed dniem 1 lipca 1931 r. Równocześnie w liście do kanclerza Hitlera prezydent banku Rzeszy, Dr. Schacht, oświadczył, iż następuje gwałtowny spadek eksportu niemieckiego i skutkiem tego instytucja emisyjna nie rozporządza dostateczną ilością dewiz zagranicznych. Posiadany zapas dewiz oraz złota musi być zatrzymany na potrzeby handlu zagranicznego. Skutkiem tego bank Rzeszy nie jest w stanie udzielać dewiz na spłatę długów międzynarodowych.

Oświadczenie Niemiec co do ogłoszenia moratorjum dla długów zagranicznych z dniem 1 lipca br. wywarło w kołach wierzycielskich Niemiec bardzo silne wrażenie. Oczywiście wrażenie to było szczególnie ujemne w Anglji i Stanach Z. A. P. Niektóre koła wierzycielskie próbowały wpłynąć na swoje rządy o wywarcie energicznego nacisku na Niemcy w celu ogłoszenia przynajmniej częściowego a nie całkowitego moratorjum. Grożono nawet zajęciem przez wierzycieli amerykańskich majątków tych firm niemieckich w Stanach Zjednoczonych, które nie spełnią swego zobowiązania. Dziś przedwcześnie jest osądzać, jak potoczą się wypadki. Przypuszczalnie jednak istotne stanowisko wierzycieli niemieckich będzie daleko łagodniejsze, niżby się z pierwszych reakcji z ich strony wydawało. Niemcy kredytowo i tak są przesycone, a w razie nastania pomyślnej konjunktury i korzystnych możliwości lokacyjnych kredyt dostaną.

Osią zainteresowań międzynarodowych i dyplomatycznych stała się międzynarodowa konferencja monetarna i ekonomiczna w Berlinie. W jej cieniu przeszła naogół niepostrzeżenie trzecia konferencja państw rolniczych odbyta w Bukareszcie z początkiem czerwca br. Wzięły w niej udział oprócz krajów dotychczas reprezentowanych także Grecja i Turcja. Przewodniczącym delegacji polskiej, która odgrywała na konferencji poważną rolę, był minister Zawadzki. Zarazem przewodniczył on komisji finansowej. Konferencja w rezolucjach podkreśliła konieczność uregulowania sprawy długów międzypaństwowych oraz wskazała na potrzebę usunięcia nadmiernej konkurencji między krajami eksportującemi produkty rolne.

Długo oczekiwana międzynarodowa konferencja londyńska otwarta została dnia 12 czerwca 1933 r. o godz. 15-tej. Otwarcia uroczystego dokonał król angielski przemówieniem, w którem podniósł olbrzymie rozprzestrzenienie się kryzysu gospodarczego

po całym świecie. Po mowie króla wygłosił dłuższe przemówienie premjer Wielkiej Brytanji Mac Donald. Oświadczył on, że na konferencję przybyły wszystkie państwa, które otrzymały zaproszenie. Reprezentowanych jest 67 państw, z czego 10 państw nie należących do Ligi Narodów. Mac Donald wskazał na konieczność pomyślnego doprowadzenia do końca obrad konferencji. Równocześnie podniósł potrzebę jaknajrychlejszego załatwienia sprawy długów wojennych.

Dla charakterystyki znaczenia, jakie przywiązywano do światowej konferencji, podajemy, iż uczestniczy w niej 10 premjerów, 2 wicepremjerów oraz 43 ministrów (głównie spraw zagranicznych, skarbu oraz przemysłu i handlu). Na czele licznej delegacji polskiej stoi wiceminister Adam Koc z szeregiem dyrektorów departamentów, radców i t. p.

Prace konferencji są w pełnym toku. Po posiedzeniach plenarnych, na których wygłoszono główne przemówienia, nastąpił podział pracy na podkomitety, komisje, podkomisje i podpodkomisje. Obecnie zawcześnie jeszcze na wydawanie sądu o skuteczności konferencji. Nie ulega wątpliwości, że konferencja zakończy się pomyślnie, i że uchwali szereg gładkich, ładnych rezolucyj. Od tego przecież zasiada w niej tylu dyplomatów. O rzeczywistych jednak wynikach jej obrad będzie można wyrobić sobie sąd dopiero w pewien czas po zamknięciu konferencji.

Dr. M. J. Ziomek.

Dwa jubileusze francuskie.

Jeden z placów paryskich, położony przy kościele Notre Dame des Champs, otrzymał w tych dniach nazwę placu Fryderyka Ozanama. Sąsiaduje on z małą ulicą, która dzisiejszej młodej generacji, przelewającej się tędy gwarną falą ku kawiarniom Montparnassu, przypomina imię wodza młodzieży literackiej z okresu przedwojennego: poległego w okopach strzeleckich Karola Peguy. Tak więc obok siebie i w cieniu jednego kościoła znalazły się dwa imiona, które na przestrzeni stulecia symbolizują dwa szczyty idealizmu i intelektualizmu francuskiego.

Pod znakiem Ozanama odbył się właśnie w drugiej połowie maja w Paryżu jubileuszowy zjazd Konferencyj św. Wincentego à Paulo. Akurat bowiem przed 100 laty powstała tu w parafji St. Sulpice, ta słynna i zasłużona „międzynarodówka miłosierdzia chrześcijańskiego", a powstała z małej grupki siedmiu studentów, której inspiratorem był 20-letni Fr. Ozanam. Inicjatorzy, w swej skromności, nie zdawali sobie początkowo sprawy, jak wielkie tworzą dzieło. Gdy zgłosił się ósmy członek, wahali się go przygąć. A dziś — jak z dumą mówił prezes tych Konferencyj p. Verjés — nad obszarami dobroczynności chrześcijańskiej Towarzystw

św. Wincentego nie zachodzi słońce. Na zjazd paryski zjechali delegaci 27 narodów. Istnieje już w świecie (nawet na Jawie i w Zanzibarze) — prawie 14 tysięcy Konferencji liczących około 200.000 członków. W r. 1932 rozdały one między biednych prawie 400 mil. fr. Jakiż to potężny wzrost od owego dnia, gdy Ozanam z towarzyszami rozpoczął zwiedzanie paryskich suteryn i poddaszy! Kościół francuski ma prawo być dumnym, że piękne to dzieło powstało na jego gruncie. Papież Pius XI podkreślił ten moment, wysyłając na zjazd jubileuszowy swego legata w osobie Kardynała paryskiego.

Uroczystości jubileuszowe odbyły się z niezwykłym splendorem (wziął w nich udział m. i. szef rządu irlandzkiego de Valera) i przy takim napływie uczestników, że wywołało to nawet zdumienie w pewnych kołach francuskich. Był to jakby publiczny pokaz sił, jakie katolicyzm francuski zdobył w okresie powojennym. W wielkich kościołach Paryża, pod gotyckiemi sklepieniami Notre Dame, w barokowych nawach St. Sulpice, w białej bazylice Sacré Coeur na Montmartrze, u grobu św. Genowefy na wzgórzu łacińskiem i wreszcie u grobowca Ozanama w kościele Karmelitów legat papieski prezydował wspaniałym ceremonjom religijnym, w czasie których kazania wygłosili tacy wielcy kaznodzieje, jak ks. Besson biskup Lozanny, jak ks. Gillet generał Dominikanów, jak ks. bp. Baudrillart. W niektórych mowach, zwłaszcza w doktrynalnem kazaniu ks. Gilleta, nie brakło aluzji do chwili bieżącej. Wobec nieprzyjemnej polemiki, jaka się toczy dziś w prasie z powodu tendencyj internacjonalistycznych wśród pewnej części katolików francuskich, ks. Gillet — niezawodnie w porozumieniu z legatem podkreślił mocno obowiązek czujności patrjotycznej. „Powinniśmy — mówił — być stale gotowi do obrony ojczyzny przeciw nieuzasadnionym napadom, zawsze jeszcze możliwym w świecie, na którym ciążą dziś bardziej niż kiedykolwiek następstwa grzechu pierworodnego, w którym ściera się tyle uprzedzeń, tyle nieporozumień, tyle egoizmów, tyle nacjonalizmów... Mówić dziś o rozbrojeniu zupełnem i bezwarunkowem wszystkich narodów, gdy żaden z nich nie jest na to przygotowany, i to w momencie gdy wszędzie wybuchają namiętności zbiorowe ...to byłby najpewniejszy sposób wywołania wojny... Zaiste nie jest to moment na rozbrojenie porządku, gdy gdzie indziej tajnie lub jawnie zbroi się nieporządek". Nawet monarchiści z „Action Française" nie znajdą nic do zarzucenia temu stanowisku; ale — rzecz dziwna — ten właśnie ustęp został pominięty w sprawozdaniu katolickiej *La Croix*.

Ozanam przyczynił się w swem krótkiem życiu (umarł w r. 1853, licząc lat 40) także do podniesienia blasku tej ambony, z której przemawiał ks. Gillet. Pewnego dnia zgłosił się z kilku swymi kolegami do arcybiskupa Paryża i prosił go, by kaznodzieje przedstawili w swych konferencjach stosunek katolicyzmu

do aktualnych zagadnień filozoficznych i społecznych. W wyniku tej interwencji w dwa lata później, w r. 1855, wielki Lacordaire wstąpił na kazalnicę katedralną i odtąd już prawie bez przerwy podczas adwentu i postu przemawiają z niej znakomici kaznodzieje, jak Hulst, Janvier, Sanson, dziś Pinard de la Boullaye T. J., gromadząc w obszernych nawach tłumy inteligencji.

Ozanam wyszedł z koła katolików paryskich, które skupiało się koło Montalemberta — i do którego należał także nasz Mickiewicz. — Jako profesor Sorbony dla literatur obcych pociągał słuchaczy nietylko erudycją ale zwłaszcza siłą i szczerością swych katolickich przekonań, z któremi się nie krył. „Wychodziłem z tych wykładów — mawiał Renan — zawsze silniejszym i skłonniejszym do dobrego". Jego dzieła o Dantem, o poetach franciszkańskich i jego „studja germańskie" łączą szczęśliwie wartości naukowe z apologją działalności Kościoła w dziejach. W wykładach swych w Lyonie o kwestji robotniczej stał się jakby prekursorem katolików społecznych i encyklik Leona XIII. Twierdził, że jak w V wieku Kościół zwrócił się do ludów barbarzyńskich, pozostających poza imperjum rzymskiem, tak i teraz musi w imię swej misji dokonać nowego *passage aux barbares*, t. j. do ludu pracującego. Na kilka dziesiątków lat przed encykliką robotniczą Leona XIII pisał:

„Problem, który dzieli ludzi dzisiejszych, nie jest to już kwestja form politycznych ale kwestja społeczna. Chodzi o to kto zwycięży, czy duch egoizmu czy też duch poświęcenia; czy społeczeństwo stanie się jednym wielkim wyzyskiem na korzyść silniejszych, czy też współpracą wszystkich dla dobra wszystkich, a przedewszystkiem dla ochrony słabych. Musimy się rzucić między te duże armje nieprzyjacielskie".

Warto także podnieść, że już od r. 1848 Ozanam zalecał katolikom francuskim uznanie ustroju republikańskiego, co dokonało się — i zapewne ze szkodą dla katolicyzmu we Francji — dopiero przy końcu ub. wieku. Przez Konferencje zaś św. Wincentego à Paulo stał się na wielkiej płaszczyźnie miłosierdzia realizatorem owego apostolstwa ludzi świeckich, które jest dzisiaj wielką myślą Piusa XI i celem Akcji Katolickiej.

Na kongresie wyrażono nadzieję, że ten wybitny uczony, który pozostawił po sobie pamięć życia świętego, zostanie wkrótce podniesiony na ołtarze. Jak wysoko czci Kościół wspomnienie Ozanama, dowodzi fakt, że w roku 1913, w setną rocznicę jego urodzin, papież Pius X wysłał na paryskie uroczystości jubileuszowe swego legata w osobie kard. Vanutellego. Odsłonięto wówczas w przedsionku kościoła Karmelitów, pomnik Ozanama.

Inną jeszcze rocznicę obchodzili katolicy francuscy w ostatnim czasie. Upłynęło 50 lat od śmierci Ludwika Veuillota, najwybitniejszego chyba polemisty katolickiego XIX wieku. Ultra-

montańska nieugiętość Veuillota, jego skrajny legitymizm rojalistyczny, jego obrona władzy świeckiej papieża, wreszcie szorstkość i czasem nawet gwałtowność jego języka — stworzyły redaktorowi *L'Univers* już za życia mnóstwo przeciwników. W 50 lat po śmierci ściga go jeszcze ta nienawiść: wielka prasa paryska — nie mówiąc już o masońskiej i antykatolickiej pominęła jego rocznicę milczeniem. Veuillot był na to przygotowany. „Nie brońcie mojej pamięci — pisał w swem poetyckiem epitaphium — gdy rzuci się na mnie nienawiść; ja jestem szczęśliwy i odniosłem zwycięstwo, walczyłem bowiem w dobrej walce". Ci którzy przeczytali choćby jego *Parfum de Rome*, gdzie — nawiasem mówiąc — można znaleźć ustępy należące do wzorów prozy francuskiej i ci którzy wiedzą o jego wysokiej uczciwości osobistej i o heroicznem wprost pojmowaniu obowiązku publicznego — ci zawsze będą widzieć w Veuillocie nieporównanego obrońcę wielkiej idei. Widziałem w rzymskim kościele St. Andrea delle Frate tablicę pamiątkową z pięknym napisem na jego cześć. Do Rzymu bowiem ciągnęło zawsze Veuillota serce wierzącego katolika i wielbiciela zasług cywilizacyjnych papiestwa. Ciało jego spoczywa w skromnym, prostym grobowcu na cmentarzu Montparnasse, i trudno oprzeć się wzruszeniu, gdy na nim czyta się te tylko słowa, które były *credo* Veuillota, wyznawanem zawsze odważnie i żarliwie: *j'ai cru je vois!*

Jan Matyasik.

Pielgrzymka jubileuszowa Dziennikarzy katolickich w Rzymie.

Międzynarodowy kongres Dziennikarzy katolickich miał się zebrać jesienią tego roku w Szwajcarji. Wobec ogłoszenia nadzwyczajnego jubileuszu wyłoniła się myśl, żeby dziennikarze katoliccy, dając dobry przykład, odbyli zbiorowo pielgrzymkę jubileuszową do Rzymu, żeby w ośrodku życia chrześcijańskiego, pokrzepieni na duchu, uświęceni i umocnieni błogosławieństwem widomego zastępcy Chrystusa, mogli tem skuteczniej i tem gorliwiej spełniać swe zaszczytne posłannictwo szerzenia i obrony piórem królestwa Chrystusowego na ziemi.

Na wezwanie Międzynarodowego Biura Dziennikarzy Katolickich, przybyło do Wiecznego Miasta blisko 300 przedstawicieli i delegatów katolickiej prasy. Mnie przypadł udział reprezentowania *Przeglądu Powszechnego*. W sobotę 3. VI. w sali Uniwersytetu Gregorjańskiego zagaił walne posiedzenie prezes M.B.D.K. p. Delforge. Płomiennemi słowy powitał gości-pielgrzymów hr. Dalla Torre, naczelny redaktor organu watykańskiego, *Osservatore Romano*. Reprezentanci 22 narodowości w treściwych sprawozdaniach przedstawili obecny stan, postępy, aspiracje i bolączki prasy

katolickiej w poszczególnych krajach. Posiedzenie zostało zamknięte trzema rezolucjami: 1) jednomyślną uchwałą odbycia kongresu dziennikarzy katolickich w Rzymie w roku 1935, z okazji 75-lecia *Osservatore Romano*; 2) z wielkim entuzjazmem przyjęto także myśl popierania i propagowania zamkniętych rekolekcyj; 3) postanowiono dążyć usilnie do utworzenia międzynarodowej katolickiej agencji prasowej, żeby się wyzwolić i uniezależnić od wpływów oraz informacyj niekatolickich, przeważnie żydowskich, wielkich agencyj prasowych.

Dnia 4. VI. dziennikarze wzięli udział w uroczystej kanonizacji Bł. Andrzeja-Huberta Fournet (1752—1834), tego ideału duszpasterza, kapłana bohatera, duchowego odrodziciela Francji po-rewolucyjnej. Popołudniu zwiedzili pielgrzymi Città del Vaticano i byli gościnnie podejmowani w biurach *Osservatore Romano*. Poniedziałek (5. VI.) upłynął na odwiedzaniu bazylik i zabytków Rzymu. W wtorek (6. VI.), koło godziny drugiej, przyjął Ojciec św. Pius XI pielgrzymkę w Sala Ducale.

Imieniem zebranych dziennikarzy przemówił hr. Dalla Torre: „Ojcze Święty! nie członkowie kongresu dziennikarstwa katolickiego, ale pobożni pielgrzymi-dziennikarze przybyli dziś do domu Ojca wielkiej rodziny Chrystusowej, aby od Ciebie otrzymać błogosławieństwo, zadatek łask bożych, tak nam potrzebnych w tej chwili. Stoimy bowiem na przełomie dziejów; ważą się losy historji brzemienne w następstwa, które rozstrzygną o tem, jakiemi torami potoczy się kultura i cywilizacja świata. Zadanie prasy katolickiej w tych warunkach, w jakich żyjemy, nie łatwe, a wielka ciąży na nas odpowiedzialność za to, jak w danej chwili wywiążemy się z obowiązku apostolstwa prasy! Kornie prosimy o to Boga, byśmy z zapałem i skutecznie apostołowali piórem.

Jednomyślnie postanowiliśmy odbyć międzynarodowy kongres dziennikarski w roku 1935, tu w Rzymie, z okazji 75-lecia *Osservatore Romano*. Oby w międzyczasie ziściły się całkowicie gorące pragnienia Twoje, jako najwyższego nauczyciela i stróża tej cywilizacji, która wyrosła i czerpie swe soki żywotne z ewangelji i krwi Chrystusowej. Obyś, Ojcze Święty, doczekał się trwałego uspokojenia narodów i państw. Oby wreszcie skłócone i powaśnione między sobą rządy zechciały zgodnie współpracować nad ustaleniem równowagi ekonomicznej, nad utrwaleniem upragnionego pokoju, który niewzruszoną podwalinę znajdzie w zasadach polityki chrześcijańskiej, w poszanowaniu praw naturalnych i boskich.

Ojcze Święty! Wkrótce wrócimy do szarej, mozolnej pracy dziennikarskiej, której jednak przyświeca wzniosły ideał rozszerzania i rozbudowy piórem królestwa Chrystusowego na ziemi. Błogosław nam, Ojcze Święty! a Twoje błogosławieństwo niech będzie dla nas źródłem tej siły i tego światła, którego pierwsze strumienie spłynęły na Apostołów w dzień Zielonych Świątek.

Jak ongiś Piotr Święty, a za nim przez wieki jego następcy, papieże oświadczali Panu Jezusowi: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego; Ty wiesz, że Cię miłuję;" tak my dziś, dziennikarze katoliccy, oświadczamy Ci uroczyście: „Tyś jest Piotr - Opoka, na której stoi Kościół Chrystusowy; Ty wiesz, że Cię kochamy!"

Kiedy hr. Dalla Torre odczytał zbiorowy adres dziennikarstwa katolickiego, na twarzy papieża odbijało się żywo zadowolenie. Poczem przemówił Ojciec Święty:

„Do tych synowskich, pięknych, wzniosłych, świętych, serdecznych życzeń i postanowień, które tak wymownie przedłożył wasz delegat, niewiele trzeba dodawać. Dzień dzisiejszy i wasza tu obecność, ukochani synowie, stanowi świetlaną kartę dziennikarstwa katolickiego. Patrząc na was, zdaje mi się, że czytam równocześnie czołowe artykuły waszych dzienników i z radością stwierdzam, że prasa katolicka pojęła i zrozumiała dobrze przewodnią myśl roku świętego i jubileuszu nadzwyczajnego wśród nadzwyczajnych. Przybywając tu dla zyskania odpustu jubileuszowego, starając się w zdrojach łaski zbawczej oczyścić i uświęcić dusze wasze, daliście dobry przykład i zbudowanie całemu światu. Nietylko mnie, ale przedewszystkiem Sercu Boskiego Zbawcy sprawiliście wielką radość, kwapiąc się do szeroko otwartych skarbów zmiłowania Pańskiego.

Ofiara życia i krwi Chrystusowej do tego zmierzała i zmierza, byśmy życie mieli i obficiej mieli. Mocą tej ofiary, złożonej na krzyżu, nietylko jako tako żyć możemy życiem nadprzyrodzonem; ale możemy i winniśmy je spotęgować i rozwinąć, dążąc wytrwale do tych wyżyn świętości, do jakich doszli ci liczni Błogosławieni i Błogosławione, przez nas wyniesieni na ołtarze. Świętymi bądźcie — oto naczelny nakaz wypisany krwią Chrystusa na krzyżu, przypieczętowany Jego ranami.

Postanowiliście zebrać się na kongres dziennikarski za dwa lata, tu w Rzymie i życzyliście mi, żebym w nim mógł osobiście uczestniczyć. Niedługi wprawdzie okres czasu dzieli nas od 75-lecia *Osservatore Romano*, ale skoro się dojdzie w życiu do pewnej granicy wieku, można sobie dużo obiecywać, ale też można być prędko odwołanym z zajmowanej placówki. Niech tak będzie, jak się Bogu Najwyższemu spodoba! Cieszyłbym się bardzo, gdybym mógł wziąć udział w przyszłym waszym kongresie. Jakkolwiek będzie, życzę wam szczerze, by w całej pełni ziściły się wasze pragnienia i postanowienia, o których wspomina wasz adres hołdowniczy. Oby prasa katolicka, to potężne narzędzie propagandy w dzisiejszych warunkach, przyczyniła się przedewszystkiem do spotęgowania świętości w życiu tak jednostek jako też narodów!

Dziennikarzy nazywają jedni w y r a z i c i e l a m i opinji publicznej; inni uważają ich za t w ó r c ó w tejże. Jedno i drugie określenie jest poczęści słuszne, a przedewszystkiem uwydatnia

wielką potęgę dziennikarstwa i zarazem jego straszliwą odpowiedzialność. Wystarczy zwrócić na to uwagę, że opinja publiczna, ta nieuchwytna i jakaś nieokiełznana niekiedy siła, w wielkiej mierze zależy od dziennikarstwa.

I na prasie katolickiej to się sprawdza nawet w wyższej mierze. Dziennikarze katoliccy dobrze o tem wiedzą, czują to, i słusznie mogą być z tego dumni, że ich działalność tak dalekie zatacza kręgi, jak daleko sięgają granice Kościoła katolickiego, t. j. na świat cały. Działalność prasy katolickiej nie stwarza wprawdzie opinji katolickiej, ale zato dziennikarze są jej niestrudzonymi krzewicielami i głosicielami. W całej swej działalności prasowej, dotykając przeróżnych zagadnień i skarbów życia chrześcijańskiego, w rozlicznych jego dziedzinach i stosunkach, tak indywidualnych, jak zbiorowych, zarówno prywatnych, jak publicznych, powinni dziennikarze katoliccy utrzymywać się na poziomie i na wyżynach katolickości. To zaszczytne piętno winny nosić nietylko programowe, czołowe, redakcyjne artykuły, ale każda stronica dziennika, nawet ostatnia, tak zwana „czwarta", (anonsowa) winna również mieć cechę Chrystusową, odcień i kolor, że tak powiem, krwi Chrystusowej.

Dziennikarze są głosicielami, propagatorami nauki hierarchicznego Kościoła katolickiego, są dostojnym pogłosem tego wszystkiego, co mówi i czego dokonywa Kościół, święta nasza Matka. Prasa katolicka nie wchodzi w skład hierarchji nauczającego Kościoła, dziennikarze katoliccy pozostają zawsze w rzędzie członków słuchających, lecz roznoszą, rozgłaszają wszędzie to, co głosi Kościół nauczający, nauczyciel ludzkości, spełniający zawsze rozkaz swego Boskiego Założyciela: Idąc nauczajcie wszystkie narody.

To powinno być dla dziennikarzy katolickich najwyższym zaszczytem, to powinno ich całkowicie zadowalać, być najsłodszą zapłatą, a zarazem bodźcem do coraz lepszego spełniania świętego obowiązku i świętych postanowień.

Posługując się nowoczesną terminologją możnaby wreszcie dziennikarstwo katolickie przyrównać nietylko do aparatu radjowego, ale także do r o z g ł o ś n i k a; rozgłośnika nauki Kościoła świętego, jego prawdy, wiary i moralności chrześcijańskiej. Dziennikarstwo katolickie spełnia swą rolę rozgłośnika, ilekroć oznajmia wiernym myśli, pragnienia, wskazania Kościoła, Matki i Mistrzyni naszej, która chce wszystkich wiernych przytulić do swego łona, udzielając im swych przestróg, wskazań, wyznając im swe smutki i radości!"

Nakoniec Papież udzielił wszystkim obecnym swego ojcowskiego błogosławieństwa. Przesłał je nietylko kierownikom, redaktorom, współpracownikom dzienników, ale wszystkim osobom, które, spełniając nawet najniższe posługi w redakcjach i drukar-

niach, przyczyniają się swą mozolną pracą do wielkiego dzieła apostolstwa prasy katolickiej.

Ks. Wł. Lohn T. J.

Współczesne kilimkarstwo.

Pisać historję czegoś, co się staje w oczach naszych rzeczywistością, co nas otacza i niewiadomo na jakich formach skończy się w swoich najdalszych konsekwencjach, jest rzeczą dość ryzykowną. Mimo, że wiem o tem, trudno mi się oprzeć chęci powiedzenia słów kilku o naszem kilimkarstwie właśnie z punktu historycznego. Impuls do tego dała mi wiadomość o śmierci p. Ewy Ramzowej (19. III. 1933), właścicielki najstarszej w Krakowie pracowni, pierwszej jaka w tem mieście istniała.

Kilimy mają swoją piękną, wyjątkową wprost kartę w historji kultury dawnej, przedrozbiorowej Polski. W czasach porozbiorowych jednak tradycje i zamiłowania związane z tkaniem dywanów zginęły, może tylko usnęły, przyczaiwszy się w zakamarkach duszy polskiej, pochłoniętej ważniejszemi sprawami. Potrzeby nasze pokrywał przemysł niemiecki, rosyjski i austrjacki, dając nam przeważnie rzeczy straszne w swej brzydocie.

Kilimy tkano jedynie po chłopskich chatach na Pokuciu i Podolu, tkano dla siebie, bądź dekorując niemi łóżka i stoły, bądź składając w ofierze kościołom i cerkwiom. W momencie, gdy i tam zaczęły się wciskać wyroby fabryczne, zdawało się, że nadszedł ostateczny kres kilimkarstwa: niespodziewanie tymczasem nadszedł jego renesans.

Dotychczasowy rozwój podzieliłabym na trzy etapy. Pierwszym etapem tego renesansu nazwałabym okres w latach 1876—1900. Są to wysiłki jednostek, popartych przez ówczesne galicyjskie władze krajowe, by uratować topniejący szybko zasób wyrobów ludowych, zebrać wzory, wykształcić młode pokolenie tkaczy i zaaklimatyzować barwne tkaniny w sferach inteligentnych. Możliwe, że był to jeden z objawów panującej wtedy „chłopomanji", manji pożytecznej, która przyniosła społeczeństwu korzyść. Pierwsze usiłowania w tym kierunku łączą się z nazwiskami Wład. Fedorowicza z Okna (pow. skałacki), Ludwika Wierzbickiego i Mikołaja Zyblikiewicza, marszałka Galicji (1880—1887).

L. Wierzbicki zbiera i wydaje w r. 1880 wzory ludowych kilimów ruskich. Koszta tego pierwszego wydawnictwa pokrywa p. Fedorowicz, — następne wydanie zostało sfinansowane przez miejskie Muzeum przemysłowe we Lwowie. Wł. Fedorowicz zbiera po wsiach niszczejące kilimy, organizuje ich pokaz na wystawach we Wiedniu (1873 i 1890), we Lwowie (1876), w Tarnopolu (1884 i 1887), wreszcie na powszechnej wystawie w Krakowie w r. 1887, na której zgromadzono 500 sztuk. Ta ostatnia wystawa,

poparta recenzjami w *Czasie* ma duże znaczenie, ze względu na środowisko, jakiem był wówczas Kraków.

Niezależnie od tej akcji konserwującej sztukę ludową istniała druga akcja dążąca do rozbudzenia produkcji nowych rzeczy; p. Fedorowicz założył w Oknie szkołę kilimkarską, zdobywając równocześnie dla kilimów wstęp do pałaców, dworów i mieszkań inteligencji miejskiej. Powstają pracownie jego brata w Kletanówce i ks. Jadwigi Sapieżyny w Bilczu, cenione przed wojną.

W całej tej pracy zaważyła wreszcie wiele mądra współpraca marszałka Zyblikiewicza, przychodzącego z pomocą tam, gdzie prywatne siły nie wystarczały. Wydział krajowy założył w tym czasie szkoły i warsztaty w Budzanowie i Glinianach; te ostatnie istnieją do dziś, utknąwszy niestety! pod względem artystycznym na jałowej mieliźnie.

Drugi okres rozwoju kilimkarstwa to lata 1900—1918, — czas, w którym kilimy zainteresowują artystów jako tematy, stają się problemem pasjonującym twórcze umysły. Jest to wyraźny odskok od poprzedzającego okresu, w którym ludowe motywy, często spaczone i zniekształcone, były niewolniczo reprodukowane.

Ośrodkiem zainteresowania i pracy jest naturalnie Kraków, mówiąc zaś ściślej jest niem towarzystwo „Polska sztuka stosowana", zawiązana w r. 1901. Towarzystwo to, dobrze znane przedwojennemu Krakowowi, gromadziło nazwiska tej miary jak Józef Mehoffer, Jan Bukowski, Jan Raszke, Skoczylas, Józef Czajkowski i wielu innych.

Zainteresowanie się kilimami było jeszcze dalekie od tego, co dziś widzimy. Wpływ przemożnej secesji był wielki, ulegał mu przecież nawet Wyspiański; na kilimach pływały czasem liście i kwiaty o wężowato snujących się łodygach. Obok tego kierunku wspólnego z całą Europą, zaczyna się jednak odrazu prąd zupełnie samodzielny biorący materjał i techniczne możliwości za podstawę — prąd, który okazał się jedynie zdrowym i żywotnym. Z niego to wyrosło wszystko, co dziś mamy najlepszego.

Z „Polską sztuką stosowaną" ściśle związana była pracownia p. Antoniny Sikorskiej, żony dyrektora szkoły rolniczej w Czernichowie (pod Krakowem). Sprowadziła tkacza, wyszkoliła szereg dziewcząt, którym przypadł zaszczyt tkania pierwszych artystycznych kilimów — tam bowiem realizowano projekty członków towarzystwa. W r. 1905 urządzono w lokalu towarzystwa, Wolska 14, wystawę nowożytnych tkanin i wyrobów ceramicznych. Katalog z przedmową znanego i zasłużonego propagatora sztuki stosowanej, Jerzego Warchałowskiego wymienia kilimy wykonane u p. Sikorskiej według projektów Brzozowskiego, Dąbrowy-Dąbrowskiego, Mehoffera, Tichy'ego, Sikorskiej, Trojanowskiego, Wałacha i Warchałowskiego. Później, gdy wskutek przesiedlenia się p. Sikorska zwinęła swe warsztaty, powstała w Zakopanem

(r. 1910) znana powszechnie firma „Kilim", mająca za cel kontynuowanie pracy i celów „Polskiej sztuki stosowanej". Przedsiębiorstwo pomyślane jako towarzystwo udziałowe, prowadzone przez pp. Brzozowskich, zapisało się chlubnie w dziejach współczesnego kilimkarstwa, dając szereg pierwszorzędnych tkanin. Firma ta, zamieniona po wojnie na prywatne przedsiębiorstwo, istnieje do dziś, znane wszystkim bywalcom Zakopanego.

W samym Krakowie prowadziło towarzystwo kursa tkania dla pań z inteligencji; kursa te i wzrastające zainteresowanie kilimami podsunęły zapewne p. Ramzowej myśl założenia w Krakowie pracowni, która była jedyną aż do powstania Polski. Poza Krakowem istniały warsztaty p. Mendlowej w Tarnopolu, p. Lipowskiej w Nowym Sączu i kilka innych. Zresztą Wydział krajowy, popierając przemysł krajowy bardzo żywo przez subwencje, wystawy i nagrody, pomagał tkaczom do zakładania kilimkarni. Tak np. powstały na większą skalę warsztaty w Kossowie, pracownia Baraniuka w Czortkowie i wiele innych, które przy dużym nawet obrocie nie zdołały się wyróżnić artystycznie.

Najnowsze czasy powojenne — to trzeci najwspanialszy okres dla kilimkarstwa. Zahamowane przez wielką wojnę, „wybuchło" za czasów polskich jak rakieta, stając się najbardziej reprezentacyjną gałęzią naszego przemysłu artystycznego. Znamy je dokładniej z częstego obcowania na wystawach, z recenzji i reprodukcji.

Głównemi ogniskami rozwoju są szkoły sztuk zdobniczych w Krakowie i Warszawie. W Krakowie istnieje przy szkole sztuk zdobniczych specjalny oddział tekstylny, od lat prowadzony przez obecnego dyrektora Wiesława Zarzyckiego, w którym kilimy są przedmiotem specjalnego studjum. Wyniki są bardzo poważne, znane w Krakowie z wystawy w Pałacu Sztuk Pięknych i z wystawy urządzonej przez „Atelier tekstylne" (stowarzyszenie artystek, pracujących już samodzielnie) w r. 1931 w Muzeum Przemysłowem na Smoleńsku. Poza Krakowem prace artystów, byłych uczniów krakowskiej szkoły są chlubnie znane i odznaczane na wystawach w Paryżu, Poznaniu i innych.

W Warszawie istnieje poza ramami szkolnemi stowarzyszenie „Ład", propagujące bardzo wysoko postawioną sztukę kilimkarską. Należy zaznaczyć, że kierownicy i wychowawcy w warszawskiej szkole sztuk zdobniczych to dawni członkowie towarzystwa „Polska sztuka stosowana" pp. J. Czajkowski, Tichy i i.

Niesposób wymieniać dziś wszystkich twórców, wnoszących talent, smak i doświadczenie w nasze kilimkarstwo, jest ich bowiem legjon. Niesposób zatrzymać się przy każdej wartościowej pracowni. Rozsadziłoby to ramy zwykłego artykułu do rozmiarów broszury, zresztą znamy je, jak wspomniałam z wystaw i prasy. Wiemy, że Polska zawdzięcza kilimom wiele sukcesów na zagra-

nicznych wystawach i że są one najbardziej charakterystyczną dla nas gałęzią sztuki stosowanej.

Niestety! obecny kryzys i brak gotówki hamuje dziś rozwój kilimkarstwa, nie przez obniżenie się poziomu artystów tworzących, ale przez utrudnianie kontaktu z pracowniami. Możemy obserwować dziś powrotną falę kilimów najgorszego gatunku pod względem wzoru, kolorystyki i wykonania, — byle tanio, byle jak najtaniej. Wymagania szerokich warstw obniżają się przez to; równocześnie warsztaty o wysokich wartościach artystycznych tracą możność ekspansji. Miejmy nadzieję, że i obecne trudności będą tylko odskocznią do wyższego rozwoju.

Marja Zawadzka.

Od zeszytu następnego naczelnym redaktorem Przeglądu Powszechnego będzie Ks. Jan Rostworowski T. J. *Pod tym adresem prosimy kierować odtąd rękopisy, jak również wszelką korespondencję do naszej redakcji.*

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 4 lipca 1933.

Kilka myśli z powodu wielkiej rocznicy.

Wyłamanie się z orbity wpływów francuskich i przerzucenie się na stronę Habsburgów było ze strony Sobieskiego niewątpliwym politycznym błędem. Przymierze z Austrją nie dawało Polsce żadnej realnej korzyści — nawet nie dało jej platonicznej wdzięczności za ocalenie od zguby — a przyniosło jej czyto jako *lucrum cessans* czy jako *damnum emergens* bardzo dotkliwe straty. Przez oderwanie się od Francji traciła Polska jedyną, ostatnią w dziejach sposobność sparaliżowania rosnącej potęgi Wielkiego Kurfürsta i odebrania Prus Książęcych; służąc Austrji, wspomagała i broniła niechętnego zawsze i fałszywego sąsiada, który miał kiedyś na jej losach tak smutno zaciężyć; zrażając sobie Portę, brała na swe ramiona ciężar walki z Turkami i Tatarami, a walki tak ciężkiej, na długiej, nieobronnej granicy, że chcąc do tej walki koniecznie zyskać sprzymierzeńca, musiała zgodzić się w stosunku do Rosji na upokarzające i bardzo szkodliwe ustępstwa: z rozbiciem wreszcie francuskiego stronnictwa traciła poważne widoki na przeprowadzenie wewnętrznej, tak niesłychanie potrzebnej reformy.

A więc ze wszystkich stron szkody, i to tak ciężkie a wyraźne, że ten punkt zwrotny zagranicznej polityki polskiej pośrednio lub bezpośrednio wiąże się niewątpliwie nićmi przyczynowych związków z ostateczną katastrofą rozbiorów, a w każdym razie z tym stanem rzeczy, w którym rozbiory zrobiły się już po ludzku nieuniknione. A jednak... gdzież jest ten Polak, który zgodziłby się wykreślić z naszej historji odsiecz wiedeńską? Któż nie rozumie, że ten

wspaniały czyn wojenny, tak szlachetnie polski i tak głęboko chrześcijański, jest i na zawsze zostanie jedną z najjaśniejszych pereł w koronie naszych dziejów i jedną z najrzeczywistszych, niespożytych zasług dla całej kultury chrześcijańskiej?

Bo wystarczy na chwilę pomyśleć, coby się było stało, gdyby olbrzymia fala dziczy muzułmańskiej nie była się rozbiła o piersi polskich husarzy, gdyby na wieży św. Szczepana zamiast krzyża, zabłysnął półksiężyc, gdyby Wiedeń, jak to było w planach Mahometa IV, stał się nieomal w sercu Europy, potężną placówką tureckich wpływów?

Czy samolubne, tak wysoce niechrześcijańskie rachuby Ludwika XIV, choć może temu lub owemu państwu obiecywały bezpośrednie korzyści, byłyby powetowały nieobliczalne straty, jakie ponieść miała cała *civitas Dei* w środkowej i zachodniej chrześcijańskiej Europie?

Z tych lub owych ciasnych punktów widzenia można wyrzucać Stolicy Apostolskiej, że przez szereg długich wieków nieomal nie umiała widzieć innego niebezpieczeństwa, jak zalew grożący Zachodowi od wzbierającej fali Islamu i że nie przestała nawoływać do walki z pohańcem za wszelką cenę. Ale historja, wielka, powszechna historja świata nie może nie przyznać jej racji. Bo tureckie podboje — wystarczy iść na mapie ich śladem — to ruina kulturalnego życia, to zasadnicze obniżenie moralności, to jakaś trucizna upodlenia w żyły podbitych ludów wszczepiana, to odchrześcijanienie tak głębokie, że z tureckiej formy muzułmaństwa niesłychanie trudno powraca się do religji Krzyża. Arabskie panowanie stworzyło, przynajmniej na krótko, wspaniały rozwój sztuki i wiedzy, którym zasiliła się w hojnej mierze kultura europejska. Ale co dali światu Turcy? To co zostawia po sobie cofająca się fala ich zaboru może być próbką kulturalnej treści ich życia. Albo zupełne zamarcie, jak w kwitnącej niegdyś, Afryce północnej, albo nieustający zamęt, jak w bałkańskim kotle, albo niewysychająca krew, jak w nieszczęsnej Armenji.

Szła więc na Europę, bynajmniej nie fikcyjna, w imaginacji Papieża, ale najrzeczywistsza groza, gdy nieprzeliczone wojska Kara Mustafy, pewne zwycięstwa, stanęły

u murów Wiednia. Gdyby z jego zdobyciem znalazły się pod berłem Padyszacha olbrzymie i bogate kraje gdzieś od Krymu, poprzez Besarabję, dzisiejszą Rumunję, cały Bałkan po Adrjatyk, południowe i środkowe Węgry, Chorwację i Słowenję aż pod granice Czech i Bawarji — byłaby zaciążyła nad chrześcijaństwem tak wroga a tak ogromna potęga, że rozwój królestwa Bożego opóźniłby się był o kilka wieków.

Skierowany więc do Sobieskiego okrzyk Nuncjusza: Ratuj chrześcijaństwo! nietylko nie był czczą frazeologją, ale nie mieścił w sobie żadnej przesady.

I jest to dla nas wielką łaską Bożą, jest to Króla-bohatera wiekopomną chwałą i zasługą, że odkładając na bok czysto polityczne rachuby, wołania tego usłuchał. Tysiąc racyj i uczuciowej i trzeźwo realnej natury mogło ten czyn odradzać, ale przemówiły za nim i Bogu dzięki skutecznie, te wyższe i szersze względy, które spotyka się czasem w historji świata jakby tchnienie Ducha Bożego, niosące ze sobą *sursum corda.* Odsiecz wiedeńska jest jednym z ostatnich w dziejach Europy a najpiękniejszych aktów tego wspaniałego uniwersalizmu chrześcijańskiego, którego brak tak strasznie zaciężył na pokoju i kulturze świata. Powinniśmy być z głębi serca Bogu wdzięczni, że akt ten spełniła nasza Ojczyzna.

I dlatego mogą nam być zupełnie obojętne czyto dawna i dzisiejsza niewdzięczność ocalonego Wiednia — o większe przecież rzeczy niż o Austrję chodziło — czy „trzeźwe" głosy historyków wykazujących złe strony austrjackiego przymierza. My wiemy, że siadając na koń na „wiedeńską potrzebę" dokonał Sobieski wielkiego, wspaniałego, głęboko chrześcijańskiego czynu, a takie czyny nie padają nigdy daremnie na szale zrządzeń nieśmiertelnego Króla wieków. I jakkolwiekby odsiecz wiedeńska popchnęła nas nas na tę pochyłość, która skończyła się upadkiem, z pewnością była ona jedną z głównych zasług, wołających dla nas o zmartwychwstanie.

I w duszach całych pokoleń budziła ona niezłomną otuchę. Kiedy przez dwa wieki całe gromady Polaków

oglądały u stóp krucyfiksu Jadwigi na Wawelu wiszące złote strzemię wielkiego wezyra, mimo głębokiego smutku lat niewoli, odzywało im się w duszy jakieś dalekie echo krótkiego poselstwa, jakie Innocentemu XI posłał z pod Wiednia Król-zwycięzca: *Deus vincet.*

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Udział Polski w odsieczy wiedeńskiej.

Na marginesie dzieła Pastora p. t. *Geschichte der Päpste.*

Dnia 12 września 1933 r. upływa 250 lat od wspaniałego triumfu oręża chrześcijańskiego nad półksiężycem, od zwycięskiego powstrzymania i unicestwienia ostatniego zamachu Turków na chrześcijańską kulturę Europy. Triumf ten zawdzięcza Europa nadludzkim wprost wysiłkom papieża Innocentego XI, ofiarności książąt-elektorów niemieckich, a przedewszystkiem potężnemu czynowi orężnemu króla Polski, Jana III Sobieskiego. Im większe były zasługi Sobieskiego, im ważniejszą rolę ten „Lew Lechistanu" w uwolnieniu Wiednia odegrał, tem bardziej zadziwiają, godne lepszej sprawy, wysiłki niektórych historyków niemieckich, podejmowane w celu przygłuszenia sławy jego imienia, która obiwszy się o stoki Kahlenbergu i zrujnowane mury Wiednia, rozgłośnem echem napełniła całą Europę. Ta dążność do uszczuplenia zasług Sobieskiego, nie znajdująca zupełnie poparcia i uzasadnienia w źródłach współczesnych, pojawiała się często w dziejopisarstwie niemieckiem a niedawno znalazła swój wyraz w słynnej historji papieży, nieżyjącego już dzisiaj, Ludwika Pastora.[1])

Przedstawienie odsieczy wiedeńskiej w tem dziele wychodzi na niekorzyść Polski a co gorsze, mija się z prawdą. Autor oparł się na opracowaniach przeważnie przestarzałych i tendencyjnych, nie wyzyskał natomiast bogatego ma-

[1]) Pastor Ludwig, *Geschichte der Päpste,* T. XIV, cz. II, Freiburg im Breisgau 1930.

terjału źródłowego już opublikowanego, choćby przez Franciszka Kluczyckiego,[1]) którym zresztą rozporządzał.[2]) Objektywny sąd o Sobieskim, na jaki zdobyli się inni, nietylko polscy i francuscy ale także niemieccy historycy,[3]) dla Pastora nie przedstawia wartości. Dokumenty współczesne, któreby go zmusiły do innego oświetlenia sprawy, całkowicie pominął.

Zdaniem Pastora[4]) armja polska nie odegrała w bitwie wiedeńskiej roli czynnika decydującego o zwycięstwie. Była ona liczebnie zbyt słabą, wynosiła bowiem zaledwie 26.000 żołnierza, zamiast 40.000, jakie Sobieski na mocy przymierza miał przywieść ze sobą. Jej postawa bojowa nie odpowiadała pokładanym w niej nadziejom, gdyż przy pierwszem zaraz jej starciu z nieprzyjacielem poczęła się chwiać i cofać, tak że zastępy wojsk cesarskich wspierać ją musiały. Z Sobieskim musiano postępować bardzo oględnie, zapomnieć o własnych urazach, znosić w milczeniu kaprysy, i nie zwracać uwagi na nieodpowiednie kroki tego chciwego sławy człowieka. Trudne to zadanie przypadło w udziale Karolowi księciu Lotaryngji, naczelnemu wodzowi wojsk cesarskich, który dzięki swej szlachetności i trosce o dobro całego chrześcijaństwa, znalazł *modus vivendi* z Sobieskim. Spotkanie ich było wprawdzie przykre, zwłaszcza dla Karola, rywala Sobieskiego w czasie elekcji na króla Polski, tembardziej, że król domagał się natarczywie naczelnego dowództwa w walce z Turkami. Ale szlachetny cesarz Leopold I, na prośby kapucyna Marka d'Aviano, zaniechał zamiaru przybycia do armji chrześcijańskiej i objęcia nad nią dowództwa, a Karol taktem swoim i uprzejmością sprawił, że Sobieski przyjął plan bitwy, opracowany przez niego. W czasie walki faktyczne dowództwo nad zastępami cesar-

[1]) Kluczycki Franciszek, *Akta do dziejów króla Jana III sprawy roku 1683 a osobliwie wyprawy wiedeńskiej wyjaśniające, (Acta historica res gestas Poloniae illustrantia* Vol. III), Kraków 1883.

[2]) Dowodzi tego przypis 2 na str. 794 we wspomnianym tomie Pastora.

[3]) Mourret Fernand, *L'Ancien Régime* XVII—XVIII (siècles), Paris 1920, str. 255, 256; Zivier, E., *Neuere Geschichte Polens,* Gotha 1915, str. 207; Hanisch Erdmann, *Die Geschichte Polens,* Bonn-Leipzig 1923, str. 236.

[4]) Pastor, str. 787—794.

skiemi sprawował książę Karol, Sobieski nominalnie dowodził całą armją, w rzeczywistości zaś tylko prawem, polskiem skrzydłem. Główną zasługę wygranej przypisywał sobie król, należy ją jednak oddać Karolowi, który obmyślił plan natarcia i nie bacząc na głód, oraz na niewyspanie, osobistą obecnością swoją czuwał nad jego wykonaniem, a wkońcu rozstrzygającem natarciem na centrum tureckie rozbił nieprzyjaciela, zmusił go do ucieczki i przechylił szalę zwycięstwa na stronę armji chrześcijańskiej. Sobieski zawładnął obozem tureckim wraz ze znajdującemi się w nim skarbami i pierwszy, jeszcze przed przybyciem cesarza, odbył wjazd do Wiednia, chcąc w ten sposób pozyskać tytuł oswobodziciela stolicy, „co szlachetny Leopold zniósł w milczeniu".

Tak w skrócie przedstawia się pogląd Pastora na udział Polski w wyprawie wiedeńskiej. Powszechnie cenione dzieło Pastora, drukowane w czterech językach, rozchodzi się w tysiącach egzemplarzy po całym świecie, znajduje wielu nabywców i u nas w Polsce. Łącznie z tem szerzy się błędne zapatrywanie na tak doniosłe w skutki wydarzenie, jakiem był triumf wiedeński. Na pociechę powiedzieć sobie jednak musimy, że obraz Pastora zbyt odbiega od rzeczywistości, że autor nie chciał, czy nie umiał wyzyskać wszystkich środków, jakie miał pod ręką, któreby mu pozwoliły odtworzyć prawdę objektywną. Wykazują one dowodnie, że czyn Polski w zwycięstwie wiedeńskiem był naprawdę potężnym i ostatnim wspaniałym blaskiem zachodzącego już słońca świetnej Rzeczypospolitej Polskiej.

Wobec zbliżającej się rocznicy tego faktu, pragniemy w krótkiej rozprawie, opartej na zignorowanych przez Pastora materjałach współczesnych, wydanych przez Kluczyckiego, przedstawić tę sprawę we właściwem świetle.

Rywalizacja Austrji i Turcji o panowanie nad Węgrami i Siedmiogrodem była stałem zarzewiem wojny między temi państwami. Niebezpieczeństwo, grożące Austrji, wzrosło od czasu, kiedy rządy w Turcji przeszły w ręce wojowniczo usposobionych wielkich wezyrów z rodziny Köprili.

W jesieni 1682 r. poczęła się Turcja gotować do rozstrzygającej rozprawy orężnej z cesarstwem. Wtedy cesarz

Leopold I oglądnął się za sojusznikami. Naturalnym jego sprzymierzeńcem w tym względzie mogła być przedewszystkiem Polska, zwana „przedmurzem chrześcijaństwa". W ustawicznych zmaganiach z Portą odnosiła ona przeważnie zwycięstwa, jej rycerstwo w krwawych starciach z pohańcem było doskonale wyszkolone, a król Jan III Sobieski wysłużył sobie opinję nieustraszonego rycerza, a zarazem doświadczonego i najlepiej może w Europie znającego Turków, wodza. Polskę wiązało podówczas przymierze z Francją, sprzyjającą Turcji, a wrogo usposobioną względem cesarstwa. Ale, wobec interwencji papieża Innocentego XI, Sobieski zerwał sojusz z Francją i wstąpił do ligi przeciwtureckiej, utworzonej i subwencjonowanej pieniężnie przez papieża.

Dnia 31 marca 1683 r. zawarto w Warszawie przymierze zaczepno-odporne między Austrją a Polską, wymierzone przeciw Turcji.[1]) W razie wojny z Turcją cesarz zobowiązał się wystawić 60 tysięcy żołnierza, Polska zaś miała dostarczyć 40 tysięcy. Gdyby Turcy przystąpili do oblężenia Wiednia lub Krakowa, strona bezpośrednio nie napadnięta obowiązana była do spieszenia z pomocą stronie zagrożonej. Naczelne dowództwo nad armją zjednoczoną przypadnie temu władcy, który ze swem wojskiem osobiście stanie na placu boju.[2]) Sejm polski zatwierdził ten traktat 17 kwietnia 1683 r.,[3]) o czem senat zawiadomił natychmiast papieża.[4])

Tego samego dnia, w którym podpisano przymierze, wyruszyła z Adrjanopola potężna armja turecka, pod osobistem dowództwem wielkiego wezyra Kara Mustafy, który szedł na wojnę w przekonaniu, że „miecz jego z woli Allacha rzuci cień na świat cały". Po krótkim postoju w Bel-

[1]) Foedus offensivum et defensivum inter Leopoldum Imp. etc. et Johannem III Regem, *Actum Varsaviae* 31 Martii 1683, Kluczycki, Op. cit., n. 33, str. 63—70.

[2]) „In quantum vero utriusque Partis consensu contingeret, alterutram Maiestatem in Castris fore praesentem, eo casu generalis gubernatio penes praesentem foret". Kluczycki, Foedus, str. 69.

[3]) Copia Scriptu ad Archivum Seymu 1683 dnia 17 Aprilis, Kluczycki, n. 38, str. 80—86.

[4]) Litterae ad Innocentium XI P. P., nomine Senatus ab Episcopo Cracoviensi datae Varsaviae 19 Aprilis 1683, Kluczycki, n. 40, str. 89.

gradzie rozpoczęły marsz zastępy tureckie, liczące przeszło 160.000 ludzi zdatnych do boju i nieprzejrzane gromady ciurów obozowych. Ożywiał ich duch głoszonej im „wojny świętej", mającej zgnębioną Austrję podbić pod władztwo proroka. Potęga turecka, podobnie jak wyniosła fala morska, zalewała stopniowo i pogrążała w topieli kraj cały i zmierzając w kierunku na Wiedeń, pędziła przed sobą nieliczne oddziały wojsk cesarskich, które okazały się zupełnie niezdatnemi do jej powstrzymania. W stolicy Austrji, zagrożonej już bezpośrednio, zapanowała panika i rozpoczęła się tłumna ewakuacja. Sam cesarz, nie mogąc się narażać na ewentualną niewolę, przeniósł się ze swym dworem do Lincu.

Oddziały janczarów, idących w przedniej straży wojsk tureckich, ukazały się 12 lipca pod murami Wiednia. Głównodowodzący wojsk cesarskich, książę Lotaryngji Karol V, wysłał w ostatniej chwili do miasta 10 tysięcy żołnierzy i oddał ich pod komendę dzielnego hr. Rüdigera von Starhemberg, sam zaś z resztą wojska pozostał wpobliżu Wiednia. Energiczny komendant Starhemberg zawezwał mieszczan do prac fortyfikacyjnych, innych pod broń, oraz natchnął wszystkich duchem męstwa i pragnieniem obrony za wszelką cenę. Dnia 14 lipca główne siły tureckie opasały Wiedeń silnym pierścieniem i oblężenie się rozpoczęło.

Wypadki te pogrążyły cesarza Leopolda w zupełną depresję duchową, której dał wymowny wyraz w liście swym, pisanym 18 lipca [1]) do przysłanego mu przez papieża, świątobliwego kapucyna Marka d'Aviano, z którego wyjątki przytaczamy: „Wojsko moje nietylko nie było w stanie odnieść jakiegoś zwycięstwa nad wspólnym wrogiem chrześcijaństwa, lecz co gorsza musiało się ustawicznie cofać... Wyznaję, że na te ciosy zasłużyłem przez niedbalstwa i winy swoje własne, oraz moich wasalów a nieszczęsny Wiedeń słuszną ponosi karę za swoje grzechy... Chciałem opisać Wielebności Waszej to nasze opłakane położenie i otworzyć przed nią wszystkie tajniki mego serca a to w tym celu, by W. W. modlitwami swemi przebłagała sprawiedliwość

[1]) Litterae Leopoldi I Caesaris ad Marcum d'Aviano, Passavia li 18 Lulio 1683, Kluczycki, n. 93, str. 172—174.

Boga i zjednała nam Jego miłosierdzie... Ach, Ojcze mój, któżby był przypuścił, że kiedyś znajdę się w tak ciężkiem położeniu?... Wszystkie nasze kłopoty polecam modlitwom W. W., a szczególnie nieszczęsny Wiedeń, ażeby nie wpadł w ręce barbarzyńców, bo obawiam się, że gdy to nastąpi, wtedy wszystko stracone".

Po Bogu liczył cesarz najwięcej na pomoc Sobieskiego. W tym celu dnia 5 lipca wysłał do niego hr. Thurna, któremu polecił przedstawić królowi grozę niebezpieczeństwa tureckiego i starać się go nakłonić, by możliwie najszybciej spieszył z pomocą.[1]) Dnia 17 lipca znowu, gdy oblężenie Wiednia już się rozpoczęło, przesłał swemu rezydentowi w Polsce, baronowi Janowi Krzysztofowi Zierowskiemu instrukcję z nakazem uwiadomienia Sobieskiego, że wielki wezyr z całą swą potęgą przekraczającą 150.000 żołnierzy oblega rzeczywiście Wiedeń, przyczem Zierowski miał wpłynąć na króla, by spełnił obowiązek, jakiego się podjął, zawierając przymierze.[2])

O tę pomoc ustawicznie też błagał naczelny wódz wojsk cesarskich Karol książę Lotaryngji. Gdy marszałek nadworny Hieronim August Lubomirski z rozkazu króla przybył do obozu cesarskiego pod Wiedniem, książę natychmiast odbył z nim konferencję, na której przedstawił mu położenie wojsk swoich i Wiednia, skwapliwie wypytywał go o posiłki oraz, jak marszałek pisał do króla:[3]) „prosił mnie bardzo, abym pocztą biegł do Waszej Królewskiej Mości, iako iest wielka potrzeba, żebyś W. Kr. Mość iako nayprędzey ratował ten zgubiony kray, y dał odsiecz miastu temu, o którym iakoby powątpiewa, żeby się mogło dłużey trzymać... Który (Karol) w iednym tylko posiłku W. Kr. Mości widzi nadzieię ratunku; a ieżeli W. Kr. Mość nie wesprzesz zdesperowanych rzeczy tutecznych, niepochybnie y to miasto zginie. Wszyscy tu ręce opuścili, y są prawie bez rady...". Do listu marszałka Lubomir-

[1]) Thurn in Poloniam mittitur ad auxilia maturanda, Kluczycki, n. 82, str. 164.

[2]) Instrukcja udzielona Zierowskiemu, Kluczycki, n. 92, str. 172.

[3]) Kopia listu JMści Pana Marszałka Nadwornego, z obozu pod Wiedniem 21 Julii 1683, Kluczycki, n. 105, str. 182—185.

skiego dołączył książę i swoje pismo,[1]) zawierające prośbę o pomoc.

Odtąd w miarę sukcesów, jakie nieprzyjaciel, mimo męstwa Starhemberga i Wiedeńczyków, odnosił, mnożą się listy Karola i coraz bardziej błagalną i ugrzecznioną przybierają formę. Warto zapoznać się przynajmniej z niektóremi, bardziej charakterystycznemi ich ustępami. I tak 31 lipca[2]) pomiędzy innemi pisał do króla: „Moją nadzieją i gorącem pragnieniem jest zobaczyć,[3]) jak armja chrześcijańska pod wodzą Waszego Majestatu rozbije w puch najniebezpieczniejszego wroga i uwolni od niego posiadłości austrjackie. Jestem przekonany, że na tem polu będę miał sposobność zaskarbienia sobie jeszcze wyższego stopnia łaskawości i wspaniałomyślności Waszego Majestatu". Dnia 5 sierpnia: „Niczego bardziej nie wyczekuję, jak wiadomości, że Majestat Wasz ciągnie z wojskiem ku nam, abyśmy dzięki jego obecności, męstwu i najwyższemu doświadczeniu w sprawach wojennych nabrali pewności siebie i mogli odpędzić wroga dla dobra chrześcijańskiego imperjum i spotęgowania sławy imienia Waszego Majestatu".[4]) Następnego dnia pisał do hetmana koronnego Mikołaja Sieniawskiego:[5]) „Zapewniam Waszą Ekscelencję, że... wszelkie moje wysiłki zmierzają tylko do tego, by przygotować wszystko, coby mogło przyczynić się do zwycięstwa nad Turkami, którego sława przypadnie w udziale królowi i narodowi polskiemu". W tę samą strunę uderza w dalszych listach do króla z 7 a zwłaszcza 15 sierp-

[1]) Copia litterarum Ser. Ducis Lotar. die 21 Iulii ex castris ad pontes Danubianos, Kluczycki, n. 104, str. 181.

[2]) Carolus Dux Lotharingiae Joanni III Poloniae Regi, 31 Iulii 1683, Kluczycki, n. 126, str. 216—220.

[3]) Podkreślenia pewnych myśli nie istnieją w tekstach oryginalnych.

[4]) Carolus Dux Loth. Joanni III Regi Poloniae, Kluczycki, n. 132, str. 229—231.

[5]) Dux Loth. Nicolao Sieniawski, 6 Augusti 1683, Kluczycki, n. 134, str. 231—232: „...à une victoire contre les Turcs, dont la glorie sera due au Roy et à la nation Polonoise".

nia:[1]) „Gorąco proszę Majestat Wasz, by zechciał Swoje przybycie przyspieszyć i ze swem doborowem wojskiem stanąć przy nas osobiście, aby pod Jego dowództwem znękany Wiedeń uzyskał pomoc, a świat chrześcijański ratunek". Prosi przytem, by król wysłuchał wszystkiego, co jego poseł hr. Caraffa opowie, gdyż pragnie, by król był wtajemniczony we wszystko, co uznał za przydatne „do wzrostu chwały imienia królewskiego, przez szczęśliwe i udatne uwolnienie Wiednia".

Taniej monety, do jakiej zaliczają się komplementy dyplomatyczne, nie szczędził Sobieskiemu i cesarz Leopold, dzwoniąc przytem mocno na alarm. „Nad wyraz miłą nam była wiadomość", pisał do króla 3 sierpnia,[2]) „że Majestat Wasz, odkładając na bok swoje inne plany, zgromadziwszy z wielkim pośpiechem i wyposażywszy swoje wojsko, szybkiemi pochodami dąży, by zamknięty najściślejszem oblężeniem Wiedeń wyrwać z paszczy barbarzyńskiego wroga... Błagamy M. W., by zechciał jak najspieszniej kroczyć drogą, na jaką wstąpił, na niej bowiem, przez przybycie z odsieczą i uwolnienie Wiednia, może M. W. zdobyć chwałę dla swego imienia na wieczne czasy i dosyć ścisłe węzły przyjaźni, jakie nas już z Waszym Majestatem łączyły, jeszcze ściślej z Waszym rodem królewskim zacieśnić". W liście zaś z 13 sierpnia[3]) wyrażał Leopold swe przekonanie,

[1]) Litterae Caroli Ducis Loth. ad Joannem III Regem Pol., Datum in Campo Imperiali ad Angram, die 15 Augusti 1683, Kluczycki, n. 149, str. 255: „Ideoque enixe rogo Vestram Maiestatem, ut accelerare suum motum velit, nobisque personaliter cum primis copiis sui exercitus assistere, ut Ea duce Viennae periclitanti succurratur... ut nihil eorum lateat Vestram Maiestatem, quae suo nomini suaeque gloriae incremento in felici et fortunata Viennae liberatione conducere putavi".

[2]) „Siquidem hac suppetiarum praestatione, liberatae assertaeque Urbis Viennae gloriam sibi cum aeterno nominis decore parare, animumque nostrum Serenitati Vestrae pridem auctius (sic!) devinctum, magis magisque Regiae suae prosapiae obstringere valeat". Leopoldus I Imp. Ioanni III Regi Pol., Passavii 3 Augusti 1683, Kluczycki, n. 127, str. 220—221.

[3]) Serenissimo et Potentissimo Principi Domino Joanni Tertio, Regi Poloniae, Fratri ac Vicino Nostro, charissimo, Leopoldus, Passavii 13 Augusti 1683, Kluczycki, n. 147. str. 252—253.

że Sobieski, „zbliżając się na czele świetnych oddziałów, doskonale wyćwiczonego wojska, wyrwie Wiedeń z paszczy barbarzyńców"; objawiał przytem swą wielką radość z przybycia „tak dostojnego gościa i sojusznika" oraz życzył mu „pomyślnego wyniku wyprawy". Podobne uczucia wypowiedział w następnem piśmie z 24 sierpnia.[1])

Znamiennem jest, że w żadnym ze współczesnych listów nie było dotąd wzmianki o zamiarze cesarza przybycia pod Wiedeń i wzięcia osobistego udziału w walce z Turkami. W wojsku jednak cesarskiem, niewiadomo, czy z powodu szemrania, czy też dla podniesienia ducha, poczęto w drugiej połowie sierpnia szerzyć wieść o rzekomym zamiarze cesarza wzięcia udziału w walce. Pierwszy zanotował to poseł angielski Franciszek Taaffe w liście do swego brata.[2]) Później w miarę zbliżania się Sobieskiego pod Wiedeń wieść ta będzie zataczała coraz szersze kręgi, zbożny zamiar swój wyjawi i sam cesarz ale zamiar ten rozgłaszany jedynie dla wywołania odpowiedniego nastroju w wojsku, zupełnie się nie urzeczywistnił, chociaż cesarza od wojska dzieliła bardzo mała odległość.

Sobieski, przewidując oblężenie Wiednia, począł się przygotowywać do wojny jeszcze przed otrzymaniem alarmujących listów z Austrji, choć go do tego przymierze nie obowiązywało. Sejm uchwalił wystawienie wojska koronnego w sile 34.540 ludzi, w czem samych pancernych obliczano na 116 chorągwi, t. j. 14.460 konnicy ciężko zbrojnej.[3]) Piętnaście tysięcy wojska miała dostarczyć Litwa. Uniwersały, rozpisane przez króla, nakazywały ściąganie wojsk w kie-

[1]) Al Serenissimo Re di Polonia Signore Fratello et Vicino mio Amantissimo, Passavia 24 Aggosto 1683, Kluczycki, n. 180, str. 293.

[2]) For the Earl of Carlingford at London, From the camp at Angrem (sic) August 17, 1683; Kluczycki, n. 160, str. 267—268: „they assure us that the Emperor intends to be with us in person, and I heartily wish it for his greater glory".

[3]) Komput Woyska J K Mści y Rzptey podług uchwały na Seymie 1683 uczyniony i postanowiony; Kluczycki, n. 212, str. 335—341. Pastor (str. 791), opierając się zapewne na relacji Taaffego oblicza siły polskie na 26.000, zapominając o tem, że Taaffe podał tę cyfrę na miesiąc przed bitwą wiedeńską.

runku Krakowa. Już dnia 16 czerwca, a więc na miesiąc przed przybyciem Turków pod Wiedeń, donosił papieżowi nuncjusz polski,[1]) że Sobieski nosi się z zamiarem odbycia za kilka dni pielgrzymki do Częstochowy, by przez uproszenie pomocy Boga za pośrednictwem Matki N., dać dobry początek wyprawie wojennej.

Ale gromadzenie wojska, ze względu na rozległość kraju i rozłożenie oddziałów na kresach północnych i wschodnich Rzeczypospolitej, było bardzo utrudnione i zwolna postępowało naprzód. Wobec tego jeszcze na dwa tygodnie przed oblężeniem Wiednia rozesłał król cyrkularze na ręce hetmanów i wojewodów z nakazem przyspieszenia koncentracji wojsk, o czem świadczy relacja nuncjusza z 30 czerwca.[2]) Pielgrzymka do Częstochowy doszła do skutku dopiero 25 lipca, gdzie u stóp cudownego obrazu spędził król ze swym dworem cały dzień na modlitwie.[3]) Tymczasem Sobieski nie spuszczał oka z Wiednia i w licznych swych listach do Karola Lotaryńskiego starał się krzepić go na duchu, obiecywał możliwie szybki wymarsz a zarazem, korzystając z wielkiego doświadczenia nabytego w ciągłych krwawych zapasach z Turkami, udzielał mu różnych strategicznych wskazówek.[4])

Wreszcie, nie mogąc się doczekać przybycia Litwy, postanowił wyruszyć pod Wiedeń z samem wojskiem koronnem. Dnia 10 sierpnia odbyło się w Krakowie uroczyste nabożeństwo, po którem nuncjusz w asyście pięciu biskupów udzielił królowi i rycerstwu błogosławieństwa na wyprawę i wręczył Sobieskiemu szablę przysłaną mu przez papieża.[5]) Tegoż dnia wysłał Sobieski naprzód poszczególne oddziały a sam podążył za niemi 15 sierpnia w święto

[1]) Relatio Nuntii Aplci ad Secretariatum Status, Varsavia 16 Giunio 1683, Kluczycki, n. 68, str. 150—151.

[2]) „Ha Sua Maestà scritto a' Generali e ai Palatini una lettera circolare per accelerare la radunanza dell' essercito". Relatio Nuntii Aplci ad Secr. Status, Varsavia 30 Giugno 1683, Kluczycki, n. 76, str. 161—162.

[3]) „Częstochoviae tota die devotioni indulsimus". Jacobi Poloniae Principis Diarium expeditionis Viennensis, Kluczycki, n. 348, str. 617.

[4]) Listy Sobieskiego do Karola Lotar. Kluczycki, n. 108, 116, 135, 142, 182.

[5]) Jacobi Pol. Pr. Diarium, Kluczycki, str. 617—618.

Wniebowzięcia Matki B. W czasie marszu dawał on ustawicznie dowody swej wiary i gorącej pobożności, słuchając przy każdej sposobności Mszy św., odprawianej dlań przez jezuitę Przeborowskiego i odwiedzając napotykane po drodze miejsca cudami słynące, jak np. kościół jezuitów z cudownym obrazem Matki B. w Piekarach.[1])

Karol Lotaryński, dowiedziawszy się o pochodzie wojsk polskich, pisał listy do ich dowódców, by spiesznie przybywali do jego obozu. Sobieskiemu jednak ta gra Karola wydała się dość podejrzaną i dlatego zabronił im rozpoczynać jakichkolwiek kroków wojennych bez jego rozkazu. Domyślał się widocznie, że książę żywi ukryty zamiar, który zresztą wyjawił we wspomnianym liście poseł angielski Taaffe, dokonania odsieczy Wiednia z pomocą oddziałów polskich, ale na własną rękę i bez udziału króla. Wobec zdecydowanej postawy Sobieskiego, zrzekł się jednak tego ryzykownego zamiaru.[2])

Gdy król szybkiemi pochodami zbliżał się do Wiednia, Karol pospieszył go przywitać i omówić z nim plan bitwy. Spotkanie nastąpiło dnia 31 sierpnia w Oberhollabrunn. Przyjazd jego był zupełnie niespodziany. Król, chcąc mu pokazać, z jakiemi siłami dąży na pomoc „zordynował woysko, y przyiął Xiążęcia przed Usarską Hetmana Polnego Chorągwią w pięknym porządku, który, że się mógł stać w momencie, rzecz była godna podziwienia. O kilkadziesiąt kroków zsiadł Xiążę z konia, y pieszo szedł ku królowi, który kiedy się iuż przed konia zbliżył zsiadłszy prędko, obłapił Xiążęcia a potem obadway iechali przed woyskiem".[3]) Przyjęcie, jakiego doznał książę ze strony króla, nie skończyło się na tej oficjalnej ceremonji. Sobieski z właściwą sobie serdecznością zaprosił go na ucztę. Karol zachowywał się z początku z rezerwą, ale ujęty postępowaniem króla,

---

[1]) Diarium Artileriae Praefecti, Kluczycki, n. 347, str. 581.

[2]) Kluczycki, n. 155, 160, 165, 184, 187: „Dlatego tak pospieszam, bo P. Marszałek Nadworny cudownie naglił na P. Wojewodę Wołyńskiego, aby się z nim i z X. Lotaryńskim łączył i o toż i sam Xiążę Lotar. do niego pisał, aby co przed nami uchwycić, albo podrwić" i t. d. (Kluczycki, str. 301).

[3]) Diarium Art. Praef., Kluczycki, str. 583 584.

nabrał humoru i ochoczo spełniał kielichy na zdrowie króla i hetmanów. Gdy wreszcie nie znając siły węgrzyna, opowiada Sobieski [1]): „już sobie podpił, tedy po różnych komplementach pytał, jak się zowie po polsku ojciec i brat. Powiedziano mu. Tedy powtórzył to z pięćset razy, pokazując na mnie: „To ojciec, a ja syn, a wy bracia moi". To bratanie się z królewiczem Jakóbem i hetmanami trwało „kilka godzin... Niepodobna to wyrazić takiej wesołości, takiego ukontentowania, jako ci ludzie pokazowali. Vivat ustawicznie, wynoszenie nas *jusqu'aux nues,* tam jeszcze gdzieś wyżej pod niebiosa. Absolument w najmniejszej rzeczy chcą słuchać ordynansów. O tym dniu, który P. Bóg przeznaczył do zejścia się z nieprzyjacielem, wszystek był zrazu dyskurs z wielkiem ukontentowaniem, że mnie będą mieli *à leur tête.* Owo (Karol) zgoła jest człowiek, z którego się fantazyą moja barzo łacno zgodzi, i godzien większej daleko fortuny". Z opowiadania Sobieskiego (jedynej istniejącej relacji o spotkaniu z Karolem) widać, że książę Lotaryński albo całkowicie nie żywił do niego urazy, o to że odniósł nad nim zwycięstwo podczas elekcji na króla polskiego, albo niezbyt głęboko ją chował, co zresztą potwierdzają przytoczone wyżej wyjątki z listów księcia do króla. W przeciwnym bowiem razie należałoby uważać Karola za zamaskowanego aktora doskonale odgrywającego swą rolę dla osiągnięcia zgóry upatrzonych korzyści. Pogląd ten znowu stanąłby w oczywistej sprzeczności z opinją historyków, przyznających księciu wysoki stopień szlachetności.

Szybko minęły chwile radosne, poważna, budząca troskę rzeczywistość domagała się czynu. Dnia 3 i 4 września w Stödldorf odbyła się narada wojenna, w której wzięli udział Sobieski, hetmani i wojewodowie oraz książę Karol z elektorami i generałami cesarskimi. Na samym wstępie musiał król godzić elektorów, sprzeczających się o pierwszeństwo w przemawianiu i o miejsce w szyku bojowym. [2]) „Tu daleko większa *difficultas,* gdzie i czyie woysko ma stanąć

[1]) Joannes III Rex ad Reginam ex itinere 31 Augusti 1683, Kluczycki, n. 206, str. 325—331.

[2]) Uwiadomienia z Stumdorfu sub data 1683 Sept. 4, anonymi auctoris, Kluczycki, n. 215, str. 348—350.

w szyku, niźli z samą woyną. Także kto ma mówić *in consilio* etc. W tym *difficultas* wielka... że każde woysko chce być w kupie, a mieszaćby ich potrzeba, ile na taką imprezę y na takiego nieprzyiaciela; bo tu siła będzie barzo wielka takiego woyska, który nietylko Turczyna, ale żadnego ieszcze nie widzieli nieprzyiaciela. Xiążęta tedy... biorą sobie środek, Królowi zaś JMci Polskiemu z Cesarskimi zostawuią dwa skrzydła. Musi tedy Król JM *per honorem* wziąć prawe skrzydło, jako nayniebezpiecznieysze, y stąd attakować będzie; lewe zaś dostanie się skrzydło Cesarskim od Dunaiu; ztąd żadnego na nich nie będzie attaku, a ludzie są naylepsi y naybitnieysi. Król JM nigdy nie próżnuye, ale *convocatis Senatoribus et viris bellicis* często pracuie około delineacyi bataliey, y iako maią *aggredi* Turczyna pod Wiedniem przez lasy". Owocem tej pracy był *l'ordre de la bataille,* [1]) spisany własną, bardziej do ciężkiej szabli rycerskiej, niż do gęsiego pióra, przywykłą ręką Sobieskiego. W czasie narady wojennej niewiadomo, co bardziej podziwiać należy: czy ustępliwość króla wobec krzykliwych książątek niemieckich, zapominających o przymierzu, którego tekst niedawno przesłała kancelarja cesarska na ręce księcia Lotaryńskiego, [2]) a które oddawało Sobieskiemu naczelną komendę, a konsekwentnie na książąt nakładało obowiązek subordynacji żołnierskiej; czy ofiarność króla biorącego na swe barki zadanie najtrudniejsze do spełnienia; czy wreszcie lekkomyślność książąt, targujących się zawzięcie o pierwszeństwo w chwili, kiedy Wiedeń gonił już ostatkami sił? Krótko i po żołniersku opisał to Sobieski w liście do żony [3]): „A tembardziej teraz, kiedy Vienne jest już *fort pressée,* i u Dunajskiej już stoimy przeprawy, kiedy nieprzyjaciel już tylko o mil cztery, a cóż dopiero ceremonje nieszczęsne, adjustamenty to tego, to owego, kto wprzód, kto na zadzie, kto po prawej, kto po lewej ręce; konsylia potem długie, flegma, nierychłe rezolucye, nietylko czasu nie pozwalają,

[1]) Przytacza go Kluczycki, n. 211, str. 333—335 i w dodatkach umieszcza facsimile tego aktu.

[2]) Na pytanie Karola, jak ma postępować wobec Sobieskiego przesłano mu w odpowiedzi tekst przymierza, Kluczycki, n. 145, str. 251

[3]) List z 4 września, Kluczycki, n. 214, str. 243.

ale przykrość i zgryzotę wielką przynoszą... Nie trzeba się było widzę obawiać, aby byli czego tu przed nami nie zaczęli; bo i teraz jeszcze niektórzy radziby albo zwlekli jeszcze jaki czas, albo zbytniego upatrują bezpieczeństwa: ale to nie nasi... O nas cale ani Węgrowie, ani Turcy nie wiedzą, ani wierzyć temu nie chcą; co bardzo dobrze na naszą stronę".

Po ukończeniu tych narad przystąpił Sobieski do przeprawienia swych wojsk przez Dunaj i do marszu w góry, by zajść Wiedeń od północy, od strony Kahlenbergu, skąd według opinji księcia Karola, konnica polska mogła bardzo dogodnie przypuścić atak na Turków. W pochodzie musiano pokonać szalone trudności, przy przeprawie przez ciągle psujące się mosty na Dunaju i „góry tak srogie a lasy, które przebywać potrzeba kilka razy na dzień" i to w okolicach „gdzie i źdźiebła słomy nie dostanie, nie tylko siana". Trudności te staną się bardziej zrozumiałe, gdy się zważy, że wojsko polskie składało się przeważnie z konnicy, nie mówiąc już o artylerji, która najwięcej w tym marszu ucierpiała.[1])

Dnia 8 września stanął Sobieski po drugiej stronie Dunaju. Korzystając ze zwłoki, spowodowanej przeprawą armji, wziął udział w nabożeństwie [2]) „gdzie nam dawał *Padre" Marco d'Aviano* benedykcyą, umyślnie tu przysłany przez Ojca św., Komunikował nas z rąk swych, mszę miał i exortę niezwyczajnym sposobem, bo pytał, jeśli macie ufność w Panu Bogu, i odpowiadaliśmy mu wszyscy, że mamy: potem kilka razy kazał za sobą mówić głośno: „Jezus Marya, Jezus Marya". Mszą miał dziwnem nabożeństwem: prawdziwie to jest człowiek złączony z P. Bogiem, nie prostak i nie bigot. Był u mnie na audyencyi więcej niż pół godziny; powiadał co mówił z cesarzem prywatnie, jako przestrzegał, napominał, pokazował dlaczego P. Bóg te tu karze kraje. Na wojnę mu samemu (cesarzowi) iść, ani się tu zbliżać nie kazał, i kiedy wczora rozgłoszono, że Cesarz jedzie, że mu gospody tu w Tulnie rozpisują, on się tylko uśmiechał, a głową pokazował, że nie. Jakoż to znać tylko

[1]) Diarium Praef. Artil. Kluczycki, str. 580—615.

[2]) Rex ad Reginam 9 Sept. 1683, Kluczycki, n. 222, str. 357—363.

finta, o czem i do mnie cesarz pisał,[1]) chcąc niby się ze mną widzieć, a oraz i wojska wszystkie".

Następnego dnia pierwsze oddziały polskie pokonały trudności terenu i obsadziły wzgórza niedaleko Wiednia, inne chorągwie były już za Dunajem i szybko dążyły w tym samym kierunku. Rakiety, które w nocy z 10 na 11 września uniosły się nad Kahlenbergiem, oznajmiły dogorywującym już obrońcom Wiednia, bliskie ocalenie.

Położenie stolicy było naprawdę rozpaczliwe.[2]) Chociaż pierwsze szturmy tureckie zostały krwawo odparte, chociaż setki wyznawców proroka ginęły codziennie pod murami Wiednia, Kara Mustafa nietylko od oblężenia nie myślał odstąpić, lecz owszem ze zdwojoną wściekłością ponawiał ataki. Bohaterscy obrońcy zasypywani gradem kul i strzał zatrutych bronili uporczywie swych stanowisk. Szeregi ich jednak przerzedzały się z dniem każdym. Wobec tego Turcy krok za krokiem posuwali się naprzód. Dnia 3 sierpnia zajęli wał zewnętrzny przed t. zw. Burgravelin, (znajdującym się na miejscu dzisiejszego Volksgarten), a 12 obsadzili już w tem miejscu wały miejskie. Postępom Turków sprzyjała epidemja czerwonki, która się w mieście rozpanoszyła i zbierała obfite żniwo. 27 sierpnia donosił Starhemberg, że od pocisków tureckich i epidemji zginęło już wielu oficerów i żołnierzy, że dziennie umiera przeciętnie 60 osób. Załodze brakuje już granatów, najlepszego środka obronnego, armaty w przeważnej części niezdatne do użytku.

Obok ustawicznego bombardowania miasta i ataków na różnych odcinkach, kopali Turcy podziemne chodniki pod basztą zamkową, chcąc ją minami wysadzić w powietrze. Położenie miasta pogarszało się z dnia na dzień. W nocy z 2 na 3 września wpadł w ręce szturmujących Burgravelin, 4 września wybuchła potężna mina pod basztą zamkową i zrobiła w murze wyłom na szerokość 10 metrów,

[1]) SSro fratello e vicino Re di Pol. Leopoldus, Linz a 7 di Setembre 1683, Kluczycki, n. 217, str. 351.

[2]) Stan Wiednia opisuje Karol Lotaryński w swych przytoczonych wyżej listach do Sobieskiego i Diarium seit der Belögerung Wienn. Kluczycki, n. 238, str. 388—395.

podobnego spustoszenia dokonali Turcy koło Lwiej Baszty. Atak, jaki oblegający przypuścili natychmiast po wybuchu, został odparty, ale obrońcy już prawie dogorywali. Połowa wojskowej załogi i trzecia część walczących z bronią w ręku mieszczan poległa na murach i wałach lub od czerwonki, zapasy amunicji i środki żywnościowe były już na wyczerpaniu.

Zrozumiałe są wobec tego alarmujące depesze bohaterskiego Starhemberga, domagającego się odsieczy i zwiastującego ustawicznie zbliżającą się katastrofę. Sygnały z Kahlenbergu pokrzepiły obrońców i wlały w ich serce otuchę i chęć dalszej obrony.

Dnia 12 września stanął Sobieski na Kahlenbergu. Widok, jaki się przed jego oczyma roztaczał, napełnił go troską.[1]) „Większe się nam z tem stało oszukanie, że nam wszyscy powiadali, nawet Generałowie sami, że skoro wynidziemy na tę tu górę Kalemberk nazwaną, że tam już będzie dobrze; że tylko winnicami pochyła nam będzie ku Wiedniowi droga. Aż gdy my tu stawamy, naprzód widzimy obóz Turecki wielki barzo, jako na dłoni, miasto Wiedeń, i za mil kilkanaście dalej: ale od nas tam nie pole, ale lasy jeszcze, i *des précipices, et une grandissime montagne du côte droite;* o czem nam nigdy nie powiedziano, *et 5 ou 6 ravines.* Dla tego tedy ledwo nam jeszcze za dwa dni przyjdzie do samej akcyi, bo musimy odmienić cale teraz i szyk i manierę wojny, i zacząć z nimi *à la manière* owych wielkich Maurycych, Spinolów i innych, którzy szli *á la secura gagnant peu a peu le terrain.* Mówiąc jednak *humainement,* a pokładając wszystkie nadzieje w Bogu naszym, miałby też nieprzyjaciel wielką odnieść konfuzyą, który się ani okopał... ani ścisnął *son camp* w kupę, ale tak stoi, jakobyśmy na sto mil od niego byli. Komendant Wiedeński widzi nas: puszczał race; i z dział bije ustawicznie. Turcy zaś nic dotąd nie uczynili, tylko na skrzydło lewe, tam gdzie Xże Lotaryński z Saskim stoją... wezyr wyprawił kilkadziesiąt Chorągwi z kilką tysięcy Janczarów... Jadę tam

[1]) Rex ad Reginam, z gór Kalenberg nazwanych 12 Sept. o trzeciej przede dniem, Kluczycki, n. 231, str. 371—376.

zaraz... Takeśmy się tu wylekczyli przez ten Piątek i Sobotę, żeby każdy z nas jelenie po górach uganiać mógł. O konie najgorzej, które cale nie jedzą, jeno liście z drzew. Niemasz prowiantu dotąd obiecanego ni na konie, ni na ludzie; ludzie jednak nasi barzo ochotni... Turków zaś wodzą jako psów; i bydeł im moja Dragonia i Kozacy nie mało zabrali... Zrazu Elektorowie obadwaj byli przecie z nami niby obcy. Teraz jakeśmy się to poczęli zbliżać ku nieprzyjacielowi, niepodobna wyrazić jakie z nich mam ukontentowanie. Sami zawsze parol odemnie odbierają, i dziesięć czasem razy pytają, jeśli jeszcze czego nie rozkażę?... Przydali mi do wojska mego polskiego na skrzydło prawe cztery wielkich regimentów piechoty. — Owo zgoła, kapitan najprostszy nie mógłby być posłuszniejszym nad nich".

Po napisaniu tego listu udał się Sobieski do kościoła Kamedułów na Kahlenbergu, gdzie służył do Mszy św., przyjął Komunję św. i błogosławieństwo od Marka d'Aviano. Tymczasem lewe skrzydło pod wodzą Karola starło się z nieprzyjacielskiemi chorągwiami, o których pisał Sobieski. Wywiązała się zacięta walka, która dała początek walnej bitwie, zakończonej uwolnieniem Wiednia.

Wydarzenie to pomieszało szyki Sobieskiemu. Wobec faktu dokonanego należało zaniechać zamiaru przegrupowania wojsk i stoczyć bój według pierwotnego planu. Zbadawszy na miejscu przebieg boju, w którym już wielu żołnierzy księcia Karola padło trupem, postanowił Sobieski wprowadzić w ogień wszystkie siły, jakiemi dowodził. Wobec tego pchnął natychmiast sześć chorągwi husarji na pomoc lewemu skrzydłu, posłał rozkazy do centrum i swoich chorągwi na prawem skrzydle, by jak najspieszniej starały się zrównać z Karolem i związać z nieprzyjacielem. Dla centrum wykonanie tego rozkazu nie przedstawiało żadnych trudności, gorzej miała się sprawa na prawem skrzydle. Kawalerja musiała wpierw wśród gęstych zarośli wydostać się na szczyt Kahlenbergu, następnie spuścić się ku Wiedniowi, by linję bojową wyrównać. Przy spuszczaniu się z góry wielką przeszkodę stanowiły naturalne parowy,

oraz sztuczne rowy i mury zbudowane dla uprawy winnej latorośli. Dopiero około południa zrównały się zastępy polskie z centrum i lewem skrzydłem, które dotychczas, pomimo zaciętej walki nie postąpiły ani kroku naprzód. Sobieski jako głównodowodzący był wszędzie, gdzie sytuacja wymagała jego osobistej obecności. Jego świetna postawa bojowa budziła zachwyt cudzoziemców.[1]) Wyrównawszy linję bojową przystąpił do natarcia, mającego rozstrzygnąć losy bitwy.

Gdy wezyr zobaczył wysuwającą się z lasu husarję, doszedł zaraz do przekonania, że tam musi się sam Sobieski znajdować, którego imię nie było mu obce. Chcąc zatem zabezpieczyć się przed przeciwnikiem, którego się najbardziej obawiał, odciążył natychmiast swe prawe skrzydło, kierując janczarów przeciw husarji, a Tatarom wydał rozkaz obejścia wojsk Sobieskiego i zaatakowania ich od tyłu. Ale stojący na skrajnej prawicy hetman Jabłonowski w lot przejrzał podstęp i natarł na Tatarów tak gwałtownie, że nietylko planu swego przeprowadzić nie zdołali, ale nawet zepchnięci ze swego dotychczasowego stanowiska musieli się cofnąć wtył, ku centrum sił tureckich. Wówczas król wysłał w bój kilka chorągwi husarskich, które zrazu mocno uderzyły na wroga, ale skutkiem ciasnoty miejsca i przewagi tureckiej straciły impet, w boju wręcz skruszyły kopje i nie mogąc koncerzami podołać przeważającemu przeciwnikowi, wycofały się zwolna na swe dawne stanowisko. Król sformował je na nowo i wzmocniwszy je pozostałemi chorągwiami husarji i dragonji, skoczył wraz z niemi w bój „tak rezolutnie, że bardziey iuż *gregarium agebat militem,* y dotąd *consilio,* teraz *exemplo* wszystkich animuiąc".[2]) Atak kawalerji, wsparty skutecznym ogniem artylerji polskiej, rozszczepił zwarte dotychczas oddziały tureckie i wzniecił wśród nich popłoch. Równocześnie odciążone lewe

[1]) „Der König in Pohlen commandirte en cheff, und war überall, wo das gröste Feüer war; in wihren der action schickte er 6 compagnien husaren dem hertzoge von Lottringen zu auff den lincken flügel". Relatio Joannis Georgii Principis d' Anhalt ad Electorem Brandenburgiae, Kluczycki, n. 233, str. 383.

[2]) Diarium Art. Praef. Kluczycki, str. 594, 595.

skrzydło i centrum wpadły na nieprzyjaciela, który pobity na wszystkich odcinkach, ogarnięty paniką, począł uciekać w popłochu.[1])

Atak Sobieskiego, który ściągnął na siebie gros potęgi tureckiej, zadecydował o zwycięstwie.[2]) „Około szóstej wpadli nasi w obóz, który był niezmierney wielkości, kędy działa, prochy, y insze amunicye, także y prowianty porzuciwszy pod faworem nocy uchodzili wciąż. Wezyr sam y Han sromotnie uciekli... a zatym Imć Pan Hetman Koronny poszedł wyciągnąwszy skrzydło... ich trupa pełno było, tak że rąk nie stawało Polskim Chorągwiom, które za nimi poszły na całą noc".

Blaski zachodzącego słońca oświeciły Wiedeń uwolniony od groźnego oblężenia i opromieniły króla Jana III wchodzącego do namiotów wielkiego wezyra.

Sobieski „lubo spracowany y potrzebą y pogonią", nie zapomniał jednak o tych, którzy, pomimo oddalenia, myślą byli przy nim i gorącą modlitwą wspierali jego mężną prawicę. Natychmiast po zdobyciu obozu pchnął gońca do papieża, polecając mu doręczyć chorągiew zdartą z namiotu wezyra, jako dowód odniesionego zwycięstwa. Drugiego posłańca wysłał do królowej i wręczając mu strzemię od wezyrskiego siodła, miał powiedzieć: „Nie oprzej mi się Waszmość aż w Krakowie, a to ode mnie królowej do rąk oddaj!" Dönhoff pierwszy goniec Sobieskiego stanął w Rzymie 25 września, drugi Dupont już dnia 16 września był w Krakowie, gdzie o godzinie siódmej z rana wręczył królowej modlącej się w katedrze na Wawelu przesyłkę jej małżonka.[3])

---

[1]) „Darauff kam der Kõnig mit seine husarn auff die Türcken ordentlich zu treffen; 2 compagnien husaren machten den anfang und brachen zwor durch, die meissten aber wurden mit Turkischen säbeln, nachdem sie die copien gebrochen, übel tractiret; als zaber die übrige compagnien von den husaren auch alle loszbrochen, welches dan über alle maszen schon ausr schaden war, gingen die Turcken in groszer confusion fordt". Relatio Joannis Georgii, Kluczycki, str. 383; Litterae Francisci Taaffe ad fratrem 22 Sept. 1683, Kluczycki, n. 245, str. 419—420.

[2]) Diarium Art. Praef., Kluczycki, str. 596.

[3]) Kluczyćki Fr., (Fr. Kl.), Pierwsza wiadomość z pod Wiednia i strzemię wezyra, Kraków 1880.

Pomimo świetnego zwycięstwa nieprzyjaciel, rozbity wprawdzie i uciekający w popłochu, nie przestał być jednak groźnym. Dlatego, podczas kiedy wojska cesarskie zajęły kwatery w stolicy, Sobieski przez całą noc utrzymał swe chorągwie, które nie brały udziału w pościgu, w pogotowiu bojowem. „Nocowali iedni za obozem w pięknym porządku, drudzy w samym obozie gotowymi będąc całą noc". Sam król z synem Jakóbem „za obozem Tureckim pod suchym dębem *requievit*".[1])

Dnia następnego oglądnął król cały obóz turecki, objechał wkoło stolicę i przez szkocką bramę wjechał do miasta, gdzie w dwu kościołach dziękował Bogu za odniesione zwycięstwo. Następnie był obecny na przyjęciu, na jakie go zaprosił Starhemberg. Relacje współczesne opisują wdzięczność, jaką okazywali mu Wiedeńczycy i wojska cesarskie, najlepiej jednak przedstawia ją sam król w liście do żony: „Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały... Wezyr tak uciekł od wszystkiego, że ledwo na jednym koniu i w jednej sukni. Jam został jego succesorem... Wojska wszystkie, które dobrze barzo czyniły swoją powinność, przyznały Panu Bogu, a nam tę wygraną potrzebę. Kiedy już nieprzyjaciel począł uchodzić i dał się przełamać, (bo mnie się przyszło z Wezyrem łamać, który wszystkie a wszystkie wojska na moje skrzydło prawe sprowadził, tak, że już nasz środek... jako i lewe skrzydło nie miały nic do czynienia, i dlatego wszystkie swoje niemieckie posiłki do mnie obracały), — przybiegały tedy do mnie Xiążęta, jako to Elektor Bawarski, Waldek, ściskając mię za szyję i całując w gębę, Generałowie zaś w ręce, w nogi; cóż dopiero żołnierze, oficerowie i regimenty wszystkie kawaleryi i infanteryi wołały: „Ach unzer brawe Kenik!" Słuchały mię tak, że nigdy tak nasi. Cóż dopiero i tu dziś rano, X. Lotaryński, Saski: bo mi się z nimi wczora widzieć nie przyszło, bo byli na samym końcu lewego skrzydła, którym do Pana Marszałka Nadwornego przydałem był kilka Usarskich Chorągwi: Cóż komendant

[1]) Kluczycki, W namiotach wezyrskich 13 Sept. w nocy, n. 232, str. 376—382.

Staremberg tuteczny! Wszystko to całowało, obłapiało, swym salwatorem zwało... Sam lud wszystek pospolity całował mi ręce i nogi, suknie, drudzy mię tylko dotykali wołając: „ach! niech tę rękę tak waleczną całujemy!"

* * *

Chwile radości, entuzjazmu i uniesienia mijają jednak szybko, zwłaszcza gdy je zmrozi powiew chłodnej polityki i wyrachowania. Miejsce szczerych wynurzeń, podyktowanych rzeczywistością, zajmuje nierzadko złośliwa, nielicząca się już nietylko z postulatami etyki, ale nawet z elementarnem, dobrem wychowaniem, krytyka, lub przynajmniej chłodna, obłudna obojętność. Doświadczył tego na sobie i Sobieski. Niebezpieczeństwo tureckie minęło, zmienił się też stosunek podwładnych cesarza do króla. Zapomniano szybko o dawnych obietnicach i komplementach.

Już dnia 13 września wśród ogólnego zapału i uniesienia dały się wyczuć na polach wiedeńskich, obficie zroszonych krwią polską, pewne zgrzyty, które nie uszły uwagi bystrego Sobieskiego. Gdy przejeżdżał koło wojska cesarskiego „chcieli byli wszyscy wołać Vivat, ale to było znać po nich, że się bali Officyerów i starszych swoich. Kupa jedna nie wytrwała i zawołała Vivat pod strachem, na co widziałem, że krzywo patrzano i dla czego zjadłszy tylko obiad u Komendanta, wyjechałem z miasta tu do obozu". Działo się to nazajutrz po zwycięstwie, podczas dni następnych stosunki pogorszyły się jeszcze bardziej.

Cesarz ograniczył się do bardzo chłodnych wyrazów, w których królowi gratulował zwycięstwa a zarazem donosił o swej podróży do Wiednia.[1]) „Cesarz tu tylko — pisał Sobieski — o mili półtorej; płynie Dunajem. Ale widzę, że się nie szczerze chce widzieć ze mną dla swojej podobno pompy. Życzyłby zaś być sobie jako najprędzej w mieście, *pour chanter le Te Deum,* i dla tego ja mu ztąd ustępuję, mając sobie za największe szczęście ujść tych ceremonij, nad które niceśmy tu jeszcze nie doznali". Po usunięciu się Sobieskiego odbył cesarz uroczysty wjazd do Wiednia. Sama jednak grzeczność na-

[1]) Responsorium ab. Aug. Imperatore Ser-o Regi, 13 Sept. 1683, Kluczycki, n. 235, str. 386.

kazywała powitać gościa Sobieskiego osobiście i wyrazić mu wdzięczność za olbrzymie trudy w odsieczy Wiednia poniesione. Leopold zdecydował się na spełnienie tego obowiązku, który zresztą uważał za bardzo przykry, dnia 15 września. Przebieg wizyty dosadnie odmalował Sobieski[1]): „Z Cesarzem JMcią widzieliśmy się przed wczorem... który po mojem ruszeniu się od Wiednia, w kilka godzin zaraz do miasta przyjechał... Przyjechał (do nas) Cesarz z samym tylko elektorem bawarskim... Przywitaliśmy się tedy dosyć ludzko; uczyniłem mu komplement kilką słów po łacinie; on tymże odpowiedział językiem dosyć dobrymi słowami. Stanąwszy tedy przeciwko sobie, prezentowałem mu syna swego, który się mu zbliżywszy ukłonił. Nie pociągnął Cesarz nawet ręką do kapelusza; na co ja patrząc ledwom nie strętwiał. Toż uczynił i wszystkim Senatorom i Hetmanom i swemu alié Xciu Wojewodzie Bełzkiemu. Nie godziło się jednak inaczej, aby się świat nie skandalizował, nie cieszył, albo nie śmiał, jeno jeszcze kilka słów mówić do niego, po których obróciłem się na koniu, pokłoniwszy się wspólnie, i w swą pojechałem drogę. Jego zaś P. Wojewoda Ruski poprowadził do wojska, bo sobie tego życzył; i widział wojsko nasze, które okrutnie było żałosne i głośno narzekało, że im przynajmniej kapeluszem tak wielkiej ich pracy i straty nie nagrodził".

Obojętność, z jaką odnoszono się do króla i jego wojska wzrastała ustawicznie, owszem do pewnego stopnia poczęto ich traktować nawet nieprzyjaźnie. Po odjeździe cesarza, pisał Sobieski we wspomnianym liście, zaraz „tak wszystko się odmieniło, jakoby nas nigdy nie znano... Prowiantów żadnych nie dają, na które Ojciec św. przysłał pieniądze... Chorzy nasi na gnojach leżą i niebożęta postrzeleni, których barzo siła: a ja na nich nie mogę uprosić szkuty jednej, abym ich mógł do Pruszburka spuścić i tam ich swoim sustentować kosztem. Bo nietylko im, ale mnie gospody a przynajmniej w niej sklepu za moje pieniądze pokazać nie chcieli. Pazia za mną o cztery kroki jadącego

[1]) Joannes III ad Reginam w obozie pod wsią Szenau, 17 Sept. 1683, Kluczycki, n. 239, str. 395—407.

uderzył okrutnie dragon fuzyą w nos i twarz i srogo okrwawił. Skarżyłem się zaraz Xciu Lotaryńskiemu; żadnej nie odebrałem sprawiedliwości. Drugiemu także za mną jadącemu opończę moją wydarli; wozy nam rabują; konie gwałtem biorą... żadnego na świecie nie uznawamy ukontentowania. Wczoraj popołudniu posyłałem *mon Capitaine* Okar do Xcia Lotaryńskiego, pytając się, co wzdy już uradzili, co czynić dalej będziemy?... Zastał go u Komendanta Wiedeńskiego, gdzie jedli i pili. Obadwaj go dosyć na zimno przyjęli i z niczem odprawili; sprzeczając się tylko, że „wy bierzecie prowianty", których oko tu niczyje nie widziało, ani o nich ucho słyszało. Nasłuchał się tam różnych dyskursów, mów pełnych niewdzięczności". Kiedy zabrakło środków żywności, jakich dostarczył zdobyty obóz turecki, głód począł zaglądać do obozu polskiego. Żołnierzy cisnących się do miasta w poszukiwaniu za żywnością odpędzano przemocą, nawet ognia do nich dawano. Rannych zabrał z Wiednia kapelan jezuita ks. Hacki, płacąc ze szkatuły królewskiej za gospody, jakie przez kilka dni zajmowali.

Niemniej martwiła Sobieskiego bezczynność, w jaką popadli wodzowie austrjaccy. Przywykły kuć żelazo, póki gorące i następować na wroga aż do zupełnego jego rozbicia martwił się, widząc, że książęta wolą się zabawiać i marnować czas, zamiast pomyśleć o wyzyskaniu tak drogo okupionego zwycięstwa, czemu wszystkie okoliczności, nawet piękna pogoda sprzyjała. „Jesteśmy teraz tu właśnie, jako zapowietrzeni: nikt się do nas nie pokaże; a przed potrzebą przecisnąć się było w tak wielkich moich nie można namiotach... Stoimy tu nad tymi brzegami Dunajskiemi, jako kiedyś lud Izraelski nad Babilońską wodą, płacząc... nad niewdzięcznością tak nigdy nie słychaną i że tak pogodną nad nieprzyjacielem opuszczamy okazyą. Marco d'Aviano, święty i poczciwy człowiek, płacze patrząc na te rzeczy, a czyni co może w Wiedniu, aby ich te tam rady zagrzał i do jakiejkolwiek przywiódł rezolucji".

Wypada jednak zakończyć już tę długą litanję skarg i żalów, jakie się z serca Sobieskiego jeszcze czas jakiś dobywały, należy pominąć dalsze dzieje kampanji na terenie Węgier, w której król, nie bacząc na niewdzięczność, jaką

go nadal karmiono, wytrwał do końca grudnia. Nie potrzeba również powracać do przytoczonych we wstępie wywodów Pastora, których wartość, w świetle zignorowanych zupełnie przez niego materjałów współczesnych, sam Czytelnik łatwo oceni.

Jakkolwiek ktoś zechce zapatrywać się na udział Polski i jej króla w odsieczy wiedeńskiej, nie powinien pominąć opinji, jaką wyraził, stojący ponad narodami i nie ulegający humorom polityki zaściankowej, papież Innocenty XI. Do wiadomości jego, obok listu Sobieskiego,[1]) zaczynającego się od pamiętnych słów: *Venimus, vidimus, Deus vicit,* doszły i inne z różnych stron i od rozmaitych osób pochodzące sprawozdania z przebiegu akcji wiedeńskiej. W skróceniu przedstawił je papież w swej przemowie do kardynałów,[2]) na tajnym konsystorzu, dnia 27 września:

„Poznajmy i chciejmy uznać dzieło prawicy Najwyższego, który dokonał wielkiego czynu w Izraelu i wysłuchał próśb zanoszonych do Niego; albowiem najdroższego syna w Chrystusie, Cesarza Leopolda, całe rzymskie imperjum i miasto Wiedeń ginące, uratował najdroższy również syn nasz w Chrystusie Jan król Polski, którego, słynnego z dzielności w wojnach oraz innych przesławnych książąt, uczestników w tak wielkiem zwycięstwie, nie przestaniemy nigdy obsypywać najzupełniej zasłużonemi pochwałami. Jeden bowiem tylko Jan król Polski, odznaczający się podziwienia godną pobożnością i troskliwością o dobro religji katolickiej i całego świata chrześcijańskiego, przybył z odsieczą i z chwałą imienia swego, główną chorągiew, którą własnoręcznie zerwał ze szczytu namiotu wielkiego wezyra, Nam przysłał. Abyśmy jednak nie zaniedbali tak szczęśliwej i dogodnej sposobności ukończenia wojny, musimy wyzyskać zwycięstwo, aby oswobodzić tych, których nieprzyjaciel zakuł w kajdany niewoli. Dlatego nie przestaniemy wywierać nacisku na książąt i łaskami ich obsypywać, chociaż cierpimy wielki niedostatek".

---

[1]) Joannes III Pontifici Maximo, 14 Sept. 1683, Kluczycki, n. 236, str. 386—387.

[2]) Przytacza ją Pastor, str. 797 w przypisie pierwszym.

Słowa te papieża Innocentego, zawierające niedwuznaczne uznanie decydującej roli Sobieskiego, oswobodziciela Wiednia i imperjum, wyrażające poparcie programu dalszej kampanji, o które Sobieski starał się w Rzymie przez nuncjusza, nie dadzą się ani cofnąć, ani osłabić, i po wszystkie czasy będą odzwierciedleniem prawdy dziejowej.

Ks. Jan Poplatek T. J.

Rosyjska literatura emigracyjna.

I.

Do rzeczy w Polsce dzisiaj modnych należy — od niedawna zresztą — coraz to głośniejsze narzekanie na kompromitujący nas w oczach Zachodu, brak zarówno znajomości rzeczy rosyjskich — w pierwszym rzędzie rosyjskiej kultury, sztuki, literatury pięknej, jak i zainteresowań w tym kierunku. Krytyczne to stanowisko, bez względu na pobudki, z jakich wypływa i na sfery, z których wychodzi, bardzo jest na czasie; można mu tylko przyklasnąć i dziwić się, że dopiero teraz doszło ono do głosu. Słuszne jednak jest ono tylko w połowie. Nie można bowiem narzekać na brak zainteresowania literaturą rosyjską w Polsce i to nietylko w kołach intelektualnych i artystycznych, ale także i wśród szerokich sfer publiczności czytającej. Przeciwnie: książki autorów rosyjskich chętnie są widziane, pożądane, rozchwytywane nawet. Popularność ta jednak i poczytność nie stoi w żadnym stosunku do znajomości literatury rosyjskiej, jako całości, jako pewnej niewątpliwej, poważnej a oryginalnej pozycji w ogólnym dorobku literatur świata. Interesuje książka rosyjska, nawet autor, ale nie pociągają szkoły, prądy i kierunki; nie pociąga literatura rosyjska. Ilość tomów beletrystyki rosyjskiej, o które się ubiegają w wypożyczalniach, jest odwrotnie proporcjonalna do ilości rozpraw, referatów, studjów krytycznych i monografij, jakie literaturze rosyjskiej poświęcają pisma codzienne i naukowe, kluby i związki artystyczne, seminarja uniwersyteckie, gabinety i mózgi krytyków i uczonych.

W czem tkwi źródło tej niewspółmierności? Czemu przypisać brak zainteresowania literaturą rosyjską, jako przedmiotem badań i to u poważnych a nawet niezwykle wszechstronnych umysłów? Dlaczego w porównaniu z literaturami romańskiemi oraz niemiecką, angielską i skandynawskiemi a nawet mniejszemi słowiańskiemi, tak po macoszemu, trochę pobłażliwie, trochę lekceważąco, — a przedewszystkiem tak jednostronnie traktuje się literaturę rosyjską? Powodów takiego ustosunkowania się do literatury rosyjskiej jest bardzo dużo i możnaby o nich napisać całe traktaty. Na tem miejscu zwrócimy uwagę tylko na główniejsze: są to — tkwiąca w polskiej krwi i psychice pozostałość z czasów niewoli: wrogość wobec wszystkiego, co pochodzi od „Moskala"; dalej, z wrogością tą wiążące się ściśle — może zbawienne w czasie niewoli, dziś jednak niepotrzebne i szkodliwe — poczucie swej wyższości kulturalnej nad „moskiewską barbarją". W czasach ostatnich do powyższego dołączyła się z jednej strony chęć wymiecenia wszystkich pozostałości i śladów po rosyjskiem panowaniu, z drugiej, obawa przed zarazą bolszewicką.

Ludzie dobrej woli, żądni wszechstronności i nowości — a takich jest u nas na szczęście coraz więcej — ludzie rozumiejący, że nie można operować dziś kategorjami z przed lat stu, ani patrzeć na Rosję przez pryzmat III-ciej części *Dziadów* — próbują przełamać mur, dzielący nas od sztuki i kultury rosyjskiej i uczą się języka, czytają, szukają, myślą — tu jednak czeka na nich pułapka: zainteresowanie książką rosyjską, o którem wyżej była mowa, w 90% dotyczy beletrystyki sowieckiej. Byłoby oczywistym fałszem twierdzić, że beletrystyka ta nie odtwarza oblicza duchowego, a szczególnie społecznego Rosji dzisiejszej; owszem, odtwarza je; co więcej, ze względu na silną, jak w żadnej może innej literaturze, tendencję polityczno-społeczną stanowi ona lekturę bardzo odpowiednią i pożądaną dla dzisiejszego typu czytelnika o zainteresowaniach wybitnie społecznych i politycznych. Tym jednak, którzy na podstawie beletrystyki sowieckiej chcieliby wyrobić sobie sąd o całości literatury rosyjskiej, zaciemnia ona horyzont i wprowadza w błąd, z którego potem wyjść jest niezmiernie trudno.

Zdarza się mianowicie aż nazbyt często, że czytelnik, a nawet krytyk i badacz identyfikują założenia ideowe i artystyczne pisarzy sowieckich z rosyjskiemi wogóle i potwierdzenia tej identyfikacji szukają u nielicznych znanych u nas dawniejszych wielkich pisarzy: Andrejewa, Gorkija, w pierwszym zaś rzędzie Dostojewskiego i Tołstoja. W 80 wypadkach na 100 interpretacja klasycznych arcydzieł literatury rosyjskiej idzie u nas po linji szukania w nich prawzorów i elementów tych haseł i problemów, które stanowią główny temat dzisiejszej proletarjacko-marksowskiej literatury sowieckiej.

W rzeczywistości literatura rosyjska, oglądana jako pewna całość jednolita, jako twór ducha i kultury narodu, jako jeden z najpoważniejszych czynników, które się składają na rozwój piśmiennictwa europejskiego w ciągu ostatnich dwu i pół stuleci — jest zjawiskiem bardzo ciekawem i godnem uwagi ze względów nawet bardzo dalekich od modnych dziś problemów polityczno-społecznych. Spróbujmy raz spojrzeć na nią tak samo, jak na inne literatury, a nie *à rebours*: szukajmy w drogach jej rozwoju wytłumaczenia dzisiejszości, a nie oświetlajmy twórczości pisarzy dawnych tem, co się dzieje obecnie.

W dziedzinie myśli i sztuki weszła Rosja do rodziny narodów europejskich jeszcze później, niż pod względem politycznym i militarnym. Zarówno jednak „europeizacja" nauki i literatury, jak i „ucywilizowanie" aparatu państwowego, armji i objawów życia społecznego, rodzinnego i indywidualnego, mają swe źródło w nadludzkiej niemal woli genjalnego umysłu państwowo-twórczego, jakim był bezwątpienia Piotr Wielki. Zachciało się batiuszce Piotrowi Aleksiejewiczowi i ociężali, ciemni a tępi, długobrodzi i w długich szubach plątający się bojarzy, zamienili się w wytwornych, ufryzowanych i upudrowanych *chevaliers*, z gracją tańczących menueta z pięknemi, a po wersalsku ustrojonemi damami, które jeszcze wczoraj były trzymane niemal że w haremowej niewoli! „Europa" jednak była tylko na zewnątrz; w głębi śniegiem zasypanych stepów i w głębi dusz pozostała dawna, słowiańsko-bizantyńsko-tatarska, barbarzyńska Moskowja... I wszczęła się dramatyczna, dwa i pół

wieków trwająca walka, prowadzona ze zmiennem szczęściem między „Moskwą" a „Europą". Dziś zwyciężyła Moskwa, a to, co europejskiego było, w postaci emigracji do Europy wróciło. Na tle tej walki rozwijała się myśl i sztuka rosyjska, tragiczne dzieci zrodzone z mieszanego małżeństwa... Dzieci te rosły, rozwijały się, kształciły... ale cechy odziedziczone, cechy niemal wykluczające się i wrogie sobie zostały w nich na zawsze. Dwoistość jest cechą podstawową kultury rosyjskiej, tem się ona wyróżnia pośród innych europejskich: nigdzie najwyższa, najsubtelniejsza, przerafinowana nawet nieraz kultura duchowa i artystyczna nie szła w parze z tak potworną ciemnotą, barbarzyństwem i rozpasaniem instynktów jak w bezkresnej, nieogarnionej Rosji.

Dwoistość ta, tragiczne rozdarcie, dysonanse i zwalczanie się elementów, gdzieindziej w harmonijną całość się układających, cechować będzie i rosyjską literaturę piękną, też dziecko Rusi Moskiewskiej i Europy, twór woli genjalnego władcy i jego mądrej następczyni, Katarzyny Wielkiej. Aż do końca wieku XVIII nie jest literatura rosyjska niczem innem, jak przeszczepianiem na grunt rodzimy kierunków, wzorów i typów literackich zachodnio-europejskich. Przeszczepianie to w bardzo trudnych odbywa się warunkach: zupełnie nieodpowiedniemu gruntowi społecznemu i kulturalnemu towarzyszy kompletny nieurodzaj talentów. W trudzie wielkim i w bólu, powoli, leniwie rodzi się w drewnianym jeszcze, nawpół cerkiewnym języku oda rosyjska i satyra, komedja moljere'owska i epos pseudo-klasyczny. Upór jednak, praca ofiarna i żmudna i ambicja zrobiły wreszcie swoje: w wiek XIX wchodzi Rosja z prawdziwie europejską, nienagannie pseudo-klasyczną literaturą.. dopędzono Europę!.. ale ile ta gonitwa kosztowała?!

W Polsce wszystkie prądy kulturalne, a więc i literackie, następowały po sobie powoli, po okresie rozkwitu i zwyrodnienia, w tym samym porządku i po tym samym mniej więcej czasie trwania, co i w Europie Zachodniej, przychodząc stamtąd i odchodząc z małem, bo kilkudziesięcio- lub nawet kilkunastoletniem tylko opóźnieniem. Wynikało to z naszej przynależności do kultury duchowej i artystycznej Zachodu od zarania dziejów; w Rosji rzecz miała się ina-

czej. Bez żadnej nieodpartej potrzeby wewnętrznej twórców i odbiorców, sztucznie, wyrozumowanie, przetrawiano w ciągu lat parudziesięciu naprędce wszystkie minione i zaległe prądy, by prędzej... prędzej dopędzić Europę... Stąd dziwne i nieraz później powtarzające się zjawisko: wykluczające się kierunki poetyckie rozwijają się nietylko jednocześnie obok siebie, ale nieraz pod piórem tego samego pisarza. Początek wieku XIX przynosi równoległy rozwój i sukces klasyka Batiuszkowa i romantyka Żukowskiego; największy zaś poeta rosyjski, pierwszy talent prawdziwy i to niepospolity talent, Puszkin — to niepojęta na Zachodzie mieszanina najrozmaitszych elementów twórczych: temperament niepohamowany, afrykański, połączony z pedantycznem wypracowywaniem formy; lubowanie się w rodzajach literackich, stworzonych przez romantyzm, a jednocześnie klasyczny umiar kompozycyjny i typowo racjonalistyczny stosunek do świata, życia i sztuki. Puszkin — jak i cały romantyzm rosyjski — to wielkie nieporozumienie, o ile będzie się do nich stosowało kryterja zachodnio-europejskie. Twórca romantyzmu rosyjskiego był typowym klasykiem, reszta to poza, właściwe literaturze rosyjskiej uleganie modnym hasłom epoki. Można zaryzykować twierdzenie, że romantyzmu wogóle w Rosji nie było: nie było go poza formą, poza bezdusznem — ale bynajmniej nie bezmyślnem — kopjowaniem Zachodu. Dusza bowiem rosyjska, rosyjskiego twórcy i czytelnika na początku XIX wieku nie była wcale przygotowana na przyjęcie haseł romantycznych: kultu jednostki, uwielbienia przeszłości, wzmożenia uczucia religijnego i przebudzenia się instynków narodowych. Hasła te, przyjmowane na zimno, bez przekonania przez autorów powieści poetyckiej, liryki fantastycznej i dramatu szekspirowsko-romantycznego, znalazły swój oddźwięk w duszach rosyjskich dopiero po latach stu: na emigracji. To też dziś dopiero można mówić o romantyźmie w literaturze rosyjskiej, romantyźmie, wypływającym z potrzeb duszy, a nie z chęci uczynienia zadość modzie. Romantyzm ten odnajdziemy w poezji, powieści a nawet literaturze politycznej i filozoficznej wychodźtwa.

II.

Od końca pierwszej połowy XIX wieku literatura rosyjska, jak również wszystkie sztuki piękne i nauka — słowem to wszystko, co w podziw, przeradzający się nieraz w przesadne uniesienie, wprawiało Europę zachodnią, jest dziełem nielicznej inteligencji rosyjskiej. Któż bowiem w Rosji zajmował się literaturą piękną, sztuką, wiedzą?... Czy może sfery najwyższe, rządzące... ciasna umysłowość biurokratyczna, zrodzona z małżeństwa staroruskiej ciemnoty z pruską butą i ograniczonością, nie sięgającą okiem poza namacalne korzyści realnego życia?... A może sto pięćdziesiąt miljonów ciemnego ludu, utrzymywanego w nabożnem posłuszeństwie dla wszelkiego „naczalstwa" zapomocą analfabetyzmu i knuta?... Nie, kulturę rosyjską, ów dziwny konglomerat pierwiastków słowiańskich, skandynawskich, bizantyńskich i mongolskich, konglomerat, w ostatnich dwu stuleciach nasiąkający duchem Zachodu — stworzyła warstwa, nie mająca sobie odpowiednika nigdzie indziej; tworzyła ją owa specyficzna, przysłowiowo — rosyjska inteligencja, niezwiązana z żadną klasą społeczną, złożona z „rażnoczinców", ludzi, pochodzących z najróżniejszych sfer, wciąż odświeżana elementami nowemi, zdrowemi, przychodzącemi z dołu i wsiąkającemi w tę dziwną sferę, nie społeczną, ale kulturalną... w tę elitę intelektualną i artystyczną, która była oazą w pustyni ciemnoty. Trudno ustalić płynne granice tej elity, trudno określić jej charakter socjalny; nie miała właściwie żadnego. Była to sfera najbardziej demokratyczna, a zarazem najbardziej zbliżająca się do tego, co nazywamy „arystokracją ducha"; należeli do niej i wielcy książęta, i popowicze, i „bosiaki" typu Gorkija.

Ta właśnie inteligencja, zawieszona w próżni między masami ciemnego ludu, który jej nie rozumiał i śmiał się z jej chłopomanji — z jednej strony, a caratem, który nienawidził jej i bał się, a zarazem nią gardził — z drugiej — ona to właśnie dała Rosji i światu orjentalistów i assyrjologów, Miendielejewa, Sołowjowa, Czajkowskiego i Rimskiego-Korsakowa. Za jej — inteligencji — sprawą staje się druga połowa wieku XIX epoką tytanicznego wzlotu umysłowości

rosyjskiej i ducha twórczego; czasy owe to okres, gdy poraz pierwszy w dziejach ludzkości narody zachodnie, kulturalnie starsze, zaczynają poddawać się wpływom, pochodzącym ze słowiańszczyzny. W literaturze wiek XIX — to ostateczne przezwyciężenie i wyzwolenie się z bezdusznego naśladownictwa Zachodu — inteligencka Rosja literacka odnajduje samą siebie i wydaje owoce, które tylko na tym gruncie powstać mogły. Gogol (mimo licznych cech specyficznie małoruskich), Turgieniew, Gonczarow, Szczedrin, Arcybaszew, Andrejew — i dwaj najpotężniejsi tytani sztuki i myśli: Tołstoj i Dostojewskij — to jednostki twórcze, nawskroś rosyjskie i typowo inteligenckie. Ideały społeczne i metafizyczne; zagłębianie się odważne w najbardziej zawrotne urwiska tajników duszy ludzkiej; żywe, często przesadne i chorobliwe, na tragizm nastawione zainteresowanie życiem erotycznem; umiłowanie wszechświata i każdego człowieka indywidualnie, a zarazem nieodrodne, często nieuświadamiane przywiązanie do ziemi rodzinnej i do tego rodzimego „russkiego" człowieka, — ponad wszystkiem zaś wątpienie, sceptycyzm i nihilizm, z najszlachetniejszych jednak pobudek i ze słabości jedynie wypływający; rozdarcie wewnętrzne, szamotanie się, szukanie Boga, prawdy, siebie i sensu i celu bytu — oto główne elementy rosyjskiej przedrewolucyjnej literatury pięknej. Nie stała się ona nigdy wieszczem i prorokiem narodu, jak to miało miejsce z polską; przecież jednak tylko ona była sumieniem narodu w najstraszliwszych czasach despotyzmu z jednej, fanatyzmu i ciemnoty z drugiej strony; ona — światełkiem jedynem i pochodnią postępu kulturalnego i społecznego.

A obok przykuwającej uwagę zdumionego Zachodu — siłą wyrazu, oryginalnością i potęgą artyzmu — powieści, w cieplarnianej atmosferze inteligenckich gabinetów i salonów rozkwitała na przełomie XIX i XX wieku mieniąca się barwami róznemi egzotyzmu, historyzmu i panteizmu — w przecudny, melodyjny wiersz zaklęta — poezja Nadsona, Łochwickiej, symbolistów i akmeistów, jak najbardziej wszechludzka, a zarazem typowo rosyjska w swym wybujałym indywidualiźmie, kulturalnym kosmopolityźmie i nieuświadamionym nieraz, ale żywotnym nacjonaliźmie biologicznym.

Tragiczne jednak było przeznaczenie tej „arystokracji ducha", tej warstwy kulturalnej, twórczyni myśli i sztuki rosyjskiej — inteligencji. Tragizm jej, jak we wszystkiem, co rosyjskie, tkwił od początku w dwoistości jej natury; w rozdźwięku między fikcją a rzeczywistością, marzeniem a życiem, siłą i zamiarami, celami i środkami. Przesubtelnieni, przeanalizowani, nieraz zdegenerowani psychicznie, tak wiele uczynić pragnący, a tak bardzo woli wyzbyci — zapragnęli wszyscy ci „bogoiskatiele", nihiliści, anarchiści-indywidualiści, anarchiści-komuniści, mistycy i „narodniki"-chłopomani, esteci czyści i symboliści — myśli swe i marzenia w czyn wprowadzić; w iście szaleńczem zaciemnieniu umysłów przecenili swe siły i walory społeczne i moralne ludu rosyjskiego... stworzyli chimerę wolności i pierwsi stanęli na placu boju, gdy nadeszła godzina zrealizowania fikcji. I cóż? Inteligencja potrafiła rozpętać żywioły i przy ich pomocy obalić znienawidzony carat, wierząc, że niech tylko w gruzy padną trony, natychmiast złoty wiek nastąpi... Jakże bolesne było rozczarowanie i jak tragiczne pociągnęło za sobą następstwa!... Żywioły rozpętać było łatwo, ale opanowanie ich, okiełzanie, nie leżało w mocy prawdziwej sprawczyni rewolucji — inteligencji... Rozpoczęła się walka, nierówna i zgóry przesądzona: z jednej strony utopiści — idealiści... skłóceni między sobą... nie oparci o siłę realną, tylko o hasła piękne, lecz jakże mało życiowe, wolności, równości i braterstwa... wątpiący o wszystkiem, na nic nie mogący się zdecydować; z drugiej zaś — być może, jeszcze więksi utopiści, ale twardzi fanatycy, ludzie woli i charakteru, nie mający złudzeń co do wartości moralnej mas i na najniższych ich grający instynktach... Karność, organizacja, fanatyzm u góry; hasła „pokój za wszelką cenę!" „śmierć burżujom!" „cała władza proletarjatowi" dla nizin — zadecydowały o wyniku walki. Przez lat kilka krew płynęła strugami... nie przestawały trajkotać karabiny maszynowe — to ginęła inteligencja rosyjska, twórczyni kultury rosyjskiej!...

Nieliczne niedobitki, nie czując się na siłach uznać nowego stanu rzeczy, uchodzą za granicę. Rozpoczyna się tułaczka i „płacz nad rzekami Babilonu"... Rosjanie są wszędzie: w Niemczech i we Francji, w Mandżurji i na Filipinach,

w Stanach Zjednoczonych, w Argentynie i w Kongo... Co robią? — Czekają... Czekają, aż wywróci się bolszewizm, od wewnątrz podważony lub siłą zzewnątrz strącony — wtedy będą mogli wrócić... Czekają już 15 lat!...

„Ojczyzno, ty jesteś jak zdrowie!"... Znane słowa i przy okazji innej emigracji wypowiedziane. Ale jakże trafne w zastosowaniu i do wychodźtwa rosyjskiego!... Dziwne rzeczy poczęły się dziać z rozproszonymi po świecie czystymi estetami i literatami-kosmopolitami, z anarchistami-indywidualistami i poszukiwaczami Boga... Oto z tęsknoty za Rosją, z żalu za utraconą przeszłością własną — rodzi się tęsknota za przeszłością rosyjską... za tą dawną, despotyczną, popowsko-oficersko-carską, mużycką i kozacką Rosją przedrewolucyjną, przez tyle lat pogardzaną i podkopywaną... Znikają gdzieś w morzu niepamięci cienie — zostają same jaśniejsze strony: pożerany przez tęsknotę i żal za tem, co było i minęło, co się straciło tak lekkomyślnie i nieopatrznie — przemienia się dawny liberalny i radykalny, sceptyczny i wątpiący inteligent rosyjski w patrjotycznego, ortodoksyjnego konserwatystę i reakcjonistę.

Ludzie, którzy dawniej służbę w wojsku uważali za shańbienie godności człowieczej, z dumą wyjmują z głębi kufra starą czapkę oficerską czy sołdacką; liberalni oskarżyciele nienasyconej zaborczości Romanowów zaperzeni biegają po odstąpionej z łaski przez Francuzów, Serbów czy Chińczyków izbie szkolnej i krzyczą do coraz to gorzej po rosyjsku mówiących, wynaradawiających się dzieci, że Rosja musi mieć conajmniej granice z 1914 roku; przedwojenni zaś poszukiwacze Boga, którzy się wahali między ubuddystycznionym ateizmem a szamańskim mistycyzmem, pokłony korne a niezliczone biją w zimne posadzki cerkiewek zagranicznych, szepcąc nabożnie „Gospodi pomiłuj!"...

A wszyscy razem nienawidzą bezkrytycznie a fanatycznie reżimu w Rosji panującego..., czekają... i co najważniejsze — wierzą, że przyjdzie ich dzień!"... W tych to warunkach, przy takiem nastawieniu psychicznem, cały nasiąknięty szczerem uczuciem patrjotycznem i mistycyzmem religijnym, wzbierający już nawet mesjanizmem i legendą winy, męczeństwa i odkupienia — rodzi się poza granicami

kraju nowy, teraz już prawdziwy, z potrzeby chwili wypływający — romantyzm rosyjski.

Taka jest geneza rosyjskiej literatury emigracyjnej.

III.

Tworzą się i rozwijają obok siebie równocześnie literatura sowiecka i emigracyjna, obie rosyjskie. W jednym języku pisane, wykluczają się wzajemnie, zwalczają i nienawidzą. A przecie i w jednej, jak i w drugiej — ileż tkwi dziedzictwa z tego, czem zdumiewała świat literatura Turgieniewa i Dostojewskiego, Szczedrina i Tołstoja; różnica główna tylko w tem tkwi, że gdy emigracyjna świadomie i z namaszczeniem pełni rolę spadkobierczyni wielkiej sztuki i myśli przedrewolucyjnej, sowiecka literatura — ostro odcinając się oficjalnie od przeszłości i tradycji — raz poraz prezentuje nam owe objawy obciążenia dziedzicznego, kryjące się w mrokach podświadomości. Poza tem piśmiennictwo na wychodźtwie i owo w kraju — to dwa bieguny, i wyraźna dzieli je granica..., przepaść niezgłębiona... przepaść, wykopana przez fanatyzm obopólny i nienawiści... przez krzywdy, krew przelaną... żądzę zemsty i prawo do walki o byt. Rzadko, bardzo rzadko stykają się ze sobą oba światy — to wtedy, gdy jakieś indywiduum piszące z jednego obozu przechodzi do drugiego (Erenburg, Aleksy Tołstoj, Gorkij czy Balmont).

Nie przekonania polityczne twórców, nie ich stosunek do istoty sztuki nawet, ale nastawienie wobec perspektywy czasowej — oto, co stanowi probierz przynależności autora rosyjskiego do literatury emigracyjnej, bądź sowieckiej. Pisarz w kraju, pisarz-społecznik, budowniczy świata komunistycznego i herold ideologji marksowskiej, bard rewolucji wszechświatowej — wpatrzony jest w przyszłość: do niej kieruje wszystkie swe i tęsknoty i postulaty i ostrzeżenia czy nakazy. Żyje i tworzy dla jutra. Dla pisarza emigracyjnego w przygniatającej większości wypadków „jutro" jest tylko wymarzonem odbiciem „wczoraj" — w przeszłości tkwi cały świat duchowy twórczy z wychodźtwa; ona jedynie jest dla niego czemś drogiem, bliskiem, czemś jego własnem,

czemś realnem. Charakterystyczna cecha całej literatury rosyjskiej, zarówno sowieckiej jak i emigracyjnej — „dzisiaj" nie jest niczem realnem ani dla jednej, ani dla drugiej. Teraźniejszość nie przetwarza się w twórczym pryzmacie pisarza rosyjskiego: dla jednego jest ona tylko punktem obserwacyjnym, skąd pełniejszą widać panoramę przeszłości; dla drugiego — to odskocznia do skoku w przyszłość.

To różnica główna, podstawowa, bezapelacyjna. Są jednak i setki innych — treściowych tu nie potrzebujemy już rozważać; wynikają z różnicy ideologij, światopoglądów, z odmiennego ustosunkowania się do przełomowego faktu rewolucji.

Olbrzymie tkwią różnice i w dziedzinie formy, w sferze estetyki i celowości i roli kulturalnej czy społecznej sztuki. Stanowisko sowieckie jest u nas naogół dosyć dobrze znane: literatura to funkcja społeczna, jeden z czynników propagandy komunizmu i pracy nad przetwarzaniem niezliczonych, rozproszonych psychik indywidualnych w jednolity organizm psychiki zbiorowej. Tendencji, jaśnie i zdecydowanie określonej, dogmatycznej, uznanej za absolut — podporządkowane są elementy artystyczne. Sztuka przestaje być — poza rzadkiemi wyjątkami silnych indywidualności twórczych — sztuką; schodzi do poziomu rzemiosła... Czem jest bowiem w takich warunkach? jednem z ogniw w montowaniu ustroju komunistycznego. Czy ma własne — swoje, artystyczne, tak charakterystyczne dla sztuki wszystkich epok — ponadutylitarne ambicje czy cele? Żadnych. Ma jednak literatura sowiecka pole do tworzenia nowej formy; zerwanie bowiem z tradycjami burżuazyjnemi wymaga w imię żelaznej konsekwencji i logiki bolszewizmu wyrzeczenia się nieodpowiednich dla kultury klasowej form artystycznych. I rzeczywiście: przez lat z górą dziewięć piśmiennictwo sowieckie pod względem artystycznym — to jedna olbrzymia stacja doświadczalna: eksperymentują wszyscy, lirycy i humoryści, dramaturgowie i teatrolodzy, powieściopisarze i noweliści i to nietylko programowi, społeczni, ale historyczni, psychologiczni, obyczajowi. Poza rzadkiemi znów wyjątkami eksperymenty chybiają, raczej kompromitując literaturę i tendencję, jakiej

służy; winą jest przedewszystkiem — jak i w wieku XVIII — brak talentów samodzielnych i twórczych. Lata ostatnie przynoszą pewną zmianę: pogłębieniu ideologicznemu i rozszerzeniu horyzontów towarzyszy pewien nawrót do form burżuazyjnych, klasycznych. Nie wychodzi ta rejterada wcale na złe literaturze sowieckiej i jej roli społeczno-wychowawczej; przeciwnie, powstają dzieła wysokiej klasy artystycznej (z najbardziej nawet burżuazyjno-artystycznego punktu widzenia), a zarazem będące prawowiernem odbiciem ducha, historjozofji i socjologji komunistycznej.

Zdeklasowanie literatury w Rosji, cofnięcie się sztuki do poziomu rzemiosła połączone było z szeregiem prób — najczęściej, jak stwierdziłem wyżej — nieudałych... prób w poszukiwaniu nowych dróg. Poszukiwaniom tym jednak nie można odmówić oryginalności; brak jej natomiast w dziedzinie formy zupełnie, gdy chodzi o rosyjską literaturę emigracyjną.

Tam bowiem pieczołowicie i to ze skutkiem nieraz znakomitym, pielęgnuje się przedwojenne formy artystyczne, zarówno na terenie poezji jak i powieści. Nowości — o ile są — z reguły nie są własnego wyrobu, ale „made in Germany, in France, in U. S. A...“ Konserwatyzm ten jednak dotyczy wyłącznie formy; pod względem treściowym i ideowym literatura emigracyjna, choć mieni się być dziedziczką tradycyj piśmiennictwa przedwojennego, różni się odeń tak dalece, jak dalece niepodobny jest typ ideologiczno-psychiczny emigranta do konstrukcji duchowo-myślowej inteligenta doby przedrewolucyjnej: inteligenta-liberała, sceptyka czy nihilisty, inteligenta-światobórcy i poszukiwacza Boga...

Rozumie się, przeobrażenie to nie u wszystkich jednostek i nie we wszystkich umysłach i duszach w jednakowym stopniu się dokonało: zasadniczo jednak wszyscy pisarze, którzy opuścili Rosję, w mniejszej lub większej mierze ulegli oddziaływaniu tego, co nazwaliśmy prawdziwym (w odróżnieniu od sztucznie tworzonego na początku wieku XIX) romantyzmem rosyjskim. Rzecz charakterystyczna! im bardziej jakiś pisarz w dziełach swych nawraca do dawnej minionej Rosji... im głębsze, szczersze i bezkrytycznie, bezwzględnie pozytywniejsze odnośnie do przeszłości są ele-

menty jego tęsknoty za „wczoraj" — tem jaskrawiej — jako coś zupełnie nowego, zupełnie odmiennego — odcina się jego twórczość od dorobku literackiego tej właśnie dawnej Rosji. Powstaje literatura o zdecydowanym charakterze konserwatywno-wojskowo-patrjotycznym, rodzi się gloryfikacja dynastji, tradycji cerkiewno-państwowej, militaryzmu, a nawet imperjalizmu rosyjskiego. Stąd krok tylko jeden do mesjanizmu, i rzeczywiście niebawem zarówno w poezji, jak i w publicystyce politycznej spotykamy jego zarodki: tworzy się wizja Rusi, ukrzyżowanej przez ciemne siły i męką swą ostrzegającej inne narody przed wpadnięciem w zastawione i na nie sidła tych ciemnych sił. Wszystko to jakże dalekie od ducha, charakteru, ambicyj i zamiłowań literatury przedwojennej!...

Błędnem jednak byłoby mniemanie, że zarówno piśmiennictwo emigracyjne, jak i cała psychologja i światopogląd wychodźtwa rosyjskiego ma charakter jednolity. Jak każda emigracja — a tem bardziej emigracja narodu słowiańskiego — rozpada się ona na szereg grup, przesiąkniętych owym prawdziwym romantyzmem w różnym: jedne w mniejszym, inne w większym — stopniu. Wszystkie te grupy łączy zasadniczo negatywne ustosunkowanie się do tego, co robi się w Rosji obecnie: stosunek jednak ten do rzeczywistości dzisiejszej w kraju nie jednakowe ma oblicze i nasilenie niejednakowe — stąd zwalczanie się tych grup wzajemne, posługujące się z reguły, jako bronią najgroźniejszą i najchętniej używaną — zwalaniem wzajemnem z jednych bark na drugie, odpowiedzialności za to, co z Rosją się stało.

Potworzyły się więc najrozmaitsze kierunki polityczne, społeczne, historyczne i kulturalne, jedne nawiązujące do przedwojennych ruchów wolnościowych i nie przekreślające zdobyczy rewolucji — w imię tejże rewolucji przeciwstawiające się bolszewizmowi; inne potępiają zarówno październikową (bolszewicką), jak i lutową (demokratyczno-liberalną) rewolucję i bez zastrzeżeń nawracają do dawnego reżimu; inne znowu pragnęłyby stworzenia w Rosji republiki ludowej, niektóre nawet dążą do pewnego kompromisu z bolszewizmem: z pośród tych ostatnich na specjalną wzmiankę zasługuje kierunek „eurazyjski", stworzony przez księcia

Trubieckoja, polegający na przesłankach 1) natury historyczno-politycznej, mianowicie że Rosja, dzięki swemu charakterowi geo- i etnograficznemu, powinna zwrócić się frontem ku wschodowi i w Azji ma spełniać swą rolę dziejową: stąd potępienie polityki Piotra Wielkiego, który „wbrew naturze i prawu dziejów" pchnął Rosję na tory cywilizacji i historji Zachodu; 2) natury polityczno-ideologicznej, aktualnej: rewolucja i to rewolucja bolszewicka jest faktem dokonanym i to uzasadnionym przez dzieje; należy dążyć do uznania zdobyczy bolszewizmu, otrzymując odeń wzamian uznanie dla roli dziejowej prawosławia, jako elementu, nierozerwalnie związanego z psychiką narodu rosyjskiego. Wpływy Eurazyjczyków szczególnie silne były wśród emigracji na Dalekim Wschodzie, gdzie też pracował czołowy publicysta kierunku, Wsiewołod Iwanow, autor dzieła *My,* będącego historycznem uzasadnieniem teorji eurazjanizmu, i szeregu feljetonów propagandowych, z których jeden, p. t. *Sen,* jest doskonałem uplastycznieniem tej ideologji: oto śni się autorowi, że jest w Moskwie, we wszystkich cerkwiach dzwony biją, a na Placu Czerwonym idą, pod rękę się wziąwszy, Lenin i Jezus Chrystus!!!...

Wszystkie te kierunki (i eurazyjski) i antybolszewicko nastrojeni, „es-ery" (partja socjalistów-rewolucjonistów) i umiarkowanie-rewolucyjna grupa eks-dyktatora pierwszej rewolucji, Kiereńskiego; i mieńszewicy, i „ka-deci" Milukowa, i umiarkowani monarchiści z pod znaku wielkiego księcia Cyryla, zwanego cesarzem Koburskim — (rezyduje bowiem w Koburgu), i skrajnie-reakcyjni monarchiści z pod znaku ś. p. zmarłego niedawno wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza i wreszcie nowopowstali, pod wpływem hitleryzmu niemieckiego — organizujący się narodowi socjaliści rosyjscy — wszystko to ma swoją prasę, swoich mniej lub więcej wybitnych publicystów, między wszystkiemi też kierunkami temi znaleźć można znane nazwiska ze świata nauki, literatury i sztuki.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje najefektowniejsze i najpoważniejsze pismo emigracyjne: *Sowriemiennyja Zapiski,* wychodzący w formie grubego tomu dwumiesięcznik polityczno-literacki o zabarwieniu prawo-eserowskiem; z pism

bardziej reakcyjnych zasługuje na uwagę *Wozrożdienije* (Odrodzenie), prowadzone przez świetnego publicystę, Piotra Struwe, przed rewolucją głośnego przywódcę opniji liberalno-nacjonalistycznej. Poważnie przedstawia się prasa rosyjska przedewszystkiem w Paryżu, potem w Berlinie; dosyć okazale prezentują się pisma emigracyjne na Dalekim Wschodzie i w państwach słowiańskich (Czechosłowacja, Jugosławja). W Polsce z większych perjodycznych wydawnictw są tylko trzy: *Mołwa* w Warszawie, *Nasze Wremia* w Wilnie, *Russkij Gołos* we Lwowie.

W tej atmosferze polityczno-kulturalnej: wśród ciągłych sporów, kampanij przeciw bolszewikom i coraz głośniej ostatnio odzywających się głosów o konieczności szukania kompromisu; w ciężkich naogół warunkach materjalnych i wydawniczych — tworzy się rosyjska emigracyjna literatura piękna.

W dziedzinie dramatu nie stworzyła ona właściwie nic wartościowego; również i poezja, poza paru nazwiskami znanych przed wojną twórców (Igor Siewierianin, Zinaida Gippius) nie daje specjalnie wybitnych dzieł. Na uwagę zasługuje Władysław Chodasiewicz, w pierwszym zaś rzędzie Mikołaj Agniwcew, autor ładnych, lekkich wierszyków o zacięciu kabaretowem (tomik *Moje piosenki*), wyróżniający się zaś z pośród innych poetów cyklem *Świetny Sankt Petersburg.* Cykl ten to — nie krzyk jeszcze wprawdzie — ale łzą przymglone, westchnienie tęsknoty za dawną Rosją, za dawną świetnością nadnewskiej stolicy. Autor z rozrzewnieniem wspomina minione czasy: wzrusza go i stare pudełko zapałek petersburskiego wyrobu, ale umie on i krytycznie spojrzeć na przeszłość Rosji: umie szyderstwem wychłostać rozpustę i okrucieństwo cesarzowej Elżbiety, przypomnieć wielkiemu Piotrowi, że gród jego piękny stanął na kościach stu tysięcy chłopów rosyjskich, a w najlepszym wierszu z cyklu *Paweł I* stworzy ponury, a wstrząsający tragiczną ekspresją obraz Rosji, do trumny złożonej przez Bogiem koronowanego kaprala, który niebawem i sam w trumnie spocznie... Nadewszystko zaś wyrywa się łkaniem drgające wołanie: — Czy pamiętacie dni minione?... gdy nikt wam nie wyrzucał, żeście Rosjanie?!... — i wstaje w strwożonej duszy autora

to wszystko... „wszystko, czego zapomnieć nie można i nie można wskrzesić..."

Prawdziwem odzwierciedleniem psychologji i ideowych konstrukcyj emigracyjnych, prawdziwym dokumentem niezniszczalności siły twórczej literatury rosyjskiej jest powieść.

W dziedzinie tej tworzą zarówno pisarze, którzy już przed wojną stanowili pewną, a często i wybitną pozycję w piśmiennictwie i są dziś sztandarowymi i reprezentacyjnymi wodzami duchowymi wychodźstwa — jak i tacy, co przedtem mało znani lub początkujący dopiero, na emigracji zwrócili dopiero na siebie uwagę i odnieśli sukcesy; są też i jeszcze inni: ci, którzy wogóle dopiero zagranicą, dopiero po rewolucji pisać zaczęli. Zarówno wśród pierwszych, jak i drugich i trzecich są autorzy o wielkiej wartości, artyści wysokiej klasy, i dzieła ich pozostaną na zawsze w skarbnicy kultury duchowej rosyjskiej, a niektóre mają wszystkie dane, by się znaleźć w Panteonie wielkich zdobyczy sztuki światowej.

IV.

Do sztandarowych pisarzy, znanych i cenionych na długo przed rewolucją, w pierwszym rzędzie zaliczyć należy Iwana Bunina i Kuprina, autora niegdyś tak głośnej *Jamy*. Linja artystyczna obydwu żadnym prawie na emigracji nie uległa zmianom, wzbogacili tylko swoją twórczość tematami z dziejów wojny i rewolucji. O ile jednak żywotność ich talentów budzić może duże zastrzeżenia, o tyle trzeci z pośród reprezentacyjnych pisarzy, być może najznakomitszy, w każdym razie najpopularniejszy zagranicą, kandydat do nagrody Nobla, przed wojną prozaik najwspanialszy, najwybitniejszy powieściopisarz historyczny, mentalność i psychika typowo, można powiedzieć klasycznie inteligencka, najznakomitszy z pośród „poszukiwaczy Boga" Dymitr Mereżkowskij i na emigracji pisze dużo i zwraca na siebie powszechną uwagę. Natychmiast po wybuchu rewolucji opuścił Rosję wraz z żoną, znaną poetką Zinaidą Gippius i z właściwem sobie metafizyczno-religijnem nastawieniem wobec zjawisk życia i literatury ostro napiętnował bol-

szewizm w traktacie p. t. *Państwo Antychrysta,* czem zjednał sobie rzesze wielbicieli wśród czytelników na wychodźtwie. Dosyć dużem też powodzeniem cieszyła się jego powieść *14 grudnia,* ciąg dalszy na parę lat przed wojną wydanego *Aleksandra I i dekabrystów.* Bardziej zwarta kompozycyjnie i w więcej siły dramatycznej od *Aleksandra I* obfitująca ta książka nuży nadmiarem roztrząsań natury metafizycznej: w *14 grudnia,* powieści opartej na tle nieudałego przewrotu „grudniowców" (dekabrystów) w r. 1825 — ów pierwiastek metafizyczno - historjozoficzny, właściwy mu w dużym stopniu na całej przestrzeni jego twórczości, — tu zdecydowanie wziął górę nad elementem artystycznym. Odtąd Mereżkowskij — artysta, świetny prozaik i znakomity powieściopisarz historyczny, autor na długo przed wojną wydanej, głośnej trylogji *Chrystus i Antychryst* (składają się na nią *Juljan Apostata* czyli *Śmierć bogów, Leonardo da Vinci* czyli *Zmartwychwstali bogowie* i *Piotr i Aleksy* czyli *Antychryst*) — zdecydowanie traci na rzecz Mereżkowskiego — mistyka, metafizyka i historjozofa, „Poszukiwacza Boga". Poszukiwania te odtrącą odeń czytającą publiczność emigracyjną, tłumnie nawracającą ku cerkiewnemu prawosławiu; niechętnie przyjmie ona i traktat p. t. *Tajemnica Trzech, Egipt i Babilon,* gdzie autor doszukuje się w misterjach egipskich o Ozyrysie i babilońskich o Tammuzie — przeczuwania przyjścia Mesjasza i robi zarzuty chrześcijańskiej nauce o Trójcy, że niema tam pierwiastka kobiecego i macierzyńskiego. Również niechętnie przyjmie emigracja artystyczne uzasadnienie powyższych teoryj w książce *Narodziny bogów, Tutankamen na Krecie* i w powieści p. t. *Mesjasz,* opartej na tle panowania faraona Ameszkotepa IV (Achenatona), który zniósł politeizm i zaprowadził kult jednego boga — boga Słońca. *Mesjasz* — to zdecydowane obniżenie się poziomu twórczości Mereżkowskiego w dziedzinie powieści historycznej. Ostatnia jego książka *Tajemnica Zachodu* — to negacja cywilizacji zachodniej i ukorzenie się przed ortodoksyjnością Cerkwi prawosławnej: najznakomitszy poszukiwacz Boga — jak i wszyscy inni emigranci — ukorzył się przed wiarą, w której ochrzczono go dzieckiem.

Znakomici humoryści: pani Teffi i zmarły przed kilku laty Arkadjusz Awerczenko kontynuowali na wychodźtwie swój dawny „genre" i to z niesłabnącem powodzeniem. Rozumie się, że tematy ich obracają się teraz dokoła rewolucji i emigracji; szczególnie Awerczenko zaktualizował swą satyrę w kierunku politycznym, antybolszewickim; na uwagę zasługuje jego książeczka p. t. *Dwanaście noży w plecy rewolucji.*

Dwaj pisarze mało znani przed wojną, początkujący obaj wtedy dopiero: jeden z wyznawców ideologji tołstojowskiej, Iwan Nażywin, i beletrysta Eugenjusz Czirikow wspaniale rozwinęli na emigracji swą indywidualność twórczą. Nażywin wystąpił z trzytomową powieścią-epopeją p. t. *Rasputin,* w której z niezwykłą siłą odtworzył dzieje Rosji w latach 1910—20. Całe dzieło ma ogólną tonację zdecydowanie i tragicznie — ponurą; źródła nieszczęść, jakie spotkały jego ojczyznę, dopatruje się autor w ciemnocie narodu i dlatego nazwiskiem człowieka, który tej ciemnoty był symbolem, zatytułował swe dzieło. Prasa zarówno rosyjska, jak i zagraniczna (szczególnie niemiecka) powitały *Rasputina* wybuchem szalonego entuzjazmu; niektórzy krytycy przesadnie dopatrywali się w Nażywinie dziedzica Puszkina, Dostojewskiego i Tołstoja razem. Poza tą narodową epopeją napisał autor *Rasputina* szereg powieści awanturniczo-egzotycznych, z których na pierwsze miejsce wybija się *Pocałunek królowej,* barwnie i żywo, porywająco niemal opowiedziana nawpół wesoła historja o miłości władczyni jednego z plemion murzyńskich do rosyjskiego inżyniera, pracującego nad budową nowej kolei w belgijskiem Kongo.

Dużo autorów emigracyjnych pisało o rewolucji, o terorze, o okropnościach wojny domowej, o przejściach i cierpieniach wychodźców — nikt jednak z nich nie dorównał w odtwarzaniu tej tak świeżo minionej, a wszystkie serca krwawiącej przeszłości — Eugenjuszowi Czirikowowi. Pisarz ten łączy w sobie skrajny, często wstrząsający swą siłą dramatyzmu i brutalną prawdą — realizm z idealistyczną wiarą w lepsze „ja" w człowieku. I realizm ten, i idelizm jaskrawie występują w powieści *Mój romans,* ze smutnym uśmiechem opowiedzianych dziejach miłości lekarza do nieszczę-

stosunek rzucił autor na tło wstrząsających obrazów ucieczki przed bolszewikami i wiernie odmalowanego bytu emigrantów rosyjskich w Bułgarji. Jeszcze silniejsze wrażenie wywiera prawdziwe arcydzieło sztuki powieściowej, pomnikowy okaz beletrystyki rosyjskiej epoki rewolucji i emigracji — powieść *Bestja z otchłani,* gdzie obok przerażającego obrazu bratobójczej (dosłownie!) wojny domowej maluje autor tragiczne perypetje dwu braci „białych" oficerów i żony jednego z nich i narzeczonej — drugiego. Większość bohaterów powieści ginie, zostaje tylko dziecko pod opieką młodej kobiety, która postawiona wobec problemu „zabić człowieka czy ulec zwierzęciu (w tymże człowieku)?" — decyduje się na to pierwsze, by żyć dla dziecka, które — jak wierzy, a wraz z nią i autor — czeka lepsza, świetlana przyszłość. Znakomity ten powieściopisarz zmarł niedawno w Pradze czeskiej.

Znany przed wojną, jako lubujący się w ekscentrycznych tematach (np. świat atletów cyrkowych) nowelista, Breszko-Breszkowskij spłodził na emigracji olbrzymią ilość nie mających żadnej wartości artystycznej, ale pociągających ultra sensacyjną akcją — powieści antybolszewickich, w których „biali" Rosjanie i Polacy, a czasem i inni „szlachetni a dzielni cudzoziemcy" walczą — i rozumie się, z powodzeniem — przeciw bolszewikom, żydom i masonom. Między innemi napisał Breszko-Breszkowskij powieść p. t. *Krwawy maj,* w której pod maską dekoracji i rekwizytów południowo-amerykańskich, odtworzył przewrót w r. 1926 w Polsce.

Na emigracji też powstały „okultystyczne" powieści pani Krzyżanowskiej (Rochester). Jest to nieudolna kompilacja wiadomości z dziedziny filozofji, nauki o wędrówce dusz, spirytyzmu, magji i legend starożytnych i średniowiecznych — wszystko opowiedziano dość zajmująco, chwilami jednak nużąco ciągłem powtarzaniem sytuacyj — w powieściach *Eliksir życia, Magowie, Zagłada planety* i innych.

Z pisarzy, którzy na emigracji dopiero pisać zaczęli i wnet niesłychany odnieśli sukces (a to nietyle ze względu na walory artystyczne swych dzieł, ile na treść, przemawiającą do duszy każdego emigranta-Rosjanina) na pierwsze miejsce wybija się b. ataman kozacki, generał Krasnow, najskrajniejszy reakcjonista z pośród autorów emigracyjnych,

śliwej, kochającej niegodnego jej człowieka dziewczyny. Przejścia tych dwojga i ich boleśnie-tragiczny wzajemny autor szeregu powieści, z których każda echem głośnem odbijała się w sercach czytelników. Na uwagę zasługuje traktat *Dusza armji* i powieści: *Amazonka pustyni, Opadłe liście, Od dwugłowego orła do czerwonego sztandaru* i pisana dla „pokrzepienia serc" powieść historyczna z czasów Napoleona i jego najazdu na Rosję w r. 1812, mająca przypomnieć tułającym się bez ojczyzny, na obcym łaskawym chlebie Rosjanom, jak to wielka, potężna i świetna była Rosja — p. t. *Bóg z nami.*

Z innych autorów warto wymienić Mincłowa, który podróżował po Polsce i opisał swe wspomnienia z tej podróży, naogół sympatyczne, i barona von Nolckena, autora również bardzo popularnej na emigracji powieści *Żywi i umarli.*

Najwybitniejszym, najzdolniejszym emigracyjnym publicystą politycznym, jedynym prawdziwym artystą między dziennikarzami a zarazem powieściopisarzem historycznym o światowej skali jest Marek Ałdanow. Jego charakterystyki wybitnych mężów stanu naszej doby, zebrane w tomach *Portrety, Współcześni* (Clémenceau, Churchill, Piłsudski, Stalin, Blum, Łunaczarskij, Briand, Lloyd George, Zabójca Urickiego) i *Kraje i Ludzie* (Gandhi, De Valera, Alfons XIII i „Nie sentymentalna podróż po Francji, Anglji, Hiszpanji, Holandji i Szwajcarji" ze wspaniałem odtworzeniem dramatycznego przebiegu zgromadzenia Ligi Narodów w sprawie konfliktu chińsko-japońskiego) — pozyskały mu uznanie krytyki zachodnio-europejskiej, cykl zaś *Myśliciel* (składający się z *9-tego Thermidora, Djabelskiego Mostu, Spisku* i *Świętej Heleny — Małej wyspy)* — to nowa epoka w dziejach powieści historycznej. Ałdanow, który jako powieściopisarz wyszedł ze szkoły autorów „żywotów romansowych", przezwyciężył w tym swoim cyklu z epoki rewolucji francuskiej jednostronny biografizm i stworzył nową koncepcję dziejów, jako tworzywa dla powieściopisarza historycznego: dzieje — według niego — tworzą nie masy, jak chciał Tołstoj, ani nie jakieś poszczególne wybitne jednostki, stojące wysoko ponad wszystkiemi innemi. Nie, każda postać historyczna to zamknięty w sobie świat, i dopiero

z walki tych światów tworzą się dzieje. W cyklu historycznym Ałdanow dał świetne charakterystyki znakomitych ludzi końca XVIII i początku XIX w.; połączył też podejście reporterskie z gryzącą satyrą i osobliwą umiejętnością dramatyzowania wybitnych momentów dziejowych. Ostatnio wydaje on nowy cykl powieści z dziejów rewolucji rosyjskiej: z cyklu tego wyszły narazie *Klucz* i *Ucieczka*. Uważny czytelnik łatwo dostrzeże intencję autora co do uwypuklania podobieństw, jakie zachodzą między rewolucją rosyjską, a francuską.

Trudno przewidzieć przyszłość rosyjskiej literatury emigracyjnej. Zależeć ona będzie od oblicza ideowo-politycznego i duchowego, na jakie zdobędzie się dorastające na wychodźctwie pokolenie. Dużo objawów przemawia za możliwością kompromisu między emigracją a bolszewizmem w Rosji; dużo też świadczy o szybkiem wynaradawianiu się młodzieży rosyjskiej na emigracji, szczególnie w Europie. Jutra więc literatury emigracyjnej przewidzieć nie można ale jej „d z i s i a j" dzięki twórczości Mereżkowskiego, Teffi, Awerczenki, Nażywina, Czyrikowa, Ałdanowa, a nawet Krasnowa — zdobyło już sobie chlubną kartę w dziejach historji literatury.[1])

Teodor Parnicki.

---

[1]) Oto pobieżny wykaz rosyjskich utworów emigracyjnych, przełożonych na język polski: *Ałdanow*: Współcześni, 9-ty Theomidora, Djabelski most, Spisek, Mała wyspa, Klucz, Ucieczka, *Breszko-Breszkowskij* około 25 tomów powieści sensacyjnych, *Czirikow* Mój romans, *Krasnow* Amazonka pustyni, Opadłe liście, Od dwugłowego orła do czerwonego sztandaru (skróconego w 1 tomie, zamiast 4), *Krzyżanowskaja* Eliksir życia, Magowie, *Mereżkowskij* Narodziny bogów i świeże dzieło o Napoleonie.

Katolicyzm a ekonomika społeczna[1])

Kochani Panowie! Młodzi Przyjaciele! U liberalnych ekonomistów w. XIX zarówno protestanckich Niemiec jak katolickiej Francji średniowiecze uchodzi za epokę ciemnoty, pisarze katoliccy za *viros obscuros,* a to co wydała nauka średniowieczna, za rzecz niegodną studjów. W kołach tych wydano hasło: *catholica non leguntur,* dzieł katolików z przekonania poprostu się nie czytuje. I powtarzano to tylokrotnie, że w większej części uwierzyli temu sami katolicy, pomijając to wszystko, co w tej dziedzinie wydała nauka katolicka. Dopiero w połowie XIX w. rozpoczęła się reakcja. Wielcy badacze średniowiecza musieli przyznać, że cała nauka i sztuka mniej cenione przez świeckich znalazły przytułek wśród zakonników i księży świeckich, na uniwersytetach katolickich Padwy, Bolonji, Paryża, Pragi i Krakowa, na dworach papieży i wybitnych biskupów, że kwestji socjalnej w dzisiejszem tego słowa znaczeniu nie było, że póki istniała żywa wiara, robotnicy w kopalniach czy w rzemiośle byli wynagradzani nietylko uczciwie, ale wprost hojnie, że pierwsi byli zabezpieczeni na wypadek choroby i nieszczęśliwych wypadków, że musiano osobnemi ustawami zabraniać im zbyt wystawnych uczt i strojów zbyt wspaniałych, czego „oświecone" czasy późniejsze wobec powszechnego pauperyzmu zabraniać nie potrzebują, że praca pańszczyźniana była we wczesnem średniowieczu lekka a w niektórych krajach wprost zanikała, póki recepcja prawa rzymskiego i re-

[1]) Przemówienie na zakończenie zjazdu katolickiej młodzieży słowiańskiej w dniu 27 lipca 1933 w Gdyni.

nesans nie spoganiły zpowrotem dusz ludzkich i nie uczyniły ich ponownie twardymi i obojętnymi na los bliźnich.

Ale choć przyznać musiano, acz niechętnie, wysoką humanitarność owej epoki, tłumaczono ją nie wysokim poziomem wiary, praktykowanej w życiu, a nie odłączanej od niego systematycznie, nie martwej, jak pseudo-wiara dzisiejsza, ale wielką prostotą stosunków, wykluczającą głębsze konflikty. Jest w tem tłumaczeniu tylko część prawdy. Przedewszystkiem bowiem i w pierwszym rzędzie ludzie wierzący, których wówczas było stosunkowo więcej, byli lepsi dla bliźnich i stąd wszelkie konflikty były rzadsze i łagodniejsze. Postępowano bezwzględnie tylko przeciw kłamcom i oszustom, kto naruszył zasadę uczciwości w obrocie, był stawiany pod pręgierz, zysk wszelki był kontrolowany a najwyższą dopuszczalną jego stopę oznaczał zarząd miejski. Decydującym był tu wysoki poziom poglądów etycznych Kościoła. Ale ten stan rzeczy oraz powszechny entuzjazm religijny i nieskażoną rycerskość pełną miłości dla pokonanego nieprzyjaciela przemilczają „postępowi" uczeni z solidarnością, godną lepszej sprawy. Nawet wielkie koncepcje uniwersalizmu w postaci papiestwa, natchnienie i głębię największego katolickiego poety Dantego, cudowne bohaterstwo wojen krzyżowych, pokojowy a wspaniały rozwój wielkich miast, zdobionych przez artystów katolickich w niezrównanych obrazach prerafaelitów i wspaniałym gotyku kościołów nie przenikają do świadomości tych reprezentantów kapitalistycznej nauki, nie wpływają na modyfikację ich opinij. A już najsilniej potępia się średniowieczną naukę gospodarstwa społecznego, zbywa się ją dotąd pogardliwie wskazaniem na „zacofanie" mnichów i na zgoła odmienne od ówczesnych stosunki nowoczesne.

I czegoż dokonał postęp indywidualizmu chwili obecnej? Obok szczupłej garstki elity ducha, tej jedynie prawdziwej elity przewodników rodzaju ludzkiego we wspaniałym pochodzie ku prawdzie i dobru wszystkich, widzimy w tej epoce, pyszniącej się swą kulturą i cywilizacją — miljonowe masy, cierpiące niesłychaną nędzę. Owa garstka ludzi, która umiała zgromadzić w swych dłoniach większą część złota, znajdującego się na kuli ziemskiej, ogłosiła je swym bogiem, każe

bić mu pokłony, jemu najwyższą przyznając władzę, sama przy nim sprawuje funkcje arcykapłanów — a ludzi, którzy się temu sprzeciwiają, piętnuje jako reakcjonistów, fantastów lub bolszewików. My katolicy buntujemy się przeciw temu potwornemu bałwochwalstwu i nie wahamy się wyznać, że do tchu ostatniego walczyć przeciw niemu nie przestaniemy.

Czyż ten ustrój, oddający rządy ruchomemu kapitałowi, ma być ustrojem jedynie możebnym? Czy ma nim być ustrój, w którym co lat 10 lub więcej pojawiają się perjodyczne przesilenia, z których najupartszem i najszersze ogarniającem kręgi, jest to, które obecnie przeżywamy? Czy ma nim być ustrój, w którym pszenicy, kawy, herbaty, ryżu, bawełny jest tyle, że ludzie nie wiedzą, co z niemi zrobić, palą je lub topią w morzu, a broń Boże nie dają ich potrzebującym, równocześnie zaś jest 30 miljonów bezrobotnych, a z rodzinami przeszło 100 miljonów ludzi, nie mających co do ust włożyć ani czem się przyodziać i to bez nadziei poprawy stosunków? Wszakże bowiem postępy racjonalizacji techniki mogą tylko pogorszyć, póki ustrój kapitalistyczny trwa, stosunki społeczne, pozbawiając pracy i wyrzucając na bruk dalsze miljony ludzi. Czy ten ustrój ma być najlepszym, który za i d e ę przewodnią, za jedyny cel gospodarstwa — uznaje z y s k, a tem samem nietylko nie broni własności prywatnej, uczciwie nabytej, ale ją p o d k o p u j e, skoro bądź zaleca inflację a więc okrada robotników a wzbogaca eksporterów, bądź tworzy w swych spółkach akcyjnych przesadne fundusze rezerwowe nato tylko, aby pozbawiać akcjonarjuszy należnych im dywidend, skarb państwa należnego mu podatku a wielkich akcjonarjuszy za tę stratę wynagradza stanowiskami dyrektorów i członków rad nadzorczych, płatnemi niezmiernie wysoko z oczywistym uszczerbkiem akcjonarjuszy i robotników? Wielkie *poole* kanadyjskie niszczą własność prywatną rolników europejskich, kartele cukrownicze gniotą rolników niskiemi cenami buraków, niepewny los robotnika kopalnianego czy fabrycznego ma zapewnić przedsiębiorcy w każdym wypadku nieuszczuplony zysk, który oczywiście nie z innego płynąć może źródła, jak z uszczerbku innych warstw, z pewnością pożyteczniejszych, bardziej z narodem zrosłych i silniej do obowiązków wzglę-

dem niego się poczuwających, aniżeli zastęp bogatych mniej lub więcej cudzoziemców, zdobywających dla siebie nadmiar nawet tam, gdzie jak w Polsce, wszystkie inne warstwy ograniczać muszą ustawicznie poziom swych potrzeb i wydatków.

Źródłem wielkich majątków w ustroju kapitalistycznym jest pomyślna konjunktura, spekulacja i lichwa. Nauka katolicka potępia je, broniąc uczciwej płacy i słusznej ceny *(iustum pretium)*, dopuszczającej zaledwie umiarkowaną nadwyżkę nad koszt własny, nadwyżkę wystarczającą na utrzymanie pośrednika-kupca i jego rodziny.

Jeśli pastor anglikański Robert Malthus w przedmowie do I wydania głośnego dzieła, które zjednało mu taką sławę, wyraził się, że Pan Bóg nie wszystkich zaprosił do stołu życia i tem tłumaczył, aby biedni nie zawierali związków małżeńskich — zdanie, które w następnych wydaniach przezornie cofnął — to stanął przez to w wyraźnej sprzeczności z nauką katolicką, a natomiast wyraził i pseudonaukowemi argumentami poparł myśl władczego liberalizmu. I cóż dziwnego, że współczesny katolicki pisarz angielski, Hilary Belloc, w głośnej książce p. t. *Świat niewolników* stwierdza, że najlepiej wynagradzany i najinteligentniejszy robotnik, to jest robotnik angielski, który wszak w ruchu czartystowskim krwawe staczał boje o prawa polityczne dla robotników, dziś wyrzekłby się ich chętnie wzamian za zapewnione s t a ł e utrzymanie dla siebie i swej rodziny. W starożytności niewolnik miał je zawsze i w każdym wypadku. Niewolnictwo zniesiono. Ale co stworzono w jego miejsce? Stworzono niewolę człowieka wobec maszyny, tudzież związek tak luźny między ludźmi, że go Wielki Carlyle nazwał związkiem gotówkowym *(cash-nexus)* i niczem więcej. „Płacę, a ty pracuj — czynić tak będziesz tylko dopóty, póki cię potrzebuję, — gdy skończysz potrzebną mi robotę, oddalę cię. A co się wówczas z tobą stanie, to mnie już nic a nic nie obchodzi". Czyż człowiekowi, zagrożonemu tą ewentualnością, może zależeć naprawdę na utrzymaniu praw politycznych?

Indywidualizm stworzył koncepcję społeczeństwa jako sumy luzem idących, a nie dbających o siebie wzajemnie jednostek. Indywidualizm nie uznaje w gruncie rzeczy narodu i państwa, choć mówi o nich z emfazą, ilekrotnie jest

mu to potrzebne — nie uznaje ich w szczególności jako wyższych i nadrzędnych całości, mających własne potrzeby i wymagania, mających prawo do narzucania jednostkom swej woli w imię interesu wspólnego i publicznego dobra.

W myśl doktryny liberalizmu każdy ma prawo robić to, co jemu samemu korzyść przyniesie, gonić za indywidualnym zyskiem i nie oglądać się na dobro publiczne.

Bankructwo liberalizmu, coraz powszechniej uznawane, napełniło dziś lękiem przed zemstą krzywdzonych stale i cierpiących niedostatek miljonów. Groźne ostrzeżenie wypisała na ścianach pałaców krwawa rewolucja rosyjska, w porównaniu z którą francuska była zabawką dziecięcą. Zaprzeczanie etyce prawa głosu w sprawach gospodarczych mści się. Wiara w „nieubłagane prawa ekonomiczne" protestuje przeciw ingerencji państwa, która może, ale nie musi być nieudolna, tem samem zaś szerzy przekonanie o bezskuteczności wszelkiego wysiłku woli, pogrąża w fataliźmie.

Nauka katolicka natomiast głosi tę prawdę, że świadoma wola ludzka, skoncentrowana w mądrem wychowaniu, przezornych ustawach, tudzież w szeregu instytucyj społecznych i kontrolnych, dokonać może olbrzymich przemian w naturze ludzkiej, uszlachetniać dusze, kierować na właściwe tory nasze zabiegi i usiłowania, a nawet wykorzeniać przestarzałe narodowe wady.

„Mędrca szkiełko i oko" bało się wiecznych prawd Ewangelji, bało się „Summy" św. Tomasza z Akwinu, którego pojęcie własności prywatnej olśniewa nietylko miłością zaczerpniętą ze słów Chrystusa Pana, ale i nieprześcignioną głębokością poglądów. Więc rzucono z właściwą fanatykom niewiary nietolerancją anatemę na owe arcydzieła największego filozofa średniowiecza, która sięga tak daleko, że ci nawet, którzy dziś wypowiadają zbliżone do niego poglądy, jak Kropotkin w *Pomocy wzajemnej* czy w *Etyce* czy też ateista Leon Bourgeois, przemilczają wieczne źródło, z którego w istocie płyną prawdy, które do nich dotarły.

Ale niczyja nienawiść lub zaślepienie nie zdoła usunąć faktu, że nasz Zbawiciel ogłosił odpowiedzialność bogatych za używanie swego majątku (Łuk. 6, 24—25), pierwszy postawił alternatywę „nie możecie Bogu służyć i mamonie"

(Łuk. 16, 13), tudzież wskazał na trudność wejścia do Królestwa Bożego tym, którzy „ufają w pieniądzach" (Mark. 10, 26). Wślad za słowem Bożem św. Paweł w I liście do Tymoteusza zaznaczył, że korzeniem wszystkiego złego jest miłość pieniędzy (6, 10), a w II liście do Koryntjan wskazał na naturalną między ludźmi solidarność w słowach: „obfitość jednych służyć winna niedostatkowi drugich" (8, 13. 14).

Szereg wielkich pisarzy katolickich jak Tertuljan, Grzegorz z Nazjansu, św. Jan Chryzostom, św. Bazyli Wielki, Laktancjusz, św. Hieronim, św. Augustyn, Klemens Aleksandryjski, rozsnuwał w ciągu wieków przykazania Chrystusowe. Papież Grzegorz I stanowczo potępiał starorzymskie pojmowanie własności prywatnej, określając dostarczanie pomocy każdemu potrzebującemu wprost jako powszechny obowiązek.

Ale dopiero św. Tomasz z Akwinu ujął te rozrzucone myśli doktorów Kościoła w system jednolity, rozróżniając między prywatnem prawem nabywania rzeczy i zarządzania niemi a prawem ich używania, do którego właściciel ma obowiązek dopuścić wszystkich potrzebujących w granicach ich potrzeby. Wszelka własność, przekraczająca odpowiednie stanowi, potrzeby własne i rodziny, zgodnie z prawem natury przeznaczoną jest na to, by używali jej ubodzy. Nawet zabranie cudzej rzeczy bez zezwolenia właściciela może być wedle okoliczności bezkarne, jeśli nie ma innego sposobu zaspokojenia naglącej potrzeby. Dla obrotu św. Tomasz ustanawia zasadę równomierności świadczeń, trafiając tem samem w najsłabszą stronę liberalizmu, zdążającego stale do niezdobywanego pracą łatwego zysku. Cena, wedle św. Tomasza, winna odpowiadać istotnej wartości nabywanego przedmiotu, być sprawiedliwą, stąd wyrażenie: *iustum pretium.* Sprzedający ma prawo doliczać do ceny własnego zakupna pewną nadwyżkę, w razie uszczerbku jaki poniósł wskutek sprzedaży, w razie przeróbki lub poprawy rzeczy, w razie kosztów przewozu jej z jednego miejsca na drugie, tudzież tyle, ile potrzeba na jego własne utrzymanie. Wyższa cena nie może jednak nigdy wywodzić źródła swego ze szczególnej potrzeby kupującego, nikt bowiem nie może sprzedawać drugim tego, co nigdy nie było jego własnością. Zasada równomierności świadczeń obowią-

zywać winna również w stosunku między pracą a wynagrodzeniem za nią. Nie rozwój produkcji ale zaspokajanie potrzeb żywych ludzi winno być wobec tego c e l e m gospodarstwa społecznego.

Gdy z nastaniem nowych czasów naruszenie zasad Chrystusowych coraz jaskrawiej występowało nazewnątrz, a rozdział dochodu społecznego stawał się coraz niesprawiedliwszym, poglądy socjalne katolicyzmu, opierające się na wiecznych podstawach nauk Boskiego Zbawiciela, doczekały się wspaniałego renesansu. Kardynałowie Mermillod, Manning, Gibbons, biskupi Doutreloux i Ketteler, de Mun, Harmel, de la Tour du Pin, Duthoit, Eblé, Leroy, Goyau, Lorin, Hitze, Vogelsang, Kuefstein, Descurtins, Scheimpflug, Beck, Worthman i wielu innych stanęli tu w pierwszych szeregach.

Leon XIII ujął poglądy tych i innych myślicieli katolickich w r. 1891 w encyklice *Rerum Novarum* w jedną całość. Napiętnował w niej współczesnego ducha kapitalizmu jako lichwę w nowej postaci, z oburzeniem mówił o garstce bogaczy, nakładającej jarzmo prawie niewolnicze stanowi pracującemu, potępił wyzysk uprawiany wobec niezliczonej liczby ludzi, wiodących żywot niegodny człowieka i traktowanie ich jakoby rzeczy martwych. Domagał się pomocy i opieki państwa dla ubogich, w szczególności zaś żądał, aby ci właśnie, którzy wytwarzają najniezbędniejsze dobra, nie pozostawali w ciągłych zapasach z okropnościami nędzy, oraz zalecał dbałość o to ze strony władzy państwowej. Wedle zapatrywania Leona XIII ingerencja państwa jest zawsze nieodzowną, ilekroć czyto interes ogółu, czy też stosunki poszczególnych warstw społecznych zostaną naruszone lub choćby tylko zagrożone.

Pius XI w 40-letnią rocznicę orędzia swego wielkiego poprzednika wydał nową encyklikę *Quadragesimo Anno.* Wedle niego cele gospodarcze poddać się winno jako cząstkowe celowi ogólnemu, którem jest dobro wieczne człowieka. Z nieszczęsnem ubóstwem wielkiej masy robotniczej pogodzili się łatwo ci tylko, którzy mniemali, że stosunki owe są wypływem koniecznych praw gospodarczych. Skoro pracodawcy współcześni ogłaszają jako święte to, co jest w isto-

cie nadwerężeniem sprawiedliwości, większość działaczy katolickich musiała przyjść do przekonania, że w stosunkach obecnych powinna nastąpić jaknajrychlej zasadnicza zmiana.

Nauka Leona XIII zburzyła śmiało bożyszcza liberalizmu, starła z ziemi stare przesądy i wykazała niezdolność liberalizmu do rozwiązania kwestji społecznej.

Przez długi czas kapitał zagarniał tylko dla siebie korzyść z wszelkiej produkcji, pozostawiając robotnikowi zaledwie tyle, ile mu było niezbędne dla utrzymania życia i pokrzepienia sił. Prawa gospodarcze, na które kapitał prywatny w tym względzie się powołuje, słusznie zwie Pius XI zmyślonemi. W imię sprawiedliwości społecznej nie wolno jednej warstwy wykluczać od udziału w zyskach drugiej. Odmiennego zdania jest wedle słów Ojca Świętego „syta burżuazja, uważając w naiwnej bezmyślności taki porządek za słuszny, który sobie wszystko, robotnikowi nic nie przydziela". Naprzeciw ogromu proletarjuszy stają przepotężne fortuny garstki nad miarę bogatych ludzi. Usunąć dałoby się ten stan rzeczy w drodze złagodzenia umowy o pracę i zastąpienia jej o ile możności przez umowę spółkową. Płaca powinna wystarczyć na utrzymanie robotnika i jego rodziny, przyczem nie wolno nadużywać wieku dziecięcego i słabych sił kobiecych. Uiszczanie tak niskich płac, że żony robotników zmuszone są oddawać się również pracy zarobkowej z uszczerbkiem obowiązków domowych, a nadewszystko ze szkodą dla wychowania dzieci, nazywa Pius XI haniebnem nadużyciem. Jeżeli rentowność przedsiębiorstwa ucierpiała wskutek opieszałości, braku inicjatywy lub technicznego i gospodarczego zacofania przedsiębiorcy, niema powodu do umniejszania płac robotniczych. Ustalenie płac winno nastąpić przy udziale państwa, którego zadaniem jest przestrzeganie zasad sprawiedliwości. Wcielił to w czyn Mussolini w ustroju korporacyjnym.

Nadmierne płace kierowników powodują obniżenie płac robotnikom a przeto sprzeciwiają się sprawiedliwości społecznej. Do tego państwo dopuszczać nie powinno. Pozatem należy dążyć do reformy ustroju społecznego w tym kierunku, by w miejsce dzisiejszej przewagi „nieszczęsnego",

jak mówi Papież, indywidualizmu i ciągłych walk klasowych nastąpiła wzajemna współpraca stanów we wspólnych korporacjach, obejmujących pracodawców i pracowników.

Wolna konkurencja jest jednem z zatrutych źródeł, z którego płyną wszystkie niedomagania ekonomiki kapitalistycznej. Ojciec Święty mówi w tym względzie: „wolne współzawodnictwo dobiło samo siebie; po wolnym handlu przyszła dyktatura ekonomiczna; chęć zysku przerodziła się w nieposkromioną żądzę panowania; całe życie gospodarcze stało się twarde, bezlitosne, okrutne". Zwyciężają bowiem przy tym ustroju przeważnie ci, którzy „najbezwzględniej walczą, to znaczy najmniej kierują się sumieniem". Pozatem produkcja nie może zależeć wyłącznie od przedsiębiorcy i jemu tylko przynosić korzyść. Nieliczni powiernicy i zarządcy wielkich finansów uzależnili od siebie kredyt i udzielają go według własnego upodobania. Szafują tem samem poniekąd krwią, którą żyje organizm gospodarczy, trzymają w ręku swem niejako życie całego gospodárstwa tak, że przeciw ich woli nikt oddychać nie może.

Państwo wedle słów Ojca św. „spadło dziś do roli niewolnika, zaprzedanego ludzkim namiętnościom i samolubnym interesom". Dla wielkich finansów „ojczyzna jest tam, gdzie jest dobrze". Winno się więc poddać wolne współzawodnictwo nadzorowi władzy państwowej, oraz przystosować wszelkie urządzenia publiczne do potrzeb dobra ogólnego i do wymagań sprawiedliwości społecznej. Winno się pewnej kategorji dóbr, jako stwarzającej niezwykłą potęgę ekonomiczną, nie pozostawiać w rękach osób prywatnych, co naraziłoby na szwank dobro publiczne, ale uczynić je monopolem państwowym.

Wobec groźby komunizmu „na tem większe potępienie zasługuje karygodne niedbalstwo tych, którzy nie usuwają albo nie zmieniają w państwie owych objawów, doprowadzających umysły do rozpaczy i tem samem torujących drogę przewrotowi i ruinie społecznej".

Ustrój dzisiejszy odrzucił wskazania Ewangelji, przecząc, jakoby etyka miała prawo zabierania głosu w sprawach gospodarczych i depce prawa przyrodzone i Boże. Ludzie znikczemnieli a godne podziwu postępy techniki uszlache-

tniły tylko martwą materję. Pius XI, a z nim nauka katolicka, żąda więc od nas zerwania z ustrojem wielkokapitalistycznym, potępia zyski, pochodzące z niemoralnego i rozkładczego źródła spekulacji, zaleca równomierność świadczeń, uznanie obowiązków i ograniczeń, ciążących na własności prywatnej oraz zaleca ustrój korporacyjny, oświadcza się za ingerencją państwa przy ustanawianiu płac i innych warunków pracy najemnej oraz za ustanowieniem tych gałęzi produkcji, które osobom prywatnym dałyby zbyt wielką potęgę gospodarczą.

Ku całej cywilizacji zachodniej zbliża się katastrofa przewrotu i ruiny społecznej. Kto tego nie widzi, dopuszcza się karygodnego niedbalstwa i zasługuje, wedle słów Piusa XI, na potępienie. Nadciąga olbrzymia burza ku okrętowi, na którym skupiają się przerażone rzesze. W groźnej tej chwili pozostała nam jedyna droga ratunku.

W chwili niebezpieczeństwa wszyscy jąć się winni współpracy i słuchać wskazań załogi i kapitana. Nie wolno nam dziś czynić niczego, coby ogółowi wyrządzało szkodę, wszyscy winniśmy karnie i solidarnie współdziałać, jeśli pragniemy nietylko nie utonąć, ale jako wierzący katolicy skierować nawę naszą i nawę ludzkości ku zwycięstwu sprawiedliwości i miłości.

Waszym zaś, młodzieży katolickiej, szczytnym obowiązkiem jest wśród powodzi materjalizmu, w gruncie rzeczy jałowego i ciasnego, trzymać się wiernie steru naszej wiary nieśmiertelnej w tem przekonaniu, że zaprowadzi ona narody tej ziemi, a wśród nich w pierwszym rzędzie ukochaną Ojczyznę naszą i inne narody słowiańskie, ku przystani wiecznej prawdy i chwały.

Leopold Caro.

Jakub Deml.

(Dokończenie).

II. Twórczość.

Jeśli chodzi o wybór tematów, o reagowanie poety na rzeczywistość, o jego stosunek do tych lub innych wypadków, to o Jakubie Demlu nie można powiedzieć, że on nie jest „ani zimny ani gorący". On jest zawsze gorący. Taki to już jego temperament pisarski. Jest on pełen temperamentu, chwaląc lub biczując, czy ma słuszność czy się myli. Niemniej gorącym jest on i wówczas, gdy się przyznaje do swoich błędów. Jest on, jak mógłby powiedzieć dziennikarz, „stuprocentowym" człowiekiem. W jego naczyniach krwionośnych nie woda płynie i nie serwatka, lecz bogata, czerwona krew, gęsta jak smoła. Zbyt szybkie tętno tej krwi być może często przyćmiewało jego wzrok: niezawsze widział przedmioty we właściwem świetle, lecz to, co widział, widział wyraźnie. Gdy Deml się poświęca, to poświęca się cały — nie uznaje targów w miłości. Nienawidząc, on również kocha. Chłoszcząc przeciwnika, wierzy, że jego ciosy są pożyteczne. Więc chłoszcze zacięcie: nic tak boleśnie nie chłoszcze, jak ręka miłująca.

Deml jest nadzwyczaj refleksywny. W tej refleksywności tajemnica jego wiecznej młodości. Jest uczuciowy. Uczucie potężnie działa w jego całej twórczości. Daleki jest od racjonalizmu. Jego wiara nie wypływa z zimnych rozważań, lecz jest w jego krwi, jest częścią przytem zasadniczą jego istoty. Jego kapłaństwo, służba Bogu, jest fundamentem jego pracy pisarskiej. Kapłaństwo jest w nim głębsze i wartościowsze, niż osobistość pisarska. Deml na-

leży do ludzi, którzy sami chcą cierpieć. Jest on wyznawcą wszystkiego, co sam uważa za dobre i słuszne.

Jego uczuciowość i irracjonalność ma w sobie coś wschodniego. Deml — to ostatni hołd Wschodu chrześcijańskiego Zachodowi chrześcijańskiemu. Jest on wschodni, jak „wschodnim" był św. Augustyn i Jacopone da Todi. Więc ze względu na swój temperament jest on bliższy dla czytelnika Polaka lub Rosjanina, niż Czecha. W Polsce zrozumianoby go lepiej i zupełniej, niż w jego kraju ojczystym — wszak mówił Zegadłowicz, że Deml mu bliższy, niż Jarosław Durych.

Wielka uczuciowość wywarła swe piętno na styl Jakuba Demla: jego styl niema podobnego sobie w całej literaturze czeskiej i można go zrównać jedynie z pamiętnikami Dostojewskiego lub w stopniu znacznie mniejszym ze stylem Leona Bloy. Deml prawie zawsze na coś reaguje. Więc większość swych książek napisał nakształt pamiętników (jedynie nakształt, bo w rzeczywistości nie są one pamiętnikami), lub w rodzaju listów. Duża zasługa Demla dla literatury czeskiej polega na tem, że wznowił i udostępnił dla współczesnego czytelnika formę narracji listowej, sentencję, paradoks, orzeczenie. Szereg jego książek, jak np. *Tętnica,* zawierają same dedykacje, które wpisywał do książek darowywanych przyjaciołom. Całą myśl zawierają one w paru wierszach:

Marji Chudobone w książce *Słowik:* „Ten ptak jest bardzo nieskromny — zamiast klatki wystarczy mu serce ludzkie".

Biskupowi dr. Ant. Podlaha w książce *Dla Sióstr* „z największem szacunkiem za to, że on jeden — Budowniczy Świątyni, podczas gdy Wieża Babel właśnie dosięgła obłoków". *(Tętnica).*

Klasycznym przykładem takiej, pełnej treści wewnętrznej, delikatnej poezji jest jego wstęp do książki *Rosnicka* (Żabka drzewna).

Żabkę drzewną posyłam ci dlatego,
1. że ona również jest stworzeniem boskiem,
2. że jest pożyteczna, bo tępi owady;
3. że ma tak piękną nazwę;
4. że brzydzi się błotem, które lubią jej siostry, woląc półmrok zielony w koronach drzew;

5. że niema domu sztucznego;
6. że brzuszek ma bialuśki, a jej zieloność jest tak rajsko świeża, wciąż budząca w nas podziw;
7. że nie żyje gromadnie;
8. że zwiastuje wilgoć niebieską, gdy zaś inne stworzenia milkną, kryjąc się przed burzą, ona śpiewa sama jedna".

Jest to naprawdę wiersz liryczny prozą. Takich lirycznych wierszy Deml ma bardzo dużo: książka *Mirjam, Moi Przyjaciele, Hrad smrti, Tan Śmierci, Mój Czyściec,* również książka o Jeneweinie — są to wszystko większe lub mniejsze wiersze prozą. Swym stylem są one bliższe do wierszy prozą Turgieniewa, niż Wilde'a. Oskar Wilde zwracał większą uwagę na formę — jako przykład może posłużyć jego znany wiersz, zaczynający się od słów: „I było cicho w gmachu sądu. A człowiek nagi stał wobec Boga..." i kończący się: „I było cicho w gmachu sądu". Wilde tworzył melodyjność — u Turgieniewa ona wynikała sama przez się z trafnego wyrażenia myśli. Taką również jest melodyjność u Demla, lecz jest ona bardziej intensywną i sugestywną, niż u Turgieniewa.

Forma listu, wiersze prozą lub epigram wymagają dwóch istotnych przymiotów: nieprzymuszonej melodyjności i wyrazistości. Deml zadziwia melodyjnością swej mowy. Jego język czeski jest tak piękny i melodyjny że zdaje się, iż czuć w nim dech ziemi, obłoków, kwiatów i lasów. Oto przykłady z książki *Moi Przyjaciele*:

Dziędzierawo, oniemiały piewco Sodomy, wypalone masz oczy, a dokoła twej głowy krąży głupota, pasma omdleń i nieskończonych zawrotów głowy. Tyś najsmutniejszy ze wszystkich, bo z ciebie człowiek nie może się cieszyć...

Konwaljo, śnie lekki korzeni dębowych o pannach z zamków trzynastego wieku, my również staraliśmy się zaginąć w lasach i brać do rąk białe ułamki alabastru...

Łopianie, zbóju, witaj! Co ma czynić miłość zawiedziona?...

W przekładzie zanika piękno oryginału. Deml świetnie włada językiem czeskim, jego zwroty nigdy nie są wymuszone, wszystko znajduje się na swojem miejscu, wszystko wypływa jedno z drugiego, czuć wyraźnie, że nie sposób ani ująć, ani dodać żadnego wyrazu. Człowiek obcy mógłby polubić język czeski, jedynie ucząc się z książek Demla.

Epitet Demla jest wciąż niespodziany i zawsze właściwy, nigdy nie bywa banalny. Jest to zawsze jego własny epitet, lecz w tej oryginalności niema ani cienia chęci wydawania się osobliwym. Gdy Deml dowcipkuje, a jego dowcipy rzadko bywają bezprzedmiotowe, to ironja przybiera odcień prawie infernalny; wtedy on chłoszcze, rani i wreszcie się śmieje. Czytelnik zaś, nawet oburzając się na autora, musi się śmiać — jest taka jego magja słów, magja doskonałej umiejętności władania językiem. Plastyczność jego epitetu wynosi go nad wszystkich innych czeskich pisarzy, bo ten epitet nie jest konstrukcyjny, lecz intuicyjny, naprzykład „bezdenny grób", „łyko białośnieżne". Nietylko barwność, lecz i sam dobór obrazów i epitetów daje wydatne, żywe widoki: „przypędził, choć nie było słychać jego kroków, duży, biały niedźwiedź i stanął na tylnych łapach z białemi kłami w krwawych dziąsłach..."

Wyrazistość obrazu jest osiągalna tylko na drodze transparencji, gdy postać człowieka lub rzecz oświetlamy nietylko z zewnątrz, lecz i z wewnątrz przez ogień własny, płomień z nieba lub piekła. Człowiek i rzecz — to sama tylko konkretyzacja chaosu i kosmosu, punkt załamania się wszystkich wymiarów, to punkt skrzyżowania kilku promieni. Takie są postacie u Demla, co jest całkiem słuszne, bo one u niego trwają przelotnie, na chwile wrażają się w pamięci, by zaraz zniknąć. Jest rzeczą znamienną, że Deml nie napisał żadnej powieści, ani jednego opowiadania w zwykłem znaczeniu tego słowa. Napisać pięćdziesiąt książek, a w tem żadnej powieści to osobliwy rekord! Bardzo często Deml tylko narzuca swe sny, sny bez fabuły i łączności, lecz pełne treści głębokiej. Rzecz oczywista, dlatego, by ten wizyjny uczuciowy żywioł nie stał się płynnym, każdy szczegół należy dobrze oszlifować, każdy wydany przez Demla „list" (który naprawdę często bywa wierszem) winien zawierać w sobie coś bardzo konkretnego i istotnego — są to nie słowa, lecz rzeźba.

Taka jest metoda jego twórczości. Budowa utworów: list, epigramat, wiersz prozą, glosa, wiersze rymowane, wizja, sen, polemika, wspomnienie. Technika: rzeźki, lecz nieprzymuszony epitet, wyrazistość osób i rzeczy, przeżycie,

tęsknota ducha, lecz prawie nigdy akcja. O czynie Deml mówi tylko wtedy, gdy on jest subjektywny: w opisie swej rodziny, w polemikach z kurją — tylko tam znajdujemy coś w rodzaju fabuły, działania. Wszystko inne — medytacja w najszerszem znaczeniu tego słowa. Powiedziałbym: medytacja uczuciowa, zwykle bardzo krótka, na kilka stronic, nieraz tylko na kilka wierszy...

Jakież są książki — jak te medytacje wzajemnie się łączą? One zwykle się nie łączą, o ile chodzi o łączność mechaniczną, strukturalną. Ten brak łączności jest właśnie główną swoistością Demla. Mimo to jego książki czynią wrażenie spoistości. Poszczególne części łączy jedność osoby i jędność porywu — ta subjektywna jedność zupełnie wystarcza.

Ostatecznie można znaleźć w twórczości Demla rysy, zbliżające go do takich lub innych szkół literackich: do poetyzmu, symbolizmu, superrealizmu. Lecz do żadnej z tych szkół on nie należy, jak i sam nie stworzy nowej szkoły. Naśladownictwo Jakuba Demla chybia celu: wszak nie można naśladować wodospadu lub kanarka — one każdorazowo śpiewają inaczej. Jakub Deml — jedyny poeta, któremu nie można przypiąć napisu ze ścisłem oznaczeniem kategorji, szkoły, rodowodu. Jakub Deml jest tylko sobą samym.

Twórczości Jakuba Demla nie odpowiada żadna z przyjętych nazw. Jedynem określeniem, które możemy znaleźć i które choć do pewnego stopnia odpowiada jego tematyce oraz stylowi, jest symfonja. Deml nie jest symbolistą, nie jest superrealistą ani poetystą; on jest symfonistą. Jego proza przez swój przyrodzony a zarazem nadzwyczaj lekki rytm przypomina dźwięki organu. Z różnych stron — jakby w potoku dźwięków — podchodzi on do swego tematu, który również zawsze jest pełen głębi wewnętrznej i symbolizmu, — potem wszystkie dźwięki zlewają się w potężny akord i znaczenie całej symfonji wyrasta w oczach czytelnika. Żadna twórczość nie jest tak podobna do katolickiej muzyki kościelnej, jak twórczość Jakuba Demla.

Jego zainteresowanie zamyka w sobie krąg prostych, lecz głębokich idei. Tych idei poeta nie „szerzy" i nie

„rozstrzyga". Szerzą i rozstrzygają tylko dziennikarze. Deml-poeta, idee zaś, z których czerpie natchnienie, niewidocznie, lecz rzeczywiście są obecne w każdem jego słowie.

Forma pamiętnika większości jego książek mogłaby nasunąć mylny wniosek, że Deml choruje na jakiś egocentryzm. W rzeczywistości jest całkiem inaczej — żaden człowiek tak dotkliwie nie odczuwa swojej nicości i swoich wad, jak on; nie ma on w sobie ani trochę miłości własnej. Lecz osoba człowieka, więc i osoba poety jest punktem załamania się tego świata z tamtym. W człowieku, odkupionym Adamie, wartość posiada iskra Boża. Każda osoba stoi wobec świata, nigdy nie zlewając się z nim całkowicie, lecz w ten lub inny sposób reagując na niego. Więc mają wartość i sama osoba, i jej reagowanie na zjawiska zewnętrzne, i to, co tę reakcję powoduje, czyli ludzie, kamienie, kwiaty, domy, wrogowie, przyjaciele, zwierzęta. Egocentryzm — to zupełna przeciwległość zagłębienia się Demla w sobie. Dla niego również mają wartość każda inna osoba i ich działanie wzajemne — przeto Deml przypisuje szczególne mistyczne znaczenie każdemu spotkaniu, każdej rozmowie. Dla niego niema nic nieważnego. Spotykanie ludzi, krzyżowanie się ich dróg jest pełne głębokiej, niezrozumiałej dla nas treści, wdaniem się Opatrzności Bożej w dziedzinę wolnej woli. Każde spotkanie było do czegoś potrzebne. Obcowanie ludzi jest ziemskiem odbiciem mistycznego obcowania świętych — przeto Deml pisze prawie o każdym, z kim się zapoznał, drukuje w *Stopach* listy własne i obce, tak prędko zawiera z ludźmi przyjaźń... i tak prędko z nimi się rozchodzi. To zrozumienie wartości obcowania ludzi zawiera w sobie rozumienie świata, jako całości, świata w dynamice, w ruchu. Przytoczę dwa znamienne urywki:

Wierzę w świętych obcowanie. To nie znaczy, jak wielu mylnie to rozumie, jedynie nasze obcowanie z Kościołem cierpiącym i triumfującym na tamtym świecie, lecz również nasze wzajemne obcowanie na tym świecie, jak to wynika ze słów Pisma św., jeszcze obecnie tak niezrozumianych: „Kto nie miłuje swego brata, którego widzi, jakże może miłować Boga, którego nie widzi?" (I Jan 4, 20).

Do Lepszych Czasów str. 43.

Gdy ktoś przemawia do mnie, przytem w tak niezwykły sposób, jak Hrabia łaskawy, mnie to się wydaje czemś tajemniczem, poniekąd świętem, czemś w rodzaju zobowiązania i więzi podobnej do zaślubin. Więc wszelkie nagłe i nienaturalne pogwałcenie podobnego zobowiązania jest w moich oczach niebezpiecznym flirtem. Muszę to powiedzieć, chcąc zostać „mężnym" i „prawowiernym katolikiem".

List do ks. kanonika Ledóchowskiego, *Do Lepszych Czasów* str. 56.

Tę myśl o niezmiernej wartości wszelkiej istoty przenosi on z ludzi na rzeczy, nawet na książki. Pisze: „Dla mnie książka jest żywą istotą, więc niewłaściwy jest dla niej ani sport bibljofilski, ani księgarska, ani, co gorsze, wydawnicza prostytucja. Moją książkę może wydać, polecić dla kupna, nawet układać i drukować tylko ten człowiek, o którym wierzę, że jest mym przyjacielem". Deml ze szczerą miłością bada swe pochodzenie, odszukuje dom, w którym mieszkali jego przodkowie. *Grób,* całe stronnice zapełnia opisem dzieci sąsiadów, pisze z zachwytem o kwiatach, lasach, i skałach. Jak osobliwą jest jego książka *Moi Przyjaciele!* Obcuje on tam w niej z kwiatami. Czyż to nie panteizm i nie uduchowienie martwej przyrody? Bynajmniej. To ideał św. Franciszka: „Brat mój wiatr, brat mój wilk"... *Moi Przyjaciele* — to współczesna analogja kazania św. Franciszka do ptaków. Deml mówi kazanie do kwiatów. To nie panteizm, bowiem w pojęciu panteizmu tkwi moment rozpłynięcia się osoby w przyrodzie. Deml nigdy nie zatraca się w przyrodzie, on ją tylko lubi i z nią obcuje. W nim iskra ludzka i to, co człowiek ma od Chrystusa — obraz Boży — nigdy nie ginie. Tu on twardszy niż Brzezina, w którym można znaleźć ślady prawie czystego panteizmu, podczas gdy Deml jedynie lubi przyrodę, bo jest stworzona przez Boga i nosi na sobie piętno Jego twórczości. Nie jest to także animizmem, bo nie kwiaty i nie kamienie mówią do Demla, ale on do nich. One słuchają jego wyznań, jak „brat wilk" słuchał wyznań św. Franciszka. Radosne, bardzo optymistyczne przyjmowanie świata jest rysem istotnym Jakuba Demla. Wniósł on do literatury czeskiej, jednej z najbardziej pesymistycznych literatur świata, franciszkańską radość życiową. „Wszelki duch niech chwali Pana!"

Twórczość wydaje mu się formą służby Bożej, więc jest on wymagający względem twórczości własnej i obcej, jak byli wymagający mistrzowie gotyccy. Ze słów tworzy on ołtarze i modlitwy. Lecz jednocześnie nie zapomina, że powołanie poety, nawet bardzo religijnego, jest niższe, niż powołanie kapłańskie. Deml mówi: „Oto jest skala wartości mej duszy: na pierwszem miejscu Biblja, na drugiem brewjarz, na trzeciem mszał, na czwartem Anna Katarzyna Emmerich, na piątem Otokar Brzezina lub Reiner Marja Rilke, słowem poeci. Brewjarz i mszał są dla mnie jednakie. Więc na pierwszem miejscu Biblja, na drugiem księgi liturgiczne, na trzeciem — święci pisarze, na czwartem — poeci".

Franciszkańska miłość i prostota a jednocześnie surowe poczucie odpowiedzialności, tak charakterystyczne dla mistrzów wczesnej epoki gotyku, czerwoną nicią przechodzą przez jego utwory. Ma w sobie jednak dużo z baroku: giętkość myśli, zdobnictwo, żart i humor. Deml często odchodzi od swego głównego tematu, przypomina, przejmuje się zajściami ubocznemi, by potem znowu wrócić do tematu głównego. Dr. Bartosz, autor książki *Znáte Jakuba Demla,* słusznie uważa ten rys za rys czeskiego pochodzenia Jakuba Demla: Czesi — naród prosty — rzeczywiście lubią używać przenośni i dygresyj. Wszakże rys ten, być może, ostatecznie pochodzi z charakteru baroku, który miał tak duże znaczenie dla całego narodu czeskiego. Bądź co bądź Deml w zupełności osiąga swój cel podstawowy: przekształcenie żywiołowego życia niemego w życie Słowa, życie, wielbiące odwieczne Słowo Boże. W ten sposób słowo staje się ciałem — twórczość Demla jest projekcją i odzwierciedleniem liturgji katolickiej. „Rozbijać dno rzeczywistości, by przez nie można było widzieć światło wieczne. Wszystko — wszystkie moje artystyczne teorje można wyrazić jednem zdaniem: „Milczeć o cierpieniu, a mówić o radości". Z morza ziemskiej nicości Deml podnosi swój głos do Boga, do Absolutu i chciwym wzrokiem szuka wszędzie jego obrazu — każde dostrzeżone objawienie Bóstwa uważa za obietnicę przyszłego życia i przyszłego szczęścia.

Z idei zbawienia logicznie powinien wypływać twardy stosunek do tego, kto chce się zbawić. Jak św. Augustyn,

Deml gotów biczować grzesznika, a przedewszystkiem samego siebie: nie znosząc prostytucji rzeczy i książek, on nie może wybaczyć faktycznej lub domyślnej prostytucji idei. Tu się kryje wytłumaczenie wszystkich jego harców, wyprawianych w ciągu burzliwego życia. Znosi on wszelki ucisk ze strony możnych tego świata nie dlatego, by był oziębłym chrześcijaninem, ale dlatego, że był bardzo gorący zbyt prostolinijno-konsekwentny. Deml walczy nie dla siebie, lecz dla Boga, więc jego wszystkie pamflety, listy i skargi trzeba uważać za przejaw tęsknoty ku większemu rozszerzeniu się chwały Bożej. Więc — motyw służby, motyw kazania. On służy Bogu przez to, że walczy o Jego królestwo — znowu rys średniowieczny, średniowieczne rozumienie życia, jako możliwe i nadzwyczajne urzeczywistnienie wyższej idei. Deml — fragment średniowiecza, rzucony ręką nieznaną w nasze racjonalistyczne, obłudne czasy.

Jako poeta on wciąż pozostaje poetą kościelnym. Według jego pojęć granice Kościoła urastają na olbrzymi kompleks, ogarniający świat widzialny i niewidzialny. Każdy jego wiersz — to służba Chrystusowi, Bogu wcielonemu. Lecz Deml nie należy do pisarzy, nadużywających Imienia świętego. Walczy o dzieło Boże, lecz tego nie podkreśla. „Zawsze, gdy otwierałem usta dla rzeczy świętych (o jakże często i jakże napróżno), było moje słowo jakby ciężkim ptakiem, który wiele razy musi wzmachnąć skrzydłami na ziemi, nim się wzniesie... Poeta stoi i płacze, bo nie może ogarnąć przestrzeni między przepaścią dolną a przepaścią górną, by stało się widoczne, że wszystko jest jedno w hołdzie dla Ojca, Syna i Ducha..." Jego cześć dla Chrystusa polega na walce. Cześć dla Marji — na uwielbieniu. Książka *Moi Przyjaciele* w rzeczywistości jest to książka marjańska, w której poeta wychwala kwiaty, służące ku ozdabianiu ołtarzy Marji. Deml jest pełen miłości, tego daru serca Dziewicy Najczystszej, lecz jest mu obcy erotyzm. Jako przykład może służyć książka *Mirjam,* dedykowana pani Wiesenberger. Jak wszyscy ludzie są zjednoczeni, zdaniem Demla, łańcuchem świętych obcowania — braterstwem — podobnież mężczyzna i kobieta wzajemnie są zbliżeni więzami uczuć bratnich i siostrzanych. Miłosny związek mi-

styczny mężczyzny z kobietą, to przedewszystkiem związek dusz, wzajemne poznanie woli Bożej: „Siostrzyczko, nigdy nie wiedziałem, że jest tyle rzeczy w dziele Bożem". Według pojęcia Demla miłość jest wyższą formą przyjaźni, sposobem oświetlenia i oczyszczenia ducha: tak dziwnemi drogami ona w swej funkcji mistycznej zbliża się do gniewu. bo i przez gniew na tych ludzi, których Deml uważał za „niewiernych sług Bożych", on oczyszczał swą duszę. Miłość i gniew katolicki poeta łączy w jedną całość — są to dwa końce jednej laski, książka zaś *Do Lepszych Czasów* — książka gniewu — to tylko odwrotna strona ksiąg miłości *Mirjam* i *Moi Przyjaciele.*

Miłość i gniew są niemożliwe bez smutku. Zjednoczenie smutku i gniewu powstało u Demla wskutek tęsknoty za zmarłym przyjacielem Otokarem Brzeziną. Właśnie ten kompleks uczuć podyktowały mu książki *Moje Świadectwo* oraz *Stopy* XVI, XVII i XVIII. Gniew albo smutek — w danym wypadku są pojęciami równoznacznemi — zaprowadzały Demla nieraz zbyt daleko, także, jak niegdyś walka o idee Józefa Florjana. Te książki dowodzą, że rzeczywisty smutek głęboki doprowadza nieraz do błędów: żołnierz, oślepły od łez, może zadawać rany również niewinnym.

Miłość i smutek... ten motyw jest zawsze w twórczości Jakuba Demla. Smutek po zmarłej siostrze Matyldzie natchnął kilka rzewnych wierszy, z których należy wymienić *Napis.* Często uczucie dotkliwego, głębokiego smutku, boleści bez końca i bez wyjścia wypełnia serce poety. Nieraz tęsknota ogarnia go we śnie — stąd jego książki snów i widzeń. — *Tan Śmierci, Mój Czyściec.* Motyw smutku potężnym akordem brzmi w książce *Śmierć Pauli Kitlicowej.* Biograf Demla, dr. Bartosz, jest zdania, że tą książką poeta stworzył nowy rodzaj elegji, sam Deml w ankiecie poczytnej gazety czeskiej *Lidové Noviny* odpowiedział, że za lepszą książkę sezonu uważa... swoją *Śmierć Pauli Kitlicowej.* Przyznając, że z każdego wiersza tej książki przebija powstrzymywany wewnętrzną karnością ducha głuchy patos smutku, wszakże nie uczyniłbym tego wniosku, co dr. Bartosz. Tęsknota Demla za siostrą była bardziej intensywna w swoim

wyrazie poetyckim. Ta książka ma raczej wartość subjektywno-biograficzną, niż objektywną.

Takie są podstawowe motywy twórczości Jakuba Demla. Czyniąc rzut oka wstecz, możemy powiedzieć, że one są takie: zbliżenie z przyrodą, ale bez cienia panteizmu — Deml przyrodę konkretyzuje i tem góruje nad Brzeziną, — idea mistycznego obcowania w przyjaźni i miłości, będąca poetycką parafrazą chrześcijańskiego dogmatu o świętych obcowaniu, prawowierność w obronie Kościoła, cześć do Najśw. Panny Marji i wreszcie patos tęsknoty, połączonej z umiejętnością ujawniania szczerej zupełnej radości. Tu trzeba dodać wizjonizm Jakuba Demla, uwidoczniony jak w jego miłości do wizjonerów-mistyków, tak również w tłumaczeniu snów własnych, którym nadaje formę literacką *(Mój Czyściec)*. Ten wizjonizm jest w rzeczywistości mistyczno-poetycką intuicją, bezpośredniem wnikaniem do głębi rzeczy, uławianiem ich treści. Jest to rys wschodni twórczości Jakuba Demla, zbliżający go do gnostyków i do intuicyjnej filozofji rosyjskiej. Trzeba przypuszczać, że w Grzegorzu Skoworodzie, genjalnym ukraińskim samouku-filozofie, Deml znalazłby pokrewnego ducha. Ta „wschodniość" jego poetyckiego temperamentu, oczywiście, nic nie umniejsza czystej katolickości jego poglądów. Intuicyjność — nie idea, lecz swoistość organizmu.

Jak widzimy, lutnia Demla względnie mało ma strun. Nie jest on, jak jego czeski kolega Jarosław Durych, starający się przetworzyć prawie każdy dogmat w utwór poetycki. Durych — genjalny ilustrator do św. Tomasza z Akwinu; Deml — mistyk *redivivus*. Każda jego struna dźwięczy głęboko, jej tony zdolne są objąć całą gamę dźwięków. Wizjonizm intuicyjny Demla nadaje jego pióru niezwykłą moc: rzeczy i ludzie stają w świetle z zewnątrz i z wewnątrz. Słowem w jego twórczości widnieje na każdym kroku tajemnica prawdziwie artystycznej transparencji. Określając kontury rzeczy, on widzi ich bliskie pochodzenie oraz zepsucie, wszczepione przez szatana i grzech pierworodny. Więc jego symbol ma zawsze piętno rzeczywistości, realizm zaś Demla jest symboliczny.

Taki jest Deml, symfoniczny poeta-wizjoner.

Jakub Deml napisał i przełożył następujące książki: 1) Słowo do Ojcze nasz Fr. Bilka, 2) Pierwszy zbiór studjów, 3) Homilje, 4) Notantur Lumina, 5) Przekład encykliki o codziennej Komunji św., 6) Widzenie św. Hildegardy, 7) Słowik św. Bonawentury, 8) W Zabajkalu, 9) Życie św. Dympny, 10) Żabka Drzewna, 11) Góra proroków Anny Emmerich, 12) Zamek Śmierci, 13) Do Domu, 14) Moi Przyjaciele, 15) Przyszłym wędrowcom i wędrowkom, 16) Tan Śmierci, 17) Życie Ruysbroecka, 18) Mirjam, 19) Pierwsze Promienie (nowe wydanie „Notantur Lumina"), 20) Czesno, 21) Stopy I—XVIII, 22) Zbiornik Sokolski, 23) Siostrom, 24) Tętnica, 25) Głos mówi do słowa, 26) Grób, 27) Z mego Karceru, 28) Do lepszych Czasów, 29) Św. Cyprjan o widowiskach, 30) List św. Wincentego Ferrero o końcu swiata, 31) „Audiatur et altera pars", 32) Twórczość Feliksa Jeneweina, 35) Mój Czyściec, 34) Moje świadectwo o Otokarze Brzezinie, 35) Sen katolicki, 36) Śmierć Pauli Kitlicowej, 37) List Otokara Brzeziny, 38) Proroctwo Joela.

Doktor Bartosz *(Znáte Jakuba Demla* str. 39) dzieli całą twórczość Jakuba Demla na cztery grupy: pamiętniki, wiersze, utwory szczególnie wartościowe i przekłady. Uważam za właściwsze przyjęcie innego sposobu systematyzacji: pamiętniki, przekłady, „brzeziniana" i twory poetyckie oraz wizyjne. Właściwie mówiąc, również „brzeziniana" co do sposobu swego układu należy do kategorji pamiętników, zostają przeto tylko trzy grupy. O przekładach już nie będę mówił, bo wspomniałem o nich w rozdziale o Florjanie i działalności Demla w Starej Rzyszy; pozostają więc do zbadania pamiętniki i księgi wizyjno-poetyckie.

Pierwszą książką Demla w formie pamiętnika była *Żabka Drzewna,* która wywołała podziw czytelników i krytyków swą świetną przedmową i tem, że autor, notując intymne szczegóły (np. „30. I. Brat Antoni pożyczył mi 40 koron"), jakoś szczególnie obnażał swą duszę, więc powstawało wrażenie iście artystycznej prawdy. Potem począł Deml wydawać swe *Stopy,* które ukazywały się mniejwięcej regularnie, jednakże nie był dziennikarzem w zwykłym znaczeniu tego słowa. W *Stopach* Deml publikował własne i obce artykuły, przekłady, urywki z pamiętnika, listy, nie-

raz i wiersze. V tom *Stóp* wypełnia liryka, więc trzeba go zaliczyć do grupy jego poezyj. W ostatnich zeszytach *Stóp* przeważa materjał o Brzezinie, co ma łączność z wydaną przez niego książką *Moje świadectwo o Ofokarze Brzezinie.* Do tejże kategorji również zaliczam jego ostatnią książkę korespondencji z Brzeziną oraz książki *Do lepszych Czasów, Głos mówi do słowa* i *Do Domu.* Są to listy, polemiki, refleksje o współczesności. Księga o Brzezinie wywołała żywą polemikę, na którą Deml cięto odpowiedział w *Stopach. Do lepszych Czasów* — to zbiór dokumentów z czasów współpracy z Florjanem. *Grób* i *Głos mówi do słowa* są, właściwie mówiąc, etapem przejściowym od pamiętników do poezji czystej. W obu książkach poetę uduchowiają reminiscencje rodzinne. Do tejże grupy zaliczam i książki sokolskie: *Zbiornik Sokolski, Siostrom* — szczególnie silny jest tu element subjektywny; *Tętnica,* w tej książce Deml zaczyna ustosunkowywać się krytycznie względem sokołów, oraz *Czesno.* Zwłaszcza udatna jest *Czesno,* gdzie autor osiąga giętkość myśli i piękność języka. Książki o Brzezinie i brzezinowskie tomy *Stóp* są podyktowane tymże nastrojem: mimo całej polemiki Deml niczego nie zapomniał i niczego się nie wyrzekł, subjektywnie ma on słuszność i wydając te książki, uczynił zadość swej duszy i sumieniu.

I *Śmierć Pauli Kitlicowej* ma charakter przejściowy, choćbyśmy raczej ją zaliczyli do tworów poetyckich. Głęboki ból, odczuwany w każdym wierszu, wypełnia tę książkę, mającą dużą wartość biograficzną dla każdego badacza twórczości Jakuba Demla. Naogół u Demla czyste uczucie jest nieoddzielone od motywów, z których wypływa i od samej osoby poety — przeto nie łatwo przeprowadzić pewną i jasną granicę.

Z ksiąg czysto artystycznych, czyli podług naszej terminologji poetycko-wizyjnych wymienię *Zamek Śmierci, Tan Śmierci, Z mego Karceru, Mój Czyściec, V Stopy, Słowo do Ojcze nasz Fr. Bilka, Twórczość Jeneweina.* Tu, oczywiście, należą *Pierwsze Promienie,* przedtem wydane pod tytułem *Notantur Lumina, Prorok, Mirjam* i *Moi Przyjaciele.*

Zamek Śmierci i *Tan Śmierci* w ostatecznej redakcji weszły do książki *Mój Czyściec.* Jest to zbiór nie opowieści,

lecz raczej wierszy lirycznych prozą, snów i wizyj, pod względem artystycznym ta książka stoi bardzo wysoko. Uważam, że trzeba ją oceniać w genetycznej i tematycznej łączności z *Pierwszemi Promieniami*. W *Pierwszych Promieniach* dano całą gamę nastrojów; jest to młody, przeto zupełnie i świeżo brzmiący akord — to księga młodości i pierwszych doświadczeń. Przeciwnie, w *Moim Czyścu* dźwięczy inna gama, potężna i doniosła jak dźwięk organu. Poeta staje wobec śmierci, jak Edgar Poe, zajrzał do jej gorejących i mrożących oczu, posłyszał jej głos i przeraził się:

> To nie był głos ludzki, lecz taki dźwięk, jakgdyby wydzierano wnętrzności, lub jakgdyby w opuszczonej wieży wkładano klucz do stuletnich drzwi i próbowano je odemknąć. Obyż to był zgrzyt ostry, lecz jest to szept, w którym słychać rdzę i przerażenie!
>
> Spróbował uciekać, ale drzwi były zamknięte, to zaś, co mu wpierw wydawało się szkłem i zasłoną, było lanym metalem a próżno było wołać o pomoc; sparaliżowany temi oczami i takim głosem, czuł tylko, jak wpijają się w niego kościste lodowate palce, czuł na swej twarzy szybki i palący oddech...
>
> *(Mój Czyściec* 177—178).

Z mego Karceru — księga przyrody w Słowacji. Autor niezawsze miał słuszność w stosunku do Słowaków i przyrody słowackiej, lecz ta maleńka książeczka jest bardzo artystycznym przeglądem kraju i ludzi. Obraz osób jest bardzo wyraźny i ostry, — poetyckie postacie żyją własnem życiem, być może całkiem różnem od życia swych realnych prototypów. To nie reportaż, a poetyckie przekształcenie danego przedmiotu, więc od autora nie można żądać wierności, a tylko polotu talentu, w którym skrzą się iskry jego niepowtarzalnej intuicji.

V Stopy — czysta poezja, w której Deml wznosi się niezwykle wysoko; poszczególne wiersze są ozdobą literatury czeskiej. Nie można nie pożałować, że po śmierci p. Wiesenberger Deml prawie nie pisze wierszy. Zwłaszcza warto wymienić *Napis, Drzewa cierpią* oraz *To zmniejszy jej smutek* — w ostatnim wierszu powtórzenie w drugiej połowie każdego wiersza słów połowy pierwszej nadaje całemu wierszowi niezwykłą rytmiczność i moc sugestywną. Deml

często powraca do wspomnień o swej zmarłej siostrze, te zaś smutne reminiscencje usposobiają go do wierszy o nadzwyczajnej czystości i plastyczności.

Proza *Prorok* była jakby księgą przygotowawczą do *Zamku Śmierci* i *Tanu Śmierci.* Tu również Deml staje wobec problemu śmierci, lecz rozwiązuje go optymistycznie:

Czyż nie pękały skały jak chleb? Czyż nie wydawały się kwiaty jakby odbicie Ran Świętych? Czyż nie poświęcono korzeni drzew? Czyż była mowa o jakiejś stracie?

Gdy ty, człowieku, przypomnisz to wszystko, twoja Nadzieja, obrócona już w proch, znów powstanie z martwych i jak przeczysta dziewica będzie chodziła po ziemi, nie dotykając się niczego, wszystko błogosławiąc, nie bojąc się śmierci, jej zaś tchnienia będą jak łopata zruszająca ziemię i jako źródło, otwierające Niebiosa!

Stoją osobno *Moi Przyjaciele* i *Mirjam. Moi Przyjaciele* — czysta poezja kwiatów i wzbierającej miłości. Ta książka niema jedności nastrojów: część pierwszą, napisaną w roku 1909, inspirowała sama przyroda oraz motywy religijne. Część drugą, napisał w r. 1913 pod wpływem wspomnień o p. Wiesenberger; część trzecią dedykował Otokarowi Brzezinie i napisał wówczas, gdy autor czuł się zupełnie osamotniony.

Moi Przyjaciele byłaby bezspornie najrzewniejszą książką literatury czeskiej, gdyby Deml nie napisał księgi wielkiej miłości, swej *Mirjam. Mirjam* — to parafraza poetycka *Pieśni nad Pieśniami.* Poeta wzniósł się nad erotyzm, jego miłość zdaje się składać z blasku księżyca i mgieł porannych. Lecz to nie oznacza braku mocy życiowej, przeciwnie, smutek jego krwi jest wielki i bez wyjścia, pogrąża się on w przepaść tęsknoty, by potem znowu wznieść się do królestwa radości szczęśliwej. Deml nie analizuje miłości, jak czynią autorzy tak zwanych „powieści psychologicznych". Nie grzebie się w mrocznej dziedzinie podświadomości i nie dzieli kwiatu miłości na cienkie martwe tkanki poszczególnych nastrojów. On kąpie się i pływa w miłości, jak ryba w strumieniu, całą swą istotą uczuciową wchłania w siebie wszystkie wibracje i drgnienia miłości bez końca. Na miłość obcą Deml tak odpowiada, jak harfa Eola odpowiada na

dźwięki wiatru, swą miłość wytęża, śpiewa nie on, lecz jego usta, serce, dusza, ciało i anioł stróż. *Mirjam* przerasta granice czeskiej literatury — ta książka zasługuje, by włączono ją do do liczby ogólnoludzkich dzieł poetyckich.

Słowo do Ojcze nasz Fr. Bilka i *Twórczość Feliksa Jeneweina* są to poetyckie komentarze do dzieł rzeźbiarza i artysty. Te obie książki są wartościowe, choć nie jednakowo. W *Słowie do Ojcze nasz* widać, że to jedna z pierwszych książek Demla: zbyt dużo cytat i zachwytów. Deml zbyt wysoko ocenił Bilka, był zbyt gorącym jego czcicielem. Stąd nieraz przypisuje dziełom dłuta rzeźbiarza taką głęboką treść, jakiej one nie miały. Tu tłumacz stoi wyżej, niż rzecz tłumaczona — książka Demla ma większą wartość, niż rzeźby Bilka.

Inaczej jest z książką o Jeneweinie. — W tym czasie Deml był krytyczniejszy i bardziej uduchowiony. On i Jenewein byli równymi sobie genjuszami. Cykle Jeneweina *Pieśń, Danina Krwi, Judasz Iskarjota, Z Życia Chrystusa, Dżuma*, obrazy biblijne i poszczególne widoczki zyskują w Demlu kongenjalnego tłumacza. W tej książce Demlowi naprawdę udało się urzeczywistnić misterjum obcowania dusz. Deml w swym komentarzu do poszczególnych obrazów Jeneweina, zaczyna od drobnych nieznacznych szczegółów — schylenia ręki, wyrazu oczu, układu szaty — przechodząc od jednego szczegółu do drugiego, raptem jasnem promieniem oświetla wewnętrzną, duchową treść obrazu. Umie odnaleźć rysy pominięte, dać niespodziane i zawsze głęboko słuszne tłumaczenie. Obrazy stają się żywe: tłumacz dodaje im mocy. Szczęśliwy jest artysta, który znalazł w Demlu takiego tłumacza, lecz również szczęśliwy jest poeta, który czerpał natchnienie od takiego artysty, jak Jenewein.

Deml jest tem genjalny, że nakształt kryształu rozszczepia promień słoneczny. Niedość na tem, on rozszczepia i mrok. Wszystkie promienie — promienie życia i śmierci — potem znowu łączy w potężną, oślepiającą syntezę. To źródło miłości, tryskające w literaturze czeskiej. Lubi wszystko: „i żar zimnych liczb i dar Bożych widzeń". Lubi swe Czechy, swój Tasów, swe łąki, pola, lasy i ptaki. Za tą miłością

do ojczyzny kryje się miłość ogólnoludzka, chrześcijańska. Deml, być może, nie jest „kanoniczny", jak Durych, ale katolik, bo katolicyzm zawiera w sobie całą miłość, wszystkie radości i smutki życiowe.

Deml nigdy nie był epigonem, choć, być może, nieraz się starał. Są ludzie, nie mogący organicznie być epigonami, jak jedno drzewo nie może być epigonem drugiego. On pisał pamiętniki, lecz te pamiętniki są Demla, nie Leona Bloy'a. Florjan nie przerobił go na swój obraz i podobieństwo. Nie poszedł za Bilkiem, gdy ten odłączył się od Kościoła; Sokół go nie pochłonął i nie pozbawił odrębności. Wpływ zaś Brzeziny poprzestał na sferze subjektywnej: Deml interpretuje Brzezinę, lecz trzyma się zdala od niego. Tam, gdzie Brzezina jest prawie panteistą, Deml pozostaje szczerym katolikiem. Deml nikogo nie naśladował i jego również nie sposób naśladować. Nie stworzył i nie stworzy on szkoły, bo Deml się nie powtórzy.

Taki jest ten dziwny poeta: dziecię radosne, rzucone przez Opatrzność w nasze życie, pełne namiętności i smutku. Uśmiech i smutek Demla jest zawsze odzwierciedleniem uśmiechu i smutku Bożego. Jego zaś błędy są ludzkie, przejściowe. Iskry Bożej, płonącej w sercu i książkach Demla, nie można zgasić. Ta iskra będzie pałała i wówczas, gdy „rycerz Boży" padnie w swej ostatniej walce, gdy Demla zabraknie, gdy pozostaną jedynie jego osierocone, samotne książki...

Dr. W. Wiliński.

Odsiecz wiedeńska w sztuce.

Fakt historyczny takiej doniosłości, jakim była odsiecz wiedeńska, nie mógł oczywiście nie odbić się w sztuce. Z okazji wielkiej rocznicy warto rzucić okiem na oddźwięk, jaki bohaterski czyn Jana III znalazł w dziełach pędzla i dłuta.

Dziwić się tylko należy, że sztuka malarska i rzeźbiarska w Austrji zachowała się tak biernie wobec tego wspaniałego dramatu historycznego. Zwycięstwo nad Turkiem, Eugenjusza księcia Sabaudzkiego tak popularnego nad Dunajem wodza cesarza Karola VI, o którym piosenka śpiewa:

„Prinz Eugen, der edle Ritter",

uświetniła sztuka malarska na lśniących przepychem ścianach sal Burgu wiedeńskiego i magnackich pałaców stolicy. Wojenne czyny Sobieskiego nie doczekały się tej apoteozy — łatwo się domyśleć dlaczego...

Dzieła graficzne, medale, odlewy metalowe i t. p. produkty sztuki drobnej — oto wszystko, co można napotkać w muzeach i zbiorach cesarskiego grodu, w związku z wojenną epopeją 1683 roku.

W Rzymie, na forum Trojana, wznosi się mały kościołek z kopułą, w stylu barokowym, pod wezwaniem Imienia Marji: *Santo Nome di Maria;* fundował go papież Innocenty XI Odescalchi, na pamiątkę wiktorji wiedeńskiej, jako ex-voto dziękczynne, i ustanowił święto Imienia Marji, w niedzielę przypadającą w oktawie jej Narodzenia.[1]) Ten pomnik liturgiczny zwycięstwa oręża

[1]) Pius X, reformując Mszał i Brewjarz, przywiązał to święto do dnia 12-go września. Oswobodzenie Wiednia miało bowiem miejsce w ten dzień, który roku 1683 przypadał w niedzielę.

naszego przetrwa wszystkie pomniki z marmuru i bronzu, wszystkie dzieła pędzla i dłuta, gdyż trwać będzie jak Kościół do końca wieków.

W tym to czasie poeta włoski *Vincenzo da Filicaia* († 1707) napisał piękną odę do polskiego bohatera. Jedni winni wielkość swą przodkom — mówi — inni urodzeniu, inni szpadzie; ty sobie samemu i swej dzielności:

„Ty byłeś królem, zanim cię koronowano!"

Dalej poeta nazywa Jana III „tarczą i szpadą Europy" i woła:

„...Przybyłeś,
Spojrzałeś, zwyciężyłeś,
Tak! zwyciężyłeś, pobożny szermierzu,
Przez Boga, a Bóg przez cię!"

Astronomowie współcześni przezwali jeden gwiazdozbiór na północnem niebie: *Tarczą Sobieskiego.*

W Clermont-Ferrand w Owernji znajduje się ciekawy zabytek rzeźby, odnoszący się do naszego tematu. Biskup tego miasta, hr. de Béthune, szwagier królowej Marysieńki, chciał uwiecznić wiktorję wiedeńską w swojej katedrze, gdzie niegdyś papież Urban II głosił krucjatę wraz z Piotrem Pustelnikiem (1095 r.) Zamówił zatem u słynnego podówczas owernjackiego rzeźbiarza Vanneau pomnik uwieczniający ten fakt historyczny. Ale zacny prałat umarł przed wykończeniem dzieła, spadkobiercy zaś jego nie chcieli łożyć na ten cel, — i pomnik pozostał niewykończony. *Disiecta membra* rozproszone są po świecie; niektóre części przechowywane są w Muzeum miejskiem w Clermont, inne pozostały w rodzinie de Béthune, a jeszcze inne profesor Langlode odnalazł w Wilanowie.[1])

W literaturze francuskiej ówczesnej jedną tylko znajdujemy wzmiankę o Sobieskim, mianowicie u... La Fontaine'a. (Qui l'eut cru!)

Na początku X księgi swych nieśmiertelnych bajek, poeta umieścił rodzaj przedmowy, zwróconej do swej protektorki, pani de la Sablière. Mowa tam o zmyślności zwierząt. La Fontaine przytacza opowiadanie Sobieskiego (który bawiąc za młodu

[1]) Profesor Langlode, romanista na uniwersytecie Poznańskim, sam rodem z Clermont, gotuje pracę na ten temat w roku jubileuszowym.

w Paryżu, bywał w salonie tej wysoce wykształconej damy), o zmyślnych „bubokach" na ukraińskich stepach, które prowadzą wojnę wedle zasad strategji:

Ecoutez ce récit
Que je tiens d'un roi plein de gloire.
Le défenseur du nord vous sera mon garant;
Je vais citer un prince aimé de la Victoire:
Son nom seul est un mur à l'empire ottoman:
C'est le roi polonais. Jamais un roi ne ment.

Z dzieł malarskich odnoszących się do odsieczy wiedeńskiej zajmują bezsprzecznie pierwsze miejsce kreacje Marcina Altomonte. Artysta ten kształcił się w Rzymie, gdzie poznał w 1684 roku sławnego kapucyna O. Marka d'Aviano, który rok przedtem obecnym był wyprawie wiedeńskiej i odprawiał na Kahlenbergu ową historyczną Mszę przed rozpoczęciem tej wielkiej dziejowej bitwy, w obecności króla Jana III, wodzów i zgromadzonego wojska. Ten to zakonnik, bawiący podówczas w Wiecznem Mieście z polecenia Sobieskiego, zjednał młodego artystę dla usług królewskich. Altomonte przeniósł się niebawem do Warszawy w charakterze malarza nadwornego J. Kr. M. Kilka jego płócien ma Wilanów. Największy jednak obraz jego (30×26 stóp), wyobrażający odsiecz wiedeńską, zdobi kościół farny w Żółkwi. Widać w nim zaraz na pierwszy rzut oka wprawną rękę włoskiego artysty: kompozycja w szerokim pomyślana stylu, jasne ugrupowanie, poprawne traktowanie tak całości jak i szczegółów.

Główną postacią obrazu jest naturalnie król-bohater, w pancerzu przysłoniętym płaszczem gronostajowym, w hełmie z orłem na głowie, buławę hetmańską dzierżący w prawicy. Przy nim na dzielnym koniu 15-to letni wówczas królewicz Jakób, — zwany w rodzinie „Panfanikiem", — który w tym dniu otrzymał chrzest ognia. Dziki popłoch i zamieszanie w tureckich szeregach, wywołane natarciem wojsk naszych, dało artyście sposobność do pięknego ugrupowania postaci. Ponad tą sceną wznosi się biały gołąb pokoju, wprost nad głową Jana III-go, środek zaś przestrzeni powietrznej zajmuje Anioł wsparty na obłokach, trzymający za pomocą dwóch małych aniołków *(putti)* wstęgę z napisem: *Ne quando dicand gentes: ubi est Deus eorum?* (Ps. 115).[1])

[1]) Z temi bowiem słowy Sobieski stanął przed frontem swego wojska i z okrzykiem *Non nobis Domine, non nobis, sed nomini tuo da gloriam* (ibid) rzucił się na nieprzyjaciela, porywając innych za sobą.

W klasztorze Św. Krzyża (Heiligenkreuz) pod Wiedniem, znajduje się obraz malowany na płótnie nadzwyczaj szerokiego formatu o bardzo małej stosunkowo wysokości. Przypisują go znanemu augsburgskiemu bataliście Jerzemu Filipowi Rugendas; przedstawia on odsiecz Wiednia. Ten sam temat traktowali olejno Jan Andrzej Wolf, Bawarczyk († 1716) i Piotr da Witta, zwany we Włoszech gdzie się kształcił „Candido". Płótna tego ostatniego zdobią galerję obrazów zamku monachijskiego, podczas gdy kościół kapitulny w Augsburgu posiada obraz odnoszący się do naszego przedmiotu pędzla G. D. Breda.

Na moście w łazienkach ustawił król Stanisław August Poniatowski znany ogólnie posąg konny Jana Sobieskiego, trochę może teatralny, ale pięknie odbijający na tle zieleni stuletnich dzisiaj drzew, i przeglądający się w ciemnem zwierciadle stawu. [1])

W 1879 roku Jan Matejko wymalował „Odsiecz Wiednia", niewielkie płótno, dziś w posiadaniu skadkobierców Włodzimierzowej hr. Dzieduszyckiej; jest to jakby przygrywka do sławnej ogromnej kompozycji „Sobieski pod Wiedniem", z którą wystąpił nasz mistrz w 200 letnią rocznicę wyprawy wiedeńskiej.

Przedstawił on tę chwilę, gdy zwycięski król Jan III, jeszcze na polu bitwy, wysyła zdobytą chorągiew zieloną Mahometa papieżowi Innocentemu XI, wraz z listem donoszącym o walnem zwycięstwie odniesionem nad Półksiężycem. Wiadomo, że Sobieski użył wtedy słów Juljusza Cezara, parafrazując je po chrześcijańsku! *Veni, vidi, Deus vicit.*

Obraz ten zbyt jest znany, by się nad nim szeroko rozwodzić. Zastanawia jednak widza ogromna, rozpięta nad Sobieskim tęcza. Długo nie umieliśmy sobie wytłómaczyć jej racji bytu na obrazie Matejki, — aż tu niedawno natknęliśmy się na ustęp „Dzienniczka wyjazdu z Krakowa pod Wiedeń", nieznajomego z imienia oficera artylerji polskiej, [2]) który tak opowiada: „Dnia 31 sierpnia, we wtorek, ruszyliśmy się rano; dzień był pogodny, bez chmur, mgły i wszelkiej zasłony nieba. Około godziny

[1]) Podczas wojny krymskiej, w czasie której Austrja nie dała Rosji pomocy, choć ta w 1848 r. pomogła jej stłumić powstanie węgierskie, — Mikołaj I przejeżdżając przez ten most, ukłonił się Sobieskiemu, mówiąc z uśmiechem: „My dwa Duraki..."

[2]) Prawdopodobnie Marcina Kątskiego, późniejszego jenerała artylerji konnej.

7-mej, dobrze już po wzejściu słońca, pokazała się niezwyczajnej formy tęcza. Takeśmy na ten czas byli obróceni, że nam wtył było słońce, a zaś ta tęcza jakoby w pośrodku nieba, przeto nad głowami naszemi, w kształcie księżyca prędko po nowiu. Rogi miała obydwa odwrócone od słońca, dosyć zaostrzone, kolory jak w tęczy, znaczne bardzo i jasne. Od samej podstawy tego księżyca, która była przy słońcu, szła na obydwie strony droga, już ciemniejszymi kolorami; ta jednak co w lewo, jaśniejsza. Trwało to zjawisko około dwie godziny, a potem około 9-tej znikło. Wszyscy, cokolwiek nas było z Królem Imcią, przypatrywaliśmy się".

„Sobieskiego pod Wiedniem" darował Matejko narodowi polskiemu, z tem, aby naród złożył go w ofierze Papieżowi. Szlachetny ten czyn Matejki, poryw wielkiego uczucia wspaniałomyślności, bezinteresowności, całkowitego oddania się idei, — wywołał ogromne wrażenie. Stanisław Tarnowski mówi (w swej pięknej książce o Matejce), że napróżno dotąd zastanawiano się, czem upamiętnić wiedeńską rocznicę. Lecz Matejko znalazł natchnieniem katolickiej swej duszy, czem uczcić ten rok 1883: „Zrobił to, co zrobił po bitwie Sobieski: pomyślał o Rzymie, posłał do Papieża".

Warto odczytać, w dziś już wyczerpanem, ślicznem dziele profesora Tarnowskiego, opis audjencji u Leona XIII, w której deputacja polska w strojach narodowych ofiarowała Ojcu św. obraz największego ze swych malarzy, uwieczniający jedną z najważniejszych naszych chwil dziejowych. Wisi on odtąd w jednej z sal Muzeum Watykańskiego (w nowej Pinakotece).

Innego rodzaju pamiątką wiedeńskiej odsieczy są artystyczne szachy, rzeźbione przez Helenę ze Skirmuntów Skirmuntową w tym samym Jubileuszowym roku. Ta niepospolita niewiasta, wszechstronnie uzdolniona, udała się za mężem na wygnanie w głąb Rosji, po powstaniu styczniowem. Wyżej wzmiankowane szachy przedstawiają obóz polski Sobieskiego pod Wiedniem i obóz Kara Mustafy. Figury szachowe są tak artystycznie wykonane, że cesarz Franciszek Józef nabył je za wysoką cenę i umieścił w Cesarskiem Muzeum w Wiedniu.

W związku z tegorocznym obchodem stoi odnowienie jednej z najprzedniejszych pamiątek polskich w Wiedniu, mianowi-

cie kaplicy króla Sobieskiego na Kahlenbergu, której stróżami są OO. Zmartwychwstańcy wiedeńscy. Dzięki staraniom poprzedniego rektora O. Kuklińskiego i obecnego O. Niemiry miejsce to tak pamiątkowe i drogie sercu polskiemu zostało ozdobione freskami wybitnego polskiego artysty Jana Henryka Rosena, którego prace w katedrze ormjańskiej we Lwowie wywołały ogólny zachwyt i podziw, tak w kraju jak zagranicą.

Obrazów jest trzy. Pierwszy przedstawia burzę nadciągającą ze Wschodu: na tle czarnych chmur rysują się w dali białe minarety meczetów. Chrystus na krzyżu (oddany w ten sam sposób, kilku białemi kreskami, co duchy towarzyszące pogrzebowi św. Odylona w katedrze ormjańskiej we Lwowie), rękoma rozpiętemi broni chrześcijaństwa od tureckiej nawały. Na bogato udrapowanym klęczniku papież Innocenty XI modli się o pomoc z nieba w tem niebezpieczeństwie, wyciągając kurczowo ręce do promieniejącego w górze greckiego monogramu Chrystusa (zwanego chrisma), tego samego, którego Konstantyn W. ujrzał na niebie i kazał odtworzyć na swojem Labarum, wraz z napisem: *In hoc signo.* (Dopełnienie zdania *Joannes vinces* znajduje się na przyległej ścianie).

Obraz drugi składa się z dwóch części: w górnej, na złotem tle, widnieje pochód rycerzy krzyżowych ze św. Ludwikiem na czele. Barwne sztandary powiewają nad nimi. A tu na dole bohater polski gotuje się do innej, niemniej świętej Krucjaty: Kapucyn Marek z Aviano, legat papieski, kończy w tejże kaplicy na Kahlenbergu Najśw. Ofiarę, do której służył mu sam król Jan III, i odwracając się do wiernych na *Ite missa est,* wymawia z natchnienia Bożego te prorocze słowa: *Joannes vinces,* — na co Sobieski odpowiada z prostotą: *Deo gratias.* Pod obrazem, na barokowej ramie z kutej miedzi, widnieją historyczne słowa królewskie: *Veni, vidi, Deus vicit.*

Karol książę Lotaryński, Maksymiljan-Emanuel elektor bawarski i młodziutki królewicz Jakób Sobieski dopełniają obrazu. Purpura, turkus i ametyst ich płaszczów tworzą bogaty akord barw, które Rosen tak świetnie zestrajać umie.

Obraz trzeci przedstawia św. Józefa, patrona kościoła na Kahlenbergu, w otoczeniu św. Leopolda, patrona Austrji, oraz św. Jana Kapistrana, zakonu św. Franciszka, który bronił Białogrodu (Belgrad) przed Turkami w 1459 r. i odniósł nad nimi

świetne zwycięstwo; dlatego dzierży on w ręku szeroko rozwiany biały sztandar krzyżowy. Przed nimi towarzysz lekkiej chorągwi pancernej składa wielki zielony sztandar Proroka, palladium narodowe Muzułmanów, zdobyty na Turkach przez Sobieskiego.

Na suficie i na ścianie wokoło okna rozmieszczonych jest zgórą sto herbów rycerstwa polskiego, które walczyło z królem Janem pod murami Wiednia i wsławiło po wieki oręż polski. Herby te fundowali potomkowie rycerzy wiedeńskich.

Honorowe miejsce zajmuje „Janina", herb Sobieskich, oraz herby papieskie: Innocentego XI i Piusa X.

Brama, która zamyka wejście do kaplicy, jest rysunku prof. Józefa Mehoffera z Krakowa: kuta w żelazie w stylu barokowym, z koroną i inicjałami J. S. ujęta w odrzwia z czerwonego marmuru, stanowi godne dopełnienie tej pięknej i harmonijnej całości. [1])

W poezji polskiej wyprawa wiedeńska nie rozbrzmiewa zbyt silnem echem: Wespazjana Kochowskiego *Wiedeń oswobodzony,* niedokończony i nieudolny, nie jest godnym pomnikiem tego ostatniego wielkiego czynu zbiorowego kończącej się epoki rycerskiej, — czynu, który uwieńczył wspaniale historyczną misję polskiego narodu.

Lepiej się udało Deotymie. W *Sobieskim pod Wiedniem,* stworzyła ona dzieło prawdziwie wielkiej miary, przemawiając do fantazji i serca. Mimo wielu zalet — jak ścisłość historyczna, wytworna forma i t. d. — nie jest ono jednak prawdziwie popularnem, i zapewne nigdy niem nie będzie.

Poetka zaczyna swą pieśń temi słowy:

Sercem cię śpiewam, zacny bohaterze,
Ty, co chorągiew mordom poświęconą
Bogu miłości złożyłeś w ofierze.

„Zdumiewająca niewdzięczność Zachodu", o której mówi dalej Jadwiga Łuszczewska, objawia się szczególnie u naszych niemieckich sąsiadów, starających się ograniczyć do minimum rolę Jana III pod Wiedniem. Inaczej sądził o tem Rzym, który przez długie lata śpiewał na corocznej procesji, odbywającej się

[1]) Ilustracje podała „Tęcza" w numerze z 28 lutego 1931 r.

w Wiecznem Mieście w rocznicę wiktorji wiedeńskiej, hymn ułożony na wzór ambrozjańskiego *Te Deum*:

Te Joannem laudamus,
Te strenuum confitemur
Te fortem bellatorem
Omnis Ecclesia veneratur.
Tibi omnes Christi fideles,
Tibi Veneti et Italicae potestates,
Tibi Pontifex et Caesar
Incessabili voce proclamant:
Fortis, fortis, fortis
Rex Poloniae!
Pleni sunt coeli et terra
Multitudine virtutis tuae! [1])

---

[1]) Ciebie Jana chwalimy — Ciebie mężnym wyznawamy. — Tobie, walecznemu rycerzowi, — cały Kościół cześć oddawa. — Tobie wszyscy wierni Chrystusowi, — Tobie Wenecjanie i Italskie mocarstwa, — Tobie Papież i Cesarz — nieustającym głosem śpiewają: — „Dzielny, dzielny, dzielny — Król Polski! — Pełne są niebiosa i ziemia — wielkości męstwa twojego".

S. M. R.

Z powodu książki ks. St. Bednarskiego T. J.: „Upadek i odrodzenie szkół jezuickich w Polsce".

Bywają książki, które dają wyniki przez nikogo niepodawane w wątpliwość, o ile chodzi o zagadnienia rozwiązywane przez autorów. Ale bywają i takie, których wyniki przekraczają granice danego zagadnienia i stwarzają podnietę do stawiania nowych. Obejmują one rozległe koło spraw i wywołują to, co możnaby nazwać przemianą wartości.

Taką jest właśnie książka autora, który nie stawiał zgóry żadnej tezy, a pragnął poznać jedynie sprawę u źródła. Nie da się zaś zaprzeczyć, że piszący o niej przystępowali do niej, jeżeli nie z tezą to z uprzedzeniem. Datowało się to uprzedzenie od całych pokoleń, a źródła narazie dostępne, zdawały się to uprzedzenie potwierdzać. Niestety i specjaliści, badający dzieje wymowy lub szkolnego teatru jezuickiego nie sięgnęli zbyt daleko, co wpływało na syntetyków, którzy na nich opierali swe uogólnienia.

Dziś okazuje się, że popełniono masę błędów, do których z skruchą musi się przyznać większość historyków polskiej kultury i literatury. I tu podpisany musi zaznaczyć, że jeszcze przed wojną światową, prace Riezanowa nad historją zakonu jezuickiego w Rosji, obudziły w nim pewne wątpliwości. Potwierdził je Stender-Petersen, następnie historyk literatury niemieckiej na Śląsku, Hecker. Książką autora te wątpliwości utrwaliły się ostatecznie. Skłoni ona chyba i innych do rewizji ustalonych poglądów, co zmieni na wielu punktach dotychczasowy obraz przeszłości.

Słusznie zaczął autor od przedstawienia swej metody i źródeł. Uznawszy dzieje szkół jezuickich za fragment ogólnej kultury narodu, starał się wmyśleć w sposób myślenia i reagowania ówczesnych ludzi i odrywać się od współczesnych nam poglądów.

Wiedzieliśmy wiele o upadku szkół jezuickich, nie wiedzieliśmy prawie nic o ich odrodzeniu. Nie wiedząc o niem, wyolbrzymialiśmy tedy zasługę szkół pijarskich. Tak rosła legenda, nie znajdująca krytyków do dni ostatnich.

By swój plan osiągnąć, wyzyskał autor szkolne ustawodawstwo, podręczniki metodyczne i pedagogiczne, wykłady profesorów, notatniki uczniów. Nie zaniedbał niezbyt zresztą bogatej korespondencji. Liczył się z katalogami osób i zajęć, z inwentarzami lustratorów Komisji Edukacyjnej, z publicystyką wieku XVIII. Oparł się o materjał archiwalny, o którym nie słyszeli nawet dawniejsi badacze. Tak oświetlił inaczej to, co wydawało się oświetlone i wyjaśnione do dna.

Zaczął słusznie od ogólnej charakterystyki szkolnictwa jezuickiego, które mając na oku cel religijny, wybrało z nauki to, co uznało za najwięcej zgodne z celem. Zwracało się do sfer rządzących i szlacheckich, ustalając się przez długoletnie komisje, ankiety i próby, czerpiąc ze wskazań renesansu, kierując się miłością i życzliwością dla wychowanków. Obierając system formalny, dzieliło ten błąd ze wszystkimi humanistami.

I do połowy w. XVII okazywało żywy rozwój, który znać na wszystkich polach, nie wyłączając sztuk plastycznych. Potem przystosowało się do środowiska, schodząc z toru inicjatywy na tor zastoju. Ale świadomość upadku była w zakonie, jak dowodzi korespondencja generałów i prowincjałów. Jeszcze w wieku baroku uznawali oni niezbędność reformy szkół, wymowy, filozofji. Nie zatraca też zakon ambicyj naukowych, choć atmosfera martwoty i bezwładu przenikała i w jego uczelnie. Wobec dążeń oświecenia nie zachował się tedy wrogo, a poczynania pijarskich współzawodników poczytał za godne uwagi i naśladowania. Wysyłał zatem młodych na studja na Zachód, utrzymując związki z wysoko-kulturalnie stojącą prowincją zakonną francuską i z paryskiem naukowem środowiskiem. Starło się tedy starsze jezuickie pokoleniem z młodem, które kierowało się umiarkowanym krytycyzmem, unikało skrajności, nie stroniło od utylitaryzmu i eklektyzmu. Mnożyły się teraz bibljoteki, popularyzowała wiedza, zakwitała publicystyka o wysokim duchu obywatelskim.

Trzydziestolecie przed kasatą okazuje ciągły postęp, bo starsze pokolenie nie może uchodzić za miarodajne. Wielki wysiłek młodszych uprzątał dawne zaniedbania. Zanikał odziedziczony po

renesansie kult słowa, brały górę praktyczność i życiowość na każdem polu. Wybujały za baroku przerost tego słowa ustępował trzeźwości i logice ludzi, którzy nie znosili drobiazgowej kazuistyki, makaronizowania, gadulstwa. To, co głosił reformator pijarski Konarski, odpowiadało dążeniom młodego pokolenia jezuickich profesorów.

Autor podkreśla ze szczególną troskliwością rozszerzanie się zamiłowania poetyki, stylistyki, wymowy polskiej. Odrodzenia duchowego dokonały zatem liczne szkoły jezuickie a nie jedno pijarskie kolegjum. Naczelne miejsce zajmuje w tych szkołach historja i geografja, nietylko jako źródło retorycznej erudycji ale i jako czynnik umysłowej aktywności. Zmienia się w nich pod wpływem kartezjanizmu nauczanie filozofji, co widać w dziedzinie logiki, metafizyki i fizyki. Z nich ostatnia opiera się na zdobyczach nauk doświadczalnych, tem więcej, że szkoły jezuickie na zachodzie stoją już na innem stanowisku.

Wydatny rozwój nauk matematycznych stwarza w drugiej połowie w. XVIII ośrodki solidnej pracy w Wilnie, gdzie wykładają Żebrowski i Poczobut. Działalność drugiego ogarnia obserwacje astronomiczne i meteorologiczne, a z jego inicjatywy zaczynają się pomiary triangulacyjne państwa. Kasata tę epokową pracę, jak wiele innych poczynań, zniszczyła. W Warszawie i w Poznaniu dźwiga się nauczanie fizyki, budzi się zachwyt dla cudów natury. Słyną jakiś czas wykłady Rogalińskiego w Poznaniu, za czem idzie powstawanie naukowych warsztatów, nowych metod, ludzi, terminów.

Ideał jezuickiego nauczyciela jest nader wysoki, czego dowodzą uwagi Piramowicza o powinnościach. Oświecenie jezuickie nie usuwa religji, jako podstawy etyki. Cechowała wychowanków i dalej pobożność, zamiłowanie pracy, kult czystości i posłuszeństwa. Dobre obyczaje szły obok sprawności fizycznej. Jezuicka myśl polityczna odnosiła się zawsze krytycznie do złotej wolności, protestowała przeciw anarchji, była za reformą ustroju.

Co się tyczy teatru, to autor trafnie orzeka, że należy go na nowo opracować, bo prace dotychczasowych jego badaczy są niewystarczające, bo przecież miał on nietylko znaczenie wychowawcze, skoro walczył z wadami narodowemi, ale i literackie. Czyżby inaczej wyszła z niego komedja Bohomolca, który dał początek teatrowi świeckiemu za dni Stanisława Augusta? Ta ko-

medja nie była czemś oderwanem, ale wyrastała z pnia teatru jezuickiego. Jest zatem pole do badań dla młodszych historyków literatury.

Interesujące są nadto uwagi autora o konwiktach szlacheckich. Odnosi się wrażenie, że kasata była klęską polskiego szkolnictwa i pokrzyżowała też plany króla. Niemniej myśl jezuicka przetrwała ruinę, skoro na polu historji wyobrażał ją jeszcze Albertrandy jako prezes warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Niestety, nie oceniła jej znaczenia żadna z późniejszych epok, choć była bliższą tym czasom tradycją, pamięcią, skutkami.

Wyniki pracy autora są zatem niemałe. Wielki już czas, by poddać rewizji to, co powiedziano w epoce odrodzenia u nas historyzmu. Miło jest też zaznaczyć, że praca autora wyszła ze szkoły prof. Kota, którego nie można chyba podejrzywać o stronniczość w sprawie, o którą chodzi. Znakomity badacz i miłośnik czasów reformacji, dalej dziejów wychowania u nas szczególnie w epoce Konarskiego i Komisji Edukacyjnej, znalazł w autorze współpracownika o niepospolitej energji i erudycji.

Dzięki jego książce, która jest poniekąd obrazem pewnych epok naszej kultury, i jej dzieje, nakreślone niedawno przez Brücknera, muszą ulec na wielu kartach pewnym zmianom. Za ten wysiłek należy autorowi wyrazić szczerą podziękę i życzyć mu, by nie ustawał na drodze raz obranej.

Tadeusz Grabowski.

Przegląd piśmiennictwa.

Nauka Polska. Jej potrzeby, organizacja i rozwój. Tom XVII. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. 1933, str. 403.

Ozdobą nowego tomu *Nauki Polskiej* jest świetna (str. 17—148) praca Dr. K. Dobrowolskiego, docenta U. Jag. p. t. *Studja nad kulturą naukową w Polsce do schyłku XVI stulecia.* Autor nie pisze historji nauki w Polsce w późnem średniowieczu i w w. XVI, ale daje syntezę kultury naukowej, jej wewnętrznej struktury, jej — że się tak wyrażę — mechanizmu i najistotniejszych cech. A więc wnika najpierw w charakter stosunku do nauki głównych grup społecznych ówczesnego społeczeństwa polskiego, analizuje poglądy tego społeczeństwa na zadania nauki i szkół, analizuje osobisty stosunek badacza do nauki, aby w głównym członie swego studjum przedstawić cele poszczególnych nauk i zakończyć uwagami o metodzie naukowej i o zapowiedziach nowej ery, która w Polsce dokonała się w połowie w. XVIII.

W studjum Dobrowolskiego występują jasno wszystkie zalety, w które wyposażone są prace współczesnego i młodego pokolenia historyków, zalety tem cenniejsze, że właśnie obecnie staje się modnem kwestjonowanie naukowości historji łącznie ze wszystkiemi zdobyczami metody historycznej. Porównanie najlepiej uwypukli naszą myśl. Czytając studjum Dobrowolskiego, nie mogłem się oprzeć wracającym ustawicznie zestawieniom ze znaną, wartościową monografją Smoleńskiego: *Przewrót umysłowy w Polsce.* Temat podobny, prawie identyczny, sumienność w zebraniu materjału, bogactwo źródeł przeglądniętych i przytoczonych w obu pracach jednakowo wielkie, a przecież jakaż ogromna różnica w stosunku autorów do ich pracy. Smoleński jest równocześnie historykiem-uczonym i publicystą; na epokę Stanisława Augusta patrzy pod kątem osobistych filozoficznych poglądów; te filozoficzne poglądy są dla niego najważniejszem kryterjum oceny ludzi i faktów, zupełnie podobnie, jak polityczne poglądy szkoły krakowskiej były kryterjum oceny przeszłości Polski. Smoleński za kryterjum postępu uważa zerwanie z teologicznym na świat poglądem, wprost z upodobaniem wydobywa objawy

tego zerwania i objawy laicyzacji, połowiczność gani jako niekonsekwencję, a wierność religji, choćby była złączona z wysoką kulturą umysłową, uważa za wstecznictwo, przynależne do okresu ciemnoty Sasów!

Zupełnie inne zajmuje stanowisko Dobrowolski. Można je bez przesady określić jako epicką objektywność, doprowadzoną do mistrzostwa! Autor nie przedstawia swoich własnych poglądów na epokę ani nie rozszczepia tego światła, które idzie od niej, w pryzmacie swej filozofji, lecz wmyśla się i wczuwa w minione czasy, ze źródeł wydobywa myśli i poglądy ówczesnych ludzi, umie nam je przybliżyć, co więcej, ożywić, zaktualizować w przeszłości, byśmy mogli np. zrozumieć i odczuć, jak wielkim skarbem kulturalnym dla średniowiecza była jedność jego wiedzy i poglądu na świat, która wynagradzała niedostatek nauk doświadczalnych. Autor nie wyszydza wiary w zabobony i astrologję, ale wiarę tę tłumaczy, czyni zrozumiałą i przez to pozwala nam uchwycić fakt historyczny w jego prawdziwej rzeczywistości. Ten objektywizm, złączony z epickim spokojem, nie opuszcza autora do ostatniej strony jego studjum! W tem widzimy wielką zaletę i zasługę.

Jest ich jednak więcej!. Wnioski ogólne, jakie sam autor wyciąga, i jakie czytelnik z jego pracy także wyciągnąć może, mają znaczenie rewizjonistyczne. Uproszczenia w historji są niebezpieczne. Takiem niebezpiecznem — choć koniecznem — uproszczeniem jest podział historji na okresy. Wyodrębnienie dwu po sobie następujących okresów, łatwo może być przeprowadzone za ostro i tem samem wywołać przekonanie o ich przeciwstawieniu i sprzeczności. Tak też się rzeczywiście stało ze średniowieczem i odrodzeniem. W świadomości przeciętnego inteligenta średniowiecze i odrodzenie występują jako skrajne przeciwieństwa. W rzeczywistości jednak tak nie było. Kto z epoką odrodzenia, zwłaszcza polskiego, zapoznał się bezpośrednio przez źródła, ten musi się zgodzić z główną tezą Dobrowolskiego, odrzucającą rozpowszechnione przez podręczniki szkolne przekonanie o rzekomem przeciwieństwie średniowiecza i odrodzenia. Przeciwieństwa w historji powstają wtedy, kiedy całe życie zostaje oparte na całkiem nowych zasadach, na nowej filozofji. Już zaś odrodzenie nie stworzyło nowego poglądu na świat, ale ogólnie rzecz biorąc, pozostało wierne teologicznemu ujmowaniu życia. „Najgłębsze zainteresowania intelektualne — pisze Dobrowolski — naszego społeczeństwa w tem stuleciu (XVI) obracają się głównie około zagadnień religijno-moralnych". Nawet rewolucyjne odkrycia Kopernika i Galileusza przecież w ich myśli i pragnieniu chcą być zgodne i są zgodne z teologicznem ujmowaniem świata. Renesans rozwija dalej podstawową ideologję średniowiecza, dorzucając pewne idee nowe, które wydadzą owoc dopiero w w. XVII i XVIII. Racjonalizm oświecenia słusznie

między innemi wywodzi się od średniowiecznego nominalizmu; reformacja jest rewolucją, ale tylko w Kościele, lecz równocześnie jest tylko walką o interpretację i formy teologicznego pojmowania życia; racjonalistyczne dążności protestantyzmu wydadzą owoc również dopiero w w. XVII i XVIII. Zwrot do starożytności również nie jest ani zupełną nowością, ponieważ dziś wiemy, że w głębokiem średniowieczu, właśnie w okresie jego najbujniejszego rozkwitu, Europa zachodnia przeżyła epokę humanizmu. Szkolnictwo humanistyczne jest tylko dalszem rozwinięciem szkoły średniowiecznej, retoryka humanistyczna jest dalszym ciągiem retoryki średniowiecznej i t. d., i t. d. Jedna dziedzina życia w epoce odrodzenia przyjmuje formę, będącą antytezą odpowiedniej formy średniowiecznej, t. j. sztuki plastyczne, ale właśnie rozwojem sztuki kierują oprócz wpływu otoczenia, epoki i t. d. szczególne i swoiste prawa. Te wszystkie wnioski wypływają z dowodzenia, jakie przeprowadza autor w swem studjum, wnioski jedynie usprawiedliwione rzeczywistością. Dalsze konsekwencje z nich wynikające są niemniej doniosłe. W ich świetle dopiero staje się zrozumiałem szkolnictwo jezuickie, staje się zrozumiałym w. XVIII. Średniowiecze nie skończyło się z nastaniem odrodzenia, ale jedno i drugie razem zwyrodniało i skarłowaciało w w. XVII; zupełnie podobnie jak wspaniała palma, przeniesiona w chłodny klimat, wyrodnieje i karłowacieje. Warunki życia tak się zmieniły, że w nich wspaniała kultura średniowiecza i odrodzenia została spaczona. Wtedy przyszedł nowy okres, okres racjonalizmu, laicyzmu, odrzucenia ideologji teologicznej, który znowu dzisiaj przeżywa swój kryzys. Dziś każdemu logicznie myślącemu człowiekowi jest jasnem, że dla rozwoju nauk przyrodniczych i naukowego krytycyzmu nie było potrzebne odrzucanie teologicznego ujmowania życia, że prawda teologiczna (oczywiście właściwie rozumiana) nie może być sprzeczna ze zdobyczami rozumu, z prawdą przyrodzoną; jeśli ta sprzeczność występowała, to tylko z powodu ograniczoności ludzkiego rozumu, któremu w średniowieczu prawda objawiona utrudniała poznanie natury, a w naszych czasach poznanie przyrodzone utrudnia przyjęcie prawdy objawionej. Swoje głębokie i bardzo interesujące studjum, pełne tego rodzaju syntetycznych ujęć, opartych na doskonale zebranym materjale dowodowym, kończy autor przejętą zadumą refleksją nad stanem kulturalnym współczesnej ludzkości, której, w przeciwieństwie do średniowiecza, brak pogłębienia etycznego. Dzisiaj postęp poznania nie idzie w parze z pogłębieniem etycznem, i dlatego potęga, zdobyta przez badania naukowe, jest używana do celów złych, gdyż nie jest zdolna zmienić duszy pod względem moralnym (str. 148).

Myśli poruszone przez dr. Dobrowolskiego w zakończeniu jego studjum, wracają jeszcze raz w omawianym tomie *Nauki Polskiej,* w dziale recenzyjnym i w sprawozdaniu z dyskusji Koła

Naukoznawczego Kasy Mianowskiego. 21 VI 1932 referował Dr. Dobrowolski swoje studjum w Kole, dyskusja nie przyniosła jednak nowych momentów. 3 XI ub. r. omawiano interesujący artykuł prof. T. Kotarbińskiego, drukowany również w XVII tomie *Nauki Polskiej* p. t. *Bacon o przyszłości nauki.* Wreszcie 28 I 1935 poświęcono dyskusyjne zebranie tezom broszury W. Mc Dougalla: *World Chaos. The Responsibility of Science* (Londyn 1931). Autor winą współczesnego kryzysu i chaosu obarcza nauki ścisłe, a zwłaszcza fizykę, a ratunek widzi w uprawianiu nauk biologicznych i psychologicznych. W czasie dyskusji znowu bardzo wyraźnie wyodrębniły się dwie grupy, o których pisaliśmy już w Przeglądzie (patrz r. 1933, t. 197 str. 348), jedna racjonalistów, bałwochwalców rozumu i nauki, wierzących w jakieś ślepe prawo samoregulacji, wrogo usposobionych dla wszelkiej metafizyki, a druga grupa sympatyzująca z filozofją, zwalczająca determinizm i mechanistyczne pojmowanie przyrody, uznająca doniosłość i potrzebę czynników religijno-moralnych obok i łącznie z nauką (str. 237—239). Głównym przedstawicielem drugiej grupy jest prof. Białobrzeski, który myśli te porusza jeszcze raz w recenzji książeczki Mc Dougall'a (str. 312—317).

W obszernym dziale recenzyjnym omówiono kilkanaście wydawnictw, przeważnie pisanych w języku angielskim; na szczególną wzmiankę zasługuje recenzja książki Russella: *The Scientific Outlook* (Londyn 1931); autor kreśli straszliwie ponurą wizję przyszłości, w której ludzkość zdobędzie dzięki nauce niesamowitą potęgę i stworzy społeczeństwo, będące w niezgodzie z dążeniem do prawdy, w niezgodzie z miłością, ze sztuką. Przed tą katastrofą, bo inaczej tego nazwać niepodobna, może ludzkość uratować miłość; szkoda tylko, że Russel nie chce uznać, że taka miłość już istnieje i nazywa się miłością Chrystusową. — Artur Górski bardzo słusznie zbija niezrozumiałe wprost zarzuty, stawiane chrześcijaństwu przez prof. Krokiewicza w jego broszurze: *Uwagi o kulturze i cywilizacji starożytnej w związku z kulturą i cywilizacją współczesną.* (Odbitka z *Muzeum*, 1932).

Niemniej, zarówno bogatym jak interesującym jest dział sprawozdawczy z ruchu naukowego w Polsce i zagranicą. Wśród wielu drobnych wiadomości należy podnieść obszerniejsze sprawozdanie z życia naukowego Łodzi, Przemyśla, Płocka, Tarnopola, Torunia, dalej osobny artykuł o nauce i jej organizacji w Chinach i nareszcie interesującą *Kronikę Zagraniczną,* zakończoną zestawieniem głosów prasy o roli nauki w życiu współczesnem, o jej „winie" i zadaniach, jakie ma spełnić.

Ks. St. Bednarski T. J.

Czesław Lechicki: W walce z demoralizacją. Tomów 2, str. 557. Miejsce Piastowe, 1932 i 1933. Wydawn. Tow. św. Michała Archanioła.

„My katolicy — stwierdził arcybiskup Teodorowicz w roku 1926 — w katolickiej Polsce przegraliśmy. Obyczaj chrześcijański tak się u nas popsuł, tak zdziczał, że graniczy już ze wszeteczeństwem". Naturalnie, jeżeli porównamy go nie z tem, co się dzieje współcześnie gdzieindziej w świecie, ale z tem, co być powinno, i jak dawniej u nas bywało.

To też należy przyjąć z dużem uznaniem i wdzięcznością publikację Lechickiego, której autor dał bojowy tytuł: „W walce z pornografją" a w podtytule zaznaczył, że są to „szkice literacko-społeczne". Jest to bowiem bogaty i obszerny zbór materjałów, faktów i tez, dotyczących tak charakterystycznego zjawiska naszych czasów, jakiem jest demoralizacja na polu seksualnem.

Stosownie do tego ujął autor w kilku rozdziałach najważniejsze z tej dziedziny zjawiska i fakty. Tak tedy po ogólnej charakterystyce czasów współczesnych w rozdziale wstępnym, p. t. „Zgniła atmosfera" w rozdziale zatytułowanym „Wobec epidemji rozwodów" zajmuje się autor bankructwem małżeństwa pod względem jego charakteru monogamicznego, w rozdziale „Prądy rozkładowe" przedstawione są spustoszenia na polu moralności, jakich dokonała moda, sport, tańce, literatura, życie towarzyskie, propaganda małżeństw koleżeńskich i na próbę, propaganda neomaltuzjańska i panseksualizm Freuda. Rozdział p. t. „Propaganda bezwstydu" opowiada o znanej szeroko zwłaszcza w Niemczech t. zw. „Nacktkultur" („kult nagości" dla jednych w imię higjeny, dla innych w imię moralności) ponadto o konkursach piękności i plażach. Same za siebie mówią takie rozdziały jak „Dookoła pornografji", „O literaturze — czynniku demoralizacji" i „O teatrze — rozsadniku zepsucia". O wrzodzie, jakim jest prostytucja traktuje rozdział zatytułowany „Kwestja drażliwa". Zakończeniem książki jest doskonały rozdział p. t. „Refleksje ogólne i wnioski", rozdział świetnie napisany, zawierający dużo zdrowych myśli, i doskonałych wskazań praktycznych. Nie bez wartości jest i „Dodatek" zawierający niektóre dokumenty do omawianych kwestyj, a to pod następującemi tytułami: Projekt statutu Ligi obrony moralności publicznej w Polsce, Walka o prawo małżeńskie (jest to krótki obraz walki, jaka rozgorzała po ogłoszeniu projektu Komisji Kodyfikacyjnej z krótką rekapitulacją argumentów stron walczących), Reklama pornografji, (jest to opinja K. H. Rostworowskiego wypowiedziana w roku 1925 na łamach krakowskiego „Głosu Narodu" w związku z artykułem Róży hr. Łubieńskiej w „Czasie"), Ciekawa ankieta, (głośna przed paru laty ankieta wizytatorki ministerjalnej o „Dziejach grzechu" w starszych klasach gimnazjów żeńskich), Uczenie młodzieży bezwstydu, (znana odezwa biskupa łomżyńskiego w sprawie smutnych zajść na terenie jednej ze szkół łomżyńskich), Trochę satyry (może niepotrze-

bnie umieszczony w tego rodzaju wydawnictwie przedruk wiersza satyrycznego z tygodnika humorystycznego z okazji otwarcia pierwszej poradni świadomego macierzyństwa w Warszawie) i Wiadomości literackie czy ginekologiczno-weneryczne (artykuł J. N. Millera).

Krótki ten przegląd treści i układu pracy p. Lechickiego daje najlepsze pojęcie o jej wartości i przydatności. Są to rzeczywiście fakty i tezy, które obrazują fragmentarycznie wprawdzie i w zarysie, ale wystarczająco, współczesny kryzys obyczajowy na najważniejszych odcinkach życia zbiorowego. Już samo uświadomienie czytelnikowi groźnego tego stanu rzeczy, jest wielką zasługą autora. Ale prócz tego pragnie on zwrócić uwagę na smutne i bolesne zjawisko pod kątem widzenia ideologji spirytualistycznej, chce przysposobić i uzbroić umysł do zajęcia odpornej postawy wobec zmysłowości i seksualizmu, tudzież poprzez fakta i dokumenty zdążyć do pewnej syntezy i podać praktyczne wskazania do walki skutecznej i trwałej. Wartość jego rozważań podnosi i ta okoliczność, że każde zagadnienie stara się ująć na tle porównawczem, zawsze z oparciem najszerszem o stosunki polskie i uwzględnieniem rozwoju historycznego faktów, poglądów, zjawisk.

Książka pisana jest stylem barwnym, żywym, plastycznym, miejscami dosadnym, który, w razie potrzeby sięga i po neologizmy; nie brak też w niej i szczerego uczucia, idącego z pod samego serca. To też zapewne było powodem, że w książce zdecydowanie wartościowej, nie ustrzegł się autor pewnych rzeczowych usterek. Za najważniejsze uważam niektóre punkty jego wykładu i krytyczne uwagi co do nauki Kościoła o małżeństwie i w kwestji rozwodów (str. 46—48), tudzież zbyt przesadne stanowisko o ujemnem znaczeniu seksualizmu (str. 426 i nast.) W związku z tem stanowiskiem pozostaje też i jego przypisek na str. 426 co do genezy seksualizmu, odniesionej do grzechu pierworodnego, przypisek, który pod względem teologicznym domaga się pewnych zastrzeżeń. Również kwestji, kto ma dokonywać uświadomienia młodzieży, nie można tak rozwiązywać jak to uczynił autor, już po autorytatywnem wyjaśnieniu tej kwestji przez Stolicę świętą i nauką katolicką; nie utrzyma się też i argument autora, kiedy przemawia przeciw wypełnieniu tego obowiązku przez rodziców. Powołując się na opinję Van de Velde'a, należałoby jednak wspomnieć o niedawnem położeniu głośnego dzieła tego lekarza na Indeks książek zakazanych. Za błąd korekty uważam wydrukowanie „Szał" *Bu*kowińskiego zamiast *Pod*kowińskiego.

Zaznaczając te usterki, nie mam wcale zamiaru umniejszać wartości książki p. Lechickiego, ale polecając ją gorąco wszystkim tym, którzy pragną w jakikolwiek sposób przyczynić się do sanacji stosunków na polu seksualizmu, zwłaszcza rodzicom i wychowawcom, razem z autorem wołam: „Obyż głos ten, z tych

kart podnoszony, nie był tylko głosem wołającego... na zamarłej pustyni uśpionych sumień, zatrutych dusz, skarlałych charakterów polskich".

Dr. E. Chomrański.

Inż. Zygmunt Jasiński, b. Minister Kolei, W s p o m n i e n i a, Wojna Światowa (1914—1918), W odrodzonej Polsce (1918—1922). Warszawa 1933. Nakładem Księgarni Hoesicka.

Publikując w roku 1925 II tom swego „Wskrzeszenia Państwa Polskiego" Michał Bobrzyński pisał o dużej wartości pamiętników dla przyszłego dziejopisa tych czasów, zaznaczając, iż najwięcej daćby mogły pamiętniki Władysława Grabskiego z okresu najazdu bolszewickiego i Askenazego z czasu pełnienia przez niego obowiązków delegata Polski przy Lidze Narodów. Od tego czasu ukazał się wprawdzie rodzaj pamiętnika p. Grabskiego „Dwa lata pracy u podstaw państwowości naszej 1924—1925", obejmujący jednak tylko działalność II gabinetu p. Grabskiego. Pominął zaś p. Grabski niestety całkowicie swe prace społeczne i polityczne przed wojną i podczas wojny oraz udział swój w Sejmie Ustawodawczym i działalność jako ministra skarbu i premjera w 1920 roku. Pamiętniki Askenazego, gdyby się ukazały, byłyby skarbem nieocenionym dla przyszłych historyków z uwagi na wybitną indywidualność tego znakomitego męża stanu i wielkiego uczonego.

Z innych mężów stanu i polityków, kierujących nawą państwa w pierwszych czterech latach naszej niepodległości, podobno pisze pamiętniki p. Witos, a życzyćby sobie należało, aby nie był pod tym względem odosobniony. Dużo zwłaszcza cennego materjału historycznego przyniesćby mogły ewentualne pamiętniki gen. Sosnkowskiego, marszałka Sejmu Ustawodawczego p. Trąmpczyńskiego, kolejnych ministrów spraw zagranicznych p. Patka, ks. Sapiehy, p. Skirmunta, posła ówczesnego w Paryżu hr. Zamoyskiego, b. premjera prof. Ponikowskiego, p. Cara szefa kancelarji cywilnej Naczelnika Państwa i innych.

Ale bardzo cennych danych i przyczynków dostarczyćby mogli ciekawemu tych spraw czytelnikowi, a także nauce historycznej i ci działacze, którzy stali wprawdzie zdala od wielkiej polityki, ale rozwijali działalność czyto w pracy społecznej czy też w jednym z działów administracji państwowej.

Do rzędu tych ostatnich właśnie należy b. minister kolei p. Jasiński. W jego „Wspomnieniach", obejmujących okres od wybuchu wojny do roku 1922, nie należy szukać ani nowego ujęcia wielkich wypadków politycznych, rozgrywających się w tym czasie, ani żadnych rewelacyj, ale poprostu szereg faktów widzianych i przeżywanych przez wysokiego urzędnika kolejowego. Są to jednak wszystko sprawy interesujące nietylko fachowca kolejowego, czy też badacza historji gospodarczej i społecznej, ale

każdego inteligentnego czytelnika, któremu nieobojętna jest niedawna przeszłość naszego państwa.

Pierwsze rozdziały książki poświęcone są opisowi inwazji rosyjskiej w Małopolsce; najciekawsze są tu może ustępy, charakteryzujące nieufność i niechęć austrjackich władz wojskowych wobec społeczeństwa polskiego, a zwłaszcza wobec polskich urzędników kolejowych.

Opowiadanie autora o jego pobycie w Wiedniu i pracach jako polskiego delegata likwidacyjnego do spraw kolejowych w końcu 1918 roku i w początku roku 1919 stanowi uzupełnienie odpowiednich ustępów „Wspomnień i Dokumentów" Leona Bilińskiego. Ciekawe a zupełnie nowe szczegóły podaje tu autor o swoich rokowaniach z francuską misją wojskową w Wiedniu w sprawie bezpośredniego połączenia kolejowego Paryża z Warszawą via Wiedeń i o silnej opozycji Czechów przeciwko temu.

Wkrótce p. Jasiński powołany został do Warszawy na stanowisko dyrektora departamentu w Ministerstwie Kolei; a po ustąpieniu prof. Bartla, w grudniu 1920 roku objął tekę ministra Kolei w I gabinecie p. Witosa. Obok długiego szeregu pożytecznych reform i doniosłych ulepszeń minister Jasiński zasłużył się na nowem stanowisku zlikwidowaniem strajku na kolejach wiosną 1921 r. Związek Zawodowy Kolejarzy wysunął długi szereg postulatów, minister zdecydowany był przyjąć postulaty ekonomiczne Związku, dotyczące poprawy bytu personelu kolejowego, odrzucił natomiast energicznie wszelkie żądania o charakterze politycznym, jak mieszanie się związków zawodowych do administracji kolejowej, spraw personalnych, kwalifikowania funkcjonarjuszy, i t. p. W odpowiedzi Z. Z. K. proklamował ostry strajk. Było to w przeddzień plebiscytu na Górnym Śląsku; zahamowanie więc w takiej chwili kolei wywołać musiało najzgubniejsze dla państwa skutki. Minister Jasiński zrozumiał odrazu grozę sytuacji i przeprowadził na Radzie Ministrów militaryzację kolei i wprowadzenie sądów doraźnych. Następnie udał się z odpowiednim wnioskiem do Belwederu i zreferował całą sprawę Naczelnikowi Państwa.

„Naczelnik wysłuchał z wielką uwagą i zajęciem mego sprawozdania i zapytał stanowczym głosem, czy ręczę za powodzenie akcji po zastosowaniu tego drastycznego środka i czy przyjmuję za to odpowiedzialność? Odpowiedziałem śmiało i bez wahania: „Ręczę moją osobą i honorem i przyjmuję całą odpowiedzialność nietylko za to, że strajk w samym zarodku zgniotę i złamię, ale mam też uzasadnioną nadzieję, że obejdzie się przy tem bez krwi rozlewu". Marszałek Piłsudski na to powstał i zapytał, czy mam przygotowane rozporządzenie, a gdy mu wręczyłem gotowy już czystopis, podszedł do obok stojącego biurka, szybko przejrzał i podpisał. Zachowanie się Naczelnika zrobiło na mnie silne i bardzo korzystne wrażenie. Pomyślałem, że tylko wielki patrjota,

żołnierz i wódz, widząc ojczyznę w niebezpieczeństwie, może zdobyć się na tak szybką decyzję..." (str. 171—172).

Strajk istotnie w krótkim czasie został zgnieciony i, jak przewidywał minister, nie doszło nigdzie do rozlewu krwi, ani do ekscesów. Kary dosięgły tylko terrorystów, którzy nie dopuszczali do służby chcących pracować.

Swoją drogą p. Jasiński ustąpiwszy we wrześniu 1921 roku wraz z rządem p. Witosa, nie wszedł już dzięki opozycji P. P. S. do mianowanego następnie gabinetu p. Ponikowskiego.

Miejscami pamięć myli autora. I tak źródłem dysonansów między ks. Sapiehą a p. Witosem (str. 158) nie mogła być nominacja św. p. ks. Kazimierza Lubomirskiego na posła w Waszyngtonie, jako dokonana jeszcze przez p. Paderewskiego. Możliwe tylko, że p. Witos domagał się odwołania ks. Lubomirskiego, czemu sprzeciwiał się ks. Sapieha. Stosunki partyjne w Sejmie Ustawodawczym (str. 162) nie są dokładnie podane; p. Stroński np. nie był posłem do I Sejmu.

Autor nie tając zresztą swych przekonań konserwatywnych, nie dotyka nigdzie wielkiej polityki i zdaje się unikać bliższej charakterystyki mężów stanu i polityków tego okresu.

Styl autora i jego sposób opowiadania, pozbawiony ozdób i efektów literackich, prosty, ale miły i zajmujący.

Gdy czytamy o straszliwych niedomaganiach początkowych naszego kolejnictwa, o domaganiu się przez związki zawodowe daleko idącej ingerencji w zarządzie kolejami, o niskim poziomie dyskusji w sejmowej Komisji Komunikacyjnej i last not least o interpelacjach i interwencjach poselskich, uniemożliwiających wprost pracę Ministerstwa, o tem, jak to osobiście ministrowi żalono się, że np. „jednemu p. posłowi pociąg za wcześnie wychodził ze stacji, drugiemu nie zatrzymywał się pociąg pospieszny na stacji, gdzie on wsiada, innemu brakowało dobrego połączenia z Warszawą w nocy, innemu w dzień, jednemu pociąg nocny za często się zatrzymywał na stacjach i przerywał mu błogi sen, innemu znowu przelatywał z taką szybkością stacje pośrednie, że go z ławki „zrzucało" i t. p., książka p. Jasińskiego napawa nas głębokim optymizmem i radością, iż tak daleko jesteśmy już od tamtych czasów i tyle już dokonano dla podniesienia naszego życia państwowego. Jak zaznaczono wyżej „Wspomnienia" ministra Jasińskiego nie zmienią obrazu historycznego, jaki wyrobiliśmy sobie o dziejach lat 1914—1922, ale stanowią cenny i ciekawy przyczynek do historji tych czasów.

Dr. Janusz Pajewski.

Dembiński Henryk dr.: Autonomja celna w rozwoju prawa narodów. Kraków 1933 r., nakładem autora, str. 200.

Jednem z następstw Wielkiej Wojny jest rozpowszechnienie się dążeń wszystkich krajów do możliwie pełnej samowystarczal-

ności. Wbrew usiłowaniom tłumaczenia tego zjawiska względami gospodarczemi, walutowemi czy finansowemi, jest to wpływ stosunków politycznych. Wszystkie państwa obawiają się wybuchu nowej, jeszcze większej i okrutniejszej wojny. Pomne zaś doświadczeń własnych lub chociażby innych, starają się mieć rozwinięty własny przemysł zarówno obronny, jak i spożywczy, posiadać dostateczny zapas własnych surowców, aby mieć się w co ubrać, co zjeść i t. d.

Dlatego też jesteśmy świadkami potęgującego się protekcjonizmu celnego u wszystkich państw. Każdy kraj chciałby wprawdzie jak najwięcej towarów własnych wywieźć zagranicę dla otrzymania obcej waluty, lecz wzajemnie nie chce odbierać z innych krajów żadnego towaru. Ponieważ postępują tak wszystkie rządy, przeto w wyniku następuje zamarcie wymiany międzynarodowej towarów, ludzi i kapitałów.

Wszystkie państwa zdają sobie sprawę z zabójczości takiej polityki. Wszystkie, może nawet zupełnie szczerze, pragnęłyby zmiany obecnego systemu na więcej wolnościowy. Tylko niech najpierw to..., niech najpierw tamci... I tu następuje cały szereg zastrzeżeń i warunków, uniemożliwiających jakąkolwiek poprawę.

W tych stosunkach pewną, choć niezwykle wątłą, nadzieję na zwrot ku lepszemu daje Liga Narodów, starająca się usunąć przeszkody w handlu międzynarodowym. Wprawdzie w praktyce przedstawiciele państw reprezentowanych w Genewie wręcz przeciwnie działają u siebie w kraju, niż głoszą na międzynarodowych konferencjach, i wprawdzie najsilniej rosną mury celne po każdej konferencji zwołanej celem przywrócenia wolnego handlu, jednak nie da się zaprzeczyć, że pewne, bardzo wolne i minimalne kroki naprzód w tej dziedzinie Liga Narodów poczyniła.

Dr. Dembiński obrazuje nam tę właśnie stronę działalności Ligi Narodów.

Autor przedstawia ścieranie się w każdem państwie i na terenie międzypaństwowym dwóch prądów: autarkicznego (samowystarczalnościowego) z liberalnym (wolnohandlowym). Obydwa te prądy znajdują wyraz w międzypaństwowych stosunkach oraz w przepisach, stosunki te regulujących. Dr. Dembiński z prawnego punktu widzenia rozpatruje wyłonione stąd w teorji i w praktyce prawa narodów, pojęcia suwerenności państw i solidarności międzynarodowej.

Dzieło omawiane cechuje daleko idąca przejrzystość i jasność układu. Wpierw zaznajamiamy się z zagadnieniami suwerenności, solidarności i autonomji celnej, następnie w szkicu historycznym poznajemy kształtowanie się wzajemne tych pojęć w ważniejszych państwach, widzimy rozwój autonomji celnej u członków Ligi Narodów, zkolei przedstawione są wysiłki Ligi Narodów celem uregulowania międzypaństwowych stosunków gospodarczych (wskazówki Międzynarodowej Konferencji Ekonomicznej), wre-

szcie przechodzimy przejawy solidarności wewnątrz państw europejskich.

Oczywiście nie miejsce tu — ani byłoby to wskazanem — streszczać wywody autora. Ograniczymy się do podania najogólniejszych z nich wniosków: Umowy, ustalające współdziałanie państw w zakresie ich ustawodawstwa celnego ograniczają się najczęściej do dwóch kontrahentów. Liga Narodów stara się rozszerzyć podstawy współdziałania międzynarodowego w dziedzinie stosunków handlowych przy pomocy umów, ustalających ogólne i bezwzględnie wiążące zasady. Jednak możliwości jej w tym względzie są nikłe, to też ogranicza się ona do przygotowania i inspirowania takich układów. Tak więc etapy owej działalności tworzyły: Konferencja Brükselska 1920 r., Konwencja dla uproszczenia formalności celnych 1923 r., Międzynarodowa Konferencja Ekonomiczna 1927 r., Konwencja znosząca ograniczenia i zakazy przywozu oraz wywozu 1927 r., podobna Konferencja specjalnie co do skór i kości 1928 r., Konferencja dla uzgodnionej akcji ekonomicznej 1930 r., prace Komisji Europejskiej 1931 r., tocząca się mimo wszystko jeszcze Międzynarodowa Konferencja Monetarna i Ekonomiczna w Londynie, oraz cały szereg aktów, konwencyj i protokółów, związanych i powstałych skutkiem wyliczonych obrad. Jeśli wyniki obrad i wysiłków Ligi Narodów są małe, to autor przypisuje to nie bezsilności samej instytucji, lecz niezdolności jej członków do należytego współdziałania. Słusznie też wątpi, (a rozwój wypadków potwierdził trafność jego poglądu), aby „przyszła (t. j. tocząca się teraz) Konferencja Londyńska mogła się stać punktem zwrotnym w rozwoju, który od końca wojny przybrały międzynarodowe stosunki handlowe".

M. J. Ziomek.

Giuseppe Messina S. I., I Magi a Betlemme e una predizione di Zoroastro. Romae apud Pont. Institutum Biblicum 1933, 8⁰, str. 102.

Nie wiem, czy są w Polsce jacy iraniści (o jednym wiem, że się dopiero przygotowuje), którzyby się pracą O. Messiny zajęli z urzędu. Treść jej jednak leży w zakresie zainteresowania również i historyków religji, a zwłaszcza egzegetów Nowego Testamentu, przeto nie zawadzi podać o niej i na tem miejscu krótkiej wiadomości.

Autor już gdzieindziej opracował rzecz o magach w języku niemieckim (Por. Jos. Messina, Ursprung der Magier und die zarathustrische Religion. Roma 1930). Przypomnieć tu zaraz należy, że ci, których w opowiadaniu św. Mateusza (2, 1—12) i w naszych kolendach zwykliśmy nazywać „mędrcami", „królami", w tekście greckim ewangelij i w łacińskiej wulgacie noszą właśnie miano „magów". O nich to chodzi w rozprawie, którą omawiamy.

Ponieważ obecnie, a nawet już od bardzo dawna, czego wyraz mamy i w Dziejach Apostolskich, nazwa „mag" oraz pochodząca od niej „magja" mają znane ujemne znaczenie, chodziło o wyświetlenie, czem pierwotnie byli magowie i jakie były ich wierzenia religijne, a to tembardziej, że nie brakło w starożytności pogańskiej i chrześcijańskiej głosów uważających i owych magów ewangelicznych za rodzaj czarowników, pochodzących z Chaldei.

Zdanie to jednak nie było powszechne. Sami magowie uważali się zawsze za uczniów Zaratusztry, założyciela perskiej religji, zwanej mazdeizmem. Oni przekazali nam na piśmie jego naukę, układali do niej komentarze, są autorami całej literatury religijnej w języku średnioperskim, obracającej się około Awesty. A że starożytni pisarze różnią się między sobą w sądach o ich nauce i zwyczajach, pochodzi to stąd, że rzeczywiście w ciągu wieków magowie przeszli nieraz duże ewolucje, tak iż do ich pojęć wkradły się z biegiem czasu elementy sprzeczne nawet z nauką ich ojca Zaratusztry, zawartą w Aweście.

Tradycje magów o ich pochodzeniu znajdują potwierdzenie u pisarzy greckich, którzy znali zarówno ich samych, jak i naukę Zaratusztry, zwanego przez nich Zoroastrem. Świadectwa te rozpoczynają się w czwartym wieku przed Chrystusem i pochodzą głównie z kół zwolenników Platona. Nazywają oni Zaratusztrę pierwszym magiem, znają historję jego szkoły i perskie imiona jej głównych przedstawicieli. To co podają jako naukę magów, znajduje się rzeczywiście w Aweście. Niema tam zaś mowy o sztuce czarodziejskiej, co byłoby trudnem do zrozumienia, gdyby rzeczywiście czarownictwo było pierwotnem zajęciem magów.

Nie mieli też magowie nic wspólnego z kapłanami babilońskimi, zwanymi chaldejczykami; przez co jednak nie twierdzi się, że nie ulegli oni nigdy wpływom religji astralnej.

Nauka magów o bóstwie, zawarta już w hymnach Zaratusztry, była początkowo jakąś niewyrobioną jeszcze mieszaniną monoteizmu i dualizmu. Obok Boga, który stwarza wszechświat i który jest początkiem wszystkiego, istnieją dwa duchy również wieczne, dobry i zły, tamten początek wszystkiego dobrego, ten początek złego i śmierci.

Zczasem dualizm przeważył. Oba pierwiastki walczą ze sobą ustawicznie. Człowiek ma pomagać dobremu, aby dopomóc do jego zwycięstwa nad złem. Ma on możność wybierania między dobrem a złem. Jego obowiązki streszczają się w przestrzeganiu prawdy w myślach, słowach i uczynkach. Po śmierci, zależnie od swoich uczynków, otrzyma on nagrodę lub karę.

W ostatnim okresie świata oczekiwane są jakieś istoty nadzwyczajne, które mają przywrócić panowanie dobra na świecie.

Na końcu czasów wreszcie przyjdzie *sauszjant* - wybawca, ludzie zmartwychwstaną. Wtenczas nastąpi ostatnia walka między

mocami złemi a dobremi, dobro zwycięży nad złem, poczem istnieć będzie społeczność ludzi tego samego języka, którzy chwalić będą Boga na wieki w oczyszczonym świecie.

Taki był zarys doktryny magów na początku naszej ery. Nietrudno zaś spostrzec jej punktów stycznych z pojęciami żydowskiemi i chrześcijańskiemi. Spostrzeżenie to uczynili pisarze chrześcijańscy bardzo wcześnie; uderzył ich zwłaszcza ów punkt nauki magów, który dotyczy przyjścia jakiegoś zbawcy. Wyrobiło się przekonanie, że przepowiedzieli oni, a właściwie ich fundator Zaratusztra (wyraz „mag" nawet etymologicznie oznacza przynależność do niego), przyjście Mesjasza, którego Żydzi oczekiwali, a którego chrześcijanie uznali w Jezusie Chrystusie.

Niniejsza rozprawka O. Messiny dotyka tej właśnie kwestji; bo to, cośmy dotychczas pobieżnie streścili, było przedmiotem jego poprzedniej pracy, tutaj na początku zacytowanej, w obecnej zaś zostało celem wprowadzenia czytelnika krótko powtórzone. Autor bada mianowicie, jak się przedstawia nauka o *sauszjant*-zbawcy w samejże tradycji irańskiej, następnie co o niej wiedzieli pisarze chrześcijańscy i wreszcie drogę, jaką doszła do ich wiadomości.

Osoba i działalność *sauszjant*-zbawcy zajmuje w tradycji irańskiej nader ważne miejsce. W różnych epokach ma ona różne zabarwienie, częścią przez coraz to nowe pod wpływem wewnętrznego rozwoju jakoteż obcych czynników przybywające jej elementy, głównie zaś ze względu na perspektywę, w jakiej występuje. I tak w najstarszej części Awesty działalność „zbawców", bo jest ich więcej, rozwija się w atmosferze realnej, historycznej, w późniejszych jest eschatologiczną, mityczną; w literaturze zaś średnioperskiej jest związana z kosmologicznym systemem następujących po sobie równych okresów, ma koloryt eschatologiczny, odnosząc się bądźto do przyszłych losów świata wogóle, bądź do samego jego końca.

Te swoje twierdzenia rozprowadza autor, analizując odnośne teksty literatury irańskiej.

Kiedy się pojawiła nauka o *sauszjant*, trudno rozstrzygnąć z samych źródeł irańskich. Ze zgodności jednak pewnych punktów zasadniczych apokaliptyki irańskiej z wiadomościami podanemi przez autorów greckich z IV wieku przed Chrystusem, głównie Teopompa, wynika z dość wielkiem prawdopodobieństwem, iż ci ostatni znali naukę o *sauszjant*, która jest z całym systemem owej apokaliptyki ściśle związana. Owszem nawet imię jednego ze „zbawców" zachodzi u nich w formie greckiej.

Określenie zaś epoki, na którą oczekiwano przybycia ostatniego *sauszjant*'a, zależy od czasu, kiedy żył sam Zaratusztra. Ponieważ jego najgorliwszy uczeń i protektor nazywał się Wisztaspa, którego w pewnym czasie utożsamiono z Hystaspesem, ojcem Darjusza, przeto i chronologję Zaratusztry poczęto odpo-

wiednio liczyć. O. Messina w swojem „Ursprung der Magier" udowadnia, że Zaratusztra jest wcześniejszy niż Hystaspes, ojciec Darjusza. Tutaj dochodzi do tego samego wniosku na podstawie tekstu Ksantosa, który żył za Artakserksesa I (464—424). Według jego świadectwa, zachowanego przez Diogenesa Laercjusza, Zoroaster żył 600 lat przed wyprawą Kserksesa na Grecję, a więc w jedenastym wieku przed Chrystusem. W takim razie *sauszjant*, który według nauki irańskiej miał przyjść około tysiąc lat po nim, powinien był być oczekiwany około początku naszej ery. W tradycji średnioperskiej, pochodzącej prawie w całości z późniejszej epoki, nie pozostało śladu tej chronologji, ale pewne światło w tym względzie przynoszą niektóre najdawniejsze apokryfy chrześcijańskie.

Gdy zaś chodzi o stosunek pisarzy chrześcijańskich do nauki o *sauszjant*, zauważyć niepodobna wielkiej ich ku niej sympatji, a to mimo iż skądinąd między religją chrześcijańską a mazdejską obok podobieństw były także głębokie różnice. Owszem był czas, kiedy w państwie perskiem pod wpływem magów kwitły w najlepsze prześladowania chrześcijan. Mimo to Zaratusztra, uważany przez magów za mistrza i proroka, był także przez chrześcijan porównywany a nawet utożsamiany z wybitnemi postaciami Starego Testamentu. Chrześcijanie, mimo iż wiedzieli, że Zaratusztra nie należał do narodu wybranego, czynili zeń proroka przedchrześcijańskiego, którego Bóg użył do ogłoszenia przyjścia Mesjasza tym, co nie posiadali objawienia Starego Zakonu. Podstawę zaś do tego mniemania mogło im dać nie co innego, jak znajomość nauki irańskiej o oczekiwaniu przez mazdejczyków na *sauszjant* - zbawcę, przepowiedzianego przez Zaratusztrę. O. Messina śledzi nić tej wiadomości u autorów chrześcijańskich, jak tylko można daleko, t. j. aż do drugiego wieku po Chrystusie, stara się odróżnić elementy mazdejskie od chrześcijańskich, wniesionych przez samych pisarzy chrześcijan, do owego proroctwa, przypisywanego Zaratusztrze. Zbawcę irańskiego bowiem utożsamiali pisarze chrześcijańscy z żydowskim Mesjaszem, przypisując magom oczekiwanie na niego. W ten mianowicie sposób chciano wytłumaczyć, jak magowie, nie znając proroctw Starego Testamentu, mogli wpaść na myśl, żeby się udać do Betleem celem powitania nowonarodzonego Mesjasza.

Okazuje się, że najstarszą wiadomość o owem „proroctwie" Zaratusztry zaczerpnęli pisarze chrześcijańscy z księgi przepowiedni przypisywanej jego uczniowi Wisztaspie (Hystaspesowi). Aby zaś wytłumaczyć początek nauki o *sauszjant* - zbawcy i oczekiwania nań, utożsamiano Zaratusztrę to z Balaamem, to z innemi postaciami Starego Testamentu, które według Pisma św. lub przynajmniej według apokryfów przepowiedziały przyjście Zbawiciela.

Wkońcu stara się O. Messina rozwiązać kwestję autora przepowiedni Hystaspesa - Wisztaspy, głównego źródła wiadomości

pisarzy chrześcijańskich o nauce irańskiej. Wobec małej liczby zachowanych fragmentów i braku innych danych nie można go oczywiście zindywidualizować; ale da się przynajmniej określić środowisko, z którego pochodził. O. Messina zgodnie z dotychczasowem przekonaniem innych uczonych, wbrew nowszej teorji Windischa, przypisującego przepowiedniom Hystaspesa pochodzenie parso-hellenistyczne, uważa ich autora raczej za Żyda z diaspory z pierwszego wieku przed Chrystusem lub z pierwszego po Chrystusie. To swoje zdanie uzasadnia przekonywująco; nie wyklucza przytem, że uległy one przeróbce i nawet otrzymały pewne dodatki ze strony chrześcijańskiej.

Z powyższego, schematycznego zresztą streszczenia, w którem pominięto dużo szczegółów, widzimy dostatecznie, że zamiarem O. Messiny nie było przeprowadzać obronę historyczności opowiadania św. Mateusza o przybyciu Mędrców ze Wschodu do Betleem, lecz raczej zebranie i dyskusja materjałów irańskich i chrześcijańskich, mających w niem bezpośrednią łączność i mogących rzucić na nie pewne światło. W pracy zostało poruszonych mnóstwo kwestyj, obchodzących specjalistów; im też pozostawiamy ich ocenę. Autor bowiem nie zadowala się li tylko rejestrowaniem cudzych sądów, lecz nie obawia się wypowiedzieć i swojego zdania, choćby nawet nie było z nimi zgodne. Z naszej strony pozwalamy sobie zwrócić uwagę, że układ rozprawy nie jest we wszystkich swych częściach dosyć przejrzysty, zawiera czasami niepotrzebne powtarzania, co utrudnia nieco zrozumienie całości.

Ks. Ludwik Semkowski T. J.

Adama Mickiewicza Dzieła Wszystkie. Zebrane i opracowane staraniem Komitetu Redakcyjnego. Tom V. Pisma prozaiczne polskie. Część I. Pisma i przemówienia filomatyczne. Pisma estetyczno-krytyczne. Opowiadania. Pisma gramatyczne. Dodatek. Tom XI. Przemówienia. Opracował Stanisław Pigoń. Tom XVI. Rozmowy z Adamem Mickiewiczem. Zebrał i opracował Stanisław Pigoń. Przedmowę napisał Władysław Mickiewicz. Warszawa. Nakładem Skarbu Rzeczypospolitej Polskiej. 1933. 8⁰, str. 472, 544, 560.

Wielkie dzieło doszło do urzeczywistnienia. Całkowite wydanie krytyczne pism Mickiewicza, uchwalone przez Pierwszy Sejm odrodzonej Polski, oczekiwane z niecierpliwością, pojawiło się na rynku wydawniczym. Komitet redakcyjny, złożony z Wilhelma Bruchnalskiego, Artura Górskiego, Stanisława Pigonia i Józefa Ujejskiego wydaje się być szczególnie powołanym do tej pracy. Bruchnalski, przenikliwy wydawca i komentator dzieł Mickiewicza, ogłosił jeszcze w r. 1921 „Próbę kanonu wydawniczego, w zastosowaniu do zbiorowej edycji „Dzieł wszystkich" Mickiewicza" (w „Pamiętniku Literackim"), opartą na przemyśleniu podobnych wydawnictw zagranicznych i stanowiącą w ogólnych zarysach podstawę wydania niniejszego. Nazwisko Artura Górskiego

związało się na zawsze z nazwiskiem Mickiewicza na poziomach duchowych, przewyższających zasięg normalnych ludzkich oczu. Stanisław Pigoń w niezmordowanym zapale naukowym i twórczym (tak!) wniknął w istotę ducha poety tak głęboko, jak chyba nikt z dotychczasowych badaczy. Zdaje się, że on jest najsilniejszą więzią i zarazem istotnym kierownikiem wydawnictwa, biorącym na siebie lwią część roboty. Podobnie, jak wydanie „Dzieł wszystkich" Słowackiego nazwać można śmiało wydaniem Kleinera, tak wydanie „Dzieł wszystkich" Mickiewicza słusznie będzie mogło być nazwane wydaniem Pigonia.

O celowem przemyśleniu wszystkiego świadczy wymownie sam fakt wydania naprzód tego, co było najtrudniejszem i zarazem najbardziej potrzebnem. Poezje, dostatecznie rozpowszechnione w edycjach dotychczasowych, ujęte zresztą w niedokończonem wydaniu „pomnikowem", zostawiono na koniec. Zaczęto od prozy i to tej, która odsłania nam nieznanego niemal Mickiewicza.

Tom V zawiera rzeczy znane dobrze historykom literatury, ale uchodzące uwagi szerszego ogółu. Pisma i przemówienia filomatyczne Mickiewicza ogłoszone były w większości w „Archiwum filomatów", ginęły tam jednak wśród pism współtowarzyszy. Dziś, zebrane razem, okazują dowodnie (jak podkreśla to słusznie w pięknym wstępie nieodżałowanej pamięci Aleksander Łucki), że Mickiewicz odgrywał dominującą rolę w organizacji tego wspaniałego zrzeszenia młodzieży wileńskiej i że on to starał się przedewszystkiem, wbrew Kowalewskiemu, by wyszło poza ciasne ramy nauki i stało się zakonem patrjotyzmu, oddziałującym na cały kraj. Zobaczymy w tomie XI, poświęconym w większości pracy Mickiewicza w towiańszczyźnie, jak ta idea wybranej garstki duchów kierowniczych przetrwa niemal do końca życia w jego myśli i każe mu pracować w tym kierunku do ostatniego niemal tchnienia. Następną grupę: „Pisma estetyczno-krytyczne", poprzedza staranny wstęp Henryka Życzyńskiego, obrazujący systematycznie rozwój poglądów estetycznych poety na szerszem tle porównawczem. Znalazły się tu i obie sławne przedmowy romantyczne, trafnie skomentowane. W grupie „Opowiadania" pierwsze miejsce zajmuje „Żywila". Jej omówienie we wstępie przez Pigonia jest zarazem pierwszą a świetną monografją o tem młodzieńczem dziele, w którem zawarte są jednak w zarodku wszystkie cechy twórczości i ducha poety. To, co prof. Pigoń mówi przy tej okazji o kulcie heroizmu, a nadewszystko o „rdzenności" patrjotyzmu Mickiewicza należy do najpiękniejszych słów, jakie napisano o pierwszym wieszczu.

Monografją udziału i roli Mickiewicza w towianizmie można też nazwać wstęp Pigonia do tomu XI „Dzieł". Niewiadomo, czy poszło to stąd, że najwięcej zachowało się przemówień Mickiewicza z czasów jego pracy w Kole Sprawy, czy z osobistych zainteresowań autora Wstępu, dość, że towianizmowi poświęcił on

omówienie najobszerniejsze i najbardziej szczegółowe, może nawet miejscami zbyt szczegółowe. Najciekawsze momenty w niem, to ostre przeciwstawienie dwóch faz w towianizmie Mickiewicza, przed i po odłączeniu się od mistrza Andrzeja, i wyznaczenie filiacyj towianizmu z St.-Simonizmem. Osobiście odczuwam w tym wstępie brak, który odczuwa się wogóle w badaniach nad tym interesującym prądem duchowym Emigracji. Szuka się w tych badaniach i odnajduje pokrewieństwa i wpływy szeregu grup i kierunków umysłowych współczesnych. Nikt jednak nie przeprowadził systematycznie badań nad tem, ile w mistyce i praktykach duchowych towiańczyków znajduje się wkładu tradycji mistycznej i praktyki ascetycznej Kościoła katolickiego, który pragnął „ulepszać" Towiański. Mam wrażenie, że niejeden także pomysł Mickiewicza z tego okresu, uważany za oryginalny, tu znajduje swe źródło. W ogólnem ujęciu problemu towianizmu odczuwa się u autora Wstępu, mimo dążenia do ścisłej prawdy, ustosunkowanie się, kierowane sympatją. Stąd może zbyt mało zastrzeżeń krytycznych i może pewne przecenienie wartości towianizmu.

Jeżeli tom „Przemówień" budził wielkie zaciekawienie, przynosząc materjał nieznany, to ze szczególnem wzruszeniem bierze się do ręki tom „Rozmów". Tu materjału nieznanego może jeszcze więcej. To zaś, co było znanem dotychczas, znajdowało się w rozproszeniu po setkach artykułów, pamiętników, wspomnień i listów. Wyszukanie i zebranie tego materjału, ułożenie go w jednolitą całość, wybranie ustępów najbardziej charakterystycznych, ustalenie stopnia autentyczności i nadewszystko skomentowanie — to zaiste praca większa i stokroć trudniejsza, niż notowanie słów wielkiego człowieka z jego ust, choćby przez długie lata. Nie miał Mickiewicz swego Eckermanna, jak Goethe. Stał się nim jednak poniekąd prof. Pigoń. Mickiewicz w rozmowach — to Mickiewicz na codzień, ale zarazem Mickiewicz wielki. Ogłoszenie tego tomu jest samo przez się odpowiedzią na ataki małych ludzi, nie pojmujących heroicznego dążenia wzwyż, jakie cechuje poetę przez całe życie. Słusznie porównał Pigoń we wstępie ducha Mickiewicza z „krzakiem gorejącym", chcąc wyrazić stałe rozpłomienienie go najwyższemi ideałami, i niesłychaną żarliwość w ich realizacji. Nad sprawą wyboru przez wydawcę tego, czy owego ustępu możnaby dyskutować; nie można przemilczeć, że w tym właśnie tomie zawiodła korekta, dopuszczająca sporo zniekształceń w przedrukach. Niemniej całość jest rewelacją swego rodzaju. Poznanie jej stanie się koniecznością dla każdego kulturalnego Polaka. Cena wydawnictwa, obliczona dla szerokiej jego popularyzacji, umożliwi to wzbogacenie szaf bibljotecznych i przedewszystkiem... dusz.

Dr. Z. Ciechanowska.

O. Dr. Kazimierz S. Rosenbaiger, Franciszkanin: Dzieje kościoła OO. Franciszkanów w Krakowie w Wiekach Średnich. (Bibljoteka Krakowska nr. 79), Kraków 1933, str. 207.

Teza doktorska O. Rosenbaigera podejmuje temat dla autora zapewne bardzo sympatyczny, w rzeczywistości jednak trudny i niewdzięczny. Trudny z powodu niedostatku źródeł, niewdzięczny, ponieważ nieraz już opracowywany. W takich warunkach zadanie historyka sprowadza się do syntetycznego opracowania tematu, opartego na ponownem krytycznem zbadaniu wszystkich istniejących źródeł i całej literatury przedmiotu. Taka praca nie może przynieść rewelacyj, daje jednak syntezę, dorzuca sporo nowych szczegółów, prostuje wiele fałszywych i sprzecznych relacyj, których sprzeczność występuje dopiero w syntetycznem opracowaniu,

Te wszystkie zalety posiada książka O. R. i przez to stanowi wartościową pozycję w naszej literaturze historycznej. Napisana stylem prostym, jasnym, zyskałaby jeszcze na wartości, gdyby nie pewne usterki formalne. Za najważniejszą uważamy przeładowanie tekstu opowiadania krytyką źródeł, relacyj i błędnych poglądów, gdy to wszystko raczej powinno znaleźć się w notach. W tekście, naszem zdaniem, należałoby rozwinąć opowiadanie wedle relacji, którą autor uważa za jedynie usprawiedliwioną źródłami, wraz z dowodzeniem, bez przerywania wątku dygresjami o charakterze krytycznym. To samo, lecz z większym naciskiem, należy powiedzieć o przytoczeniu w tekście w całości i języku łacińskiem długiego dyplomu Jana III. Prawda, dyplom ten jest bardzo ciekawy, ponieważ włączono weń falsyfikat, sporządzony przez Franciszkanów, lecz to nie usprawiedliwia jeszcze przytoczenia go w całości w tekście, wystarczyło załączyć go w dodatkach, a w tekście streścić i udowodnić jego fałszywość. Za usterkę uważamy również przytoczenie wszystkich cytatów w ich języku własnym, a więc: łacińskich po łacinie, niemieckich po niemiecku. Niewłaściwość ta jest tem większa w takiem wydawnictwie, jak Bibljoteka Krakowska, które przeznaczone jest dla szerszych warstw czytelniczych. Teksty przytoczone należy bezwzględnie podawać w przekładzie polskim, a tekst oryginalny, o ile na to zasługuje, dawać w notach lub dodatkach. Niezastosowanie tej metody utrudnia bardzo rozejście się książki, skądinąd wartościowej i interesującej. Przeniesienie sporej liczby tekstów i dygresyj do not, pozwoliłoby zaoszczędzić kilka stron na indeks imion własnych, którego brak — niestety — w książce O. R.

Ks. St. Bednarski T. J.

Ks. Kamil Kantak: Bernardyni polscy. (1453—1572). Lwów 1933, str. XXIII + 424.

Autor rozlicznych opracowań monograficznych z dziejów zakonów żebrzących w Polsce zebrał rezultaty swych długoletnich

studjów w syntetycznem dziele, poświęconem historji polskiej gałęzi zreformowanego w XV w. odłamu Franciszkanów, Obserwantów, zwanych u nas Bernardynami. W pierwszym rozdziale opisuje autor zaprowadzenie tego zakonu w Polsce przez Jana Kapistrana i początkowe jego dzieje aż do utworzenia odrębnej prowincji polskiej w r. 1467. Rozwija się ona pomyślnie w 2 połowie XV w. i osiągnęła na początku następnego stulecia cyfrę 25 klasztorów, a przeszło 700 zakonników. W XVI w. dalszy rozrost został zahamowany wskutek niechętnych zakonom prądów reformacji, dopiero pod koniec tego stulecia w dobie kontrreformacji katolickiej można zanotować nowy rozkwit fundacyj bernardyńskich. Prowincja polska straciła wskutek reformacji tylko jeden klasztor we Wichowie, zato umniejszyła się znacznie przez wyodrębnienie czterech klasztorów na Litwie w osobną prowincję litewską (1530). Słaba ta prowincja, utworzona głównie naskutek separatystycznych nastrojów na Litwie, utrzymała się zaledwo przez 40 lat i po politycznej Unji z Koroną połączyła się zpowrotem z macierzystą prowincją polską... Dalej przedstawia autor ustrój zakonu, jego życie wewnętrzne, naogół wysoko postawione, o czem świadczy najlepiej długi szereg świętych i świątobliwych mężów, jakimi Bernardyni mogą się w tym okresie pochlubić, żeby wspomnieć tylko bł. Jana z Dukli, bł. Szymona z Lipnicy i bł. Władysława z Gielniowa. Bernardyni rozwijali żywą działalność religijną, utrzymywaną jednak w tradycyjnych formach; szczególny nacisk kładli na kultywowanie pieśni nabożnej. Prowadząc misje na Wschodzie, zajmowali względem obrządku ruskiego stanowisko tolerancyjne i nie żądali od nawróconych schizmatyków rebaptyzacji, przez co narażali się na zatargi z duchowieństwem świeckiem. Poziom umysłowy zakonników stał wcale wysoko w XV w., w początkach następnego stulecia zdobyli się jeszcze na znakomite dzieło historyczne, kronikę zakonu Komorowskiego. Prądy humanistyczne nie przyjęły się wszakże wśród naszych Obserwantów; w XVI w. tkwią jeszcze zupełnie w średniowiecznej uczoności, to też poziom wykształcenia zaczął się obniżać. Z drugiej strony jednak dzięki powyższemu konserwatyzmowi nowinki religijne nie znalazły wzięcia u naszych Bernardynów, którzy też gorliwie, choć staroświeckiemi metodami, zwalczali propagandę protestancką. Obok klasztorów męskich zaczęły powstawać w wielu miejscowościach klasztory żeńskie, przestrzegające regułę trzeciego zakonu. Jeden z nich, św. Agnieszki w Krakowie, był klauzurowy i miał własny kościół, w innych klasztorach klauzura nie obowiązywała, a zakonnice chodziły na nabożeństwo do kościoła Bernardynów. Dopiero Pius V w r. 1568 przepisał klauzurę wszystkim żeńskim konwentom bernardyńskim, co w Polsce wprowadzono w życie dopiero pod koniec XVI w. Praca ks. Kantaka, wsparta na obfitych materjałach źródłowych, w znacznej części archiwalnych, przynosi

wiele nowych wiadomości, gdyż literatura przedmiotu — poza poprzedniemi studjami samego autora — przedstawiała się bardzo skromnie. Tło ogólne podmalowane za słabo, przyczem ocena niektórych postaci np. obydwóch Zygmuntów wypadła nazbyt jednostronnie.

M. N.

H. Daniel-Rops: D u s z a w m r o k u. (Powieść), autoryzowany przekład Jerzego Makarczyka. Wydawnictwo Gebethnera i Wolfa.

Francuski tytuł powieści młodego, katolickiego pisarza, H. Daniela-Ropsa, znacznie lepiej i dosadniej syntetyzuje i treść dzieła i zamierzenia autora, niż pozornie wierny przekład tego tytułu na polskie. Tytuł ten brzmi w oryginale „l'âme obscure" dusza ponura, czy dusza mroczna, co ma całkowicie inne znaczenie, niż „dusza w mroku". Polski tytuł sugeruje jakiś stan przejściowy duszy, jakąś jej wędrówkę przez mroki wewnętrzne i czytelnik słusznie może oczekiwać, że dusza ta, przebrnąwszy przez swoje „mare tenebrarum", wyjdzie z ciemnego przejścia w światło łaski i szczęścia. Tymczasem tytuł francuski wskazuje, że nie mamy tu do czynienia z duszą przez mroki wędrującą, ale z duszą, mroki te złe w swej istocie noszącą, że autor nie opisuje nam jakiegoś kryzysu, ale istotną i nieuniknioną tragedję pewnego gatunku człowieka, tragedję, polegającą nie na wejściu tego człowieka w pewne okoliczności i nastroje, ale tragedję o wiele głębszą, polegającą na wewnętrznej treści jego duszy. A tragedja Błażeja Orlier na tem właśnie polega, że jest takim jakim jest, że nikt i nic wyzwolić go nie może z wewnętrznej udręki, że mroki dławiące jego życie nie przyszły z zewnątrz, ale w najgłębszych źródłach jego natury mieszkają.

Daniel-Rops, podobnie jak Mauriac, ukazuje nam człowieka w jego walkach i niepokojach metafizycznych, ukazuje nam stosunek porządku przyrodzonego do porządku nadprzyrodzonego. Dramat młodego Błażeja, tak jak dramat postaci Mauriacowskich, polega nie na niezgodności tych dwóch porządków i nie na ich przeciwstawieniu się sobie, lecz na tem, że Błażej, tak samo jak jego starsi bracia mauriacowscy, nie może życia swego i siebie samego światłem nadprzyrodzonem prześwietlić i wskutek tego życie jego się marnuje, jest zwichnięte, ponure i niekompletne, tak samo, jak jego chora dusza. To samo tu co i u Mauriaca ubóstwo i nędza życia, złość ludzkiej natury, pozostawionej sobie samej, to samo wyznanie, że człowiek bez wiary, człowiek nie czerpiący sił żywotnych z łaski, nie jest zdolny nietylko do cnoty, ale wogóle do życia i szczęścia nawet doczesnego, że życie bez tej nadbudowy nadprzyrodzonej jest niekompletne i do normalnego rozwoju niezdolne. Tylko Rops idzie o krok dalej od swego mistrza i ukazuje nietylko faktyczny stan rzeczy lecz i winę, jaką w nim człowiek ponosi.

Cały gruby tom powieści opisuje nam wewnętrzną samoudrękę młodego chłopca, wychowanego religijnie, który wiarę traci i nie umie ani bez niej żyć, ani do niej powrócić. Przechodzi on przez wszystkie niepokoje okresu dojrzewania, ulega pokusom zmysłowym, jest wciągnięty w szereg ponurych doświadczeń spirytystycznych. Po całych latach wewnętrznego dramatu zdaje się, że odnajdzie Boga po wizycie u swego mądrego przyjaciela ks. Van Vriesa, Cystersa, i przez miłość Klary. Ale jego zbuntowana dumna dusza odpycha wiarę i miłość i Błażej pozostaje sam w swej zaciętej nieufnej złości. Trzeba przyznać, że chorobliwie niespokojna, lubująca się we własnem cierpieniu natura Błażeja jest dla czytelnika dosyć nużąca a w swem ujęciu psychologicznem trochę staroświecka. Przypomina trochę przez swą upartą autoanalizę, przez brak zmysłu rzeczywistości, przez brak radości życia i chęci czynu typy literacko i życiowo przebrzmiałe, ma w sobie coś z Discipla i coś z Płoszowskiego, z pogłębieniem tych typów przez podkład metafizyczny, którego tamtym bohaterom epoki pozytywistycznej brakuje. Ten jakiś brak młodości u młodego bohatera zdaje się wskazywać na wielką młodość samego autora, który na dramat Błażeja patrzy bez cienia tej pewnej pobłażliwej życzliwości, bez cienia tego optymizmu i wiary w możliwą zmienność rzeczy pozornie niezmiennych, jaką dają zawsze pewna dojrzałość lat i dojrzałość sądów. Jest w osądzeniu postaci Błażeja jakaś tragiczna i bezkompromisowa surowość młodości. Na wielką, w tym wypadku literacką, młodość autora zdaje się także wskazywać postawienie i przeprowadzenie drugiego wątka powieściowego, ponurego dramatu starego pana Orlier, rozwijającego się zresztą retrospektywnie, jako tło przeżyć Błażeja. Ojciec Błażeja, złamany chorobą starzec, żyje samotny i tajemniczy, zagłębiony w rozpamiętywaniu swej młodzieńczej miłości, zazdrości i zbrodni w stosunku do Laury, matki Błażeja. Syn dowiaduje się o tej całej tragedji klasycznym i czysto powieściowym sposobem, dzięki pożółkłym, zapomnianym listom, dzięki przypadkowo otwierającym się za naciśnięciem tajemnej sprężyny szufladom. Całe to tło minionej tragedji, konającego przez całe miesiące starca, to współżycie młodego chłopca z żywym trupem, dodaje grozy, lecz grozy zbyt literackiej, wewnętrznym przeżyciom bohatera, a do istotnej jego historji dodaje tylko jeden rys potrzebny: analogję między jego ponurem, podejrzliwem usposobieniem a podobnem usposobieniem ojca. Jakkolwiek to nagromadzenie okropności zewnętrznych zdaje się trochę przesadzone i zdradza zbytnio młodzieńczą rozrzutność autora w szafowaniu scenami zgrozy i nastrojami, to jednak efekta osiągnięte są zadziwiająco silne i jak największe budzą nadzieje co do świeżo ujawnionego talentu. I znów musi przyjść na myśl Mauriac, gdy widzimy sposób, w jaki Rops zestraja pejzaże z wewnętrznemi nastrojami swych bohaterów. Tylko już nie jesteśmy wśród słońcem palonych Land, lecz

w górzystej Sabaudji, wśród jej zimowych śniegów i letnich żarów, wśród jej pustych, ponurych i z życia ogołoconych moczarów. A jeśli tragizm postaci Ropsa nie jest jeszcze tak pogłębiony, tak pozbawiony wszelkiej przypadkowości jak tragizm postaci Mauriaca, to natomiast galerja tych postaci jest bogatsza, bardziej urozmaicona, a przedewszystkiem niejako rzeczywistsza. Ludzie ci, to nie gigantyczne cienie dantejskie, to ludzie żywi, prawdziwi, codzień spotykani, ludzie żyjący w gorączkowej epoce pierwszych lat powojennych.

Ale gdy się mówi o tej dziwnie drażniącej, ale i dziwnie przykuwającej książce, gdy się rozpatruje różne jej właściwości, zalety i błędy, wraca się prędko i koniecznie do tego, co pierwsze ciśnie się pod pióro, gdy się o niej mówi, a mianowicie do zawartego w niej zagadnienia religijnego. Ujęcie kwestji religijnej w książce Ropsa jest bardzo dzisiejsze w przeciwstawieniu do nieco przestarzałego ujęcia psychologicznego. Książka ta nie jest ani moralizatorska, ani „przykładowa", ani budująca, jest śmiała i odważna, swobodna w słowach, realistyczna w opisach, ani trochę pruderyjna a jednak głęboko i prawdziwie katolicka. Najciekawszą jej stroną ideologiczną jest przedstawienie powodów, dla których bohater powieści od wiary odszedł.

Błażej Orlier nie stracił wiary ani przez spekulacje umysłowe, ani przez przekroczenie szóstego przykazania: stracił ją przez brak wewnętrznej aktywności, przez brak radości i chęci życia: „prawdziwą przyczyną, która go oddaliła od wiary, nie była niewiara, było nią raczej ubóstwo duszy, jej mierność". „Nie było mowy o walce, lecz jedynie o braku. Czuł dobrze, że potrzebny jest jakiś wysiłek, wyrwanie się z rąk tym ukrytym niebezpieczeństwom, których siłę znał". Z tem pojęciem autora łączy się drugie bardzo ciekawe: religja jest dla niego nie żadnem przeciwstawieniem się czyto wymogom myślowym, czy możliwościom życia, nie jest żadnem ograniczeniem, ani jarzmem, ani skrępowaniem: przeciwnie, jest tym jedynie życiodajnym elementem, jest tem żywem źródłem, bez czerpania z którego człowiek żyć pełnią życia nie może. Niema tu nic z ponurego średniowiecznego przeciwstawiania religji życiu i szczęściu, przeciwnie jest ich harmonja i wzajemna pomoc wynikająca z jednolitości potrzeb ludzkiej duszy, z jednolitości jej pragnień i aspiracyj. Religja jest potrzebą afirmacji, życia, radości. To też mądry przyjaciel Błażeja, ks. Van Vries pisze do niego: „Uwolnij się od tego gwałtownego pociągu do smutku, od tej szatańskiej negacji wszelkiej nadziei. Powiedziałeś mi, że kochasz. Nie znam tej, którą kochasz, ale z ufnością pragnę, żeby ona znalazła nareszcie drogę do tego zbuntowanego serca, dla którego zwyciężenia nie dał mi Bóg siły". Tak więc dziwnym kontrastem z tej tak bardzo ponurej książki, poprzez przesadzoną może tragiczność jej psychologji i fabuły, wydobywa się najjaśniejsza, najbardziej pro-

mienna myśl religijna: wiara w życiotwórczą, życiodajną siłę do pełni życia, do pełni rozwoju człowieka dążącej religji katolickiej. To ta, tak bardzo charakterystyczna dla młodzieży dzisiejszej, wiara radosna i ufna i siebie pewna, nie chcąca się usuwać i zamykać i wyrzekać, ale chcąca brać triumfalnie życie w posiadanie i świat wedle jej nakazów przekształcać i przebudowywać.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Stefan Papée: Wielkopolska wczoraj i dziś. Lwów 1933. Nakładem Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych. 8⁰. str. 234, knl. 3, ilustr. 26.

Małopolanin, pracujący od szeregu lat w Poznaniu jako ruchliwy i płodny literat i pedagog, podjął w tej książce próbę stworzenia podręcznika regjonalnego, przeznaczonego dla dojrzalszej młodzieży. Książka obejmuje zakres szeroki i dąży do wyczerpania całokształtu zagadnienia. Krajobraz, mowa ludu, kultura ludowa, zobrazowane na początku, poprzedzają szczegółowe przedstawienie dziejów politycznych i kulturalnych Wielkopolski od czasów najdawniejszych aż po dzień dzisiejszy. Materjał zgromadzony jest bardzo bogaty, pracę można nazwać kopalnią szczegółów, przeważnie bardzo interesujących. Jest tych szczegółów aż za wiele: stłoczone w niewielkich stosunkowo ramach pracy przeciążają ją, rzadko pozwalają autorowi wypowiedzieć się swobodniej, nie w sposób niemal stenograficzny. Tak, jak jest obecnie, mamy przed sobą nietyle książkę do czytania, co raczej kompendjum, zawierające mnóstwo wiadomości o faktach, a nadewszystko o ludziach, związanych z najrdzenniejszą dzielnicą Polski. Rodakom urodzonym w niej, dadzą one wielokrotnie powód do słusznej dumy. Rodacy z innych dzielnic dowiedzą się nieraz po raz pierwszy, jak wielkim jest kulturalny wkład Wielkopolski w skarbiec duchowy Ojczyzny. Zaznaczyć przytem trzeba, że autora cechuje nastawienie patrjotyczne, ogólnopolskie (pomijając zbyteczną polemikę z przeciwnemi kierunkami politycznemi). Byłoby pożądanem, aby autor rozwinął kiedyś zgromadzony materjał w obszerniejszem dziele.

Strona zewnętrzna książki zasługuje na pochwałę. Dobór ilustracyj jest trafny, wykonanie staranne. Jedynie korekta drukarska, dopuszczająca zniekształcenie wyrazów, zwłaszcza imion własnych, mogłaby być staranniejsza. *Z.*

Notatki bibljograficzne.

Ks. Mateusz Jeż: U stóp Najśw. Sakramentu. Iskierki eucharystyczne. Kraków 1933, str. 114 mała 8⁰.

Jest to wiązanka wierszy (100) ku czci Przenajśw. Sakramentu, z których przebija szczera miłość i głęboka pobożność.

Będzie ona niezawodnie miłą i pożyteczną wielu duszom i w niejednem sercu roznieci te same uczucia, których pełen jest czcigodny Autor i nad rozbudzeniem których tak usilnie pracuje.

Ks. dr. Kazimierz Prażmowski: Pokłosie katechetyczne. Wskazówki dla uczących religji rzymsko-katolickiej w szkołach powszechnych i średnich. Kraków 1935, str. 18 in 8°.

Niniejsza broszurka, przeznaczona przedewszystkiem dla świeckich sił, nauczających religji po szkołach, zbiera w najkrótszej formie najważniejsze wskazówki dotyczące metod nauczania religji, przygotowania każdej lekcji i samego jej przebiegu oraz pewnego rachunku sumienia czy refleksji, jak lekcja wypadła. Ta część, bardzo jasna a dokładna, odda może najlepsze usługi. Wyszczególniono pod koniec ważniejsze dzieła katechetyczne w języku polskim i niemieckim, środki poglądowe przy nauczaniu religji, przeźrocza, mapy, atlasy i płyty muzyczne do tegoż nauczania pożyteczne. Praca ta będzie pewnie powitana z uznaniem i duże przyniesie korzyści.

Ks. Ludwik Civardi: Podręcznik Akcji Katolickiej. Zasady. Książnica A. K. Św. Wojciech. Poznań 1933, str. 274.

Bardzo dobra książka, rozumna, spokojna i dokładna; jakkolwiek pojmuje Akcję Katolicką na sposób włoski, t. j. jako odrębną od już istniejących stowarzyszeń organizację, autor rysuje jej plan, ustrój, rozmaite stosunki w sposób tak jasny i trzeźwy, że nie odnosi się wrażenia żadnego zamieszania i wzajemnego wchodzenia sobie w drogę. Rzecz przełożona jest z VI wydania oryginału, uwzględniającego w obfitej mierze wszystkie w tej sprawie wydane enuncjacje kościelne. Dodaje wartości tej cennej książce wyborny przekład A. Kizińskiej.

Ks. Dr. Władysław Kłapkowski: Duszpasterstwo i oświata w dobrach klasztoru Kamedułów Wigierskich Sejny 1933, str. 21.

Skromny ale interesujący przyczynek do obrazu działalności klasztorów w dawnej Polsce. Kilka ilustracyj daje wyobrażenie o tym pięknym, bogatym eremie, położonym na wyspie wielkiego jeziora. Wśród 7 osad kamedulskich na ziemiach polskich Wigry były jedną z głównych i najpiękniejszych.

Ks. Józef Koterbski (Ardens): Bogu i Ojczyźnie. Poezje. Tarnów 1933 str. 206.

Zbiór lirycznych utworów o szczerze patrjotycznem i głęboko pobożnem uczuciu. Niejedno przyda się do deklamacji na wieczorkach i akademjach młodzieży. Myśl i wyobraźnia dość bogata, forma przeważnie nieudolna.

R. P. L. Longhaye S. I.: Théorie des belles lettres. L'âme et les closes dans la parole. Paris. Téqui. Str. 577 in 8.

Starsza już książka, ale zupełnie słusznie przypomniana znów czytelnikom, w szóstem już wydaniu. Dzieło O. Longhaye jest bardzo głęboko, filozoficznie i teologicznie opracowaną teorją wymowy, zwłaszcza religijnej. Omówione tu jest wszystko: istota, sposób tworzenia, warunki, akcesorja żywego słowa, aż do głosu i gestu. Dla nauczycieli wymowy lub krytyków kaznodziejstwa jest to dzieło wprost niezbędne; dla wszystkich, pragnących pogłębić umiejętność mówienia, ogromnie pożyteczne.

Wilned: Si les hommes avaient su regarder les bêtes. Esquisses biologiques. Paris. Téqui. Coll. „Je sème". Str. 175 in 8°.

Bardzo interesujące, objaśnione licznemi ilustracjami, obserwacje życia zwierząt, zwłaszcza o ile działanie zwierząt jest nieświadomą antycypacją rozmaitych genjalnych wynalazków ludzkich. Całość składa się na piękny dowód istnienia najmędrszego Stwórcy, który nakierował instynkt nierozumnych istot do tak przedziwnie celowych działań. Przedmowa jest pióra ks. Moreult, dyrektora obserwatorjum w Bourges.

H. Willette: Une Etoile. Eve Lavallière. Vie complete, avec lettres inédites. Paris. Téqui. Coll. „Je sème". 1933 str. 202 in 8°.

Życie głośnej konwertytki z pierwszej ćwierci naszego wieku, która po świetnej karjerze na scenie, zmieniła się pod wpływem łaski Bożej w świątobliwą zakonnicę-misjonarkę, oddaną ostrej pokucie. Rzecz napisana ze średnim talentem, ale historycznie wierna, co jest tem cenniejsze, że koło osoby wielkiej artystki potworzyło się już niemało legend.

Marcel Légaut: Prières d'un croyant. Paris. Grasset. Coll. „La vie chrétienne". 1933. Str. 274.

Świecki ale głęboko wierzący profesor uniwersytetu kreśli tu, wyjęte z własnego wewnętrznego życia, refleksje i modlitwy, przeznaczone dla dusz inteligentnych, które Bóg z manowców obojętności religijnej pociąga ku Sobie. Te luźne uwagi na tematy ewangeliczne mogą służyć bądźto za podręcznik do rozmyślania, bądź do czytania duchownego. Kard. Verdier słusznie podnosi w przedmowie szczerość religijnego uczucia, która z tych kart przemawia i umiejętność ścisłego skojarzenia życia nadprzyrodzonego z kołem codziennych zajęć i myśli.

Clanoine Moënner: Autour du Clocher. Etretiens dominicaux, sur la Paroisse, L'Englise, le Clergé et les Fidèles. Paris. Téqui. Coll. „Je sème". wyd. 3 1932. Str. 279 in 8°.

Jest to ujęty w szereg prostych, serdecznych przemówień całokształt nauki o parafji i jej życiu. Autor omawia najpierw

sam kościół parafjalny i różne jego strony, potem rolę parafjalnego duchowieństwa, wreszcie społeczność wiernych koło pasterza skupioną. Rzecz bardzo odpowiednia do podniesienia parafjalnego życia w duchu jednego z ostatnich orędzi Ks. Kardynała Prymasa Hlonda.

O. S. Louismet, Benedyktyn: Mistyczne poznanie Boga. Poznań, św. Wojciech 1933, str, 143 in 16°.

Pobożna książeczka, ale pełna niejasności i nieścisłości. W części teoretycznej stara się Autor wyjaśnić istotę mistycznego poznania Boga, w drugiej, praktycznej podaje z rozmaitych punktów widzenia rozważania modlitwy Pańskiej. Trafiają się w obu częściach ładne myśli i zdrowe ascetyczne rady, ale trudno uwierzyć, by dzięki tej książeczce ktoś istotnie postąpił czyto w rozumieniu czy w praktyce głębszego poznania Boga. Dobry przekład jest dziełem A. Kizińskiej.

Herrmann Hoffmann: Die Kirche u. der Friede. Reinhold Verlag. Wien. 1933 str. 216.

Znany działacz pacyfistyczny stara się wykazać w tej książce, jak dalece Kościół przeciwny jest wojnie, zwłaszcza dzisiejszej, a jak gorąco zaleca pokój. Po poważnej przedmowie Arcybiskupa Innitzer'a, zestawia Autor teksty Pisma św., Ojców Kościoła, Papieży, wybitniejszych członków hierarchji i myślicieli oraz pisarzy, przemawiające za pokojem, a nakońcu zestawia obecne zadania szczerych miłośników pokoju oraz daje przegląd odnośnej literatury. Rzecz pouczająca i pełna ciepłego przekonania. Pewne ustępy byłyby może inaczej wypadły, gdyby Autorowi w chwili pisania książki, znany był fakt rozwiązania przez hitlerowców pożytecznego stowarzyszenia *Friedensbund deutscher Katholiken.*

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakł. Polskiej Akademji Umiejętności. Kraków:

Wacław Tokarz: Pomniki prawa Rzeczypospolitej Krakowskiej. T. I. Str, XIV+565.
Jan St. Bystroń: Przysłowia polskie. Str. 260.
Henryk Barycz: Conclusiones Universitatis Cracoviensis ab a. 1441 ad a. 1589. Str. XXVIII+493.
Gizela Reicher-Thonowa: Ironja Juljusza Słowackiego w świetle badań estetyczno-porównawczych. Str. 216.
Archiwum Komisji do badania historji filozofji w Polsce T. V. Str. 198.
Sprawozdanie z czynności i posiedzeń Polsk. Akademji Um. R. 1932 nr. 9 i 10. R. 1933, nr. 1 i 2.
Bulletin International de l'Academie Polonaise des Sciences et des Lettres. Avril-Juni 1932.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Wilnie:

Sprawozdanie ze stanu i działalności T-stwa Przyjaciół Nauk w Wilnie za rok 1932. Str. 45.

Jadwiga z Wokulskich Piotrowiczowa: Michał Czajkowski jako powieściopisarz. Str. 249.

Jan Oko: Seminarjum filologiczne Godfryda Ernesta Grodka. Str. 92.

Jean Safarewicz: Le Rhotacisme Latin Str. 131.

Jan Otrębski: Le traitement des groupes du type SS. en Sanscrit. Str. 67.

Prace T-stwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Wydział nauk matematycznych i przyrodniczych. Tom VII, r. 1931—1932. Str. 496.

Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego, Toruń.

Ks. Władysław Łęga: Ziemia Malborska. Kultura ludowa, Str. XVI+256, z ilustr.

Bożena Stelmachowska: Rok obrzędowy na Pomorzu. Str. XII+271.

Stan posiadania ziemi na Pomorzu. Zagadnienia historyczne i prawne. Str. 244.

Nakładem księgarni Pierre Téqui, Paris:

Abbé Cl. Grimaud: A celles qui s'en vont solitaires. Non mariées. 3-e wydanie Téqui, Paris 1933. str. 320 in 8^0.

Msgr. Feige: Noblesse oblige. La grâce sanctifiante. 2-e wyd. Paris. Téqui. str. 132 in 16^0.

Clan. H. Morice: La vie mystique de St. Paul. Paris. Téqui. 1933. 2 tomy str. 280 i 264 in 8^0.

Tenże: Vertus saclées de la vie religieuse. 2-e wyd. Paris Téqui 1931. str. 174 in 8^0.

Tenże: Le régime spirituel de la vie religieuse. 2-e wyd, 1931. Paris. Téqui. str. 131 in 8^0.

Tenże: L'ascension d'une âme. Souvenirs d'une Maman. Ywonne. Paris. Téqui 1933 str. 168 in 8^0.

Nakładem różnych.

Ralf Waldo-Emerson: Szkice. Przełożył i komentował Andrzej Tretiak. Przedmowę napisał Artur Górski, Warszawa 1933, Instytut Literacki (Dom Książki Polskiej). Str. 381.

Zofja Reut-Witkowska: Zamek Swarożyca. Saga pomorska. Warszawa 1933, Instytut Literacki (Dom Książki Polskiej). Str. 92.

Dr. Jan Giergielewicz, kpt.: Zarys historji korpusów inżynierów w epoce Stanisława Augusta. Warszawa 1933, Wojskowy Instytut Nauk. — Wyd. Str. XII+212, z ilustr.

Roman Umiastowski: Wśród trujących mgieł. Opowieści o wojnie gazowej, wybrane z pamiętników i dokumentów. Warszawa 1933, Wojskowy Instytut Nauk. — Wyd. Str. VIII+218, z ilustr.

Dr. Friedrich Stegmüller: Zur Gnadenlehre des jungen Suarez. Freiburg im Breisgau 1933, Herder. Str. VIII+54.

Ks. Karol Pękala: Rekolekcje zamknięte szkołą ducha apostolskiego w S. M. P. Poznań 1935, Nacz. Instytut Akcji Kat. Str. 12.

Arcbp. Józef Pizzardo: Dyrektywy dla Akcji Katolickiej. Poznań 1933, tamże. Str. 16.

Wydawnictwa Diecez. Instytutu Akcji Katol. w Łucku, Nr. 1. O pornografji. Nr. 2. Zadania i organizacje Akcji Kat. w parafji. N. 3. Nie bój się spowiedzi. N. 4. Gdzie Piotr tam Kościół. N. 5. Na przełomie wieków. N. 6. Oblicze Akcji Kat. (Str. 22—46). Łuck.

G. Hoornaert S. J.: Le chemin de la Croix. Louvain 1933, Éditions. Rev. Str. 74.

Włodzimierz Bielski: O t o P r u s y! Karty z księgi niedoli ludności polskiej w Prusach Wschodnich. Poznań 1933, Związek Obrony Kresów Zachodnich. Str. 127.

Jan Sobolew. Karanie wychowawcze jako oddziaływanie na duszę w okresie chłopięcym. O istocie, potrzebie i stosowaniu kary cielesnej. Św. Wojciech. Poznań 1933. Wielkie 8⁰ str. 102.

Antoni Szuber.: Walka o przewagę duchową. Kampanja propagandowa Koalicji. 1914—1918. Wojsk. Inst. Nauk. Wydawn. Warszawa str. 191 in 8⁰.

Maciej Wierzbiński: Honor. Powieść T. I. Bibl. Dziennika Pozn. 1933 str. 143 in 8⁰.

Jan Kucharzewski: Od białego caratu do czerwonego. T. VI. Rządy Aleksandra III. Wyd. Kasy Mian. Warszawa 1933 str. 522 in 8⁰.

Jan Kuczyński: Jachtowa praktyka polska. Warsz. 1933. Główna księg. wojsk. str. 322 in 8⁰.

Antoni Heinrich: Budowa kajaków. Warszawa 1933 Główna księg. wojsk. str. 82.

Kard. Bertrand: C l a r i s m e n p r i e s t e r l i c h e r G e s s i n n u n g. Skissen u. Winke f. Tage der Recollectio. Herder 1931. Freib. im B. Str. X i 196 in 8⁰.

Martin Grabmann: G e s c h i c h t e d. k a t h. T h e o l o g i e s e i t d e m A u s g a n g d e r V ä t e r z e i t. Herder 1933. Freib. im B. str. XIV i 568 in 8⁰.

O. Czesław Bogdalski kazn. gen. zak. OO. Bernardynów: B e r n a r d y n i w P o l s c e. 1453—1530. Kraków 1933, 2 tomy in 8⁰ str. 504 i 608.

Kazimierz-Tułacz Wiśniewski: P i e ś n i P o l e g ł y c h. Z rycinami. Wojsk. Inst. Wyd. Warszawa 1933 str. 261 in 8⁰.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Niemcy. — Rozwiązanie Centrum. — Konkordat Stolicy św. z Rzeszą. — Prawo o przymusowej sterylizacji.

Przed trzema zaledwie miesiącami omawiano na łamach *Przeglądu* nową sytuację, w jakiej znalazł się katolicyzm niemiecki po zwycięstwie hitleryzmu. Przedmiotem dyskusji było podówczas stanowisko katolickiej partji Centrum, która z dziwną uległością głosowała za pełnomocnictwami dla Hitlera, wziąwszy uprzednio niezbyt honorowy udział w poczdamskim pogrzebie wejmarskiej konstytucji. W związku z tym nieoczekiwanym aktem nasuwało się pełne troski pytanie: co, wobec przemożnej siły narodowego socjalizmu, zdoła zapewnić katolicyzmowi w Niemczech bezpieczne istnienie i wolność? Czy katolicyzm, zagrożony z jednej strony hitlerowską herezją rasyzmu, z drugiej zaś wydany na łup bezwzględnego „uzgadniania" z polityką rządową, nie stanie wnet u wrót nowej „walki kulturnej" i czy w niej ewentualnie zwycięży?

Od tej chwili kryjącej w sobie tyle niepokojących pytajników, rozwinęły się wypadki w zawrotnem iście tempie. Sytuacja polityczno-religijna w Niemczech uległa gruntownej, prawie dziejowej przemianie, kulminującej w dwóch sprzecznych napozór faktach, mianowicie w rozwiązaniu katolickiej partji Centrum i w zawarciu konkordatu między Stolicą św. a Rzeszą.

Centrum, słynna partja polityczna, która prawie przez trzy czwarte wieku odgrywała w dziejach niemieckiego katolicyzmu tak wybitną rolę, przestała poprostu istnieć. Można się było spodziewać, iż wobec bezwzględnych zasad hitlerowskiego reżimu, katolickie Centrum napotka na wielkie trudności, iż ulegnie może daleko idącym przeobrażeniom; trudno było jednak uwierzyć w dokonany fakt, iż potężna

ta partja, której Niemcom zazdrościł cały szereg katolickich krajów, znikła nagle z areny politycznego życia. Jeszcze bardziej zdumiewającą jest okoliczność, iż ten polityczny zgon czołowej partji nie wywołał w społeczeństwie żadnego poważniejszego wstrząsu, być może dlatego, że nie było krwawej egzekucji, tylko pełne rezygnacji polityczne samobójstwo. Centrum rozwiązało się „własnowolnie". Tem pełniejszym jest triumf hitlerowskiego reżimu.

Mimo wszystko Centrum pozostawia po sobie w dziejach niemieckiego katolicyzmu pełne chwały i zasług wspomnienie. Partja ta, która w swym programie umieściła nieugiętą obronę religijnej wolności i społecznych reform na korzyść klas pracujących, wystąpiła w swym zawiązku na polityczną arenę w króleśtwie Prus po r. 1850. Przetrwała Związek Niemiec Północnych, rozwinęła bujnie swą właściwą działalność w cesarstwie Hohenzollernów (1871—1918), doszła wreszcie do szczytu politycznego znaczenia w niemieckiem państwie, opartem na konstytucji wejmarskiej (1918—1933).

Centrum, stworzone dla obrony katolicyzmu, zagrożonego przez protestancką, konserwatywną prawicę i liberalną, antyklerykalną lewicę — nie było wprawdzie partją w ścisłem tego słowa znaczeniu wyznaniową. Jej program obrony wolności sumienia nie domagał się od zwolenników przynależności do katolicyzmu. Faktem jest, iż wielu katolików niemieckich nie należało do Centrum, faktem jest również, iż należeli do niego także i niekatolicy. Partja starała się utrzymywać na terenie czysto politycznym, a w swej akcji parlamentarnej strzegła swej niezależności od katolickiej hierarchji. Mimo to jednak Centrum posiadało zawsze charakter jawnie katolicki. Nic w tem zresztą niema dziwnego, wszak w swych szeregach grupowało olbrzymią większość polityków i działaczy katolickich. Co więcej, swą dziwną stałość, która opierała się zwycięsko wszelkim zamieszkom moralnym i politycznym, swe stałe poparcie i wzięcie wśród katotolickich wyborców zawdzięczało Centrum przedewszystkiem przychylnej akcji katolickiego kleru. Cały bowiem prawie kler katolicki uczestniczył w Niemczech w życiu politycznem, a doniosłą odgrywał rolę w okresach wyborczych kampanij. Skutkiem tego Centrum, teoretycznie niewyznaniowe, *de facto* miało zawsze charakter wybitnie katolickie, tak w opinji kraju, jak i zagranicy.

Przyznać też trzeba, iż obrona katolicyzmu była zawsze główną troską tej zgranej duchowo partji. To też najpiękniejsze i historycznie najdonioślejsze dni przeżyło Centrum w okresie religijnej walki *Kulturkampfu*. Parlamentarne starcia z Żelaznym Kanclerzem okryły tę partję aureolą

chwały, a nazwiska wodzów tej miary co Windthorst, Mallinckrodt, Reichensperger stały się chlubą całego chrześcijaństwa. Z zaciekłej walki z Bismarckiem wyniosło Centrum wawrzyn zwycięstwa katolicyzmu, wewnętrznie zaś zyskało na sile i sprężystości organizacyjnej.

Po zakończeniu heroicznego okresu walki z Bismarckiem i jego planami kulturalnej reformy, polityczna rola Centrum stała się siłą rzeczy mniej wdzięczną i mniej doniosłą, nie przestała jednak być nawskróś dodatnią i pożyteczną. I tak stopniowo wywalczyła ta partja swą konsekwentną akcją wzmocnienie znaczenia katolicyzmu, tak długo pogrążonego w niełasce, a dla katolickiej mniejszości zdobyła szerszy udział w rządzie i administracji cesarstwa. Za panowania Wilhelma II zdołała również zrealizować pomyślnie część swego programu reform społecznych.

W okresie powojennym, nacechowanym ogólnym chaosem i rewolucyjnemi wstrząsami, Centrum uratowało bezsprzecznie republikańskie Niemcy przed zalewem komunizmu, występując stale jako twórczy czynnik nowego porządku. Sprzymierzywszy się na terenie parlamentu z umiarkowanem skrzydłem socjalnej demokracji, wytworzyło koalicję wejmarską, która nadała Rzeszy nową, postępową konstytucję. Popierając zaś, zgodnie z swym programem, wielkie reformy społeczne, umiało równocześnie Centrum obronić przed swymi socjalistycznymi sprzymierzeńcami religijną wolność, oraz religijną szkołę. W tym też okresie, na podstawie konstytucji, a przy poparciu Centrum, nie wypuszczającego ze swych rąk współudziału w rządach, mogły poszczególne kraje Rzeszy zawrzeć konkordaty ze Stolicą św. Tak doszedł do skutku najpierw konkordat z Bawarją (r. 1924), następnie z Prusami (r. 1929), a wreszcie z Badenją (r. 1932).

Ten okres największego znaczenia politycznego Centrum miał jednak swoje liczne cienie, a pod złudną powłoką świetności, przygotowywała się powoli ostateczna klęska. Już konkordat zawarty z Prusami wykazywał liczne braki, zwłaszcza w doniosłej dziedzinie szkolnej, a to wskutek laicyzmu i ateizmu socjalistów, z którymi Centrum, wskutek fatalnej sytuacji parlamentarnej, musiało niestety politycznie współdziałać. Niemniej przykrym był fakt, iż katoliccy centrowi kanclerze musieli bezsilnie tolerować cały szereg skandalów moralnych, politycznych i społecznych, które wprawdzie radykalnie kłóciły się z ideowym programem partji, na które jednak Centrum nie miało decydującego wpływu, właśnie wskutek swej koalicji z socjal-demokratami. Tymczasem szerokie warstwy katolickie coraz boleśniej odczuwały tę fałszywą sytuację, w której ugrzęzła katolicka partja, a z której nie mogła się już wydobyć.

Równocześnie pod naciskiem ekonomicznego kryzysu i wzrastającego rozgoryczenia publicznej opinji, załamywała się coraz wyraźniej ideologja wejmarskiej konstytucji, ułatwiając tem bardziej nieprawdopodobne sukcesy, jakie w krótkim czasie osiągnął narzucający się mocnemi hasłami, ultranacjonalistyczny hitleryzm. Zdyskredytowanie korupcji i ideowej pustki socjalnej demokracji musiało się fatalnie odbić i na losach jej sprzymierzeńca: katolickiej partji centrowej. W dodatku Centrum nie umiało jakoś ocenić doniosłości gruntownej zmiany, jaka się dokonała w umysłach powojennego niemieckiego pokolenia, odwracającego się z wybuchowym entuzjazmem od parlamentarnej demokracji. Otóż zamiast stanąć na czele nowego ruchu i nadać mu odpowiedni kierunek, Centrum trzymało się rozpaczliwie starych formuł, tracąc tem samem prawie zupełnie kontakt z myślą elity młodych Niemiec. Zwalczając równocześnie wyłaniające się dążności federalistyczne, które mogły zaakcentować autonomję poszczególnych związkowych krajów Rzeszy, przyczyniało się Centrum, może bezwiednie, do zwycięstwa idei radykalnej jedności i centralizacji bezwzględnej, którą w naszych oczach zrealizowała bez reszty rewolucja narodowych socjalistów Hitlera.

W tych warunkach upadek centrowej partji musiał się stać jedynie kwestją czasu. Hitlerowska dyktatura, wyłączna w swej ideologji, nie mogła znieść obok siebie żadnego rywala. Partję komunistyczną i socjalistyczną zniszczył hitleryzm zaraz po przyjściu do władzy żywiołową siłą narodowej reakcji. Konserwatyści i liberali różnych odcieni wstąpili niebawem pod presją w szeregi brunatnych koszul. Do Centrum, skompromitowanego współpracą z socjalistami, zastosowano na samym końcu metodę mieszaną: elementy podatniejsze przyjęto na przeszkolenie do hitlerowskiej aspirantury, resztę skazano na polityczną zagładę.

Już prawie od początku urzędowania Hitlera stosowano do centrowych organizacyj liczne szykany, donosiła o nich coraz to bardziej kneblowana codzienna prasa. Dopiero jednak pierwszego lipca odważył się rząd na krok stanowczy i rozwiązał w Prusiech pomocnice organizacje centrowe, jak *Windthorstbund, Kreuzschar, Sturmschar, Katholischer Jungmänner Verband.* Urzędowy komunikat oznajmił lakonicznie, iż rozwiązano te organizacje dlatego, że wskutek swego antypaństwowego nastawienia uniemożliwiały systematycznie wielkiej części katolików połączenie się z narodowemi Niemcami.

Daleko jednak dotkliwszym, prawie że śmiertelnym ciosem było dla Centrum zlikwidowanie jego prasy. Od pierwszego lipca dotychczasowa prasa centrowa z *Kölnische*

Volkszeitung i *Germania* na czele zerwała swą łączność z partją i przeszła jawnie na stronę narodowego socjalizmu. Było już rzeczą wprost oczywistą, iż partja pozbawiona prasy musi rychło zakończyć anemiczny żywot.

W tym samym też czasie poczęły się mnożyć wypadki indywidualnej dezercji centrowych posłów a nawet całych frakcyj pod znak hitlerowskiej swastyki. Dwudziestego ósmego czerwca hitlerowski minister Dr. Goebbels oświadczył publicznie i z nietajonym już sarkazmem, iż „zdaniem jego najlepszą radą, jakiej może udzielić Centrum jest, by się rozwiązało dobrowolnie, gdyż narodowy socjalizm wie doskonale co jest potrzebne dla katolicyzmu, a co dla narodu. Rozwiązanie Centrum byłoby nawet w tych warunkach prawdziwą przysługą dla Kościoła... u kresu bowiem wszelkich partyj stoi niemieckie jednolite państwo".

Prawie równocześnie rozeszły się pogłoski, iż centrowe prezydjum, względnie były kanclerz Dr. Brüning wszczął oficjalne rokowania z Hitlerem w sprawie rozwiązania centrowej partji. Jedyną prawie trudność w tych pertraktacjach stanowił fakt, iż Hitler, mszcząc się za polityczne zbratanie z socjal-demokratami i za zwalczanie go przez Centrum, nie miał bynajmniej ochoty przyjąć *en bloc* w szeregi swej partji wszystkich dotychczasowych centrowców.

Ale i z tych zastrzeżeń wnet skapitulowało Centrum i w parę dni później, bo już piątego lipca, ogłosiło natychmiastowe rozwiązanie partji w porozumieniu z kanclerzem Rzeszy. W umotywowaniu tego samobójczego wyroku podano jako główną przyczynę fakt, „iż w obecnych warunkach Centrum nie ma już żadnego terenu do partyjno-politycznej pracy. Partja więc daje swym dotychczasowym zwolennikom całkowitą możność współpracy pozytywnej i wolnej od wszelkich zastrzeżeń w odbudowaniu prawno-państwowego porządku". Wzamian za ten akt suwerennej uległości, Centrum spodziewało się uwolnienia wszystkich aresztowanych uprzednio członków partji, z wyjątkiem tych, na których ciążyło podejrzenie o karalne przestępstwa. Z przywileju przyjęcia w szeregi rządzącej partji zrezygnowano potulnie, a byłych posłów centrowych ogłoszono narazie za bezpartyjnych, nie wykluczając jednak nadziei, iż zczasem mogą wysłużyć sobie awans na prawdziwych hitlerowców.

Równocześnie i prawie na tych samych warunkach rozwiązała się również najsilniejsza, siostrzana organizacja *Bayerische Volkspartei*. Centrum przestało istnieć, a w Niemczech zapanowała wyłącznie jedyna partja narodowych socjalistów Hitlera. Partyjną *Gleichschaltung* zrealizowano w stu procentach.

Rozwiązanie katolickiej partji centrowej nie wywołało w Niemczech, jak wspomnieliśmy, większego wrażenia, a fakt ten chyba najlepiej wyjaśnia właściwą genezę upadku Centrum. Bismarck, protestant, musiał się cofnąć przed zwartą opozycją katolickiej mniejszości i walkę swą przegrał; Hitler „katolik" w walce tej bez żadnej trudności zwyciężył. Na wytłumaczenie tego zjawiska jedna tylko istnieje właściwa odpowiedź, iż z Żelaznym Kanclerzem walczył solidarnie cały obóz, natomiast Hitlerowi stawiały opór tylko ideowe niedobitki. Ideologja Hitlera wtargnęła już uprzednio w szeregi centrowe, ultranacjonalizm zyskał wśród katolików licznych zwolenników, hasła narodowej przebudowy Niemiec uśpiły obawy i zastrzeżenia, jakie musiała budzić nowoczesna herezja rasyzmu. — Już przed wojną wybitny katolik i bardzo wybitny historyk francuski, Georges Goyau, oceniając politykę Centrum wskazywał na wyraźne jej odchylenie od dawnego ideału. Odchylenie to w czasach powojennych wzrosło a za dni triumfalnego pochodu Hitlera doszło do zenitu. Może więc bez obawy przesady trzeba powiedzieć, iż zewnętrzne rozwiązanie Centrum było już tylko naturalnem następstwem wewnętrznego osłabienia i załamania się centrowej ideologji.

Faktem pozostanie, iż hitlerowski huragan odwrócił obszerną kartę historji katolicyzmu w Niemczech zapisaną prawie po brzegi bohaterskiemi wysiłkami Centrum. Końcowy refren tych dziejów przemawia raczej melancholją złamanych nadziei. Niemiecki katolicyzm rozpoczyna nowy okres, a na świeżej, białej jeszcze karcie widnieje u samej góry tekst nowego konkordatu.

Konkordat, obejmujący 32 artykuły i szereg prawnych dodatków, a regulujący całokształt zagadnień kościelnych w Rzeszy został zawarty! (Parafowany ósmego, podpisany dwudziestego lipca). Fakt ten zaskoczył opinję całego świata, tak ze względu na szybkie sfinalizowanie rokowań, jak i ze względu na swą historyczną doniosłość. To, na co katolickie Niemcy czekały od pięciu wieków, stało się rzeczywistością za kanclerstwa Adolfa Hitlera. W jego bowiem imieniu podpisał konkordat wicekanclerz Franciszek von Pappen, zaś z ramienia Stolicy Apostolskiej działał były nuncjusz w Berlinie, obecnie sekretarz stanu, J. E. Kard. Eugenjusz Pacelli.

Nic więc dziwnego, iż przy rozważaniu tego dziejowego wydarzenia na pierwszy plan wysuwa się uderzający sukces rządu „trzeciego cesarstwa". Rząd Hitlera, pomimo swego krótkiego istnienia, pomimo rewolucyjnych zapędów i licznych z rewolucją związanych brutalnych nadużyć... został przez najwyższą powagę moralną uznany za legalnego partnera w tak doniosłych rokowaniach, od których zawisły

przyszłe losy katolicyzmu w Niemczech. Dyktator włoski czekał sześć lat na ukoronowanie swego dzieła układem lateraneńskim. Hitler osiągnął pomyślne wyniki już w ciągu pięciu miesięcy. Atut ten usiłowały nawet wyzyskać niektóre czynniki w tym sensie, jakoby konkordat stanowił jawną aprobatę papieską dla hitlerowskiej ideologji.

Przeciw tej jednak podstępnej insynuacji zareagował stanowczo watykański organ *Osservatore Romano*, podkreślając z naciskiem, iż Stolica św. przy zawieraniu konkordatów rokuje z danem państwem wyłącznie pod kątem widzenia praw i wolności Kościoła, natomiast ustrój państwowy jest sprawą wewnętrzną każdego narodu, którą — byleby tylko prawa Boże i kościelne były zachowane — może każdy naród dostosować do wymagań i potrzeb swojego kraju. Kościół zawiera konkordaty nie dla uznania tej czy innej formy rządzenia, ale wyłącznie celem sprawiedliwego uregulowania wzajemnych stosunków władzy świeckiej i kościelnej w państwie.

Mimo tego zasadniczego zastrzeżenia, zawarcie konkordatu jednolitego dla Rzeszy, jest dla hitlerowskiego reżimu bezsprzecznie wielkim sukcesem, a równocześnie silną pomocą w dalszej przebudowie państwa w myśl naczelnej idei bezkompromisowego „uzgadniania". Dotyczy to w pierwszym rzędzie politycznego stanowika kleru. W końcowym bowiem, 32-gim artykule konkordatu postanowiono, iż ze względu na specjalne, w Niemczech istniejące warunki, oraz wskutek prawnego zabezpieczenia przez konkordat wolności i praw Kościoła katolickiego w Rzeszy i jej krajach — Stolica św. wydaje polecenia, które wykluczą udział duchowieństwa i zakonników w politycznych partjach, oraz działalność na rzecz tych partyj.

W tem postanowieniu konkordatu dopatrywano się pozytywnego udziału Stolicy św. w rozwiązaniu Centrum. Wniosek jest jednak niesłuszny. Centrum bowiem zostało rozwiązane już przed zawarciem konkordatu. Dalej można wątpić, czyby papież mógł i czyby chciał rozwiązać partję polityczną, która przecież nietylko nie była żadnem bractwem kościelnem, ale wogóle nie miała oficjalnie charakteru wyznaniowego? Wreszcie jest rzeczą pewną, iż choćby nawet konkordat nie został zawarty, Centrum musiałoby zniknąć z areny politycznego życia wskutek zewnętrznych oraz wewnętrznych warunków, które naszkicowaliśmy wyżej. Zato zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, iż wspomniany artykuł konkordatu radykalnie uniemożliwia na przyszłość odrodzenie partji centrowej w tej formie, w której działała przez trzy czwarte wieku. Klerowi niemieckiemu nie wolno odtąd brać czynnego udziału w walkach wyborczych i par-

lamentarnych. Otóż właśnie w olbrzymim procencie Centrum zawdzięczało swój byt i swój rozwój właśnie czynnemu poparciu duchowieństwa w politycznej, a zwłaszcza w wyborczej akcji.

Jeśli Pius XI zdecydował się na usunięcie niemieckiego kleru świeckiego i zakonnego od twórczej polityki, to powodował się w swem doniosłem posunięciu nietylko chęcią uniknięcia ciężkich konfliktów z hitlerowską dyktaturą, ale raczej pragnął zastosować kanoniczną zasadę, o której pełne wykonanie stara się usilnie także i w innych krajach bez względu na polityczną sytuację. Jak bowiem z jednej strony Pius XI bezwzględnie broni Katolickiej Akcji na wszelkich terenach religijnego apostolstwa, tak z drugiej strony, kierując się troską o duchowne zbudowanie i kościelną dyscyplinę, pragnie niemniej bezwzględnie utrzymać kler, tak świecki jak i zakonny, zdala od wszelkiej partyjnej działalności politycznej, tak wyborczej jak i parlamentarnej. Chodzi więc o zasadę ogólną, która nie robi różnic między żadnemi politycznemi partjami, a zasadzie tej trzeba bezwarunkowo przyznać głęboką i przewidującą mądrość. Kler rozdarty politycznem partyjnictwem nie jest zdolny w współczesnych warunkach do wypełnienia swej najwznioślejszej duchowej misji.

Zasadę tę zastosował obecny konkordat w Rzeszy, opierając się na fakcie, iż całokształt zawartego układu zabezpiecza dostatecznie Kościołowi w publicznem życiu i wolność i prawa. Zresztą, jak zaznaczył *Osservatore Romano,* artykuł 32-gi nie zakazuje bynajmniej kapłanom spełniania obowiązków posła, nakazuje jedynie trzymać się poza ramami jakiejkolwiek parlamentarnej partji. W warunkach jednak obecnych zastrzeżenie to wydać się musi w Niemczech zupełnie fikcyjnem.

Niemniej znamiennem jest postanowienie, zawarte w 16-tym artykule konkordatu, mocą którego „biskupi, przed objęciem rządów diecezji, mają składać w ręce najwyższej władzy państwowej (prezydenta Rzeszy, względnie namiestnika kraju), następującą przysięgę: „Przed Bogiem na święte Ewangelje przysięgam i obiecuję, tak jak to przystoi biskupowi, wierność niemieckiemu państwu i krajowi.... Przysięgam i obiecuję, iż szanować będę konstytucyjnie utworzony rząd, i że sprawię, by szanowało go moje duchowieństwo. W obowiązkowej trosce o dobro i interes niemieckiego państwa starać się będę, by w spełnianiu zleconego mi duchownego urzędu, ustrzec je od wszelkiej szkody, któraby mu mogła zagrażać."

Z tekstu przysięgi wynika, iż obejmuje ona nietylko wierność dla państwa, ale i poszanowanie dla rządu, zupeł-

nie zresztą podobnie, jak przysięga zawarta w konkordacie polskim. W chwili obecnej poszanowanie to dotyczy w Niemczech rządu A. Hitlera i dlatego brzmienie przysięgi mogłoby w praktyce nasuwać pewne wątpliwości. Wyklucza je jednak klauzula: „jak to przystoi biskupowi". Niema więc mowy o jakiejś hitlerowskiej inwestyturze. Biskup, jakkolwiek obywatel i jako taki podległy zwierzchności świeckiej w świeckich sprawach, jest jednak jednocześnie księciem Kościoła, następcą apostołów, jest przedstawicielem władzy, której źródłem sam Bóg, a która wznosi się ponad wszelką władzę ziemską. Wierność, „która przystoi biskupowi", godzi się całkowicie z postawą Ambrożego wobec Teodozjusza i Ledóchowskiego wobec Bismarcka. Wierność i poszanowanie, „jakie przystoi biskupowi", to niekoniecznie służalczość i cechowana pochlebczą słabością uległość we wszystkiem, ale pełne godności poczucie odpowiedzialności przed Bogiem i społeczeństwem, które nie zawaha się wybuchnąć nawet płomieniem protestu z chwilą, gdy chodzić będzie o naruszenie nieśmiertelnych praw sumienia, o dobro powierzonych dusz i wolność Kościoła. Biskup dochowuje swej przysięgi także i wówczas, gdy w trosce o dobro państwa stawia nieustraszenie przed oczy możnym tego świata prawa Boże, z któremi wszelka władza ziemska, choćby i najwyższa, liczyć się absolutnie musi. Jeśli biskup dochowuje wierności państwu i szanuje swój prawowity rząd „tak jak biskupowi przystoi", jeśli władza państwowa ze swej strony darzy biskupa czcią i poszanowaniem, „jakie biskupowi przystoi", wówczas tak biskupi jak i ich duchowieństwo mogą łatwo i zgodnie budzić i utrwalać wśród wiernego ludu poczucie obowiązków państwowo-obywatelskich.

Dopiero w świetle tej zasady, od której żaden konkordat nie odstąpił, ani odstąpić nie może, nabiera pełnej mocy postanowienie protokółu końcowego, objaśniające wspomniany wyżej artykuł 32-gi, mianowicie, iż usunięcie niemieckiego duchowieństwa od czynnej polityki partyjnej „żadną miarą nie oznacza ograniczenia obowiązkowego głoszenia i wyjaśniania dogmatycznych i moralnych zasad Kościoła".

Tę zresztą pełnię wolności zabezpiecza dla Kościoła w Rzeszy cała treść konkordatu.

I tak art. 1 uznaje wolność katolickiej religji, pozwala Kościołowi rządzić się własnemi prawami w granicach ogólnego prawodawstwa niemieckiego. Art. 2 poręcza całość poprzednio zawartych konkordatów z poszczególnemi krajami (Bawarja, Prusy, Badenja), zaś obecny konkordat ma być ich uzupełnieniem. W artykułach następnych, od 3 do 13-go, zabezpieczono swobodny wpływ Stolicy św. na kościelną organizację w Niemczech, oraz zapewniono duchowieństwu

opiekę i swobodę w urzędowaniu. Art. 14 zastrzega osobowość prawną dla kościelnych organizacyj, a art. 15 gwarantuje wolność zakonów i kongregacyj zakonnych, z drobnemi tylko ograniczeniami. Art. 17 i 18 zapewnia opiekę nad własnością Kościoła i przewiduje przyjazne załatwienie kwestji państwowego uposażenia dla duchowieństwa. Art. 19 i 20 poręcza zachowanie katolickich fakultetów teologicznych i prawo utrzymywania seminarjów duchownych.

W art. 21 uznano naukę religji za obowiązkową we wszystkich szkołach powszechnych, zawodowych i średnich. Władza kościelna posiada w porozumieniu z władzami szkolnemi prawo kontroli nad nauczaniem religji. W art. 22 załatwiono pomyślnie kwestję kwalifikacyj koniecznych dla nauczycieli religji. Art. 23, 24 i 25 gwarantują zachowanie istniejących i otwieranie nowych katolickich szkół wyznaniowych a także zakonnych i zabezpieczają odpowiedni dobór nauczycieli dla tychże zakładów.

Art. 26 dotyczy prawa małżeńskiego i przewiduje późniejsze uzgodnienie tych kwestyj; narazie zezwala na udzielanie w pewnych określonych wypadkach ślubu kościelnego przed załatwieniem formalności ślubnej w urzędzie cywilnym.

Art. 27 omawia organizację kościelną w armji pod jurysdykcją biskupa polowego. Art. 28 pozwala na opiekę duchowną w szpitalach, w więzieniach i innych zakładach publicznych.

Art. 29 gwarantuje mniejszościom narodowym, na zasadzie wzajemności państw, uwzględnianie ojczystego języka w nabożeństwach, w nauce religji i kościelnych organizacjach. Musimy podkreślić, iż lojalne wypełnienie tego artykułu przez rząd Rzeszy usunęłoby liczne krzywdy, jakich w tym względzie doznawała dotychczas mniejszość polska w Niemczech. W każdym razie interwencja Stolicy św. w sprawiedliwem uregulowaniu tego piekącego zagadnienia jest na podstawie konkordatu prawnie zapewniona.

Art. 30 przepisuje modlitwę kościelną o pomyślność państwa i narodu niemieckiego.

Wreszcie przedostatni artykuł 31 zapewnia całkowitą wolność istnienia i działania dla wszystkich bezpartyjnych, czysto kościelnych organizacyj. Ustalenie listy tych organizacyj zastrzeżono porozumieniu między Rządem a episkopatem. Nie ulega żadnej wątpliwości, iż w rzeczonym artykule chodziło Stolicy św. przedewszystkiem o zapewnienie swobodnego rozwoju dla Katolickiej Akcji w Niemczech. W tym sensie artykuł ostatni, 32, wykluczający kler z polityki, jest indemnizacją za tę wolność dla apostolskiej, religijnej, kulturalnej i charytatywnej akcji Kościoła. Można więc słusznie przypuszczać, iż przed Katolicką Akcją w Niem-

czech otwierają się nowe i szerokie horyzoty. Jeśli całą tę pracę, organizacyjną karność, doświadczenie i poświęcenie wodzów, zasoby materjalne — które składano dotychczas ofiarnie dla celów politycznej partji centrowej, włoży się obecnie w ramy Katolickiej Akcji to rozkwit jej może się stać równocześnie wspaniałym rozwojem katolicyzmu w Niemczech.

To też rozważając całokształt konkordatu, zawartego między Stolicą św. a Rzeszą, trzeba go uznać za zjawisko nawskróś dodatnie. Nowy ten konkordat oznacza bowiem bezwątpienia zdecydowany odwrót od tak popularnej w liberalnych i zlaicyzowanych kołach zasady rozdziału Kościoła od państwa. Nie o rozdział chodzi, ale o szczerą i lojalną współpracę, z której wyniknąć musi dobro tak państwa jak i Kościoła. Konkordat niniejszy, zawarty z państwem w znacznej większości swych obywateli protestanckiem i liberalnem a w tylu swych myślicielach i politykach Kościołowi wrogiem, trzeba uznać za prawdziwy sukces Kościoła i jego wodza Piusa XI.

Przyznać również trzeba, iż konkordat ten mógł dojść pomyślnie do skutku tylko dzięki faktowi, iż na czele rządu Rzeszy stanęli mimo wszystko katolicy: Hitler i von Pappen, oparci o olbrzymi, jednolity obóz. Kanclerz Rzeszy powiedział w swej wielkiej mowie w Reichstagu 23 marca b. r., iż narodowy rząd „widzi w chrystjanizmie niewzruszalne podstawy obyczajowego i moralnego życia niemieckiego narodu" i dlatego przyrzekł, iż „największą wartość przykłada do tego, by przyjazne stosunki ze Stolicą św. nadal utrzymać, oraz rozwinąć". Zawarcie konkordatu dowodzi, iż nie chodziło w tym wypadku o pusty retoryczny frazes. Nic więc dziwnego, iż przewodniczący konferencji niemieckiego episkopatu J. E. Kard. Bertram przesłał Hitlerowi 22 lipca następujące pismo, które można uważać za wyraz uczuć katolików w Niemczech. „Wyrażenie uznania i podziękowanie w imieniu zebranych na konferencji w Fuldzie pasterzy, z okazji zawarcia konkordatu, jest celem tego pisma. Episkopat wszystkich diecezyj w Niemczech — skoro tylko, po nowem ukształtowaniu się politycznych warunków, oświadczenia W. Ekscelencji to umożliwiły, — wyraził natychmiast szczerą i radosną gotowość, by według mocy współpracować z stojącym obecnie na czele rządem, który za przewodnią gwiazdę swego działania obrał sobie zwalczanie bezbożnictwa i niemoralności, oraz ofiarność dla wspólnego dobra i ochrony praw Kościoła. Że harmonijna współpraca Kościoła i państwa dla osiągnięcia tych wzniosłych celów znalazła w konkordacie Rzeszy uroczysty swój wyraz i mocne a jasne linje wytyczne, to specjalnie zawdzięczać należy, obok mądrości Stolicy św., szerokiemu spojrzeniu oraz ener-

gji rządu Rzeszy. Z głębokiem i serdecznem podziękowaniem za szybkie urzeczywistnienie tego zjednoczenia najwyższych władz łączy episkopat gorące życzenia, by także w jego wykonaniu i wypracowaniu mogło panować serdeczne i szczere porozumienie, aby Kościół tem łatwiej mógł rozwinąć te wielkie siły naszej świętej religji dla pogłębienia wiary, moralności, wiernego posłuszeństwa względem rządzących powag, dla dobra narodu i państwa".

Że dobrej woli i rzetelnego wysiłku w wykonaniu zawartego konkordatu nie braknie ze strony Stolicy św. i niemieckich katolików w to nie wątpimy na chwilę. Czy jednak również rząd narodowego socjalizmu wniknie rzetelnie i lojalnie w literę i w ducha konkordatu, okaże — dopiero przyszłość.

Narazie musimy tylko zauważyć, iż na rozpogodzonem po przejściowych burzach horyzoncie jawią się już nowe chmury. Oto bowiem po zawarciu konkordatu, ogłosił narodowo-socjalistyczny rząd nowe prawo, które uważa za jedno z najważniejszych, jakie dotychczas wogóle wydał, a które niestety radykalnie kłóci się z zasadami katolickiej etyki, a tem samem sprzeciwia się duchowi zawartego konkordatu.

Mamy na myśli ogłoszone 26 lipca prawo o ochronie przed dziedzicznie chorem potomstwem. W myśl tego prawa każdy dziedzicznie chory może być przez chirurgiczny zabieg przymusowo pozbawiony zdolności posiadania potomstwa, o ile tylko, na podstawie doświadczenia wiedzy lekarskiej, z wielkiem prawdopodobieństwem można się spodziewać, iż potomstwo to byłoby obarczone ciężkiemi fizycznemi lub duchowemi skażeniami. Za choroby dziedziczne uznano w myśl tego prawa wrodzony niedorozwój umysłowy, schizofrenję, cyrkularną psychozę (manjakalno - depresyjną), dziedziczną padaczkę, dziedziczną pląsawicę, dziedziczną ślepotę i głuchotę, ciężkie dziedziczne zniekształcenie cielesne, oraz ciężki alkoholizm chroniczny. W tych wszystkich wypadkach (a także bezwątpienia w świecie przestępców) stosować się będzie od 1 stycznia 1934 r. ustawę o przymusowej sterylizacji. W kwestji tej decydują sądy większością głosów; wyznaczono też specjalne sądy apelacyjne, t. zw. *Erbgesundheits-Obergerichte*, jako ostatnią instancję. Zabiegów sterylizacyjnych, nawet przy użyciu siły, dokonywać będą wyznaczeni przez władzę lekarze w przeznaczonych na ten cel szpitalach. Koszta przewodu sądowego pokrywać będzie skarb państwa, a koszta lekarskiego zabiegu Kasa Chorych.

Zbytecznem byłoby dodawać, iż prawo to z punktu widzenia katolickiej etyki jest niemoralne; zresztą potępiają je również liczne i wielkie powagi świata lekarskiego. W każdym razie dla sędziów i lekarzy katolików zaistniał w Niemczech

nowy, przykry problem, którym się będzie musiał zająć autorytatywnie episkopat.

Wydane prawo sterylizacyjne jest oczywiście nowym tylko przejawem herezji rasyzmu, która opanowała umysły narodowych socjalistów. W obłędnej tej ideologji tkwi również źródło innych możliwych konfliktów z nauką Kościoła.

Na terenie parlamentu Rzeszy stracił niemiecki katolicyzm swego doświadczonego i zahartowanego w bojach obrońcę: katolickie Centrum; jego miejsce zajął obecnie konkordat, a sprawa której broni jest silniejszą od ludzi, opiera się bowiem na nieśmiertelnem prawie. Dlatego bezwątpienia dla katolicyzmu w Niemczech wyłonią się nowe formy życia i działania, w których prawo to zwycięży.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

„Cicerone" wielkiego zjazdu.

(Halecki Oscar: *La Pologne de 963 à 1914.* Essai de synthése historique. Préface de M. Alfred Coville, membrie de l'Institut. Paris, Alcan, 1933, str. XV i 343)

W zajmujący, jak zawsze, sposób, skreślił Oskar Halecki w feljetonie jednego z ostatnich *Kurjerów Warszawskich* [1]) perypetje wielkich międzynarodowych kongresów historycznych, z których siódmy odbywać się będzie w obu stolicach królewskich dawnej Polski w chwili, gdy wywody niniejsze wychodzić będą z warsztatu wydawniczego. Zjedzie do Warszawy i Krakowa zapewne około czterystu historyków obcych; na posiedzeniach plenarnych, na zebraniach piętnastu sekcyj i na innych jeszcze konwentyklach specjalistów, wypowiedzą się ci obcy goście wraz z naszymi uczonymi, nie zbraknie zaś tu wśród „gwiazdorów" Klijony postaci takich, jak Francuz Karol Diehl, autor świetnych monografij o Bizancjum i Wenecji; jak Belg Henryk Pirenno, który omówi na kongresie zagadnienie zasadnicze początku średniowiecza, problem wiązany przez tego znawcę kultury z inwazją arabską; jak dalej Mikołaj Jorga, najwszechstronniejszy symbol młodej kultury rumuńskiej i jak obaj wreszcie wiceprezesi międzynarodowego komitetu, organizującego te zjazdy: wiedeńczyk Alfons Dopsch, historyk kultury gospodarczej, a zarazem antagonista stanowczy materjalizmu dziejowego (którego czołowym na kongresie wyrazicielem stanie się znów zapewne bolszewik Łunaczarski) oraz nestor naszej historjografji, czcigodny Bronisław Dębiński, który rzuci na „ekran" kongresowy dobrze sobie znaną sylwetę

[1]) 6 sierpnia b. r.: „W przededniu Kongresu historycznego w Warszawie".

twórcy cymelij architektonicznych Warszawy, a zatem ram zewnętrznych Kongresu, Stanisława-Augusta.

Oskar Halecki należy do historyków-uczestników VII-go warszawskiego kongresu nauk historycznych, którzy, jeżeli nie stali „nad kolebką" tej współpracy intelektualnej (był za młody, aby uczestniczyć w zjazdach przedwojennych, odbytych w Rzymie, Paryżu, Berlinie i Londynie), to przynajmniej wybili się na czoło powojennych piastunów tej idei. Niedawny doktor *Almae Matris Jagellonicae*, świeży profesor uniwersytetu warszawskiego, wziął on wszakże udział, o ile nam wiadomo, w pierwszym już powojennym kongresie w Brukseli 1923 roku, a w każdym razie, wszedł z ramienia Polski, w skład utworzonego na tymże kongresie *Comité international des sciences historiques*.

Wybór był tym razem trafny, śmiem bowiem twierdzić, że, od Lelewela i Klaczki, żaden bodaj historyk polski nie czuje się tak swojo czyto w Paryżu czy w Rzymie, w gronie szwajcarskich czy angielskich historyków. Twierdzenie to pozwolę sobie poprzeć osobistem wspomnieniem z przed lat trzech, kiedy mianowicie na pewnym zjeździe naukowym we Fryburgu, w którym także uczestniczyć miałem sposobność, zasiadały naprzeciwko siebie dwie ekipy uczonych, ani w ząb nie mogących porozumieć się ze sobą z braku wzajemnej znajomości języka strony drugiej, tu za wspólną zgodą powołano Haleckiego na tłumacza. Trzeba było wtedy słuchać, jak nasz świetny lingwista naciskał na językowej swej tabulaturze naprzemian klawisze francuskie i niemieckie, a że tam dodał w konkluzji, ponad wersję rozmowców, lekką wzmiankę o Polsce, która nie wypływała sama ze siebie ze zdań wymiany, będzie mu przebaczono!

Uczeń ten bowiem znakomitego *Schoffengymnasium* w Wiedniu, świetny dzięki temu humanista-filolog, różnolitym pierwiastkom etnicznym w swojej genealogji zawdzięcza może wyróżniający go talent i takt dyplomatyczny obok tej zręczności w użyciu języków obcych, która sprawia, że po francusku mówi i pisze jak Francuz, a po niemiecku jak Niemiec.

Dobrze się więc stało, że Halecki, nie zaś kto inny, służyć będzie teraz rzeszy europejskich swoich kolegów jako *cicerone* zjazdowy w zakresie historji polskiej.[1]) Dobrze się też stało, że znalazł on czas — pośród ustawicznych zjazdów i posiedzeń — na skreślenie i wydanie żywego, strawnego i poprawną nad zwyczaj nasz francuszczyzną napisanego podręcznika dziejów naszych, od brzasku pierwszej aż po brzask drugiej niepodległości.

Kolegę-mediewistę wprowadza w przedmowie, zwyczajem francuskim, mediewista także Coville, członek Instytutu, który na

[1]) *Nomina sunt odiosa*, ale w tym samym zbiorze Alcan'a wyszło niedawno dzieło innego uczonego polskiego, zredagowane w kompromitującej wprost francuszczyźnie.

zjazd warszawski zgłosił referat właśnie z okresu dobrze znanego Haleckiemu, a mianowicie referować chce uczony ten francuski w Warszawie o wielkiej zarazie, jaka nawiedziła Europę w latach 1340—50, a której wybuch — mówiąc nawiasem — Kromer nasz przypisuje karze za grzechy ulubionego Haleckiemu monarchy, Kazimierza Wielkiego.

„Powrót do wieków średnich" — Halecki niezbyt dawno zdobył się na piękną „dygresję" do epoki Zygmuntowskiej [1]) — wypełnia w książce Haleckiego około dziesięć rozdziałów. Zarówno Coville, jak i Halecki, szkicują odrazu trudności przemożne, jakie miała do zwalczenia „młodsza" od innych zachodnich narodów Polska w tysiącletnim już blisko, cywilizacyjnym swoim pochodzie. Wszak trzy daty wstępne: 962, 963, 966, to dla Polski data okrzepnięcia jej najgroźniejszego sąsiada i antagonisty (cesarstwa niemieckiego Ottonów), dalej data pierwszego konfliktu z Niemcami — *Ostmarkenritt*'u hrabiego Wichmana, w kilka zaś lat potem reakcji tych dwóch faktów logicznej i naturalnej: apelu w stronę chrześcijańskiego już Hradczyna.

„Ten pogląd syntetyczny historyka dziwnię... bezstronnego — pisze na cytowanem przez nas miejscu Coville o Haleckim, — jest najznaczniejszem a najmocniejszem zarazem *plaidoyer* na korzyść Polski współczesnej..." I istotnie, kiedy autor nasz opisuje *ad usum delphini* boje Bolesławów o Pomorze, to nie omieszkuje podkreślić zaraz dyskretnie, dla uwydatnienia wagi tej ziemi dla dawnego Królestwa, że Pomorzanie — ze wszystkich starych plemion słowiańskich — to najbliżsi etnicznie pobratymcy Polan, że już stary dokument Mieszka I, *(Dagome iudex et Ote senatrix)* stwierdza, że Polska ówczesna sięgała po „długie morze", że zwierzchnictwo nad krajem tym nadmorskim — jakgdyby klejnot z bursztynu na czepcu wielkoksiążęcym — stanowiło prawnie atrybut władzy wielkich książąt krakowskich.

Jest wszakże w Haleckim obok propagatora polskości również i zelota katolicki. Mówiąc o Mieszku, uwydatnia on oczywiście rolę Dąbrówki; mówiąc o Chrobrym, zaznacza, co zawdzięczał król św. Wojciechowi. Ale, ponad temi faktami bardziej znanemi, mnoży autor nasz inne dowody polskiej „propagandy chrześcijańskiej, propagandy zarazem na rzecz cywilizacji łacińskiej", a organizowanej przez kraj, który sam co dopiero został nawrócony.

W tem oświetleniu specjalnego kolorytu nabierają misje Wojciecha u Gdańszczan i u Prusaków, Brunona u Pieczyngów, Ottona z Bamberga na Pomorzu. W tem oświetleniu tłumaczy się też niejeden fakt dodatni i ujemny z naszych dziejów: zarówno interwencja sfer kościelnych na rzecz przywrócenia wpływów polskich na Rusi, jak i rozterka wewnętrzna w okresie reakcji pogańskiej

[1]) „Polska w epoce Jagiellonów" (wyd. Trzaski).

Masława. Odrodzenie religijne, które towarzyszy rządom „Odnowiciela", legaci papiescy, którzy patronują krucjatom pomorskim „Krzywoustego", legenda wreszcie, związana z kultem krakowskim św. Stanisława, która przygotowuje przez blisko trzy stulecia, od Kadłubka do Łokietka, zjednoczenie rozdartego na dzielnice Królestwa, to wszystko symptomaty, które pilnie notuje i wyróżnia badacz katolicki.

Pierwsza połowa wieku XIII-go uchodzi słusznie za punkt kulminacyjny wpływów Papiestwa w Europie. Stolica św. jakżeż często gra wtedy rolę arbitra, głosząc *Treuga Dei* lub interdyktem obkładając jej opornych. Halecki, pacyfista, zwolennik — *faute de mieux* — Ligi Narodów, z pewnością lepiej czułby się w Rzymie Innocentego III, niż w Genewie Wilsona.

Wie bowiem, i daje w swej propagandzie wyraz temu, że Polska — od zarania niemal dziejów swoich — orjentowała się ku Rzymowi i że jej władcy: Leszek jak niegdyś Mieszek, jego praszczur, oddawali kraj swój w opiekę bezpośrednią Namiestnika Chrystusowego; wie dalej Halecki, że ci ówcześni jej książęta i zwierzchnicy duchowni, jakkolwiek brzmiało ich imię: Leszek krakowski wespół z prymasem gnieźnieńskim Kietliczem, Henryk II Śląski, wsparty za impulsem świątobliwej matki również o autorytet duchowieństwa, Łokietek wreszcie, skojarzony w akcji swej odrodzeńczej z arcybiskupem Jakóbem Świnką, z Rzymu wielkich papieży ówczesnych: Innocentych, Bonifacych, jak niegdyś Grzegorzów, czerpali najwyższą sankcję swojego znaczenia. Dodaćby można do pocztu tych pionierów w koronach, kołpakach wielkoksiążęcych i mitrach biskupich równoległy jeno poczet matron znakomitych — od Dąbrówki czeskiej po Jadwigę węgierską — Judyt, Agnieszek, King czy Jadwig śląskich, które torowały przy boku tamtych mężów szlaki dziejowe polskiemu posłannictwu Krzyża.

Dochodzimy tak do Kazimierza Wielkiego. Zastanawiałem się nieraz, studjując np. „Historję polityczną Akademji", czy Halecki nie przecenia ulubionego swojego króla, czy, pisząc o nim i dzisiaj, że „pozostał on dla narodu polskiego ideałem władcy", nie ulega, śladem ostatniego wieszcza

> („Wielkości, komu nazwę twą przydano,
> ten dziwnych sił odżywia w sobie moce...")

mirażowi tej nomenklatury dziejowej, która do Panteonu stuleci obok Konstantynów wprowadziła również i Fryderyków. Wszak Kazimierz, to monarcha, który zrzekł się *de facto* Śląska i Pomorza, wszak to pacyfista. organizujący zamiast wypraw coraz to nowe kongresy, konferencje, kolokwja, wszak to książę o renesansowym już zakroju, niezbyt w dodatku budujący w życiu prywatnem: ani ten pierwotny rycerz typu „Łokietka", ani tak dostojny moralnie sensat jak później „Stary", raczej zaś wy-

kwit i przekwit swojej epoki, jak Zygmunt-August. Tak! Ale w późnym tym Piaście fascynuje Haleckiego przedewszystkiem co innego: Europejczykowi, jakim jest autor *La Pologne*... z krwi i rutyny, imponuje zwłaszcza rozmach niebywały ledwo spojonej nanowo monarchji polskiej. „Chcąc wykazać rozległość jego stosunków — pisze, nie szczędząc królowi lirycznych niemal akcentów — wystarczy podkreślić, że za jego rządów ambasady polskie dążyły niemal bez przerwy jedna, po drugiej, do Awinjonu, że Kazimierz posłał papieżowi posiłki w czasie wojen włoskich, że był sprzymierzeńcem duńskiego Waldemara Atterdaga, że wespół z królami skandynawskimi dał się mianować protektorem arcybiskupów ryskich, że interwenjował nareszcie w sprawach młodego księstwa mołdawskiego. Nic wszakże nie udowadnia lepiej zmiany zaszłej w położeniu międzynarodowem Polski za... „Wielkiego", jak kongres polityczny, zbierający się w Krakowie, ku końcowi panowania, we wrześniu 1364, ten „nader wielki parlament", opisywany z emfazą przez współczesnego Kazimierzowi poetę francuskiego Wilhelma de Machault.

Dla historyka unji jagiellońskiej przedstawia nadto 30-toprzeszło-letnie panowanie Kazimierza, którego jubileusz obchodzimy właśnie w roku bieżącym, okres wstępny rozwoju idei federacyjnej, ramion Polski prężących się już w stronę Lwowa i Wilna, marszu na wschód z obyczajem polskim i wiarą łacińską. I znowu — jak nie omieszkuje podkreślić badacz katolicki — najbliższymi, najwpływowszymi pomocnikami króla w jego wysiłkach są dwaj duchowni: Jarosław Bogorja i Jan Suchywilk a zatem i w tej epoce Polska pozostaje sobie wierna.

Semper fidelis pozostaje też w epoce jagiellońskiej. Potomkini Kapetyngów, co u stóp krucyfiksu wawelskiego wyrzekła się była narzeczonego, otwiera ten nowy pochód jej królów. Jagiełło, niedawny poganin, w akcie horodelskim, wznosi się na wyżyny mistyki niemal państwotwórczej, na kongresie zaś łuckim dosięga niewidzianych w Polsce od czasów Kazimierza szczytów politycznej potęgi. Warneńczyk, młodzian ten marzycielski, jakim go nam maluje świeżo zbadana księga jego oksfordska, inauguruje hufiec cierpiętników zbrojnych za Polskę na Wschodzie: Żółkiewskich, Kuncewiczów, Bobolów, Marków Sobieskich. Jagiellończyk drugi — odzyskuje Pomorze na Krzyżakach, którzy niebawem zabarwią się plamą infekcji heretyckiej, śle Kazimierza świętego przeciwko Husytom, inną sekundogeniturę osadza w Budzie, zagrożonej przez Turków. „Stary" — po kongresie krakowskim Kazimierza i łuckim Jagiełły — okrywa dom swój i Polskę nowym blaskiem na „pierwszym kongresie wiedeńskim", podczas którego król, statyści i prałaci olśniewają cudzoziemców humanistyczną swoją swadą i kulturą. Ostatni wreszcie Jagiellon gruntuje w unji lubelskiej tezę przewodnią swojego rodu, a, choć chwiejny czasem i wrażliwy na prądy wieku, nie stanowi wszakże negacji podstawowej tendencji jagiellońskiej

— od Jadwigi przez „Warneńczyka" do „Starego" — tendencji *naturaliter christianae.*

Taką to galerję — jak z „Grunwaldu" czy „Hołdu" wyjętą — prezentuje czytelnikowi europejskiemu rozmiłowany w niej serdecznie historyk. A, jak w orszaku Piastów, tak i w orbicie Jagiellonów migają się nam co chwila w jego opowiadaniu fiolety, krzyże misyjne, aureole. Oleśnicki godnym okazuje się następcą filjacji Trąbów, Świnków czy Kietliczów; Kazimierz wzbija się do ekstaz podobnej ascezy, jak niegdyś Kinga; Jadwiga ewangelizuje wschodnie dzierżawy, jak dawniej Jacek, Tomicki niegorszym statystą jest od Bogorji, a Hozjusz w Trydencie świeci, jak w Konstancji Trąba.

Druga część *„La Pologne..."* nie jest już rezultatem bezpośrednich studjów i zainteresowań Haleckiego. Autor jest jednak uczniem W. Sobieskiego i z jego seminarjum wynosi niewątpliwie dobrą znajomość zagadnień epoki republikańsko-elekcyjnej, jak zwłaszcza czołowej postaci „trybuna ludu szlacheckiego" (Zamoyskiego), jak problematu, któremu na imię: „Król i car", jak wreszcie perypetji walki o Bałtyk. Sam Halecki, na kongresie, który nas czeka, zgłosił tego typu referat, opracowywując stosunek Polski do kwestji wschodniej od Kazimierza Wielkiego do Jana Sobieskiego.

Gdzie nie wiem, czyby na jotę zgodził się Halecki ze swoim mistrzem, to w sprawiedliwej skądinąd ze swojej strony ocenie Zygmunta III. Pamiętam, jak lat temu już parędziesiąt, miałem sposobność jechać do Wiednia z Michałem Bobrzyńskim i jak wielki ten historyk polski wykładał w drodze ojcu mojemu i mnie samemu potrzebę rehabilitacji Zygmunta III. Zresztą i w cytowanej już „Historji politycznej" (rozdziałach pióra Sobieskiego), król „nienawiści wyznaniowej" ma często prawy zakrój apostoła, przytaczany zaś przez Haleckiego „wielki projekt" Henryka IV francuskiego, w którym, w organizacji Europy, Kraków, obok Paryża i Trydentu, miał grać rolę dzisiejszą Genewy, świadczy o *prestige'u* u współczesnych Polski Wazowskiej.

Stefan, Zygmunt, Władysław, Jan Kazimierz, Jan III — pięciu królów, pięciu królów elekcyjnych (których teraz wyprowadza na scenę Halecki), napozór słabo związanych ze sobą tradycją racji stanu czy chociażby filjacją dynastyczną, z różnych i odmiennych od Polski wywodzących się środowisk: Batory z zakażonego naukami kacerskiemi Siedmiogrodu, Zygmunt z oddawna hołdującej luterstwu Szwecji, Władysław — za młodu ruszony wiatrem libertynizmu, Jan Kazimierz — za młodu kardynał, ale płochy, w stylu Mazarina czy bodaj Dubois'a, Sobieski tylko, z nich wszystkich jeden, z cnotami i błędami, rasowy Sarmata, raz na stopniach tronu — *es wächst der Mensch mit seinen höheren Zwecken* — przejmują się wszyscy dziejowem posłannictwem kraju, któremu przewodniczą. Batory walczy mieczem święconym

przez Possewina; penitent Skargi z krzyżem i szablą maszeruje na Moskwę; Władysław, przed Sobieskim, marzy i zabiega o rozgromienie Turka; Jan Kazimierz w lwowskiej ślubuje imieniem narodu katedrze; Sobieski z „Gustawa" Marysieńki przemienia się nagle w „Konrada" Odsieczy.

Świetnie uchwycił Halecki węzeł gordyjski losów naszych w tezie, że Polska, choć kłuta przez wroga i wycieńczana, zdrowa była, a przynajmniej *sanabilis* tak długo, jak ten trzeci zastęp dostojnych monarchów elekcyjnych chronił ją przed sprzeniewierzeniem się naczelnym hasłom i racjom historycznego jej bytu. Rozdział *„La décadenc"* — to dzieje grzechu pierwszego Sasa i ich konsekwencje — wreszcie rozdział *„La renaissance"* tłumaczy wiele z tego, co zaszło później, tłumaczy odporność Napoleonidów, prężność romantyków, hart pracy organicznej, ale zgodny tu jestem z Haleckim (patrz jego konkluzja rozdziału *„Les partages!"*) Stanisław August nie przywraca tradycji „dynastycznej" naszych królów: jest mecenasem, jak Zygmunt, ale bez rdzenia etycznego jego trudów, jest nauczycielem narodu, jak Kazimierz i Jadwiga, ale bez oparcia głębszego o Rzym (czy, jak dawniej, Awinjon) i dlatego, gdy dojrzał posiew rozbiorowy „Mocnego" i ruszył znów na Polskę potop okupantów, zawodzi Częstochowa Pułaskiego, a skłócony z narodem elekt nie ma sił w żadnej klęknąć katedrze, zanim się nie spełni akt pierwszy rozbiorów.

Takim morałem wybrzmiewa synteza Haleckiego.

K. M. Morawski.

Kolonje letnie młodzieży w Polsce.

Organizowanie kolonij letnich dla młodzieży, jako wymagające sporego nakładu kosztów i pracy, należało nawet w pomyślnych warunkach do zadań niełatwych. Jest to więc chlubnem świadectwem dla władz i społeczeństwa naszego, że w dzisiejszych ciężkich czasach zdobywa się na znacznie większy w tym kierunku wysiłek, niż dawniej, byle masom młodzieży szkolnej, żyjącej w ciągu roku w fatalnych nieraz warunkach zdrowotnych, dać możność poratowania sił i zdrowia.

Załączona poniżej tablica, zawierająca statystykę kolonij letnich w Polsce i objętych niemi dzieci, w dziesięcioleciu od roku 1922—1931, jest najlepszą ilustracją tej ofiarnej troski. Zwłaszcza ostatnie trzy lata wykazują w porównaniu z poprzedniemi niebywały przyrost liczby kolonij, pod którym to wyrazem rozumie się łącznie i kolonje wypoczynkowe i lecznicze i półkolonje.

Ten silny przyrost kolonij letnich tłumaczy się w dużej mierze ewolucją poglądów w tej dziedzinie. Z filantropijnej dawniej i stąd zdanej na prywatne fundusze, stała się dziś ta akcja

pewnego rodzaju obowiązkiem społecznym względem dziecka, a tem samem zyskała finansowe i moralne poparcie władz rządowych i samorządowych, oraz różnych instytucyj społecznych. Prąd ten, podtrzymywany przez Międzynarodowe kongresy kolonij wakacyjnych — w roku 1929 w Pau (Francja), w roku 1930 i 1932

rok	liczba kolonij	liczba dzieci
1922	224	39.312
1923	158	19.450
1924	209	26.524
1925	231	40.540
1926	429	45.794
1927	630	59.761
1928	758	85.741
1929	1.165	125.892
1930	1.016	129.478
1931	1.075	133.541

w Genewie — znalazł też pełne zrozumienie w naszym kraju. Sprawa kolonij letnich została zaliczona do działu „opieki społecznej nad dzieckiem i młodzieżą" i poddana kierownictwu i nadzorowi Ministerstwa Pracy i Opieki Społ., które wykonuje je łącznie z innemi czynnikami rządowemi i samorządowemi.[1])

W celu skoordynowania prac rządu, samorządów i społeczeństwa, stworzono już w r. 1922 — rozporządzeniem Ministra Zdrowia Publ. z dn. 22 lutego 1922 r., uzupełnionem rozporządzeniem Ministra Pr. i Op. Sp. z dn. 15 maja 1930 r. — „Radę do spraw kolonij letnich", składającą się z 8 członków. Zadaniem jej jest naczelne kierownictwo w zakresie organizacji i prowadzenia kolonij, w czem współdziałać mają „Komisje do spraw kolonij letnich", utworzone przy wojewódzkich władzach administracji ogólnej.

W celu zabezpieczenia zdrowotnej i wychowawczej strony kolonij, wydano w następnych latach liczne instrukcje i regulaminy, zarówno dla naczelnych władz wojewódzkich, jak bezpośrednich kierowników, lekarzy, wychowawców i młodzieży. Na podstawie uchwały Rady do spraw kolonij letnich, z dn. 10 maja 1926 roku, zorganizowano stałą kontrolę sanitarno-lekarską nad wszystkiemi kolonjami, a troskę o jej wykonanie powierzono komisjom wojewódzkim. Nawiasem wspomnieć tu można, że podług

[1]) Początkowo nadzór ten wykonywało Ministerstwo Zdrowia Publ., a dopiero potem na podstawie rozporządzenia Prezydenta Rzpltej z dnia 18 stycznia 1924 r., przeszedł on w ręce Ministerstwa Pr. i Op. Społ.

rozporządzenia Ministra Wyznań Rel. i Ośw. Publ., z dn. 26 maja 1930 r., młodzież szkół powszechnych i średnich wszelkiego typu, zakwalifikowana przez lekarzy do wcześniejszego wyjazdu na kolonje lecznicze czy wypoczynkowe, ma być zwalniana ze szkoły już dnia 1 czerwca, o ile zaraz może korzystać z kolonji.[1]) Osobno poleciło również Ministerstwo Pr. i Op. Sp., okólnikiem z dn. 9 sierpnia 1930 r., żeby dzieci słabowite, przebywające w zamkniętych zakładach opiekuńczych, wysyłać również na kolonje lub przynajmniej na półkolonje.

Jak przedstawia się konkretnie akcja kolonij letnich na terenie naszego kraju? — Czwarty zeszyt ostatniego rocznika *Pracy i Opieki Społecznej* (z marca 1933 r., str. 400 i n.), organu Ministerstwa Pr. i Op. Sp., przyniósł nam właśnie szczegółowe sprawozdanie za r. 1931, które podajemy tu w streszczeniu. Sprawozdanie to rozróżnia: 1) kolonje wypoczynkowe, dla dzieci naogół zdrowych; 2) lecznicze dla dzieci chorowitych; 3) półkolonje, urządzane dla młodzieży miejskiej i ośrodków przemysłowych; młodzież spędza na nich dzień pod opieką fachowych wychowawców, otrzymuje posiłek, a na noc powraca do domu. Zamieszczona poniżej tablica daje dostateczny pogląd na ilościową stronę akcji kolonijnej nad młodzieżą w r. 1931:

wyszczególnienie	r. 1931
dzieci na kolonjach ogółem	133.541
w tem: chłopców	67.550
dziewcząt	65.991
z tego na:	
kolonjach wypoczynkowych	73.145
„ leczniczych	11.476
półkolonjach	48.920
ogólna liczba kolonij	1.075
w tem: wypoczynkowych	814
leczniczych	91
półkolonij	165

Jak widać z tego zestawienia, ogólna liczba korzystających z kolonij nie jest wysoka, niemniej pocieszającym jest fakt, że mimo dzisiejszego kryzysu ilość dzieci wzrosła o 4.063, a liczba kolonij o 59 w porównaniu z r. 1930.[2])

[1]) Wobec najnowszego przesunięcia końca roku szkolnego na dzień 15 czerwca, zostanie zapewne i termin zwolnienia przyśpieszony o dwa tygodnie.

[2]) Wzrost ten przypada na kolonje lecznicze i półkolonje; liczba dzieci na kolonjach wypoczynkowych zmalała o przeszło $1^1/_2$ tysiąca.

Z ogólnej liczby dzieci, przebywających na kolonjach letnich w r. 1931, zostało wysłanych przez:

województwa	134.041 dzieci
samorządy	24.099 „
Kasy Chorych [1])	7.980 „

Nie podajemy szczegółowo liczby dzieci, wysyłanych przez poszczególne województwa, gdyż wysuwanie wniosków z samego tylko porównania cyfr byłoby chybionem, z powodu różnego charakteru poszczególnych terytorjów i zmiennej proporcji ludności miejskiej i wiejskiej. Nadmienić tylko możemy, że 9 województw wysłało w r. 1931 więcej, a 8 mniej dzieci niż w roku ubiegłym.

Ogólny koszt zorganizowania kolonij letnich w r. 1931 wynosił 7.663.166 zł, o 798.657 zł (9%) mniej niż w roku poprzednim. Tę ostatnią okoliczność zawdzięczać należy zmniejszeniu kosztów utrzymania, wskutek potanienia środków żywności i może także zniżeniu wydatków administracyjnych. Jak rozkładała się powyższa suma na poszczególne rodzaje kolonij i jaki był dzienny koszt utrzymania dziecka, pokazuje niżej załączona tablica.

wyszczególnienie	ogólny koszt	dzienny koszt utrzymania dziecka
kolonje wypoczynkowe	4.804.614	2,04 zł
„ lecznicze	1.521.494	3,74 „
półkolonje	1.337.058	0,77 „

Pokrycie całej, blisko 8-miljonowej sumy, nie było oczywiście łatwe. W dużej części, jak to widzimy poniżej, złożyły się na to opłaty dzieci i fundusze różnych instytucyj społecznych, do czego dołączyły się subwencje rządowe i samorządowe; niewielką stosunkowo sumą przyczyniły się Kasy Chorych. Szczegółowo przedstawia się cała ta rzecz następująco:

instytucje	wpłaciły złotych	%
społeczne i opłaty dzieci	5.368.285	71
samorządowe	1.041.829	12,8
rządowe	983.000	12,7
Kasy Chorych	270.041	3,5

Ponieważ przeciętny okres trwania kolonij wynosił 38 dni (półkolonij 40 dni), młodzież miała dość czasu do wy-

[1]) Obowiązek współdziałania w akcji kolonij letnich nałożył Kasom Chorych okólnik Ministra Pr. i Op. Sp. z dn. 13 maja 1930 r.

tchnienia i nabrania sił, zwłaszcza że stan zdrowotny był naogół dobry. Jako pewien postęp podnieść należy, że w ocenianiu korzyści z kolonij zerwano wreszcie z przestarzałym systemem „żywej wagi". Notowano wprawdzie przyrost wagi u młodzieży — wynosił on przeciętnie 150 gr. do 3,6 kg. — ale uznano, że nie może on (podobnie jak wzrost i opalenie skóry) być miarą pożytku, odniesionego z kolonji. Jedynie dokładne zbadanie całego stanu fizycznego i porównanie go z początkowym mogłoby coś o tem powiedzieć.

Ta ostatnia uwaga i wogóle zadanie, jaką spełniać mają kolonje letnie, wskazują również, jak ważną rolę odgrywają w tej pracy lekarze. Od nich zawisło w dużym stopniu powodzenie kolonij, przez odpowiedni dobór dzieci, oraz opiekę higjeniczno-lekarską. Toteż Międzynarodowy kongres dla spraw kolonij wakacyjnych, odbyty w Genewie w r. 1932, domaga się ścisłej współpracy kierowników kolonij z lekarzami. Nasze Ministerstwo Pr. i Op. Sp. kładzie również silny nacisk na tę sprawę i przeznacza 5% subwencyj rządowych dla kolonij letnich na opłacanie lekarzy wizytatorów, żąda od nich dokonywania wszędzie inspekcyj lekarskich i nadsyłania mu odnośnych sprawozdań.

Tak przedstawiał się u nas całokształt zagadnienia kolonij letnich w r. 1931. Czy i w jakim kierunku zaznaczył się postęp w r. 1932, nie wiemy. Sprawozdania urzędowe ukazują się niestety późno, choć pewnem tego usprawiedliwieniem może być fakt, że zarządy poszczególnych kolonij zwlekają niekiedy zbyt długo z nadsyłaniem potrzebnych danych. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że ruch ten będzie się dalej rozwijał, ilościowo i jakościowo. W sprawie tej niejedno pozostaje jeszcze do zrobienia, dla podniesienia tak zdrowotnej jak wychowawczej strony, i miejmy nadzieję, że doświadczenia jednych i słuszne żądania drugich nie przejdą bez echa. Narazie pragniemy zwrócić uwagę na dwie aktualne kwestje, zasadniczej i praktycznej natury.

Pierwsza z nich dotyczy naczelnego kierownictwa kolonji letniej. Chodzi o to: kto ma mieć w niej najważniejszy głos?

Autor sprawozdania, na którem się opieramy — a nie zapominajmy, że znajduje się ono w organie oficjalnym Ministerstwa Pr. i Op. Sp. — powiada, „że odtąd wskazanem jest, aby lekarz objął rolę kierowniczą w kolonjach wakacyjnych" (str. 403); lekarz winien być na kolonji „tą najważniejszą sprężyną, która powinna poruszać życie kolonji" (str. 404).

Otóż sądzimy, że na takie postawienie zagadnienia nie można się zgodzić, z praktycznego i jeszcze bardziej z zasadniczego punktu widzenia. — Po pierwsze, autor mówi tylko o kierownikach kolonji i o lekarzu, przyczem temu ostatniemu przyznaje główną rolę, a pomija zupełnie rodziców, którym przedewszystkiem przysługuje prawo głosu. Oczywiście nie w tem zna-

czeniu, żeby mieszali się ciągle do zarządu kolonji; rozumiemy, że sprawiałoby to zbyt wiele kłopotów, i wiemy, jak przesadne lub wprost nierozsądne bywają czasem wymagania rodziców. Ale kierownicy, jako ich zastępcy, powinni się przedtem porozumieć z rodzicami i działać w myśl ich życzeń; chodzi tu o dobór dzieci i stronę wychowawczą, zwłaszcza pod względem moralno-religijnym.

Powtóre różne względy przemawiają za tem, żeby naczelna władza kolonji nie spoczywała w ręku lekarza, tylko zarządu, jako właściwego zastępcy rodziców i spełniającego kierownictwo wychowawcze i administracyjne. Kolonja letnia, choćby lecznicza, to nie szpital ani sanatorjum, a względy wychowawcze mają z natury rzeczy niemniejsze chyba znaczenie od zdrowotnych. Jest to tylko jednym z przykładów znamiennej w latach powojennych krańcowości, gdy dlatego, że ktoś jest ważnym, robi się go zaraz najważniejszym i tem samem pierwszą instancją.

Lekarz jest fachowcem w zakresie medycyny, a specjalistą tylko w pewnym jej dziale. Już w zakresie higjeny bywa znawcą o tyle, o ile ją bliżej studjował. I tu kończy się jego kompetencja. W poszczególnym wypadku może on być także dobrym administratorem i wychowawcą, lecz może również nie być nim wcale, a nikt nie może mu z tego tytułu robić zarzutów, ponieważ to leży poza właściwą mu sferą działania. Okoliczność, że jest „lekarzem szkolnym", niewiele tu zmienia, co innego bowiem jest zbadać dziecko w szkole raz na miesiąc lub rzadziej, a co innego zajmować się niem, jak na kolonji, dzień w dzień w zastępstwie rodziców czy opiekunów. Sądzimy, że każdy rozsądny lekarz podzieli nasze zdanie, że nie jest wskazanem brać na siebie zadania, do których się nie jest fachowo przygotowanym. Leży to zresztą w interesie stanu lekarskiego, a ci z lekarzy, którzy inaczej myśleli, nieraz już wywoływali w kolonjach przykre zatargi i nieporozumienia. Owszem, jeśli chodzi o bezpośrednie ich mieszanie się do młodzieży, zdarzały się również pociągnięcia tego rodzaju, że zarząd kolonji czuł się zmuszonym do zaprotestowania przeciw „naczelnej roli" lekarza.

Jednym ze smutnych objawów tego kierownictwa jest również fakt, — mamy na to dowody — na który społeczeństwo katolickie nie powinno pozwolić, że katolicka młodzież niektórych kolonij z polecenia lekarza(arki) nie uczęszczała wogóle na mszę św. w niedziele i święta. Wiemy dobrze, jaką klęską dla kolonji jest wtargnięcie do niej choroby zakaźnej i rozumiemy, że w razie epidemji tejże w okolicy zakaz stykania się dzieci z mieszkańcami, nawet w kościele, może być słusznym. Niestety w znanych nam wypadkach całem uzasadnieniem lekarzy była przesadna obawa lekarzy — racja stanowczo niewystarczająca do pomijania ważnych religijnych obowiązków lekceważonych często przez mało religijnych lekarzy.

Wszystkim tym ujemnym następstwom zapobiegnie ograniczenie kompetencji lekarza na kolonji do właściwej jego sfery, a przyznanie pozostałym członkom zarządu należnych im praw. Każdy na swojem stanowisku! — takie jest jedyne rozumne rozwiązanie — kierownik administracyjny ma najwyższy głos w sprawach gospodarczych, wychowawca w pracach wychowawczych, a lekarz w rzeczach zdrowia. Wszystkie te trzy instancje winny działać w zgodnem porozumieniu, i lekarz co najwyżej może mieć, jak i pozostali, prawo równego głosu. Głos jego może mieć większe znaczenie w kolonjach leczniczych, ale i tu jedynie w ramach ścisłej jego kompetencji.

Inną uwagę, praktycznej natury, pragniemy nawiązać do orzeczeń samego Ministerstwa Pr. i Op. Sp.

W okólniku z dn. 14 lutego 1930 r., zwrócił się p. minister Pr. i Op. Sp. do wojewodów, żeby w akcji kolonij letnich w półkolonjach uwzględniali „przedewszystkiem młodzież, żyjącą w warunkach najgorszych", w nędzy mieszkaniowej i żywnościowej, zwłaszcza w ośrodkach przemysłowych. W następnym roku, w okólniku z dn. 11 marca 1931 r., ponowił to wezwanie i polecił „w pierwszym rzędzie uwzględniać dzieci bezrobotnych i najbiedniejsze". — Otóż za rozporządzenia te należą się p. ministrowi szczere słowa uznania, koniecznem jest wszakże, by obmyślił jeszcze skuteczny sposób ich wykonania. Narazie bowiem, aż do ostatnich miesięcy, jesteśmy świadkami, że na kolonje wyjeżdżają dzieci, mające w domu wcale znośne warunki, podczas gdy dzieci wielu bezrobotnych, żyjących niemal w nędzy a mających liczne rodziny, nie mogą się wcale dostać na kolonje!

I jedno jeszcze. Tym dzieciom najbiedniejszym mogłaby w pewnej przynajmniej mierze dopomóc dobroczynność prywatna. Znaleźliby się dobrzy ludzie i trochę funduszów. Cóż, kiedy przepisy nie pozwalają udzielić tej pomocy. Gdy ochotnicy zobaczą wszystkie regulaminy i warunki, pod jakiemi wolnoby im stworzyć dla nędzarzy jakąś kolonję, muszą się cofnąć, bo na to ich nie stać. — W rezultacie dzieci, które nie miałyby wprawdzie na kolonji wiele wygód, ale jednak miałyby świeże powietrze i dostateczne, choć skromne, utrzymanie, muszą pozostać w swych norach, biedne, głodne, brudne i obdarte.

Czyby jednak Ministerstwo Pr. i Op. Sp. nie mogło w „drodze wyjątkowej" — na czas trwania nędzy — zaradzić tej potrzebie? Nie zdaje nam się, by powyższy stan rzeczy musiał wynikać — z „opieki społecznej".

Ks. St. Podoleński T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 30 sierpnia 1933.

Spis rzeczy tomu 199.

Artykuły.

Str.

A. Tretiak: Cykl dramatyczny J. Galsworthy'ego 3
Prof. B. Bruckus: Kolektywizacja rolnictwa włościańskiego w Rosji Sowieckiej 36
T. Sinko: Klasyczny laur Norwida (Dokończenie) 57
F. Rapf: Budowa materji (Dokończenie) 79
Dr. K. Górski: Ustrój korporacyjny w Polsce średniowiecznej 87
Ks. R. Wierzejski: Wielcy chanowie a chrześcijaństwo . 117
Dr. W. Wiliński: Jakub Deml 137, 285
K. Buczkowski: O zabytkach sgraffita w Polsce 154
Ks. J. Rostworowski: Kilka myśli z powodu wielkiej rocznicy 225
Ks. J. Poplatek: Udział Polski w odsieczy wiedeńskiej . . 229
T. Parnicki: Rosyjska literatura emigracyjna 254
L. Caro: Katolicyzm a ekonomika społeczna 275
S. M. R.: Odsiecz wiedeńska w sztuce 302
T. Grabowski: Z powodu książki ks. Stanisława Bednarskiego T. J.: „Upadek i odrodzenie szkół jezuickich w Polsce“ . . . 310

Przegląd piśmiennictwa.

Nowa beletrystyka. Juljusz Kaden-Bandrowski: Mateusz Bigda. — Ferdynand Goetel: Podróż do Indyj. — Izabela Lutosławska: Córka. — Helena Boguszewska: Ci ludzie. — Anatol Stern: Namiętny pielgrzym. — Artur Schroeder: W latarni. — Jerzy Marlicz: Bractwo białego lamparta. — M. H. Szpyrkówna: Trzy przygody. (Z. Starowieyska-Morstinowa) 170
Berent Wacław: Pisma (Z. Ciechanowska) 183
Wyspiański Stan.: Dzieła. T. VI—VIII w opr. Leona Płoszewskiego (Z. Ciechanowska) 185
Bertrand Russel: Wychowanie a ustrój społeczny. Tłum. Dr. Janina Kosiassonówna (L. Caro) 187
Ks. Dr. Kaz. Dworak: Zarys psychologji empirycznej (Ks. Fr. Kwiatkowski) 192

Str.

Dr. Tihamer Tóth: Młodzieniec z charakterem. Przeł. Hr. E. Esterhàzy (Ks. J. Rostworowski) 193
Hermann Muckermann: Vererbung und Auslese (Ks. St. Podoleński) 194
Marjan Manteuffel: Kapitalizm, socjalizm i katolicka doktryna społeczno-ekonomiczna na tle katastrofy świata. (J. U.) 195
Nauka Polska. Jej potrzeby, organizacja i rozwój. Tom XVII. (Ks. St. Bednarski) 314
Czesław Lechicki: W walce z demoralizacją (Dr. E. Chomrański) 318
Inż. Zygm. Jasiński: Wspomnienie. (Dr. J. Pajewski) . . . 320
Dr. Henryk Dembiński: Anatomja celna w rozwoju prawa narodów. (M. J. Ziomek) 322
Giuseppe Messina S. I., I Magi a Betlemme e una predizione du Zoroastro. (Ks. L. Semkowicz) 324
A. Mickiewicza Dzieła wszystkie (Dr. Z. Ciechanowska) . 328
O. Dr. Kazimierz S. Rosenbaiger, Franciszkanin: Dzieje kościoła OO. Franciszkanów w Krakowie w wiekach średnich (Ks. St. Bednarski) 331
Ks. Kamil Kantak: Bernardyni polscy. (M. N.) 331
H. Daniel-Rops: Dusza w mroku. (Zofja Starowieyska-Morstinowa) 333
Stefan Papée: Wielkopolska wczoraj i dziś. (Z.) 336
Notatki bibljograficzne: 336
Nadesłane: 196, 339

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Lipiec-sierpień: Hiszpański *Kulturkampf.* — Nowe prawo o kongregacjach. — Encyklika papieska i orędzie episkopatu. — Zapowiedzi katolickiej reakcji (Ks. E. Kosibowicz) 198
Wrzesień: Niemcy. — Rozwiązanie Centrum. — Konkordat Stolicy św. z Rzeszą. — Prawo o przymusowej sterylizacji (Ks. E. Kosibowicz) 342
Kronika gospodarcza. Inflacja i dewaluacja ekonomistów. — Zjazd gospodarczy B. B. W. R. — Załamanie się kursu dolara. — Płatność długów politycznych S. Z. A. P. — Międzynarodowa konferencja monetarna i ekonomiczna w Londynie. — Niewypłacalność Niemiec. — Konferencja państw rolniczych. (Dr. M. J. Ziomek) . 207
Dwa jubileusze francuskie (J. Matyasik) 214
Pielgrzymka jubileuszowa Dziennikarzy katolickich w Rzymie (Ks. Wł. Lohn) 217
Współczesne kilimkarstwo (M. Zawadzka) 221
„Cicerone" wielkiego zjazdu (K. M. Morawski) 354
Kolonje letnie młodzieży w Polsce (Ks. St. Podoleński) . 360

ŚW. FRANCISZEK
Rys. Marja Gutkowska

Rys. Marja Gutkowska

ŚW. KLARA

Fotografja użyczona z Oddziału Sztuki Urzędu Konserwatorskiego w Krakowie.

SW. KLARA
Rys. Marja Gutkowska

CHRYSTUS
Rys. Marja Gutkowska

BŁ. KUNEGUNDA
Rys. Marja Gutkowska

BŁ. SALOMEA
Rys. Marja Gutkowska